

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECJA
W ZODZI

P 50011 / 1939 II



STO PIĘCDZIESIĄT LAT
ŁÓDZI PRZEMYSŁOWEJ
1823-1973



P 50011 / 1939, II

TYGODNIK

I L L U S T R O W A N Y

Nr. 27

2 Lipca 1939

Cena 1 zł



Gdańsk. Wisłoujście. Basen dla towarów masowych

Potrzeba wykwalifikowanych Bibliotekarzy

Jednym z często spotykanych zjawisk w Polsce jest niedocenaenie znaczenia dobrze zorganizowanej biblioteki oświatowej, będącej czynnikiem wyjątkowej wagi w samokształceniu.

Stany Zjednoczone A. P., Szwajcaria, kraje skandynawskie, Anglia — na dobrze zorganizowanym systemie bibliotecznym budują całe swoje szkolnictwo i pracę oświatową wśród dorosłych, wychodząc z założenia, że nie można należycie pogłębić swoich wiadomości bez racjonalnej obsługi odpowiednią książką.

Biblioteka — to miejsce, gdzie zdobywa się przez samokształcenie wiedzę potrzebną człowiekowi na codzienny użytek, nie dla dyplomów, a z pobudek bezinteresownych, czy też dla zaspokojenia potrzeb chwili: w bibliotece publicznej mile spędza się czas po pracy zawodowej, co zwłaszcza dla pracowników fizycznych stanowi racjonalnie zorganizowane wczasy, pogłębiające ich zainteresowania.

Rola bibliotekarza w bibliotece ma zasadnicze znaczenie dla prawidłowego funkcjonowania biblioteki. Jakże często zapomina się u nas o tym, że musi to być człowiek o specjalnym przygotowaniu fachowym.

A przecież zadaniem bibliotekarza jest zapewnienie człowiekowi właściwych metod pracy, niezbędnych w samokształceniu. Poza tym spełnia on ważne zadanie wychowawcze przez umiejętne dobór lektury, przez budzenie i pogłębianie zainteresowań czytelników. System układu książek w bibliotece stanowi bodziec i podstawę do właściwego porządkowania notatek; biblioteka wreszcie stanowić powinna ośrodek informacyjny dla całej okolicy. Ta ostatnia korzyść płynąca z dobrze zorganizowanej pod fachowym kierunkiem biblioteki została należycie doceniona w praktycznej Ameryce. Każdy bibliotekarz uważa za swój punkt honoru, by nigdy się nie dać zaskoczyć żadnym pytaniem i skierować czytelnika do właściwego źródła informacji, gdzie będzie mógł już łatwo wyszukać potrzebne mu dane.

Jak widzimy, zadania bibliotekarza nie są wcale tak łatwe, jak się to na pierwszy rzut oka wydaje — i wymagają należytego przygotowania fachowego. Praca bibliotekarska należy do jednego z zawodów bardziej interesujących i miłych, zwłaszcza dla kobiet.

Czynnikiem przemawiającym za zwiększeniem liczby fachowo przeszkolonych bibliotekarzy jest również okoliczność, że w Polsce sieć biblioteczna jest jeszcze bardzo niedostatecznie rozbudowana i że za

potrzebowanie na bibliotekarzy będzie stale wzrastało.

W związku z tym zwracamy uwagę osób zainteresowanych na Prywatne Kodyfikacyjne Kursy Bibliotekarskie Związku Bibliotekarzy Polskich (jednoroczne), które przyjmują zapisy na rok szkolny 1939/40, poczynając od 15 czerwca do 31 sierpnia r.b. w Sekretariacie Związku Bibliotekarzy Polskich, Koszykowa 26, tel. 8.48-75, w poniedziałki i czwartki, godz. 18 — 20.

Od kandydatów wymagane są: wiek od 18 do 30 roku życia, matura licealna lub gimnazjum ew. seminarium dawnego typu, podanie życiorysu napisany własnoręcznie oraz 2 fotografie.



Pierwszeństwo przy jednakowym poziomie wykształcenia posiadają kandydaci z praktyką bibliotekarską.

Oplata za kurs wynosi 150 zł płatne w ratach kwartalnych.

Nowe urządzenia techniczne w Polskim Radio

Przekazywanie audycji z jednej rozgłośni do drugiej odbywa się, jak wiadomo, za pośrednictwem przewodów telefonicznych, lub specjalnych do tego celu kabli. Jeśli z tych, czy innych powodów taki sposób przekazywania nie może być zastosowany, uciekamy się do tzw. retransmitowania.

Retransmisja polega na odbiorze dalekiej stacji za pomocą dobrego odbiornika radiowego, który to co odbiera, przekazuje jednej stacji, lub całej grupie stacji w obrębie danej radiofonii.

Aby retransmisja wypadła technicznie dobrze, odbiór musi być niezakłócony i dostatecznie silny. Dlatego też tzw. punkt retransmisyjny musi znajdować się z dala od wszystkich zakłóceń natury elektrycznej, a jeśli to jest możliwym, muszą być wykorzystane wszystkie środki techniczne, zapobiegające tym zakłóceniom.

Pod kątem widzenia tych wymagań został urządzony punkt retransmisyjny Polskiego Radia przy ul. Zichej.

Na najwyższym piętrze wybrano dwa pomieszczenia z dala od przypuszczalnych zakłóceń elektrycznych i akustycznych. W jednym z tych pomieszczeń zainstalowano urządzenia odbiorcze, drugie — przeznaczono dla sprawozdawców i stenografów.

Część techniczna obejmuje odbiorniki trójzakresowe, tablicę kontrolną oraz aparat telefoniczny. Całość mieści się w tzw. klatce Faraday'a, której zadaniem jest niedopuszczenie zakłóceń o charakterze elektromagnetycznym — do odbiorników. Na dachu ustawiono specjalne anteny przeciwwzakłóceniove, połączone ekrano-

wymi doprowadzającymi z kabiną odbiorczą. Kabiną odbiorczą posiada połączenie z Centralną Amplifikatornią i Działem Nagrywań.

Tak więc odbierana przez jeden z odbiorników audycja może być przekazana za pośrednictwem amplifikatorni do stacji nadawczych, lub do działu Nagrywań, bądź jednocześnie tu i tam.

Niezależnie od tego sprawozdawcy i stenograf mogą w przyległym pokoju wysłuchiwać na słuchawki np.: teksty komunikatów zagranicznych, przemówień itp., robić odmienne notatki i skróty, a więc zbierać najwięcej materiału dla informacyjnej służby radiowej.

Punkt retransmisyjny jest poza tym stacją kontroli własnych audycji, nadawanych przewodami i kablami do innych rozgłośni Polskiego Radia, lub do rozgłośni obcych radiofonii.

W razie niepewnych połączeń kablowych, lub w wypadku bardzo ważnych audycji, transmitowanych z odległych rozgłośni zagranicznych, punkt retransmisyjny stanowi rezerwę. Gdy bowiem z tych, czy innych powodów odbiór za pośrednictwem przewodów szwankuje, lub zgoła doznaje przerwy, odbiorniki dostosowane do danych stacji zagranicznych, przełącza się natychmiast na Centralną Amplifikatornię i w taki sposób audycję się ratuje.



pamiętajmy

o tym, że sole mineralne obok witamin konieczne są do normalnego funkcjonowania organizmu. — Brak soli mineralnych możemy uzupełnić, używając **MINEROGEN F. F.** — smaczną, musującą sól owocową. **MINEROGEN F. F.** dostać można w najbliższej aptece.

LMK^a przez FOM

walczy o kolonie i surowce dla Polski, broni dróg komunikacyjnych do kolonii.



Nad zdobytymi obszarami Chin z bronią gotową do strzału

NA DALEKIM WSCHODZIE

Sprawy Dalekiego Wschodu, zagadnienia ogromnej ważności dla losów świata, znalazły się w ostatnich latach na dalszych, bocznych torach świadomości politycznej przeciętnego Europejczyka czy Amerykanina. Zbyt wiele bowiem nagromadziło się przeciwieństw i ognisk zapalnych w samym sercu naszej cywilizacji, w Europie, zbyt wiele trosk i niebezpieczeństw niesie ze sobą ostry podział walczących obozów, by nawet tak groźny problemat, jak wojna japońsko-chińska, mógł całą naszą uwagę przesuwać na daleki teren konfliktów azjatyckich.

A jednak ostatecznie wydarzenia na terenie Chin, wypadki, które na czoło wszystkich gazet świata wysunęły obojętne dotąd nazwy portów Tien-tsin i Swatow, przypomniały nam problemat Dalekiego Wschodu z wielką siłą. Dlatego, że w orbicie wojny japońsko-chińskiej ujawniły się przygaste na jakiś czas przeciwieństwa interesów Japonii i Anglii, a w

dalszej perspektywie ukazał się nad Oceanem Spokojnym groźny cień konfliktu japońsko-amerykańskiego.

Drobne napozór zajścia na terenie koncesji angielskich, próba blokady tych koncesji przez Japończyków, wzajemne protesty i groźby, oświetliły wielkim płomieniem całą arenę wydarzeń i uprzytomniły światu, że nie tylko w Europie znajduje się materiał zapalny. Tien-Tsin i Swatow — dwa porty, dwie koncesje, dwie płaszczyzny, na których zbiega się tyle przeciwieństw, są jakby skrótem olbrzymiego kompleksu spraw, których przedstawienie i analiza od dziesiątków lat absorbują historyków i ekonomistów zainteresowanych krajów.

Bo przecież nie dzień dzisiejszy zdecydował o układzie sił na Dalekim Wschodzie i o możliwości nowej wojny. Stosunki te formowały się od lat nieomal stu, przechodząc najróżniejsze koleje wojen, układów i kompromisów, by znów wy-

buchnąć i przygasnąć w drodze do ostatecznej rozgrywki.

To, czego świadkami jesteśmy dziś, to drobne fragmenty, ułamki, które w żaden sposób nie mogą dać linii wytycznej w labiryncie spraw daleko-wschodnich. A znalezienie takiej linii orientacyjnej jest koniecznością, bo wszelkie uogólnienia, lub jednostronne dawanie posłuchu wywodom propagandowym, wykrzywić musi obraz, stwarzając fałszywą perspektywę i podsuwając fałszywe wnioski.

Źródła angielskie czy amerykańskie przedstawiają sprawę rzeczowo, operując obok argumentu misji cywilizacyjnej cyframi sum zainwestowanych, a od czasu do czasu grożąc potworem „żółtego niebezpieczeństwa”. Źródła japońskie wysuwają na pierwszy plan wielką misję Japonii w dziele tworzenia nowej Azji, formowania jej ducha i pielęgnowania specyficznej cywilizacji. Prace sowieckie biją w imperialistów wszelkiej kategorii,

usiłując zamaskować imperialne cele rewolucji bolszewickiej idealistyczną pomocą dla ucieszonych narodów Wschodu. Chińczycy wreszcie dają wstrząsający obraz konfliktów, rozdzierających żywe ciało Chin i krzywdę, która dzieje się im od wieków.

Znalezienie ścieżki w tym labiryncie przeciwności, skomplikowanych interesów, historii i ekonomii przystosowanych do potrzeb propagandy, jest zadaniem ogromnej trudności. Nasilenie walki rzeczywistej idzie dziś w parze z akcją informacyjną. Teraźniejszość jest skłębieniem mgławic. Przeszłość, wyklarowana, operująca tylko faktami, pozwala zorientować się w podstawach, w narodzinach zagadnienia. Do niej więc zwrócić się należy dla zrozumienia spraw, które w skrócie nazw „Tien-tsiu” czy „Swatow” wybuchły w krzyżujących nagłówkach depesz z Dalekiego Wschodu.

* * *

Dwa państwa azjatyckie przeszły w ciągu 19-go stulecia znamienne i przeciwstawną ewolucję. Chiny — olbrzymie, potężnie zaludnione, odseparowane przez wieki od świata stały się przedmiotem zainteresowań tych państw Europy i Ameryki, które w 19-ym wieku przeszły wielki wstrząs uprzemysłowienia i szukały terenów dla swej ekspansji na wszelkich wolnych przestrzeniach świata.

Chiny znalazły się w orbicie walk o kolonie, o surowce i rynki zbytu, stały się same półkolonią i areną walki konkurencyjnej, uniemożliwiającej wielkiemu państwu rozwinięcie swych możliwości. Cała energia „odkrywców” Chin skierowana została w stronę powstrzymania procesu rozwoju, przejęcia i wyzyskania rynku chińskiego i jego olbrzymiej pojemności.

Siła obca narzuciła Chinom szereg przynusów, kapitulacji i ustępstw, zmusiła do posłuchu i skrzywiła na wiele lat linie rozwojowe państwa i narodu. To też dzieje Chin na przestrzeni drugiej połowy 19-go wieku to dzieje kolejnych



Afisz anty-japońskie na murach miast chińskich, wzywają do walki z „wężem” Japonia

ustępstw, beznadziejnych wybuchów i powstań, krzywdzących traktatów i umów. Można przyglądając się bliżej historii Chin w ostatnim stuleciu, wyróżnić następujące epoki.

(Nie bądźcie tu chyba błędem posługiwanie się podziałem, wprowadzonym przez nacjonalistycznego autora chińskiego Wong-Ching-Wai w książce „La Chine et les Nations”).

Okres pierwszy to czas od Wojny Opiumowej (1840) do wojny chińsko-japońskiej (1894). Okres ten to czas penetracji angielskiej w Chinach. Żądanie otwarcia portów chińskich dla handlu europejskiego poparte armatami angielskimi spotyka się z oporem słabych wojskowo Chin i kończy się klęską Chin. Chiny muszą pozwolić na wjazd truczyny, produkowanej w wielkich ilościach przez kolonię angielską, Indie.

Wojna Opiumowa staje się więc zapoczątkowaniem okresu rywalizacji państw w uzyskiwaniu koncesji, t. j. terenów chińskich, wyodrębnionych z zasięgu władz chińskich, chińskiego prawa, rządzących się prawami okupanta — „koncesjonariusza”.

Tak zaczynają się układać sprawy Chin w bliższym zetknięciu z siłami Europy i jej potrzebami gospodarczymi.

Odmienne ułożyły się sprawy drugie-

go państwa azjatyckiego, które równie jak Chiny zacofane, mogło się łatwo stać jeszcze jedną kolonią europejską. Ale z Japonią rzecz miała się inaczej. Jeżeli w latach 50-tycheszlego wieku wystarczycylo kilku armat okrętów amerykańskich, by zmusić Japonię do otwarcia portów dla handlu o tyle już w latach 70-tych jest Japonia ważnym czynnikiem życia politycznego na Dalekim Wschodzie. Siły rozwojowe Japonii, położenie wyspiarskie stały się podstawą przemian, które napchnęły zdumieniem państwa, które chciały zachować dla siebie Daleki Wschód i nie przypuszczały że w krótkim czasie przybędzie im potężny konkurent.

Bowiem ekspansja krzepnącej Japonii po uzyskaniu szeregu zdobyczy terytorialnych na wyspach, musiała się skierować na stały ląd Azji. Te dwie odmiennie ewolucje życiowe państw Azji: Chin i Japonii, stworzyły i uwarunkowały dalsze losy Dalekiego Wschodu.

Kolejność wydarzeń można ułożyć w następujący sposób: państwa Europy i Ameryki swym zjawieniem się na wschodnim brzegu Azji wywołują dwa odmiennie procesy: osłabienie, rozczłonkowanie Chin i wzmocnienie i ekspansję Japonii. Chiny muszą stać się przedmiotem dalszej walki pomiędzy starymi partnerami, państwami Europy i Stanami Zjednoczonymi, a nowym, prężnym państwem azjatyckim, które prowadząc ostrożną politykę, szuka sobie co pewien czas sprzymierzeńców w grupie europejskiej, by potem kolejno rozprawić się z nimi.

W pierwszym pięćdziesięcioletnim okresie naporu Europy na Chiny padają na państwo chińskie ciężkie ciosy, traktaty tienstiński i pekiński tworzą i umacniają system koncesyjny, narzucają politykę celną, która uniemożliwia powstanie i rozwój przemysłu chińskiego. Ciężkie warunki narzucone przez siły anglo-francuskie są zarzewiem niepokoju, a jego objawami staje się powstanie Tai-pingów.

Do mocarstw zainteresowanych rynkiem chińskim, a szczególnie północnymi terenami Chin, przyłącza się Rosja z daleko idącymi planami nad oceanem Spokojnym, stając się w ten sposób naturalnym przeciwnikiem Japonii, posiadającej ten sam zakres zainteresowań.

Wojna chińsko-japońska o Koreę jest niczym innym, jak przedmową do szerszego konfliktu japońsko-rosyjskiego. Część olbrzymiego państwa chińskiego staje się niejako przyszłym terenem wojennym, ważnym strategicznie dla obydwu konkurentów.

Dla innych partnerów, Anglii i Stanów Zjednoczonych, nie jest narazie rosnąca siła Japonii bezpośrednią groźbą. Japonia kieruje się na razie na północ Chin, konkuruje z Rosją, pozostawiając południe dalszej penetracji anglo-amerykańskiej.

Drugim okresem w nowych dziejach Chin jest pięcioletni czas pomiędzy wojną japońsko-chińską a powstaniem Bokserów (1895 — 1909). Jest to okres podziału Chin na sfery wpływów zainteresowanych państw i okres, w którym za zasadę kierowniczą w stosunkach na terenie chińskim staje się amerykańskie hasło „otwartych drzwi” w Chinach.

Granice koncesji cudzoziemskich pilnują japońskie straż policyjne i wojskowe



Powstania chińskie, krwawe i okrutne, dają w rezultacie porozumienie państw zainteresowanych w utrzymaniu spokoju i spokojnym oprocentowaniu sum włożonych w inwestycje. Z jednej strony dają konsolidację przeciwnika, z drugiej — budzą naród chiński z letargu i zapoczątkują okres odrodzenia, walki o nowe Chiny.

Trzeci, czternastoletni okres 1900 — 1914, to okres wzmożonych działań państw „koncesyjnych“, wielkie inwestycje kolejowe, zdobywanie i umacnianie nowych placówek koncesyjnych, planowa akcja rozczłonkowania Chin. W okresie tym momentem wytechnienia staje się dla Chin wojna japońsko-rosyjska, która na jakiś czas osłabia strony walczące, w tym samym stopniu groźne dla Chin.

Za to zwiększają się wpływy angielskie i amerykańskie, zaczynające nabierać cech konkurencyjnych. Powstaje nowe przeciwieństwo, które na dalszy plan usuwa się wraz z wybuchem wojny europejskiej. Okres czwarty, od wojny europejskiej do traktatu waszyngtońskiego, jest epoką osłabienia wpływów wszystkich państw, zajętych wojną w Europie i wzmocnieniem wpływów silnej Japonii, która zaczyna się wysuwać na pierwsze miejsce na terenie chińskim.

Idąc dalej po linii obserwacji losów Chin, znajdziemy się przy stole konferencji wersalskiej, która dla Chin była jednym wielkim niepowodzeniem. Chiny usiłowaly na podstawie czterech punktów Wilsona odzyskać swe utracone pozycje. Nie podpisały też protestacyjnie traktatu wersalskiego.

Konferencja waszyngtońska (1921) ułożyła sprawę pomiędzy konkurentami na terenie azjatyckim znów na niekorzyść Chin, usiłując stworzyć możliwości porozumienia między posiadaczami koncesji i wpływów.

Szósty okres to czas między konferencją waszyngtońską a wojną chińsko-japońską, toczącą się obecnie.

* * *

Szliśmy tu celowo po linii „chińskiej“, wykazując jakie były losy Chin w ostatnich stu latach. Ten motyw zagadnienia Dalekiego Wschodu jest oczywiście jednym z wielu, domagających się przypomnienia i oświetlenia, ale na nim właśnie spoczywa główny ciężar sprawy.

Słabość Chin stworzyła cały problemat. Słabość Chin, która uwarunkowana została zarówno przyczynami natury wewnętrznej, jak i celowym działaniem potęg światowych.

Drugą linią obserwacyjną powinno być przesłedzenie rozwoju Japonii, dla

Wiele jest środków przeciwko hemoroidom. Wynik kuracji świadczy o zalecanych nżytego środka. Czopki „Varicol“ Gąseckiego stosuje się przy bólach hemoroidalnych: krwawieniu, swędzeniu, pieczeniu i innych objawach.

Przy zewnętrznych guzach hemoroidalnych stosuje się masę „Varicol“.

„Varicol“ Gąseckiego nie zawiera szkodliwych składników.



Na wielu frontach trwa wojna japońsko-chińska, ale na rzece Żółtej jest spokój i płyną wielkie barki z balami bawełny

uwidocznienia tych dróg, którymi szła potęga japońska, od zwycięskiej wojny z Rosją do ostatnich czasów.

Trzecia linia wreszcie, to analiza tych sił konkurencyjnych, uosobionych w wielkich mocarstwach, które stworzyły ogniska konfliktu, przyczyniając się do rozbudowy Japonii i zupełnego osłabienia Chin.

Z takiej perspektywy staną się ostatnie wydarzenia w Tien-tsinie i Swatow punktami orientacyjnymi dla wniosków na przyszłość. Bowiem ustawianie tych wydarzeń na wyłącznej płaszczyźnie „grzywkii mocarstw osi z państwami „frontu pokoju“ i z nich koniunkturalnej „przygody“ politycznej jest nie oświetleniem, ale zaciemnieniem sytuacji. (S).

FRANÇOIS MAURIAC

MARSJAS CZYLI ŁASKA

W to popołudnie martwe, gdy blask płomienisty
Panuje — o Marsjasie, zeuloku uroczy,
Przez Boga zazdrosnego torturom poddany,
Sosną tu zdajesz mi się, która cięciem broczy:
To twoja krew ma zapach jej żywicy czyste
I čma się przylepiła nocna do twej rany.
Landy, których nie zgasi nieba potop żaden.
Nieskończenie wolać świerszczy wszystkich chórem.
A znojne słońce wznieca z tej ziemi ponurej
Miodno-skwarną woń, którą dymią wrzosa blade.
Lecz to, co ty pochłaniasz — młody pędzie człeczny —
To miłość Boga Twego sroższa nad nienuwiść.
Twardy mistrz kocha ciała, które boleść zenie.
Pocałunki ma z ognia — wybór jego piecze.
Lecz w wino zmienił wodę, a w radość — cierpienie;
Za wybór żarnom trącym ziarno błogosławi.
I Marsjas, w łupie pszczołom przeznaczone ciało, —
W śpiżowe niebo śmieje się wargą omdlałą.

W przekładzie Hieronima Michalskiego

Przegląd polityczny

Rachunek sił

W poprzednim numerze dokonaliśmy rzutu oka na całokształt aktualnej sytuacji politycznej, której najbardziej charakterystycznym elementem jest pojedynek dyplomatyczny angielsko-niemiecki. Warto zatrzymać się chwilę przy dotychczasowych rezultatach tego pojedynku, które propaganda niemiecka przy każdej okazji stara się przedstawić, jako niepomysłne dla Anglii.

Obiektywna analiza sytuacji nie potwierdza tych tendencyjnych komentarzy. Energiczna akcja Londynu, który w odpowiedzi na niemieckie dążenia do zdoływania i rozszerzania „Lebensraumu” rozpoczął montowanie solidarnego frontu państw, zdecydowanych przeciwstawić się agresji — wykazała się może niewątpliwymi sukcesami. Obok pełnej solidarności polityczno-wojskowej między Anglią a Francją, powstał nowy doniosły czynnik pokoju i równowagi europejskiej w postaci sojuszu polsko-angielskiego. Dalszymi ważkimi ogniwami tworzenia „Frontu pokoju” stał się sojusz angielsko-turecki oraz gwarancje, udzielone Rumunii i Grecji. A jeśli rokowania angielsko-sowieckie nie zakończyły się tak szybko, jak tego początkowo oczekiwano, to jednak trudno uważać to za sukces Berlina, czy tym bardziej za jakąś zasadniczą lukę w stworzonym systemie przeciwnapastniczym. Nie tylko dlatego, że przeciąganie się rokowań nie jest równoznaczne z ich rozbitciem, ale przede wszystkim z tego względu, że ostatecznie udział Rosji Sowieckiej we „froncie pokoju” nie jest bynajmniej niezbędny.

Natomiast gorączkowa kontrakcja Berlina, zmierzająca do sparaliżowania akcji brytyjskiej i związania jak największej ilości państw z Niemcami, względnie z „osią” — przyniosła Rzeszy wiele rozczarowań, nie przyczyniając się do realnego wzmocnienia jej pozycji. Nawet partnerzy paktu antykominternowskiego, Hiszpania i Węgry, zupełnie nie zdradzają ochoty do sprzymierzenia się z Niemcami. Państwa bałtyckie nie posunęły się ani na krok poza linię poprzednio deklarowanej neutralności, na terenie państw skandynawskich wysiłki Niemiec wyraźnie spaliły na panewce, przynosząc jedynie dość przykrą prestiżowo porażkę. Podobnie nie udały się usiłowania, zmierzające do rozbitcia Ententy Bałkańskiej, najbardziej zagrożona Jugosławia opiera się stanowczo związaniu z Berlinem, podtrzymując współpracę z pozostałymi partnerami Ententy, t. j. sojuszniczą Rumunią, Grecją i Turcją.

Cały ten łańcuch nie świadczy o sukcesach Rzeszy. W uczciwym rachunku sił saldo ostatnich czasów nie kształtuje się dla Niemiec dodatnio.

Układ francusko-turecki

Zawarcie układu o wzajemnej pomocy między Francją i Turcją jest kolejnym etapem wzmocnienia „frontu pokoju”. Dojście do skutku tego układu było o tyle trudniejsze od analogicznego, wcześniej podpisanego paktu angielsko-tureckiego, że w grę wchodziła tu jeszcze zastarzala sprawa sporu terytorialnego o sandżak Aleksandretty. Francja zdecydowała się ostatecznie przekazać sandżak Turcji, aby usunąć jedyną płaszczyznę tarć między obu państwami i wskrzesić atmosferę zaufania i współpracy, jaka cechowała stosunki francusko-tureckie przez długi okres dziejów.

Sojusz francusko-turecki, podobnie jak angielsko-turecki, gwarantuje obu stronom natychmiastową pomoc na wypadek agresji, stanowiąc

bez wątpienia cenny i doniosły element w układzie sił na arenie międzynarodowej. Zawarte porozumienie bardzo poważnie wzmacnia pozycję Anglii i Francji we wschodniej części Morza Śródziemnego i na wypadek wojny zapewniają flotom tych państw swobodny wstęp na Morze Czarne, jak wiadomo bowiem, jedyne wejście na to morze — cieśnina Dardaneelska znajduje się w posiadaniu Turcji i jest odpowiednio ufortyfikowana. Nie trzeba udawać, jak wielkie znaczenie ma to także dla Polski i Rumunii, choćby ze względu na ewent. transporty wojenne.

Układy między Francją a Anglią a Turcją mają też doniosłe znaczenie dla sytuacji na Bałkanach. Zapowiedziano zresztą zawarcie specjalnego, dodatkowego porozumienia angielsko-francusko-tureckiego, którego celem będzie utrzymanie na Bałkanach obecnej równowagi, zagrożonej ekspansją mocarstw „osi”.

Isolacja i interwencja

Wizyta angielskiej pary królewskiej w Stanach Zjednoczonych stała się potężną manifestacją przyjaźni angielsko-amerykańskiej, jest to tym bardziej godne podkreślenia, że stosunki między Wielką Brytanią a jej dawną kolonią, choć poprawne — nigdy nie były specjalnie serdeczne, mimo że Anglia złożyła niemało ofiar na ołtarzu współpracy z Ameryką. Wiele czynników wpłynęło na to, że ustąpiły dawne uprzedzenia i niechęci. Nie należy jednak wyciągać z tego zbyt daleko idących wniosków i oczekiwać dalej posuniętej współpracy politycznej Stanów Zjednoczonych z Imperium Brytyjskim, szczególnie zaś

łatwego zaangażowania się Stanów na kontynencie europejskim.

W Ameryce zawsze silne były tendencje izolacjonistyczne. Nie zapomniano tu testamentu Waszyngtona, który w swej pożegnalnej mowie do kongresu zalecał trzymanie się z dala od spraw i konfliktów Europy. Postępowanie III-ej Rzeszy wywołało jednak nie tylko wzrost zainteresowania sprawami europejskimi, ale też wyraźne zaangażowanie się uczuciowe amerykańskiej opinii publicznej, oczywiście w sposób dla Niemiec wybitnie nieprzyjazny. Szereg wystąpień czynników rządowych z prezydentem Rooseveltem na czele wychodziło poza tradycyjne ramy izolacjonizmu nierazkiedy dając wyraz przekonaniu, że nawet ocean nie chroni już w tym stopniu, co poprzednio przed agresją. Zapowiadano zmianę nastawy o neutralności U. S. A., naturalnie nie w sensie wyrażnie interwencyjnym, niemniej jednak dowodzącym ewolucji w tym właśnie kierunku.

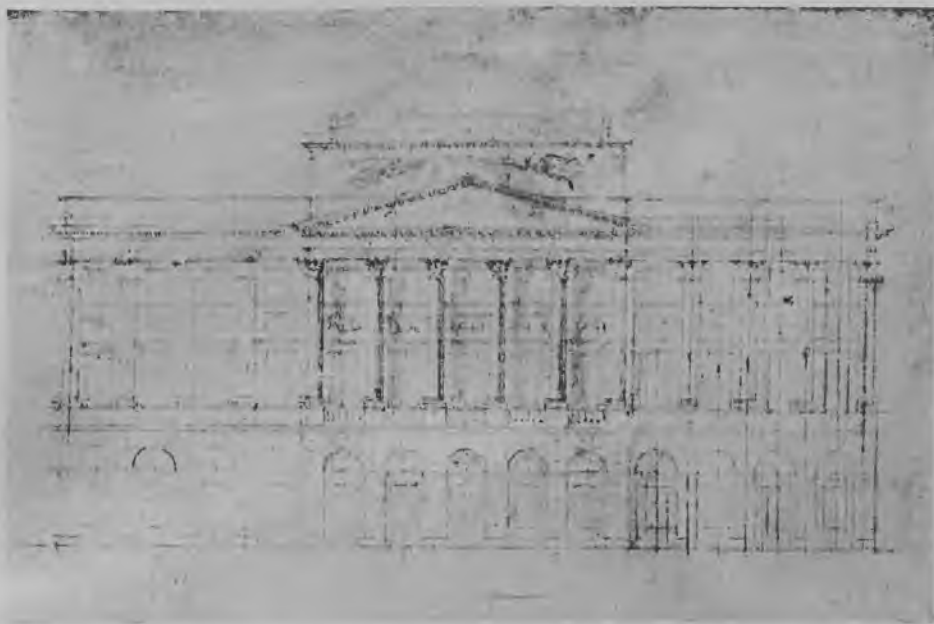
Ciekawe, że w ostatnim czasie zaobserwowano pewien wzrost tendencji izolacjonistycznych. Rzecz prosta, powodem tego nie jest bynajmniej zmiana nastawienia III-ej Rzeszy, które nadal pozostaje zdecydowanie nieprzyjazne. Występuje tu raczej tendencja do skoncentrowania się Stanów Zjednoczonych na zagadnieniach półkuli zachodniej, która to polityka przyniosła zresztą Stanom niewątpliwe sukcesy i to właśnie w nieodległej stosunkowo przeszłości.

W chwili obecnej przedwczesne i nader ryzykowne byłoby przesądzanie linii postępowania Stanów Zjednoczonych na przyszłość. Należy tylko zwrócić uwagę zarówno na dokonywujące się tam przemiany, jak i tradycyjne nastroje, aby przez zbytne uproszczenie nie dojść do fałszywego przekonania na podstawie choćby tak potężnych manifestacji, jak owej pary monarszej Imperium Brytyjskiego.



Józef Pankiewicz

Martwa natura z ceramiką



Aiguera projekt fasady pałacu Staszica

(Cabinet rycin Biblioteki Narodowej J. P.)

Z PRZESZŁOŚCI PAŁACU STASZICA

Nazwę pałacu Staszica nosi dawna siedziba Towarzystwa Przyjaciół Nauk, mieszcząca dziś w swych murach T-wo Naukowe Warszawskie, Kasę imienia Miąnowskiego i kilka innych instytucji i zakładów naukowych.

Przeszłość jak i teraźniejszość pałacu Staszica nie jest dzisiaj nawet dla szerokiego ogółu w ogólnych zarysach żadną tajemnicą. Dzieciom Towarzystwa Przyjaciół Nauk poświęcił ośmiotomową monografię Kraushar. Powtórnie skreślił je R. Przelaskowski w wydawnictwie jubileuszowym, wydanym w 25-lecie istnienia T-wa Naukowego Warszawskiego (Towarzystwo Naukowe Warszawskie. W-wa 1932). Pracom kierowniczym Staszica jako prezesa w T-wie Przyjaciół Nauk poświęcony jest osobny artykuł Fr. Bielaka w zbiorowej księdze wydanej w Lublinie pod redakcją Zygmunta Kukulskiego (Stanisław Staszic 1755 — 1826... Lublin 1928).

W ogólnych zarysach jest również wiadome, jakie były losy pałacu Staszica po skasowaniu T-wa Przyjaciół Nauk. Mieścił w sobie Dyрекcję Loterii, Akademię Medyko-chirurgiczną, chwilowo Szkołę Główną Warszawską, wreszcie rosyjskie gimnazjum. Kilkakrotnie przerabiany został gruntownie przebudowany w r. 1894 tak wewnątrz, jak zewnątrz w jaskrawym bizantyjskim stylu, a w r. 1926 odrestaurowany przez prof. Lalewicza — jednak nie przywrócony do dawnego kształtu ani pod względem planu, ani nawet wyglądu zewnętrznego, na co złożył się cały szereg poważnych przyczyn a przede wszystkim to, że gmach kilkakrotnie przebudowywany nie jest już pierwotnym pałacem Staszica. Powstanie tego gmachu związane jest z przemianowaniem w początkach Królestwa Kongresowego założonego w r. 1800 Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Królewskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Wzbożone zbiorami gen. Henryka Dąbrowskiego i Józefa Sierakowskiego, których charakter muzealny wymagał większego pomieszczenia, dzięki staraniom prezesa Staszica i jego poparciu finansowemu, sprzedało dotychczasową siedzibę na Kanonii kosztem Staszica wzniesioną i uzyskało od rządu plac po rozebranym kościele i klasztorze Dominikanów Obserwantów, wzniesionym w r. 1668 jako votum dziękczynne po szwedzkim potopie.

Nowy gmach zaprojektował sprowadzony przez Staszica do Polski w r. 1818 włoski Antoni Corazzi, który w czasie ćwierćwiekowej swej w Warszawie działalności ozdobił ją szeregiem wspaniałych gmachów, jak Komisja Przychodów i Skarbu i obok pałac Dyrektora (dziś

Min. Skarbu), sąsiadujący z nimi Bank Polski (dziś Urząd długów Państwa), Teatr Wielki, dom na placu Teatralnym przy zbiegu Bielańskiej i Senatorskiej, pałac arcybiskupa Hołowcyca na Nowym Świecie (nr. 35 — gdzie dziś księgarnia Arcta i cukiernia Blińskiego) i wiele innych. Działalność Corazziego, przypadająca na trzecią fazę polskiego klasycyzmu, współczesną Królestwu Kongresowemu i latom najbliższym, stworzyła w Warszawie typ, dotychczas w Polsce nieznany, nazwany przez prof. Tatarkiewicza klasycyzmem romantycznym (vide: Tatarkiewicz WŁ. Pałac Staszica a klasycyzm w Polsce. Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. XXV. 1932). Klasycyzm to ideal ład i doskonałości plastycznej i w tym leży jego siła atrakcyjna. Warszawa w momencie przybycia Corazziego miała już swój dorobek w klasycyzmie tak w budowach monumentalnych, jak i prywatnych — dorobek, do którego ciężko się było dobić obok stylu Stanisława Augusta, klasycyzmu bardziej z imienia, niż z tendencji i rezultatów. Klasycyzm ówczesny warszawski, reprezentowany przez Kubickiego i Aignera, był prosty i nieozdobny, poważny i spokojny, o wydłużonych fasadach równomiernie rozczłonkowanych. Przyniesiony przez Corazziego klasycyzm romantyczny miał w sobie polot, śmiałość i skłonność do wielkiej skali. Corazzi w późniejszych swoich budowach wykazał umiłowanie wielkiej skali i umiejętność operowania masami murów, „które naprzemian z kolumnadami w występach i uskokach tworzyły wielkie bloki naprzemian ciężkie i ażurowe“. Pałac Staszica był pierwszą — po niewielkim domu T-wa Dobroczyńności — budowlą Corazziego w Warszawie. Wedle opinii specjalistów pałac Staszica jest dziełem słabym i nie oryginalnym. Prof. Tatarkiewicz przypuszcza, że prototypem



S. STASZIC



Sala posiedzeń dawnego pałacu Staszica (nie istniejąca)

był pałac Madama w Turynie, budowany przez Juvarę w początku XVIII wieku. Dyr. Lauterbach wskazuje na pałac Carciottich w Tryeście.

Fakt to bardzo charakterystyczny dla naszej historii sztuki, że projekt Corazziego natrafił w Towarzystwie Przyjaciół Nauk na opozycję w osobach Stanisława Kostki Potockiego ministra oświecenia i Aignera, podówczas architekta rządowego. Aigner sporządził swój projekt fasady pałacu i przedstawił go Stanisławowi Kostce Potockiemu. Projekt ten zachował się w wyblakłym szkicowym rysunku w zbiorach Biblioteki Narodowej J. P. Rysunek jest zatytułowany „Myśl czola domu Towarzystwa Król. Przyjaciół Nauk w Warszawie”. Projekt ten sporządzony z uwzględnieniem już wzniesionych murów różni się znacznie od fasady Corazziego. Corazzi jedenastoosiową fasadę podzielił czterema ryzalitami na trzy części. Środkowa ujęta w pary pełnych kolumn ukoronowana została nadbudową z oknem półokrągłym i smukłą niewielką kopułą. Skrajne boki fasady flankowane były skromniejszymi ryzalitami.

Fasada Corazziego miała za zadanie

w budynku o przewadze faktury poziomej stworzyć moment i złudzenie pędu do góry. Zaznaczony ryzalitami podział pionowy, mała, smukła a przez to lotna kopuła to efekty natury dynamicznej, rozsadzającej spokojną samą przez się bryłę budynku. I trudno się dziwić Corazziemu, że w perspektywie ulicy, w sąsiedztwie przytłaczającego pionami dwóch wież kościoła św. Krzyża nie chciał projektować fasady poważnej i spokojnej o przewadze momentu poziomego.

Fasada pomysłu Aignera przewidywała płaską ścianę bez żadnych ryzalitów ze spokojnym szerokim, sześciokolumnowym portykiem. Półokrągłe okno w nadbudowie partii środkowej miało być znacznie powiększone, kopuła miała być duża i płaska, ciężko leżąca na budowlu.

Zapewne dzięki poparciu Staszica projekt Corazziego utrzymał się i został zrealizowany. Jesienią 1823 roku Towarzystwo przeniosło się do nowej siedziby, która wewnątrz zupełnie inaczej, niż dzisiaj wyglądała. Na parterze środkiem gmachu biegł dość wąski korytarz, z którego na prawo w głębi oddzielone kolum-

nami prowadziły na górę szerokie schody w półokrąg zatoczone. Na piętrze wprost ze schodów wchodziło się do wielkiej sali posiedzeń z oknami od dziedzińca, czyli od tyłu gmachu — na lewo do trzech sal bibliotecznych, sytuowanych w części gmachu od strony Nowego Świata. Środek gmachu od frontu zajmowała sala na zbiory mineralogiczne a za nią, od strony dzisiejszej ulicy Kopernika, Muzeum Dąbrowskiego, składające się z dwóch sal i gabinetu rękopisów. Oryginalne plany Corazziego przedstawiające ten rozkład, publikował przy swym artykule o budowie, przebudowie i odbudowie pałacu Staszica prof. Lalewicz w wspomnianym wydawnictwie jubileuszowym T-wa Naukowego Warszawskiego. W roku 1926 przy odbudowie fasady z całego szeregu względów tak użytkowych, jak estetycznych nie odworowano ściśle dawnej fasady Corazziego. Półokrągłe górne okno pod kopułą zostało znacznie powiększone, kopułę dano dużą i płaską, ryzalitów na skrajnych bokach gmachu nie przywrócono, arkady parteru półwyższono. Rzecz charakterystyczna, że te zmiany nawiązują do owej z przed lat stu przeszło korekty, którą projektowi Corazziego chcieli dać Potocki i Aigner. Zagadnienie dania pałacowi Staszica fasady klasycznej czystej, czy klasycznej romantycznej po latach przeszło stu odżyło i znalazło swój wyraz w odbudowie Lalewicza. Wydobły dzisiaj z zapomnienia wyblakły szkic Aignera świadczy o tym wyraźnie.

Fakt zaś, że za poparciem Staszica pierwotnie utrzymał się projekt Corazziego mimo opozycji znawców, każe nam raz jeszcze w innym świetle patrzeć na tę wybitną postać. Staszic, torując drogę Corazziemu, torował drogę najpiękniejszym przykładom naszego klasycyzmu — klasycyzmu romantycznego, który się począł na fasadzie pałacu Staszica.

Z y g m u n t M a n n

Pałac Staszica przed przebudową



M N E M E¹⁾

Nagła zmienność tonu i treści pism włoskich w stosunku do Polski, błyskawiczne przejście stylistyczne od hymnu i ody na cześć naszej Ojczyzny do najbrutalniejszego paszkwilu przypomina mi pewne momenty z moich podróży kiedyś po „Słodkiej Italii“.

Pewnego bardzo upalnego lata w towarzystwie swojej Najwyższej Władzy (czytaj — małżonki slubiej), którą inspektor szkół prywatnych stol. m. Warszawy p. Sawienków klasyfikował jako „italiańskowo proischoźdzenia“, jechałem z Werony (ojczyzny Jej dziadów) do Mediolanu w samotnym i dusznym przedziale klasy drugiej. Na którejś tam stacji w okolicy jezior włoskich wsiada do naszego przedziału wysoki, piękny bardzo pan, o złotych włosach lombardyjska i nadzwyczaj eleganckiej powierzchowności (— „Ach! coż za piękny Włoszek!“ —) uprzejmie zapytujący po francusku, czy nie zrobi nam różnicy swoim towarzystwem. Usłyszałam przed chwilą komplement w obcym mi — wydawało by się — języku wywołuje dyskretny uśmiech twarzy i jednocześnie grzeczne zapytanie — „państwo zapewne Polacy z Warszawy?“ — Szybko zawiązuje się przyjemna rozmowa i zapytanie z naszej strony, skądże Szanowny Pan zna gwarę i mowę naszą? Tu następuje w zabawnej zawsze wymowie przez Włochów języka współczesnych Gallów odpowiedź, że „Polska jest Jego drugą Ojczyzną“. Przedstawiamy się sobie. Nasz miły towarzysz podróży to *advokat Andrea Bertuletti z Mediolanu* — wank w linii macierzystej pułkownika Nullo, który jest dlań ideałem życia. Mecenasa wymawia wyraźnie „Ol-kusz“ — „Krzykawka“, zna doskonale historię nie tylko powstań polskich, ale i całej Polski, wymawia zupełnie nieźle całe zdania po polsku, jest w polonologii zorientowany znakomicie. Dzięki niemu trzy dni pobytu w grodzie Leonarda da Vinci spędziłem pożytecznie dla mojej osobistej kultury, obejrzałem wszystko, co było do zobaczenia, miałem nieprzyjemną rozmowę z jakimś Szkotem, który przed „Ostatnią Wieczerzą“ w refektarzu klasztoru Santa Maria della Salute żarł sandwiche, wprowadziłem małżonkę na sam szczyt wieży Katedry Mediolańskiej, aby obejrzała Italję swych ojców z obłoków i zawarłem z kochanym Mecenasem serdeczną znajomość, która trwała lat kilkanaście... On mi przysyłał wszystkie wydawnictwa o historii swego rodzinnego miasta Bergamo i Bergamasków, którzy poszli z Nullem do Polski (odnosiłem to wszystko chrześnemu Tacie prof. Tadeuszowi Korzonowi do jego biblioteki) ja mu posyłałem wszystko, co mi radził posyłać tenże zacny Tato. Przed wojną korespondencja nasza urwała się zupełnie. Nie słyszałem, aby był na poświęceniu, czy odsłonięciu pomnika swego dziada w Warszawie.

Przypominam sobie dziś jak Bertuletti charakteryzował swoich rodaków, przedstawiając ich jak gdyby mojej żonie, któ-

rej chciał poruszyć Jej krew włoską. Namienność i wybuchowość w rozmowach i dyskusjach, zamiłowanie do wrzasku przy tym i pantominy gestykulacyjnej tłumaczył nam nie tylko gorącym temperamentem południa, ale i nadmierną wrażliwością swych rodaków na nowinki przy jednoczesnej zmienności usposobień. Rzeczywiście — sprawa Trypolisu rozpalala wtedy lombardów nie do czerwoności, a do białego syczenia rozpalonego żelaza Plac między Katedrą a Pasażem Wiktora Emanuela robił wrażenie podwórka w źle prowadzonym szpitalu wariatów. Nie śpiewano a ryczano pieśń „A Tripoli!“ z jakąś płaswicą, bo nie z marszem wojskowym: rozmowy w enklawach i restauracjach robiły wrażenie, że ci panowie za chwilę wezmą się do „mordoboju“ a to była tylko wymiana wzajemności patriotycznej. Jednocześnie manifestacje robotnicze na innych placach były rozpędzane przez drobne oddziały wojskowe, przy czym robotnicze jak się nagle, jak z pod ziemi, zbierali, tak i piorunem, na galopa rozbiegali zaraz po pierwszym głosie ostrzegającym trąbki wojskowej. Podziwiałem niesłychaną szybkość ruchów i odruchów. O zmienności poglądów politycznych włoskich przekonała nas chyba dostatecznie wielka wojna. O zdolnościach ich ruchowych i odruchowych — wzięcie do niewoli na placu boju jednym zamachem dwustutysięcznej armii italskiej przez dzisiejszych sprzymierzeńców jej serdecznych i oddanych. Podobno to była nawet osobliwość pod względem strategicznym. Właściwie to od paru stuleci Italia ciągle zbiera się do kupy, czy w kupę. Trudno sobie przecież wyobrazić większe rozproszkowanie i rozczłonkowanie nad te, które przechodziła ona w średniowieczu. Zaczął ją zbierać rzetelnie Garibaldi, — dokończył definitywnie Mussolini, i czy się komu ze względów jego politycznych zapatrywał to podoba, czy nie podoba, trzeba przyznać, że związał Włochy całę mocno i sumiennie. Widocznie faszyzm dla kraju tego zubożałego przez wojny i wieczne rozterki terytorialne, cierpiącego mocno na zbyt mocne przeladowanie kulturą, historią, noblesą zarystokratyzowania duchowego, był jednak związkiem demokratyzującym ten antykwariat i muzeum sztuki, jednoczącym wszystkie tęsknoty następców rodu wilczych w jakąś ideę struktury dawnego imperium. A że powodzenie w poczynaniach zawsze psuje grzesznego człowieka, więc oczywiście w nasze czasy jako dodatek do sztywniejącego w swym szkieletcie uporu i mocy zapaśniczej faszyzmu przybyła zarozumiałość i pycha. Zmienność italska dla przyjaciół jest przysłowiowa. Jak to o nich mówił Fryderyk Wielki? Ktoś nie chciał dogodzić nowemu sprzymierzeńcowi (ho przecież nie przyjacielowi) w jego „subtelnych dezcyderatach“ — stąd więc luzia na niego! Przypomnieć należy, że wspiera, reżyseruje i kieruje tą naganką tentoński przyjaciel czy sprzymierzeniec i że trwać zbyt długo ona nie będzie, ponieważ namienność zmienności nie opuści naszych italskich przyjaciół tak prędko.

Ten apeniński posesor musi się naprzeklinać soczyście i mistycznie, nawrzeszczać, naujadać, popluć się na gębie, natupać — żeby — nagle uspokoiwszy się (ze zmniejszenia furii) *nagle* obejrzać się w okolo i po za siebie i *nagle* wpaść odwrotną drogą w rozczulenie do wczorajszych wrogów. U niego to wszystko możliwe. Tylko trzeba mu coś dać na uspokojenie nerwów jakiej waleriany, czy kropli laurowych („Gdzie buja laur i cyprys cicho stoi...“), no i dobrą dawkę na przeczyszczenie złego trawienia. Myślę, że się tym zajmą najbliżsi kuzyni — Francuzi z całą finezją swej wersalskiej kultury, a my nie przejmujemy się tym nielomaganiem italskim, zachowując szczerze i silnie pamięć dobrych dni wspólnych i pięknych. Możemy im zresztą i nasobaczyć osobiście, detalicznie i genetycznie, ale do słuchu uczciwie i po bratersku. Np. „Te! słuchajno łobuz, bo ci co wypomnę!“ — Włoszek moralów nie lubi, ale jako dobry matematyk i jeszcze lepszy fizyk, mie-wa ocknienia do logiki. Trzeba taką chwilę upolować, bo dziś są natchnieni pijak-co do „mare nostrum“ i „imperium“.

Wszyscy, co bywali w Weronie przed wojną, pamiętają zapewne „gidę“ (przewodnika po mieście) Polaka, dyżurującego stale w oczekiwaniu na rodaków i słowian przed hotelem „pod dwoma gołębiami“ (Due Colombe). Jak on świetnie i inteligentnie umiał to miasto-kameę pokazywać! Wiedział nie tylko o Weronczach — malarzach i rzeźbiarzach, ale i o krajoznawcach i geografach z Werony — Witruwiuszu i Polibiuszu, znał historię świetnie zachowanego cyrku i kościoła przy nim, w którym kiedyś było „spoliarium“ (Morga dla pomordowanych chrześcijan), śmiał się z legendy o Romcu i Julii, opowiadał anekdoty napoleońskie itd. Cuda ten uciekinier z pod stryczka, rewolucjonista z południa Rosji, dostał tu przyjęcie serdeczne, prawa obywatelskie i pracę. Zapytałem go, skąd wziął te wszystkie detaliczne wiadomości o Weronie, myślałem, że się nauczył z Baedekera... „Nie, proszę pana, sam Syndyk miasta (prezydent) mnie tego osobiście uczył, abym miał z czym żyć i czym zarabiać; on mnie nawet zawsze broni przed innymi gidami, co mi zazdroszczą zarobków“... Oczywiście, Syndyk robił to nie tylko z romantyzmu italskiego, ale i z dobrze zrozumianego interesu miasta, w którym Polacy i Rosjanie czuli się przez tego gidę „co najmniej jak u siebie“. Ale jakby to wyglądało, gdyby po świętościach i świątnicach Wawelu, Gniezna, Warszawy wprowadzał redaktora Virginia Gajdę — „Fra Andrea di Verona“ — opowiadając mu polską prawdę ze znakiem Chrystusa, i co by na to mówiły różne mniejszości narodowe?

Kiedyś, znacznie wcześniej, gdyśmy z bratem byli jeszcze studentami, gdzieś na jakiejś malej stacyjce w okolicach Lago Maggiore zmuszeni do oczekiwania na pociąg taniusz, zostaliśmy zaczepieni przez Capo Stazione.

Z jakimś wzruszeniem przysłuchiwał się on naszej braterskiej „dyspacji“ o wyborze drogi przez Alpy do Szwajcarii. potem powiedział „dzeńdobra — panowie“, wreszcie przyznał się, że był kiedyś Po-

(dokończenie na str. 527)

¹⁾ Por. „Tyg. Illustr.“ Nr. 5 — 25.



Sultan Marokka z synem wychodzi z meczetu paryskiego między szeregami swych poddanych



W dn. 23 b. m. Pan Prezydent Rzplitej dokona zdjeciu Pan Prezydent Rzplitej w towarzystwie w głębi p. wicepremier Kwia

Z POLSKI I

Marszałek Śmigły-Rydz przyjął w ub. tygodniu

Angielska para królewska powróciła do Londynu z podróży do Ameryki





W Mece, Arabowie w czasie pielgrzymki z meczetem porytych wiozący wozami pielgrzymów.



W dn. 23 b. m. Pan Prezydent Ripbliej dokonał otwarcia nowego gmachu chemii U. S. P. Na zdjęciu Pan Prezydent Ripbliej w towarzystwie prof. Jankowskiego z siedziby Laboratorium. W górze go wita profesor Jankowski i pan Sprowolski.



W Alpach szef biura historyi wojny obserwuje, jak samolot w chwili rozpoczęcia polobczy do powrotu kieruje się.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA

Angielska para królewska powróciła do Londynu z podróży do Ameryki



Nowozeloc Śmigły Rydy przysięgł w ul. 1200000 wycieczkę pafikowej zbrojny zagradowej



Wawerszycyca przemoj Fremontowej Szkoły, Szkoły jedynej imiętowania i szkole w krasowyczymi pamiątkami





*otwarcia nowego gmachu chemii U. J. P. Na
ie prof. Jabłczyńskiego zwiędza laboratoria,
kowski i min. Świętosławski*

ZE ŚWIATA



*W Alpach odbył się lotniczy wyścig sztafetowy; oto samolot w chwili
zrzucania paleczki na punkcie kontrolnym*

iu wycieczkę polskiej szlachty zagrodowej



*Stowarzyszenie uczniów Francuskiej Szkoły Morskiej podczas świątecznego obchodu,
w historycznych miedurach*



MUZEUM NORDYCKIE W SZTOKHOLMIE

Sztokholm, to największe z miast Skandynawii i najwspanialsze z jej stolic, dla malowniczego położenia na wyspach i na wybrzeżach cieśnin łączących jezioro Mällar z Bałtykiem, zwane często „Wenecją Północy”, posiada obok rozlicznych skarbów architektury i pomników sztuki ogółem 25 wspaniałych muzeów i galerii sztuki. Cała bogata przeszłość Szwecji, jej kultura, sztuka, cały jej odwieczny dorobek we wszystkich dziedzinach życia, nieuszczerplone przez zawieruchy wojenne, których ziemia szwedzka prawie nie zaznała, znalazły dziś godne pomieszczenie w muzealnych gablotach, stając się jakby żywą ilustracją dziejów i kultury ludów nordyckich.

Z tej plejady muzealnych zbiorów szczególnie jedno muzeum sztokholmskie zwiedzającemu je, a zwłaszcza Polakowi, pozostaje na długo w pamięci. Jest nim Muzeum Nordyckie, wznoszące się prawie u wejścia do sławnego Skansenu, tego jedynego w swoim rodzaju największego na świecie muzeum etnograficznego pod gołym niebem, na wyspie.

Muzeum Nordyckie „gromadzi najszacowniejsze pamiątki historyczne i kulturalne szwedzkiego narodu”; ale te suche słowa, zaczerpnięte z przewodnika po Sztokholmie, nie jeszcze konkretnego nam nie mówią. Trzeba samemu zobaczyć to muzeum o tak charakterystycznej nazwie.

Z centrum miasta udajemy się ku Skansenowi długim bulwarem, przy którym kołysz się na zielonkawych falach zatoki niezliczone kutry, żaglowce, jachty i motorówki spacerowe, przechodzimy długi most łączący Skansen z bulwarami i oto wyrasta przed oczami potężny, szary gotycki budynek, najeżony wieżycami o dachu i ścianach pełnych załamań, gzymsów i występów. Ten olbrzymi, trzypiętrowy gmach o surowych kamiennych murach, podobny raczej do wspaniałej świątyni, to jest właśnie „Nordyckie Muzeum”.

Przed głównym wejściem wznosi się na białym marmurowym cokole spiżowy, konny posąg jakiegoś króla czy wodza, potężnej figury w stroju rajtarskim, z bu-

ławą w wyciągniętej prawicy. Zbliży się i odczytajmy napis wryty na cokole...

Ależ to stary nasz znajomy — Karolus Gustavus z sienkiewiczowskiego „Potopu”, dumny Karol X Gustaw, ks. Dwu Mostów, omal nie zupełny zdobywca Polski i samozwańczy jej król. Na cokole wryto daty i nazwy zwycięskich bitew, stoczonych przez niego. Na naczelnym miejscu widnieje napis *Warschau 1656*, a dalej z trzech kolumn nazw bitew mówiących o wiktoriach szwedzkich wskrzesza wizja długich wojen szwedzkich.

Wejdźmy do wnętrza muzeum. W wielkim holu, podobnym raczej do kaplicy, wznosi się olbrzymia, dziesięciometrowa postać pierwszego szwedzkiego króla Gustawa Eriksena Wazy, który na początku XVI w. wyzwolił w powstaniu naród szwedzki z pod panowania Danji i obwołany królem założył pierwsze podwaliny pod późniejszą potęgę Szwecji. Olbrzymi ten posąg wyrzeźbiony w ostatnich latach w drzewie, a następnie malowany, posiada w głowie kawał drzewa z dębu, pod którym kiedyś za życia król ten często wypoczywał.

Olbrzymia sala parterowa, długości ok. 100 metrów, mieści najcenniejsze pamiątki historyczne. Przed oczyma zwiedzającego przesuwają się średniowieczne zbroje, między nimi i złota zbroja króla Gustawa Eriksena, dalej kilka kompletów pancerzy dla koni rycerskich, wśród których jest najstarszy z zachowanych średniowiecznych pancerzy. Podobno kolekcjonerzy amerykańscy ofiarowywali za niego bez skutku wprost bajońskie sumy. Dalej zbroje rajtarii i sławnej piechoty szwedzkiej z doby trzydziestoletniej wojny. U stropu zwisają rzędy zdobycznych chorągwi, przeważnie niemieckich i duńskich, ale są i polskie — poszarpane kulami, wyblakłe, z białymi orłami i litewskimi pogoniami; niemi świadkowie bitew ze szwedzkim potopem.

Na honorowym miejscu tego skrzydła sali stoi w oszklonej gablocie dość nieudolnie wypchany kary koń ze wspaniałym rzędem suto tkanym srebrem. Obok dwie płaskie gabloty. W jednej koronkowa koszula pełna rdzawych plam wokół



Uniform młodocianego „Lwa Północy”, króla Karola XII

dwu otworów, jakby od kuli, na piersiach, w drugiej wisi rozpartaty losiowy kaftan też pełen plam jakby krwi, z podobnymi jakby od kul otworami. To pamiątki po poległym w zwycięskiej, ale okupionej śmiercią króla bitwie pod Lützen w 1632 r. Gustawie Adolfie, pogromcy Niemiec. Jego rumak, z którego dowodził i na którym, zapędziwszy się w szeregi wroga, poległ przeszyty kulami, po bitwie wrócił sam do szwedzkiego obozu jak zwiastun łobowej wieści, po powrocie do Szwecji został wypchany i obecnie stoi tu w muzealnej gablocie. Ciało królewskie, zwrócone po kilku dniach Szwedom, przewieziono do ojczyzny, a skrwawioną odzież zachowano jako narodową relikwię po wojowniczym królu.

I znowu przesuwają się przed oczyma zbroje, mundury, stopy broni własnej i zdobytej w zaborczych wojnach na kontynencie europejskim. W oko wpadają gabloty pełne pasów słuckich, siodeł polskich, krytych złotogłowiem, stopy karabel, tatarskich luków i kołczanów i wschodniej inkrustowanej kością i perłową macicą broni. To zdobycze na Polsce — znowu „naoczni świadkowie” „Potopu”.

Ale dalej coraz to nowe wrażenia. W gablotach pyszną się bogactwem koronacyjnie stroje władców Szwecji, a obok znajdują pomieszczenie cacka i drobiazgi, których za życia dany król używał i tak w chronologicznym porządku zbliża się zwiedzający do coraz nowszych czasów.

Ale cóż to za skromny uniform: roz-wieszony na stojaku w osobnej gablocie? Trójkątny czarny stosowany kapelusz, granatowy surdut ze złotymi guzikami, przepasany szerokim pasem ze szpadą, okrywa biały losiowy kaftan. Wysokie,

Losiowy kaftan króla Gustawa Adolfa, który król ten miał na sobie w chwili swej śmierci w bitwie pod Lützen w r. 1632



sięgające poza kolana skórzane buty z kwadratowymi nosami ozdabiają potężne ostrogi. To uniform „Iwa północy“ króla Karola XII, bohatera drugiego najazdu szwedzkiego na Polskę w początkach XVIII wieku i nieszczęsnej Wojny Północnej z Rosją. Skromny, żołnierski ten mundur pozbawiony ozdób i złocień, mógłby wiele powiedzieć, gdyby umiał mówić o osobie młodego, pełnego odwagi i zapалу wodza, którego serce biło przed przeszło dwustu laty pod losiowym kaftanem i granatowym sukniem surduta.

I znów nowsze czasy przemawiają do nas z gablot. W jednej z nich pyszni się złoceniami wspaniałe mundur Bernadotte'a, marszałka Francji, który z rąk Napoleona I otrzymał koronę szwedzką i założył dziś panującą dynastię. Niestety, wśród olbrzymiej ilości zabytkowych eksponatów, opatrzonych dokładnymi objaśnieniami w języku szwedzkim i niemieckim wraz z nazwiskiem, mało nazw i nazwisk przemawia do Polaka, przeważnie są mami nieznane i nie mówiące, za wyjątkiem tych, które łączyły się z naszą historią, bo i coś dziwnego, przecież, aby w pełni odczuć ich wartość, trzeba by być Szwedem i oprowadzić najdrobniejszymi szczegółami historii Szwecji.

Ale Muzeum Nordyckie nie tylko mieści zabytki historyczne. Pozostałe sale parteru poświęcone są strojom ludowym szwedzkim. W wielkich gablotach, ustawionych w długie rzędy wzdłuż ścian widnieją grupy artystycznie wykonane lalek naturalnej wielkości o twarzach pełnych wyrazu, odzianych w ludowe stroje z całej Szwecji, od dalekiej Laponii aż po południową Skanię. Pysznią się przed oczyma całą tęczą gamą barw dawno już zarzucone przez ludność stroje wieśniaków i mieszczan i długie godziny trzeba by poświęcić na zapoznanie się z nimi choćby z grubsza.

Ale nie tylko są tu stroje ludowe bo oto w jednej z sal zgromadzono stroje

Posąg Gustawa Karola przed wejściem do Muzeum



Wypchany koń Gustawa Adolfa z bitwy pod Lützen



Ten wspaniały, gotycki gmach, o surowych, kamiennych murach — to „Muzeum Nordyckie“

arystokracji i sfer kulturalnych od XVIII wieku począwszy aż prawie do dni dzisiejszych. Mamy tu przegląd dziejów stroju począwszy od olbrzymich pudrowanych peruk, krynolin i koronek rokokowa, przez kuse fraki, białe pludry i pseudo-greckie suknie doby francuskiej rewolucji, przez cylindry, fraki, żakiety i spod-

MNEME (Dokończenie ze str. 523)

lakistan, ale bardzo dawno, zapomniał prawie mówić po „olsku, ożenił się z Włoszką, synów ma Włochów. Już coraz mniej tęskni do dawnej ojczyzny, zżył się z tym słicznym krajem (rzeczywiście endonym — bo naprzeciw na ovalowej tafli jeziora Isniła wyspa Isola Bella) i nie czuje wielkiej różnicy pomiędzy tym, co było i tym co jest — bo (cytuję tu dosłownie jego rozmowianic) „i ludzie tu tacy sami, jak u nas tam w Polsce — gorący, zapalczywi, romantycy — i taka sama bieda jak u nas wszędzie — i takie same stosunki społeczne“. Rozmowa ta miała

nie w kratę XIX stulecia, przez znane ze starych żurnali i dagerotypów sylwety naszych prababek, aż do powojennego renesansu jej królewskiej mości pani mody.

Pierwsze i drugie piętro gmachu mieści znów inne zabytki. Znalazła tu pomieszczenie kultura ludowa zamknięta w kształtach sprzętów, narzędzi gospodarskich, przyrządów rybackich i myśliwskich, instrumentów muzycznych. Przejawia się z urządzonych całkowicie wewnątrz izb mieszkalnych, z tworów prastarej sztuki ludowej. I znów trzeba by długich nie godzin ale dni, aby dokładnie zapoznać się choćby z większą częścią nagromadzonych tu eksponatów.

Trzecie piętro zawiera prawie niespotykana w muzeach inowację. Są nią zrekonstruowane wnętrza pracowni najslawniejszych pisarzy, poetów, kompozytorów, artystów malarzy i rzeźbiarzy, którzy swą twórczością zaważyli na kształtowaniu się ducha szwedzkiej kultury. Można tu oglądając wnętrza, w których żyli i tworzyli, wglądać w ich życie prywatne i może przez to lepiej zrozumieć ducha ich twórczości.

Ale oto w salach i na korytarzach muzeum rozlegają się elektryczne dzwonki — to sygnał dla zwiedzających, aby opuścili sale. Jest godzina 17.45 a o 18-ej muzeum się zamyka.

I znów jesteśmy przed wspaniałym frontem gmachu, przypominającego swym wyglądem świątynię. Teraz jednak łatwo zrozumieć to podobieństwo, bo przecież Muzeum Nordyckie to świątynia kultury i ducha narodowego Szwecji.

Wojciech Walczak

miejsce akurat przed czterdziestu laty. Nie przypuszczam, żeby co się tam bardzo zmieniło dzisiaj — pomimo wyjątkowej pracy d'Annunzia i Mussoliniego

Konrad Chmielewski

PROSZKI
MIGRENO-NERVOSIN

KOCUTER
GASECKIEGO

GRYPA, PRZEZIĘBIENIE
BOLE GŁOWY, ZĘBOWITP

ŁADUJĄCE PROSZKÓW TYLKO W MIGRENICZNYCH TOREBKACH.

POWSTANIE I POCZĄTKI PAŃSTWA BULGARSKIEGO

Zasadniczym czynnikiem, który kształtował stosunki polityczne na Bałkanach w wieku XIX, była rywalizacja Rosji i Austrii o spadek po „chorym człowieku” — Turcji. Pierwsze objawy tej rywalizacji zobaczymy już w końcu XVIII w., to znaczy w okresie, gdy po stu latach nieograniczonego monopolu Habsburgów na tym terenie, pojawia się rywal rosyjski. W XIX wieku akcja Rosji przybiera znacznie na sile i wiąże się z ruchami wolnościowymi Słowian bałkańskich, którzy w imię hasła panslawizmu stają się coraz bardziej środkiem do celu imperiaлизmu rosyjskiego. Wprawdzie na Zachodzie ruchy wolnościowe ludów bałkańskich, prześladowanych przez monarchie sultańską, spolykają się z wielką sympatią liberalnych społeczeństw (pod wpływem romantyków np. w trzecim dziesiątku XIX wieku Anglia interweniuje i umożliwia Grekom wywalenie niepodległości), mimo to wszakże wielkie mocarstwa dątkują w nich wkrótce rękę rosyjską i już w czasie wojny krymskiej 1854 — 56 r. zbrojnie sprzeciwiają się planom rosyjskim i starają się zachować niepodzielne państwo tureckie. Duszą tej polityki jest oczywiście Anglia, przy jej boku jednakże staje Napoleon III, a także Austria, która przecież woli mieć za sąsiada słabą Turcję, niż potężną Rosję. Inna rzecz, że Austria nie odważy się w wojnie krymskiej na czynne wystąpienie w obawie przed Prusami — sojusznikiem Rosji a zarazem rywalem Habsburgów na terenie samych Niemiec.

W ciągu dwóch dziesięcioleci od czasu wojny krymskiej i sparaliżowania bałkańskich planów rosyjskich, sytuacja zmienia się jednak całkowicie na korzyść Rosji i jej antytureckich aspiracji. Jako przeciwnik tych planów, znika bowiem przede wszystkim Francja, słabo zainteresowana tym terenem i już wtedy (po klęsce w wojnie z Prusami 1870 — 71 r.) szukająca zbliżenia z Rosją. Jeżeli chodzi o Austrię, to wraz z Niemcami była ona z Rosją związana bismarckowskim trójsojuszem, stąd też względnie łatwo (pod presją Berlina, który unikał wszystkich

sprecyzności w ramach tego systemu) udało się zawrzeć układ rosyjsko-austriacki, przyznający Rosji niemal całkowicie wolną rękę w stosunku do Turcji (1877). Również i co do Anglii dyplomaci petersburscy byli pewni, iż nie zdobędzie się ona na żadne czynne wystąpienie.

W tych warunkach, po tak gruntownym przygotowaniu dyplomatycznym dochodzi do coraz większych zaostrzeń między Rosją i Turcją. Przedmiotem sporu jest sprawa prześladowanej przez władze tureckie ludności chrześcijańskiej, nad którą Rosja roztoczyć chce swą opiekę. Wobec tych żądań, godzących w suwerenność sultana, zajmuje Porta postawę zdecydowanie oporną, na co nie bez wpływu były zapewnienia rezydenta angielskiego i w ogóle nadzieja na zbrojną pomoc Wielkiej Brytanii, tak jak w 1854 — 56 r. Turcja jest zresztą do wojny całkowicie nie przygotowana, podczas gdy Rosja rozpoczyna swe zbrojenia już w 1876 r., a na 1 stycznia 1877 r. liczy 722.000 armii czynnej i ponad drugie tyle rezerw. Gdy więc w kilka miesięcy potem dochodzi do wybuchu wojny, osamotniona Turcja ponosi klęski i gdy wojska rosyjskie podchodzą już pod mury Konstantynopola, zawiera pokój w San Stefano, tuż niemal pod bramami stolicy. Ten właśnie traktat pokojowy, który zresztą w życie nie wszedł na skutek sprzeciwu mocarstw, stał się podstawą państwowości bułgarskiej a zarazem (ponieważ państwu temu wyteczy granice szerokie) jest źródłem wszystkich późniejszych, aż do naszych czasów, marzeń i nadziei patriotów bułgarskich.

Traktat w San Stefano i jego bezpośrednie konsekwencje mają jednak znaczenie daleko wybiegające poza rejon „kotła” bałkańskiego. Naruszona bowiem równowaga wpływów Rosji i Austrii zmusza z kolei i Niemcy do wystąpienia na tym terenie, a Bismarck, choć zastrzegł się co do swej roli „uczciwego maklera”, z konieczności stał się wraz z Anglią i Austrią o zahamowanie ekspansji rosyjskiej, przez co pośrednio w latach następ-

nych spowodował zerwanie trójsojuszu Niemiec i Austro-Węgier z Rosją.

To doniosłe dla dziejów przedwojennej Europy zagadnienie powstania Bułgarii, słabo było dotąd opracowane w historiografii niemieckiej. Dopiero obecnie, być może w związku z nową falą zainteresowania Bałkanami, jaka zwłaszcza po przyłączeniu Austrii uwidoczniła się w Niemczech, ukazała się na ten temat wyczerpująca, źródłowa i ciekawie napisana praca wiedeńskiego historyka, profesora Uniwersytetu A. Hajek'a¹⁾.

Bułgarski ruch narodowy, zrodzony dość późno w wieku XIX, przeszedł wprawdzie już w r. 1876 krwawo stłumione powstanie przeciw Turcji, mimo to wszakże nie był tak silny, by się przeciwstawił ingerencji rosyjskiej. Tymczasem Petersburg, tworząc układem w San Stefano Wielką Bułgarię (wraz z Macedonią i Rumelią Wschodnią) pod teoretycznym zwierzchnictwem sultana, zmierzał tylko i wyłącznie do stworzenia na Bałkanach rosyjskiej bazy wypadowej, która by odcinała Konstantynopol od reszty ziem tureckich w Europie. Plany te wprawdzie zostały do pewnego stopnia uszczuplone na kongresie w Berlinie, który zajął się rewizją traktatu w San Stefano: Bułgarię zmniejszył o $\frac{2}{3}$ (to znaczy Macedonię oddał Turcji, a z Rumelii Wschodniej utworzył turecki obszar autonomiczny), mimo to wszakże Rosja nie rezygnuje hynajmniej z traktowania Bułgarii jako domeny swych wpływów i przyszłego punktu oparcia w akcji zbrojnej; na opór natrafia jednak nie od zewnątrz, ale od wewnątrz — od strony samego społeczeństwa bułgarskiego, które w narzuconym przez Rosję władcy znajdzie najgorszego przywódcę w walce o niepodległość i niezależność od protektora.

Postaci pierwszego władcy bułgarskiego Aleksandra księcia Battenberga poświęca Hajek wiele miejsca w swej książce, malując z uwielbieniem tę postać, którą uważa za bohatera i męczennika bułgarskiej idei narodowej.

Aleksander von Battenberg urodził się w Weronie w 1857 roku i był synem księcia heskiego i jego morganatycznej małżonki, polskiej hrabianki Julii Hauke. Był siostrzeńcem cara Aleksandra II, to też i wojnę bałkańską 1877 — 78 roku odbył w szeregach rosyjskich. 29 kwietnia 1879 roku na bułgarskim zgromadzeniu narodowym na wniosek Rosji obrany został Battenberg jednomyślnie księciem Bułgarii, niechętnie jednak raczej pod presją Rosji, przyjmuje tę godność i nadaje liberalną konstytucję. W rządach stara się opierać raczej na żywiołach konserwatywnych, lecz popada w ciągłe targi z parlamentem, to też w końcu grożąca abdykacją, wymusza dla siebie prawo rządów dyktatorskich na lat siedem. Do władzy dochodzi wtedy gabinet, oparty całkowicie o Rosję: prezydentem ministrów jest nawet wtedy rosyjski gen. Sobolew, ministrem wojny — inny Rosjanin — baron Kaulbars.

¹⁾ Hajek Alois: Bulgariens Befreiung und staatliche Entwicklung unter seinem ersten Fürsten. München — Berlin 1939. R. Oldenbourg Verlag. Str. 418.

SŁOMIANY WDOWIEC



DAJE SOBIE RADĘ W GOSPODARSTWIE — DZIĘKI
KUCHENCE ELEKTRYCZNEJ

Nabytej na raty w Salonie Elektrowni Miejskiej
Marszałkowska 150 (wejście od Kredytowej).

W tych warunkach już wkrótce po ogłoszeniu dyktatury dochodzi w Bułgarii do bardzo silnych tarć, i to zarówno między społeczeństwem a narzuconymi przez Rosję członkami rządu, jak również między samym księciem a Rosją. Szczególnie od czasu zmiany tronu w Rosji, gdzie korona w 1881 r. przechodzi na niechętnego Battenbergowi Aleksandra III, sytuacja ulega zaognieniu. Księżę zbliża się więc coraz bardziej do opozycji i w r. 1883 przywraca dawną liberalną konstytucję i rząd oparty o zaufanie parlamentu. Równocześnie wzrasta popularność Battenberga na tle jego polityki zagranicznej. W r. 1885 bowiem nie bez udziału władz bułgarskich dochodzi w sąsiedniej, autonomicznej Rumelii Wschodniej do wybuchu powstania. Książe Aleksander wykazuje to oczywiście i włącza ten kraj do Bułgarii. Cały ten akt aneksji kraju który na zasadzie traktatu w San Stefano miał być składową częścią Bułgarii, dokonał się na ogół bez większych trudności, na opór zaś natrafił ze strony, zdawałoby się nieoczekiwanej, — ze strony dawnej protektorki Rosji. Aleksander III nie ograniczył się jednak w swym oburzeniu tylko do demonstracji (odwołując wszystkich oficerów rosyjskich przebywających w Bułgarii), ale wpłynął na silnie uzależnioną od Petersburga Serbię, która od Bułgarii zażąda jakiegoś ekwiwalentu terytorialnego.

Wystąpienie Serbii przeciw Bułgarii doprowadzi wprawdzie do wybuchu nowej „małej“ wojny na Bałkanach, nie spełni jednak nadziei dyplomatów rosyjskich: Serbia poniesie porażkę zarówno militarnie (od wojsk bułgarskich, dowodzonych przez księcia Aleksandra), jak i dyplomatycznie (presja Austrii), tak, że w rezultacie pogodzi się z rozrostem Bułgarii, nie otrzymując wzajemnie żadnego ekwiwalentu (na zasadzie pokoju w Bukareszcie 3 marca 1886 r.).

Mimo niepowodzenia akcji serbskiej, gabinet petersburski nie zrezygnuje ze swych planów odzyskania pełnej hegemonii na Bałkanach: zastosuje tylko inne metody. Tak więc z inicjatywy rosyjskiejawiąże się w Bułgarii wojskowy spisek przeciw władcy i doprowadzi do rewolucji, w czasie której 21 sierpnia 1886 r. książe Aleksander zostanie uwięziony i przewieziony poza granice państwa. Mimo poprzednich tarć Aleksander jest jednak w tym czasie władcą niezwykle popularnym, dlatego też pod kierownictwem prezydenta izby Stambulowa budzi się w Bułgarii nowy ruch przeciw prorosyjskim spiskowcom: Aleksander zostanie odbity z rąk powstańców i w triumfie powróci do kraju. Niezależnie jednak od tak szczęśliwego zwrotu Aleksander postanawia abdykować.

7 września 1886 r. składa koronę i wyjeżdża do Austrii. Zanim jednakże były władca bułgarski ostatecznie porzucił politykę, ożenił się ze śpiewaczką Johanną Loisinger i zamieszkał w Grazu (aż do śmierci w r. 1893), jeszcze raz będąc przedmiotem afery dyplomatycznej, gdy za sprawą Bismarcka a przez wzgląd Niemiec na rosyjskiego sojusznika, uniemożliwione zostało małżeństwo Battenberga z księżniczką pruską, córką cesarza Fryderyka III, a siostrą późniejszego Wilhelma II.

S. G.



„Król brydża“. — pp. Cierciński, Kościeszanka, Wesolowski, Grabowski, Janowski

T E A T R

„KRÓL BRIDŻA“ (Teatr Letni)

Rezydent teatralny musi — jak się okazuje — znać się także na brydżu. Bo oto pp. Armantowi i Marchandowi spodobało się przeegzaminować nas z trudnej sztuki licytacji, odzywki i rozgrywki. Ale nie damy się, przewidzielismy tę chwilę i przystępujemy do rzeczy, zbrojni w arkana wiedzy, zdobytej w długie noce hazardu po... 3 grosze za punkt, i wydrukanej z książki stawetnego mistrza Culbertsona.

Otóż pod względem fachowo-bridżowym farsa pp. Armanta i Marchanda zrobiona jest conajmniej niedbale. Można tu właściwie mówić o całkowitej ignorancji brydżowej, przynajmniej wersji polskiej. Wszystko, co brydżowe, jest właściwie w tej komedii brydżowej cymbione, wszystko, począwszy od stolika, poprzez terminologię do praktycznych rozgrywek. Jakżeż można grać brydża na prostokątnym, nie na kwadratowym, stoliku! Jakżeż można przedkładać komuś do rozwiązania problem brydżowy, nie mówiąc o co chodzi, ile ma wziąć lew i jakie jest atu! Jakżeż można twierdzić, że rozgrywamy ostatnie w robrze rozdanie kart — przed zakończeniem licytacji! Jakżeż można leżeć, gdy partner rozłożył karty, a samemu jest się... w drugim pokoju!

Od takich niedorzeczności roi się cała sztuka, a przecież motywy brydżowe w farsie, osnutej dokoła brydża, powinny być opracowane szczególnie starannie. Nic by nie zawadziło, gdyby tłumacz i reżyser nie byli w tym wypadku tacy pewni siebie i wezwali pomocu specjalisty. W pół godziny zrobiliby porządek, stolik byłby jak się patrzy, robra nie mieszało by z dograną (!), a dziadka z wychodzącym (!!).

Cóż za lekkomyślność, mówił do mnie pewien brydżista. Jeśli z równą staran-

nością biorą się do innych rzeczy, jak do brydża, to czy można mieć do nich zaufanie? To tak, jakbym ja odezwał się z 14 punktami po partii!¹⁴

Farsa jest zresztą wcale zabawna. Tem i ów wolał by może widowisko mniej rozlewnie, nie zaraz siedmioobrazowe, bardziej klasycznie zbudowane, z wątków ściślejsz z sobą splecionych, ten i ów może nawet reagować ujemnie na tło obyczajowe sztuki, jak to było nawet w jednym z naszych miast prowincjonalnych, gdzie „Króla brydża“ wystawiono wcześniej niż w Warszawie — ku zgorszeniu części widowni. Ale jeśli przyjąć, że farsa nie ma właściwie żadnego kodeksu artystycznego i że nie na miejscu byłby także zbytni pedantyzm moralny wobec widzów Teatru Letniego, można zgodzić się, że kanikule w ogrodzie Saskim rozpoczęto dość dobrze, oczywiście, jeśli wybaczymy nieznośne dla brydżysty błędy rzeczowe.

Reżyser p. Trzeński skierował artystów na drogę szarzy i uczynił słuszenie. Obserwujemy zresztą całą gamę szarzy. Obok ostrej, nazbyt może jaskrawej p. Gellówny, rozkoszujemy się oderwaną od ziemi szarzą p. Grabowskiego. Obok wyrazistych figur pp. Ciercińskiego, Frenkla i Jaworskiego, mamy bardziej matowe role pp. Kościeszanki i Wesolowskiego. Wielkiej kreacji aktorskiej nikt nie stworzył, poziom jest raczej średni, ale wyrównany.

Wacław Syruczek

Wraz z numerem niniejszym przesyłamy P. Pre-
numeratom dodatek powieściowy za miesiąc
czerwiec:

P. T. ROZBITEK
MARTY OSTENSO

Przegląd kulturalny

Dyskusja o Sienkiewiczu

Po rewizjonistycznych wypadach prof. Górki, dotykających kwestii stosunku „Ogniem i mieczem” do prawdy historycznej, Sienkiewicz doczekał się już drugiej na przestrzeni niewiele lat dyskusji. Szkoda, że nie są to dyskusje ścisłe literackie, wynikające z chęci zrewidowania oceny artysty autora „Trylogii”, a taka dyskusja kto wie, czy by nie była bardzo potrzebna dzisiaj. Tym niemniej jednak głosy te, odnoszące się do pozaliterackiej sfery znaczenia Sienkiewicza, przeczytać trzeba jako wyraz nie przebiegającej jego popularności. Tym razem ta dyskusja, toczona się na łamach „Wiadomości Literackich”, którą tutaj w naszym przeglądzie chcemy zaanotować, dotyczy dosyć ciekawej i frapującej kwestii genealogii Sienkiewicza.

Zapoczątkował ją Jerzy Szymkiewicz-Gombrowicz (Genealogia Sienkiewicza w nr. 18 „Wiad. Lit.”), stawiając nieoczekiwaną w stosunku do pisarza, którego przywykło się uważać za przedstawiciela ducha rodzimie polskiego, tezę o tatarskim pochodzeniu jego przodków. Autor artykułu kwestionuje przede wszystkim dane o pochodzeniu pisarza ustalone przez Stanisława Bolesław-Kozłowskiego w książce „Henryk Sienkiewicz i ród jego” (Warszawa, 1917). Zakwestionowane zostały mianowicie dane o Michale Sienkiewiczu, który około r. 1773 przybył z Litwy do Polski, „iż jest synem Marcina Oszyka Sienkiewicza i Julianny z Sielwestrowiczów, wnukiem Józefa Sienkiewicza, a potomkiem Piotra Oszyka Sienkiewicza, pułkownika wojsk koronnych”, rzekomego protoplasty rodu, któremu w r. 1589 miał Zygmunt III nadać dobra w województwie podolskim. Autor stwierdza, że o ile pochodzenie przodków aż do pradziada Michała konfederata barskiego jest udokumentowane należycie, to w dokumentacji dalszych przodków jest oparte jedynie na oświadczeniu owego pradziada Michała, z którym to oświadczeniem stoi w sprzeczności fakt, że pradziad Michał należał właśnie do osób nobilitowanych dopiero na sejmie w roku 1775 „w nagrodę zasług”. Jako przeciwstawienie tym danym wskazuje więc autor wiadomości zawarte w „Herbarzu rodzin tatarskich” historyka Tatarów litewskich Stanisława Dziadulewicza, na podstawie których można stwierdzić, że rodzina tatarska Sienkiewiczów, do której właśnie należy zaliczyć Henryka Sienkiewicza, pochodzi od mułina Parwusa z końca XV w. (od jego prawnika Sienka powstało późniejsze nazwisko), a pradziad pisarza Michał był „synem rotmistrza Marcina, właściciela części Krejwian, ale Tataru, który dopiero około 1740 r. przyjął chrzest”. Ta wiadomość wyjaśnia więc sprawę owej późniejszej nobilitacji pradziada Michała.

Szymkiewicz-Gombrowicz zakończył swój artykuł takim zdaniem: „Ciekawe jest, czy znakomity twórca „Trylogii”, wykazujący tak wielką erudycję heraldyczną, wiedział o swoim tatarskim pochodzeniu. Treść „Ilani” i tytuł „Selima”, mistrzowskie odczucie i oddanie wschodniego kolorytu, wzbudzają pewne domysły”.

Na to, w jakim stosunku te domysły pozostają do istotnego stanu rzeczy, rzuca światło następny głos w tej dyskusji o pochodzeniu Sienkiewicza, a mianowicie głos Włodzimierza Dworzaczka jr. (art. Przodkowie Henryka Sienkiewicza w nr. 22 „Wiad. Lit.”). Autor ten przytacza dwa listy Sienkiewicza skierowane do wydawcy „Herbarza polskiego” Adama Bonieckiego, a dotyczące właśnie kwestii genealogicznych pisarza i świadczące, że kwestie te żywo go obchodziły.

O rzekomym tatarskim swym pochodzeniu, jak wynika z listów, pisarz nie nie wiedział, natomiast podtrzymywał i usiłował udokumentować ową kwestionowaną legendę o pochodzeniu od protoplasty Piotra z czasów Zygmunta III. Na podstawie tych listów stwierdza autor artykułu, że „błędem w założeniu całego rozumowania Sienkiewicza jest to, iż brał za bezwzględnie prawdziwe wszystko, co jego pradziadek Michał podał o swych przodkach do radomskich ksiąg sądowych w r. 1782. Zbyt wierzył w wiarygodność posiadanych przez siebie „urzędowych” dokumentów. Nie zdawał sobie sprawy z tego, iż w księgach sądowych dawniej Rzeczypospolitej jedynie rzeczy współczesne wpisaniu danego aktu są źródłem pewnym. Genealogie sięgające daleko wstecz, mimo poparcia „oblatami” dawniejszych dokumentów, trzeba traktować z jak największą ostrożnością. Zupełnie więc podzielił wątpliwości p. Gombrowicza co do filiacji przodków Michała, zawartej w owym dokumencie z r. 1782”. Stawia jednak Dworzaczek sprzeciw wywodzeniu przodków pisarza z tatarskiej rodziny litewskiej, podkreślając, że Sienkiewicze z Krejwian nie mieli nic wspólnego z Henrykiem Sienkiewiczem. Dodaje także: „Kwestia jego przodków od Michała wstecz pozostaje otwarta. Należałoby ją zhadzać na podstawie ksiąg sądowych. Nie jest to jednak łatwe, bo jeśli istotnie przodkowie naszego największego powieściopisarza zamieszkiwali okolice Kamieńca, to właśnie księgi nie znajdują się na terenie Polski. Bez tego jednak wszystkie hipotezy mogłyby się okazać równie nieprawdziwe, jak ta o pochodzeniu od krejwianiskich Tatarów”.

W odpowiedzi na ten sprzeciw przyszedł Szymkiewicz-Gombrowiczowi z nieoczekiwanym sukurem Józef Chudek (w nr. 24 „Wiad. Lit.”), który oświadcza, że przygotowuje książkę o „Narodzinach Sienkiewicza”, „na podstawie zgromadzonych już całkowicie materiałów w związku z toczącą się dyskusją, stwierdzić może, co następuje: tatarskie pochodzenie najznakomitszej rodziny Sienkiewiczów w świetle uwzględnionych przeze mnie archiwałów nie ulega najmniejszej wątpliwości. Wszyscy ci Sienkiewiczowie piszą się jako Sienkiewiczowie (z przecinkiem nad *n* w dokumentach polskich, z jereem po *n* w dokumentach białoruskich), nazwiska w tej samej postaci używają jeszcze niekiedy rodzice Sienkiewicza, dopiero on sam stosuje tylko formę z *n*”.

W ten sposób dyskusja doszła do nieoczekiwanych głębi co hądź stwierdzić. W związku z tym zacytujemy jeszcze słuszny sąd Szymkiewicza: Gombrowicza: „Nie wydaje mi się wcale rzeczą zasadniczą, by życiorys każdego wybitnego człowieka opatrywać jego drzewem genealogicznym. Ale skoro okazuje się, iż opracowany i ogłoszony drukiem rolówad wielkiego pisarza nie jest zgodny z rzeczywistością, należy poprawić go jak najprędzej, spowodować bowiem może szkazy na wymagających wiele nakładu dziełach. W okresie ukazywania się zeszytów „Słownika biograficznego”, podającego także szczegóły genealogiczne, sprawa ta staje się specjalnie aktualna. W stosunku zaś do Sienkiewicza, szczególnie po ogłoszonych w „Wiadomościach” jego listach, wskazujących jak dalece interesował się historią swej rodziny, oświetlenie jego pochodzenia wydaje się prostym obowiązkiem ludzi pracujących na polu heraldycznym”.

Kwestia czasu artystycznego

Nowy numer za maj i czerwiec ukazującego się w Krakowie miesięcznika „Nasz Wyrz”, ma-

jącego charakter jednej z nielicznych już ekspozycji naszego awangardyzmu literackiego, jest świadectwem wcale ciekawej i godnej nasładowania inicjatywy, poświęcony został mianowicie w całości rozważaniom na temat zagadnienia czasu artystycznego. Na tle skąpych zainteresowań naszej krytyki zagadnieniami z zakresu teorii literatury i estetyki inicjatywa ta, niezależnie nawet od jej efektywnych wyników, zasługuje na uznanie.

Jeżeli chodzi o samo zagadnienie „czasu artystycznego”, to nie stanowi ono zasadniczo nowego na naszym terenie po znakomitych rozdziałach książki prof. Romana Ingardena „O poznaniu dzieła literackiego” oraz po wnikliwych artykułach dotyczących tego tematu, ogłoszonych przez poetę Jana Brzękowskiego w „Pionie”. Tym nie mniej inicjatywa „Naszego Wyrza”, prezentująca wypowiedzi całego szeregu osób, wypowiedzi hądź to teoretyczne, hądź też związane z konkretnym materiałem przykładowym, doprowadziła do ustalenia czy też rozprawienia też ważkiej kwestii.

Numer otwiera artykuł Ignacego Fika o „Czasie artystycznym”, z którego warto zacytować kilka charakterystycznych ustępów.

„Bierzemy utwór poetycki. Pytamy, gdzie istnieje rzeczywiste zjawisko określone przeciwieciem artystycznym? Czy w obiektywnej formie rzeczowej, jaką ujawnia utwór będący pewnym zdarzeniem w czasie, czy w doraźnej percepcji osobnika, przyjmującego podtyktowane przez utwór asocjacje psychiczne? To zależy czy czas mierzony ma być upływem godzin zegarowych, podcazas których obujemy z utworem, czy też trwaniem anegdoty, stanowiącej materiał treściwy utworu?”

Ważny przykład: czytamy dwie relacje o pożarze prerii, jedną wyrażoną długim poematem opisowym, drugą — krótką impresją lirycznego wiersza. Poemat musimy czytać 3 godziny, wiersz — 3 minuty, na obraz tego pożaru patrzylibyśmy 3 sekundy. Sam zaś autentyczny pożar trwał przez trzy dni. Otóż pytanie, czy któraś z tych miar: „3 sekundy”, „3 minuty”, „3 godziny”, „3 dni” odnosi się do dziedziiny nazwanej przez nas czasem poetyckim, a jeśli tak — to która? Po pewnym namyśle musimy stwierdzić, że chyba żadna! Czas artystyczny nie jest równoznaczny ani z czasem, w którym odbywało się przedstawiane zjawisko, ani z czasem poświęconym kontaktowi z utworem. Wymiary czasu artystycznego przeżywanego będą w innych relacjach”.

W dalszych rozróżnieniach I. Fik stwierdza, że czas artystyczny „nie wiąże się ze sprawą wprowadzenia do utworu fabuły „czasowej”, ani też nie jest wyznacznikiem przebiegów psychicznych, towarzyszących reakcjom na treść fabuły”.



Egzystencja jego wyprowadzić się daje jedynie z napięć konstrukcyjnych utworu. Sprzężony więc jest z charakterem funkcjonalnym elementów, z ich wzajemnymi relacjami i planem całości. Nie ma więc znaczenia absolutnego, zawsze związany jest z konkretnym zespołem i nie może być przeniesiony do innego układu. Zjawia się tam, gdzie możliwość artystyczna staje się bytem artystycznym. Rodzi się więc każdorazowo z daną, nową rzeczywistością artystyczną i przez nią jest całkowicie determinowany. Miarą czasu artystycznego są proporcje organizmu dająca sztuki. W zespole innych czynników konstrukcyjnych czas artystyczny wyznacza związki genetyczne elementów, wyróżnia ła i plany wizji, uruchamia i hierarchizuje etapy i stadia działań. Czas artystyczny może być wartościowany i mierzony w perspektywach całości utworu i w tych ramach używa się swą obiektywną rzeczywistość i postać. Stąd przeżywany może być tylko w swej przynależności konstrukcyjnej. W odniesieniu do czasu fizycznego, historycznego, czy psychicznego jest to czas wieczny, nie-mienny, wielokierunkowy, przestrzenny (czwarty wymiar). Stąd i podobna cecha samych utworów artystycznych".

Oprócz zacytowanych rozważań znajdujemy w „Naszym wyrazie” artykuły Michała Chmielówca (Kilka uwag o równoczesności), Gustawa Herling-Grudzińskiego (Pocci na czasie), Zofii Wielowiejskiej (Czwarty wymiar w pejzażach Prousta), Adama Krwaczka (Czas u Bruno Schulza) oraz in. spostrzeżenia, uwagi i felietony.

Krytyka ustroju szkolnictwa!

Ostatni numer (17) „Polityki” przynosi rozmowę z prof. Bogdanem Suchodolskim na temat kwestii organizacji naszego szkolnictwa. W związku z niedawnymi oskarżeniami wypowiedzianymi przez prof. Bartla z mównicy sejmowej wypowiedzi takiego specjalisty, jak Suchodolski, nunszą zainteresować opinię publiczną. Suchodolski także wysuwa sporo zastrzeżeń. Oto jego uwagi w odniesieniu do organizacji studiów wyższych: „Niewątpliwie istnieje rozbieżność między wysiłkiem niezbędnym do uzyskania dyplomu, a możliwościami wykonywania zawodu, do czego upoważnia i predysponuje ów dyplom. Nastawienie u nas jest takie: kształcić możliwie wszechstronnie, przygotowywać na wszelkie ewentualności, jak najszerzej rozplanowywać zakres studiów — specjalizacja ma niejako automatycznie następować w trakcie wykonywania zawodu.

Do czego to prowadzi? Przede wszystkim studia są długie i wyczerpujące, jak nigdzie. Każda gałąź wiedzy ma dzisiaj tyle odnóg, że usiłowanie ogarnięcia całości z konieczności zmusza do ograniczenia się do teorii, do wciąż rosnącej liczby egzaminów „z zakresu przedmiotu”. Z wielkim mozolem nyskany dyplom jest właściwie punktem startowym czy to do samodzielnych studiów w wybranej przez siebie specjalności, czy też do uprawiania zawodu — dyplom nie gwarantuje żadnej istotnej umiejętności.

Jakież byłyby w tej sprawie dezideraty? Wydaje mi się — mówi prof. Suchodolski — że należało by obniżyć owe wymagania startowe. Dyplom powinien być sprawą o wiele łatwiejszą i prostszą, jako też nie należy go traktować jako definitywne stwierdzenie umiejętności w studiuwanej dziedzinie wiedzy. Właściwie, prawdziwie pozytywne studia powinny się rozpocząć z chwili wykonywania zawodu, główny nacisk powinno się kłaść nie na ogólny wykształceniu, ale na indywidualnym dokształceniu, zakres i tempo którego regulować będzie wykonywany zawód. Stworzenie warunków do takich studiów, to — moim zdaniem — sprawa niezmiernej wagi.

Omówiwszy różne warunki i przykłady, stwierdza prof. Suchodolski, że „organizacja studiów wyższych wymagałaby głębszych i wszechstronniejszych przemysłów” tak co do zakresu pracy studentów, jak i wykładowców. Niemieckie ciekawe są jego uwagi na temat szkolnictwa średniego. Występuje on przeciw nastawieniu, by w szkole średniej wychowankowie zdobyli wszechstronne, encyklopedyczne przygotowanie ogólnokształcące.

„Szkoła średnia powinna zerwać ze stawianiem sobie za punkt honoru włączania w głowy wychowanków jak największej sumy wiadomości, które nie mają treściwego pokrycia. Rozwój dzisiejszej wiedzy jest zbyt gwałtowny, zbyt różnorodny, aby można było wtłoczyć wszystko, a to usiłowanie zwiększa tylko balast, z którego pożytek jest minimalny, jeśli idzie o dalsze, fachowe studia. Szkoła nie powinna być azylem dla treści, z którymi abiturient nigdy w życiu się nie spotyka.

Ale główny cios wymierza prof. Suchodolski w organizację nauczania powszechnego.

„Jednolitą szkołą powszechną jest fikcja, znany dwie różne szkoły: 3-go stopnia, która daje wszelkie prawa, t. j. wstęp do gimnazjum, do pracy w wojsku, na poczcie itd. i szkoły 1-go stopnia, tak samo o siedmioletnim okresie nauczania, które praktycznie nie dają żadnych praw. Ta właśnie szkoła 1-go stopnia prowokuje największą zarzutów, jakie można postawić polskiemu szkolnictwu.

Bo przyjrzyjmy się, jak to wygląda zbliżka. Na terenie COP-u istnieje ostatnio wielkie zapotrzebowanie na pracowników, co z tego, kiedy kandydatów na posady z „dyplomem” szkoły 1-go stopnia odsyła się z powrotem do domu. Wieś, gdzie te szkoły funkcjonują, jest zakorkowana niemal kompletnie, praktycznie nie istnieją żadne możliwości, aby kontynuować rozpoczętą naukę, lub też na podstawie zdobytego w szkole świadectwa uzyskać odpowiednią pracę. Gdzie się nie ruszyć, żądają świadectwa szkoły 3-go stopnia, tamto nie ma żadnego znaczenia. A przecież czas nauki jest w obu szkołach jednakowy, a poziom wykształcenia niewiele się od siebie różni!

Z tej właśnie upośledzonej szkoły bierze się tak groźny „powrotny analfabetyzm”. Nauka staje się niepotrzebna, do żadnej życiowej kariery nieprzydatna, poco dzieci na wsi mają się uczyć, hezpożytecznie czas tracić!

Toteż w zakończeniu stwierdza prof. Suchodolski, że „szkoła ta dyskredytuje w ogóle oświatę. Cała idea oświaty — dawać ją wtedy, gdy jest potrzebna, gdy ją można szybko i celowo zużytkować”.

Z zagadnień sztuki religijnej

„Współczesne zagadnienia religijnej sztuki plastycznej” — oto tytuł interesującego artykułu prof. Witolda Chomicza, pomieszczonego w nowym numerze (6) „Przeglądu Powszechnego”. W artykule tym wyodrębnić się dadzą dwa aspekty: jeden to rozważania teoretyczne na temat zagadnienia sztuki religijnej, drugi — to pewne praktyczne spostrzeżenia na temat rozwoju sztuki religijnej na naszym terenie. Jeżeli chodzi o pierwszy aspekt, to artykuł ten stawia sprawę niezadawalającą i ogólnikowo. Stwierdzenie, że „dzieło sztuki religijnej musi być wewnętrznie przeżyte” — nieczego nie mówi ani nie precyzuje. Podkreślenia domagają się w tym wypadku inne momenty. Trzeba było mianowicie podkreślić, że sztuka religijna nie jest zjawiskiem, które można by wyodrębnić ze sztuki jako takiej, a więc zarazem z głównego ruchu sztuki takiej, czy innej epoki. Podobne nastawienie, którym

(Dokończenie na str. 532)



Zofia Zdziennicka, sfotografowana po swoim pierwszym koncercie w Wiedniu

KONCERT ZOFII ZDZIENNICKEJ

Dnia 13 b. m. w Sali Resursy Obywatelskiej na wystawie „Świat Kobiecy” odbył się koncert p. Z. Zdziennickiej, wiele utalentowanej artystki, znanej w kraju i za granicą. P. Zdziennicka jest jedyną wirtuoską gry na cytrze w Polsce, która ma wyższe wykształcenie muzyczne. Gra jej subtelna, pełna finezji we frazowaniu, technicznie doprowadzona jest do doskonałości. Poza tym, grę jej cechuje sens swoisty — idzie z niej „klimat” muzyczny, w którym przyjemnie, swobodnie się oddycha, w którym się wypoczywa. Pani Zdziennicka wykonała utwory Brahms’a, Schahla i własne b. muzykalnie z umiarem artystycznym i głębią odczucia. Zaznaczyć należy, że p. Zdziennicka komponuje utwory na cytrę oraz wiele utworów wielkich mistrzów gra we własnym układowie, prowadzi też największy zespół gry na cytrze. W koncercie brała także udział p. Ylona Briesemeister, znana śpiewaczka, która odśpiewała pieśni węgierskie z powodzeniem.

Wydawnictwa nadesłane

Tadeusz Szmurło. *Opowieści wojenne*. Wojsk. Inst. Nauk. Ośw. Warszawa, 1939. Str. 226+V.

Tadeusz Szmurło. *Szwależery Furażery*. Wojsk. Inst. Nauk. Ośw. Warszawa, 1939. Str. 194+6 nl.

Taka jest wojna. Praca zbiorowa. Wojsk. Inst. Nauk. Ośw. Warszawa, 1939. Str. 252+4 nl.

Polska a Infanty. Praca zbiorowa, zawierająca rozprawę Edwarda Kuntzego, Kazimierza Tyszkowskiego, Leona Kuczego, Mariana Malowista, z przedmową Stanisława Kutrzeby. Nakł. Inst. Bałtyckiego w Gdyni. Gdynia, 1939. Str. 138+X.

Zdzisław Harlander. *Polski dynamizm polityczny*. Warszawa, 1939. Str. 44+4 nl.

Józef Edward Dutkiewicz. *Odkrycie fundamentów kościoła św. Michała w Lublinie w r. 1936* — 38. Odbitka z Księgi Pam. ku czci J. E. Ks. Bpa Mariana Fulmana. Lublin, 1939. Str. 27+20 nl.

Polska zwrocona na Zachód. Czasopismo nr. 1. Józef Edward Dutkiewicz. *Fabryka cerkwi Wniebowzięcia N. M. P. w Poczajowie*. Odbitka z „Dawnej sztuki”. Rocznika II. Zeszytu 2. Łwów, 1939. Zakł. Nar. im. Ossolińskich. Str. 34.

Nowa Książka, czerwiec 1939. *Wiedza i Życie*, miesięcznik, zeszyt 6, czerwiec 1939.

Wiadomości drogowe, miesięcznik, Nr. (3—4) 114—145, marzec-kwiecień 1939 r.

2 GROSZE
Kosztuje filiżanka

KAWY namiastki SFINKS HABERBUSCH i SCHIELE

Nowość!
NIEWIDOCZNY NA SKURZE

puder Koloidalny **SIX-SIX Cherys**

DAJE CERZE WIECZNA MŁODOŚĆ

NAPOLÉON
nie wygrał walki, ale do polonki

POŁONIA
nie wygrał, ale było tak, że jego szlach...

SPROSTOWANIE

W szkicu Juliusza Kleinera o Aleksandrze E. i Kuerze (nr. 25 z 1. 18 czerwca) sprostować należy następujące omyłki druku:

Na str. 480 w sypalcie 1, w. 11, zamiast: *ich wykonywaniu*, powinno być *ich wykrywaniu*; w sypalcie 2, w. 18, zamiast: *czar nauki*, powinno być *czar sztuki*;

w sypalcie 3, w. 15, zamiast *ciężkiego wykwinu*, powinno być *ciężkiego aparatu*;

na str. 181, w. 5, zamiast *wyrazil*, powinno być *ogłosił*; w. 32, zamiast *podręcznictwa*, powinno być *podręczników*.

Przeгляд kulturalny (Początek str. 531)

często się u nas grzeszy, równa się przecież umieszczeniu zagadnienia sztuki religijnej w pustym naczyniu. Przypomnieć tutaj można precyzyjnie, które znajdujemy w aneksach „art et scolastique” Maritaina. Zaznacza mianowicie Maritain, że „nie ma stylu przeznaczanego dla sztuki religijnej, nie ma techniki religijnej”.

Bardziej ciekawe są w niniejszym artykule spostrzeżenia na temat rozwoju sztuki religijnej na naszym terenie. Autor trafnie podkreśla:

„Potrzeby sztuki religijnej zaspakaja się przeważnie fabrykatami bez cech artystycznych. Szerokie rzesze kupują obrazy, obrazki, dewocjonalia o cechach wybitnie obcych naszemu duchowi, często wyrób i smak jest importowany. Zamówienia na polichromię, obrazy ołtarzowe, witraże, rzeźby trafiają jakże często do rąk dyktantów; w niewielkim tylko procencie pracę tę otrzymują artyści. Lud na odpustach kupuje fabrykowaną masowo tandetę, pochodzenia często obcego przemysłu i smaku”.

W związku z tym stanem rzeczy rzuca autor śmiało i godną rozważenia myśl, żeby przez zorganizowanie artystycznego wysiłku podźwignąć sztukę religijną u nas na wyższy poziom.

„Należy wierzyć, że prędzej czy później powstanie powołany przez czynniki decydujące Instytut Sztuki Religijnej, który będzie miał na celu zogniskowanie w swych ramach wysiłków wszystkich jednostek twórczych, które chcą w tej dziedzinie bezkompromisowo pracować. Instytucja ta winna zgromadzić artystów ze wszystkich specjalności, a więc: architektów, malarzy, grafików, rzeźbiarzy, artystów tkaczy i artystów pracują-

cych w technikach metalowych, by stworzyć im atmosferę pracy drogą zamówień konkursów wystaw; artyści ci stykają się z sobą, wytworzą siłą faktu atmosferę sprzyjającą pogłębieniu problemów. Organizacja powyższa winna być oparta na ścisłym kontakcie z warsztatami wytwórczymi rzemieślniczymi, aby projekty mogły być doraznie realizowane na wysokim poziomie technicznym i artystycznym”.

Oto więc do szeregu projektów, jakich nie-mało rzuca się w naszych czasach, doszedł nowy projekt. Obudzi on niechybnie odzew we właściwych sferach, tym więcej, że podana została konkretnie siedziba instytutu — mianowicie Kraków,

SÓL do NÓG

AGEPIN Z KOGUTKIEM

usuwa ból, pieczenie, nabrzmienie nóg, zmiękcza odciski, które po tej kąpieli dają się usunąć, nawet paznokciem. Przepis użycia na opakowaniu.



Zygmunt Waliszewski

Martwa natura

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:	NA PROWINCJI:	ZA GRANICĄ:
miesięcznie zł 6.—	miesięcznie zł 6.50	miesięcznie zł 8.50
z dostarczeniem do domu zł 6.50	kwartalnie zł 19.—	kwartalnie zł 25.—
kwartalnie zł 17.50	rocznie zł 74.—	rocznie zł 94.—
z dostarczeniem do domu zł 19.—		Zmiana adresu zł 0.50
rocznie zł 66.—		
z dostarczeniem do domu zł 74.—		

Konto Pocetowej Kasy Oszczędności Nr 143

Redakcja nie zwraca niezamówionych rękopisów.

CENNIK OGŁOSZEN Str. $\frac{1}{4}$ — 800 zł, $\frac{1}{7}$ — 450 zł, $\frac{1}{4}$ — 250 zł, $\frac{1}{6}$ — 150 zł, $\frac{1}{10}$ — 100 zł, — za szp. wiersz. milimetryowy, lub jego miejsce PRZED I ZA TYKSTIM: 1,50 zł Bilanse, artykuły opisowe, układy tabelaryczne, 1 str. okładki i miejsce zarezerwowane 50% drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P.K.O. 143.

Program Polskiego Radia

Od dn. 2 VII. do dn. 8 VII. 1939

Niedziela — dn. 2.VII.

7.00: Audycja poranna. 8.45: Transmisja fragmentu procesji morskiej z Gdyni (zdjęcie dźwiękowe). 9.00: Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża. 11.00: Koncert Chóru Katedralnego ks. W. Gieburowskiego (z płyt). 12.03: Muzyka obiadowa. 14.45: „Czytamy Mickiewicza” — „Pan Tadeusz” — I księga. 15.00: Audycja dla wsi. 16.30: Utwory morskie Feliksa Nowowiejskiego — koncert. 17.15: „Kto odpowie?” — audycja. 17.30: Podwieczorek przy mikrofonie. 19.00: „Klub Pickwicka” — wiecz. VIII — „Więzienie za długi”. 19.30: Muzyka na tematy antyczne (płyty). 21.15: Koncert rozrywkowy. W przerwie: Skecz — „Rozalio idź otworzyć”.

Poniedziałek — dn. 3.VII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Towaroznawstwo podstawą obsługi klienta” — pogadanka dla kupców. 12.03: Audycja południowa z Katowic. 14.45: „Triumf Zawiszy Czarnego” — sluchowisko dla młodz. 15.15: Muzyka popularna z Krakowa. 16.20: Popularna muzyka jugosłowiańska w wyk. orkiestry mgosłowiańskiej „Tamburico” z Kninowa. 17.00: Muzyka taneczna. 18.00: Aleksander Glazunow: Kwintet op. 39 — koncert. 18.30: Sonety Petrarcki — audycja muzyczno-słowna. 19.00: Audycja żołnierska. 19.30: „Przy wieczery” — koncert z Poznania. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert popularny z Wilna. 21.50: „Echa mocy i chwały”. 22.00: Muzyka taneczna.

Wtorek — dn. 4.VII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Uczmy się pływać” — dialog. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Życie lasu” — pogadanka dla młodzieży. 15.00: Muzyka popularna. 16.20: Miniatury kwartetowe — koncert kameralny z Krakowa. 17.00: Muzyka taneczna. 18.00: Pieśni Adama Soltysa wyk. W. Jędrzejewska. 18.25: Recital organowy Feliksa Rączkowskiego. Transmisja z sali Konserwatorium Warszawskiego. 19.00: Audycja dla robotników. 19.30: „Pod gwiazdzistym sztandarem” — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert Muzycznego Ogniska Wakacyjnego Liceum Krzemienieckiego — transm. z Krzemienia. 22.00: „Z perspektywy ćwierćwiecza” — „Realizacja zobowiązań międzynarodowych” — odczyt. 22.15: Nowoczesna muzyka symfoniczna Manuela de Falli — koncert z płyt.

Środa — dn. 5.VII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: Pogadanka turystyczna. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Nasz koncert” — audycja dla dzieci. 15.15: Muzyka popularna w wyk. Ork. Rozgl. Katowickiej. 16.20: Recital śpiewaczy Ignacego Dygasa. 16.50: „Co się dzieje w gniazdach: „Skarb w gniazdku” — pogadanka. 17.00: Muzyka taneczna. 18.00: Słynne symfonie — koncert z płyt. 19.00: „Klub Pickwicka” — wiecz. IX — „Jak się to wszystko skończy?”. 19.30: „Przy wieczery” — koncert Małej Orkiestry. 20.10: Odczyt wojskowy

20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert chopinowski wyk. Fr. Łukasiewicza. 22.00: Małe zespoły instrumentalne (płyty).

Czwartek — dn. 6.VII.

6.30: Audycja poranna. 8.20: Pogadanka sportowa. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Wojsko polskie: Dziełny piechur” aud. dla młodzieży. 15.05: Muzyka popularna (z Wilna). 16.20: Utwory na flet w wyk. Feliksa Tomaszewskiego. 16.45: Budownictwo wsi polskiej: Hucul-szczyzna — odczyt. 17.00: Muzyka taneczna. 18.00: „Echa mocy i chwały”. 18.10: Koncert solistów. 19.00: Juliusz Słowacki: Fragmenty z „Listów z podróży”. 19.20: „Przy wieczery” — koncert z płyt. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: „Letni wieczór przed domem Fryderyka Chopina”. Transmisja z Żelazowej Woli. 21.40: „Niesamowite historie: „Złoty garnek”. 22.25: Zespołowe fragmenty oper w wyk. artystów mediolańskiej „La Scala” — koncert z płyt. 23.05: Koncert muzyki góralskiej.

Piątek — dn. 7.VII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: Kłopoty i rady. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Życie lasu” — pogadanka dla młodzieży. 15.00: Muzyka popularna z Poznania. 16.20: „Z polskiej twórczości chóralnej” —

koncert. 17.00: Muzyka taneczna. 18.00: Kwartety Beethovena — koncert z płyt. 18.30: Recital fortepianowy Stanisława Staniewicza. 19.00: „Książki, do których się wraca” — „Lalka”. 19.30: „Przy wieczery” — koncert z Wilna. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: „Opowieść o Schubercie”. 22.00: „Z czego żyje pisarz” — dialog Ferdynanda Goetla i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. 22.25: Recital skrzypcowy Eugenii Umińskiej.

Sobota — dn. 8.VII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Tam gdzie tańczyły niedźwiedzie” — reportaż ze Smorgoni. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Sluchowisko dla dzieci: „Jak się żabie wydawało, że najpiękniej śpiewa”. 15.15: Koncert popularny w wyk. Ork. Rozgl. Katowickiej. 16.20: Recital śpiewaczy Janiny Hupertowej. 16.50: „Co się dzieje w gniazdach: „Ciepło rodzinne” — pogadanka. 17.00: Muzyka taneczna. 18.00: Koncert rozrywkowy z Poznania. 19.00: „Charaktery” — „Stefania ma za dużo sił” — powieść mówiona H. Boguszewskiej i J. Kornackiego. 19.30: Audycja dla Polaków za granicą. 20.00: Melodie ziemi polskiej: „Za czasów Sabaly” — koncert. 20.25: Audycja dla wsi. 21.05: Wielki koncert galowy w wykonaniu laureatów I międzynarodowego Konkursu Muzycznego. Transmisja z sali Victoria-Hall w Genewie. 22.30: Dawne piosenki — koncert rozrywkowy. 23.20: Muzyka taneczna.

Właściwe drogi megafonizacji kraju

Sprawa megafonizacji Polski staje się coraz bardziej aktualna. W ważnych chwilach w życiu narodu i państwa istnieje konieczność utrzymania stałego kontaktu pomiędzy czynnikami odpowiedzialnymi za losy państwa a najszerszymi warstwami narodu. Oczywiście najlepszym środkiem utrzymania tego kontaktu jest obok prasy radio. Zanim jednak gęsta sieć radiodiodników pokryje całą Polskę i obejmie wszystkie nawet najskromniejsze mieszkania — megafonizacja stać się może niezmiernie doniosłym czynnikiem. Aparatury megafonowe zainstalowane w miasteczkach a nawet wsiach dawać będą możność natychmiastowego informowania obywateli o ważnych chwilach w życiu państwa, a gdyby przyszła potrzeba wydawania dyspozycji, a nawet rozkazów.

Znaczenie megafonizacji jest całkowicie doceniane, toteż jesteśmy świadkami szybko postępującej megafonizacji całego kraju. Aparatury megafonowe zostały już zainstalowane w wielu miastach i miasteczkach polskich i za pośrednictwem dalekosiężnych głośników nadawane są ciekawe audycje radiowe oraz komunikaty.

Należy tu jednak zwrócić uwagę na konieczność zachowania daleko idącego umiaru w użytkowaniu aparatów megafonowych w miastach. Zbyt często używanie megafonów staje się niezmiernie męczące dla mieszkańców, zwłaszcza dla tych, których mieszkania znajdują się w pobliżu instalacji megafonowych. Megafony winny być używane tylko w naprawdę doniosłych momentach, winny służyć prze-

de wszystkim celom ogólnopaństwowym, cele zaś rozrywkowe winny być tak ograniczone, aby nie przemęczały ogółu mieszkańców.

Propaganda radiowa Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej, przemówienie sejmowe p. Min. Becka, specjalne audycje z okazji Tygodnia Ziemi Wschodnich oraz „Dni Morza” — oto klasyczne przykłady okoliczności, w których winny być używane megafony. Przemówienia dostojników państwowych, transmisje radiowe uroczystości żołnierskich, odczyty na doniosłe ogólnopaństwowe tematy — to audycje, których treść winny megafony roznieść po całej Polsce.

Równoległe z postępowaniem megafonizacji kraju postępować musi umiejętność celowego użytkowania tej megafonizacji, nie przeciążająca obywateli nadmiarem głośnych audycji i poddająca aparaty megafonową celom ogólnopaństwowym.



PODRÓŻUJ
LOTEM

„TYGODNIK ILLUSTROWANY”

Ostatnio w „TYGODNIKU ILLUSTROWANYM” zamieszczali swoje prace między innymi następujący pisarze, uczeni i publicyści:

Berent Wacław. Borowy Wacław. Boyé Edward. Chrzanowski Ignacy, Czachowski Kazimierz. Dąbrowska Maria. Essmanowski Stefan, Flukowski Stefan, Goetel Ferdynand. Gombrowicz Witold. Górka Olgierd. Grabowski Jan. Grzebieniowski Tadeusz. Horoszkiewicz R. W.. Hollender Tadeusz. Hulewicz Witold. Huszcza-Winnicka H., Iłakowiczówna Kazimiera. Irzykowski Karol. Iwaszkiewicz Jarosław. Kaden Bandrowski Juliusz. Kleiner Juliusz. Kondracki Michał, Kossak-Szczucka Z.. Kubacki W., Laskowski-Hulka Paweł. Lechoń Jan. Lepecki B., Lutosławski W., Makuszyński Kornel. Melcer Wanda. Mieszkowski J. T.. Miller. Jan N.. Morcinek Gustaw. Muszkowski Jan, Nowakowski Zygmunt. Ossendowski F. A., Parandowski Jan, Powlikowska Maria, Piwiński Leon, Polczyński Janta Aleks., Pomirowski Leon. Rogowicz Wacław, Rogoź Stanisław, Rudnicki Adolf, Rusinek Michał. Rytard Miecz., Schulz Bruno, Sieroszewski W.. Skiński J. E., Smogorzewski K., Staff Leopold. Straszewicz Czesław, Stromenger Karol, Syruczek Wacław, Szemplińska Elżbieta, Szykowski M., Śliwiński Artur, Terlecki Tymon. Tuwim Julian. Wasylewski Stanisław. Wierzyński Kazimierz, Wiktor Jan, Wittlin Józef, Wołoszynowski Julian. Zawistowski Władysław. Zrębowicz Roman.

NAKOŁO ŚWIATA

bogato ilustrowany magazyn nowelistyczny, ukazujący się co miesiąc.

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA

przyniosła w latach ubiegłych obok autorów polskich, szereg utworów pisarzy tej miary, co Johan Boyer, Daniel-Rops, Fr. Mauriac, J. Andersen Nexø. Marta Ostenso, Mary Webb, J. Roth. Colette, G. Papini, Jo Van Ammers-Küler. W. B. Maxwell, W. Peteani i inni.

„Tygodnik Ilustrowany” wraz z dodatkami ma obecnie najtańszą prenumeratę zbiorową, gdyż tylko

za 6 zł miesięcznie (6.50 z dostarczeniem do domu), prenumerator TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO otrzyma co tydzień numer „Tygodnika Ilustrowanego”; co miesiąc 80-o stron. zeszyt „Naokoło Świata” w wielobarwnej okładce i co miesiąc blisko 240-o stronicowy tom powieści polskiej lub tłumaczonej KTÓREJ CENA KSIĘGARSKA WYNOŚI około 6—8 zł.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50			kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	kwartalnie	zł 19.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—			Zmiana adresu	zł 0.50
rocznie	zł 66.—	rocznie	zł 74.—		
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 143

CENNIK OGŁOSZEN Str. $\frac{1}{4}$ — 800 zł, $\frac{1}{2}$ — 450 zł, $\frac{1}{4}$ — 250 zł, $\frac{1}{8}$ — 150 zł, $\frac{1}{16}$ 100 zł. — za exp. wiersz. milimetry, lub jego miejsce PRZED i ZA TEKSTEM: 1,50 zł. Bilanse, artykuły opiewe, układy tabelaryczne, 1 str. ckiadki i miejsce zarezerwowane 50% drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P. K. O. 143

TYGODNIK

ILLUSTROWANY

Nr. 28

9 Lipca 1939

Cena 1



**Mila Borton, młoda wielce utalentowana śpiewaczka
została zaangażowana do wileńskiej operetki**



Radio w lotnictwie podczas wojny światowej

Dużo przeszkód musiało przezwyciężyć radio. zanim wreszcie zostało zastosowane w lotnictwie. Wydaje się to dzisiaj dziwnie, a może śmieszne. ale fakt ten miał wówczas swoje głębokie i uzasadnione przyczyny.

Najważniejszą z nich była sama istota ówczesnego lotnictwa, które składało się przede wszystkim z balonów, a nie z samolotów. Zapalenie się gazów, przeważnie łatwopalnych. jakimi były wypełnione balony. stawało się zbyt poważnym niebezpieczeństwem dla życia lotnika, a tym samym dla wartości informacyjnej balonu. zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że ówczesne, pierwsze aparaty radiowe opierały się na systemie iskrowym, a nie cewkowym. jak to było później.

Już w roku 1906 Marconi zaczął propagować ideę radia w lotnictwie. lecz ta jego propaganda miała skutek dość mierny, a zupełnie nie taki, jakiego życzył sobie genialny wynalazca.

Ale stan ten wkrótce i stosunkowo w bardzo szybkim czasie uległ poważnej zmianie. Wyliczmy same fakty.

W roku 1907 użyto po raz pierwszy radiostacji odbiorczej systemu iskrowego na jednym z balonów angielskich. Lotnik uzyskał kontakt radiowy ze stacją radiowadawczą. znajdującą się na ziemi w odległości około 16 klm.

W roku 1908 osiągnięto już przy podobnym doświadczeniu odległość 35 klm.

W r. 1911 zastosowano po raz pierwszy pełną radiostację nadawczo-odbiorczą (iskrową), a podczas doświadczeń zdołano nawiązać kontakt na odległość 50 klm.

W r. 1912 w czasie wielkich manewrów armii angielskiej zrobiono próbę nawiązania kontaktu pomiędzy dwoma balonami. znajdującymi się w powietrzu. Oba były zaopatrzone w aparaty radiowe nadawczo-odbiorcze o mocy 1 kw. Próba wypadła pomyślnie.

W r. 1913 14 armie: angielska, francuska i niemiecka – w tajemnicy jedna przed drugą instalują u siebie aparaty radiowe nadawczo-odbiorcze na samolotach. We Włoszech wprowadza się urządzenie radiowe w lotnictwie dopiero w r. 1915.

Potem już, podczas wielkiej wojny zastosowanie radia jest coraz większe. przy czym od połowy roku 1917 wszystkie dotychczasowe aparaty iskrowe zastępuje się nowymi, udoskonalonymi. nie grożącymi już spalaniem się statku powietrznego.

Są to nowe aparaty Marconiego systemu cewkowego, przy których nadaje się depesze nie przy pomocy iskier, jak do-

tychczas, lecz przez regulowanie długości fal cewkami.

Nowe aparaty rychło znajdują zastosowanie w lotnictwie angielskim i francuskim, ale patentu ich nie znają aż do końca wojny światowej Niemcy, którzy nadal też posługują się aparatami radiowymi dawnego typu. A tymczasem znaczenie radia w lotnictwie wzrasta niepomierne. Aparaty lotnicze zaopatrzone w radio kierują ogniem swej artylerii przeciw pozycjom nieprzyjacielskim. Takie zastosowanie radia przyniosło wspaniałe zwycięstwo flocie angielskiej nad niemiecką w bitwie pod Messyną dn. 7 czerwca r. 1917.



Przy końcu wreszcie wojny światowej znajdują już zastosowanie aparaty radiotelefoniczne, które później ciągle się udoskonala.

LASSO I MIKROFON

Fale radiowe zastosowano dosyć wcześnie w służbie bezpieczeństwa publicznego, stosując nadawanie komunikatów policyjnych i nawiązując dzięki nim łączność równoczesną i najszybszą pomiędzy poszczególnymi organami bezpieczeństwa. Jak pod wielu innymi względami tak i pod tym względem. przodują Stany Zjednoczone w dziedzinie zastosowania fal radiowych do służby policyjnej.

Na dalekim Zachodzie pozostał jeszcze typ szeryfa. znanego z kina lub powieści awanturnych. Na pięknym koniu, przy boku duży Colt, na piersi oznaka władzy – srebrna gwiazda. Wszystkie te cechy pozostały. przytył tylko jeszcze duży samochód z krótkofalową stacją nadawczo-odbiorczą. Ale to nie wszystko. Samochód radiowy to tylko jedno ogniwo zradiofonizowanej służby bezpieczeństwa. Na terenie władzy szeryfa okolic San Bernardino w Kalifornii. na rozległych obszarach o powierzchni prawie 50.000 km. kw. wśród okolic pustynnych, pozbawionych wszelkich środków komunikacji, stało się radio nieocenionym środkiem do tropienia i zwalczania przestępstw. Centralna stacja nadawcza o mocy 500 watów. mieści się w budynku sądu okręgowego. Zadaniem jej jest utrzymanie łączności pomiędzy samochodami policji, szeryfa a także z ruchomymi stacjami odbiorczymi straży leśnej. Około 60 samochodów policyjnych utrzymuje stałą łączność w ten sposób z centralą, przy czym 17 z nich posiada własne stacje nadawcze.

Tak zorganizowana łączność radiofoniczna oddaje ogromne usługi nie tylko w służbie sprawiedliwości. Walka z częstymi pożarami lasów na zachodzie Stanów Zjednoczonych jest w znacznej mie-

rze ułatwiona dzięki łączności radiowej. Wiele istnień ludzkich ocalało od strasznej śmierci w morzu ognia tylko dzięki otrzymaniu w czas ostrzeżenia. płynącego na fali radiowej.

Dopiero nie dawno zastosowano fale radiowe do oznaczania zupełnie dokładnej wysokości samolotu nad powierzchnią ziemi. a już tę samą zasadę, tak zwanego echa radiowego, próbuje się zastosować do wykreślenia z samolotu plastycznej mapy terenu. nad którym wiedzie jego trasa lotu. Wiązka fal radiowych wysłana z samolotu do ziemi, odbija się od powierzchni ziemskiej i wraca w tym kierunku, w jakim została wysłana. Instrument na pokładzie samolotu chwytając odbitą falę i z czasu potrzebnego fali na przebycie drogi z samolotu na ziemię i z powrotem podaje dokładnie odległość samolotu od powierzchni ziemi. Przez zastosowanie automatu do pomiaru, przy pewnej stałej szybkości samolotu można będzie może z zapisanych wyników ustalić dokładnie profil okolicy, nad którą przelatuje samolot.

Ciekawe badania przeprowadzono też w Stanach Zjednoczonych nad wpływem ubioru artystów występujących przed mikrofonem na brzmienie głosu. Okazało się że sztywny gors przy męskich koszulach powoduje silne odbicie się fal głosowych i w następstwie bardziej ostre brzmienie głosu. zwłaszcza w górnych tonach. Natomiast aksamitna sukni doskonałe tłumi wszelkie echo, znacznie lepiej od jedwabiu. Stwierdzono również, że nie bez wpływu podobno na zawile drogi fal głosowych jest łysina i to działa podobno ujemnie. Może nawet dojść do tego, że łysy śpiewak będzie musiał występować przed mikrofonem w peruce. gdyż mikrofon jest nieublaganym sędzią.



głodówka

nic Ci nie pomoże... – Osłabiasz tylko swój organizm! – Pamiętaj, że chcąc pozbyć się nadmiernej tuszy musisz przede wszystkim usunąć przyczynę wadliwej przemiany materii. Pomoże Ci w tym mineralna sól owocowa **MINEROGEN F. F.**, którą nabędziesz w każdej aptece. Skład główny: Apteka Mazowiecka – Warszawa ul. Mazowiecka 10.



SILNEJ FLOTY WOJENNEJ!
I KOLONIJ!



Jedna ze starożytnych bram, wiodących do Pekinu

Wśród zagadnień Dalekiego Wschodu

W poprzednim nrze „Tygodnika Ilustrowanego“ staraliśmy się w związku z lokalnym zatargiem angielsko-japońskim na terenach koncesji w Tien-tsinie i Swatow, nakreślić szersze tło tego konfliktu, ukazując jak w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu narastały przeciwieństwa interesów państw, związanych z wielkim rynkiem chińskim.

Z rozważań tych nasuwał się logiczny wniosek, że wszelkie lokalne zatargi i nieporozumienia, bez względu na ich doraźny wynik, są objawami stałego stanu napięcia. A ich naturalną konsekwencją

musi być w rezultacie wybuch i zbrojne rozwiązanie tych przeciwieństw nie do pogodzenia.

Istotnie, w tym samym czasie, gdy na jednym odcinku nastąpiło względne uspokojenie i w zatargu angielsko-japońskim nadeszła chwila t. zw. w języku prasowo-dyplomatycznym „odprężenia“, wybuchł w innym punkcie nowy lokalny pożar, bitwa powietrzna na granicy mandżursko-mongolskiej czyli po prostu mówiąc, sowiecko-japońskiej.

Można przypuszczać, że po względ-

nym uspokojeniu na tym odcinku, nastąpią nowe wybuchy na najbardziej niespodziewanych punktach, jak np. w Sjamie lub na wyspach należących do posiadłości kolonialnych holenderskich. Bowiem Daleki Wschód jest niesłychanie skomplikowanym terenem gry sił i interesów i nie wiadomo, gdzie z dnia na dzień wyskoczy nowy, palący problemat do rozwiązania.

Jedno można stwierdzić z całą pewnością. Klucz do sytuacji znajduje się w ręku decydującego czynnika dynamicznego na Dalekim Wschodzie, w ręku Japonii. I tu dochodzimy do trzonu zagadnie-

nia. Polityka Japonii, japoński plan w sprawach Azji jest najważniejszym motorem przemian na Dalekim Wschodzie. A polityka Japonii nie jest akcją od przypadku do przypadku; jest naturalnym wynikiem potrzeb gospodarczo-politycznych, związanych nierozdzielnie z nadbudową teoretyczną ideową, ze swego rodzaju azjatycką doktryną Monroe'ego.

W każdym razie, o ile Anglia czy Stany Zjednoczone bronią istniejącego stanu rzeczy i swych ogromnych inwestycji na terenie chińskim, o tyle Japonia przychodzi z pewnym planem konstruktywnym, o dalekosiężnym zakresie.

Możemy prześledzić kolejno elementy składowe ekspansji japońskiej i jej ideologię, korzystając z najbardziej miarodajnego źródła. W roku ubiegłym ukazała się praca autora japońskiego, p. Tatsuo Kawai, jednego z kierowników japońskiej akcji propagandowej, która charakteryzuje siły motoryczne ekspansji japońskiej i z całą szczerością określa stosunek Japonii do interesów „państw białych“ na terenie Azji, dając jednocześnie szkic programu japońskiego w sprawie chińskiej i pan-azjatyckiej. Można pracę p. Kawai traktować jako materiał do dyskusji, ale nie sposób zaprzeczyć, że jest ona odbiciem miarodajnych poglądów najwyższych czynników politycznych i wojskowych Nipponu.

* * *

Założeniem ideowym ekspansji japońskiej jest misja najprężniejszej rasy, najbardziej twórczego narodu Azji. Dowodami tej prężności i jej walorów twórczych są: imponujący wzrost zaludnienia wysp japońskich, nie wystarczających już dla wielkich potrzeb narodu oraz wszechstronna rozbudowa sił i energii japońskiej na terenie gospodarczym, czy też na naukowym i duchowym.

Te motory życiowe są współczynnikami ekspansji japońskiej. Ludność, która w roku 1872 wynosiła 33 miliony, zwiększyła się w ciągu lat czterdziestu (mowa tu o zasadniczych ziemiach japońskich) do 60 milionów, a według ostatniego spisu ludności przekroczyła 70.000.000. Jeżeli doliczyć tereny państwa Mandżukuo, to liczba ludności Japonii wynosi przeszło 100 milionów.

Jeżeli chodzi o gęstość zaludnienia, to Japonia znajduje się na czwartym miejscu za Belgią (270), Holandią (233), Anglią (188), mając 169 na klm. kwadr. Ale, jak podkreśla autor japoński, należy odliczyć tereny góryste i nie nadające się do zamieszkania, by otrzymać prawdziwą cyfrę gęstości zaludnienia, t. j. około 1.000 ludzi na klm. kw.

Przyrost roczny wynosi przeszło milion ludzi. W parze z liczbą idzie jakość materiału ludzkiego. Japończyk jako obywatel i żołnierz posiada przeciw ustalona opinii na świecie. A dowodem wysokiej zdolności umysłowych jest łatwość z jaką kraj tak tradycjonalistyczny, przyswoił sobie w krótkim czasie zdobycze wielu wieków cywilizacji europejskiej, nie tracąc nic ze swych cech duchowych, które decydują o dzisiejszych posunięciach państwa, o walorach jego armii.

O rozbudowie potencjału gospodarczego mówią następujące cyfry orientacyj-

ne: w r. 1868 wynosił budżet państwowy Japonii około 33 milionów jen, w roku zaś 1935 — 2 miliardy 300 milionów jen. Między rokiem 1898 a 1935 wzrosła suma globalna eksportu i importu japońskiego czterdziestokrotnie. Dochód społeczny, który w r. 1905 wynosił półtora miliarda jen, osiągnął w r. 1936 — 16 500 milionów jen.

Na każdym polu gospodarczym, w przeliczeniu na jednostki wrzecion w fabrykach tkackich czy jednostki energii elektrycznej, w wydobywaniu węgla, widać rozbudowę, która w cyfrach stosunkowych prześciga potężne organizmy gospodarcze Anglii lub Stanów Zjednoczonych A. P.

W dalszym ciągu swych wywodów przytacza autor japoński cyfry dotyczące wysokiego poziomu upowszechnienia oświaty, widząc w tym jeszcze jeden ele-



Oto jedna z wielu ulotek antyjapońskich, wydawanych przez tajne chińskie organizacje niepodległościowe

ment ekspansji japońskiej. Nie dziwnego, że w oparciu o takie składniki stworzyła Japonia siłę zbrojną, jedną z najsilniejszych na świecie. Siłę, której podstawami są w równym stopniu zdrowie fizyczne, jak i wysokie „morale“ oparte o kodeks rycerski „Bushido“.

Warto porównać cyfry dotyczące wojaskowego budżetu Japonii. W 1893 r., w rok przed wojną japońsko-chińską wynosiły wydatki wojskowe 14.700.000 jen. W 1936 r. — przeszło 720 milionów. W tej samej proporcji urosły wydatki na flotę.

Oto są składniki naszej ekspansji — mówi autor japoński z dumą, nie pomijając obok zestawień cyfr z zakresu gospodarki i wojska, czynników duchowej siły swej ojczyzny: rozwoju nauk, postępu wynalazczości japońskiej na każdym polu, od matematyki do medycyny. Japonia nie odpierała wpływu obcych, umiała w równym stopniu asymilować zdobycze filozofii europejskiej jak techniki, zachowując przy tym narodowy charakter swej kultury, opartej o starożytną myśl Azji.

Wszystkie te argumenty p. Kawai zmierzają do wykazania wyższości narodu japońskiego nad innymi, skostniałymi narodami Azji, uzasadniając w ten sposób konieczność wyjścia poza obręb wyspiarskiego życia dla rozbudzenia bratnich narodów śpiących letargicznym snem. Nie jest więc ekspansja Japonii zjawiskiem imperializmu polityczno-gospodarczego, a jest idealistycznym ruchem, wynikającym z kategorycznego imperatywu życia i rozwoju.

* * *

Nie znaczy to jednak, że filozoficzne abstrakcje przesłaniają teoretykowi ekspansji japońskiej rolę penetracji gospodarczej kapitału japońskiego na lądzie azjatyckim.

Oto kilka danych z dziedziny handlu, które wskazują, że z każdym rokiem wzrasta znaczenie rynków azjatyckich dla życia gospodarczego Japonii: w roku 1931 miał eksport Japonii do Azji wartość 505 milionów jen, w 1933 — 930 milionów a w 1935 przekroczył miliard i trzysta milionów jen. Na drugim miejscu znajduje się eksport do Ameryki płn. z cyframi z r. 1931 — 442 miliony i 1935 — 579 milionów.

W imporcie Japonii w r. 1935 zajmują Azja i Ameryka płn. jednakowe miejsce z cyframi 870 milionów jen.

Obrazem rozmachu penetracji japońskiej na ląd Azji może być rozwój floty handlowej. Przed wojną rosyjsko-japońską w r. 1903 posiadała Japonia flotę handlową o ogólnym tonażu 650.000, w roku zaś 1934 wynosił tonaż handlowy 3.860.000 ton.

Przed wojną europejską wynosiła przeciętna szybkość statków japońskich 9 węzłów a w roku ostatnim przekroczyła 18 węzłów, co, jak słusznie zauważa autor japoński, znakomicie przyspiesza oprowadanie gospodarcze lądu azjatyckiego.

Idealistyczna wizja Azji zreformowanej pod przewodnictwem Japonii nie może przesłonić faktu, że kapitał japoński zainwestował w Mandżurii 2 miliardy 800 milionów jen a miliard w Chinach. Można więc bez złośliwości pod adresem japońskiego autora powiedzieć, że jest o co walczyć w Chinach i Mandżurii, poza wypełnianiem misji dziejowej, wpływającej z ducha Azji.

Ale idźmy dalej za myślą autora „Celu ekspansji japońskiej“.

* * *

Ekspansja japońska była koniecznością życiową Japonii, zarówno ze względu na znalezienie ujścia dla nadmiaru sił, jak i na konieczności samoobrony przeciw możliwości ataku z kontynentu. Ale ekspansja japońska to nie imperializm państw białych, to nie szukanie nowych kolonii i podbijanie wolnych narodów — twierdzi p. Kawai.

Stworzenie Mandżukuo może być najlepszym przykładem systemu japońskiego, opartego na zasadzie równości w traktowaniu i sprawiedliwości. Jest to według nomenklatury pisarza japońskiego „ekspansja twórcza“, która musi w swym obrębie zamknąć również Chiny. A istnieje-

ją podstawy duchowe współpracy japońsko-chińskiej.

Kto nie rozumie konieczności tej współpracy, ten nie rozumie ducha Azji. Elementy antyjapońskie w Chinach — mówi p. Kawai — popelniają grzech śmiertelny przeciw swej własnej ojczyźnie. Bo przecież Japonii chodzi przede wszystkim o to, by wyrwać Chiny ze stanu pół-kolonii i włączyć je do systemu współzycia równych z równymi narodów odrodzonej Azji.

(Walka z państwami, posiadającymi koncesje w Chinach i żądanie likwidacji tych koncesji, wysunięte przez japońskie rządy chińskie, jest uwydatnieniem tej linii ideowej teoretyka ekspansji japońskiej).

Również gospodarzo zyskałyby Chiny wiele ze współpracy z blokiem Chiny — Japonia — Mandzuria, bytyby bowiem jako kraj mienasycouy przemysłowo uzupełnieniem Japonii i miałyby ważne miejsce w systemie azjatyckim dzięki swym obrzytnim bogactwom naturalnym. Japonia pochłaniałaby cały eksport Chin, dając wzamian swe doświadczenie techniczne i kapitał.

System azjatycki złożony z Japonii — Mandzurii i Chin jest więc nie tylko wyrazem ideału pan-azjatyckiego ale i systemem ekonomicznym, w którym groźne niebezpieczeństwo dla swych interesów muszą widzieć państwa koncesyjne, Anglia i Stany Zjednoczone, występujące dla kontrastu z ideami ducha azjatyckiego jako heroldowie rasy białej.

* * *

Ale nie poprzestaje autor japoński na motywach motorycznych swego narodu i państwa. Szuka dalszych, szerszych analogii dla swego systemu azjatyckiego i widzi przyszłość świata w realizacji trzech ładów, opartych na podobnych zasadach. Porządek amerykański, europejski i azjatycki wywodzą się z hasła „Ameryka dla Amerykanów”. Doktryna Monroego, która między innymi położyła tamę emigracji japońskiej w Ameryce, służy do uformowania nowej doktryny azjatyckiej. Jej chorążym jest Japonia, celem wojny w Azji jest dźwignięcie Chin do świadomości swej roli dziejowej. Zrozumienie ducha Wschodu — oto naczelna potrzeba — wola pisarza japoński, a wyrazem jego sposobu rozumienia tego ducha jest wielka wizja konsolidacji trzech państw azjatyckich, ich unifikacji idącej bardzo daleko,



Na okupowanych terenach Chin tworzą Japończycy oddziały specjalne, złożone z oddanych sobie Chińczyków. Na zdjęciu oficer japoński wręcza dowódcy chińskiemu symboliczny poświęcony miecz

bo aż do unifikacji języka. Ma to być coś na podobieństwo Imperium Brytyjskiego.

Jeno niech Chiny zrozumieją, gdzie leży ich prawdziwy interes — pisze p. Kawai. Nie we wzbogacaniu mocarstw koncesyjnych, obcych i wrogich narodowi chińskiemu sił, ale we wzajemnej pomocy i współpracy z Japonią.

We wszystkich tych wywodach brak tylko jednego członu: stosunku do nacjonalizmu chińskiego, do ruchu odrodzencego, do prawa Chin do stanowienia o sobie, wyboru własnej drogi i własnych form istnienia. Grzechem śmiertelnym nacjonalizmu chińskiego jest to, że nie chce się poddać kierownictwu Japonii. Czang-Kai-Szek jest symbolem tej „zbrodniczej” anty-azjatyckiej, bo skierowanej przeciw duchowi Azji, akcji chińskiej.

Ale trudno przekreślić wolę narodu chińskiego. I tu jest największy szkopuł w realizacji daleko idących planów japońskich, większy niż w grze i przeciwnostwach interesów inwestycyjnych i handlowych. Tu znajduje się zawężenie największego problemu. Bo przeciwieństwo japońsko-chińskie nie da się rozwiązać nakazami ducha Azji i filozofii „Musubi”, którą autor japoński uważa za alfę i ome-

gę duchowego podłoża jedności japońsko-chińskiej.

* * *

Oto jeszcze jeden aspekt z zakresu zagadnień Dalekiego Wschodu. Z programu przedstawionego w książce Tatsuo Kawai wypływa obraz przyszłości. Japonia nie przerwie wojny w Chinach aż do jej pozytywnego wyniku. Wojna w Chinach to jednocześnie walka z młodym nacjonalizmem chińskim i z interesami państw trzecich na terenie Chin. Przeciwnictwa te na drodze pokojowej rozstrzygnąć się nie dadzą. Dlatego będziemy świadkami niejednych jeszcze awantur „koncesyjnych”, blokad, ostrych protestów i not. Dojrzeją również przeciwieństwo sowiecko-japońskie, inna strona zagadnienia azjatyckiego, które w bliższej czy dalszej przyszłości znajdzie swoje rozwiązanie w zmaganiach, mogących zdecydować o losach Azji i świata. (S.).

SILNE LOTNICTWO TO POTĘGA POLSKI

SAMOZATRUCIE NA TLE WĄTROBY

Samozatrucie bywa przyczyną wielu dolegliwości: bóle artretyczne, łamanie w kościach, bóle głowy, podenerwowanie, bezsenność, wzdęcia, odbijanie, bóle w wątrobie, niestrawność w ustach, brak apetytu, swędzenie skóry, skłonność do obruski, plamy i wyrzuty na skórze, skłonność do tycia, mdłości, język obłożony. Trucizny wewnętrzne, wytwarzające się we własnym organizmie, zanieczyszczają krew, niszczą organizm i przyspieszają starość. Wątroba i nerki są organami

oczyszczającymi krew i soki ustroju. Przeszło dwudziestoletnie doświadczenie wykazało, że ziola lecznicze

„Cholekinaza” H. Niemojewskiego, jako żółcio-moczopędne, są naturalnym czynnikiem odciażającym soki ustroju od trucizn własnych. Bezpłatne broszury otrzymać można w laborat. fizjolog.-chem. „CHOLEKINAZA” H. NIEMOJEWSKIEGO, Warszawa, Nowy-Swiat 5, oraz w aptekach i składach aptecznych.

PRZED WYJAZDEM NA URLOP

NA WIEŚ
W GÓRY, NAD MORZE

Sz. Prenumeratory zechcą zawiadomić Administrację naszego pisma (Warszawa, Zgoda 12) o zmianie adresu, by mogli bez przerwy otrzymywać nadal „Tygodnik Ilustrowany” i „Naokoło Świata”.

Zmiana adresu bezpłatnie.

Przegląd polityczny

Taktyka, która zawodzi...

Obserwując rozwój akcji niemieckiej wobec Polski zorientować się można bez trudu w jaki sposób akcja ta została rozplanowana. Z jednej strony dążą Niemcy do tego, aby przez prowokowanie rozmaitych incydentów i szerzenie alarmistycznych wiadomości w jaknajwiększym stopniu zdeenerwować polską opinię publiczną, zmęczyć ją psychicznie, a wyczerpaną nieustanną groźbą wojny — uczynić skłonniejszą do ustępstw. Na zewnątrz zaś stara się propaganda niemiecka wykazać naszą rzekomą agresywność, głosi, że to właśnie Polska jest czynnikiem, który prowokuje, uniemożliwiając pokojowe rozwiązanie problemu. Przez „demaskowanie” „awanturnych planów” Polski dąży propaganda niemiecka do zasiania nieufności między Paryżem i Londynem a Warszawą i — w konsekwencji — do osłabienia sojuszniczej współpracy między tymi trzema stolicami. Jak bowiem wiadomo, sojusze, łączące Anglię, Francję i Polskę, są tak ścisłe i oparte na tak wielkim wzajemnym zaufaniu, że każdy z partnerów decyduje sam o stanie swego zagrożenia, wymagającego wspólnej zbrojnej reakcji. Wystarczy więc ze strony Polski stwierdzenia, że czuje się zagrożona i występuje czynnie, aby natychmiast pośpieszyła Jej z pomocą cała potęga zbrojna Francji i Wielkiej Brytanii. Rzecz jasna, że tak ścisłe więzy sojusznicze polsko-angielsko-francuskie nie sprzyjają agresywnym zamiarom Rzeszy. Berlin pragnąłby więc współpracę tę osłabić przez sugerowanie państwom zachodnio-europejskim, że „awanturcza” polityka Polski niepotrzebnie wciągnie je do wojny, gdy w ogóle obiekty, o które chodzi (w pierwszym rzędzie Gdańsk) wojny warte nie są.

Jeżeli chodzi o próbę zdeenerwowania społeczeństwa polskiego, to usiłowania te przypominają dość wyraźnie taktykę, jaką zastosowali Niemcy przed rokiem w sprawie Czecho-Słowacji. Tym razem spotkał jednak Niemców zawód. W Berlinie najwidoczniej nie zdawano sobie należycie sprawy, że Polacy — to nie Czesi. Opinia polska pozostaje czujna, bojowa, zdecydowana, lecz zarazem najzupełniej spokojna i opanowana. Prowokacje niemieckie nie zdołały nas wytrącić z równowagi. I bodaj znacznie większe zdeenerwowanie wykazują autorzy błędnie pomyślanego planu taktycznego — na co wskazują choćby wybitnie nieopanowane mowy min. Gloebhelsa...

Postawa Polski wzbudza nieklamane uznanie Zachodu. Znamienne wystąpienie posła Daltona, który na forum Izby Gmin zapytał premiera brytyjskiego „Czy rząd J. K. M. byłby skłonny wyrazić w Warszawie podziw, odczuwany w W. Brytanii dla spokoju, odwagi i opanowania, wykazywanych przez naszych polskich sojuszników w obliczu sytuacji?” i odpowiedź premiera Cham-

berlaina, który przy głośnych owacjach całej Izby stwierdził, że „Rząd brytyjski bardzo wysoko ceni stanowisko, zajęte przez rząd polski” — nie wymagają komentarzy.

Ta niezmiernie wymowna manifestacja pozwala też się zorientować, jak „imponujące” efekty przyniósł wysiłek Niemiec, zmierzający do wmówienia w opinię zagraniczną, że to Polska jest stroną prowokującą, a więc nie zasługuje na poparcie... Dni ostatnie przyniosły kilka jeszcze doniosłych wystąpień, które na tle zgodnego chóru prasy francuskiej i angielskiej nie pozostawiają miejsca na wątpliwości co do stanowiska Paryża i Londynu.

Daladier — Churchill — Halifax

Przede wszystkim podkreślić należy słowa premiera Daladier, który zamykając sesję parlamentu francuskiego, wyraził głębokie przekonanie, że „nie będzie już nigdy bezpieczeństwa na Zachodzie, jeśli się nie sprzeciwiemy Niemcom na Wschodzie”. Słowa te spotkały się z głośnym aplauzem całej Izby. Francja rozumie już doskonale, że swej niepodległości nie może bronić jedynie na linii Maginota, odwracając się plecami do Europy. A zdając sobie sprawę, że zwycięstwo Niemiec na Wschodzie Europy, to ich hegemonia na kontynencie i likwidacja mocarstwowej pozycji Francji — jest już Francja gotowa przeciwstawić się czynnie każdej nowej próbie agresji niemieckiej, uważając najściślejszą solidarność z Polską za podstawowy nakaz swej racji stanu.

Mowa Winstona Churchilla zasługuje na szczególną uwagę, mimo iż wybitny ten polityk angielski nie jest obecnie członkiem rządu. W każdym razie głos jego jest bardzo ceniony, zwłaszcza w rządzącej partii konserwatywnej, nie ulega zaś wątpliwości, że przemówienia swego nie wygłaszał Churchill bez porozumienia z rządem. Otóż stwierdzając, iż zapatruje się bardzo poważnie na sytuację, podkreślił Churchill, że naród angielski i Imperium Brytyjskie doszły do granic cierpliwości i ostrzegł Hitlera, aby nierozważną decyzją wywołania wojny nie rujnował dzieła swego życia. Hitler powinien wiedzieć, że na wypadek nowego aktu gwałtu ze strony Niemiec Anglia nie pozostanie na uboczu, a w szczególności zaś każdy akt waltu przeciw Polsce w Gdańsku, niezależnie od tego czy dokonany będzie od wewnątrz, czy od zewnątrz musi wywołać konflikt ogólny.

Nie mniej ostre i zdecydowane było wystąpienie ministra spraw zagranicznych W. Brytanii, lorda Halifaxa, który w sposób stanowczy rozpraszając złudzenia Niemiec, iż na wypadek wojny Anglia mogłaby pozostać bezczynna. Anglia nie zamierza ustąpić ani przed obelgami, ani przed przemocą, a w razie agresji wykona co do jedy-

LMK^a przez FOM

walczy o kolonie i surowce dla Polski, broni dróg komunikacyjnych do kolonii.

swe zobowiązania, używając w tym celu całej nagromadzonej siły.

Jak więc widzimy, próba Berlina, aby izolować Polskę, a opinii zachodnio-europejskiej wmówić, że o Gdańsk bić się nie warto — skończyła się kompletnym fiaskiem. W Paryżu i Londynie nie tylko całkowicie uznają i aprobuje stanowisko Polski oraz są gotowi jak najdokładniej wykonać zaciągnięte wobec Niej zobowiązania, ale dbają też o to, aby Niemcy nie mogli mieć najmniejszych wątpliwości co do pełnego zdecydowania i gotowości bojowej mocarstw zachodnich.

Gdańsk

Sprawa Gdańska jako problem oderwany od prostu dla Zachodu nie istnieje. Argumenty niemieckie, powołujące się w odniesieniu do Gdańska na zasadę samostanowienia narodów, po aneksji Czech i Moraw, nie mogły być oczywiście potraktowane poważnie. Opinia zagraniczna zdaje sobie sprawę, jak wielkie znaczenie ma Gdańsk dla Polski, wiedząc jednocześnie, że dla Niemiec przyłączenie Gdańska to tylko etap do całkowitego odepchnięcia Polski od Bałtyku i uzależnienie Jej od Berlina, co byłoby równoznaczne ze zwycięstwem przez Rzeszę hegemonii w Europie. Dla tego też nie udało się trick propagandy niemieckiej, która pokładała tak wielkie nadzieje w rozpaleniu dyskusji na temat „czy warto umierać za Gdańsk”. Społeczeństwa Anglii i Francji rozumieją doskonale o co toczy się gra i nie pomogą tu żadne „chwytły”.

Dlatego też ogólne uznanie wywołał krok ministra spraw zagranicznych Francji p. Bonnet, który wezwawszy ambasadora Rzeszy w Paryżu uprzedził go oficjalnie w imieniu nie tylko Francji, lecz i Anglii, że oba mocarstwa są zdecydowane wypełnić w całej rozciągłości znane zobowiązania powzięte wobec Polski. Krok ten był wywołany wiadomościami o możliwościach uszczerpkowania hitlerowskiego w Gdańsku, a opinia angielsko-francuska, jak o tym świadczyła również mowa Churchilla, zdaje sobie należycie sprawę z konieczności reakcji Polski — i solidarnej pomocy Jej zachodnich sojuszników także na wypadek, jeśli Niemcy spróbują dokonać Anschlusu Gdańska „od wewnątrz”.

Jeśli chodzi o Polskę — stanowisko Jej w sprawie Gdańska nie uległo oczywiście żadnej zmianie. Nie damy się sprowokować, nie pozwolimy jednak również na jakiegokolwiek uszczerpkowanie praw Rzeczypospolitej w Wolnym Mieście. Polska obserwuje rozwój wypadków w Gdańsku z należytą czujnością i uwagą, a gdyby zaszła tego potrzeba — znajdzie z pewnością odpowiednie środki reakcji przeciw wszelkiej próbie zamachu na Jej żywotne interesy.

KURACJA WE FRANCJI PRZYWRACA ZDRODIE
LECZCIE SIĘ W SŁYNNYCH ZDROJOWISKACH FRANCUSKICH



40% zniżki na kolejach. — 050 fr.
zniżki na litrze benzyny na podstawie
„Carte de Voyage Touristique”
w cenie 40 fr.



Informacje

FRANCUSKI URZĄD TURYSTYCZNY

Warszawa, Ossolińskich 4, Tel. 648-85

(Wycieczki organizują biura podróży)

INNOMINATA*)

Wysmukła w kształtach piramida, giąca w masie monumentalnego cieleśka Mont Blanc. Innominata — „turnia nie nazwana!“ Wraz z Pizzo Eccles (Pikko Ekl) — jak dwa potężne pylony strzegą wrót południowej ściany „dachu Europy“¹⁾. Gdy przejdziesz te wrota, ściana Mont Blanc ogarnie cię jak morze. Widzisz piętrzące się nad tobą skalne turnie. Mienia się w słońcu różnorodnymi barwy: szarą, różową, piaskowo-żółtą, zielonkawą i brunatną. Widzisz dokoła kolosalne, żłebki, depresje, kominy w których iskrzą się w słońcu niebiesko-zielone zwały lodu. Lodowe gnachy i skalne zaułki. Świat stał się odłąd pojęciem wertykalnym: rozciąga się nad twą głową i pod twymi stopami. Gdy zbliża się południe, kominy i żłebki grmią lawinami. Masy rozprysniętego



Pizzo Innominata

lodu, dziesiątki wielkich głazów walą się w dół w obłąkanym pędzie. Wkoło rozgrzane powietrze drga od huków. Świat oszalał od żaru. Śnieg, po którym stąpasz, jest rozmiękły, lecz nie gasi pragnienia, gdy go wziąć w spieczone wargi. O kilkadziesiąt kroków — tak blisko zdawałoby się, a jednak już poza zasięgiem stopy ludzkiej — z lodowych sopli ściekają wąskie strumyczki wody. I gdzieś w odległym żłebie szumi potok.

*

Trzecią już z rzędu noc spędzamy w ścianie Mont Blanc. Burza śnieżna trwa. W plachcie biwakowej, w której leżymy, jest przeroźliwie zimno i szczykamy zębami. To jedno nam pozostaje, lub co najwyżej jeszcze możemy strzepywać z twarzy śnieg, który sypie się do środka przez szpary otworu wejściowego. Jest zbyt zimno, żeby spać, choć każdy z nas ma na sobie dwa wełniane swetry i brezentowe ubranie, a twarz zasłonił wełnianym szalem.

Próbuję zapalić fajkę. Wydaje mi się — może słusznie — że to rozgrzewa. Zresztą rozgrzewa na chwilę każde silniejsze po-

ruszenie. Mimo to trwamy niekiedy całe godziny w apatycznym odrętwieniu, bo brak już energii na wyjście z bezruchu.

Wielka gumowa koperta, w której biwakujemy, po kilku godzinach „snu“ zawiera tak mało tlenu, że wszelkie próby zapalenia fajki dają w rezultacie tylko pewną ilość zsmarowanych zapalek i ostry swąd siarki. Można wprawdzie rozpiąć nieco płachę i wysunąć głowę na zewnątrz, ale tam gwałtowny wiecher ze śniegiem nie pozwoli zapalić nawet papierosa.

Odkladam z rezygnacją fajkę i usiłuję zasnąć. Zasnąć i zapomnieć, że jestem w środku kolosalnej ściany alpejskiej potłuczony, pozbawiony niezbędnych do dalszej wspinaczki czekana i młotka — że prawą stopę mam zwichniętą w kostce, a burza śnieżna szaleje dalej.

Któż z nas dwóch pomyślał o tym rankiem, poprzedzającym tę noc, gdy w potokach słońca wkraczaliśmy na lodowe zbocza kolosalnej depresji, huczącej lawinami. Ten trzeci już dzień wspinaczki z ciężkim bagażem nadszarpał nam siły, mimo to poszliśmy naprzód, a każdy wyrąbany w lodzie stopień zbliżał nas o krok do skalistej grzędy, rysującej się na tle nieba. Grzędy tej wyczekiwaliśmy, jak zbawienia. Wydawało się, że zaprowadzi ona już łatwo na grań szczytową Mont Blanc. Godziny upływały jedna za drugą, a im bliżej byliśmy grzędy, tym silniej ogarniał nas nastrój bliskiego zwycięstwa. W głębi duszy zjawiała się niewypowiedziana przed towarzyszem nadzieja, że może już dzisiaj będziemy nocować w schronisku Vallot, pod szczytem Mont Blanc, które — choć prymitywne i niezagospodarowane — zdało się nam teraz bezpieczną przystanią. Nawet niewytłumaczone zniknięcie mojego młotka do wbijania haków asekuracyjnych — strata, która tak fatalnie zaciężyła nad dalszym przebiegiem naszej wyprawy — nie potrafiło nas zmartwić na długo. Trudno — zniknął, to zniknął — będziemy sobie radzić jakoś bez niego. Gorzej, że pogoda psuła się najwidoczniej. Ciężkie, burzowe chmury nadeignęły od południa, zewsząd nas otoczyły i zakryły świat.

Gdy na śnieżnej przelączce upragnionej grzędy zapalałem papierosa — wiedziałem już, że nie będziemy nocować u

Vallota ani dziś, ani może nawet jutro, bo grzęda spiętrzała się nad nami w skrzęsanych uskokach, ginących we mgłę, a burza śnieżna zhlizła się szybko, by ogarnąć nas za chwilę.

Diabelnie niemiło jest wspinać się pionowym kominkiem z ramionami obciążonymi plecakiem. W ciasnocie kominka wyrąbywałem czekaniem miniaturowe stopnie dla oparcia dwóch przednich kołeczków¹⁾, a marznące palce obejmowały sople lodu. Sople trzeszczały niepokojąco, groziły zawałaniem. Na platformie nad kominkiem znalazłem trofeum — wełnianą rękawicę, zgubioną przez kogoś z poprzedników.

Burza śnieżna rozpoczęła się na dobre. Pole widzenia zacieśniło się do kilkunastu metrów kwadratowych. Dalej zacięrało się w szarości zadymki. Ostry wicher przenikał nas poprzez swetry i wiatrówki. Mokry śnieg wciskał się za kołnierze i przenikał wilgocią.

Stromość grzędy nie złagodniała. Co raz to „stawiała dęba“ ukazując oczom uskok za uskokiemi. Wspinały się walcząc z burzą. Teraz właśnie — chcąc nie chcąc — odpinam raki, by wykonać skomplikowany trawers skalny, który trudnością i charakterem masuwa nam obydwóm porównanie ze słynnym „dolnym trawersem“ na tatrańskiej Zamarłej turni. Po nim — na odmianie — przykre ołdzone płyty. Wyżej spiętrza się pionowa ścianka śnieżna. Wbijam w nią ręce poza łokcie, nogi wkopuję głęboko. Śnieg jest podejrzenie miękkie. Utrzyma, czy runie w dół? Utrzymał. Głęboką szczeliną pomiędzy śniegiem a przewieszoną skalą przeciskam się kilka metrów w prawo i staję na dość obszernej półeczce pod nowym uskokiemi. Od biedy można by tu biwakować. Wyżej jednak, kilkanaście metrów nade mną, grzęda obiecuje wygodną platformę i —

*) Wspomnienie z przejścia południowej ściany Mont Blanc (4.807 mtr.), dokonane w dn. 6 — 10 sierpnia 1937 r. przez dr. T. Bernardzikiewicza i W. Żulawskiego. Przejście południowej ściany uchodzi za jedną z najtrudniejszych dróg, wiodących na najwyższy szczyt Europy.

¹⁾ Raki — stalowe kolce przymocowane do butów, ułatwiające poruszanie się po stromym lodzie.

Wierchoczek Aiguille Noire de Pentérey (widok z drogi poprzez Innominatę)



kto wie? — może już nawet koniec trudności. A więc — nie ma co dyskutować: ostatni skok nie będzie chyba gorszy, niż poprzednie.

Usiłuję przekrzywić ryk burzy, aby porozumieć się z towarzyszem. Dochodzi do mnie i usadawia się wygodnie na półeczce, zapewniając mi dobrą asekurację. Wiatr, burza, trudności drogi — wszystko to podnieca nerwy, dopinguje do wysiłku i pośpiechu. Pośpiechu nieopatrznego — pośpiechu, który nosi sam w sobie zarodek niebezpieczeństwa. Tak jak stałem — z czekaniem zwisającym na pętli z przegubu prawej dłoni, w rakach, z ciężkim workiem na plecach — wparłem się w ścianę usku.

Od razu widzę, że jest źle. Wychodzę kilka metrów. Trudno, nadzwyczaj trudno. Stoję na miniaturowej listewce i rozmyślam, że bez wbicia haka iść w górę byłoby prostym szaleństwem. I raptem uświadamiam sobie: młotek zgubiłem przecież, a drugi, wraz z wszystkimi hakami ma mój towarzysz. Sytuacja jest po prostu groźna, bo trzeba wracać, a wracać bez wbicia haka jest bardzo trudno. Jest trudno, ale trzeba spróbować! Szczęście to, że mam przynajmniej dobrą asekurację.

Robię krok w dół i natychmiast widzę, że jest znacznie gorzej, niż przedtem. Teraz już nie mogę ani na chwilę oderwać ręki od skały i o tym, aby wyciągnąć od towarzysza na linie hak i młotek — nie ma mowy. Wydaje mi się za to, że na prawo znajdę wygodne stopnie. Wyciągam nogę daleko, rozpieram się — i teraz jest już zupełnie źle. Zdaję sobie sprawę, że za chwilę zlecę.

— Asekuracja! Uwaga! — mówię do towarzysza, a jednocześnie usiłuję przemieścić czekanie nieco w górę i zacząć jego ostry, stalowy dziób w szczelinie skalnej. Koncentruję na tych bezowocnych wysiłkach pozostały zapas energii.

— Uwaga, zaraz polecę — mówię znowu. Uplywają minuty, a ja czuję, że na wietrze i chłodzie palce rąk, którymi trzymam się skały, marzną mi dotkliwie i coraz bardziej tracę władzę w dłoniach. Za chwilę chwytły wysuną się z zeszywniałych palców.

Stało się.

— Lecę — powiedziałem jeszcze, czując że odrywam się od skały.

Spadłem na położoną niżej płytę — na nogi. Jak piłka odbiłem się od niej i głową w dół runąłem w próżnię. Świat zawirował dookoła. Jak oszalała karuzela przeleciały mi w oczach kominy, żłehy, lodowe plaśnie i skalne występy. Znikły. Zostały tylko chmury i przestrzeż, przez którą płynąłem, jak ptak. Nowe, bolesne zetknięcie ze skałą. Zbudzony instynkt życia każe się ratować do ostatka. Czuję, że — ciągle do góry nogami — szurgam plecami po stromym, piarżystym żłebku. Gwałtownie wysunięty w tył łokiec hanują pęd, jak płuگی sań. Zatrzymałem się!

Uderza natychmiastowy powrót do bezruchu i rzeczywistości. Z bezkształtnej mgły przed oczyma wylania się — o tysiąc metrów poniżej mej głowy — lodowiec Brouillard. Nieartykułowany szum w głowie znika, a słabym jedynie jego przedłużeniem jest stuk drewnianego kija, spadającego po głazach. Czekan! — zrozumia-

łem natychmiast ze złością — zgubiłem czekan!

Z góry sływa do mnie stroskany głos: — Czy nic ci nie jest? — i czy żyjesz w ogóle?

Przekręcam się o sto osiemdziesiąt stopni i gramolę w górę.

— Naturalnie, że żyję, a także nie mi właściwie nie jest, ale zgubiłem czekan — mówię dochodząc do półeczki, gdzie zostawiłem partnera. — Zabiwajemy tu chyba?

Mówię to z trochę sztuczną wesołością, ale w chwilę potem — patrząc tępo, jak towarzysz czynił przygotowania do noclegu — uczułem ostry ból w prawej kostce, ciało piekło mnie od potłuczeń, bałem się spojrzeć w dół, a nogi dygotały podę mną febrycznie od nagłego wyczerpania i rozluźnienia napiętych nerwów.

Gwałtowny atak zimna przerywa mi bieg myśli. Szczęki latają, jak w gorączce, ciało przebiegają dreszcze. Trzęsę się i drgam każdą żyłką zosobna. Słyszę obok



Fragment południowej ściany Mont Blanc (miejsce wypadku W. Żuławskiego)

siebie lekkie poruszenie i teraz już obaj z towarzyszem przez dobrą chwilę kłapiemy zgodnie zębami, jak w jakimś przeraźliwym tańcu św. Wita.

Noc wlecze się beznadziejnie wolno. Minuty rozciągają się na kwadrans — kwadrans na godziny.

Pamiętam słowa wypowiedziane przez mego towarzysza, gdy dowiedział się o stracie czekana, stracie równej kłęczce. Słowa wypowiedziane lekko, zdawkowo.

— No cóż — mówił — w najgorszym razie „zostaniemy“ sobie tutaj.

Nie odpowiedziałem na to nic, ale słowa te wzbudziły we mnie bunt. Śmierć górską tyle razy apoteozowana przez ludzi piszących o alpinizmie, śmierć podnoszona często do godności bohaterstwa, wydala mi się jakąś ohydą, odartą z uroku ewentualności. Widziałem w myśli dwa zeszywniałe trupy — tu, na tej podniebnej półce — zawinięte w pokrytą lodem plachtę, przywiązane sznurami do wbitych w skałę haków. I co dziwniejsze — nie

znajdowałem w tej perspektywie nic „bohaterskiego“, ani nawet romantycznego. Raczej obrzydzenie i strach. Nie, nie zostaniemy tutaj! Czulem nagły przypływ energii, przypływ (zwierzęcego?) instynktu życia. Chciałbym porwać się teraz, w środku nocy, iść dalej, palce i zęby wbijać w skałę i lód: walczyć.

Za ścianką naszego schronienia zapanała cisza. Wiatr osłabł na sile, a widać i śnieg przestał padać, bo nie wciska się już przez szpary.

W sennym odrętwieniu biegną nam dalsze godziny nocy.

Słońce poranka przynosi nam ciepło i życie. Wczorajsza burza nie oznaczała początku okresu złej pogody, jak tego obawialiśmy się. Doprawdy mamy szczęście. Czujemy się tak właśnie, jak ludzie, którzy wygrali los na loterii. Szybko zwijamy biwak. Moja nadwyżęzona stopa będzie się musiała uważać za zdrową. Ruszamy.

Fatalny uskok, na którym wczoraj zleciałem, pokonuję obecnie z najdalej idącą ostrożnością, bez raków, bez plecaka, bijąc gęsto haki asekuracyjne. Mimo to nauczyłem się na nim solidnie, a w dodatku przy windowaniu na linie dwóch ciężkich worków wnikły komplikacje, które kosztowały nas wiele wysiłku i straconego czasu.

Jeszcze jeden pionowy uskok wypadło nam przewyciężyć, ale ponad nim grzęda stawała się coraz to bardziej dostępną. Powoli zamieniła się w ostrą krawędź — stromą, ale nie trudną. Na prawo od nas widniały dzikie, poszarpane obrywy południowej ściany Mont Blanc, na lewo — w głębokim żłebku — lawiny. Co kilka minut z hukiem wystrzału armatniego ruszają zwaly śniegu, lodowe bloki, wielkie glazy przewalają się o kilkadziesiąt kroków od nas, jak rzeka górską wezbrana powodzią. Z szumem i sykaniem prześlizgują się przez półka śnieżne, by potem — trafiwszy na pastkę — wybuchnąć grzmącą kaskadą. W dusznym upale południowego słońca, w powietrzu drgającym od żaru — stąd, stamtąd, zewsząd sływa grań śmiereci. Wśród tego nasza wąska grań pnie się w górę, jak ścieżka do życia.

Strome lodowe zbrocze — w którym krawędź zatraciła się — zwiastując, że główna grań jest już niedaleko. „Niedaleko“ — to jest pewnie jeszcze dwieście, albo trzysta metrów nad nami. Tymczasem podobnie jak wczoraj — rozpętuje się burza śnieżna. Mgły i śnieżne tumany zakrywają nam z dawna upragniony widok: poziomą linię grani, ostro rysującą się na tle nieba. Nie dbamy o to. Wiemy, że musimy ją dzisiaj osiągnąć. Teren wymaga ustawicznego rąbania stopni, oddaje więc prowadzenie towarzyszowi, jako posiadaczowi jedynej czekana. Sami w bra-



ku czekana pomagam sobie w lodowej wspinaczce trzymanym w ręku ostrym stalowym hakiem.

Krótkotrwałe przejaśnienie pozwala nam dojrzeć grań. Widać ją już zupełnie dokładnie. Czekam nas jeszcze godzina lub dwie skośnego trawersowania poprzez coraz to stromszy lodowy stok — a potem uderzenie wiatru oznajmia nam, że jesteśmy już na grani. Wieczorem, czwartego dnia od wyjścia ze schroniska.

Poludniowo - zachodnia grań Mont Blanc de Courmayeur²⁾ przynosi nam — zmęczonym do ostatka — jeszcze jedną przykrą niespodziankę. Grań ta bowiem — to ostry „koń“ śnieżny, o wąskiej krawędzi poprzerywanej gdzieś tam skalistymi uskokami. Biegnie stromo w górę, a po obudwóch jej stronach rozwierają się kolosalne otchłania. Nie jest to zapewne droga trudna, ale nie na tyle łatwa, aby ludzie wyczerpani czterodniowym, ciężkim wysiłkiem, mogli nią dojść — nocą i w burzę śnieżną — do szczytu. Cóż zrobić? — czeka nas jeszcze jeden biwak. Czwarty! Posuwamy się jakiś czas w górę, licząc, że grań się rozszerzy i pozwoli znaleźć dostatecznie wygodne miejsce na nocleg. Ciężkość stała się zupełna, a grań była dalej ostrą, jak nóż. Zrezygnowani zatrzymujemy się przy jakiejś niewielkiej skałce sterzącej ze śniegu i tam wyrzeźbujemy małą platformkę. Asekuracja przed upadkiem w dół, jaką mogliśmy sobie zapewnić przy pomocy jedyne czekania, haków i liny, była tak wątpliwej wartości, że doprawdy nie pozostawało nic innego, jak tylko liczyć na swoje szczęście osobiste.

Był to najcięższy z czterech kolejnych biwaków, które odbyliśmy w czasie wejścia na Mont Blanc poprzez l'Innominate. Nasz worek do spania wisiał nad kilkusetmetrową otchłanią w sposób, który —

²⁾ Taką nazwę nosi niższy wierzchołek Mt. Blanc (wys. 4748 m n. p. m.) Od niego to właśnie obrywa się ściana, której przejście opisuje powyższy rozdział.

Widok z lodowca Brouillard na grań Brouillard



Przełęcz Frésney z charakterystyczną szczeliną brzezną lodowca

dziś we wspomnieniach — przejmuję mnie dreszczem. Śnieg wciskał się do środka. Jedzenia nie było już wcale; zostało tylko trochę herbaty i cukru. Brak benzyny uczynił nasz prymus bezużytecznym. Mielśmy jeszcze niewielką ilość meby³⁾ i... świeczkę, przy pomocy których udało się nam roztopić menażkę śniegu, a nawet doprowadzić wodę do stanu gorącego. Wyczerpani, zmarznięci i głodni z utęsknieniem czekaliśmy na moment, kiedy herbata będzie gotowa. Marzyliśmy o błogosławionym ciepłe, które w nas wleje. Jedno nicostrożne drgnienie któregoś z nas przewraca garnek i woda wylewa się. Bolesne oparzenie i moment gwałtownego ataku bezużytecznej wściekłości. Każdy z nas jest głęboko przekonany o winie drugiego. Po chwili refleksja: trudno — herbaty i tak nie ma. Zostało tylko mokre ubranie, silnie potęgujące uczucie chłodu.

I znowu — godziny przetrwane w febrycznych dreszczach i beznadziejnym klapaniu zębami. I znowu — słońce poranka dające życie, dające siły do wyjścia z martwego bezruchu nocnej męczarni — siły do wymarszu.

Znajdujemy w sobie jeszcze energię do dalszej wspinaczki po nietrudnych zresztą uskokach, do wleczenia się granią, do wyszukania żmudnego i zawikłanego objęcia wierzchołka Mont Blanc de Courmayeur.

W potokach słońca, w powietrzu gęstym od upału — jak smoła, przecinamy

skośnie niepewne, lawinowe zbocze o rozmiękłym śniegu. Coraz częściej musimy robić krótkie wypoczynki. Słońce rano było dobrodziejstwem — teraz zabiera nam ostatek sił. Na przełęczu poza szczytem Mont Blanc de Courmayeur wiemy, że nasza walka jest skończona. Na głównym wierzchołku Mont Blanc kręcą się ludzie. Chodzą tu i tam patrzą ku nam — czasem pokiwają rękami. Dzieli nas od nich może trzysta metrów szerokiego, łagodnie nachylonego grzbietu. Idziemu ku nim zwolna, klucząc wśród szczelin. Pot splywa z nas kropliście, ręce drżą od nadmiernego wysiłku, a słońce pali bezlitośnie i rozświeca oślepiającym blaskiem wszystko: śnieg i skały, powietrze i góry.

W. Ż u ł a w s k i

³⁾ Specjalnie preparowane paliwo w tabletkach.

Odpoczynek na lodowcu Brouillard pod przełęczą Frésney (siedzi dr. T. Bernardzikiewicz)





Deputowani francuscy wyjechali na wakacje parlamentarne. Robotnicy porządkują opustoszały Pałac Burboński

Mimo naprężonej sytuacji międzynarodowej, Francuzi są dobrej myśli. Oto tłumy żołnierzy przybyłych na przepustki do Paryża



*W dniu 1 lipca wieczorem odbyła się w ramach w dziejach Polski procesja morska. Zdjęcie p...
świętym Sakramencie*

Z POLSKI I

*Olbrzymie tłumy uczestników Święta Morza
Polski*





*Na kongresu eucharystycznym w Gdyni pierwsza
całoca moment wnieśienia Monstrancji z Naj-
świętym pokładem ORP „Pomorzanin”*

ZE ŚWIATA



*Japończycy dla wzmocnienia ruchu turystycznego poczynili cały szereg inwestycji, bu-
dując wygodne hotele w pięknych miejscowościach swego kraju*

*Polacy złożyli uroczyste ślubowanie obrony praw
Bałtyku*



W Lublinie otwarto wystawę konia polskiego. Zdjęcie przedstawia defiladę nagrodzonych koni





Deputowani francuscy wyjechali na sesję parlamentarną. Polscy porządkują aperturę Pałacu Barbottini



W dniu 1 lipca przedstawiono w Warszawie koncert z okazji rocznicy wstąpienia do państwa Polski. Wykonano w Warszawie koncert z okazji rocznicy wstąpienia do państwa Polski. Wykonano w Warszawie koncert z okazji rocznicy wstąpienia do państwa Polski.



Japończycy dla stworzenia ruchu turystycznego powstali oddział turystyczny. W celu wypoczynku w pięknych miejscach wycieczki.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA

Mimo napiętej sytuacji międzynarodowej, Francuzi są dobrej myśli. Oto tłumy żołnierzy przybyłych na przystanku de Paris



Odkryto tłumy uczestników Światła Morskiego. W całym świecie odwołano słony grosz. Półki w Sadybie



W Lublinie, wzniesiono wzniesiono kolumnę publiczną. Zdjęcie przedstawia defiladę wojennych kolumn



M N E M E)

Kiedys z powodu szczerzej przyjaźni z kilku naukowcami Polakami wyznania izraelskiego byłem ogłoszony w „szabesgoja“ w Warszawie nie tylko za „szabesgoja“, ale i za bardzo wolno-myśliciela i w ogóle za masona. To ostatnie oskarżenie było absolutnie niemożliwe — jak państwa szanownych zaraz przekonam — z powodu moich kolosalnych niezdolności do konspiracji tudzież do utrzymywania przy sobie jakiegokolwiek tajemnicy. Mój starszy przyrodni brat prof. Uniwers. S. B. dr. med. R. Radziwiłłowicz zawsze wszelkie braterskie rozmowy ze mną zakańczal zwykle uprzejmie: „tylko proszę cię bardzo nie powtarzaj tego nigdzie, bo jesteś nieznośnym gadułą!“

Jednym z moich przyjaciół był w on czas dr. med. Z. K. — człowiek znaczny, przedobry — rozkochany tak w Mickiewicz,łowackim i Krasińskim, że mówił prawie ciągle ich wierszami, metaforami, myślami filozoficznymi. — co utrudniało ogromnie wszelką realną, pragmatyczną z nim rozmowę — a musieliśmy razem pracować użytecznie dla kraju w kilku instytucjach. Więc na przykład mamy pogadać o budżecie czy bilansie jakiegoś towarzystwa, a doktor Zygmunt wydobywa z kieszeni „realizowany“ przez niego plan Sopicowa z „Pana Tadeusza“ i zamartwia się, że mu jakaś stodoła gdzieś się zapodziała i ogródek warzywny Zosi wypadł za maly!... Ten człowiek modlił się z Mickiewicza, deklamował różne niesłychane ciekawostki o „Ojczyźnie“ ze Słowackiego, napawał się Krasińskim we wszelkie uroczystości narodowe, był przecie nudny chwilami i stale rozrzucony romantycznie swoją własną precyzyjną polskością. I w tę sielankę raptem, nagle, ni z tego ni z owego buch! decyzja narodowej demokracji bojkotu Żydów... który to był rok — doprawdy nie pamiętam. Przychodzę do Doktora na jakieś zebranie, a on w swym pięknym salonie pod wiszącym na ścianie wspaniałym „Druidem Skamieniałym“ Jacka Malczewskiego łamie ręce i sam chce skamienieć, uważając sprawę bojkotu za nadzwyczajną obelgę dla siebie(?) Towarzystwo całe, złożone z członków jego rodziny, też się zachowuje jak pod „Murem Placzu“... zaczynam pocieszać, uspakając — nie idzie. Wreszcie rozłoszczony trochę pytam: „doktorze! za kogo pan ma zamiar cierpieć — za Polskę, czy za Żydów?“ — Otrząsnął się trochę. — „No bo jakże. Przecie w Polsce, jak w każdym żywym organizmie, były już przecie kiedyś różne rewolucje, rokose Żebrzydowskiego, gaszenie dysydydentów, oprawianie niedowiarków... i nie się takiego nie stało, nawet w niewoli porozbiorowej Polska żyje doskonale i mamy z panem nadzieję, że żyć będzie — więc może tak Jej losy wymagają, aby coś się w niej przemello — i jakaś nowa prawda wypłynęła“?... Doktor pada mi splakany prawie na szyję, ściskamy się jak bracia, przypominam mu historię arian, kalwinów na Litwie itd. itd. a w tydzień potem, po ja-

kimś wielkim zebraniu inteligencji żydowskiej, zrywa ze mną znajomość i do jego śmierci uczciwiej jużesmy się nie widzieli.

Drugi wypadek. Umicra nagle przyjaciółka moja i żona mego przyjaciela bardzo drogiego prof. M. H. Przed śmiercią przyjmując chrzest, chciała widocznie leżeć ze swymi dziećmi na Powązkach, pomimo że ukochany jej mąż pozostał sam w grobie na Okopowej, nie chcący zmieniać sztandaru. W mieszkaniu zmarłej znajdując tłum ludzi, do niedawna jeszcze przyjaźnie dla mnie usposobionych, którzy się ze mną nie witają, uważając mnie za jednego ze sprawców „nieszczęścia“ (czyjego nie wiem — chyba gminy żyd.) przyjęcia przez zmarłą chrztu. A nie widziałem jej przez kilka miesięcy z powodu wyjazdów służbowych. Jak trudno ludziom dogodzić! — więc dla jednych byłem „szabesgojen“ i masonem, a dla drugich oberkatoikiem i chrzcicielem żydów! I to w tym samym czasie, nie interesując się nigdy przedtem sprawami wyznaniowymi ludzi! Nie mogę tylko do dziś dnia zrozumieć, dlaczego przez gromadkę elity inteligencji żydów polskich wybranie przez zmarłą, kochaną panią Ernestynę, Powązek na miejsce wiecznego spoczynku obok jej Wandzi i Bolka (oficera wojsk polskich, kawalera krzyża Virtuti Militari, poległego za Ojczyznę) uznane zostało za *hańbę* i przestępstwo — i dlaczego w jej pozostałą córkę i we mnie wpierano dokonanie na zmarłej przemocy?

Na pogrzebie jednego z najznakomitszych ginekologów, Dr A. N., na Okopowej (mowę pogrzebową mówił zmarły b. minister J. Mikulowski-Pomorski) dwie panie, stojące przede mną, zakomunikowały mi, że zmarły doktor, b. szanowany i kochany przez wszystkich, jedną tylko popełnił „zbrodnię“: — wydał cókę za Polaka i chrześcijanina. Żyrytowany zapytałem: „Czemu szanowne panie nie powiedziały tego do mnie po żydowsku, łatwiej bym zrozumiał ich rację?“ — Oczywiście po żydowsku nie umiem, więc żalowałem tylko, że dr. N. popełnił oczywiście *taką* zbrodnię! całe życie hędąc zacytnym *Polakiem tylko*. Do dnia dzisiejszego nie rozumiem często psychologii żydów — w tłumie. Jak można z miłości i nienawiści do ziemi i ludzi robić takie mixtum compositum — gumii arabicum — Dominus vobiscum? Dlaczego pochwała się ślubu chrześcijan z żydówkami, a gani wychodzenie byłych żydówek za rzeczywistych chrześcijan? Właśnie, że ten rzekomy patriotyzm Żydów jest jakiś strasznie dziwny, niezrozumiały.

Otóż, stawiając swoje interesy mniejszościowe ponad wszystkie inne interesy kraju, w którym jednak pragną mieszkać i żyć, Żydzi nie orientują się w krajobrazie. Nasze miasteczka, osady, osiedla zapchane przez tłumy nędzarzy żydowskich przypominają zupełnie wschodnią Azję. Moje rodzinne miasteczko, Dzisna na Kresach, ma 90% ludności izraelskiej i żyje tylko z zapomóg przysyłanych przez żydów amerykańskich. Więc dokąd prowadzi ta vegetacja tego najniebezpieczniejszego na

świecie proletariatu? — Podobno bankierzy i milionerzy żydowscy mają w swoich rękach 48% złota naszego globu, — dlaczego więc ci patrioci tułaczego ludu nie kupią dla niego jakiego Madagaskaru czy Ceylonu, skoro kolonizacja Polski już się przestaje im opłacać? Rozwój kooperatyw polskich na wsi wypycha żydów mocno i zdecydowanie ze wsi i za 10 lat już ich tam nie będzie. Więc więc do miasteczek, podnosząc ich nędzę, brud i Abderę umysłową (z powodu Ghetto) do trzeciej potęgi, lecz do miasteczek zaczynają dążyć też nie tylko nasi bezrobotni chłopci i bezrobotni robotnicy, ale i inicjatywa życia gospodarczego Polski we wszystkich partiach i ugrupowaniach ta sama i jednako co do swych założeń, — więc również dla żydów zbraknie miejsca i tam.

Dumni ze swego przesubtelionego intelektualizmu żydzi nie chcą czy nie umieją patrzeć prawdzie w oczy. Emigracja spokojna, rzeczowa, przez nich samych kierowana — jest już koniecznością, bo może przyjść znowu (przypomnijmy losy Aschkenasim i Sefardim) rzecz gorsza — *migracja* — znowu bląkanie się błędne po świecie. Zresztą nikt w Polsce nigdy nie zrozumie, dlaczego polski chłop i robotnik mogą i często (niestety!) muszą emigrować — a dlaczego *nie musi* i nie może tego robić z powodu jakichś rytualnych nakazów czy zakazów żydowskiej inteligencji — żydowski nędzarz.

Nie wchodząc w gospodarcze i kolonialne potrzeby Polski i w jej mus przeobrażeń demokratycznych, żydzi chcą utrzymać się na stanowisku „krajowych cudzoziemców“ w dalszym ciągu — wbrew wszelkim odruchom nacjonalistycznym Europy Zachodniej. Sami swego nacjonalizmu — jak to wykazały mi powyższe wypadki z mego współżycia — bronią zjadale i misternie, uważając i podkreślając swoją odrębność duchową i kulturalną jako środek obrony gatunku.

Chcą korzystać w Polsce i z praw mniejszości i z pełnych praw obywatelskich, bez żadnych skrupułów co do należnej narodowi zapłaty za te podwójne prawa. Dobrze im było za moskali, źle jest w Polsce Niepodległej i na to nikt już u nas chyba nie poradzi skutecznie tym tragikom.

Konrad Chmielewski

Bóle artretyczne reumatyczne podagryczne

najwięcej dokuczają na zmianę pogody, w czasie zimna, soty i niepogody. Nieznosnymi wtedy stają się bóle w stawach, kościach, mięśniach, powstają bolesne obrzmienia, chodzenie, a nawet poruszanie się bywa utrudnione. Cierpienia te powstają skutkiem nagromadzenia się kwasu moczowego w ustroju i jeżeli nie będą racjonalnie zwalczane, będą się zwiększać, aż wreszcie na stałe przykną do łóżka. W tych wypadkach stosuje się wewnętrzny lek „UREMO SAN“ GASECKIEGO, który rozpuszczając kwas moczowy w organizmie, wywołuje obfite wydzielanie się takowego wraz z moczem i współdziała z ustrojem w walce jego z artretyzmem, reumatyzmem, podagrą ischiasem, kamicą nerkową oraz złą przemianą materii.

Oryginalny „UREMO SAN“ GASECKIEGO do nabycia w aptekach.

¹⁾ Por. „Tyg. Illustr.“ Nr. 5 — 27.

GDY WIELKA CZWÓRKA DECYDOWAŁA PRZED 20 LATY O LOSACH EUROPY

W styczniu 1919 roku zebrała się w Paryżu Konferencja Pokojowa. Miała charakter wybitnie jednostronny; w skład jej, wbrew dawniej stosowanym praktykom, wchodził tylko zastępca strony zwycięskiej. Ale pomimo tego ograniczenia zdolało zebranie to pod względem liczebności uczestników zdystansować wszystkie poprzednie zebrania tego pokroju. Brało w niej udział 27 państw, które w czasie kampanii wojennej opowiedziały się przeciw Niemcom a ponad to przez osobnych delegatów 5 angielskich dominiów. Jednakowoż państwa te nie miały równorzędnego stanowiska. Osobną grupę nadrzędną stanowiło 5 potęg światowych, tj. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Wielka Brytania, Francja, Włochy i Japonia. Delegaci tych tzw. mocarstw głównych mieli głos decydujący w przyszłych rozstrzygnięciach, zaś delegaci państw pozostałych, zwanych popularnie państwami małymi, niezależnie od swego obszaru (było np. państwo tej rozciągłości terytorialnej, co Chiny) mieli tylko brać udział w formalnych zebraniach plenarnych, oraz w pracach poszczególnych Komisji, które miały jedynie głos opiniodawczy, doradczy. Delegatom pokojowym zakomunikowano tę decyzję na zebraniu plenarnym, a gdy delegaci państw małych próbowali złożyć protest przeciwko tego rodzaju różnicowaniu uprawnień odpowiedział przewodniczący, delegat Francji, Jerzy Clemenceau, zupełnie otwarcie, że mocarstwa, które własnym wysiłkiem i ofiarami rozstrzygnęły kampanię wojenną, nie zrezygnują z prawa decyzji. „Nasze straty w rannych i zabitych sięgają milionów. Oto nasz tytuł prawny. Gdybyśmy nie mieli na oczach wielkiej sprawy Ligi Narodów zdecydowalibyśmy wszystko sami. Któż by nam odmówił tego prawa? Doświadczenie uczy, że im liczniejszy komitet, tym łatwiej obalić jego uchwały. Za nami stoi rzecz bardzo wielka, bardzo wzniosła i potężna w niektórych momentach — opinia publiczna. Ona nie będzie się pytać, czy to lub owo było reprezentowane. Zapyta tylko o wynik. Obowiązkiem moim jest doprowadzić negocjacje do końca. A konferencja nie odmawia nikomu prawa do wypowiedzenia się...”

Wielkie mocarstwa ustaliły też plan obrad i aparat organizacyjny Konferencji. Poszczególnym państwom przyznano od 2 — 5 delegatów, którym przydany był do pomocy cały sztab ekspertów, fachowców poszczególnych dziedzin. Przyjęto zasadę, że państwa, reprezentowane na Konferencji, mają zawrzeć pokój z każdym z przeciwników z osobna. Na plan pierwszy wysunęła się tedy kwestia nłożenia warunków pokojowych z głównym przeciwnikiem — z Niemcami, co wiązało się ze sprawą ustalenia granic pomiędzy Polską a Niemcami. W ten sposób sprawa Polski, jej obszaru i przyszłej roli na arenie międzynarodowej, znalazła się od pierwszej chwili w ogniu dyskusji i stała się przedmiotem rozgrywek poszczególnych członków Konferencji.

Organem głównym, decydującym Kon-

ferencji stała się tzw. Rada Dzieł się c i u. W skład jej wchodziło po dwóch reprezentantów każdego z pięciu mocarstw — tj. premierzy i ministrowie spraw zagranicznych Francji, Anglii i Włoch, prezydent Wilson i sekretarz Stanu Lansing oraz dwóch ambasadorów Japonii w randze ministrów.

Ale i w tym zespole praca szła dość opornie, w łonie samej Rady dawał się odczuwać brak jednolitości. Różnice wystąpiły w sposób jaskrawy, gdy po odbyciu kilku uroczystych posiedzeń wstępnych i rozstrzygnięciu kilku spraw drugorzędnych, przystąpiono do zagadnień istotnych. Przyjęte założenia pokojowe — 14 punktów Wilsona, stanowiące podstawę zawieszenia broni, miały charakter ramowy, ale konkretyzacja ich wykazywała głęboko sięgające różnice zapatrywań.

Ścierały się odmienne światopoglądy, różne programy, interesy i indywidualności. Realistyczny światopogląd starej dyplomacji, operującej pojęciami równowagi sił, zabezpieczeń przez systematy przymierzy i siły wojskowe, ekspansji w imię koniecznych interesów państwowych i gospodarczych, przeciwstawiał się odczuwaniom od życia poglądom prezydenta Wilsona, który stał na gruncie całkowitej przebudowy świata pod znakiem prawa i sprawiedliwości, równości powszechnej, powszechnego rozbrojenia, samostanowienia narodów i poddania wszystkich kwestii spornych arbitrażowi Związku Narodów.

Ale i w obozie samych państw zachodnich, stanowiących jądro koalicji zaznaczały się rozdziewki. Wystąpiły one nader dobitnie w ustosunkowaniu się tych państw do pokonanych Niemiec. Francja, która najbardziej ucierpiała podczas wojny, stała na stanowisku twardego pokojotakięgo, jaki by jej narzuciły zwycięskie Niemcy, pokoju dającego Francji jak najdalej idące gwarancje bezpieczeństwa na przyszłość. Anglia natomiast, która w wyniku wojny już osiągnęła swe główne cele, tj. wyeliminowała groźbę niemieckiej konkurencji na morzu, pozbyła Niemcy ko-

lonii i zabezpieczyła sobie drogę do Indii, była raczej za oszczędzaniem pokonanego przeciwnika, zwłaszcza że Niemcy, zdegradowane od roli państwa lądowego, wchodziły w rachubę jako przyszły odbiorca angielskiego przemysłu i handlu. Anglia też w myśl tradycyjnej wytycznej swojej polityki — równowagi sił na kontynencie — przeciwstawiała się raczej zbyt niemu wzrostowi potęgi Francji. Odmienne te stanowiska odbiły się w kwestii ustalenia wschodnich granic Niemiec, które były równocześnie zachodnimi granicami Polski. W interesie Francji leżało stworzenie Polski potężnej, gospodarczo niezależnej, mogącej hamować przerost Niemiec. Zaś Anglia stosując taktykę oszczędzania Niemiec przeciwną była zbyt niemu umniejszeniu ich terytorium na korzyść Polski i dążyła raczej do zredukowania Polski — przyszłego sprzymierzeńca Francji — do roli państwa małego tzw. buforowego, na kształt mowo powstałych państw bałtyckich, które miały ułatwić Anglii dostęp do rynków rosyjskich... Ale nawet w łonie poszczególnych delegacji mocarstw nie było harmonii. Opinie ministrów spraw zagranicznych p r z e w a ż n i e nie pokrywały się ze zdaniem premierów. Zaznaczało się to w angielskiej reprezentacji, gdzie przeciwstawiały się sobie osobistości tego pokroju co Balfour i Lloyd George i w amerykańskiej, gdzie akcentowały się różnice pomiędzy Wilsonem i Lansingiem, tak że utarło się nawet powiedzenie, że premierzy anglosascy są przystępni sugestiom, pochodzącym z każdego innego źródła, hyle nie od ich ministrów spraw zagranicznych. Bardziej obrotny i wybuchowy włoski minister Sonnino wyrzucił małą energię i powolność w popieraniu włoskich postulatów premierowi Orlando, zaś Clemenceau mało sobie robił ze swego towarzysza Pichona. Delegaci Japonii skoncentrowali swe siły tylko w obronie interesów Japonii. Prace Rady Dziesięciu szły też opornie — wnet też zamarły zupełnie.

Fakt, że w sprawie Gdańska, wbrew

„Wielka czwórka”: Orlando, Lloyd George, Clemenceau i Wilson





Otwarcie konferencji pokojowej w sali zegarowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych

obowiązującej dyskrekcji pewne szczegóły przedostały się na łamy prasy spowodował, że Wilson, Lloyd George, Clemenceau i Orlando przestali bywać na posiedzeniach Rady i zaczęli omawiać sprawy najważniejszej wagi na poufnych pogawędkach, przeważnie w apartamentach Wilsona, lub w gabinecie Clemenceau... Wnet też ster obrad przeszedł zupełnie oficjalnie w ręce Rady Czterech tzw. Wielkiej Czwórki (Clemenceau, Wilson, Lloyd George i Orlando), gdzie właściwie decydującymi czynnikami byli pierwsi, Wielka Trójca, lub Olimpijczycy, gdyż aktywność zastępcy Włoch ograniczała się do obrony interesów własnego państwa. Ich tworem też jest Traktat wersalski, który stworzył podstawę w politycznej konfiguracji powojennej Europy.

Dążenie do zapewnienia ludom Europy trwałego pokoju, opartego na zasadach sprawiedliwości, okupione tu zostało całym szeregiem rozstrzygnięć błędnych, lub połowicznych, które stawały się źródłem dalszych konfliktów i dostarczyły wreszcie pokonanym Niemcom broni do obalenia traktatu, który dziś po latach 20 — stał się nieomal przebrzmiałym dokumentem historycznym, pozbawionym praktycznego znaczenia.

Dużą winę w tym względzie ponosi niewątpliwie polityka Anglii reprezentowana przez Lloyd George'a, jakoteż osobiste nastawienie Wilsona, który naszpikował traktat stipulacjami warunkowymi i większą wagę przywiązał do przyjęcia aparatu formalnego, jakim była Liga Narodów, aniżeli do faktycznego rozwikłania problemów. Tym dwóm antagonistom nie mógł się oprzeć Clemenceau, mimo, że według wszystkich relacji „ten człowiek najmocniejszy z mocnych” był pomimo swych lat 78 dominującą figurą Konferencji Pokojowej. Na darmo przestrzegał, że wszelkie ustępstwa czynione Niemcom — to początek ustępstw dalszych, które w konsekwencji swej doprowadzą nawet do unicestwienia wszelkich przyjętych przez nich zobowiązań. Na próżno przekonywał, że w interesie powszechnego pokoju leży postawienie na straży rubieży wschodniej Europy — potężnej Polski. Nie przekonał swoich partnerów realny, stary polityk francuski... Plebiscyt Śląska, Gdańsk nie

włączony do Polski... Prusy Wschodnie i Mazury pozostawione Niemcom nie zapewniły Europie pokoju, ale osłabiły kluczową pozycję Polski

Zawiodły nadzieje twórców traktatów pokładane w Lidze Narodów, że stanie ona na straży międzynarodowego bezpieczeństwa i doprowadzi do ogólnego rozbrojenia. Instytucja ta już u samego progu swego istnienia otrzymała cios dotkliwy, a dziwna ironia losu sprawiła, że cios ten padł z ręki polityków tego państwa, którego reprezentant ideę Związku Narodów w umyśle swym wypiastował i Konferencji Pokojowej narzucił. Kongres amerykański zdezawował z całą bezwzględnością swego prezydenta i odmówił ratyfikacji traktatu wersalskiego właśnie dlatego, że przez ustanowienie Ligi Narodów wciągnął on Stany Zjednoczone Ameryki Północnej w kołowisko polityki europejskiej. Cios niemniej dotkliwy wymierzył Lidze Narodów przekonany jej zwolennik, wielokrotny premier francuski, Aristides Briand. Temu mężowi stanu, znakomitemu mówcy, który miał przedziwny dar przekonywania słuchaczy nie tyle siłą argumentacji, ile czarem słowa — wydawało się, że do traktatu wersalskiego, który był

wyrazem zwycięstwa i został na przeciwnikach wymuszony, dodać należy układy dobrowolne, poczęte w duchu wzajemnego zaufania, a nawet przyjaźni. Wytężył więc całą swą pracę polityczną w tym kierunku, aby sprowadzić do genewy także i Rzeszę Niemiecką i w ten sposób Ligę Narodów wzmocnić i zabezpieczyć. A przede wszystkim dążył do tego, by w ten sposób Francję uchronić przed nowymi konfliktami z sąsiadem od wschodu.

W tych intencjach leżało źródło słynnego układu w Locarnie (październik 1925), którego sensem istotnym było wzajemne zabezpieczenie granic pomiędzy Niemcami a Francją i Belgią, przy całkowitym pominięciu podobnego zabezpieczenia dla granic wschodnich Rzeszy Niemieckiej i sąsiadujących z nią państw (Polski, Czechosłowacji i Austrii). Pakt lokarnijski, który bardzo poważnie nadwyrężył sojusz z Polską, nie przyczynił się wcale do pacyfikacji Europy. Przeciwnie, uznany w Niemczech za akt słabości Francji, stał się pierwszym poważnym wyłomem w systemie politycznym, stworzonym przez traktat wersalski, za którym, jak to trafnie przewidział Clemenceau, nastąpi szereg dalszych...

Ale i dalsze przewidywania tego wielkiego męża stanu okazały się niemniej trafne. Ujawniło się w całej pełni znaczenie kluczowej pozycji Polski na wschodzie, jako najpewniejszej zapory dla wznowionych zapędów niemieckiego imperializmu. I dziwnym zbiegiem okoliczności jedyny z owej Wielkiej Trójcy — która decydowała o konfiguracji Europy przed 20 laty — Lloyd George dożył tej chwili, gdy właśnie od Anglii wyszła inicjatywa złączenia się sojuszem z Polską dla obrony starych demokracji przed zakusami odnowionej potęgi militarnej Niemiec, które znalazły oparcie w dynamizmie politycznym Włoch. A właśnie owo kompromisowe rozstrzygnięcie sprawy Gdańska pomyślane do zapewnienia pokoju — stało się ogniskiem zapalnym i wywołało ów stan wysokiego napięcia, który może się wylać w nowej wojnie europejskiej.

Zofia Krzemicka

FRANÇOIS MAURIAC

CIAŁO DRZEWEM

*To raczej twojej sukni zapach zwabia pszczoły,
Niż spadły owoc przez twe zmiżdżony sandały.
Wchłaniajmy roślinności ten wytrysk wesoly,
Ciszę większą, wśród której drzemie Pan ospaly.*

*Możesz marzyć, że odtąd w bezczasie, w bezruchu,
Stopami wkorzeniona, rozwarłszy ramiona,
Pozwalasz, by się chwiała w chmur groźnym rozruchu
Grzywa listowia twego rozpachniona.*

*Trzmielc zleć na ciebie, a nie wstrząśnij drganie
Korą twojego ciała, gdzie świeższ gra śród spieki.
A krew twoja odwieczna, jak wieczyste rzeki,
Będzie żyjącej ziemi pulsowaniem.*

Przełożył Władysław Sebyła



Zamek w Przecławiu. Stan obecny, od szkarpy



Zamek w Rzemieniu. Fragment szczytu przed przebudową

MISCELLANEA MIELECENSIA

Dokonane niedawno poświęcenie nowych fabryk w Stalowej Woli pod Mielcem przypominało nam raz jeszcze ten przed laty kilku mało komu znany zakątek Małopolski. W poprzednim szkicu moim „Miscellanea Mieleccusia“ („Tygodnik Ilustrowany“ r. h. Nr 13), omówiłem zabytki artystyczne miasta Mielec. Wspomnę jeszcze, że w dziele Stęczyńskiego „Okolice Galicyi“, wydanym w r. 1847, znajduje się litografia przedstawiająca Mielec przed r. 1847. Na litografii tej widać dobrze kościół, kaplicę ementarną i ogólny układ miasta — wówczas oczywiście o wiele skromniej zabudowanego.

Obecnie chciałbym pokrótce wspomnieć o okolicach Mielca a przynajmniej o dwóch najciekawszych zabytkach powiatu mieleckiego, o dwóch zachowanych zamkach w Rzemieniu i Przecławiu. Dwa inne zamki w granicach tego powiatu niegdyś leżące, w samym Mielcu i w Zgórsku, już nie istnieją.

Zamek w Rzemieniu, czy też raczej baszta, jaka po nim pozostała, była to wysoka kwadratowa wieża, stojąca na terenie niskim, bagnistym, otoczonym wałami i rowami, których ślady do dziś dnia się zachowały. Rzemień w wieku XVI należał do Tarnowskich, a w w. XVII do Lubomirskich. Stanisław Lubomirski, wojewoda ruski, fortyfikował zamek i zapatrzył go w armaty. W posiadaniu jednego z warszawskich zbieraczy znajduje się plan przebudowy zamku z czasów Lubomirskiego. W wieku XVIII przechywała czas jakiś w Rzemieniu poetka, Elżbieta Drużbańska. Ciekawa a nierozwiązana jest zagadka zamku czy też baszty w Rzemieniu. Zachowana we wspomnianym dziele Stęczyńskiego litografia przedstawia ją jako nakrytą dachem czterospadkowym. Z wyglądu dzisiejszego nie wnioskować nie można, gdyż jest on rezultatem przebudowy dokonanej w latach ostatnich. W gimnazjum w Mielcu zachowała się wypożyczona mi łaskawie fotografia, przedstawiająca fragment szczytu baszty sprzed przebudowy. Z fragmentu blanków trudno osądzić, czy to blanki stare, czy też pseudogotyckie późniejsze. Rzeźbiony kwia-

ton na narożniku nasuwa raczej to drugie rozwiązanie. Natomiast kształt łamanego dachu właściwy szesnastowiecznym budowiom attykowym zdawałby się wskazywać na analogię z innymi budowlami attykowymi w tych stronach, jak ratusze w Szydłowcu i Samdomierzu czy zamek w sąsiednim Przecławiu. Analogii tej stoi na przeszkodzie litografia Stęczyńskiego, której nie należy odrzucać, gdyż dotychczasowa praktyka korzystania ze starych rycin wykazała, że pozornie balauntna rycina zazwyczaj zgodna była z rzeczywistością, tylko trzeba ją umieć właściwie odczytać a czytanie starych rycin jest równie trudne, jak czytanie starego pisma. Dziśszy wygląd baszty w Rzemieniu, jakkolwiek bardzo ponętny jako rezultat

datnej przebudowy, nie wykazuje żadnych elementów zabytkowych.

Zamek w Przecławiu położony na wysokim wzgórzu nad Wisłoką również podległ przebudowie jednak zachował wiele elementów zabytkowych.

Osadę Przecław miał założyć Przecław Ligeza w wieku XIII, jakoż Przecław w połowie wieku XVI jeszcze do Ligęzów należał. Z Przecławia pochodził Jan Przecławczyk, teolog i filozof XVII wieku. Posiadali Przecław później Krupkowie Przecławscy a po nich Wielopolscy. Dziś się od dawna należy do Hr. Reyów. Mieczysław hr. Rey w drugiej połowie XIX wieku przebudował zamek w stylu pseudogotyckim, dodał mu wieżę, loggię z arkadami i parterowy pawilon. Mimo tej przebudowy zamek i w bryle i w planie zachował naogół swój dawny charakter. Był to typowy mурowany manoir polski szesnastego wieku. Prostokąt, podzielony dwoma równoległymi do boków krótszymi ścianami, sklepiony w parterze, mieścił pierwotnie po trzy sale na parterze i piętrze. Mury zewnętrzne dźwigają attykę, dziś pozbawioną grzebienia. Za attyką typowy dach wkleśły łamany. Od strony dojazdu dwie kwadratowe baszty z attykami niższymi od attyki głównego korpusu przypominają znany a niedawno raz jeszcze opracowany zamek w Szymbarku (K. Sinko-Popielowa i S. Świszczowski. Dwór obronny w Szymbarku. Biuletyn historii sztuki i kultury. Rok VI. 1938. Nr 2). Dawne wejście do zamku musiało się mieścić od krótszego boku, jak o tym świadczy kilka zachowanych sklepień.

Ogólny kształt i plan zamku w Przecławiu, jakkolwiek nie jest on jeszcze monograficznie opracowany, pozwalają nam zaliczyć go do grupy typowych przykładów zameczków polskich XVI wieku, których większość już zebrał, opracował i zanalizował w swej pracy Komornicki (vide: Komornicki St. Dwory mурowane w Małopolsce z czasów odrodzenia. Prace komisji historii sztuki P. A. U. Tom V. Kraków 1930). Zamek w Przecławiu miał być w końcu wieku XVII przebudowany przez Tylmana z Gameren, znakomitego architekta, którego szereg pięknych dzieł

Zamek w Rzemieniu. Stan obecny





Mieśc. Litografia z r. 1847

ozdabia Warszawę (np. Kościół Sakramentek na Nowym mieście, pałac Krasińskich na placu Krasińskich, kościół św. Bonifacego w Czerniakowie). Plany i rysunki przygotowanej przebudowy zachowały się wraz z resztą dorobku Tylmana zostały opracowane (vide: Makowiecki T. Archiwum planów Tylmana z Gmeren. Prace z historii sztuki. wyd. przez T-wo Naukowe Warszawskie. Nr 4. Warszawa 1938) ale do przebudowy barokowej nie doszło a obecna pseudogotycka nie przeszkodzi przyszłemu historykowi Przelawia zrekonstruować zamku renesansowego.

Dołąć jeszcze trzeba, że zamek w Przelawiu reprodukowany był od strony dojazdu w „Tygodniku Ilustrowanym“ przed trzydziestu trzema laty w artykule poświęconym osobie Mieczysława hr. Reya (T. I. 1906. Nr. 26).

Z y g m u n t M a n n

NAKAZY REMONTOWE Z PUNKTU WIDZENIA GOSPODARCZEGO

Już od kilku lat wiosna i lato jest dla właścicieli nieruchomości okresem rozlicznych nakazów remontowych oraz inwestycji w dziedzinie asfaltowania podwórz, zmiany ogrodzeń, zakładania anten zhorowych itp. W roku ubiegłym, po wydaniu rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych w sprawie ogradzania posiadłości, i okólnika w sprawie podniesienia wyglądu osiedli — liczba nakazów uległa znacznemu nasileniu i nie osłabła bynajmniej w roku bieżącym. Zarządzenia noszą charakter masowy i raczej do wyjątków zaliczyć należy właścicieli starych nieruchomości, którzy nie otrzymali nakazu.

Niewątpliwie słuszną jest troska o podniesienie wyglądu naszych miast i wszyscy pragnęlibyśmy nie tylko podniesienia kultury mieszkaniowej, ale i ogólnego poziomu życia do wyższej skali,

pod rządem ustawy o ochronie lokatorów, ma przeliczone przedwojenne komorne nie w stosunku 4,5 złotego za rubla, ale 2,66 złotego i od tego odjąć jeszcze należy wprowadzoną w 1935 r. 10 lub 15 procentową obniżkę. Wobec tego zwykła kosztów remontów dla właścicieli starych domów wynosi od 140 do 180 proc.

W tym stanie rzeczy wytworzyło się bardzo znaczne rozwarcie nożyc pomiędzy wysokością komornego w domach pod ochroną lokatorów i cenami remontów.

To rozwarcie nożyc byłoby jeszcze większe, gdybyśmy wzięli pod uwagę, że przedwojenne komorne nie uwzględniało takich inwestycji jak asfaltowanie podwórz, zmiana ogrodzeń, a szczególnie budowa anten zhorowych, wobec tego, że radio było nie małe.

wysunęła się sprawa zwiększenia obronności państwa, a więc zarówno subskrypcja pożyczki obrony przeciwlotniczej, jak i wykonywanie zarządzeń O. P. L.; zakupywanie apteczek, masek dla służby, beczek, szufli itp. Przytym konieczność opróżnienia strychów w związku z nakazami O. P. L. wywołała w niektórych dzielnicach jak np. w Pożnańskim wystąpienia lokatorów o obniżenie komornego.

Zarządzenia O. P. L., chociaż mają na celu bezpieczeństwo ogółu mieszkańców miast, ciąży przede wszystkim na właścicielach domów. Jednak właściciele domów rozumieją ich konieczność i starają się wykonać wszystkie ciężące na nich obowiązki, związane z pogotowiem obronnym.

Natomiast w tej sytuacji właściciele starych domów z ochroną lokatorów nie mają funduszy na malowanie fasad, zakładanie anten zhorowych, asfaltowanie podwórz itp.

Inwestycje te należałoby odłożyć na następne lata. Nakazywanie ich obecnie właścicielom nieruchomości, nie posiadającym odpowiednich środków, uniemożliwi im wywiązanie się z ich zobowiązań płatniczych. Przyezyniłyby się to do podważenia równowagi gospodarczej, tak potrzebnej w chwili obecnej.



jednak przy realizowaniu naszych pragnień musimy uwzględnić zarówno przyczyny, które wywołały zaniedbanie w stanie starych, tzn. przedwojennych domów i kalkulację kosztów, niezbędna we wszystkich poczynaniach gospodarczych.

Dwudziestoletnie przeszło trwanie ustawy o ochronie lokatorów, pogorszonej jeszcze przez obniżki komornego, utrudniło modernizację starych domów, przeprowadzenie niezbędnych inwestycji kanalizacyjno-wodociągowych, a nawet należyte remontowanie.

Wprawdzie zwykła kosztów remontów w porównaniu do cen przedwojennych nie przekracza 40 proc. przy parycie 1 rb. złoty = 4,5 złotego. Ale stara własność nieruchoma miejska, będąca

Należy przy tym wziąć pod uwagę, że stare domy ponoszą bardzo znaczne ciężary na rzecz Skarbu Państwa i samorządów, bo do 25 proc. komornego brutto (nie wliczając w to ukrytego opodatkowania w wysokich opłatach za świadczenia komunalne, jak woda, użytkowanie kanałów i czyszczenie ulic) i że państwowy podatek od nieruchomości płaci się od komornego za lokale nie wynajęte, oraz od komornego, które nie wpłynęło.

Wobec tak poważnych ciężarów fiskalnych i przy utrzymaniu obniżek komornego, wykonywanie nakazów remontowych władz administracyjnych było już w roku ubiegłym bardzo dotkliwie.

W roku bieżącym, roku naprężonej sytuacji międzynarodowej, na czoło wszystkich zagadnień

Czy jesteś
członkiem L. O. P. P.





„Ostrożnie, świeżo malowane”. Pp. Buczyńska, Stępniołowa, Woszczerowicz, Kurslukówna, Butkiewicz

T E A T R

„OSTROŻNIE, ŚWIEŻO MALOWANE” (Teatr Mały)

Ze sztuką Fauchois przenosimy się w wymiar utalentowanej przeciętności. Główna jego komedia jest mleczną siostrą tysięcy tego rodzaju sztuk francuskich, biorących na kiel życie artystyczne Paryża.

Tym razem idzie o ponury ethos handlu obrazami. Genialny malarz umiera w nędzy, gdyż właściciel salonu nie zna się na wartości obrazów i odmawia mu nawet 500 franków miesięcznie. Inny malarz bez inwencji, ale biegły technicznie, żyje z umożliwienia kopii mistrzów i nie cofa się nawet przed zwykłym wyludzeniem. Stosunki na rynku plastycznym można nazwać wzorowo zorganizowaną anarchią, najwięksi znawcy nie mogą być pewni, kiedy mają do czynienia z geniuszem a kiedy z ordynarnym oszustwem. Sława jest zresztą czystym przypadkiem, kaprysem losu: ot, wybitny i bezinteresowny krytyk zwróci uwagę na nieznanego dotychczas talent, stworzy modę na malarza, czasem za jego życia, ale częściej po śmierci.

Cały ten świat odmalowany jest w komedii Fauchois z podziwu godną plastyką, kilku ale niemiłych kreskami, co było tym trudniejsze, że autor całą akcję przeprowadza nie w Paryżu, gdzie mógłby dysponować odpowiednim środowiskiem, ale na prowincji, w małym miasteczku, gdzie na tle rodziny mieszczańskiej musi mu wystarczyć kilka figur reprezentacyjnych, importowanych z Paryża.

Uderza w tej sztuce gwałtowny atak na mieszczańską rodzinę francuską, dorównywający w sile inwektywom Zapolskiej. Pod maską dobroćliwości kryją się potężne złoże lajdactwa. Ojciec, sędziwy lekarz, który niejednemu wyświadczył bezinteresownie przysługę (zanim pomógł mu przenieść się na tamten świat), mat-

ka, małomiasteczkowa piękność, trawiąca czas na niewinnym konserwowaniu swej przywidłej urody, daleka zresztą od wszelkiego hovarizmu, córka, sympatyczna pannica, zarządzająca energicznie całym domem, cała ta trójka zdradza najędzniejszy charakter, gdy tylko zjawia się szansa okradzenia z majątku nie przeczuwającej niczego służącej. Sceny, kiedy matka idzie wykradać służącej jej portret, a potem ojciec stara się go cynicznie wyłudzić rzekomo jako pamiątkę rodzinną, grzeszą już nawet brakiem smaku. Oczymnik jest zbyt ostry, taniec pocziwych mieszczuchów francuskich dokoła złotego cielca zaskakuje nas, a bezwstyd, z jakim rodzice w obliczu swych córek ograbiają służącą, budzi w nas odrazę.

„LŚNIĄCY STRUMIEŃ” (Teatr Narodowy)

Sztuka Morgana osnuta jest dokoła prac nad wynalazkiem z dziedziny obrony przeciwlotniczej i zapewne nastrojom obecnym zawdzięcza wystawienie na scenie polskiej. Ale gdy wejrzymy w nią głębiej, aktualność jej okaże się pozorna. W gruncie rzeczy chodzi tam zupełnie o co innego. Aż dziwne nawet, że pisarz angielski, poruszając techniczną stronę wojny, nie uznał za konieczne wejść w problematykę moralną lub choćby tylko polityczną wojny. Morgan tak dalece stroni od tego aspektu zagadnienia, że nawet pracy nad wynalazkiem przeciwlotniczym nie wiąże z pobudkami patriotycznymi, lecz z pasją naukową. Ferreres i Karen trawia długie miesiące nad swym wynalazkiem, ale pragną sukcesu nie tyle, aby przysłużyć się krajowi, lecz przede wszystkim, aby znaleźć rozkosz poznania, aby osiągnąć najwyższe ich zdaniem „piękno matematyczne”. Widz skłonny jest przypisywać takiej postawie szczególną wzniosłość, gdyż służba ojczyźnie wydaje mu się pobudką spowszedniałą. Ale w tym właśnie dopatruję się słabej strony sztuki, że budzi takie sugestie. Motyw służby Ojczyźnie wydaje mi się w tego rodzaju pracach motywem bardziej górnym, niż motyw narcystycznej poniekąd satysfakcji naukowej. Może pisarz ukazać wynalazcę pracującego wyłącznie pod hasłem nauki i postawa jego będzie pełna szlachetnego patosu, ale tylko wówczas, gdy rzecz dzieje się na płaszczyźnie, gdzie nie obowiązują ważniejsze kryteria. Umieściwszy sprawę na planie takim, jak obrona niepodległości, pisarz musi bardziej skomplikować a zarazem „prościej” przedstawić pobudki swojego bohatera.

Ale w „Lśniącym strumieniu” zagadnienie jest inne. Przypomina zresztą nieco „Ludzi bezdomnych”. Ferreres i Karen nie chcą pobrać się, ba, nie chcą sobie nawet wyjawić miłości, aby stan szczęścia nie przeszkodził im w pracy. To zagadnienie wydaje mi się psychologicznie nie dość pogłębione zarówno u Zeromskiego, jak i u Morgana, ale w szczegól-

(dokończenie na str. 548)

„Lśniący strumień”. Pp. Gorczyńska i Panewicz-Leszczyńska





Wielkie zawody samochodowe w ramach letnich uroczystości w Abazzji

W ramach festiwalu ku czci sportu i sztuki organizowanego przy poparciu Włoskiego Uniwersytetu Oświaty urządzone będą wielkie zawody samochodowe o puchar Mussoliniego uwieńczone wysoką nagrodą 100.000 lirów.

Zawody rozpoczną się 9 lipca 1939 w miejscowości Preluca w pobliżu Abazzji leżącej i odbywać się będą na trasie tworzącej zamknięte koło wzdłuż szosy nad zatoką morską i Matuglią. Trasę tę długości 6 km zawodnicy przebędą 25-krotnie przebywając ogółem 150 km.

Wyścig ten stanowić będzie sensację sezonu tak ze względu na skład ekip biorących w nim udział, jak i na warunki jakim sprostać muszą zawodnicy dla wykazania pełnych zdolności w opanowaniu wozów i terenu.

W dalszym programie Festiwalu przewidziane są występy muzyczne i tańców klasycznych, jako też około 45 międzynarodowych występów rewiowych utrzymanych na b. wysokim poziomie artystycznym i o bogato urozmaiconym programie.



Teatr (początek na str. 547)

ności u pisarza angielskiego. W „Ludziach bezdomnych” bał się małżeństwa mężczyzna, nie miała tych skrupułów kobieta, przytym u Judy ma było z pewnością coś z programowego cierpiętnictwa, coś ze starotestamentowej, okrutnej a niepotrzebnej ofiary. U Morgana i mężczyzna i kobieta myślą tak samo, co jest tym dziwniejsze, że motyw jakiegokolwiek ofiary, mającej wyrównać grzechy narodowe, w ogóle odpada. W przypadku Ferrerresa i Karen mamy do czynienia z zupełnie dowolnym założeniem psychologicznym. I nie chcę znów odzierać tej postawy z dostojności moralnego, ale wydaje mi się, że taki mechanizm psychiczny należy do wyjątków, a w każdym razie, że jest sprawą sporną, co bardziej sprzyja owocnej pracy: zapiekła udręka miłczenia czy akt szczerości.

Chodzi jeszcze w „Lśniącym strumieniu” o coś, co wydaje mi się już zupełnie chybione: o problemat kłamstwa popelnionego w szlachetnej intencji. Nie problemat oczywiście budzi wątpliwości, lecz jego demonstracja. Rzecz rozgrywa się w irytujących okolicznościach, tępota i pantoflarstwo wyższych oficerów lotnictwa angielskiego zakrawa na grubą satyrę. Karen ratuje wynalazek swego ukochanego przed tą tępotą i pantoflarstwem przy pomocy kłamstwa i gdyby czyniła to w porozumieniu z Ferrerresem, sprawa byłaby jasna. Ale Ferreres za nie nie zgodził się na taki kompromis i trzeba użyć podstępów. Tu autor grzeźnie: przecież Ferreres skompromitowany niesłusznie, powinien najpierw przepędzić Karen a potem krzyczęć głośno swą prawdę Tymczasem Morgana każe mu skapitulować przed rzeczywistością i znów nie podaje motywu dlaczego: czy w ciągu sztuki przesunęliśmy się na grunt oportunistów moralnego, czy też dochodzą do głosu inne, bardziej zakwlanie motywy?

Tak więc sztuka Morgana, polyskując istotnie poezją, sięgająca po nieśmiertelne problemy, scenicznie co najmniej poprawna, zdradza przecież tyle luk, naiwności i dwuznaczników, że nie może być uznana za dzieło dojrzałe.

Przedstawienie w Teatrze Narodowym dość przeciętne. Poza znakomitą rolę p. Zelwerowicza i dobrą parą w osobach pp. Gorczyńskiej i Białoszczyńskiego nie ma pozycji wybitniejszych. Niektórzy krytycy sądzili, że p. Gorczyńska nie była właściwie dobrana do roli, nie widzę jednak, ktoby mógł lepiej zagrać tę Ka-

ren, wykrojoną już przez autora raczej z papieru niż z ciała. Również p. Białoszczyński jest w rolach podsztych fanatyzmem niezawodny. P. Pancewicz-Le-szczyńska dała popis wzorowej rutyny, z reszty obsad zapisałi się w pamięci pp. Woskowski i Dominiak.

Wacław Syruczek

Naszą kartę tytułową zdobi podobizna p. Mili Borton, młodej, wybijającej się obecnie śpiewaczki polskiej. Po gościu występach we Lwowie i Warszawie, została zaangażowana do Wileńskiej operetki, gdzie wystąpi w operetce „Domek Trzech Dziewcząt”. Piękny głos i nadzwyczaj miłe warunki zewnętrzne predysponują p. Borton również do filmu dźwiękowego.



usuwa ból, pieczenie, nabrażenie nóg, zmiękca odciski, które po tej kąpielii doja się usunąć, nawet pozostawiam. Przepis użycia na opakowaniu.



PRZYPOMINAMY
P. T. Prenumeratom o uregulowaniu prenumeraty za miesiąc lipiec i za kwartał III

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50			kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	kwartalnie	zł 19.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—				
rocznie	zł 66.—	rocznie	zł 74.—	Zmiana adresu	zł 0.50
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 143

Redakcja nie zwraca niezamówionych rękopisów.

CENNIK OGŁOSZEN Str. 1/4 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/4 — 250 zł, 1/8 — 150 zł, 1/16 — 100 zł, — za szp. wiersz. milimetry, lub jego miejsce PRZED I ZA TEKSTEM: 1,50 zł Bilanse, artykuły opisowe, układy tabelaryczne, 1 str. okładki i miejsce zarezerwowane 50% drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14. ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P.K.O. 143.

Program Polskiego Radia

Od dn. 9 VII. do dn. 15 VII. 1939

Piątek — dn. 14.VII

Niedziela — dn. 9.VII

7.10: Audycja poranna. 9.45: Regionalna transmisja z Jarosławia: reportaż i nabożeństwo. 12.03: Poranek muzyczny z Krakowa. 13.15: Muzyka obiadowa z Wilna. 14.45: „Czytamy Mickiewicza“ — aud. IV — „Pan Tadeusz“. 15.00: Audycja dla wsi. 16.30: Koncert solistów. 17.15: „Z wędrowek po równiku“ — reportaż z Wystawy Polskiego T-wa Wypraw Badawczych w Afryce Srd. 17.25: „Wesoła godzina“ — koncert rozrywkowy. 19.00: Teatr Wyobraźni: „Klub Picwicki“ — wiecz. X „Niech żyje pan Picwick dobroczyńca“. 19.30: Antoni Dwozrak: Kwintet fortepianowy A-Dur op. 81 — koncert z płyt. 21.15: Muzyka taneczna w wyk. Ork. Rozgl. Poznańskiej. 21.50: „W kalejdoskopie fraszki“ — wesoly kwadrans. w wyk. zespołu Śląskiej Pozytywki. 22.05: Muzyka taneczna.

Poniedziałek — dn. 10.VII

6.30: Audycja poranna. 8.15: Audycja dla kupców. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Słuchowisko dla dzieci: „O puchar Paryża“. 15.15: Franciszek Schubert: fragmenty z „Rozamundy“ w wyk. Orkiestry Adama Hermana z Krakowa. 16.20: Recital śpiewaczy Ludwika Sulikowskiego. 17.00: Muzyka taneczna. 18.00: Recital fortepianowy Stanisława Szpitalskiego. 19.30: Utwory Mozarta — koncert z Poznania. 19.00: Audycja Jmaackich Hufców Pracy. 19.30: Przy wieczery — koncert rozrywkowy (z Katowic). 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Cezar Cni — audycja muzyczno-słowna z Wilna. 21.50: „Echa mocy i chwaly“. 22.00: Muzyka taneczna.

Wtorek — dn. 11.VII

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Dzieci mają głos“ — audycja z Poznania. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Życie lasu“ — pogadanka dla młodzieży. 15.00: Muzyka popularna z Poznania. 16.20: Od wioski do wioski — audycja muzyczna. 17.00: Muzyka taneczna. 18.00: Utwory wiolenczelowe kompozytorów rosyjskich w wyk. D. Daneczowskiego. 18.30: Recital organowy Władysława Widomskiego. Transmisja z Konserwatorium Warszawskiego. 19.00: Audycja dla robotników. 19.30: „Przy wieczery“ — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert kameralny Muzycznego Ogniska Wakacyjnego Liceum Krzemienieckiego — transm. z Krzemieńca. 22.00: „Z perspektywy ćwierćwiecza“ — „Rosja i Francja w początkach Wielkiej Wojny“ — odczyt. 22.15: Recital śpiewaczy Ewy Bandrowskiej-Turskiej. 22.45: Jacques Ibert: Escalès — poemat symf. — koncert z płyt.

Środa — dn. 12.VII

6.30: Audycja poranna. 8.00: Koncert poranny z Muzycznego Ogniska Wakacyjnego Liceum Krzemienieckiego — transm. z Krzemieńca. 8.15: Pogadanka turystyczna. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Nasz koncert“ — „Sto pociech“ — audycja dla dzieci. 15.15: Muzyka popularna z Katowic. 16.10: Pogadanka aktualna. 16.20: Dawna muzyka — koncert z

Torunia. 16.50: „Co się dzieje w gniazdach: Piskleja“ — pogadanka. 17.00: Muzyka taneczna z Café Paradis. 18.00: Słynne symfonie — koncert z płyt. 18.50: Hektor Berlioz: „Karnawał Rzymski“ — koncert. 19.00: „Woltyżerka Dropsy Mops“ — Wesoła Syrena. 19.30: Muzyka przy wieczery — koncert rozrywkowy. 20.10: Odczyt wojskowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert chopinowski w wyk. Juliana Karolyi. 21.40: „Książka i wiedza: „Pamiętniki emigrantów“. 22.00: Włoscy śpiewacy i zespoły wokalne — koncert rozrywkowy z płyt.

Czwartek — dn. 13.VII

6.30: Audycja poranna. 8.20: Pogadanka sportowa. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Płyniemy wielką rzeką: „La Plata“ — audycja dla młodzieży. 15.05: Muzyka popularna w wyk. Ork. Rozgl. Wileńskiej. 16.20: Pieśni Henry Purcella — koncert. 16.45: „Budownictwo wsi polskiej: „Budowle dworskie“ — odczyt. 17.00: Muzyka taneczna. 18.00: „Echa mocy i chwaly“. 18.10: Koncert kameralny (z Poznania). 19.00: „Francja w poezji polskiej“ — kwadrans poetycki. 19.15: „Przy wieczery“ — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert Chóru Amerykańskiego Uniw. w Yale. 21.30: „W Świętokrzyskiej puszczy jodłowej“ — aud. 22.00: Śpiewy i marsze żołnierza francuskiego — audycja słowno-muzyczna (z Krakowa). 23.15: Koncert muzyki polskiej.

KULTURA KASZUBA

Z niesiabnącą od wieków energią Kaszubi trzymali się na wybrzeżu. Hasło swe „Nie masz Kaszub bez Polonii a bez Kaszub Polsci“ przeciwstawiali potężnemu naciskowi władz, szkoly i obcego duchowieństwa, usiłujących im wmówić, że nie mają z Polską nic wspólnego, że jako maledzi i w dodatku zupełnie odrębny szczepek, powinni być szczęśliwi, że ich chcą przyjąć do potężnej społeczności niemieckiej.

Redutami ich oporu były — z jednej strony przywiązanie do języka i własnych odrębnych i w niczym do niemieckich nie podobnych form bytu, z drugiej — nieważność do niemieckiego ucisku. Wiedzieli, że byli najbardziej wysuniętą na zachód placówką szczepek lechickiego i na tej placówce trwali.

Badacza, studijnącego twórczość kaszubską, przejawiającą się w legendach, opowieściach, a przede wszystkim w piosenkach, uderzy ścisła łączność ludu naszego wybrzeża z ludem reszty Polski. Tak samo zwyczajają się tu takie same, jak i u ludu naszego w innych dzielnicach. Nad morzem prosi drużba gości na wesele jak następuje:

Przestępują nogi przez pańskie progi
Dają ukłon nisko państwu pod nogi.

Przysłany jestem od Pana Boga i od Matki
I od dwojga państwa młodego,

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Kłopoty i rady“: „Dla siebie i dla innych“. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Rozmowa technika z młodzieżą. 15.00: Muzyka popularna w wyk. Ork. Rozgl. Katowickiej. 16.20: Piosenki w wyk. Toli Korjanówny. 17.00: Muzyka taneczna. 18.00: Recital fortepianowy Colette Gaveau. 18.35: Recital śpiewaczy Tatiany Noliere-Mazurkiewiczowej. 19.00: „Marsylianka“ — audycja literacko-muzyczna. 19.40: „Przy wieczery“ — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.05: Transmisja z Francji. W przerwie „Medytacje“ — „Myśli“ Pascala.

Sobota — dn. 15.VII

6.30: Audycja poranna. 8.15: Z mikrofonem przez Polskę: „W największym parku miejskim“ (z Łodzi). 12.03: Audycja południowa. 14.45: „U Dorotki w ogródku“ — wesoła audycja dla dzieci. 15.15: Muzyka popularna w wyk. Ork. Rozgl. Wileńskiej. 16.20: Koncert w wyk. Ork. Mandolinistów „Kaskada“. 16.50: „Co się dzieje w gniazdach“: „Kłopoty i troski rodzicielskie“ — pogadanka. 17.00: Muzyka taneczna z Café Club. 18.00: Polskie pieśni chóralne — koncert ze Lwowa. 18.30: Kwartety Beethovena — koncert z płyt. 19.00: „Przez siedem mórz do siedmiu wzgórz“ — wesoła powieść radiowa. I rozdz. „Ludzie z jednej ławki“. 19.30: Audycja dla Polaków za granicą. 20.00: Melodie ziemi polskiej: Na Kujawach gra muzyka — audycja słowno-muzyczna. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Melodie filmowe i taneczne — koncert Małej Orkiestry. 23.20: Muzyka taneczna z Café Paradis.

I zapraszam cały dom na wesele
W poniedziałek z rana o szóstej godzinie.
Na kawałek chleba białego,
I na kieliszek wina słodkiego.
Tam będzie wesele bogate,
Tam będą dwa woly rogate,
Aż z nich będzie pełna komora i góra,
Po kopie gęsi i dwa wieprze kuse.

(Według Mitteilungen des Vereins für Kaschubische Volkskunde 1910).

Spróbujmy porównać podobną orację z zbraniami przez Oskara Kolberga oracjami drużbów w pozostałych dzielnicach Polski, a podobieństwo wystąpi w całej jaskrawości.

LMK^o przez FOM

walczy o kolonie i surowce dla Polski, broni dróg komunikacyjnych do kolonii.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

Ostatnio w „TYGODNIKU ILLUSTROWANYM” zamieszczali swoje prace między innymi następujący pisarze. uczeni i publicyści:

Berent Waclaw, Borowy Waclaw, Boye Edward, Chrzanowski Ignacy, Czachowski Kazimierz, Dąbrowka Maria, Essmanowski Stefan, Flukowski Stefan, Goetel Ferdynand, Gombrowicz Witold, Górka Olgierd, Grabowski Jan, Grzebieniowski Tadeusz, Horoszkiewicz R. W., Hollender Tadeusz, Hulewicz Witold, Huszcza-Winnicka H., Illakowiczówna Kazimiera, Irzykowski Karol, Iwaszkiewicz Jarosław, Kaden Bandrowski Juliusz, Kleiner Juliusz, Kondracki Michał, Kossak-Szczucka Z., Kubacki W., Laskowski-Hulka Paweł, Lechoń Jan, Lepecki B., Lutosławski W., Makuszyński Kornel, Melcer Wanda, Mieszkowski J. T., Miller, Jan N., Morcinek Gustaw, Muszkowski Jan, Nowakowski Zygmunt, Ossendowski F. A., Parandowski Jan, Powlikowska Maria, Piwiński Leon, Polczyński Janta Aleks., Pomirowski Leon, Rogowicz Waclaw, Rogoż Stanisław, Rudnicki Adolf, Rusinek Michał, Rytard Miecz., Schulz Bruno, Sieroszewski W., Skiwski J. E., Smogorzewski K., Staff Leopold, Straszewicz Czesław, Stromenger Karol, Syruczek Waclaw, Szemplińska Elżbieta, Szykowski M., Śliwiński Artur, Terlecki Tymon, Tuwim Julian, Wasylewski Stanisław, Wierzyński Kazimierz, Wiktor Jan, Wittlin Józef, Wołoszynowski Julian, Zawistowski Władysław, Zrębowicz Roman.

NAOKOŁO ŚWIATA

bogato ilustrowany magazyn nowelistyczny, ukazujący się co miesiąc.

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA

przyniosła w latach ubiegłych obok autorów polskich, szereg utworów pisarzy tej miary, co Johan Boyer, Daniel-Rops, Fr. Mauriac, J. Andersen Nexø, Marta Ostenso, Mary Webb, J. Roth, Colette, G. Papini, Jo Van Ammers-Küler, W. B. Maxwell, W. Peteani i inni.

„Tygodnik Ilustrowany” wraz z dodatkami ma obecnie najtańszą prenumeratę zbiorową, gdyż tylko

za 6 zł miesięcznie (6.50 z dostarczeniem do domu), prenumeratorem TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO otrzyma co tydzień numer „Tygodnika Ilustrowanego”; co miesiąc 80-ł str. zeszyt „Naokoło Świata” w wielobarwnej okładce i co miesiąc bliskie 240-ł stronicowy tom powieści polskiej lub tłumaczonej. KTÓREJ CENA KSIĘGARSKA WYNOŚI około 6—8 zł.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAOKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 6.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50			kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	kwartalnie	zł 19.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—			Zmiana adresu	zł 0.50
rocznie	zł 66.—	rocznie	zł 74.—		
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 143

CENNIK OGŁOSZEŃ Str. 1/1 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/4 — 250 zł, 1/8 — 150 zł, 1/16 100 zł. — za szp. wiersz. milimetryowy, lub jego miejsce PRZED i ZA TEKSTEM: 1,50 zł. Bilanse, artykuły opiewowe, układy tabelaryczne, 1 str. okładki i miejsce zarezerwowane 50% drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P. K. O. 143

Opłata pocztowa opłacona ryczałtem.

Drukarnia Krajowa w Warszawie, Chłodna 44, tel. 5



TYGODNIK

I L L U S T R O W A N Y

Nr. 29

16 Lipca 1939

Cena 1 z



Młoda i urocza artystka Teatru Narodowego w Warszawie p. Nina Świerczewska została wybrana Królową Mody Letniej – na dorocznym festynie Związku Autorów Dramatycznych – w salonach Hotelu Europejskiego.

Toalety Królowej Mody pochodzą z firmy B. Myszkowski (Mazowiecka 1), zaś wspaniała peleryna z lisów – z firmy A. Chowańczak (Krok. Przedmieście 15/17).



Radioodbiornik jako fragment umeblowania

Minał już dawno czas, gdy radioodbiornik w domu był sprzętem extra, niczym nie połączonym z całym urządzeniem wnętrza. Ustawiano go się wtedy na stole, czy na biurku, nie dbając o to aby harmonizował z całością danego pokoju.

Dzisiaj jest już inaczej. Radioodbiornik przestał być dowodem luksusu, stał się niemal konieczną częścią składową każdego mieszkania. Stał się po prostu meblem omaal tak potrzebnym jak stół, na którym go ustawiono, i jako mebel musi dostosować się do urządzenia pokoju a często całego mieszkania.

Sprawę dekoracyjną zaczęto od reformy samego aparatu głośnikowego. Zamiast deski ebonitowej ze zwojami drutów, lampami i guzikami, obok której sterczała tuba przedwiecznego gramofonu — pojawiły się eleganckie skrzynki. Zaczęto dobierać piękne gatunki drzewa, ozdoby. Lśniący nikiel lub tajemniczą starożytną miedź, szkło, barwne świetliki, regulatorów dźwięku i nazw stacji stworzono estetyczny, często artystyczny sprzęt. Nie wyczerpuje to jednak jeszcze zagadnienia, nasuwają się dalsze — gdzie umieścić aparat? jaką dać mu podstawę? jak dostosować go do całego urządzenia?

Francuscy dekoratorzy wewnątrz sprzeciwiają się niemal wszystkim umieszczeniu głośnika w pokoju stołowym, radio przeszkadza obiadowi, a obiad przeszkadza audycjom — twierdzą. Jeden tylko znakomity o światowej już dzisiaj sławie Leleu uważa, że dziś zwłaszcza nie można oddzielać się od wieści ze świata dla rozkoszy gastronomicznych. Radioodbiornik powinien być przenośny, tak aby w razie potrzeby mógł znaleźć się w każdym pokoju.

Wszyscy przy tym zgodzą się, że budowa i wykończenie radioodbiornika winno odznaczać się wytworną prostotą: nie ma naturalnie mowy o rzeźbach, gładkie harmonijne linie, drzewo — jawor, palisander, mahoń, piękny orzech. Jako podstawa stolik specjalny, szarmizowany z materiałem i linią aparatu. Istnieją od tych reguł wyjątki, stosownie do specjalnych gustów lub potrzeb właścicieli odbiorników: dla amatorów konstrukcji radiowej buduje się na przykład skrzynki ze szkła, pozwalające śledzić funkcjonowanie odbiornika. Inaczej rozwiązują sprawę dekoratorzy, wielbiciele antyków, wmontowując odbiorniki w starożytnie sekretarzyki i serwantki — prawdziwa skrzynka czarodziejska.

Idealem byłby aparat oddzielny dla każdego pokoju i dostosowany do jego umeblowania. Jeżeli jednak jest to nie-

możliwe, trzeba rozwiązać sprawę inaczej. Wybrać skrzynkę o prostych, wytwornych liniach nowoczesnych z ciemnego drzewa, która harmonizuje z meblami podobnymi, a tworzy kontrastową plamę na tle mebli z jaśniejszymi obiciami. Odbiornik powinien tworzyć harmonijną całość ze swą podstawą stolikiem i razem z nim być przenoszony, gdyż przenośność jest w większych zwłaszcza mieszkaniach niezbędna.

Nie każdy zapewne jest takim radioamatorem, jak Józefina Backer, która miała odbiornik nawet w łazience; ale ograniczać zasięg radia do jednego pokoju nie jest praktyczne, są bowiem audycje, które interesują nas zarówno w czasie pracy jak posiłku lub odpoczynku. Zamiast więc odbiegać od stołu, biurka,



albo wstawać z tapczanu, lepiej uruchomić odbiornik, którego lekka konstrukcja zupełnie to umożliwi.

Słońca i powietrza dla dzieci!

Zakończenie roku szkolnego powoduje zmniejszenie ruchu i frekwencji pasażerów kolejowych. Przepelnione dworce roją się od rodzin, wyjeżdżających na letnisko. Na każdym kroku pękło dzieci w wieku szkolnym, z twarzą ich przebiega radość; skonczył się uciążliwy okres zajęć szkolnych, teraz można się wyprzeć z kieratu i odechnąć wśród pól i łąk, zacerpnąć świeżego powietrza, oddać się bez trosk i zabaw, wybiegać się do syta, a potem zjeść dwa razy tyle co zwykle, bo ruch na świeżym powietrzu zaostroża znakomite apetyt i przyspiesza zdrową przemianę materii.

Niestety, nie wszystkie dzieci mogą wykorzystać w pełni okres wakacyjny. Wiele z nich, ba, przeważająca ilość dziatwy szkolnej, należy do warstwy ubogich, którym walka o chleb codzienny nie pozwala na wydatek nie mieszczący się w ramach ubożuchnego budżetu. Cóż dopiero dzieci ludzi bezrobotnych, tych naprawdę upośledzonych przez los? Na szczęście mamy tak pożyteczną instytucję jak Pomoc Zimowa, dbająca przez długie miesiące zimowe o byt 300.000 bezrobotnych żywciami rodzin. Z nastaniem wiosny, kiedy łatwiej już o pracę, nie ustaje ani na chwilę zhawienna czynność Pomocy Zimowej, przychodzi okres, w którym poświęca ona największą swą troskę dzieciom i młodzieży w wieku szkolnym. W czasie roku szkolnego dożywała przeszło 900.000 dzieci, ratując młode pokolenie przed charłactwem, a latem nastawia cały swój aparat na organizację kolonii i półkolonii dla dzieci bezrobotnych.

Obecnie, na miesiąc lipiec, wyasygnowała Pomoc Zimowa z swoich funduszów z górą pół miliona złotych na urządzenie kolonii. Na pozór nieduża to suma, a jednak nie ulega wątpliwości, że tysiące dzieci, które nie mogły nawet marzyć o wypoczynku i byłyby skazane na spędzenie lata w dusznych miastach i lichych mieszkaniach, otrzymują możliwość godziwego wypoczynku na łonie przyrody, dostają obfite, pożywne jadlo, którego rodzice nie mogliby im dać.

Pomoc Zimowa ustosunkowała się odpowiednio do chwili obecnej i sytuacji, zmuszającej do powołania pod broń pewnych kategorii rezerwistów. Dzieci rezerwistów, odbywających obecnie szaczytną służbę wojskową, są specjalnie uprzywilejowane przy zestawianiu kontyngentów wyjazdowych. Należy to podkreślić z prawdziwym uznaniem.

Już dziś gromadzi Pomoc Zimowa zapasy gotówkowe, przeznaczone na akcję odzieżową i obuwianą dla dzieci bezrobotnych, aby przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego i z nastaniem jesieni zapatrzyć dziatwę, rekrutującą się z warstw niezamożnych i bezrobotnych, w odpowiednią odzież i ciepłe obuwie.

Tyle zadań stoi przed pożyteczną instytucją Pomocy Zimowej! Jak im sprostać, jeśli każde z nich oznacza duży wysiłek pieniężny? Uda się to z pewnością, jeśli wszyscy, powołani do tego, spełnią co do joty swój obowiązek wobec Pomocy Zimowej. Z prawdziwym jednak wstydem musimy stwierdzić że są jeszcze płatnicy, którzy po dziś dzień nie wypełnili swych świadczeń wobec Pomocy Zimowej. Dobrowolnie pojęty obowiązek obywatelski nie dopuszcza żadnej dezercji.

Maruderzy na front! Pamiętajmy wszyscy o koloniach wakacyjnych dla dzieci bezrobotnych, a zwłaszcza ci spośród nas, którzy nie uregulowali dotąd swoich świadczeń.

**Czy jesteś
członkiem L. O. P. P.**



pamiętajmy

o tym, że sole mineralne obok witamin konieczne są do normalnego funkcjonowania organizmu. — Brak soli mineralnych możemy uzupełnić, używając **MINEROGEN F.F.** — smaczną, musującą sól owocową. **MINEROGEN F.F.** dostać można w najbliższej aptece.



Ambasador Łukasiewicz w towarzystwie podprefekta Gaubert z Valenciennes, konsula gen. Kawalkowskiego i sek. gen. Zw. Polaków we Francji, Kalinowskiego wkracza na plac przed merostwem w Escaudain

FUNDAMENTY

Doznaje się wyjątkowo przyjemnego uczucia, kiedy można, spotkawszy jakąś polską społeczność na zachodzie Europy, powiedzieć o niej obiektywnie, bez fałszywej dumy narodowej: pyszni ludzie!

Takiego właśnie wrażenia doznałem, asystując nieśladawo ambasadorowi Łukasiewiczowi w jego triumfalnej podróży (w istocie była to podróż triumfalna) do kolonii polskich w północnej Francji.

Gospodarzami domu, przyjmującymi dostojnego gościa, byli przeważnie polscy górnicy, osiedli na stałe w pasie węglowym, ciągnącym się od granicy belgijskiej przez Valenciennes, Douai, Lens do Arras.

Stara górnicza wiara. Szli z dalekiej Polski za chlebem do kilofa, przez Westfalę do Francji. Osiedlili się tutaj i żyją w doskonałej symbiozie z francuską ludnością.

Przyznam się, że dla nas, obserwatorów przebiegu ambasadorskiej wizyty, zobaczenie tych ludzi było również potrzebne, jak zobaczenie przez nich przedstawiciela Rzeczypospolitej. Dla nich przyjmowanie dostojnika polskiego, honorowanego przez władze francuskie, miało

przyczynić się do usunięcia resztek kompleksu niższości; mieli oni zdać sobie sprawę, że należą do silnego państwa, które szanowane jest przez inne państwa Europy. Zapewne. My jednak zobaczyliśmy coś więcej, niż symbolistykę nawet najdonioślejszą. Mielibyśmy okazję ujrzeć na własne oczy olbrzymią rezzerwę sił narodu, bijące tętno narodowego życia. Wystarczyło spędzić z nimi te kilka dni, aby wracać później do Paryża w nastroju głębokiego optymizmu: szerokie masy polskie są na poziomie!

Dlaczego Polak, stały mieszkaniec Paryża, musi zagłębić się w środowisko rodaków z północnej Francji na to, aby doznać ulgi w rozmyślaniach nad perspektywą ciężkich prób historii, które nas oczekują może nawet w najbliższym czasie. Bo ten element naszych „elit“, który się tu spotyka w nadsekwańskiej stolicy, nie stanowi dostatecznego powodu do patriotycznego entuzjazmu. Któż są ci przejezdni czy osiedli Polacy? Miłośnicy sztuki, czyli innymi słowy snoby, wyzute z wszelkich ludzkich uczuć, którzy kosztem fałszywego podziwu dla wysiłku wielkich twórców chcą zdobyć tytuł do własnej

wielkości. Politycy „totalitarni“, społeczni działacze, którzy przyjeżdżają nad Sekwanę zobaczyć, jak sobie „ta Francja“ radzi z różnymi problemami, które u nas „oczywiście“ zostały już dawno i znacznie lepiej rozwiązane. Politycy „liberalni“ (przeważnie o wyrazie twarzy człowieka, który przed chwilą zleciał z pieca), nie zdający sobie zupełnie sprawy z tego, co się dookoła nich dzieje, kapłani jakiejś bliżej nieokreślonej ideologii, którzy niewiadomo z jakiego tytułu występują w obronie ginącej kultury nawet wówczas, gdy z ową „ginącą kulturą“ nie mieli nigdy głębszych związków. A wszystkich tych delikatnych pięknoduchów, subtelnych polityków i energicznych działaczy charakteryzuje przeważnie jedna wspólna im cecha: małość i uwikłanie w drobnych intrygach, kombinacjach, ambicjach i wzajemnych osobistych animozjach.

Na szczęście istnieje ucieczka do innej, lepszej polskości. Kryje się ta lepsza polskość w kopalnianych szybach północno-francuskich centrów przemysłowych. Kulturyją ją organizacje robotnicze, na których czele stoją przeważnie westfalacy.

Górnik z Westfalii, to znakomity typ organizatora. We wrogim sobie środowisku niemieckim nauczył się bronić wszystkiego, co polskie. Trzymał się więc odwiecznych form organizacyjnych o ustalonym rytuale (bo istnieje cały rytuał westfalski wspólnych spotkań organizacyjnych), tradycje te przywiózł ze sobą do Francji i zdolał zaszczerpić je polskim towarzyszom.

— Stowarzyszenie Dziewic Marii wita Klub Piłki Nożnej, hasłem naszym biała lilia.

— Niech kwitnie!

— Klub Piłki Nożnej wita Stowarzyszenie Dziewic Marii, hasłem naszym podbite oko.

— Niech puchnie!

— My tu, panie — mówił mi jeden taki westfalek — choć po polsku dobrze mówić nie umiemy, to naszą ojczyznę tak kochamy, jak taki, co się w Warszawie koło Dworca Głównego urodził.

Otóż ci wszyscy, którzy nie urodzili się koło Dworca Głównego w Warszawie, ale w różnych okolicach Polski, i dostali się dzięki różnym kolejom losu do Francji, zarówno jak ich dzieci, już tu na miejscu urodzone, stanowią dziś wszyscy razem społeczeństwo polskie, liczące przeszło 400 tysięcy ludzi. Siedemdziesiąt tysięcy stanowi element robotników rolnych, rozproszonych po całej Francji, reszta, a więc znakomita większość, to robotnicy przemysłowi, zgrupowani we wspólnych osiedlach. W niektórych miejscowościach pasa węglowego północnej Francji ludność polska stanowi większość mieszkańców gminy.

Jaki jest stosunek do nich społeczeństwa francuskiego?

Błędnym byłoby przypuszczenie, że Francja sprowadza robotników z zagranicy po to, aby załatwić w ten sposób swój problem zmniejszającego się przyrostu ludności, lub wyludnienia wsi.

Zagadnień ludnościowych, jako leżących u podstawy struktury społecznej, nie można rozwiązać w tak prosty sposób.

Przede wszystkim stary i bogaty naród, którego przyrost ludności zwalnia w swym rytmie, szuka innych dróg, przechodząc stopniowo od rozwiązań ilościowych do jakościowych, zmieniając jakgdyby swój ogólny charakter. W tych warunkach przyjmowanie silnych zastrzyków obcego elementu ludnościowego, przeznaczonych do natychmiastowej asymilacji, mogłoby się w szybkim czasie skończyć zagładą rodzimego charakteru i płynącego stąd dobrobytu kultury, a nawet doprowadzić do całkowitego rozsprzężenia i rozkładu społecznego.

Tak więc Francja traktuje imigrację przede wszystkim z punktu widzenia chwilowych potrzeb gospodarczych, po prostu szuka robocizny, jak w innym wypadku szukałaby surowców. Robociznę znajduje w Italii, w Polsce, w Czechach czy na Morawach, więc importuje.

Przez pewien czas zagadnienie imigracji robotniczej było zdane na łaskę i niełaskę gospodarczej koniunktury. Szczęśliwie jednak ten stan rzeczy, bardzo przykry dla naszych robotników, został usunięty w drodze rozmów pomiędzy władzami Trzeciej Republiki i przedstawicielami Polski, w drodze różnych gentleman-

agreement, gdzie obie strony wykazały dużo dobrej woli i zrozumienia sytuacji.

Niezależnie od stosunku gospodarczego do zagadnienia imigracji robotniczej, Francja naturalizuje pewną ilość robotników cudzoziemskich. Ma się tu jednak do czynienia ze zjawiskiem naturalnym, które zapewne w każdym indywidualnym wypadku inaczej wygląda, natomiast wzięte w całości nie jest niczym innym jak stopniowym wynaradawianiem się ludności polskiej, na stałe osiadłej we Francji.

Wynaradawianie się? Słowo może nie jest zbyt odpowiednie, gdyż jednostki te pierwszej przyjmują się kulturą francuską, a niechciwie zatracają żywe wspomnienie swego polskiego pochodzenia, a nawet związków uczuciowych z Polską.

Zresztą, jak w innych podobnych wypadkach, tak i tutaj, przejście od narodowości polskiej do francuskiej odbywa się



Ambasador Łukasiewicz otrzymuje kwiaty z rąk małej Krakowianki

przeważnie dopiero w następnej generacji. Górnik polski przyjeżdża do Francji z żoną i kilkorgiem drobnych dzieci. Dzieci idą do szkoły francuskiej, przestają z francuskimi towarzyszami zabaw i powoli wsiąkają w tutejszą kulturę. Dodatkowe lekcje polskiego języka, zorganizowane raz lub dwa razy tygodniowo, przy pomocy młodego nauczyciela lub nauczycielki, objeżdżających przeważnie kilka gmin, życie gromadnie w organizacjach dla młodzieży, harcerstwie czy sokolstwie, potem w wolnych stowarzyszeniach dla dorosłych, hamują oczywiście ten proces francuzienia, ale nie mogą go całkowicie zatrzymać.

Tworzenie przy pomocy różnych wymienionych środków mostu narodowego pomiędzy generacjami jest społeczną koniecznością nie tylko z naszego punktu widzenia, t. j. jako przeciwdziałanie wynaradawieniu, ale jest również społeczną koniecznością dla samej Francji. Jak wiadomo, wychowanie szkolne nie wystarcza. Gwałtowne więc rzućcie dziecka robotniczego w środowisko francuskie, gwałtowne zerwanie wszelkich więzów, łączą-

cych go z narodową kulturą jego rodziców, a co za tym idzie pozbawienie go wychowania rodzinnego wytworzyłyby jednostki, wprawdzie pozornie zasymilowane, ale za to całkowicie anarchicznie usposobione do form społecznych nowej ojczyzny. Stopniowy natomiast i łagodny proces asymilacji wytwarza typy korzystne dla obu narodów, ludzi powoli a więc dokładnie przystosowanych do kultury francuskiej, a jednocześnie zachowujących głębokie węzły uczuciowej łączności z dawną ojczyzną, t. j. z Polską.

Oczywiście możnaby mieć zastrzeżenia, czy tak istotnie rzeczy się mają, jeśli chodzi o robotników rolnych, o których słyszy się ciągle, że są w Francji źle traktowani. Jest zresztą w tych opiniach wiele przesady. Robotnik rolny, przyjeżdżający z Polski, pracuje u femera, czyli *mutatis mutandis* odpowiada to pracy parobka polskiego u gospodarza. Gdziekolwiek taki stosunek ma miejsce, w niczym nie przypomina on stosunków wersalskich. Tak zwane „różnice w poglądach” na jakąkolwiek sprawę praktycznie życiową, np. uprzątnięcia gnoju, prowadzą łatwo do rękoczynów (użyjmy technicznej nomenklatury) do „mordobicia”. Gdy się taka historia przytrafi na ziemi kieleckiej, sandomierskiej czy krakowskiej, jest to normalna sprawa, dająca co najwyżej władzom administracyjnym i sądom pierwszej instancji na dwie godziny zajęcia.

Co się tyczy robotników przemysłowych, górników w kopalniach węgla czy potasu, lub metalowców, to sytuacja ich we Francji jest niewątpliwie bardzo dobra. Tak zwane „niveau de la vie” przewyższa znakomicie poziom życia ich towarzyszy pracujących w Polsce. Niejednokrotnie, podczas kilku dni wizyty ambasadora w północnej Francji, słyszeliśmy z ust delegatów robotniczych wyrazy uznania, wypowiedziane pod adresem dyrekcji kopalni za dobre warunki, jakie robotnikom zostały stworzone. Owe dobre warunki pracy wynikają po prostu z wysokiej oceny wartości polskiego elementu robotniczego przez dyrekcje przedsiębiorstw przemysłowych. Wymownym jest naprzykład fakt, że wyższy personel kopalni, inżynierowie i dyrektorzy, uważają za właściwe uczyć się po polsku dla ułatwienia sobie kontaktu z robotnikami.

A propos! Wyjątkowo ciekawy jest pewnego rodzaju snobizm, właściwy środowiskom francuskim na północy, władania biegle językiem polskim. Nie zapomnę nigdy tego wyrazu głębokiej satysfakcji, jaki malował się na twarzy pewnego profesora uniwersytetu w Lille, ile razy mógł on na uprzejme słowa, skierowane do niego po francusku przez polskiego ambasadora, odpowiedzieć w dobrej polszczyźnie.

Ale powróćmy do górników. Symbioza, w jakiej żyją oni z miejscową ludnością, jest czasami wprost zdumiewająca. W siedzibie związku zawodowego górników w Lens rozmawiałem przez chwilę z sekretarzem generalnym związku, Francuzem.

— Jestem franko-polakiem.

— Jakto — pytam — więc i pan jest pochodzenia polskiego?

— Nie. Ale większość naszych człon-



Tłumy publiczności w Lens przyglądają się nadciągającej defiladzie oddziałów Strzelca

ków to Polacy, a ja jestem przecież ich reprezentantem.

Atrakcji więc kultury francuskiej przeciwstawia się jako samorodny czynnik, kultura naszych robotników. Trudno by na tym miejscu rozwódzić się szeroko nad charakterystyką tej rodzimej polskiej robotniczej kultury. W każdym razie ich szczerłość, nieklamana prostota, bezpośredniość w stosunkach, koleżeńska lojalność i bijąca w oczy żywotność natury muszą silnie oddziaływać na ich francuskie otoczenie, skoro rdzenny Francuz mógł uznać się za franko-polaka tylko przez styczność z naszymi górnikami.

— Jesteśmy gotowi — mówił taki jeden delegat górników — ponieść wszystkie ofiary dla dobra Polski, nie trzeba natomiast uważać nas za obywateli drugiego rządu.

Wychodźstwo polskie we Francji, to żywa propaganda polskości. Niejednokrotnie słyszało się z ust Francuzów, przedstawicieli przemysłu lub władz cywilnych o roli rąk polskich w odbudowie Francji, zniszczonej przez wojnę. Niejednokrotnie również podkreślano ze strony francuskiej lojalną współpracę polskich robotników w ich przybranej ojczyźnie. A trzeba przyznać, że lojalność ta nie wypływała z żadnych pobudek natury utylitarnej lub z oportunistycznego przywiązania do Francji. Emigracja polska nie wyobraża sobie, na wypadek wojny, innej konstelacji politycznej, jak Francja i Polska, walczące obok siebie i dla wspólnej sprawy. Okres naprężenia stosunków polsko-francuskich każdy górnik polski w północnej Francji przeżywał jako dramat osobisty. Węć też jako osobiste szczęście przyjął uregulowanie tych stosunków. Dziś marzeniem wychodźstwa jest armia polska z wychodźczego rekruta stworzona, która bronić będzie polski na francusko-niemieckiej granicy. Gdy na defiladzie młodzieży polskiej przed ambasadorem na stadionie w Lens, w obecności dziesięciu tysięcy rodaków, zebrałych na trybunach, maszerowały przed nami zastępy młodych tęgiech chłopców, gdy słyszeliśmy dwa hymny narodowe, Polski i Francji, grane jak dwie strofy tej samej melodii, to zdawało się wszystkim, że armia ta już istnieje i lada chwila ruszy do boju.

Niezapomniane dni polskie w północnej Francji. Ale specjalnie miłe wspomnienie pozostawiło mi kilka chwil spędzonych w Denain na poobiedniej pogawędce z grupą górników i rzemieślników polskich w takiej sobie polskiej trattierii, jakich pełno u nas. Wówczas w rozmowach można było przeniknąć w głąb światopoglądu tych zwykłych a tak ciekawych ludzi, żyjących na granicy dwóch kultur. może nawet na granicy dwóch epok.

Gdy się ta stara wiara o Polsce do syta nagadała zachciało jej się piosenek. Wówczas właściciel trattierii zawołał kelnerkę. Kasię-Westfalaczkę, i poprosił ją o polską piosenkę. Był to epos, popularny polski epos, słyszany u nas wszędzie, od Woli po Czerniakowską i na polskim wybrzeżu, na lwowskim Łyczakowie i w cichych małych miasteczkach Polski zachodniej: o płochej Karolinie, co zdradziła kochanką, chociaż mu wierność przyrzekła, i o miodym żołnierzu, który swe serce przebił bagnietem, gdy po powrocie do rodzinnej wsi swojej lubej już tam nie zastał.

Gdy z żalem opuszczałem Lille, stolicę polskiej emigracji na północy, w gęstej mgłę dymów fabrycznych zamajaczyła mi sylweta kościoła o siedmiu czy dziewięciu cienkich wieżyczkach. Myślałem sobie wówczas, że Polska jest zbudowana jak katedra gotycka o potężnych fundamentach, mocno stojących na ziemi, ale każde wyższe piętro coraz lżejsze, coraz bardziej ażurowe i coraz mniej solidne. I myślałem sobie jeszcze, że jak wielkie dzwony zaczęły bić kiedyś na katedralne święto, to górne części gmachu będą drżały, strzeliście wieżyczki chwiać się będą i może się skruszą, jeśli ich nie podprą mocne gotyckie podpory, z dołu do góry sięgające...

Wiktor Stan.

Harczerze polscy we Francji ptn. ze sztandarami



Przegląd polityczny

Aby sytuacja była jasna

Jednym z charakterystycznych momentów obecnej sytuacji politycznej jest dążenie mocarstw zachodnich do jak najjaśniejszego i najbardziej kategorycznego sprecyzowania ich stanowiska w formie, nie pozostawiającej miejsca na żadne wątpliwości. Anglia i Francja, świadome niebezpieczeństwa dalszego wzrostu potęgi Rzeszy, zdecydowane są przeciwstawić się czynnie każdej nowej próbie agresji niemieckiej, dotrzymując bezwzględnie wszystkich zaciągniętych wobec innych państw zobowiązań. W Paryżu i Londynie starają się więc o to, aby Niemcy nie mogli się nawet ludzić, że w takich czy innych okolicznościach mocarstwa zachodnie zareagują na nowy niemiecki fakt dokonany, bądź zechcą poczynić Berlinowi dalsze ustępstwa. Ponieważ propaganda niemiecka, czyniąca dokoła zagadnienia gdańskiego wiele hałasu, usiłowała zaciemnić obraz sytuacji, jednocześnie zaś pewne fakty zdawały się wskazywać, iż Niemcy zamierzają przeprowadzić swe zamiary gdańskie niejako „od wewnątrz”, przez akcję zorganizowaną na samym terenie Wolnego Miasta — nad Sekwaną i nad Tamizą uznano za właściwe ostrzec Niemcy, że Anglia i Francja doskonale rozumieją znaczenie problemu gdańskiego i są zdecydowane nie dopuścić do żadnych zmian w położeniu Wolnego Miasta, pozostawiając Polsce całkowitą swobodę decyzji w ustaleniu chwili, kiedy zagrożenie naszych interesów uczyni koniecznym wystąpienie czynne wszystkich trzech państw sprzymierzonych.

Takie właśnie ostrzeżenie złożył na ręce ambasadora niemieckiego w Paryżu min. Bonnet, analogiczny charakter miała też deklaracja, jaką w ub. poniedziałek odczytał w Izbie Gmin premier Chamberlain.

Deklaracja Chamberlaina w sprawie Gdańska

Oświadczenie Chamberlaina nie wniosło właściwie nowych elementów do sytuacji, gdyż i poprzednio stanowisko rządu brytyjskiego było już ustalone i najzupełniej stanowcze. Obecna deklaracja potwierdza więc tylko, że Anglia podtrzymuje swe zobowiązania wobec Polski w całej rozciągłości, a dokładne sprecyzowanie punktu widzenia Londynu na kwestię Gdańska, przy tak kategorycznym podkreśleniu solidarności polsko-angielskiej ma być właśnie przestrożą dla Niemiec, aby nie liczyły w żadnym wypadku na jakiegokolwiek niezdecydowanie, czy ustępliwość Anglii, gdyż ta stanowczą decyzję już powzięła.

W omawianym oświadczeniu zwraca uwagę wymowne zestawienie dat odnoszących się do wydarzeń z marca b. r. Gdy po aneksji Czech oraz Klajpedy Rzesza zwróciła się do Polski ze znanymi propozycjami, dotyczącymi Gdańska i autostrady przez Pomorze — Polska w dn. 23 marca podjęła pewne zarządzenia obronne, a 26 marca wystosowała do Rzeszy odpowiedź — oczywiście odmowną. Dopiero 31 marca Anglia udzieliła Polsce gwarancji, rozbudowanych później w dwustronny sojusz. Jednak w dniu 26 marca o gwarancjach tych nie było jeszcze mowy — nawet wobec Rządu Polskiego.

To proste zestawienie dat obala gruntownie naiwną tezę propagandy niemieckiej, głoszącą, że to gwarancje brytyjskie skłoniły Polskę do nieustępliwości, przez wciągnięcie Jej w orbitę tzw. „polityki okrążania”. Jest zupełnie oczywiste, że

u źródeł stanowiska Polski nie leżała czyjaś obietnica pomocy, tym więcej zaś żadna teoria „okrążania”. Decyzja Rządu Polskiego dyktowana była najhardziej zasadniczymi interesami Państwa, a powzięta w oparciu o własne siły. Mocne stanowisko Polski było punktem wyjścia do udzielenia gwarancji angielskich — nie zaś odwrotnie.

Rokowania angielsko-sowieckie

Wprawdzie Francja swego czasu zawarła z Sowietami pakt wzajemnej pomocy (stało się to po zhakrutowaniu koncepcji osławionego „paktu wschodniego”), jednak praktycznie układ ten nie wszedł właściwie w życie. W obecnych rokowaniach angielsko-sowieckich bierze więc również udział Francja, w gruncie rzeczy chodzi bowiem o wyjaśnienie stosunku i trwale związanie Sowietów z obu mocarstwami zachodnio-europejskimi w imię przeciwstawienia się agresji i skutecznego utrwalenia pokoju w Europie.

Stwierdzić jednak trzeba, że rozmowy te idą jak po grudzie i ciągną się w niesamowity sposób. W czasie ich trwania szereg razy zapowiadano dojsie do porozumienia i bliskie zawarcie potrójnego układu wzajemnej pomocy — i stale wypływały nowe nieoczekiwane trudności. Wysłanie dyr. Stranga do Moskwy miało przyspieszyć rokowania

i doprowadzić do sfinalizowania ich w ciągu kilku. Tymczasem p. Strang siedzi już w Moskwie znacznie dłużej, niż to było projektowane, a trudności nie ustępują, strona sowiecka wysuwa bowiem coraz to nowe obiekcje. Początkowo można było przypuszczać, że Sowietom chodzi po prostu o jak najwydatniejsze podkreślenie swej wartości i znaczenia (co miałyby być pewnego rodzaju rewanżem za niepowodzenia, jakie spotkały politykę zagraniczną Moskwy w ubiegłym okresie czasu) oraz o uzyskanie jak najkorzystniejszych sformułowań paktu. Jednakże przewlekanie rokowań pozwala wątpić, czy Sowiety w ogóle mają chęć układ ten zawrzeć. Oczywiście jest zupełnie nieprawdopodobne, jakie polityczne zbliżenie z hitlerowskimi Niemcami, być może jednak, że Sowiety, przekonane, iż Rzesza obecnie bezpośrednio im nie zagraża — uważają za złudne aktywne angażowanie się w ewent. konflikt i dlatego nie zdradzają też ochoty do ściślejszego wiązania się z mocarstwami zachodnimi.

Jeżeli chodzi o Polskę, to sprawa paktu francusko-angielsko-sowieckiego bezpośrednio nas nie interesuje. Nasze stosunki z Sowietami opierają się na szeregu układów — od Traktatu Ryskiego, aż do paktu o nieagresji z 1932 r. i londyńskiej konwencji o definicji napastnika. Stosunki te są zupełnie poprawne i rozwijają się normalnie. Stanowisko nasze wobec rokowań mocarstw zachodnich z Sowietami określić można jako „przychylną neutralność”, jednak do wyniku tych rokowań nie przywiązuje Polska większego znaczenia.

Figura przydrożna na Litwie (do artykułu na str. 561)



LISTY ADAMA ASNYKA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD

W skromne i ciche życie Asnyka w Krakowie trochę różnorodności wnosili jedynie częste podróże za granicę. Szczególną Jego sympatią cieszyły się małe spokojne miejscowości na bretońskim wybrzeżu Francji, jak Croisic, Concarneau Douarnenez. Dwukrotnie przedsięwziął również dłuższe wojaże pozacuropejskie, do Afryki, w roku 1889, i do Indii w zimie 1894 r. Zwłaszcza ta ostatnia podróż, podjęta na zlecenie lekarzy, skrzepiła mocno siły poety, nadwałome już skrytym cierpieniem płuc, i przyniosła mu moc świetnych, kolorowych wrażeń. To też mimo, że zasadniczo opisy podróżeń uważał za kłamliwe, tym razem dał się porwać czarowi przeżyć i podzielił się nimi z czytelnikami „Reformy“ w korespondencjach p. t. *Z obcych stron*. Są one tak blade i pedantyczne, jak wszystkie pozostałe prace Asnyka. O ileż więcej światła i barwności mają listy z drogi na Wschód adresowane do osób prywatnych, notujące impresje na gorąco bez żadnych pretensyj literackich. Pisał je poeta do syna-jedynaka, Włodzia, i do ukochanego druha Sewera-Maciejowskiego. Co stało się z pierwszymi niewiadomo. Ale Sewer przechowywał listy przyjaciela z pietyzmem. Po jego śmierci przeszły one w posiadanie pani Lucyny Kotarbińskiej, której w tym miejscu jeszcze raz serdecznie dziękuję za pozwolenie ich opublikowania. Jest ich nie dużo: wszystkiego cztery: dwie kartki korespondencyjne z adresem „*An Sr. Wohlgeboren Herrn Sewer (Maciejowski) über Wien in Krakau, Kraków, ul. Batorego 6*“ oraz dwa przyzółkłe arkusiki papieru listowego formatu 11 × 17,5 cm. Gęsto zapisane charakterem drobny i trudnym do odcyfrowania tworzą one jakby diariusz podróży.

Ludwik Rath

I.

Triest, 1 lutego 1894 r.

Kochany Sewerze! Wedle obietnicy, dotrzymuję słowa. Początek podróży nie szczególnie się zapowiedział, mam nadzieję, że koniec będzie lepszy. W Wiedniu byłem chory, całą noc przed wyjazdem do Triestu nie zmrzyłem oka. Zmęczony bardzo, przybyłem do Triestu wczoraj wieczorem przed dziesiątą. Dzisiaj byłem w Lloydzie; doręczono mi dwa bilety: jeden do Colombo, drugi z Colombo do Triestu, niby z obniżką na pierwszą klasę, za cenę drugiej. Pokazała się jednak straszna błąka, ponieważ za każdy bilet trzeba by płacić osobno, gdy tymczasem, jeżeli się płaci z góry za bilet tam i napowrót, to ma się bez żadnej protekcji opust więcej, niż trzeciej części, a w dodatku dorachować chciało jeszcze różnicę jedzenia między klasą drugą a pierwszą. Całe więc dobrodziejstwo wedle ścisłego obrachunku wyniosłoby niespełna czterdzieści złotych reńskich. Rozumie się, że nie przyjąłem takiej łaski, ponieważ jednak zaangażowałem się już zanadto w tę podróż indyjską, biorąc zwykły bilet tam i napowrót, nie chcąc Was wszystkich, którzyście mnie żegnali, kompromitować odwrotem, który by mógł uchodzić za porażkę. Solenizantkom wysłałem ży-

czenia z Wiednia przed wyjazdem na dworzec, powtarzam je raz jeszcze. Do Włodzia piszę osobno, ale nie chcę powtarzać drugi raz to, com tu napisał, bądź więc łaskaw dać mu do odczytania tę kartę Pani Twojej, Jej matce pp. Wini i Wandzie rączki całując.

Ciebie ściskam

Twój Adam

II.

Triest, d. 2 lutego 1894 r.

Kochany Sewerze!

Jakkolwiek pisałem do Włodzia i prosiłem, żeby Ci pokazał kartę na wszelki wypadek donosząc Ci jeszcze, że wszystko się ułożyło znacznie lepiej, niż się z początku zanosilo. Odpływam jutro o 12-jej w południe na parowcu Imperatrix o

nieść go także tobie, ten. nawzajem będziesz łaskaw mu pokazać. Do Brindisi przybyliśmy czwartego o godzinie szóstej wieczór, ponieważ było już ciemno, a w dodatku obiad o wpół do siódmej, więc nie wysiadałem na ląd ani przed, ani po obiedzie. Brindisi straszna dziura, nie ma co za dnia w niej robić, a cóż dopiero po nocy. Opuściliśmy nazajutrz Brindisi o godzinie 12-jej w nocy; od rana pogoda zaczęła się psuć, podniósł się dość silny wicher i deszcz zaczął padać. Przepływaaliśmy w kierunku południowym wzdłuż brzegów (nieczyt.) Leuke i Itaki, ale z powodu niespokojnego morza parowiec trzymał się w niejakej odległości. Pod wieczór nie można już było bawić na pokładzie, gromadziliśmy się więc wszyscy w salonach i zabawialiśmy jak kto chciał i umiał.



Maska pośmiertna Asnyka

4.194 tonrach i sile 4.400 koni parowych. Wedle planu czwartego mam być w Brindisi, ósmego w Port Said, 9-go w Suez, 14-go w Aden, a 19-go w Bombay, gdzie się mam przesiąść na inny parowiec odchodzący do Colombo 21-go i przybywającego tamże dn. 25-go. Tu w Trieście pogoda prześliczna, słońce świeci; gdyby tak czas chciał dłużej potrwać, i przeprawa byłaby przyjemną. Tylko w pokojach hotelowych zimno jak w lodowni. Na szczęście jutro pożegnani to lodowate schronienie. Ściskam Cię serdecznie, Pamiętaj rączki całując, Pani Kotarbińskiej, pannie Paszkowskiej, poczciwemu Duńczykowi i wszystkim zresztą serdecznie pozdrowienia.

III

7-go lutego 1894 r. rano

Na pełnym morzu między Kandyą a Port Said.

Kochany Sewerze!

Ostatni list pisałem do Włodzia zbliżając się do Brindisi i poleciłem mu za-

Noc była niespokojna, statek kołysał się, przewracał z boku na bok, jęczał, skrzypiał, maszyna sypała i stukała, naczynia spadały i tłukły się, drzwi z hałasem otwierały się i zamykały; spałem więc snem dosyć przerywanym, ale w każdym razie przespąłem z jakie sześć godzin. Nad ranem wiatr się uciszył, słońce się pokazało i morze z każdą chwilą zaczęło się uspokajać. Płynęliśmy w kierunku wschodnim wzdłuż południowego brzegu wyspy Kandyi (Krety), mającej około piętnastu mil długości. Płynęliśmy dość blisko jej nagich, stromych, poszarpanych skał, stanowiących wybrzeża, które zdaleka wydają się zupełnie bezludnymi i niezamieszkałymi. Zaledwie gdzieś tam gdzieś wyżej na stokach odkryć można było ślady ludzkich zabudowań. W głębi wyspy widniały góry ubielone śniegiem, na których zawisały się mgły i chmury tak, jak u nas w Tatrach. Płynęliśmy tak wzdłuż jej brzegów z jakie dziewięć godzin przynajmniej nim ją nareszcie straciliśmy z oczu. Pogoda dotrzymywała prześliczna i cała nasza

kolonia w wyborzym była humorze. Nie ma czasu nawet się nudzić; sześć razy dziennie zasiadamy do stołu, więc samo jedzenie wiele już czasu zajmuje. Położyłem się wczoraj wcześniej, bo przed dziesiątą, i spałem wyborzym do szóstej rano. Słońce przeszło wschodziło, ale teraz zaczyna się chmurzyć. Kapitan ma nadzieję przybyć dziś pod noc do Port Said, więc dlatego zabrałem się wcześniej do napisania listu. Dotąd podróż służy mi przewybornie, szczególnie pobyt na morzu wywiera na mnie cudowne skutki. Przystałem prawie zupełnie kaszlać, nabrałem ogromnego apetytu. Jestem w dobrym humorze i wyglądam czerstwo i rumiano. Nie ma bo też przyjemniejszego rodzaju podróży, jak morska, naturalnie jeżeli nie wchodzi w drogę zbyt wielkie burze. Trochę kolesiania to nie szkodzi, a nawet pomaga do lepszego trawienia.

Zresztą nie czuje się żadnego zmęczenia, które przynosi ze sobą droga kolejka żelazna. Tu przebywasz jakby w przepysznym urządzonym pływającym hotelu z wyborzą kuchnią, wyresowaną służbą i wszystkimi wygodami. Masz swój własny pokój, trzy salony jeden nad drugim, górny pokład do przechadzki zabezpieczony od palących promieni słońca rozciągniętym grubym płótnem, masz książki, pisma ilustrowane, masz nawet kąpielie ciepłe itd.

Bądź łaskaw zanieść ode mnie kochanemu Doktorowi Staszkiemu Paszkowskiemu najserdeczniejsze pozdrowienia i powiedz mu, że jego pacjent, jak dotąd, ma się przewybornie. Włodzia Mój Drogi nie trać go z oczu i w danym razie rozciągnij nad nim opiekę. Jak będziesz pisał, donieś mi o wszystkim, co się w Krakowie dzieje. Statki angielskie co tydzień płyną do Indii i przybijają do Brindisi zabierać pocztę co tydzień, jest więc sposobność do wysłania listu.

Zonie Twojej i Matce ucałuj rączki, Pannie Jadwidzie i Wandzie najserdeczniejsze pozdrowienia.

Ciebie ściskam

Twój Adam.

IV

Ceylon, Colombo Salle face. Hotel
26.II.1894 r.

Kochany Sewerze!

Nareszcie stanąłem na miejscu przeznaczenia. Ostatni mój list pisany przed zawinięciem do Bombay, wysłałem pod adresem Włodzia, pewnie Wam go udzielił. Parowiec nasz stosownie do planu zarzucił kotwicę w zatoce przed Bombay, jeszcze przed wschodem słońca. W pierwszym brzaśku dnia powitałem w pokładzie labirynt wysp i wysepek zatoki oraz rozlegające się przed nami olbrzymie miasto, łączące w sobie fantazję wschodu z europejską kulturą. O tej ostatniej świadczyły wysokie kominy fabryk ścielące ciemne wstęgi dymu unoszące się nad śpiącym miastem i palmowymi Gajami. Mogłem się całości obrazu napatrzeć do syta, gdyż dopiero po dziewiątej godzinie parowiec nasz manewrując ostrożnie mógł ruszyć ku dokom Wiktory i wpływawszy w nie dobić do murowanej Zetty. Z drugiej strony tej Zetty stała już Maria Valeria, która mnie zawieść miała do Colombo.

Żeby uniknąć kłopotu z pakunkami, pozostawiłem je na Imperatrix aż do chwili przeniesienia na Marię Valerię, a sam z innymi towarzyszami pojechałem do Watson Hotel na główną kwaterę. Dwa dni w Bombay zleciały nadzwyczaj szybko na zwiedzanie i dniami i wieczorami różnych dzielnic miasta, jego wspaniałych budowli, szczególnie dworca kolei żelaznej, niezawodnie najwspanialszego na całym świecie, potem pałacu milionera z rodu Parsi a nazwiskiem Sata, dalej za miastem słynnych Malabar Hill, na których wznoszą się owe Wieże mleczania, gdzie wszyscy Parsowie składają swoich umarłych na pożarcie sępom. krążącym w wielkiej ilości w pobliżu.

Opisywać wszystkiego niepodobna, bo trzebaby na to dłuższego czasu. Każdy przybywający z Zachodu musi być odurzony kalejdoskopowo zmieniającymi się obrazami, w których mieszają się i zlewają rysy najprzeróżniejszych żywiołów. Bogactwem i ilością wrażeń czulem się przygnieciony i zmęczony tak, że odczekałem swobodniej, gdy 21-go o godzinie 9-ej rano przeniosłem się na pokład Maryi Waleryi, a o jedenastej popłynąłem dalej na południe wzdłuż brzegów Indii, które aż do Kap Komorin ciągle widać było z pokładu. Najpiękniejsze były to dni z całej podróży morskiej. Niezrównanej piękności zachody słońca z całą grą barw, o jakiej nie mamy wyobrażenia w Europie, noce miesięczne tak jasne, a nie tłumiące mimo to blasku gwiazd, które w znanych i nieznanach konstellacjach z potrojną mocą płoną, a szafiry toni morskiej szczególnie już w wodach Ceylonu tak przejrzyste i ogarniowane koroną palącej się piany. Szczególniej ostatnia noc i dzień po opłynięciu przylądka Komorin istna Bethowenowska sonata. Nie wiedzieć było gdzie patrzeć i co podziwiać. Delfiny wywracające koziolki nad wodą, błyszczące złotem swego odzienia, stada ryb latających rozpryskujące się jak rakiety we wszystkich kierunkach nad powierzchnią wody i nurzające się na nowo w toni, żółwie przepływające z niezmacaną powagą obok parowca, ptactwo morskie różnego gatunku trudniące się w okolicy połowem ryb, iskrzące się ogniem perelki pian na szafirach fali, to wszystko w tak żywym oświetleniu, przy takim niebie mogło mi ukolysać w dziwne rozmarzenie w rytm lekko kołyszącego się statku. O godz. 1 3/4 ujrzeliśmy w dali na widnokręgu niby skrawek chmurki, był Ceylon. O drugiej rozróżnić już można było wybrzeże. O 2 1/2 widać już doskonale port i miasto schowane w zieleni i wstęgi kokosowych lasów, ciągnące się wzdłuż wybrzeża do Mount Lavinia. Po trzeciej wpłynęliśmy do portu. Trzeba się było zabrać do pobierania wszystkich pakunków, przeniesienia ich następnie do łodzi, do której z gimnastycznymi tylko wysileniami dostać się było można wśród krzyków targarzy i przewoźników, z których każdy osobno coś zanosi i odrębnie żąda zapłaty. Teraz dopiero na ląd, na bulwark, z niego trzeba znowu przenosić rzeczy do Custom House do rewizji celnej; odbywszy i tę formalność, znowu przenosić trzeba rzeczy do powozu, który nareszcie szczęśliwie mnie dostawia do Salle face hotelu. Przybyłem tam dobrze

po piątej, dostając pokój, w nim dwoje drzwi: jedne z korytarza, drugie z żaluzjami na werandę, otwierają je promienie zachodzącego słońca, wpadają nagle przed samą werandą, klomb z siedemdziesięciu wysmukłych, wysokich palm kokosowych, kołysze swoje korony, tuż za nimi błękitne morze toczące z szumem spienione fale. Wzrok ogarnia nieskończoność indyjskiego oceanu i całą linię wybrzeża od portu i fortyfikacji, stanowiących jądro miasta aż do Mount Lavinia przez zielone wstęgi gajów palmowych i różnorodnych drzew i krzewów. Banany Talipoty Ficus dasticus nie takie, jak u nas w pokoju, ale olbrzymie drzewa, magnolie, różne gatunki mimosz i akacyj Mangów, Pandanów, drzew chlebowych, salutowych Tamaryndów, kępy bambusów itd. Ta część miasta, do której przylega mój hotel Kalupithya albo z angielska Colpetty, cała jest jednym egzotycznym parkiem, wśród którego rozmieszczone są wille. Bungalowy europejczyków pomieszczone z chatami syngalezów. Zrobiłem zaraz w mroku wieczornym przejażdżkę po tem jedynym w swoim rodzaju miście, oprócz morza ma jeszcze wewnętrzne jeziora pokryte białymi kwiatami lotosów, ziemia zaś czerwona jakby posypana cynamonem. Wszystkie opisy nie dorównują pierwszemu wrażeniu. Z czasem zapewne oko się oswoi, ale narazie byłem ciągle pod wrażeniem, że przesuwały się przede mną obrazy jakiejś nadzwyczajnej féerie, jakiego widoki z tysiąca nocy. Wczoraj byłem na pocztę, lecz żadnego listu do mnie nie było, nie wiem kiedy z Krakowa jaka wiadomość nadejdzie. Przez ten czas tak byłem odcięty od świata, że nie prawie nie wiem, co się dzieje. Bądź łaskaw Kochany Sewerze list ten posłać także Włodziowi. Jutro lub pojutrze będę do niego pisał, to on znowu swój za to przyniesie. Dziwne uczucie, gdy myślę, że to, co teraz piszę, może dopiero za cztery tygodnie czytać będziecie i że to, co odbiorę od Was, będzie również tak oddaloną wieścią. Ciepło tutaj porządnie, już na morzu pomiędzy Bombay a Colombo termometr wskazywał 39° Cels. w cieniu; tu w południowych godzinach ta sama albo może wyższa temperatura. Na szczęście powiew od morza chłodzi i otrzeźwia. Ściskam Cię najserdeczniej, a wszystkim Twoim paniom z Batorego czy Getruły rączki całuję. Pozdrów odemnie najgoręcej panie Trojackie, Emila i Lucyana pp. Kotarbińskich, p. Idalię, Duńczyka, Malezewskiego, Masławskiego, Sarneckiego, Estreichera, pannę Paszkowską i wszystkich, wszystkich znajomych. Włodzia w moim imieniu uściskaj. A pisz! — a pisz!

Twój Adam.

Dr Ludwik Rath



ZAPOMNIANA KRÓLEWICZOWA POLSKA

Jest pewna dysproporcja w ocenianiu ludzi minionych czasów. Jednych znaczenie i rolę wyolbrzymia się często ponad miarę i przy każdej sposobności o nich przypomina, innych natomiast nie docenia się należycie i pogrąża w pyłe zapomnienia.

Jedną z takich niedocenionych i zapomnianych postaci naszej przeszłości jest — Franciszka Krasińska, królewiczowa polska, małżonka Karola ks. Kurlandii. W pamięci potomnych pozostała ona tylko raczej jako Franciszka Krasińska, taką jaką nam utrwaliła Klementyna z Tańskich Hoffmanowa w swoim „Dzienniku”. A przecież Franciszka Krasińska, czy ks. Kurońska, jak ją zwykli byli nazywać współcześni, była czyniś więcej: przerastała nie tylko urodą i czarem młodości, swoje rówieśniczki, przewyższała je także rzadko spotykaną w saskich czasach, cnotą szczerą miłości ojczyzny i zrozumienia jej potrzeb.

„Przeżyła cały swój żywot — jak powiada Pułaski — w bezustannych walkach z losem, w ciężkich smartwieniach i boleściach rodzinnego życia, w przeciwnościach i zawodach... w upokorzeniach wreszcie, które boleśnie raniły jej uczucia”...

Feljeton ten nie ma pretensji do nazwy studium historycznego. Pisząc o Franciszce Krasińskiej i przypominając ją pokoleniom dzisiejszym, czynię to w tym przeświadczeniu, że warta jest ona bliższego zainteresowania się naszych historyków, że życiorys jej jakże jest pożytecznym tematem dla pisarza — do opracowania, tak dziś modnego, „wie romaneć”. Czyż nie jest czymś fascynującym nakreślenie na tle atmosfery, obyczajów, życia i krajobrazu ówczesnych czasów, życiorysu tej królewiczowej polskiej, która, tak ostrymi konturami odbijała od towarzystwa salonu swej ciotki — ks. wojewodziny Lubomirskiej.

Franciszka była córką Stanisława Krasińskiego, starosty nowokorczyńskiego, stronnika króla Stanisława Leszczyńskiego, zajadłego wroga dynastii saskiej, i Anieli z Jamosza-Humieckich, wojewodzianki podolskiej. Skromna starościanka, otoczona jednak opieką możnej i wpływowej ciotki swej — wojewodziny lubelskiej, po pierwszym swym mężu Tarle, a kasztelanowej krakowskiej po drugim — księżnej Zofii z Krasińskich Lubomirskiej z Opola, wychowywała się w modnej podówczas warszawskiej pensji p. Strumle. Tam nabyła to wszystko, co potrzebne było młodej pannie z ówczesnego „lepszego” świata. Ks. wojewodzina, nazwana przez ks. biskupa Krasińskiego „gniazdową damą”, zawsze i przede wszystkim dbała o tych wszystkich, co noszą nazwisko Krasińskich, szczerze też zajęła się swoją synowicą. Na jej warszawskich salonach wchodziła Franciszka w świat. I wtedy, jak kronikarz notuje: „przy niej zginęły przecie trzy w owej chwili gracje — pani krajeznia w kor. Potocka (i z przekąsem, może, dodaje: „kiedyż nie było jakiej Potockiej, czy z domu, czy z męża w gronie polskich gracji?”), ks. kanclerzyna w. lit. Sapieżyna i panna

starościanka Wessłówna”. Dziwić się też nie można, jeżeli zakochał się w pełnej czaru młodości i urody Franciszce bawiący podówczas w Warszawie i bawiący się szeroko królewicz Karol, obdarzony właśnie godnością ks. Kurlandii i zdążający do Mitawy. Zakochał się od pierwszego wejrzenia i bez pamięci. Nie brak mu okazji, by piękną starościankę spotykać często. Wszak cała warszawska socjeta prześciga się w pomysłach urządzania zabaw na cześć księcia. Wówczas to Hieronim Radziwiłł, brat księcia „Panie Kochanku”, urządził owe słynne lwy w łasku łaźnienskowskim. Miłość księcia nie była kaprysem była szczerą i gorącą. Mimo, że wiedział, iż wywoła sprzeciw ze strony swej królewskiej rodziny, mimo, iż księżna wojewodzina, jakkolwiek zawsze chętna do przysporzenia splendoru rodzi-



Franciszka Krasińska
(wg portretu nieznanego artysty w Muzeum
ordyn. hr. Krasińskich w Warszawie)

nie, a tu splendoru koligacją z domem panującym, może intuicyjnie przeciwdziałała małżeństwu Franciszki z księciem, nie nie pomogło. Wzięli potajemnie ślub w 1760 r. w Węgrowie, za indultem biskupa inflanckiego. Tajemnica utrzymywała się przez długi czas, przynajmniej dla króla, bo zresztą wszyscy ją znali, mimo, że królewiczowa mieszkała nadal, jako Franciszka Krasińska, u ciotki, a księżę wyjechał do Kurlandii.

Ten związek małżeński usprawiedliwia Rullhiere, pisząc, że „piękność jej była usprawiedliwieniem jego miłości, a cnota jej dowiodła, że była godną wejść w dom królewski”.

Że królewiczowa była naprawdę piękną, świadczy o tym świadectwo — nie tylko o zaletach jej zewnętrznej aparycji, ale i o właściwościach duchowych — Falkowskiego, który pisze: „był to już nie pączek, ale kwiat rozwinięty, a do powabów postaci łączyły się w niej uroki wysokiego wykształcenia i tej czarującej wymowy niewieściej, na którą składają się: rozum, dowcip, wyobraźnia, serce, słodki dźwięk głosu, słodsze jeszcze wejrzenie i uśmiechy wtorujące słowom, pojętne ru-

chy ciała, zgola wszystko, co uprzywilejowanej od natury kobiecie służyć może do podlicia serca mężczyzny”.

Może zapyta się kto, czy Franciszka równym uczuciem odwdzięczała się księciu, czy może w pewnej mierze i próżność zaważyła na szali jej decyzji, zgody na małżeństwo? Pozytywnie trudno dać na to odpowiedź. Odnosi się jednak wrażenie, że i z jej strony uczucie pierwszej miłości było szczerze, nie znaczy to jednak, by nie uśmiechała się jej — marzeniami upiękuszona — przyszłość, może... polskiej królowej.

Idylla jednak prędko się skończyła. Najsamprzód księżę zajęty wypadkami kurlandzkimi, nie mógł zbyt wiele czasu poświęcać swojej małżonce, pozostawionej w Warszawie, potem w czasie pobytu „w swej niestałości niestały”, żonę zaniedbywał. I biednej Franciszce pozostała tylko ciotka, ks. wojewodzina, jako jedyna bliska istota. Zwłaszcza wtedy, kiedy to usilnie starano się o przeprowadzenie rozwodu, w czym najwięcej zabiegali i Brühl i przyjaciel księcia, Borch. Ale na próżno, królewiczowa nie zgodziła się na rozwód. Potem dynastia saska, chcąc nie chcąc, godzi się z faktem dokonany, pod wpływem zaś rad cesarzowej Marii Teresy, która losem królewiczowej szczerze się interesuje, Karol sprowadza Franciszkę na dwór saski. Ale dystans między rodziną męża a nią zostaje zachowany. Najlepiej jeszcze żyje z Elżbietą, siostrą ks. Karola, z tą, która potem opiekuje się jedyną córką Franciszki — Marią¹⁾.

Ks. Kurlandzka, w czasie, kiedy zupełnie była przez męża zapomniana, zanim — po śmierci Augusta III — wyjechała do Saksonii (mało przebywając w Dreźnie, więcej w Elsterwerdzie) najchętniej przebywała u swej starszej siostry pani Barbary Świdzińskiej, często jednak po klasztorach, u SS. Sakramentek w Warszawie lub SS. Franciszkanek w Krakowie, czy wreszcie w Opolu.

Do przykrych stosunków małżeńskich, do niechęci spotykanej ze strony rodziny królewskiej, kłopotu przysparzały jej wiele braki finansowe, mimo, że posiadała dość pokaźny majątek. Sytuacja ta poprawia się dopiero po uchwałach sejmu 1776 r., kiedy została uznana królewiczową Polską i gdy przyznano jej znaczne apanaże. Kiedy więc uzyskuje to, co uważa za należne dla siebie: pozycję i dochody. — nie poprzestaje na spokojnym życiu, w zaciszu domowym. Przeciwnie, mieszkając czy w Lublińcu, czy w Opolu na Śląsku, bierze czynny udział w działalności konfederacji barskiej, czego wymownym świadectwem jest pozostała korespondencja królewiczowej z jednym z głównych konfederackich działaczy, bi-

¹⁾ Późniejszą ks. de Carignan, matką króla Sardynii Alberta, przez co matką dzisiejszej dynastii włoskiej. Po śmierci męża, ks. de Carignan, wysłała za mąż za ks. Montlear. Była wielką przyjaciółką Polaków i chętnie w ich towarzystwie przebywała, córka zaś jej, księżniczka Augusta Montlear, znana ze swej działalności dobroczynnej, osiadła w Małopolsce i gospodarowała w Lanckoronie, w tej Lanckoronie, którą babka jej, królewiczowa polska, otrzymała od cesarzowej Marii Teresy.

skupem kamienieckim. Krasińskim. Jej rezydencje na Śląsku są ogniskiem prac konfederacji, u niej i pod jej przewodnictwem radzą członkowie generalności, agenci dyplomatyczni zagranicznych dworów raporty składają „Najjaśniejszej Miłościwej Pani”, tam zjeżdżają się najwybitniejsi działacze. wśród nich, incognito, księżę małżonek. Od 1770 r. jest księżna duszą akcji konfederackiej, ona to przewodniczy zebraniu generalności w Białej, ją proszą o „aprobację” lub „reprobację” nie tylko konfederacyjni statysci, ale i wodzowie w swoich strategicznych zamysłach.

Specjalnymi względami królewiczowej cieszy się młody Kazimierz Pułaski. Ona poleca go generalności, interesuje się nim i opiekuje. Powiadają, że Franciszka, jeszcze jako starościanka nowokorczyńska, była pierwszą i jedyną miłością młodego konfederata. Miała o tym wiedzieć i chęć wynagrodzić mu zawód, jakiego od niej doznał, roztoczyła nad nim swoją możliwą opiekę. O niej też powiedział gdzieś Pułaski: „je suis enchantée de la confiance qu'il me temoigne”.

Mimo, że niejednokrotnie, w czasie prac konfederackich, myślała o możliwościach objęcia tronu polskiego przez ks.



Ks. Karol Kurlandzki

(wg portretu nieznanego artysty w Muzeum ordyn. hr. Krasińskich w Warszawie)

Karola, w momencie, kiedy nadszedł moment, gdy — w interesie ojczyzny — należało z tego zrezygnować, nie zawahała się ani chwili, jak gdyby pomna na dewizę herbowa swojego rodu: „Amor patriae nostra lex”; nie sprzeniewierzyła się jej nigdy, a do blasku zasług — przodków i potomków swojego rodu — dodała nie tylko świetne koligacje z domami panującymi, ale i te bezcenne cnoty Polki, która w czasach panoszenia się prywaty, samolubstwa i karierowiczostwa, pozostała tylko Polką, godną lepszej panięci potomnych.

„Jest ona postacią nadzwyczaj interesującą przez dziwne koleje losu, przez swą naturę pełną niewieściego wdzięku, w połączeniu z istic męskim hartem duszy, ogromną energią i zdumiewającą inteligencją”.

Aleksander Olexiński

²⁾ Cytaty zamieszczone w pow. feljetonie za-czerpnięte są z prac o Franciszce Krasińskiej, a mianowicie:

K. Pułaski: „Z życia księżnej Kurońskiej”, Warszawa, 1890.

J. Falkowski: „Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce”, tom I, Poznań, 1877 r., str. I — 83: „Zofia z Krasińskich ks. Lubomirska Kasztelanowa krakowska i synowica jej Franciszka z Krasińskich ks. saska, królewiczowa polska”.

WALKA A POGLĄD NA ŚWIAT

Wojna jest zjawiskiem odwiecznym. Formy jej ulegają zmianom w miarę rozwoju kultury, ale istota rzeczy pozostaje ta sama: rozstrzygnięcie sporu siłą. Działania tej siły w dziejowym rozwoju stają się coraz bardziej finezyjne i zarazem coraz bardziej potężne. Maszyna ustokrotnia tę siłę. Wojna staje się walką maszyn, kierowanych przez człowieka. Ale wojnę po dawnemu wygrywa człowiek, a nie maszyna. Rola maszyny pozostaje pomocni-

cza. Rozstrzyga człowiek. Zachodzi pytanie: co decyduje o człowieku, o jego zdolności do zwycięstwa. Decyduje o tym pogląd na świat, będący motorem, który pcha człowieka do czynów.

Pogląd na świat, to właściwie sam cały człowiek, to wyraz najbardziej osobistych, najgłębiej sięgających cech charakteru człowieka. W poglądzie na świat przejawia się to wszystko, co człowiek uważa za wartość i obowiązek. Słowem, pogląd na świat jest najwyższym typem uświadamiania sobie życia.

W każdym poglądzie na świat istnieją różne pierwiastki, a więc religijne, moralne, polityczne, społeczne, ekonomiczne, estetyczne itp. Istnieją też i pierwiastki militarne. Im pełniejszy jest pogląd na świat, tym większe znaczenie uzyskują militarne pierwiastki. Im bowiem głębiej kto patrzy na życie, tym lepiej widzi, jaką rolę odgrywa w życiu walka. Jest ona zasadą twórczą, powołującą do życia nowe jego postacie. Wszystko bowiem jest walką: albo walką wewnętrzną w nas, głębokim duchowym konfliktem, czy rozterką, albo walką, toczoną z przyrodą w celu opanowania jej i przystosowania do naszych potrzeb, albo też walką ludzi ze sobą o życie i władzę. Walka tkwi w istocie

wszelkich procesów życiowych, stanowiąc istotę samego życia. Praca też jest walką, bo jest pokonywaniem oporów. Walką jest również twórczość. Walką jest przyjaźń, a nawet miłość. I dlatego pierwiastki militarne mają ogromne znaczenie światopoglądowe.

Pierwiastki militarne pozwalają ujmo-wać życie pełniej, a nade wszystko pozwalają dynamicznie działać. Można by powiedzieć, że tworzą one ognisko aktywizujące pogląd na świat. Pozwalają więc człowiekowi wypowiadać się w czynach, a przecież czyn jest najlepszym świadectwem prawdy. Istotnie bowiem prawda w pełni utwierdza się tylko przez działanie. Słowa są tylko dźwiękiem bez znaczenia. Czyn — stwierdzającym faktem.

Jeśli więc zastanowimy się głębiej nad sprawą, to dojdziemy do wniosku, że pierwiastki militarne uświadomione sobie i rozwinięte, jako istotna i ważna część poglądu na świat, uzbrajają i hartują człowieka i narody duchowo, że uczą je tej zasadniczej prawdy o konieczności walki, jako zasady twórczej i że wreszcie czynią z nich istoty aktywne, dynamiczne i twarde, umiejące rozbijać opór ludzi i rzeczy.

Dlatego też każdy z nas musi przemyśleć głęboko to zagadnienie militarynych pierwiastków poglądu na świat, aby móc stać się pełnym i twórczym synem własnego Narodu.

W. I.



CIECHOCINEK — RAJ DZIECIĘCY

Idealne miejsce kuracyjne i wypoczynkowe dla dzieci wątlých, odhartowanych i skrofalicznych.

OGRODY JORDANOWSKIE, BASENY SOLANKOWE, PLAŻE, GRY I ZABAWY NA WOLNYM POWIETRZU.



ADMIRAŁ TIRPITZ – INICJATOR WIELKIEJ POLITYKI NIEMIEC DOBY WILHELMA II

Niewątpliwie jednym z najbardziej modnych i popularnych frazesów jest obecnie zestawianie dzisiejszej sytuacji politycznej w Europie z okresem poprzedzającym wybuch 1914 roku. Istotnie wiele zewnętrznych analogii (wyścig zbrojeń, walka gospodarcza, niemal ta sama konfiguracja sprzymierzonych mocarstw) usprawiedliwia to, psychologicznie zresztą zupełnie zrozumiale, szukanie precedensów w przeszłości, by snuć odpowiednie wnioski na przyszłość. Jeśli jednak dokładniej przyjrzymy się międzynarodowej sytuacji, to dostrzeżemy bardzo znaczne różnice w stosunku do położenia w 1914 roku, życie polityczne uległo bowiem daleko idącemu zróżnicowaniu, wyrosły nowe problemy ustrojowe, społeczne etc., nieznaane lub mało znane społeczeństwu przedwojennym. Najistotniejszą bodaj różnicą między rokiem 1939. a dobą przed wielką wojną, jest system przymierzy w Europie: wtedy cała Europa podzielona była zdecydowanie na dwa obozy już na długo przed wybuchem: dziś jesteśmy dopiero świadkami krystalizacji tych ugrupowań, na razie jednak pewna część państw (w tym tak wielki kraj, jak Rosja) nie znajduje się jeszcze w orbicie systemu przymierzy, wydaje się więc, iż dzisiejsza Europa jednak nie znajduje się w tak zaawansowanym stadium swej choroby, jak to się działo przed ćwierćwieczem.

Jeden jest tylko wzgląd, który nie pozwala nam zapomnieć o przeszłości w chwili, gdy oglądamy współczesną rzeczywistość: jest nim realna wartość tradycji politycznej jako kopania idei dla współczesnych polityków i dyplomatów, którzy uczą się zarówno na sukcesach, jak i na błędach poprzedników i stosują te same nieśmiertelne metody, jakie były w użyciu dawniej. To też takie analogie nie trudno wykryć zwłaszcza w taktyce polityków Trzeciej Rzeszy, a wzorem, na którym (zwłaszcza w ostatnich miesiącach) silnie opiera się Hitler, jest niewątpliwie nie Bismarck czy Wilhelm II, ani Bülow i Bethmann-Hollweg, ale przede wszystkim admirał von Tirpitz.

W związku z tym wielkim zainteresowaniem Tirpitzem i w parze z ostatnią, wiosenną serią zastrzeżeń niemiecko-brytyjskich, ukazał się ciekawy artykuł b. ambasadora niemieckiego w Rzymie, Ulricha von Hassella, poświęcony zewnętrzno-politycznym poglądom admirała Tirpitz „Tirpitz aussenpolitische Gedankenwelt“ w czwartym zeszycie (za rok 1939) miesięcznika „Berliner Monatshefte“. Artykuł ten, napisany przez starego, przedwojennego dyplomata niemieckiego, oparty jest w dużej mierze na osobistych kontaktach autora z admirałem, jest też do pewnego stopnia apologią Tirpitz, oskarżonego po wojnie przez przeciwników o spowodowanie wybuchu i rozdrażnienie Anglii zbrojeniami na morzu.

Zupełnie trafnie Hassel uważa Tirpitz za twórcę, nie tylko wielkiej floty, ale też wielkoświatowych aspiracji polityki niemieckiej, co jest rzeczą tym bardziej zauważalną, że admirał wyszedł — nie z

jakięś nadmorskiej rodziny północnoniemieckiej, ale z typowego, pruskiego środowiska urzędniczego. Urodzony na Wschodzie, w Kistrzyniu w 1849 r., wychował się przyszły admirał w atmosferze kultu dla wielkich generałów pruskich, Gneisenau'a i Scharnhorsta. Yoreka oraz w nastroju wybitnie prorosyjskim, silnym w Prusach od czasu wojen napoleońskich, gdy Rosja była sprzymierzeńcem Hohenzollernów. Ale nie tylko z urodzenia i tradycji, także z ducha (jak stwierdza Hassel) był Tirpitz typowym Prusakim ze swym surowym i twardym poczuciem obowiązku i wstrętem do pięknych słów i krasomówstwa. Mając lat 16, wstępuje Tirpitz jako kadet do słabej wówczas marynarki pruskiej. Szybko przelatuje szczeble kariery wojskowej i już w 1892 — 95 jako szef sztabu marynarki reorganizuje gruntownie niemieckie siły na morzu. W tym czasie dochodzi po raz pierwszy do czynnego wystąpienia Niemiec na Dalekim Wschodzie. Na tle powikłań w Chinach Berlin decyduje się w latach 1896—1897 wysłać na wody chińskie eskadrę torpedowców, która obejmuje w posiadanie niemiecką koncesję, owe słynne Kiauczau, położone u wybrzeży, bogatej w węgiel, chińskiej prowincji Szan-tung. Tirpitz jest komendantem tej wyprawy, ona też najsilniej urobiła jego poglądy, mimo to wszakże nie był on zachwycony kierunkiem polityki niemieckiej, a o Kiauczau słusznie przewidywał, iż prędzej czy później wpadnie w ręce Japonii. Tirpitz chciał bowiem uniknąć zaostrzeń między Rzeszą a tym wschodnio-azjatyckim mocarstwem, stąd też ostro krytykował udział Niemiec w interwencji francusko-rosyjskiej w sporze chińsko-japońskim, gdy Japonii odebrano wszystkie nabytki uzyskane od Chin w wymuszonym pokoju w Szimonoseki: z tego samego też względu sprzeciwia się Tirpitz później sojuszowi niemiecko-rosyjskiemu (w czasie wojny Rosji z Japonią w 1904 r.), mimo że zgodnie z pruską tradycją rodzinną zawsze niemal wypowiada się za oparciem polityki niemieckiej o Rosję.

Polityka Tirpitz zwracała się zdecydowanie przeciw Anglii. Wprawdzie Hassel stwierdza, iż Tirpitz nie był wcale wrogiem potęgi anglosaskiej, mimo to wszakże rozpoczynając budowę wielkiej floty, chciał siłą zmusić Anglię do liczenia się z interesami Niemiec. Trzonem systemu politycznego Tirpitz był bismarckowski sojusz z Rosją, w tym czasie zresztą coraz trudniejszy do utrzymania ze względu na rosnące aspiracje państwa-władczynie carów i wzmagającą się rywalizację rosyjsko-habsburską na Bałkanach. Tej polityce Tirpitz pozostał wierny do końca i już nawet po swym ustąpieniu w 1916 r. interweniował przeciw listopadowej deklaracji Niemiec i Austrii (proklamujących państwo polskie), ponieważ to mogło uniemożliwić zawarcie odrębnego pokoju z Rosją. Drugim punktem oparcia polityki Tirpitz były Włochy, którym, jego zdaniem, jedynie pomoc Niemiec (co Hassel jakby specjalnie akcentował) umożliwić mogła uzyskanie mocnej pozy-

eji w basenie śródziemnomorskim. Tirpitz zdawał sobie zresztą sprawę z trudności tej polityki: uważał, że do czasu zrealizowania niemieckich planów na morzu trwać będzie dla Rzeszy okres niebezpieczeństw, w czasie którego dyplomacja Berlina winna się starać uniemożliwić wszelkie próby Anglii stworzenia bloku, który by przeważał siły niemieckie. Stąd też Tirpitz stara się zapobiec licznym, a drażniącym incydentom, przede wszystkim zaś pragnie całkowitego (nawet za cenę ustępstw terytorialnych) pogodzenia Niemiec z Danią.

Ta oparta o „zasadę ryzyka“, tirpitzowska polityka zewnętrzna (która w licznych szczegółach przypomina nam czasy obecne) doznała wtedy całkowitego niepowodzenia. Pierwszym jego objawem było zerwanie rokowań flotowych z Anglią, zerwanie — którego zdaniem Hassela, Tirpitz wcale nie pragnął, ale do którego doprowadził nie chcąc rezygnować z żadnego z ważnych atutów. Miało to konsekwencje dalej idące i doprowadziło do zawarcia trójporozumienia Anglii z Francją i Rosją. Fakt tego układu, któremu politycy Wilhelma II nie zdołali przeciwdziałać, był sam już spełnieniem największych obaw Tirpitz, a jest istotny więc jest argument Hassela, który na usprawiedliwienie polityki zbrojeń morskich przytacza fakt, że wojna zaczęła się na innym terenie — obcym przedmiotom tarć anglo-niemieckich.

Z chwilą wybuchu wojny Tirpitz jeszcze bardziej traci wpływ i popada w konflikt z kanclerzem Bethmann-Hollwegem na tle sprawy walki łodziami podwodnymi. Tirpitz bowiem, choć w sprawie samego wybuchu zarzucał rządowi lekkomyślne wypowiedzenie wojny Rosji (w odpowiedzi na mobilizację), tutaj reprezentuje stanowisko bezwzględne, żąda niczym nie ograniczonej walki podwodnej i użycia całej floty w walce. Na tym też więc, gdy nie uwzględniono jego żądań, podaje się do dymisji (1916).

Koniec wojny światowej i zatopienie całej floty niemieckiej pod Scapa Flow przynosi dziełu Tirpitz zagładę, mimo to admirał nie ustaje w swej działalności politycznej i co ciekawsze, gdy minie pierwszy okres rozgoryczenia, reprezentuje myśl zbliżenia do Anglii i wyrzeczenia się niemieckich aspiracji na morzu. W polityce wewnętrznej jest Tirpitz jednym z przywódców konserwatystów t. zw. niemiecko-narodowych i wpływem swym skłania Hindenburga do przyjęcia godności prezydenta Rzeszy. Tirpitz jest zresztą w tym czasie (aż do śmierci w 1930 r.) postacią bardzo głośną, a otaczany kultem przez jednych, ostro zwalczany przez innych, którzy widzieli w nim pośredniego sprawcę zerwania z Anglią i wojny światowej.

Dziś przeżywają Niemcy renesans (trudno powiedzieć czy istotny, czy sztuczny) kultu dla Tirpitz, ale daleko istotniejsze, niż rozgłos jego nazwiska, ma przejęcie jego wskazań przez Trzecią Rzeszę, która ostatnio coraz bardziej stara się realizować to, co w dobie cesarstwa częściowo tylko znajdowało aprobatę gabinetu opartego o parlament i nie zawsze podatnego dla ryzykanckich koncepcji.



Regaty w Henley są wielkim, dorocznym świętem sportów wodnych u Anglii

Z POLSKI

Księżniczka belgijska Józefina dokonała otwarcia nowego parku imienia królowej Astrid w Hessel



Pomnik Króla Władysława Jagiełły w Krakowie nad nawalą górną pod Grunwaldem przypada 1

Grupa dziennikarzy litewskich, która 1 przedstawicieli władz polski





Monument symbolizuje wielkie zwycięstwo Polski nad Niemcami w bitwie pod Tannenbergiem, którego 520-ta rocznica obchodzona będzie w lipcu b. r. FOTO 4 1.39

Wizyta w Polsce, powitana została przez władze na stacji w Landwarowie



Na stadionie w Białogrodzie odbyły się efektowne pokazy jugosłowiańskich wojsk zmotoryzowanych

I ZE ŚWIATA

Wierny sługa Brianda, popularny we Francji „Emil”, zmarł na straży posiadłości swego pana w Cocherel





Biegły w Wodzy na wielkim ślizgawce wodnej wycieczki w Krakowie



Wzrost Księcia Władysława Jagiełły w Krakowie wzniesienie pomnika w Warszawie. Pomnik oddany do użytku 15 sierpnia 1930 r. w Warszawie



Właściciel w Warszawie w czasie jazdy na rowerze przez pierścień

Z POLSKI

I ZE ŚWIATA

Koncerty w Warszawie. W czasie koncertu w Warszawie



Właściciel w Warszawie w czasie jazdy na rowerze przez pierścień



Grupa w Warszawie. W czasie jazdy na rowerze przez pierścień



PIERWSZA WARSZAWSKA SZKOŁA SZTUK PIĘKNYCH Z POPISU SZKOŁY BALETOWEJ

W roku bieżącym dokonano na terenie Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego restauracji budynku znanego ogólnie jako Muzeum Zoologiczne. Pod tą też nazwą figuruje ten gmach w Słowniku Architektów Łoży. Początki tego gmachu wiążą się z powstaniem powołanego do życia w roku 1816 Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego.

W początkowej organizacji Uniwersytetu przeznaczono jeden wydział dla filologii starożytnej i nowożytnej i historii i dla sztuk pięknych. Budownictwa, miernictwa i inżynierii i nazwano go Wydziałem Nauk i Sztuk Pięknych, dzieląc go na Oddział Sztuk Pięknych. Kuratorem honorowym Oddziału Sztuk Pięknych został członek Komisji Oświecenia. Józef Sierakowski, a honorowym dziekanem, znakomity malarz Stanisławowski, Marceli Bacciarelli. Organizację Oddziału przeprowadzili Sierakowski i architekt Aigner.

Była to pierwsza de nomine szkoła sztuk pięknych w Warszawie. De nomine, bo nie de facto. Faktycznie bowiem już za Stanisława Augusta działała na zamku warszawskim nieoficjalna akadem. mająca swych profesorów, uczniów, stypendystów i bardzo poważne pomoce naukowe, jak królewskie zbiory rycin i odlewów gipsowych, a przede wszystkim wspaniałą do dwóch tysięcy dzieł dochodząca królewska galeria obrazów, po śmierci Stanisława Augusta rozproszoną. Jeszcze za życia króla, od początku niemal jego panowania, przygotował Bacciarelli projekty zorganizowania formalnej akademii. Po rozbiorach na próżno kolatał do Berlina i do Rządu Księstwa Warszawskiego. Stanisławowska idea zrealizowała się dopiero za Królestwa Kongresowego w ramach Uniwersytetu, a dzięki poparciu ówczesnego ministra oświecenia, Stanisława Kostki Potockiego. Nowa szkoła otrzymała gmach tu właśnie omawiany, budowany w latach 1818 — 1819.

Jako budowniczy figuruje architekt rządowy Komisji Oświecenia, Mieczysław Kado, któremu Łoża w Słowniku Architektów przypisuje ten gmach opierając się na pomnikowym dziele Bielińskiego (Bieliński J. Królewski Uniwersytet Warszawski

1816 — 1831. Warszawa 1907 — 1911. Fontes et commentationes. Tom X — XI).

Jakkolwiek nie ma żadnego powodu podawać w wątpliwość źródłowych informacji znakomitego uczonego, warto zanotować, że w Gabinetie Rycin Biblioteki Narodowej J. P., w zbiorze Podzameckim wśród papierów Aignera, znajduje się reprodukcja tutaj rysunek tegoż gmachu podpisany przez Aignera. Aigner był wówczas głównym architektem rządowym i nie ma w tym nic dziwnego, że do jego spuścizny trafiła elewacja jednego z gmachów rządowych. Podcyfrowanie go świadczy zapewne o korekcie lub aprobach. Wiemy również z wspomnianego dzieła Bielińskiego, że Aigner korygował również dla Uniwersytetu gmach Obserwatorium astronomicznego, budowany przez Kado i Szpilowskiego, a korygował go tak dobrze, że nie bez słuszności uchodzi za jego autora. Być może, że przy ewentualnym wydaniu przygotowanego od lat kilku opracowania gmachów Uniwersytetu kwestia wkładu Aignera do budynku szkoły sztuk pięknych zostanie wyjaśniona.

Na parterze nowego gmachu znalazł pomieszczenie zbiór odlewów gipsowych, zapoczątkowany przez Stanisława Augusta i zakupiony od spadkobierców przez Izbę Edukacyjną Księstwa Warszawskiego, powiększony przez Stanisława Kostkę Potockiego i uzupełniony przez Komisję Oświecenia. Konserwatorem zbioru został Antoni Blank. Z racji kruchości materiału zbiór uniknął wywiezienia do Petersburga i lat przeszło sto w tym samym miejscu pozostał i nadal w nim pozostawać będzie. Szkoła mogła również korzystać ze zbioru rycin, również po Stanisławie Auguste, powiększonego przez Stanisława Kostkę Potockiego, a mieszczącego się, jak i dziś, przy bibliotece Uniwersytetu.

Katedrę malarstwa Oddziału po niedolnym Karolu Verenne, objął w r. 1820 Antoni Brodowski, z pochodzenia warszawianin, a do pomocy dodano mu Blanka. Perspektywę wykładał Vogel a po jego śmierci Golański, rzeźbę Maliński, sztycharstwo — sprowadzony z Berlina Krethlow. Katedrę architektury po dobrowol-



Na dorocznym popisie szkoły baletowej, który odbył się w Teatrze Wielkim, wyróżnił się najlepszy materiał uczniem klas niższych prof. J. Markowskiego.

Na zdjęciu jedna z najmłodszych adeptek, wielce obiecujący talent, *Marysia Bialous*, która z czarującym wdziękiem dziarsko odtańczyła mazurka ludowego.

nym ustąpieniu z niej Aignera objął Kado, wielce zasłużony dla organizacji nauki budownictwa i miernictwa, a obok niego wykładał Szpilowski. Katedrę miernictwa zajmował Juliusz Kolberg - Kolobrzeg. Przewidzianą katedrę inżynierii objęli, po kilku latach przygotowań, Urbański i Smolikowski.

Dookoła tej uniwersyteckiej szkoły sztuk pięknych grupowało się życie artystyczne Warszawy, co znajdowało swój wyraz w urządzanych co dwa lata wystawach publicznych. Na czoło profesorów szkoły wybił się i stanął na czele życia artystycznego kraju i stolicy Antoni Brodowski, zarówno wysokim poziomem swych prac jak reprezentowanemu przez siebie kierunkiem. Był to bowiem klasyk; klasyk współczesny rozpoczynającemu się w malarstwie zagranicznym romantyzmowi, klasyk, który na gruncie Warszawy reprezentował postęp i poszukiwanie nowych dróg.

Oddział Sztuk pięknych wraz z całym Uniwersytetem przestał istnieć w roku 1831 a w 1832 zmarł Brodowski. Następna publiczna szkoła sztuk pięknych zostanie otwarta dopiero w r. 1844. Tymczasem oddziaływały tradycje Oddziału Sztuk Pięknych w postaciach jego dawnych uczniów. W przygotowaniu ich leży tak dla całości malarstwa polskiego, jak też dla tej jego karty, która dzisiaj już śmiało malarstwem warszawskim nazwać można (vide Sienkiewicz J. Malarstwo warszawskie I-ej połowy XIX w. Arkady 1936. Nr 9), waga i zasługa Oddziału — pierwszej warszawskiej szkoły sztuk pięknych.

Fasada gmachu pierwszej Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych według rysunku w planie budowy Uniw. Król. Warsz. pięknych Kunstów z r. 1814



O BOK ORŁA ZNAK POGONI

Rzadko się zdarza, żeby z Godła państwowego uciekały poszczególne elementy. Ale się jednak zdarza. Z naszego Godła oddzieliła się Pogoń i stała się Godłem wolnego państwa litewskiego. Z Godła węgierskiego oddzieliła się tarcza, symbolizująca Słowację (góry z krzyżem na szczycie) i stała się Godłem państwa słowackiego. Lecz w obu tych wypadkach państwo macierzyste nie zareagowało jednakowo. Gdy na Węgrzech ani myślano za przestać używania godła, które wzięła sobie za herb Słowacja, to w Polsce zrezygnowano z używania Znak, który był drogim sercu każdego Polaka. Postąpiono niesłusznie, zrywając tradycje dawnej Rzeczypospolitej, ale kierowano się pięknymi motywami — dania nowej Litwie dowodu, że się nie czyha na jej niezawisłość.

Jednak ani ten dowód, ani cały szereg innych nie zdołały przekonać nieufnego sąsiada.

U nas w Polsce nie bardzo rozumiano o co Litwie chodzi. „At, dziwaczka” — chciałoby się rzec stylem Mickiewicza, tak jak się mówi o jakiejś krewnej, która boczy się i okazuje swe niezadowolenie, nie raz zupełnie nieumotywowane, ale w chwili dla rodziny ważnej spieszy jednak ze swą pomocą. Nie wiele więcej zrozumienia wykazywali nawet ci Polacy, którzy na Litwie mieszkali. Przecież oni się uważali za Litwinów i od wieków byli przyzwyczajeni decydować o losach tego kraju, z którym łączyło ich urodzenie i powinowactwo krwi. Zapomnieli o tym, że wyrzekając się języka przodków i przyjmując polską kulturę, stali się dla swego ludu obcymi. Nie mogli też pojąć, że niechęć Litwina do Polaka była nie tyle nacjonalistycznej natury, co ekonomicznej. Chłop litewski, tak samo jak i polski, miał ziemi mało i z zawzięcią spoglądał na rozległe łany dworskie. Reforma rolna była dla niego tak samo doniosłym postulatem, jak i dla chłopca polskiego. A że dwór mówił innym językiem, niż chata — to sprawę bynajmniej nie ułatwiała.

Gdyby państwo polskie istniało bez przerwy, to te wszystkie kwestie ekonomicznej natury byłyby się wyregulowały z biegiem czasu i w drodze ewolucyjnej, państwo zaś, które nigdy nie było nacjonalistyczne i aż do czasów najnowszych używało jako języka urzędowego — łaciny, byłoby się zapewne przekształciło w federację autonomicznych prowincji, rządzących się własnym językiem tak, jak to ma miejsce w Szwajcarii. Przecież nasz wielki Odnawiciel, Józef Piłsudski, marzył o ustroju federacyjnym. Nie został jednak zrozumiany.

Ze jednak byliśmy w niewoli i naszym tyranom zależało na największym skłóceniu i rozbięciu nas, więc nie dziwne, że zaczęto chłopów wygrywać przeciw szlachcie i błyskać im przed oczami mirażami zdołaczy rolnych. Nasi chłopcy polscy dali się na to złapać, a cóż dziwić się chłopom litewskim?

Chłopu nad łożem nie migocze szlachecka szabla „dzienną złoćca troskę wspomnieniem o sławie”. Wielka przeszłość i wspaniała tradycja zaczynają go

interesować dopiero wówczas, gdy odwrwał oczy od swego obejścia i rozejrzal się szerzej po kraju. Nasi chłopcy na początku istnienia naszego państwa odrodzonego myśleli tylko o sobie. Dziś myślą już o dobru kraju. Chłopi litewscy oraz inteligencja spośród nich się wywodząca



Litwa jest ojczyzną przepięknych krzyży przydrożnych

chętnie przyjęli pomoc rosyjską, gdyż myśleli jeszcze kategoriami „obejścia”. Przyjęli też potem pomoc niemiecką i zdecydowanie wyrzekli się wszelkiej łączności z państwem, w którym było ich miejsce, stając na stanowisku ściślejszego nacjonalizmu.

Rozumowali oni w ten sposób: tylko

w państwie niczym nie związanym z Polską będziemy mogli przeprowadzić reformę rolną i dać naszemu ludowi ziemię, której on tak bardzo potrzebuje. Jeżeli jednak nasze „żubry” znalazłyby się w państwie sfederowanym z Polską, to potrafią swoimi wpływami nie tylko pozabawić nas dobrodziejstwa reformy rolnej, ale jeszcze wziąć nas w jarzmo.

Jeżeli się przypomni, że u nas, w obliczu wojny i grożącego przewrotu społecznego ustawa o reformie rolnej przeszła w sejmie zaledwie jednym głosem większości, to znów rozmówanie Litwinów nie wydaje się mi całkowicie bezpodstawne.

Lecz Litwini, wyrzekając się wszelkich praw historycznych i rezygnując z uczestnictwa w budowaniu dawnej Unii, by stworzyć państwo w granicach narodowościowych, popełnili jeden wielki błąd. Chcieli zrzec się praw historycznych tych, które im nie odpowiadały z pewnych względów a natomiast domagać się tych, które im wychodziły na korzyść. Podobny i dowolny podział nie da się przeprowadzić, gdyż druzgocze logiczną siłą systemu. Tym błędem, który już obecnie zemścił się na Litwinach, jest długotrwałe i uporczywe żądanie Wilna. Prawda, że Wilno było ongiś stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego i mogłoby zostać stolicą Litwy i obecnie, ale Litwy historycznej, połączonej unią z Koroną. Zaś na stolicę Litwy nacjonalistycznej nie ma ono najmniejszych danych, gdyż ilość żywołu litewskiego zamieszkującego to miasto i jego okolice, jest znikomo mała. Tutaj nacjonalizm litewski jest bity o kilka długości przez nacjonalizm polski.

Kemal Atatürk, budując nową, narodowościową Turcję, zrezygnował z Konstantynopola, jako ze stolicy, gdyż to piękne miasto, chociaż zamieszkałe przez Turków, znajdowało się jednak na krańcach państwa i obcy etnicznie element

Uroczym widokiem Kowna zachwycał się Mickiewicz





*Jak na obrazie daucnego mistrza. Styłowa
prażniaczka litewska przy stylowym kołnierotku*

mieszkał już prawie przed jego bramami. Litwini nie chcieli rezygnować z Wilna, mimo, że znajdowało się ono daleko poza etnicznymi granicami ich państwa.

W rezultacie kilkanaście lat braku wszelkich stosunków z Polską i zabór Klajpedy, który w innych warunkach nie byłby nigdy nastąpił.

W Litwie podobno się chce nawiązać nie z czasami przedunijnymi i chwali się tych, co się opierali unii z Polską. Nie fałszywszego nad pogląd, że Litwa mogłaby istnieć sama, bez łączenia się z Polską. Krzyżacy wykończyli ją tak, jak Prusy, i jeżeliby dziś istniało jeszcze miano Litwy, to byłaby to tylko nie mówiąca nazwa prowincji niemieckiej, tak jak są nią Prusy.

Litwa winna zrozumieć, że tak samo i dziś, jak i przed wiekami, jedyne groźne dla niej niebezpieczeństwo, to niebezpieczeństwo niemieckie. Niemcy zrzuciły już maskę i z całą otwartością przyznają się do zakrojonych na wielką skalę planów zaborezych. Los Czechosłowacji jest zasię dowodem, że te plany nie są jedynie gołosłowne.

Nie ma wątpliwości, że Litwa w końcu zrozumie swój interes. Lecz obawiam się jednego: typowej dla Litwinów powolności w wyciąganiu wniosków i typowego uporu nie pozwalającego do przyznania się do popełnionych błędów.

To nie my a Niemcy nie mają dość chłeba: to nie my a Niemcy potrzebują ziemi dla osadzenia swych osadników. Nam jest Litwa nie potrzebna. Jeżeliby mówić językiem imperialisty, to nie ma tam ani bogactw naturalnych, ani dostępu do morza, przedstawiającego dla nas wartość. Polska racja stanu wyszła już z powijaków, by widziała swój cel w restytuowaniu ziemi na majątkach. Jeżeli jednak mimo to interesujemy się Litwą, to jest to pamięć wspólnej wielkiej przeszłości, to jest ten romantyzm dziejów, który przemawia do serca każdego Polaka.

Polska współczesna szczerze i bez żadnych ubocznych celów pragnie się porozumieć z Litwą. Dla niej idea federacji wolnych ludów, skupionych w polskim „commonwealth”¹ jest nadal żywa i godna urzeczywistnienia.

Były czasy, tego ukryć się nie da, że lubiano nas na Litwie i witano jak zbawców. Pozwolę sobie sięgnąć do pamiętników. Było to przed stu przeszło laty, kiedy jeszcze pańszczyzna była instytucją obowiązującą a „panowie w stolicach palili cygara”.

Na Litwę udaje się korpus pod dowództwem generała Chłapowskiego, by podać rękę tamczemu powstaniu. W jego korpusie, w pierwszym pułku ułanów znajduje się oficer, nazwiskiem Wojciech Goczalkowski. On to potem opisze, jak tam witano polskich żołnierzy. (Wspomnienia z lat ubiegłych. Kraków. 1862).

Tak notuje ten żołnierz bez literackich pretensji swe wrażenia ze Żmudzi: „A kraj to innej już, o wiele jaśniejszej fizjognomii od Litwy. Bliskość morza, portów, tem samem handlu, a z nim dostatków cywilizacji zachodu, czyni Żmudzina więcej towarzyskim: stąd zaś i obyczaje jego są łagodniejsze i więcej wykształcone jak u Litwina, wszędzie w ogóle grunt serca tu poczciwy, religijność wyznania rzymsko-katolickiego niezmiernie gorliwa, a przytem doznają swobody, którą dohry byt przy skromnych potrzebach daje: jedno z drugim czyni, że Żmudzini dziś jeszcze wydają się być tym pierwiastkowym, wybranym ludem na ziemi, co to w obfitości zrodzon i żyje, ale w zbytek i sobkostwo nie przeszedłszy jeszcze, zachował serce z duszą czystą i zdrową, skłoną do wszelkich szlachetnych uniesień, taką prawie, jaką z rąk Stwórcy odebrał. To też, gdzieś tylko przechodzili, lud obojej płci odziany schludnie, biało i smakownie, wybiegał na drogę z oznakami najwyższej radości, wynosząc co kto miał. Często kobiety napełniwszy fartuchy krajankami sera, kielbas, chleba i rozmaitych wędlin, biegły przy koniach, podając po trochu naszym z tego wszystkiego, z wdziękiem i prośbą, choć na migi, bo roznuwić się i tu niepodobna było.

Język ich, tak jak litewski, do żadnego z europejskich całkiem niepodobny a lud innym nie mówi. Wojsko też tutaj we wszystko opływało, zwłaszcza w starą wódkę i chleb, o który przez cały ciąg



*Baszta zamku Randonie mówi o rycerskiej
przeszłości Litwy*

kampanii najtrudniej było, zastępowano go tylko ciągle sucharami”.

Ta ludność dawała upust swoim sympatiom dla żołnierzy polskich nie tylko nie na jakiś rozkaz, ale nawet z wielkim dla siebie niebezpieczeństwem. Powstanie bowiem po nieudanym ataku Giełguda na Wilno chyliło się ku upadkowi a srogie represje i prześladowania były jedyną nagrodą dla tego ludu za dobre serce i uczucia umiłowania dla szerszej ojczyzny.

I z rozumowych i z uczuciowych

Piechota litewska prezentuje się doskonale



względów bardzo się cieszę, że te tumany, napuszczone przez wrogów, zaczynają zwolna opadać. Ciężkim miecza przecięliśmy gordyjski węzeł zadrażnień i nieporozumień i nie już nie stoi na przeszkodzie, byśmy się mogli bliżej poznać. Bo przede wszystkim trzeba od tego zacząć. To, co my wiemy o Nowej Litwie i to, co Litwa wie o Nowej Polsce, to niesłychanie mało. Bo nie od kupców dowiadujemy się o obcych krajach, ale od pisarzy i poetów. Musimy się zapoznać z duchowym życiem Litwy i przetrzeć przez przepaście, grażone przez wrogów, tęczy most porozumienia.

Litwa zrobiła w tym kierunku pierwszy krok. Notujemy to z całą radością. Znany pisarz litewski, Fabijonas Neveravicius, twórca powieści poruszających zagadnienia ze wspólnej historii (Dnie i noc — z czasów rozbiorów Polski i Litwy, Rozwiane ognie — powieść z 1830 r., Ciernie i inne) przełożył na język litewski cały szereg najcenniejszych utworów polskich. Tak więc ukazały się nakładem luksusowej „Biblioteki Klasyków” — Chłopi Reymonta, które wyszły jako I tom tej Biblioteki. Ponadto Neveravicius przetłumaczył Reymonta — Rok 1794, Żeromskiego — Dzieje grzechu i Popioły, Jalu Kurka — Grypa szaleje w Naprawie, oraz w przygotowaniu: Wędrówka Joanny — Ewy Szclburg-Zarebiny.



Stary świątkarz litewski przy pracy

Nasz P. E. N. Club umiał ocenić wartość i doniosłość dla kulturalnego zbliżenia Polski i Litwy pracy Neveraviciusa i przyznał mu nagrodę za całokształt pracy przekładowej w sumie 1.000 złotych.

Oczekujemy teraz na podobną inicjatywę z naszej strony, która by nam pozwoliła na zapoznanie się z twórczością litew-

ską. Wierzymy, że stare hasło powstańcze: Obok Orła Znak Pogoni — jeszcze kiedyś znów będzie aktualne.

Niech tylko po obu stronach granicy nie panuje umysłowość tego typu, która doprowadziła do zguby Czechosłowacji.

L. Życki-Malachowski

SONET MICHAŁA ANIOŁA

I. Wiktoria Colonna

*Nie w sercu miłość moja gniazdo sobie zwiła;
Bez serca jest ta miłość, którą mam dla Ciebie
Nadziemskim żyję trybem, urodzona w niebie.
Gdzie w prochu pelzająca nie podleci siła.*

*Jak od ognia nie zdołasz oddzielić gorąca —
Nigdy się od boskości piękno nie oddzieli —
Tem bliżej są mu krewni niebiescy mieli,
Im bliżej forma o szczyt harmonii potraça...*

*Kiedy się duch od Boga odrywał przed wieki,
Miłość, aby nasz związek utrzymać na dalej,
Zrobiła mnie oczami, a Ciebie urokiem*

*Więc raj w źrenicach Twoich odnajdując wzrokiem,
By odwiedzić te miejsca, gdzieśmy się poznali,
Uciekam palający pod Twoje powieki.*

M N E M E)

„Dowcip jest pośrednikiem między rozumem a uczuciem” — powiedział kiedyś Kant.

Więc, gdy słabnie uczucie (przeobraża się dajmy na to w zimny, stylizowany pozytywizm, często w nadmierny pragmatyzm) dowcip przestaje być pośrednikiem i wędruje do historii jako „pomagier” pamięciowy, mnemoniczny dziejów ludzi i ludzkości. Zabawia tę historię (w istocie nudną) na wesołą akwarelę.

Chyba Państwo już zauważyli że w Polsce jest coraz mniej prawdziwego dowcipu, a przecież nie zgłupiała Ona, tylko zmadrzała. — więc jakież wnioszek?... Coś może w Niej wyziębło... Humor zastępuje szmonecy żydowskie i dowcipy polityczne mniej lub więcej apokaliptyczne — to jest mające coś z astrologii Św. Jana. Brak poczucia humoru odbija się mocno na całej naszej twórczości. Niektóre powieści współczesne są na przykład tak zagadkowe pod tym względem, że czytający taki przeciętny „szary” (cudny określnik!) człowiek nie wie, czy ma do czynienia z „Bocianem” — „Muchą” czy organem umarłych i mimo woli — nastrojony historycznie — przypomina sobie jedną z zagadek, jakimi Fredro z Koziobrodzkiem częstowali siebie w chwilach mniejszej prostracji duchowej „z powodu literatura”. Zagadka ta brzmiała mniej więcej tak: — „Poszli do kuchni, obydwaj spuchli — pierwszego: ten tego laje, że mu nie daje drugiego: tego trzeciego — niepotrzebnego — zwar tego... Co z tego będzie — chyba żądzieńki?”

Odpowiedź była: — „Zbierz wszystko w — koło, całuj mnie w — czoło — szóstego!”. Kto nie wierzy, niech będzie laskaw tę zagadkę odgadnąć; — dla odgadniętej proponuję tytuł „Miłość i weterynaria” albo „Walenrod i Podfilipski” — bez żadnego wynagrodzenia za tę przysługę — w drodze konkursu.

Poza kubizmem, dadaizmem, symbolizmem i innymi izmami leży dziedzina przestrzenna ojczystego języka i melodyjnych gwar jego, w której jako kwietniki leżą możliwości odtwarzania wszelkich pojęć w sposób dla wszystkich dostępny i zrozumiały. Albowiem czytać uczymy się bardzo długo, długo — to prawda, ale też może i chodzić o to, abyśmy mieli w ogóle co czytać w te lata cichej ewolucyjnej rewolucji mózgow i pojęć.

Kiedyś miałem cudny sen: śniło mi się, że widziałem jak prababka Gombrowicza gdzieś tam daleko, daleko na kresach moich z face à main w rękę czytała ze słodkim uśmiechem (takim samym, jaki ma moja na Jej miniaturze) jego powieści. Pewno myślicie, że ja tu zaraz z namietnością byczej walki na rogi wykrzyknę, że prababunia nic nie rozumiała i wzruszała pochylone zacne ramionka? Przeciwnie — śniło mi się właśnie, że anielski jej uśmiech powiedział mi — „jaki to cudowny ten nasz ojczysty (na kresach!) język polski, że w nim nawet to, co nie można zrozumieć, jest tak ślicznie powiedziane!

Otóż te rzeczy „gramatycznie” niezro-

zumiać, a fonetycznie piękne zaczęły się od „A imię jego czterdzieści cztery”. Stało się ten rebus odgadnąć pewno z milion osób — bez rezultata, bo i sam autor prawdopodobnie dobrze nie zdawał sobie sprawę co mu się nagle przypomniało; w apoklipsisie Św. Jana jest podobno dużo takich powiedzonek z ówczesnej astrologii! Pewna dama, obliczywszy wbrew złośliwości kobiecym w tym kierunku sumę liczb porządkowych danych liter w alfabecie, twierdziła z mocą, że „44” to znaczy gmina... Mickiewicz jako prorok ustroił wsi! Próżno by tłumaczyć zacietrzewionej damie, że gmina pochodzi od niemieckiego wyrazu *Gemeind* — i że w jej odkryciu nie ma dowcipu. Nie dała się za nie przekonać.

Cierpiącym na nostalgię dobrej literatury ogromnie by się przydała w dzisiejszych, zapowietrzonych animozjami czasach jaka dobra powieść, może być nawet i obłąkana („*Obłąkanie jest tylko zustrzonym człowieczeństwem*” — powiedział Frank), może nawet poetyczna („*ambihilis insania*”), nawet może i tragiczna, bez śladów czy pretensji humoru, — aby miała dowcip w konstrukcji i kontrapunkt w wykonaniu.

O gdzieś zapomniany drogi panie Lanie („*Głowy do pozłoty*” — „*Wielki Świat Capowie*” i inne), w którym zaczytywały się nasze matki — kurierki powstańcze ze śmiechem nad postacią galicyjskiego „*Oberbezirkforstheera*” p. Precliczka, mandaryna administracji austriackiej, który wojujący z „*Polnische Umsturzpartei*” nie wiedział o tym, że jego żona i córka przechowują powstańców w jego własnym lokalu. Przecież ta nieznajomość najbliższej okolicy jest grubym defektem do dziś dnia rozmaitych administratorów w dosłownym znaczeniu.

Jako pogodnie przedstawienie genealogii demokracji z epoki Wielopolskiego przypomina mi się cykl powieściowy p. t. „*Życie w Parafii*” Cieślakiewicza (pseudonim sekretarza Margrabiiego niejakiego Miniszewskiego), a szczególnie jedna powieść „*Szalucie w metampsychozie — czyli szlacheka dusza na komornem w chłopskim ciecie*”... Dzieje feodała, szalawily, rozpustnika Jacka Gryfa, który po rycerskiej śmierci ulega metampsychozie i dusza jego wędruje przez ciało orla, jelenia, aby w końcu po latach wędrowki wpaść w gębę śpiącego pastuszka Kohiarza. Odtąd dla biednego chłopca zaczęły się wieczne niepokoje i tęsknoty do czegoś wyższego, — które intryguje i kontroluje zamknięta w nim dusza szlachcica, — kończy szkołę jezuicką, uniwersytet warszawski — przechodzi różne perypetie w związku ze swym pochodzeniem. Epoka odmalowana jest bajecznie. Statua komandora tragedii w osobie figury Św. Jana Nepomucena przy drodze i dusza Jacka Gryfa uzupełniają się wzajemnie nawet gadkami z pierwoim pozytywizmu.

Ach! Boże a „*Justyna*” — „*Okienko na Poddaszu*” tegoż autora są tak romantyczne tak pełne dziewczęcości i wdzięku, że muszą być najbardziej wzruszającą od-

trutką po przeczytaniu „*Dziejów Grzechu*”...

Jabym tam nie lekceważył żadnego typu powieści, bo każdy klan w Polsce winien mieć swoją własną literaturę. Co za sens wytrząsać się nad „*Trędowną*” Mniszkówny, kiedy ona dostarcza tyle przedziwnej rozkoszy młodym duszom żeńskim, mniej uświadomionym w niebezpieczeństwach prawdziwej niewinności! Moja „*młodsza*” Helena była na 3 z rzędu przedstawieniach tego filmu; długi czas była przekonana wskutek tego, że musi bezwzględnie wstąpić do klasztoru, rozlewała kawę, herbatę, tłukała talerze, wazniki — w końcu przestała się fryzować, malować, zaczęła częściej myć ręce — albowiem została „*trędowną*” — i uspokoiła się. Przeznaczne wydawnictwa p. Breslauera p. t. „*Barbara Ubrzyk*” czyli tajemnicę dworu hiszpańskiego — alho „*Żywoć Św. Cennowcy*” sprawiło to, że gdy moja gospodyni panią Fidińską napadła raz do roku pasja czytania tych arcydzieł literatury światowej, to ja miałem spokój przynajmniej na tydzień — w końcu którego zwykła znowu mnie błagać o pójście do spowiedzi.

Nikt nie pisze dobrych powieści dla dorastającej młodzieży naszej, która — wczytana w literaturę starszych — jest już taka wybredna, że śliczne powieści amerykańskie i angielskie (np. Montgommery, Alcott, Fr. Burnett) uważa już „za bardzo głupie dla siebie” — i niestety niesłusznie, gdyż nie potrafi się czytać w prostotę i szczerotę alokucji ideowej w tych utworach — zepsuta nadmierną zmysłowością naszych fabuł.

Kiedyś na pewnych kursach żeńskich miałem wykłady swoje po lekcjach prof. Ignacego Matuszewskiego — ojca, który, obrabiając literaturę najmłodszą wtedy — dłużej (wobec namietności chwili społecznej) zatrzymał się na „*Dziejach Grzechu*” Żeromskiego. Musiałem zwykle czekać dłużej, gdyż Matuszewski (znakomity badacz i krytyk) zapalał się mocno i przeciągał swoją godzinę. Otóż kiedyś raz już trochę cięty na starszego kolegę za to — wyczekiwałem na opuszczenie przez niego sali wykładowej — niesłychanej doznałem emocji, gdy nagle z sali tej przed Matuszewskim wypadła jakaś młoda słuchaczka o postaci i rysach orientalnych ze spazmatycznym wraskiem i szlochem... „*Ja całe życie będę wdzięczna Żeromskiemu, że nauczył mnie się oddawać*”. Okazało się później, że autorka tego wrzasku niezupełnie dokładnie rozumiała ostatnie swoje słowo, rozumiejąc je trochę przenośnie, ale widocznym było, że nie tylko treść i fabuła utworu, ale nawet i język i styl były dla nieszczęśliwej — zupełnie niewinnej dziewczicy — jako zielone winogrona. Wszystko powinno mieć *swój czas*, a właściwa czytanką przede wszystkim. Jeżeli „nie można być starannym w doborze rodziców” (Dickens) to jakże wybrednym należy być w wyborze metody i treści wychowania dla tych, co nas o nic swoją niewinnością proszą.

Moje opowiadanie o tym wypadku (bi je się mocno w pierś!) bo bardzo złośliwe) przyjął Stefan Żeromski niewymownym smutkiem. Za to go ubawiłem lepiej kiedy indziej.

¹⁾ Por. „*Tyg. Ilustr.*” Nr 5 — 28.

WYWCZASY LITERACKIE

Kiedyś wracaliśmy w kilku — przyrodziarcze z kilkudniowej wycieczki w turanie. Schodzimy wołno — unęczeni do Kuźnic, a tu wszędzie wspaniałe afisze „Młoda Polska o Sobie“ dnia tego a tego gaworzyć będzie w sali „Morskiego Oka“! — Czterech prelegentów wymieniło imiona chrzestne i nazwiska, wszystko poetniki i literaty!... A cóż — psiakość — a my to nie Młoda Polska tyż? Więc unywamy się jako tako, ochędożywszy szaty i doczesności walimy en avant kupą do „Morskiego Oka“.

Tam już wyłazł na estradę taki bledziutki zdechlałek, zwycięski taternik z Krupówek i coś gdał omdlewająco, że „treść to nic, ale forma, forma to jest platforma współczesności“ — W pewnej chwili — mówiąc o Żeromskim — składa ręce na piersiach jak anioł Kaulbacha i wycedza z siebie uroczyście, że on „Żeromskiego — jak sakrament przyjmuje do wnętrza w porannej bielejnie ducha“. Nie wytrzymałem, beknąłem szatańskim śmiechem; — trzy rzędy siedzących przede mną dam i dziewięć skaraly mnie błyskawicami rozjuszonych oczu i sykaniem. Prelegent — mój dawny kolega — trochę się zachłysł i „zdumiał“. Musiałem się wynosić zaraz z tego audytorium i ubawiony do końca kości pacierzowej powędrowałem zaraz na Bystre do Żeromskich. Stefan gorączkował i leżał już w łóżku nakryty wszystkimi serdakami i kocami. Pytałem go rzewnie, jak się czuje po wnijszeniu przez „poranną bielejnie ducha“ do wnętrza kolegi „tego tam“ w momencie ofiarowania. Miał sekundę wątpliwości, czym nagle nie zidiociał, ale gdym mu to wszystko odtworzył detalicznie — powiedział, że tego rodzaju owacja jest i obrazą i kalumnią autora, bo i literatura w czystej postaci nie może służyć nikomu z jej oceniaczy do wykazywania wytworności czy sadyzmu swoich indywidualizmów.

On „się kocha w Oskarze Wildem“... on „się modli z Mauriacą“, „rozumie się z Mannem“ — to są zdania i maniry snobów w celu rozamięnienia dla siebie przygodnego towarzystwa, ale nie oceny wartości. Taki pan od „sakramentu Żeromskiego“ jest tylko śmieśzny, bywa niebezpieczny, gdy neurastenikowi temuż w odczynie komunikuje, że jest „płtyzykiem“ (gruźlikiem), gdy platynuje, czy nikluje kto, kogo, kiedy, jak — przy jakich okolicznościach?

Dzisiaj — gdy się więcej gaworzy, niż tworzy w tej dziedzinie tragicznym bywa rohlenie interesu na cudzej charakterystyce, dociągając wszystko i wszystkich do pewnego strychulca i rytuału, oczywiście *kawiarnianego*. Ciekawe jest takie posiedzenie nadmierne i egotycznie postępowych niewiast przejrzałego wieku w towarzystwie adiutantów, zawodowych snobów, na którym się dysputuje o nowych formach, a że człowiek „nowe rzeczy stwarza tylko w sztukach pięknych i poezji“, bo z tamtych to „wszystko to już było“ — więc taki starszy pan, brzydki i samotny w rogu kawiarni do swojej czarnej kawy powtarza tylko tęsknotę przemilego filozofa szwajcarskiego Anniela:

— „Lequel de nous n'a pas sa terre promise, son jour d'extase et son fin dans l'exil...“

Konrad Chmielewski

Lipiec. W mieście spiekota do trzeciej połęgi. Po rozmiękłych od słońca asfaltach krąży unęczoney mieszczuch, niczym wielbłąd po pustyni, szukając czego by się napił.

Wszystko, co żyje i oddycha, poczynając od premiera a kończąc na ostatnim drzewku, uwięzionym między płytami chodników, ma tylko jedno pragnienie. Uciec z tej kamienną pustyni gdzieś, gdzie dużo chłodniej orzeźwiającej wody. Nad morze, strumień czy jezioro.

Nie wiem jak komu, ale mnie się ta ucieczka udała. Łączę sobie teraz „wśród fali łąk szumiących, wśród kwiatów powodzi“. Jeżeli chcę się kąpać — mam do swej dyspozycji cudnie jezioro, wyglądające jak oko wschodniej piękności, gdyż tak samo jest wydłużone w migdał i obrzeżone długimi rzęsami oleń i sosen.

O błogosławione słodkie lenistwo wywczasów...

Lecz ludzie wsi patrzą niechętnym okiem na leniuchującego mieszczucha. Dla nich skwarny lipiec to przecież czas najcięższej pracy. Zgięci w pałak kosiarze kładą miarowymi ruchami kos coraz dłuższe chodniki pokosów. Nietyle krańce, co czerwone z wytężenia i z upału dziewczyny idą tymi chodnikami, rzucając poza siebie grube, opasłe snopy. Nie długo leżą one w poniżeniu. Już bowiem podnoszą je pracowite ręce i ustawiają w mendle czyli, jak się tutaj mówi, w „sżygi“.

Nie wiem, czy ta typowo regionalna nazwa powie wam, gdzie jestem. Boję się, że tylko prof. Nitsch się w tym zorientuje. Bo to niby Mazury, a nie Mazury. Mazurzenia tu ani śladu, a język dźwięczny i śpiewny. Ziemia to graniczna, usiana ruinami zamków i o wiele starszymi od nich grodziskami. Ziemia Dobrzyńska. Przed wojną granica biegła stąd o kilka kilometrów a w takie właśnie letnie, upalne dni słyhać było granie armat z fortecy toruńskiej.

Dziś granica przesunęła się o setki kilometrów, forteca toruńska zmieniła właścicieli, ale w letnie upalne dni granie armat rozlega się w niej po dawnemu. Widocznie ta muzyka należy do takich, co się nigdy nie kończą. Widocznie te miłe melodie nigdy nie wyjdą z mody.

Miały te okolice jednak i miłsze melodie, których pilnie nasłuchiwał Szopen, bawiący na wywczasach w odległym od mnie o kilka kilometrów Działyniu. Państwo Dziewanowsy, Działynia właściciele, z ogromną atencją przyjmowali młodego muzyka, a ich córka, panna Ludwika, bodaj nawet i jakiś afekt dlań w serduszku kryła.

Ciehe to było uczucie i tym cichsze, że nie odwzajemnione. Zresztą trudno dziś rozplatać tajemnice tych, co już dawno pomarli.

Echo pana Fryderykowskich wywczasów zostały w piosence, skomponowanej podobno u podnóża krzyżackiego zamku w Golubiu, gdzie pojechał z panną Ludwiką. Znać ją zapewne: „Gdyby nie było panny Ludwika, to by nie było w Polsce muzyki. Panna Ludwika złotego dała, prus-

kiego walca zagrać kazala“. — Oczywiście wędrownemu katarzyniarzowi.

Nie tylko Działyni się chlubi, że gościł wielkiego muzyka. (Dziś pewno nawet i c tym nie wie, bo posiadający go żydowin weale się tradycją nie interesuje).

Niejedem ze znacznych obecnie ludzi przewijał się przez gościnne progi Wojnowa, gdzie i ja się na wakacjach znajduję. Stąd jeszcze przed wojną przekradł się przez granicę Sławek, tutaj zatrzymywał się Jur-Gorzechowski, organizując P.Ó.W.

Lecz nie o nich chcę mówić. Trafilem tu na ślad ulubionego mego pisarza, polskiego Kiplinga — Adolfa Dygasińskiego. Był on na wywczasach w Wojnowie w roku 1901 i tak się zachwyił pięknem tu-



Adolf Dygasiński

tejszych okolic, że wyjechałszy stąd do Ojcowa jeszcze Wojnowo wspominał.

Wspomnienie o nim jest tu jeszcze bardzo żywe. Pamięta się, jak Dygasiński po całych godzinach przebywał z końmi lub z psami, rozmawiając z nimi jak z ludźmi. Jak lubił przesiadywać nad jeziorem, które tutaj zwie się „jeziorem“. Jak zachwycał się wspaniałą gwarą starego stangreta Sadłowskiego, zwanego powszechnie „Sadłochem“.

Wojnowo, chociaż zamczyskiem nie jest, posiada jak każdy szanujący się zamek swego „stracha“. Jest nim „piejak“, który straszy nie w domu lecz na drodze nad rzeczką, zwaną Krtusa.

Dygasiński, tak jak i wy, nie wiedział, co to znaczy ów piejak, i niebacznie zapytał o to Sadłocha.

„A toś to taki, co z kurami chodzi“ — odpowiedział mu nieoceniony stangret, który potem nie mógł się nadziwić, że taki uczony pan z miasta takich prostych rzeczy nie wie.

Za moich młodych lat ten koguci duch

korcił mnie nieraz do samotnych wycieczek o północy nad Krtusę, lecz, niestety, nigdy mi się nie ukazał. Nigdy też nie mogłem dociec dlaczego ów „piejak“, zamiast siedzieć w jakimś niebie piejaczym, straszny pocziwiał ludzi.

Geneza wizyty Dygasińskiego w Wojnowie była następująca. Córki właściciela Wojnowa, panny Rzeszotarskie, uczęszczały swego czasu na pensję, na której wykładał Dygasiński oraz jego serdeczny przyjaciel Stanisław Mieczyski znakomity polonista i tłumacz z obcych języków. Nieporównany erudyta.

A że w Wojnowie niczym w Medyce interesowano się literaturą i że obaj przyjaciele przyjaźnili się z kuzynem państwa Rzeszotarskich, Stefanem Dąbrowskim, malarzem i twórcą warszawskiego Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej, więc urządzono sobie wesołe wakacje, których echa pozostały w pożółkłych choć jeszcze dziś pełnych życia listach.

Wakacje literackie w gościnym dworze przeleciały jak jeden dzień.

Oddajmy głos przyjaciółom — niech opowiedzą o swych wrażeniach.

Tak pisze po powrocie do Warszawy profesor Mieczyski:

„Szanowna Pani! Przepojeni tyłu rozlicznymi a sercu niemi wrażeniami w przeznaczonym domu polskim, opuszczaliśmy w zadumie Wojnowo uroczce. A tłem tej zadumy była przykrość z rozłąki wynikająca. W takim usposobieniu ducha rozpoczęliśmy podróż, której oto króciuchna Odyseja.

Markotność przerywał nieoceniony Sadłoch wywodami głęboko filozoficznymi w trybach *spiewnych* niezmiernie. Jego talent narracyjny i rozum przenikliwy nie przeszkadzał, mnie przynajmniej, rozmyślać nad innymi zagadnieniami, mającymi związek z istotą niebiańskich ziemianek. Twierdziłem zawsze i twierdzić nie przestając, że przedstawicielki pięknej polowy rodzaju ludzkiego wyposażone są z jednej strony darem Pytii delfickiej, a z drugiej zaś nieomylnością papieżów. Proroctwa ich, że przesądem jest męskim przypuszczanie przeszkód w podróży, że wyjechawszy z Wojnowa o 7½, a bodaj nawet o 9 wieczorem, przybędzie się w porę na dworzec kolejowy. Ziszcili się do joty, jak wyrocznie delfickie. Po rozstaniu się z roztropnym, jak Ulises, Sadłochem, powierzyliśmy swe losy automedontowi lipnowskiemu, którego rumaki mknęły pod przewodem gwiazdy polarnej niby bachmaty apollinowe. Tu roztrącał się swym pojazdem wozy bez zaprzęgu pozostawione na szosie, tam przedzieraliśmy się przez zawały wyrwanych drzew przydrożnych, ówdzie znowu wyzywały nas do walki bohaterskiej, jak gdyby rycerza z la Manchy, stada wołów, a co gorsza, liczne chmary gąsek dzielnych, pędzonych na żer Prusakom podłym. Wśród takich przyciętych wzrotem w drogę mleczną lub też kiwając się jak sympatyczni Palestyńczycy w drzewce (P. Adolf i woźnica) przybyliśmy na peron wrocławski w sam czas, akurat w 10 minut po odejściu pociągu. Niech żyje i bujnie kwitnie proroctwo niewieścia, a niech zmarnieje, i słusznie, prze-

sąd i logika męska! Czyż nie prawda Boginie jezior rypińskich?

I było nam dobrze. Przemierzając naprzód i wstecz wolnymi krokami peron, za chwyciliśmy się precudnymi stępy niebios kujawskich, z którymi w porównaniu niczym najpiękniejsze namioty tureckie i perskie. P. Adolf nadto badał drynliarzy miejscowych, wsłuchując się chciwie w poufne a wykwinne ich rozmowy, tudzież obserwował zapalczywie dziarską młodzież wrocławską, która z przyczyną napaści Bachusowi przez noc całą na dworcu kiejowym. Wreszcie, jak mówi Wergiliusz, gwiazdy ustąpiły z nieba i zjawił się Helios w purpurze, przy którego blaskach przerywnalishy szybkim biegiem kuriera powietrze i w ciągu 3 godzin stanęliśmy we wrzaskliwym piekle warszawskim.

Tu przy lodach w towarzystwie dorodnej córy naszego nowelisty odżyliśmy wspomnienia świeżo przeżytych, a tak rozkosznych chwil w czarownym Wojnowie. Wspomnienia zaś te zostaną wyrzeźbione niezagladzonymi głoskami w wiecznej naszej pamięci. A zatem wdzięczność należy się zarówno Szanownej Pani, jako Mentorowi Telemaków, jak i serdecznej gościnności strzechy dworu wojnowskiego. Wyrazem tej wdzięczności niechaj będzie ucałowanie rączek Paniom, a uściśnienie dłoni Panom.

Szczerze życzyliwy St. Mieczyski“
21.VII.1901.

Warto tu na miejscu oddać hołd pamięci Mieczyskiego, którego życie i działalność poświęcone były tylko Polsce. Wychowawca Szkoły Głównej zawsze niósł wysoko sztandar swych patriotycznych i wolnomyślnych przekonań i nigdy nie poszedł na żadne kompromisy z wrogami. A czasy były nad wyraz ciężkie. Oslawiony Apuchtiu gasił ostatnią iskierkę polskości w szkołach. Tylko nieliczne zakłady wymykały się spod jego kontroli, ale i tam przychwylenie nauczyciela na rozmowie z uczniami w języku polskim niweczyło od jednego zamachu całą jego karierę.

Odwiedził Wojnowo właśnie po swoim powrocie z Rosji. Był bardzo postarzały i prawie złamany. Aż dziwno, że napisał tak wesoły list.

A znów Adolf Dygasiński tak o swych wrażeniach do pani Jadwigi Rzeszotarskiej pisze:

„Szanowna Pani: Na bruku warszawskim, wśród zgiełku ulicznego i epickiego straszliwej, spokojnie rozważam wczasy wojnowskie. Tak dobrze, dobrze było! — Szkoda, że przeszło. Dzisiaj, jak przez mgłę, marzę o pięknej krajinie jezior za dwunastą górą, za dwudziestą rzeką, gdzie ludzie są tacy dobrzy, szczerzy, a kawałek chleba tak smakuje gościom. Bóg Wam zapłać, zacni Rzeszotarscy! Drogę odbyliśmy szczęśliwie. Kieliszek w mojej kieszeni i sterczący lokciek kielbasy ciągle do mnie mówily: — „Widzisz, mały Polaku, to tak na Mazurach!“. Pan Profesor bo cały utonął w rozmyśleniach. Sadłowski rozbił teorię lingwistyczną, jakobyśmy dziś żyli w epoce zaniku nosówek, zatraty iloczasu i twórczości etymologicznej: jezioro, bandę, rękę, piejak i opowieści wyśpiewane tu, jak ongi rapsodowie śpiewali pienia homeryczne, wsadziły P. Profesorowi

ćwieka w głowę. Jutro rano (wtorek) jedziemy do Małopolski, gdzie oby memu przyjacielowi było tak dobrze, jak pod Dobrzyniem u Krtusy!...

Na wyjeździe piszę do Szanownej Pani, przesyłając moje sentymenta dla Niej i Szanownych Jej krewniaczek. Hołd Szacunku i uwielbienia raczy Szanowna Pani opowiedzieć pod miłą strzechą szlachecką w Wojnowie. Wprasza się, aby mi było wolno kochać zacnych i szanownych jej krewniaków.

Z szacunkiem i przyjaźnią

Adolf Dygasiński

22.VII.1901.

Warszawa.

I nie zbłądło wrażenie Wojnowa nawet po zwiedzeniu pięknych wąwozów Ojcowca. Dowodem tego list napisany w miesiąc później, po powrocie z Ojcowca, którego fragment przytoczę:

„Szanowna i jak chleb wojnowski dobra Panno Jadwigo.

W przeczystych jeziorach Waszych skąpałem swą duszę starą, zbrudzoną w poniewierce po świecie — oh, tak marzę! Rusalki Waszych gajów, strumieni i źródeł świętych, niby motyle piękne, leciały nad moją głową, kiedym się potem tulał w wąwozach ojcowskich i szeptały tajemniczo: — „jak dobrze, jak pięknie, jak rozkosznie tam, za górami, około Wojnowa i Stalmierza!“...

Istotnie, zacna Panno Jadwigo, było tak dobrze, że jeśli człowiek zamarzył w zepsuciu swym moralnym, aby wodazysta zmieniła się w koniak, to szlachetne nimfy źródeł zamieniały wodę w ów płyn cywilizacji. I ja z tą idącą nieznaną o piękności, o wytworności Waszego milego ogniska przebywałem świat, żyjąc jakby poeta w zaświecie.“

Nawet w jednej z nowel Dygasińskich zachowało się wspomnienie owych literackich wczasów. Staruszka — emigrantka, ona jedyna, która widziała stary kraj, wspomina w puszczech brazylijskich, siedząc przy wigilii z wnukami, Wojnowo i zadaje sobie pytanie co tam robi teraz stary Sadłoch. (Wigilia w Perugi).

Autor wspaniałych „Godów życia“ zaczyna nas znów fascynować głębią swego talentu. Z chwilowego zapomnienia tym jaśniej wyblaskuje jego gwiazda. Przetrzywała już najcięższą próbę czasu by teraz już wiecznie świecić wśród konstelacji naszych nieśmiertelnych.

Ukazują się po piśmie wspomnienia i szkice literackie poświęcone Dygasińskiemu. Drukują się nowe nakłady jego pism.

Niechże i ten szkic, do którego dała asumpt ciężka praca żenców, ma to szczęście, że odsłoni choć maleńki rąbek tej potężnej duszy.

L. M.

DBAJCIE O SWOJE ZDROWIE

Przy chorobach ŻOŁĄDKA, KISZEK, WĄTROBY, przy KAMIENIACH ŻOŁCIOWYCH, WZDĘCIU BRZUCHA, ODBIJANIU SIĘ, LUB SKŁONNOŚCIACH DO ZAPARCIA, stosuje się: „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA“ Gaseckiego, naturalny łagodny środek przeczyszczający, ułatwiający funkcje organów trawienia, stosowane również przy nadmiernej otyłości. Sprzedają apteki i składy apteczne.

Przegląd kulturalny

O światopoglądzie recenzenckim

Ostatni 12 numer łódzkiego miesięcznika „Wymiary” przynosi m. in. ciekawe rozważania Ignacego Fika p. t. „Światopogląd recenzencki”. Rozważania te godzą w pewien symptomatyczny objaw naszego życia literackiego.

Oto, jak formuluje autor artykułu swe oskarżenie: „w literaturze rozpanoszył się recenzent i jego światopogląd. Według niego wszystkie w literaturze powstaje po to, żeby spowodować recenzje. Książka, która zdobyła pewne kwantum recenzji, jest książką pożyteczną, a zdobywszy je, spełniła swoje zadanie. Winna zejść z oczu, by zrobić miejsce innym”. Słusznie też podkreśla autor, że najgorsze jest to, iż „światopogląd ten, zrozumiały u wydawcy, narzucony został czytelnikowi. Ilością zauważonych recenzji mierzy on wagę książki i ustala hierarchię pisarzy. Według tych kryteriów ustala sobie listę lektury. O tej książce mało się pisze — nie warto jej czytać! O tym głośno, dali mu nagrodę — to wielki pisarz!” Najgorsze jest to, że terrorowi tego światopoglądu ulega także pisarz. Fik tak stawia diagnozę tej choroby: „Autor nie jest ciekawy odruchowych, niewyreżyszerowanych reakcji odbiorców, jemu chodzi tylko o dołór recenzje. Nie ma pasji prowokowania wypowiedzi obcych, nieznajomych, udzielanych prywatnie, nie zależy mu na wiedzy, czym się stała książka naprawdę, nie chce wyroków, ale — komplementów”.

Trzon wywodów Fika obraca się przeciw recenzentom, a ściślej przeciw całej prawie współczesnej naszej krytyce, dla której głównym polem działalności stała się właśnie recenzja. I tu, potępiając z góry recenzentów, nie ustrzega się Fik uogólniania. Bo jednak w gronie naszej krytyki znaleźć można cały szereg wybitnych, dla których recenzja jest wprawdzie polem działalności, ale nie jest jednak celem działalności, gdyż zawsze potrafią oni wyjść poza ramy sprawozdania, potrafią naszkicować perspektywy zagadnień i pogłębić problematykę, jakie nasuwa omawiana książka. Oczywiście, słuszność ma Fik, gdy woła o zerwanie z recenzowaniem, o podejmowanie głosu nie tylko w okazji jakiejś nowości. Ale niemniej trzeba się liczyć z istotnym stanem rzeczy. A stan ten jest tego rodzaju (brak pism ściśle literackich, stosunek pism o nastawieniu społecznym i dzienników do spraw literatury), że krytyk, nie chcąc tracić możliwości oddziaływania na publiczność i literaturę, musi korzystać z okazji, jaką nasuwa się dla niego w polu działalności recenzenckiej. Tak jest zresztą z przedstawicielami krytyki zagranicznej, którzy mimo że pracują w lepszych warunkach nie rezygnują jednak z formy oddziaływania drogą recenzji. Gorsze u nas jest jednak to — i w tym względzie Fik ma rację — że nasi krytycy w przeważnej mierze poprzestają na recenzowaniu, rozminając się na drobne i nie zdobywając się, jak ich zagraniczni koledzy, na bardziej zasadnicze prace z zakresu teorii czy systematyki. W tym zawiera się istotne zło, którego symptomem jest rozpanoszenie światopoglądu recenzenckiego.

„Czy to jest w porządku — zapytuje Fik — jeśli na tematy teoretyczne nie pojawia się u nas nawet jedna książka na rok? A prób bilansowania, syntezy, planowania ileż jest na dziesięć lat? Jeśli się pojawi jaka książeczka, jest wypłoszona. Nie poprawia się jej, nie podejmuje się dyskusji z jej propozycjami, odrzuca się ją a limine lub — recenzuje. Nic nie robi się, by ułatwić sukces następnym, bardziej doświadczonym próbom”.

Właśnie w tym braku pobudek i warunków do rozwoju krytyki tkwi istotne zło obecnego stanu

rzeczy i słusznie też przeciw temu stanowi się występuje.

Repertuar klasyczny jako czynnik społeczny

Nowy numer „Comedii”, pisma poświęconego sprawom sztuki i kultury współczesnej wydawanego przy współpracy Teatru na Pohulance w Wilnie, przynosi cały szereg interesujących prac. Na wstępie znajdujemy essay Jerzego Stempowskiego o „Repertuarze klasycznym jako czynniku społecznym”. Uwagi tego świetnego krytyka, którym warto przyjrzeć się bliżej, ujmują tę kwestię w perspektywie socjologicznej.

„Okresy szacunku dla tradycji i historii — pisze on — następują zwykle po wielkich przewrotach społecznych i przysmięciach w stanie posiadania. Grupy społeczne, które świrzo przyszyły do bogactwa i znaczenia, odczuwają żywo potrzebę stabilizacji nowego stanu posiadania, często niepewnego i zagrożonego przez dalsze przewroty i przysmięcia...”

Literatura i sztuka są potężnym czynnikiem w tych społecznych i przysmięciach w stanie posiadania. Człowiek nowo czytający Homera wchodzi w rodzaj komunii duchowej ze stu pokoleniami przodków, które kolejno czytały Homera. Pan nowobogacki patrzący z zachwytem na płótno Tycjana staje się od razu dalekim kuzynem cesarza, który — jak mówi tradycja — schylił się, aby podnieść z ziemi pędzel mistrza... Ludy zblakane wśród szybko biegnących po sobie wypadków instynktownie poszukują w historymie i sztuce tradycyjnej lekarstwa na trwającą społecznie chorobę niepewności”.

Teatr jest głównym czynnikiem udostępnienia współczesności spadku kulturalnego po wiekach poprzednich, a więc i czynnikiem wyrabiania zmysłu historyczności kulturalnej. Na te momenty zwraca Stempowski uwagę w dalszym ciągu swych wnikliwych rozważań.

O kryzysie współczesnej kultury

Złe mamy doświadczenia i z nieufnością odnośmy się do każdej nowej książki o „kryzysie cywilizacji zachodniej”: podejrzewamy, że czeka nas jeszcze jedno rozczarowanie, jeszcze jeden patetyczny zbiór wytartych frazesów, ogranych motywów, setki razy powtórzonych twierdzeń — takim wstępem poprzedza Stanisław Wędkiewicz sprawozdanie z książki „Incertudes” Jana Huizingi, holenderskiego historyka, znakomitego profesora uniwersytetu w Lejdzie, podejmującego obecnie próbę postawienia diagnozy współczesnego kryzysu cywilizacji europejskiej.

Oto, jak pisze sprawozdawca, diagnoza niebezpieczeństw groźących naszej kulturze skłania Huizingę do wymienienia najistotniejszych przyczyn dzisiejszego kryzysu: przyczytu te dadzą się sprowadzić do grzechów przeciwko zdrowemu intelektualizmowi i obowiązującej od wieków etyce.

„Powojenna (a po części już przedwojenna) kultura — żeby zacytować najbardziej ważne uwagi — wykazuje zdumiewające sprzeczności. Z jednej strony nauki ściśle rozwijają się w oszalałym tempie i osiągają wyżyn niedostępnego rozumowi i wyobraźni zwyczajnego, niezawodowego człowieka, z drugiej strony zaś w życiu praktycznym, zarówno prywatnym jak publicznym, szerzy się antyintelektualistyczna zaraza: kult instynktu i intuicji, lekceważenie rozumowej analizy, degradacja tzw. prawdy do nizin użytecz-
(Dokończenie na str. 568)

MŁODY TALENT ŚPIEWACZY



P. Maria Domańska, młoda, obdarzona pięknym głosem śpiewaczka, której wysoki artystyczny podziwialiśmy na koncercie Pol. Czer. Krzyża dn. 24 z. m. odśpiewała „Kalinę” Komorowskiego, „Grajka” Zawadzkiego, „Skrzypki Swaty” Kratzera i inne z właściwą sobie inteligentną interpretacją i głębią odczucia.

Wydawnictwa nadesłane

Rafał Malczewski: *Od cepra do wariata*. Zbiór felietonów. „Rój”, Warszawa, 1939, str. 250 + 6 nl. Cena 6 zł.

Jan Kurek: *Młodości śpiewaj*. Powieść. „Rój”, Warszawa, 1939, str. 404 + 12 nl. Cena 8 zł.

Wacław Sieroszewski: *Droga do wolności*. Zbiór opowiadań. „Rój”, Warszawa, 1939, str. 231 + 9. Cena 3 zł.

Stanisław Helsztyński: *Od Szekspira do Joyce'a*. Szkice literackie. „Rój”, Warszawa, 1939, str. 332 + nl. Cena 6 zł.

Georges Duhamel: *Żywoty męczenników*. „Rój”, Warszawa, 1939, str. 212 + 12 nl. Cena 5 zł.

W. Somerset Maugham: *Teatr*. Powieść. „Rój”, Warszawa, 1939, str. 289 + 3 nl. Cena 7 zł.

E. Waugh: *Czarna zaraza*. Powieść. „Rój”, Warszawa, 1939, str. 266 + 6 nl. Cena 6 zł.

Franciszek Surówka Brzegowski: *Elegje*. Poezje. Nakładem autora, Warszawa, 1939, str. 50 + 2 nl.

Wiktor Piotrowski: *Wschodnie zagadnienia wyznaniowe*. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1939, str. 132 + 4 nl.

Tadeusz Pelczarski: *Komisariaty wojskowe Rządu Narodowego w Królestwie Polskim. 6.VIII — 5.IX.1914. (Geneza i działalność)*. Instytut Józefa Piłsudskiego, poświęcony badaniu najnowszej historii Polski. Warszawa, 1939, str. 262 + 10 nl.

Bernard Potrykus: *Wspomnienia Kaszuba spod Verdun*. Wyd. II. Wojsk. Inst. Nauk.-Ośw. Warszawa, 1939, str. 92.

Warszawa w liczbach 1939. Wyd. Wyd. Stat. Zarządu miejskiego w m. st. Warszawa. Str. 74 + V + 12 nl. Cena 50 gr.

Warszawskie Tow. Dobroczynności. *Sprawozdanie z działalności z 124 roku istnienia 1938/39*. Str. 40.

2 GROSZE
Kosztuje filiżanka

KAWY namiaszki SFINKS
HABERBUSCH & SCHIELE

Przegląd kulturalny (Początek na str. 567)

ności, sukcesu i zysku, bierny posłuch wskazaniom narzuconym brutalną siłą, ślepa namiętność, chwilowym popędem. Złe zrozumiane wywody Nietzschego i Bergsona, pragmatyków i freudyistów, opaczne wnioski z traktatów antropologicznych i biologicznych stwarzają atmosferę egzaltacji, znacznie silniejszej od tej, którą roznieciły tendencje romantycznej poezji i romantycznej filozofii. „Życie” w całej (mgliście i zabobonnie zresztą ujmowanej) pełni tego wieloznacznego pojęcia staje się najwyższą kategorią myśli i uczuć pojedynczego człowieka, narodu i państwa. „Życie” wszystko rozgrzesza i do wszystkiego uprawnia. „Natura” — wszystkie jej wyższe i najniższe nawet objawy pretendują do niehamowanego niczym rozwoju, tak że kultura współczesna, poskromiwszy wspaniałą technikę siły „natury” martwej, staje bezsilna wobec rozpętanych żywiołów „natury” człowieka. Paroksyzmy, gwałty, przewroty, bezkarne łamanie prawa siłą pięści i miecza — oto skutki antyintelektualistycznego, irracjonalnego nastawienia naszej powojennej kultury”.

NAPOLFON
nie odgrywa roli w polonice
POLONIA
nie odgrywa roli w polonice

Konkursy na portret Marszałka Józefa Piłsudskiego i na obraz historyczny

Wydział Wykonawczy Naczelnego Komitetu Uczczenia Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego za pośrednictwem Instytutu Propagandy Sztuki ogłasza 3 konkursy: malarzski i rzeźbiarski na portret Marszałka Józefa Piłsudskiego oraz malarzski na obraz historyczny związany z czynami Józefa Piłsudskiego. Konkursy są dwuetapowe. Wyróżnieni i nagrodzeni w pierwszym etapie konkursu artyści zostaną powołani do drugiego etapu konkursu, zamkniętego. Termin nadsyłania prac (pierwszy etap) upływa 31 grudnia 1939 roku. Szczegółowe warunki konkursu wydaje kancelaria Instytutu Propagandy Sztuki. Warszawa, Królewska 13.

Komisja Kulturalno-Oświatowa Koła Warszawskiego Stowarzyszenia Pracowników Umysłowych Przemysłu Państwowego, pragnąc wydożyć na jaw wartość i znaczenie organizacji urzędniczych jako czynnika kulturalnego, oraz udział ich w pracy społeczeństwa na tym polu, ogłasza 3 konkursy artystyczne:

I Konkurs literacki na nowelę, której treścią winien być obraz życia pracownika umysłowego w pozytywnym ujęciu. Winny być w niej wydohyte moralne i społeczne walory pracy codziennej. Objętość utworu do 300 wierszy. Termin 31 sierpnia 1939 r. Nagrody: I — zł. 200, II — zł. 100, III — zł. 50.

II Konkurs poetycki na utwór apostroficzny, przeznaczony do śpiewu zespołowego, o charakterze dynamicznym, ujmujący w zrywie uczuciowym ideę pracy. Objętość utworu 20 wierszy. Termin 15 września 1939 r. Nagrody: I — zł. 60, II — zł. 40.

III Konkurs muzyczny na muzykę do u. w. w. w., który otrzyma nagrodę na konkursie poetyckim. Warunki oraz termin konkursu będą ogłoszone po rozstrzygnięciu konkursu poetyckiego. Nagrody: I — zł. 140, II — zł. 60.

Konkurs dostępny dla wszystkich członków Stowarzyszenia Pracowników Umysłowych Przemysłu Państwowego oraz obywateli Rzplitej pochodzenia polskiego. Szczegółowe warunki konkursu wydawać będzie od dnia 1 lipca 1939 r. Sekretariat Stowarzyszenia, Warszawa, ul. Książęca 4 m. 7 w godz. 18 — 20, tel. 8-18-92.

Nowość!
NIEWIDOCZNY NA SKÓRZE
puder koloidalny
SIX-SIX Cherys
DAJE CERZE WIECZNY MIŁOŚĆ

LISTY DO REDAKCJI

Dyrekcja Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy pisze w liście do redakcji naszego pisma:

„W Nr 25 „Tygodnika Ilustrowanego” z dn. 18.VI.1939 r. ukał się artykuł p. Wiesława Wahnouta.

W odsyłaczu do tego artykułu znalazła się notatka, dotycząca doktrynerskiego jakoby bojkotu książki Amicisa „Serce” na wystawie bibliotek dziecięcych zorganizowanej jesienią ub. r. w Bibliotece Publicznej m. st. W-wy. W związku z powyższą notatką Biblioteka Publiczna wyjaśnia co następuje:

I. Książka Amicisa mogła się na wystawie nie znajdować, gdyż, jak informował duży umieszczony na półce z książkami napis, w dziale tym umieszczono jedynie książki polskich autorów piszących w ostatnim dziesięcioleciu.

II. Pomimo to książka Amicisa znajdowała się aż w 2 egzemplarzach na półce — gdzie przykładowo pokazano twory ilustrujące motywy zdykwaniania książki w bibliotekach dziecięcych. Napis informował: „Książki tych samych autorów w różnych wydaniach”.

Przyjęte wydanie książki Amicisa w świetnym przekładzie M. Konopnickiej — odrzucone w przekładzie J. Drzewieckiej.

III. Co do współczesności pedagoczych założeń książki Amicisa oczywiście można mieć rozmaite poglądy, niezależnie jednak od osobistych osądów poszczególnych bibliotekarek — książka Amicisa jako zakwalifikowana przez Min. W. R. i O. P. znajduje się we wszystkich publicznych bibliotekach dziecięcych”.

SÓL do NÓG
AGEPIN
Z KOGUTKIEM
usuwa ból, pieczenie, nabrzmienie nóg, zmiękcza odciśki, które po tej kąpieli dają się usunąć, nawet paznokciem. Przepis użycia na opakowaniu.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTRowanego”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50	kwartalnie	zł 19.—	kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	rocznie	zł 74.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—			Zmiana adresu	zł 0.50
rocznie	zł 66.—				
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

CENNIK OGŁOSZENI: Str. 1/4 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 3/4 — 250 zł, 1/8 — 150 zł, 1/16 — 100 zł. — za szp. wiersz. milimetrowy, lub jego niejece PRZED I ZA TEKSTEM: 1,50 zł. Bilanse, artykuły opisowe, układy tabelaryczne, 1 str. okładki i miejsce zarezerwowane 50% drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14. ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P.K.O. 143.

Program Polskiego Radia

Od dn. 16 VII. do dn. 22 VII. 1939

Niedziela — dn. 16.VII

7.00: Audycja poranna. 8.15: Koncert poranny w wyk. Ork. Mar. Wojennej z Gdyni. 9.00: Regionalna transmisja z Inowrocławia i Kruszwicy. Reportaż i nabożeństwo. 10.30: Koncert z płyt. 12.03: Poranek muzyczny. 13.00: Wyjątki z Pism Józefa Piłsudskiego. 13.15: Muzyka obiadowa. 14.45: „Czytamy Mickiewicza“ (aud. VII) „Pan Tadeusz“. 15.00: Audycja dla wsi. 16.30: Recital fortepianowy Witolda Małcużyńskiego. 17.00: Audycja świetlicowa Koła Młodej Wsi w Szwejkach. 17.20: „Kto odpowie“. 17.35: Podwieczorek przy mikrofonie z Zaolzia. 19.00: „Najwierniejsza“ — premiera słuchowska. 19.30: Feliks Mendelssohn: Oktet Es-dur op. 20. 21.15: Muzyka taneczna z Poznania. W 3-ch przerwach trzy humoreski A. Nowickiego.

Poniedziałek — dn. 17.VII

6.30: Audycja poranna. 8.15: Pogadanka dla kupców. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Słuchowisko dla młodzieży: „Dawid Cooperfield“. 15.15: Fragmenty z baletów Ryszarda Drigo w wyk. Orkiestry Adama Hermana. 16.20: Miniatury kwartetowe — koncert z Krakowa. 17.00: Muzyka taneczna (płyty). 18.00: Recital śpiewaczy A. Michałowskiego. 18.25: Koncert solistów (ze Lwowa). 19.00: Audycja żołnierska. 19.30: „Przy wieczerzy“ — koncert rozrywkowy (z Wilna). 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Sławne koncerty: „Pierwszy koncert Liszta w Paryżu“, audycja muzyczna (z Poznania). 21.50: „Echa mocy i chwały“ 22.00: Muzyka taneczna (płyty).

Wtorek dn. 18.VII

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Dzieci mają głos“ — audycja z Poznania. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Livingstone w krainie lwów“ — pogadanka dla młodzieży. 15.00: Muzyka popularna w wyk. Ork. Rozgl. Poznańskiej. 16.20: Miniatury fortepianowe w wyk. Olgi Łapickiej. 17.00: Muzyka taneczna. 18.00: Koncert Muzycznego Ogniska Wakacyjnego Liceum Krzemienieckiego — transm. z Krzemieńca. 19.00: Audycja dla robotników. 19.30: „Przy wieczerzy“ — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: „Oszukany Kadi“ — opera komiczna Glucka. 22.00: Polska między Wschodem i Zachodem — odczyt I. 22.15: Koncert w wyk. Ork. Smyczkowej Zw. Muzyków Chrześć

Środa — dn. 19.VII

6.30: Audycja poranna. 8.00: Audycja poranna Muzycznego Ogniska Wakacyjnego Liceum Krzemienieckiego — transm. z Krzemieńca. 8.15: Pogadanka turystyczna. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Nasz koncert“ — audycja dla dzieci. 15.15: Muzyka popularna w wyk. Ork. Salonowej z Łodzi. 16.20: Pieśni romantyków w wyk. Wandy Hendrich. 16.50: „Pieczęciekryczność“ — pogadanka. 17.00: Muzyka taneczna z Cafe Paradis. 18.00: Słynne symfonie — koncert z płyt. 19.05: „Coby było gdyby?“ — wesela audycja z Torunia. 19.35: „Przy wieczerzy“ —

koncert z Katowic. 20.10: Odczyt wojskowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert chopinowski w wyk. Ludmiły Berkwićówny. 22.00: Tematy egzotyczne w muzyce operetkowej — koncert.

Czwartek — dn. 20.VII

6.30: Audycja poranna. 8.20: „Akademicy na morzu“ — reportaż z obozu A. Z. M. 12.03: Audycja południowa: 14.45: „Wojsko polskie: „Jedzie, jedzie artyleria“ — audycja słowno-muzyczna dla młodzieży. 15.05: Koncert popularny w wyk. Ork. Rozgl. Wileńskiej. 16.20: Pieśni i ballady w wyk. Adama Mazanka. 16.45: „Budownictwo wsi polskiej“: Budowle sakralne „Kościół“ — odczyt. 17.00: Muzyka taneczna z płyt. 18.00: Koncert. 18.50: „Echa mocy i chwały“. 19.00: „Książki do których się wraca: „Trylogia Sienkiewicza“. 19.20: „Przy wieczerzy“ — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Recital fortepianowy w wyk. Z. Grzybowski. 21.30: „Kraina ślepców“ H. G. Wells'a w Teatrze Wyobraźni. 22.00: Muzyka dawnych mistrzów — koncert ze Lwowa. 23.15: Koncert muzyki polskiej.

Piątek — dn. 21.VII

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Kłopoty i rady: „Jaś się boi wody“ — dialog. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Kapitan Cook i kangury“ — pogadanka dla młodzieży. 15.00: Muzyka popularna z Katowic. 16.20: Gustaw Jensen: Sonata a-moll op. 26. 16.45: Rozmowę z chorymi przeprowadzi ks. Rękas. 17.00: Muzyka taneczna z płyt. 18.00: Recital śpiewaczy

ZAKONNIKIEM PIGULKI REFORMACKIE

STOSUJĄ SIĘ:
JAKO REGULUJĄCE ZOŁĄDEK,
PRZY CIERPIENIACH WATROBY,
NADMIERNEJ OTYŁOŚCI,
UŚMIERZAJĄCE HEMOROIDY
I PRZY SKŁONNOŚCIACH
DO OBSTYKUCJI SĄ ŁAGODNYM
ŚRODKIEM PRZECZYSZCZAJĄCYM
UZYSKIE 1-2 PIGULKI NA NOC



Zofii Massalskiej. 18.30: Muzyka organowa w wyk. Władysława Kalinowskiego. 19.00: „Sielanka“ — fragment z powieści. 19.30: „Przy wieczerzy“ — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Kwartety Beethovena — koncert z płyt. 21.40: „Balzac“ — portret literacki. 22.00: Koncert poświęcony utworom Edwarda Griego. Transmisja z Oslo.

Sobota — dn. 22.VII

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Z mikrofonem przez Polskę: „Pogoda w Orłowie“. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Teatr Wyobraźni dla dzieci: „Przygody ślimaka Nieroby“. 15.15: Koncert popularny z Wilna. 16.20: Miguel Fleta — reportaż muzyczny. 17.05: Muzyka taneczna z Cafe Clubu. 18.00: „Mało znane utwory“ — koncert z Poznania. 19.00: „Przez siedem mórz do siedmiu wzgórz“ — wesela powieści radiowa — „Lwów w żelaznej wodzie kapany“. 19.30: Audycja dla Polaków za granicą. 20.00: „Muzyka ludowa opowiada“ — audycja słowno-muz. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Miłośniki ulańskie — romantyczny wodewil. 22.00: Muzyka taneczna. 23.00: Muzyka taneczna.

Pod znakiem białych żagli

Lato jest sezonem sportów wodnych, a w tym roku na ich czoło wysuwa się żeglarsstwo, ze względu na bogaty program krajowy i międzynarodowy.

Jak wiadomo, Polska jest organizatorem mistrzostw żeglarskich Europy na rok 1939. Początkowo mistrzostwa miały być przeprowadzone w Augustowie, jednak ostatecznie odbędą się one na polskim morzu — w Gdyni, w terminie od 7 do 11 sierpnia.

Zmiana miejsca zawodów wyjdzie mistrzostwom jedynie na korzyść: nie mówiąc już o tym, że dzięki temu zawodnicy zagraniczni będą mieli możliwość poznania Gdyni i polskiego wybrzeża — to zawody będą miały większe walory sportowe, gdyż rozegrane będą w cięższych warunkach morskich. Większe fale i wiatr zmusi kandydatów na mistrzów Europy do wykazania wszystkich umiejętności żeglarskich.

Zainteresowanie mistrzostwami jest bardzo duże. Już w obecnej chwili wpłynęły zgłoszenia pięciu państw: Francji, Belgii, Węgier, Danii i Estonii: poza tym Polski Związek Żeglarski otrzymuje liczne zapytania z innych państw europejskich... tak że liczyć się należy ze startem około 10 państw.

Radio poświęci mistrzostwom tym

sporo miejsca, nadając szereg komunikatów, reportaży i transmisji.

Eliminacjami krajowymi do mistrzostw Europy będą mistrzostwa Polski, które rozegrane zostaną w dniach od 4 do 7 sierpnia. Radiosłuchacze będą szczegółowo poinformowani o formie i szansach naszych żeglarzy.

Oficjalnym zakończeniem wielkiego sezonu żeglarskiego będą regaty urządzone we wrześniu przez Yacht Klub Polski, w ramach których rozegrany będzie bieg o nagrodę Pana Prezydenta. W biegu tym, transmitowanym przez radio, startować będą najlepsze zespoły po jednym z każdego klubu.

Dla wyczerpania spraw związanych ze sportem wodnym, na zakończenie wspomniami o ciekawym biegu wioślarskim o „puchar Bałtyku“, który rozegrany będzie podczas mistrzostw wioślarskich Bydgoszczy. Bieg o puchar Bałtyku transmitowany będzie przez Rozgłośnie Toruńską.

Dokładne terminy pogadanek i transmisji ze wspomnianych wyżej zawodów podane zostaną w prasie.

SILNE LOTNICTWO TO POTĘGA POLSKI

XII MIĘDZYNARODOWY RAID AUTOMOBILKLUBU POLSKI

Seryjny CHEVROLET Master Sedan w zespole 8 Samochodów
potwierdza swe niezrównane zalety w najcięższych warunkach, sta-
wianych przez Regulamin Raidu, zdobywając Wielką Nagrodę czyli

GRAND PRIX POLSKI 1939

W SWOJEJ KLASIE

(Puchar im. Pana Prezydenta R.P.)

I JAKO

ZWYCIĘSKI ZESPÓŁ FABRYCZNY

Nagrodę Pana Marszałka Polski

ORAZ JAKO

NAJLEPSZY ZESPÓŁ SAMOCHODÓW

MONTOWANYCH W POLSCE

Nagrodę firm „Polski Fiat” i „Fablo!”

PONADTO

NAJWIĘKSZA ILOŚĆ PUNKTÓW

DODATNICH (964.220 p.)

i 26 RÓŻNYCH NAGRÓD
dla 8 kierowców na swych własnych CHEVROLETACH



Chevrolet Master Sedan Cena Zł. 7640.-

CHEVROLET

LILPOP, RAU & LOEWENSTEIN - S. A. W WARSZAWIE
KONCESJONOWANA WYTWÓRNIA SAMOCHODÓW (LICENCJA GENERAL MOTORS)

AUTORYZOWANE ZASTĘPSTWO

„AUTO-SERVICE”

J. ŁEPKOWSKI SP. KOM.

WARSZAWA

NOWY ŚWIAT 9

TELEFON 8-04-14

TYGODNIK

ILLUSTROWANY

Nr. 30

23 Lipca 1939

Cena 1 z



**Znakomita śpiewaczka scen amerykańskich p. generałowa
Elwina Orlicz-Dreszerowa, wystąpiła dobroczynnie dn.
6 lipca w Teatrze Wielkim, na F. O. N.**



PIEKARNIA MIEJSKA

m. st. Warszawy

ul. Prądzyńskiego 5, tel. 258-95

We wszystkich niżej podanych miejscowościach P. T. letnicy winni żądać lub zamawiać pieczywo i wyroby cukiernicze Piekarni miejskiej, a mianowicie: Grochów, Goławek, Rąbentów, Las, Miedzeszya, Błota-Falenickie, Radość, Międzylesie, Drewnica, Marki, Pustelnik I i II, Struga, Czerniaków, Grabów, Pyry, Dąbrówka, Piaseczno, Skolimów, Jastrzębie, Konstancin, Jeziorna, Porąbka, Klarysew, Powsin, Bielany, Młociny, Buraków, Łomianki, Palmiry, Czosnow, Pelcowizna, Piekielko, Wiśniewo, Henryków, Pludy, Bożyczyn, Górcze, Boernerowo, Chrzanów, Karolin, Włochy, Ursus, Piastów, Legionowo, Okęcie, Raszyn, Falenty, Wolica, Nadarzyn, Małe i W. Świdry, Otwock.

Priestley pisze pierwszą nowelę dla Radia Co mówi o tym znakomity pisarz angielski?

Radiofonia angielska idzie śladami Polskiego Radia. Wprawdzie w emulacjach Broadcasting angielskiego nie mówi się o wzorze polskim, ale w rozmowach przynajmniej, że eksperyment Polskiego Radia, „powieść mówioną, przyjęto tutaj z dużym zainteresowaniem.

Broadcasting postanowił spróbować, jak tego rodzaju audycja wypadnie na tutejszym gruncie. Aby pierwsza próba wypadła najbardziej zachęcająco, zwrócono się o napisanie utworu bez formy dramatycznej, przeznaczonego dla mikrofonu, do tak wybitnego i popularnego autora, jakim jest J. B. Priestley. Co napisze dla radia Priestley, właściwie nie jeszcze oficjalnie wiadomo. W planie programowym nie ma o tym żadnych szczegółów. Wiele jednakże na temat nowego eksperymentu mówi się w Dyrekcji Programowej Broadcasting.

Ale Broadcasting laskawie nie robi tajemnicy ze swych zamierzeń, ani też z osoby p. Priestley'a. Postanowiłem więc skorzystać z wiadomości i udać się do źródła. I dohrze się stało, bo cziogodny autor miał wiele na ten temat do powiedzenia i mówił chętnie. Okazuje się, że p. Priestley dostał zupełnie określone „zamówienie“ na napisanie dla Broadcasting powieści lub noweli. Autor wybrał na początek nowelę. Jego zdaniem forma nowelistyczna opowieści na tle uczuciowym, o pewnym podkładzie psychologicznym, będzie odpowiedniejsza na „pierwszy wystrzał“.

A więc z mocy wolnego wyboru autora radiosłuchacze angielscy będą mieli pierwszą audycję tego rodzaju, czytana w odcinkach programowych, 20-minutowych, co niedziela, poczynając od 3 września r. b.

P. Priestley wysłuchał z zainteresowaniem relacji o bardzo pomyślnych wynikach tego rodzaju audycji w Polskim Radio, wprowadzonej już bodaj przed kilku laty. Nie tak dawno przecież skończyły się dwa cykle: „Dni powszednie państwa Kowalskich“ i „Anieli i życia“. Mówiliśmy zresztą o tych cyklach z p. V. Gielgudem, prawnikiem generała polskiego, bohaterą wojny polsko-rosyjskiej w roku 1831. Jak wiadomo p. V. Gielgud jest dyrektorem Wydziału Słuchawisk w Broadcasting i czynnym zwolennikiem wymiany programów z Polską.

Ale wracam do tematu: okazuje się, że p. Priestley już wybrał tytuł do noweli, którą ma dopiero napisać. Przyznam, że tytuł jest nieco dziwny, trochę zapowiadający audycję prof. Rutkowskiego: „Cała Polska śpiewa“, czy też „Z pieśnią po kraju“. Tytuł noweli p. Priestley'a brzmi: „Niech ludzie śpiewają“ („Let the people sing“).

— Nowela śpiewana? — pytam, trochę zaniepokojony własną bezpośredniością.

— Nie, — powiada p. Priestley — po prostu nowela czytana, bez podkładu muzycznego i wokalnego. Nowela w stylu „The Good Companions“ (Dwaj towarzysze).

— Recz będzie komiczna, nie pozbawiona akcentów romantycznych. Akcja toczyć się będzie na prowincji angielskiej. Będę mówił o współczesności, ale pominię demokrację i nacjonalizm i obronę przeciwności. Myślę, że mamy już tego wszystkiego dosyć“.

— Mogę sądzić, że jest pan zadowolony z zamówienia? — pytam dalej.

— Naturalnie — słyszę w odpowiedzi. —

Zgodziłem się na nowelę od razu, bo lubię eksperymenty. Sądzę przy tym że ta, nowa forma audycji będzie miała i u nas duże powodzenie, cokolwiek by się działo na świecie w ciągu tej jesieni — dodał wielce znacząco p. Priestley.

— Jeżeli pan pozwoli, to jeszcze jedno pytanie: biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, mogą przypuszczać, że honorarium w tym wypadku będzie odpowiednio wysokie?

Pisarz jakby sobie coś przypomniał, bo dopiero po pewnym namyśle odpowiedział:

Widzi pan, Broadcasting uważa, że honorarium za tę nowelę będzie duże, ja natomiast myślę, że niedostateczne. Jednakże mimo tej różnicy poglądów porozumieliśmy się jakoś.

Prawdziwie angielska odpowiedź na to bardzo interesujące pytanie, zakończyła nie mniej interesująca całość mojego wywiadu z p. Priestley'em — który dał jeszcze i to, że pierwszy i ostatni odcinek noweli będzie czytał sam dla próby na mikrofon wewnętrzny. Niewidzialne audytorium i bezstronny sąd reprezentować ma w czasie tych prób pani Priestley, małżonka autora.

SÓL do NÓG

AGEPIN
Z KOGUTKIEM

usuwa ból, płaczenie, obrzmienie nóg, zmiękca odciski, które po tej kąpieli dają się usunąć, nowel poznoctkiem. Przepis użycia na opakowaniu.

głodówka

nic Ci nie pomoże... — Osłabiasz tylko swój organizm! — Pamiętaj, że chcąc pozbyć się nadmiernej tuszy musisz przede wszystkim usunąć przyczynę wadliwej przemiany materii. Pomoże Ci w tym mineralna sól owocowa **MINEROGEN F. F.**, którą nabędziesz w każdej aptece. **Skład główny: Apteka Mazowiecka — Warszawa ul. Mazowiecka 10.**

WIOSENNE PROMIENIE SŁOŃCA

ostro atakują cerę Pani, wywołując plamy i szpetne piegi. Należy zabezpieczać cerę w porze wiosennej, stosując udektatniający i usuwający piegi

KREM PRECIOSA
PERFECTION



Konkurs na nowelę lub opowiadanie Junackie

Komenda Główna Junackich Hufców Pracy ogłasza dla wszystkich autorów polskich konkurs na nowelę lub opowiadanie na tle życia i pracy młodzieży junackiej, oraz na jednoaktowy wodewil junacki.

Warunki są następujące:

Temat winien być zaczerpnięty z życia junackiego. Utwór ma być wychowawczy, zgodny z ideologią polskiej służby pracy, opartą na szacunku pracy i na jej społecznym wywyższeniu w imię dobra Polski. Wodewil ma być przeplatany wstawkami muzycznymi i śpiewkami.

Termin nadsyłania utworów: 31 sierpnia 1939 r., a wodewilu 15 września b. r.

Za najlepsze utwory Komenda Główna Junackich Hufców Pracy przewiduje 3 nagrody: I nagroda — 300 zł; II nagroda — 150 zł; III nagroda — 75 zł.

Szczegółowe warunki wysyła na żądanie Komenda Główna Jun. Hufców Pracy, Warszawa, 6-go sierpnia Nr 30.



Jan Matejko

„Bitwa pod Grunwaldem”

PRZYGOTOWANIE GRUNWALDU

Zmienia się w ciągu wieków język używany przez dyplomatów. Głębokim przeobrażeniem ulega struktura gospodarcza poszczególnych państw. Technika wynajdując coraz to doskonalszą broń. Przy użyciu jednak tak imnych dziś, niż przed pięciuset laty, środków, metody walki pozostają wciąż te same. Wypływają bowiem z podobnych przesłanek geograficznych i politycznych, z tych samych głębokich różnic w charakterze i dążeniach sąsiadujących narodów.

Opowieść o zmaganiach pod Grunwaldem w roku Pańskim 1410, wywołująca w umyśle obraz zakutych w stal mniczów, łomot husarii, lekkie chorągwie litewskiej jazdy — wydaje się daleką i nierzeczywistą. Gdy jednak przez chwilę wyobrazimy sobie na miejscu wojsk tamtych współczesne dywizje broni pancernej, szum samolotów bombowych i liczne pułki kawalerii, posługujące się „cekaemami“, walczące obok zmotoryzowanej piechoty, owa historyczna bitwa staje się nagle bliską i zrozumiałą. Bowiem uczucia, ożywiające Polskę przed półtysiącem lat, nie różniły się zbytnio od dzisiejszych.

Cóż dopiero, gdy przyjrzymy się całemu okresowi, który „wielką wojnę” (tak

zwali ją współcześni) poprzedzał. Nie można się oprzeć wrażeniu, że zajęcia, których dziś jesteśmy świadkami, są powtórzeniem (z dużymi oczywiście odchyleniami, wynikającymi ze zniwienych warunków) tamtych, wielkich chwil.

W czasach grunwaldzkich nie chodziło już tylko o interesy gospodarcze, polityczne, lub militarne, jakie w różnych okresach miało dla Polski i Litwy wybrzeże Bałtyku, ale o to, że rosnące mocarstwo polsko-litewskie nie mogło ścierpieć na swych ziemiach pomorskich i litewskich, pruskich i żmudzkich wrogiemu organizmu. Zakon miał do wyboru albo współpracować lojalnie z Państwem Polskim, albo starać się je zniszczyć. Wybrał to drugie.

Wysiłki swoje skierował przede wszystkim przeciwko Litwie, jako organizmowi mniej skryzystalizowanemu. Poczucie przynależności narodowej wtedy jeszcze w obecnej formie nie istniało. Dążenia separatystyczne można było jednak łatwo obudzić, popierając najmniej nawet uzasadnione pretensje dynastyczne. Krzyżacy, korzystając z roszczeń Swidrygielły, najmłodszego brata królewskiego, piętrzyli przed Wielkim Księciem Witoldem trudności. Na początku 1402 roku Litwa

musiała stawić czoła Zakonowi, Inflantom, buntom w Smoleńsku, Riazaniu, na Siewierszczyźnie i Podolu. Metoda była prosta: rozbić państwo od wewnątrz, a potem uderzyć na nie zniwienacka i zagarnąć: bądź w formie „protektoratu“, bądź „europejskich kolonii“, bądź też jako ziemie „odwieczne“ krzyżackie. Wtedy zresztą nie kłopotano się tak subtelными różnicami. Jako pretekst wystarczała idea „nawrócenia na wiarę chrześcijańską“.

Ten pretekst także wymykał się z rąk. Zakon usiłował jeszcze przekonać zachodnią Europę, że chrzest Litwy był tylko pozorny. Niezbyt długo mu się to udawało. Dzięki usilnym zabiegom dyplomacji polskiej w Watykanie papież Bonifacy IX wydał w 1403 roku wielką bullę, potępiając działalność Zakonu i zabraniając mu walki ze świeżo nawróconymi chrześcijanami.

Nastał znowu pokój. Krzyżacy mieli w swym ręku Żmudź. Ale też Żmudź (Kłajpeda) była ostatecznym kresem ustępstw mocarstwa Polsko-Litewskiego.

Jest rzeczą mimo wszystko wątpliwą, czy doszłoby do wojny, gdyby Krzyżacy na dotychczasowych zdobyczach poprzestali.

W 2011 r.

Liczne traktaty, zawierane z Zakonem przez Polskę, dobitnie świadczyły o jej niechęci do użycia argumentów ostatecznych.

Traktat kaliski, układy wileńskie, pokój w Raciążu — we wszystkich tych paktach Polska zdobywała się na maksimum ustępstw. Jeszcze w roku 1409, po wielkim zjeździe w Łęczycy, obradującym nad sytuacją wytworzoną przez powstanie Żmudzinów, posłowie polscy jadący do Malborka mieli proponować pokojowe uregulowanie sporu.

Dopiero wyzywająca postawa wielkiego Mistrza, Ulryka von Jungingen, spowodowała szefa delegacji polskiej, arcybiskupa gnieźnieńskiego, Mikołaja z Kurowa, do oświadczenia wręcz: „Nieprzyjaciół Litwy my za swoich uważamy wrogów: jeśli uderzycie na Litwę, my ruszymy na was“.

Ta deklaracja, dzięki której Polska wystąpiła oficjalnie jako gwarantka niepodległości Litwy, ostatecznie wyjaśniła sytuację.

Któż jednak zbada przepastne głębie psychiki zaborczej teutońskich rycerzy!

Nie wierząc w siłę wewnętrzną mocarstwowej Polski, a widząc, że układami nie nie wskórają, spróbowali metody zastraszenia.

Ultimatum krzyżackie wyglądało dość osobliwie. Wielki Mistrz posłał do króla Jagielly formalne wypowiedzenie wojny. Już w dniu jego doręczenia hufce zakonne wtargnęły na terytorium Polski, zalewając ziemię Dobrzyńską, Mazowsze, Kujawy. Nim król zdolał zebrać pospolite ruszenie, oblężona Bydgoszcz musiała się poddać.

Zakon nie myślał jednak o otwartej wojnie. Ledwo Jagiello Bydgoszcz odebrał, nim jeszcze wrogie armie się starły, już przez posłów i pośredników proponowano zawieszenie broni.

Zawarto je 8 października, a miało trwać do św. Jana, tj. do 24 czerwca 1410 roku.

Dziewięć miesięcy życia z perspektywą trudnej i ciężkiej wojny! Krzyżacy liczyli, że duch bojowy Polaków tego okresu nie przetrzyma. Ze interesy indywidualne poszczególnych panów przeważą państwową rację stanu. Ze usilne zabiegi dyplomatyczne pokłócą Litwę z Koroną. Ze złoto zakonne, przekupujące sąsiadów, zostawi Polskę osamotnioną, a wszechpotężna propaganda pobawi ją wszelkiego moralnego poparcia w świecie zachodnioeuropejskim.

W międzyczasie skierowano sprawę na drogę arbitrażu. Sędzią miał być król czeski, Władysław IV.

Czym jest arbitraż, wiemy dziś dobrze z doświadczeń środkowo-europejskich. Wyrok króla czeskiego przypominał pod względem słuszności wiedeńskie rozwiązanie sprawy czeskiej z ubiegłej jesieni.

Nie zaskoczył on Jagielly. Z tą samą konsekwencją, z jaką starał się przez długie lata utrzymać pokój z Zakonem, obecnie przeszedł do przygotowań wojennych. Rozumiał bowiem, że gdy każdy objaw dobrej woli jest poczytywany za słabość, trzeba przemówić innym językiem.

W oczekiwaniu na starcie zbrojne rozgorzała wojna na wszystkich wewnętrznych i zewnętrznych frontach. Walka pro-

pagandowa, akcja dyplomatyczna, zbrojenia — oto etapy przygotowań do 1410 roku.

Zaagitowanie kilku milionów ludzi jest obecnie rzeczą codzienną. Propaganda dzięki potędze prasy i radia ma działanie olbrzymie. W owych czasach decydowały jednak nie masy, lecz poszczególne dwory. Zaagitowanie ich mogło mieć znaczenie decydujące. Propaganda krzyżacka dysponowała doskonale rozgałęzionym aparatem. Wyżyskiwała go też w pełni.

I Jagiello jednak nie pozostawał bezczynny. Rozpisał i ogłosił skargę na Krzyżaków do królów i książąt świeckich i duchownych, ujawniając krzywdy, jakie Polska i Litwa cierpliwie dotychczas znosiły od Zakonu. Rozesłał posłów pełnomocnych do wielkich stolic. Prosił o pomoc i posiłki nawet króla angielskiego, Henryka IV Lancastra, dawniejszego hrabiego Derby. Daremnie. Krzyżacy potrafili już rozgłosić, że Polacy w połączeniu z poganami i Rusinami zagrażają zgubą chrześcijaństwu. Na ówczesnej Downing Street nie orientowano się jeszcze zbyt dobrze w stosunkach wschodnioeuropejskich. Król angielski odpowiedział, że... uważa się za syna Zakonu.

Nielepiej powiodły się usiłowania zdobycia sobie pomocy, lub życzliwej neutralności książąt pomorskich. Wierząc w potęgę Zakonu, który ich gniebił, nie śmieli przeciw niemu wystąpić. Krzyżacy na swoją stronę przeciągnęli Świętobora Szczecińskiego, Bogusława VIII Słupskiego, Ulryka Starogrodzkiego.

Ważniejsze były stosunki z Czechami i Węgrami. Tu złoto z krzyżackiego skarbcza pokonało wszelkie zabiegi dyplomatyczne. Wacław IV czeski, przekupiony kwotą 60.000 złotych, nie tylko odmówił Jagielle pomocy, ale wydał na korzyść Krzyżaków sławetny wyrok arbitrażowy.

Wobec Zygmunta węgierskiego musiał Zakon użyć także innych argumentów.

Stosunki polsko-węgierskie były wówczas przyjazne. Opierały się na szesnastoletnim przymierzu, zawartym przez Jagiellę i Zygmunta w Krakowie, w roku 1397. W myśl tej przyjaźni, gdy nastąpiła na Węgrzech rewolucja, Jagiello nie przyjął ofiarowanej mu przez panów węgierskich korony, starając się o uwolnienie więzionego przez poddanych Zygmunta. Do wystąpienia przeciw Polsce Krzyżacy skłonili wreszcie węgierskiego króla zarówno złotem, jak i obietnicą... Ukrainy. Zawsze bowiem byli skorzy do frymarczenia cudzą własnością.

Nieświadom tych matactw Jagiello wysłał do Zygmunta, Księcia Witolda z liczną świtą. Spotkanie odbyło się w Kezmarku. Tu Zigmunt usiłował nakłonić Witolda do zdrady, ofiarowując mu... koronę litewską. Gra dyplomatyczna rozwijała się więc zgodnie z najbardziej nowoczesnymi metodami... Niemiec.

Zmierzała ona Witolda do tego stopnia, że będad już na Litwie, a podejmując delegację węgierską wracającą z Prus, posła Krzysztofa Gersdorfa na koniec stołu posadził, a obok siebie Żmudzinów. Można sobie wyobrazić, jak żywe komentarze wywołało to uchybienie w dyplomatycznym protokole!

Szeroka akcja dyplomatyczna Jagielly poniosła zatem fiasco.

Ważniejsza przecież dla powodzenia wojny była akcja wewnętrzna: konsolidacja polityczna elementów różnych narodościowo, organizacja i wzmocnienie siły zbrojnej i wreszcie praca sztafu.

O znakomitym przeprowadzeniu tych postulatów świadczy fakt, że stając do walnej rozprawy „polska koalicja“ przedstawiała siłę nie do pogardzenia. Nie chcę się wdawać w szczegółowy opis elementów armii. Dla zilustrowania jej różnorodności wystarczy powiedzieć, że w skład wojsk litewskich wchodziły między innymi chorągwie takie, jak Polocka, Witebska, Kijowska. Były także trzy chorągwie Smoleńskie, które nieśmiertelnie okryły się chwałą. Nadto w tej wojnie, po raz pierwszy w służbie polskiej, brało udział wojsko najemne.

Gdy się zaś okazało, że Węgrzy zamierzają wkroczyć od południa, powołano rycerstwo ziem podgórskich i dla obrony ulokowano je w Sączu, pod wodzą kasztelana lubelskiego, Jaśka ze Szczekocin.

Na niebywale wysokim poziomie, zważywszy ówczesne warunki, stała praca naczelnego dowódczwa, które przygotowało wspaniałą koncepcję strategiczną.

Już w grudniu 1409 roku odbyła się w Brześciu decydująca narada, na której ustalono — na pół roku naprzód — ścisły plan kampanii. W konferencji brali udział: Jagiello, Witold i Dżelal-ud-din, książę tatarski. Spełnił on zresztą wiernie swe zobowiązania i w umówionym terminie stawił się z wojskiem do walki. A nie była to mała gromada, jeśli pod koniec roku 1410 opanował przy jej pomocy tron wielkich chanów Złotej Ordy!

Do tajemnicy dopuszczono jedynie podkanclerza koronnego, Mikołaja Trąbę.

W Brześciu ustalono zarówno dzień i miejsce spotkania wszystkich wojsk pod Wobromiem jak i główny cel natarcia: krzyżacką stolicę, Malborg. Miało to być od razu uderzenie decydujące.

O dokładnym opracowaniu szczegółów kampanii niech świadczy zapisek ze starożytnych kronik: Król „zlecił Dobrogostowi Czarnemu, staroście radomskiemu, przysposobienie mostu na Wiśle pod Kozienicami, nad którego zbudowaniem pracował całą zimę w wielkiej tajemnicy, biegły w swym rzemiośle, mistrz Jarosław“.

Po tym to moście przeszła armia polska idąc pod Grunwald. Oslawione „Drang uach Osten“ zostało złamane. Odradza się ono co pewien czas w ciągu historii. Obecnie jesteśmy świadkami nowej fali germańskiego imperializmu. Duch jego niewiele się różni od ducha Rycerzy Krzyżowych. Klajpeda już jest w rękach niemieckich. Litwa znowu żyje w zgodzie z Koroną. Rozrost Polski mocarstwowej staje na drodze wszelkim dążeniom zaborczym nad Bałtykiem. Nad spadkobiercami Zakonu zawisły groźne słowa Józefa Piłsudskiego: „Nasze odrodzenie całkowite rozczłonkuje i unicestwi Prusy“.

Krzysztof Mieczysławski

**SILNE LOTNICTWO
TO POTĘGA POLSKI**

QUATORZE JUILLET

Paryż spotyka się, załatwia interesy, je, bawi się, kocha, handluje, cieszy i smuci — na ulicy. Długie rzędy kawiarni wzdłuż wszystkich ulic ze stolikami tarasującymi przejście po trotuarach; stragany przed wszystkimi sklepami począwszy od wytwornych domów towarowych, a kończąc na małych „boutiques“ sprzedających warzywa: kioski ze słodyczami i budki z atrakcjami na bulwarach — wszystko to pozbawia Paryż tajemniczości obcych miast i sprawia, że przybysz nie czuje się tu samotny nawet przez małą chwilę.

Czyż podobna się dziwić, że wobec tak absolutnego braku intymności w codziennym życiu, także i dzień 14 lipca, dzień święta narodowego Francji, obchodzi się tu nie w czterech ścianach sal, ale na otwartych, szerokich placach i ulicach?

Sto pięćdziesiąt lat temu lud Paryża zburzył tego dnia Bastylię, niegdyś groźną cytadelę panującą wszechwładnie nad zamieszkałym przez proletariat przedmieściem św. Antoniego, a wówczas, za panowania Ludwika XVI, już tylko więzienie i arsenał królewski, strzeżony przez oddział inwalidów. Bastylia pozostała jednak symbolem ucisku i absolutyzmu tak, że zburzenie jej stało się pierwszym czynem zrewolucjonizowanego tłumu.

Przed czterema laty Front Ludowy pragnął odebrać świętu 14 lipca charakter ogólnonarodowy, czyniąc je także rocznicą swego powstania i dniem proklamacji swych hasel. Dziś nie ma już we Francji absolutyzmu, nie ma także Frontu Ludowego, ale święto pozostało, nie mniej wspaniałe i jedyne w swoim rodzaju niż dotąd.

A może nawet wspanialsze, bo uświetnione wizytą przedstawicieli Anglii, którzy w obliczu obecnej sytuacji politycznej zmanifestować chcą swą łączność z uczuciami sojuszników.

*

Już na tydzień przed „Quatorze Juillet“ zmienia Paryż swój zwykły wygląd.

Ciche i ciemne uliczki, otaczające wielkie bulwary, rue de Liège, rue des Dames, d'Enghien, de l'Ecliquier zaczynają nabierać życia i usprawiedliwiać swym blaskiem stary przydomek Paryża: „ville lumière“ („miasto światła“). Przed kawiarniami, na trotuarach i jezdni, wystają stoliki formujące czworobok, wewnątrz którego tańczą zwiększające się z dnia na dzień gromady ludzi.

Z małych przedmiejskich uliczek, z ustronnych przecznicy przenosi się tancerz na magia w centrum miasta, rozlewając się wesołą falą życia po głównych arteriach. Pola Elizejskie, ulica Rivoli, aleja Republiki, bulwar Sewastopol zaczynają tętnić potężniej jeszcze niż zwykle. Paryż, miasto, w którym po dziesiątej wieczór nie wolno okłaskiwać artystów nawet w zamkniętych knajpach na wesołym Montmartre, bawić się zaczyna teraz co wieczór na ulicy do pierwszej-drugiej w nocy.

14 lipca po wielkiej rewii wojskowej na Polach Elizejskich, tej imponującej paradzie wszystkich rodzajów broni, wchodzi wreszcie Paryż w kulminacyjny punkt wesołego szaleństwa.

Przez miasto przeciągają już od wczesnego wieczora gwarne pochody z kolorowymi lampionami. Pod sklepionymi z różnobarwnych chorągiewek rozmieszcza się głośniki i orkiestry. Kto ma w kieszeni 5 franków na „bock“ piwa, idzie zabawić się ze znajomymi na tarasie swojej kawiarni; ten, kogo zrujnowałby nawet taki wydatek, zabiera składane krzeselko, by bawić się wszędzie, a nie płacić nigdzie. Ulicami ciągną całe rodziny uzbrojone w potężne torby z domowymi przekąskami. We wnękach bram wiadła przy nakrytych stołach dozorców, którym obowiązek nie pozwala oddalić się od domu. Na asfaltowych jezdniach między pędzącymi autami tańczą wesoło pary złączone skocznią melodią.

Paryż się bawi.

O trzysta kilometrów stąd na wschód tancerz aryjki z Chińczykiem uważany jest za „Rassenschande“ — zhańbienie rasy. Ale na bulwarze St. Michel tuli się mała midinetka w szerokich objęciach murzy na czarnego, jak faszystowska koszula — i nikomu nic do tego. Brodaty malarz w fantazyjnym krawacie okręca dokoła siebie wytworną blondynkę. Wysoki Szkot w kraciastej spódniczce i narodowej furazerce drepce obok czarującej Francuzeczki dochodząc z nią doskonale do porozumienia przy pomocy międzynarodowego esperanta spojrzeń i uścisków.

Każdy bawi się, jak umie najlepiej. Przed kawiarniami Montparnasse'u tańczy się międzynarodowego walca lub slow-foxa. Przed owerniacką oberżą na rue Descartes, obok Pantoum, wewnątrz ogromnego koła snują się młodzi ludzie i młode dziewczęta, wybierając sobie damy lub kawalerów, po czym rozpościerają na jezdni, co kto ma: chusteczkę czy gazetę i kłęcząc całują się z upatrzoną nieznaną osobą.

Jakiś poważny jegomość w amerykańskich okularach, o wyglądzie solidnego, zamożnego kupca, przykrył łysinę czerwonym, fantazyjnym fezem z papieru i dmie w dziecinny blaszany saksofon na tarasie eleganckiej kawiarni w dzielnicy łaciń-



Entuzjazm Paryża wzbudzały eskadry bomboweów angielskich, biorące udział w defiladzie wojsk sprzymierzonych

skiej. W Warszawie pozbawionoby go na jutro kredytu i pytano z niepokojem o stan zdrowia, ale tu, w Paryżu, nikt nie interesuje się obcymi ludźmi, a w piękną noc „Quatorze Juillet“ wszystkie szaleństwa są usprawiedliwione.

Paryż się bawi.

Co prawda o kilka kroków od jednego z centrów tego karnawałowego szaleństwa jakiś bezdomny wagabunda układa się do snu tuż przed samym progiem Pałacu Sprawiedliwości, ale nikt go jakoś nie dostrzega... Przepraszam, spostrzegł go właśnie przed chwilą policjant w granatowej pelerynce i przepędza stąd zupełnie tak, jak gdyby wiozącą nie był w prostej linii potomkiem tych, którzy przed stu pięćdziesięciu laty zdobyli Bastylię.

T. H.

Na święto 14 lipca ścignęli do Paryża mieszkańcy różnych stron Francji w barwnych strojach regionalnych



M N E M E')

W pensjonacie, w którym odbywam letnie dolce far niente, roi się od budujących rozmów społecznych i politycznych. Na razie decydowano (głównie plec piękna), że stan obecny jest nie do zniesienia na dłuższą metę, więc „niech się raz już stanie“. Ponieważ jednak nic dotąd się nie stało oprócz coraz detaliczniejszego rozbiierania się ohojga pleci „z powodu upału“, więc rozmowy są bardziej doczesne i bieżące. Człowiek w pewnym wieku, ubrany całkowicie, traktowany jest jak Zulus albo Makololo z piórami w głowie i w nosie. Moda współczesna każe damom nawet w najbardziej osobliwych pensjonatach unikać pończoch, panom młodszym wiekiem i wyobrażnią — skarpetek, z lekceważeniem jednoczesnym kosmetyki dolnych kończyn. Podobno jest to najsubtelniejsza postać *demokratyzmu*, który — jak wiemy — jest w tej chwili w walce na śmierć i życie z faszyzmem. Tak wnioskuje z rozmowy mojej bardzo rozebranej (upałem!) nadobnie, nieznaney mi sąsiadki z młodym vis à vis w trykotowej koszulce bez rękawów, która to sąsiadka poprawiając widełcem coś w ząbkach lśniących czystym złotem (pewno stara plomba!) twierdziła, że nie ma zupełnie zaufania do Hitlera. Druga starsza wiekiem, przypuszczalnie — panna, bo któż by... wszystkie przemówienia kształtujące ogół zaczynała od „kiedy byłam w Mediolanie“ albo „bo to, proszę pani, w Interlaken to jest tak“ itd. i wymyśla ciągle pokojówkom i kelnerkom za brak wykształcenia fachowego, jednocześnie demonstrując wytworne maniery magła czy mydlarni w cennyich swych dla tych pracujących dziewcząt wskazówkach życiowych.

Zart na stronę. Ale całe to towarzystwo warszawskie, które nie odpowiada na uprzejmy ukłon wchodzącego nowego gościa, a chwili się ciągle, że zjeżdżiło Szwajcarię, Francję, Włochy, ma tak strasznie mało w sobie tego, co Anglicy nazywają „sociability“ — tj. przychylnego, kulturalnego stosunku do bliźniego w ogóle, że zachodzi pytanie: czy ta nowa jakaś postać demokratyzmu w Polsce, czy — uproszczenie obyczajów aż do schamienia „z powodu wojna“?

Czy Francuz potrafi wejść do jakiegokolwiek towarzystwa bez uśmiechu i swego „bonjour messieurs et mesdames“¹⁾, czy nawet szorstki Heib (Szwajcar — łaskawi słuchacze — tak siebie nazywa, a znaczy to nic więcej tylko „cham“) obędzie się bez swego „G r ä s s i“? Gdy gdzieś kiedyś, zirytowany milczeniem na moje „dobry wieczór państwu“, kropnąłem głośniej i mocniej: „*Laba Diena — ponele — Tegulbus pogarbintas Jezus Chrystus*“²⁾ wszyscy po chwili zainteresowali się... mają narodowością, bo oczywiście nikt z tego grona nigdy nie słyszał języka bratniej Litwy. Mocno nas interesuje zawsze, co cudzoziemcy o nas powiedzą, a znacznie

mniej — co o nas samych mówi nasze polskie sumienie.

Zapewne świat i życie idą naprzód, — razem z romantyzmem ginie rycerskość, demokracizm zwalcza — przeczuloną dworskość manier, a tempo walki o byt skraca, czy upraszcza dystynkcje i subtelności wychowania. Toteż w tych środowiskach, gdzie dawniej panował nieprzyjemny wersalizm i szampański humor obcowania wykwińskiego — dziś powiało sztywnym chłodem i obojętnością... Więc trzeba włożyć na głowę kapelusze wazowskie ze strusimi piórami, którymiśmy zmiatali prochy z posadzek przed naszymi królowkami, zatknąć w ziemię szpady rycerskie do obrony ich czci jako niepotrzebne... (same się lepicj bronią od nas i nie chcą naszych madrygałów i pompacyjnych „intentów“) i nawiązując do pamiątki jednego z największych rycerzy polskiego szlaku kultury — Bolesława Prusa powiedzieć jak on (to znaczy Wokulski) do pani Wąsowskiej, „nie gościę nam szlachetnego sentymentu dla Was...“ Coś z Don Kichota z La Manszy zawsze przyda się w literaturze, a legendy, które tam opowiada Cervantes, są analizą wdzięków ówczesnej kultury.

Kiedyś Sienkiewicza na jakiejś zabawie, proszony o aforyzm, wypisał polskiej Dulcinei zdanie: „Tyś sama kwiat!“, co przez wielu krytyków literatury uznane zostało za głupie. O ile dobrze pamiętam — z tłumaczenia teje Dulcinei — to wcale nie było takie „niezrozumiałe“ — grzeczniej mówiąc od tych panów — gdyż według wykwińskiego komentarza ustnego sa-

mego autora było skróceniem zdania: „bądź kwiatem kultury narodowej i ducha“.

Otóż właśnie... na tę kulturę narodową składają się tak często takie maleńkie imponderabilia, mało uchwytne w pośpiechu i roztargnieniu zawodowym umysłów wyższych lub natchnionych majestatem własnym (za dużo stanowczo mamy mandarynów), lecz wiążące się za to dyskretnie w pewien stary obrządek zachowania polskiego, o którym detalicznie opowiadali Glogier, Łoziński, Brücker, Choloniewski... opowiada prof Bystron itd. Nie ma d w u kultur ducha u nas (jak chcą niektórzy analitycy) — tj. szlacheckiej i chłopskiej. *Jest tylko jedna kultura Piastowska*, gdyż dwór, dworek, czy dom szlachecki jest tylko dziejowym rozwinięciem chaty, strzechy kmiecyj z pierwocin naszego bytowania. Rodowodem wszelkich zjawisk etnicznych, politycznych, społecznych, przyrodniczych szukamy zawsze w chacie mazurskiej, podhalskiej, kaszubskiej itd. a nie we dworze, czy plebanii — które są zjawiskami zmierzymi. a które tylko wtedy są drogie i cenne narodowo, gdy pielęgnują serdecznie i uczciwie pierwiastek ludowy, rdzenny. Przypuszczam, że analogiczne rozumienie zagadnienia każda pisać Prusowi jego „Placówkę“ — Sienkiewiczowi mało doceniane pod względem piękności, „Szkice węglem“...

Najrealniejszym dowodem jedności kultury jest nasza, tj. rzekomej elity kulturalnej wieczna tęsknota do wsi — jako do kolebki naszej, jest sentymentalizm regionalny i patriotyzm zaściankowy.

„Gość w dom — Bóg w dom“ — „Gościu nie dziwisia — jesz szto je u mi sie“... Są to dwa przysłowia charakteryzujące dwie kultury zachodu i wschodu na linii dyfuzji, — no i dwie izby kmiecy — poleką i ruską.

Choloniewski, A. B. Dobrowolski, Artur Górski w swoich broszurach o charakterze i gatunku naszej kultury sięgają nie tyle do jej pochodzenia, ile co do pochodni: — „ku czemu Polska szła“, jak pisze Górski. Między innymi cechami (jak np. wiara w Boga naprawdę, bez komedii) jest starodawna wiara w człowieka, jako w celowy i użyteczny twór Boski. Naród, który tworzył Unie, Związki, Konfederacje, musiał być towarzyski, przyjacielski, chętny do współdziałania, szczery w afekcie, odany w przyjaźni i tworczy w swoich ideach. Naród ten nie wyciągał nigdy ręki do nikogo fałszywie, obłudnie — za bardzo był zdrowy i silny. Równie trudno jak rzymskie „Ave“ przetłumaczyć na obcy polskie „witaj“. — Toteż znartwychpowstać może zaniedbana kultura starodawna przyjaźni nie przez groźbę nawały germańskiej, która nagle zjednoczyła wszystkich politycznie, a przez wyrozumowanie serdeczne braterstwa narodowościowego... chociażby na wywczasach letnich niedaleko granicy. Niechże nas nie łączy zawsze tylko groźba burzy czy błyskawice zmian i układów, a stara gęłka polska o braterstwie „z Ducha“.

Więc batalistyczna, mocno agresywna w dyskusji sąsiadko przyjm moje „pompacyjne intenty, w których serce plonie ku Twojej personie“ jako zapowiedź, że wojny już nie będzie — chociażby wśród nas.

Konrad Chmielewski



ubezpiecz się w
P.Z.U.W.

¹⁾ Por. „Tyg. Illus.r. Nr. 29.

²⁾ Dzień dobry — paneczku — niech bądźcie pochwalony Jezus Chrystus.

ZACZYNAMY KOCHAĆ STARĄ I NOWĄ WARSZAWĘ

Wśród ciekawostek i zabytków nowoczesnej stolicy

Ktokolwiek zaszedł kiedyś do dowolnego polskiego biura podróży za granicą, musiał zwrócić uwagę na nieliczne wprawdzie, choć gustownie wykonane plakaty propagandowe: „Zwiedzajcie Polskę — kraj polowań“, „Zwiedzajcie Śląsk“, „Polska — Wilno — miasto zabytków“. Lecz z niewiadomych przyczyn trudno zauważyć plakaty o Warszawie. Wprawdzie one istnieją i robi się, co można, czego wymownym przykładem są dwa świeżo wydane, nadzwyczaj estetyczne plakaty o stolicy, lecz publiczność przechodzi obok nich dość obojętnie, a za granicą wieszają się je z jakąś wstydliwą aksamitnością i zgoła niezrozumiałą dyskrecją.

Nie jeden cudzoziemiec w rozmowie z Polakiem zastępuje, dlaczego tak mało w Polsce mówi się o jej stolicy?

— Bo — powiedział jeden z naszych rodaków — właściwie Warszawa nie ma nic ciekawego i jest dość brzydkim miastem. (?)!

Taki pogląd niestety do niedawna propagowany był przez nas samych. Wypływał on właściwie nie z jakiejś specjalnej złośliwości, lub braku patriotyzmu lokalnego, ale raczej z dokuczliwego osadu propagandy zaborskiej, która starała się za wszelką cenę wmówić w ogół, iż wszystko, co polskie, jest właściwie nic nie warto.

Ten stan rzeczy uległ na szczęście w ostatnich czasach radykalnej zmianie. Powstał w stolicy Związek Propagandy Turystycznej m. st. Warszawy, który rozwija ożywioną działalność, wyrabując z mozołem ścieżki w nieprzebrzytym gąszczu dżungli obojętności publicznej. Ten i ów zauważa zupełnie niespodziewanie, że w tej naszej, tak dotychczas pobłażliwie traktowanej stolicy są rzeczy naprawdę godne obejrzenia. Że zależy je tylko poznać, obejrzeć, a... może i trochę pokochać!

Zarówno wciąż wspomniany Związek

jak i obecny Zarząd Miejski zrobili na tym odcinku bardzo wiele. Powoli z dotychczas panującego chaosu zaczyna wylaniać się trwoniąca świadomość, że mamy naprawdę niezwykłe ciekawą stolicę.

Każdy Warszawianin zna pokrótce historię Starego Miasta, Zamku Królewskiego, Łazienek, Wilanowa. Uważał jednak

że na tym miejscu należy postawić kropkę, dla prostej przyczyny, że nie ma w stolicy nic więcej godnego uwagi. Tymczasem obecnie wszyscy rewidują swój sąd.

Parę słów o historii Warszawy:

Stolica Polski zjawia się na widowni dziejowej u zarania naszych dziejów, gdy u brodu przez Wisłę powstaje w Ujazdowie zamek książąt Mazowieckich, który,



Gmach Teatru Wielkiego widziany z bramy wieży ratuszowej. (Fot. dr. T. Przypkowski)

Wspaniały gmach Domu Turystycznego m. st. Warszawy



przerabiany wielokrotnie, zachował wyraźne ślady swego pierwotnego układu z epoki pierwotnej. Miasto samo powstało najpóźniej w wieku XIII, jako osiedle miejskie, otoczone murami obronnymi, z których znaczne części dotychczas się zachowały, a ostatnio nawet zostały częściowo doprowadzone do dawnego stanu. Jest to wielka zasługa obecnego Zarządu Miejskiego, który w r. 1936 podjął inicjatywę odsłonięcia i utrwalenia tych zaniedbanych pomników naszej wielkiej kultury stolicy. Organizuje się Komisja Opieki nad Zabytkami, która, wspólnie z konserwatorem państwowym, rozpoczyna intensywną pracę. Obejmuje ona teren od ul. Nowomiejskiej do ul. Wąski Dunaj, tzn. od bramy Nowomiejskiej i barbakanu do bramy pobocznej. Próba odsłonięcia muru dała niespodziewanie bogate wyniki, gdyż po usunięciu zabudowań przy zbiegu ul. Nowomiejskiej i Podwala i przwróceniu dawnej fosy ukazał się pod ul. Nowomiejską gotycki dwuprzęsłowy



Grupa turystów w autokarze Zw. Prop. Tur. m. st. Warszawy na tle Ratusza

most z bogato ukształtowanymi filarami. Druga strona tego mostu, wraz z zachowaną w swej pierwotnej wysokości całą połową Barbakanu, wg której możnaby ten niesłychanie ciekawy i ważny zabytek odbudować, pozostaje w kamienicach po drugiej stronie ul. Nowomiejskiej i będzie niewątpliwie w przyszłości z nich wydobyta.

Odkopanie fosy pokazało pierwotną wysokość muru zewnętrznego i baszty prochowej. Przestrzeń między murami na całej długości wspomnianego odcinka została oczyszczona z zabudowań, odsłaniając całkowicie pierwotną wysokość muru wewnętrznego oraz górną część zewnętrzne-

go, odbudowanego domami ul. Podwale. Linia murów rysuje się czerwono na białym tle tynku. Popękane mury zostały wyremontowane i w częściach, grożących zawaleniem, wzmocnione.

W krąg murów obronnych wciągnięty został drugi Zamek Książęcy, położony, podobnie jak Ujazdowski, na stromym brzegu Wisły i oddalony o parę kilometrów w dół jej biegu.

Zamek ten, po przebudowach w wieku XIV i XV pierwotnie drewniany, potem — ceglany, po poprawkach i przróżkach w wiekach XVII i XVIII, znany wszystkim pod nazwą Zamku Królewskiego, stanowi obecnie siedzibę Pana

Podcienia dawnego Arsenalu przebudowanego na Archiwum Miejskie



Ogólny widok dawnego Arsenalu, obecnie Arch. Miejskie, z lotu ptaka



HOTEL BRISTOL

WARSZAWA

KRAKOWSKIE

PRZEDMIEŚCIE 42.

TELEFONY

5-51-60

6-04-74

Prezydenta R. P. Sąsiadujące z Zamkiem Stare Miasto tylko resztki architektury z czasów średniowiecznych zachowało w postaci nienaruszalnej. Przeważną część domów jest przebudowana w XVI wieku, lecz całość z Rynkiem, ozdobioną obecnie charakterystyczną polichromią i otoczonym starodawnymi uliczkami, została dopiero niedawno odnowiona i obecnie przedstawia się jako doskonale odbudowane średniowieczne miasto z całym swym specyficznym czarem i patyną wieków.

Znamy wszyscy pomniki Warszawy. W szczyptych ramach tego artykułu nie podobna opisywać ich historii.

Poza historyczną Warszawą w latach ostatnich powstaje miasto zupełnie nowe, z szerokimi arteriami ulic, nowoczesną architekturą domów i urzędzeń mieszkalnych. Żolibórz, kol. Staszica i Lubeckiego, Saska Kępa i kilka innych pomniejszych dzielnic składają się na Warszawę zupełnie nową, dorównującą pod każdym względem zarówno architektoniczno-urbanistycznym, jak i komfortem mieszkalcym, wielkim metropoliom europejskim. Warszawę tę zna się stosunkowo mało nie tylko za granicą, ale i w samej Polsce, gdyż dotychczas obcy przybysz obracał się przeważnie w ciasnym kręgu dotychczasowego śródmieścia na linii Plac Zbawie-

HOTEL EUROPEJSKI

WARSZAWA,

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 13

TEL. 5-56-20, 5-48-00



Bulwar Gdański w r. 1934



Ten sam bulwar w r. 1938

ciela — Królewska, Belweder — Plac Zamkowy.

Związek Propagandy Turystycznej rozpoczął planową akcję pokazywania Warszawy przybyłym polskim i zagranicznym w organizowanych przez siebie wycieczkach zbiorowych oraz przez dostarczanie indywidualnych przewodników.

Jak Zamek Królewski, Stare Miasto (ze słynnym Fukierem), Mury i Łazienki są pomnikami dawnej Warszawy, tak dom akademicki (plac Narutowicza) i Dom Turystyczny (Plac Starynkiewicza) są wspaniałymi pomnikami Warszawy nowoczesnej.

Minister Stefan Starzyński, prezydent stolicy i dawny prezes Związku Propagandy Turystycznej, utworzył w roku 1935 Komitet Budowy Domu Turystycznego w stolicy. Zarząd Miejski m. st.

Warszawy oddał dom ten w dzierżawę Związkowi Propagandy Turystycznej jako czynnikiem nadzorczy nad racjonalną eksploatacją powołany został Komitet Domu Turystycznego.

Dom ten stanowi idealnie tani hotel dla zbiorowych wycieczek niezamożnych turystów, pragnących spędzić kilka dni w Warszawie w warunkach zupełnie wygodnych.

Przyjrzyjmy się cenom w Domu Turystycznym. Otóż nocleg w pokojach 2-u i 3-łóżkowych z natryskami waha się od zł 3 do zł 1,20.

Dom Turystyczny posiada bardzo wygodnie urządzone łazienki i natryski, z których można korzystać po przystępnych cenach. W jadalni Domu Turystycznego dla turystów podawane są śniadania w ce-

nie gr 35 do 70, obiady po gr 85 — 1.00 i kolacje w cenie gr 65 — 80.

W r. 1938 w Domu Turystycznym notowano 24.445 turystów, zorganizowanych w 439 wycieczek.

O celowości istnienia podobnego domu świadczyć może fakt, iż w roku ubiegłym w wyżej wspomnianej liczbie noclegów statystyki notują 1491 turystów cudzoziemców. Jest to cyfra — przy obecnym słabym ruchu z zagranicy — wręcz imponująca.

Związek Propagandy Turystycznej m. st. Warszawy rozwija pierwszą, być może, zakrojoną na skalę europejską akcję propagandową w stolicy. Już na Dworcu przybyłszy zagraniczny spotyka tłumacza poliglotę, który chętnie i uprzejmie udziela bez żadnego specjalnego wynagrodze-

Fragment murów obronnych Starego Miasta



Pałac w Willanowie, ozdoba okolic stolicy



nia potrzebnych informacji. Związek roz-
porządza sztabem wykwalifikowanych
przewodników, znających historię starej i
nowej Warszawy. Organizuje wielką ilość
wycieczek tanimi środkami komunikacji,
zapoznając w sposób prosty i zrozumiały z
ciekawostkami stolicy, działając na wy-
obraźnię wycieczkowiczów, zachęcając, za-
praszając — jednym słowem, występuje w
roli gościnnych gospodarzy, którzy z całej-
go serca radzi są przybyszowi i pragnęliby
za wszelką cenę pokazać te wszystkie
piękne rzeczy, z których sami są tak dum-
ni i które naprawdę kochają.

Dewizą Związku jest: „Nie tylko po-
znaj, ale... i wróć do Warszawy”; toteż
akcja ta daje coraz lepsze wyniki. Obec-
nie Związek stoi całkowicie na wysokości
zadania.

Bliski jest już czas, gdy ktoś za gra-
nicą zapyta Polaka o to, co mamy u siebie
najciekawszego, odpowie bez wahania:
Warszawę.

A co najcenniejsze, że nie będzie to ja-
kiś lokalny „hurapatriotyzm”, ale istotne
przeświadczenie, wypływające z wielkiej
drogi do prawdy: — ZROZUMIENIA.

*Łańcuchy
do rowerów*



i

UNICUM

wyrób firmy

TYTAN

Warszawa, Obozowa 16

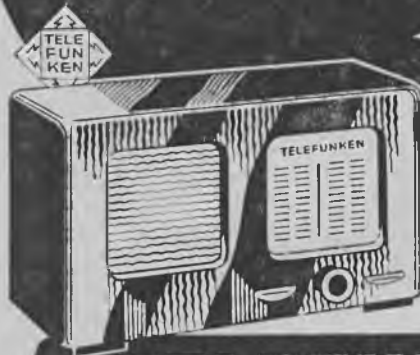


**SILNEJ FLOTY WOJENNEJ
I KOLONIJ**

PRZEŁAMANY FRONT

drogich odbiorników

zł. **115.-**



KOSZTUJE
nowy odbiornik
T 31
NA BATERIE,
zł. 136.- NA PRĄD
ZMIENNY

Radio **TELEFUNKEN**
teraz dla każdego

MIEJSKIE ZAKŁADY
MŁECZARSKIE „A G R I L”

Mleko butelkowe — czyszczone i pasteryzo-
wane ♦ Śmietanka, śmietana i krem homoge-
nizowane ♦ Masło luksusowe ♦ Extra-
Laktorol ♦ Znacomity produkt zdrowotny.

Biuro — W-wa ul. Grzybowska 59, tel. 679-78

GAZOWNIA MIEJSKA

m. st. Warszawy ul. Kredytowa 3.

poleca sprzęt gazowy dla nowoczesnego gospodarstwa domowego:

Kuchenki jedno i wielopalnikowe ♦ Kuchenki
nowoczesne ♦ Piece kąpielowe ♦ Grzejniki do wody
Piece do ogrzewania ♦ Żelazka do prasowania

i inne przybory gazowe

Ceny konkurencyjne — Spłaty długoterminowe

Sprzedaż w Sklepie Głównym GAZOWNI MIEJSKIEJ m. st. Warszawy
ul. Kredytowa 3 tel. 6.00-01.

Czytacie
„Naokoło Świata”

STARY I NOWY TORUŃ

Wśród wielu warownych grodów Pomorza, położonych nad Wisłą, miasto Toruń zajmuje obecnie pierwszą pozycję, gdyż jest stolicą administracyjną i kulturalną Wielkiego Pomorza.

Toruń stracił obecnie swój pierwotny charakter obronny. Był do niedawna twierdzą, uzbrojoną w forty i fosy, które zostały rozchowane, a na ich miejscu zakwitły parki, w których raduje się w słońcu wolności młode pokolenie Polaków.

Turyści jednak po dawnemu zachwycają się starym ratuszem i przed pomnikiem Mikołaja Kopernika, który „wstrzymał słońce, wzruszył ziemię — polskie wydało go plemię”, — rozmyślają nad bogatymi dziejami Torunia, miasta, istniejącego 705 lat!

W kalejdoskopie bohaterkich dziejów miasta, którego nie zdołali zniszczyć krzyżacy i zniemczyć Prusacy, mamy wiele pięknych kart, świadczących o roli Torunia w historii Rzeczypospolitej.

Zachował on swój polski charakter i z chwilą odrodzenia wrócił „na Ojczyzny łono”, aby pracować nad dalszą rozbudową Niepodległej Polski.

Na ruinach dawnych fortów zbudowano nowe gmachy i parki, a nowy most im. Marszałka Józefa Piłsudskiego łączy Toruń z Podgórzem, które zostało przyłączone do miasta, zyskując na tym wiele (m. in. nowoczesną szkołę publiczną, której

Podgórze nie miało za czasów niemieckich).

Zarząd miasta uporządkował brzegi Wisły i z kredytów Funduszu Pracy zbudował bulwar. Łączy on miasto z rzeźnią i bekoniarnią, która eksportuje bekony na rynki niemieckie, angielskie i francuskie. Przy tym bulwarze miasto buduje obecnie olbrzymi gmach Gazowni Miejskiej z fabryką przetworów chemicznych.

W centrum miasta powstały piękne, nowe dzielnice mieszkaniowe, budują się gmachy Sądu Apelacyjnego i Muzeum Pomorskiego, a nowy dworzec autobusowy i Dom Społeczny im. Józefa Piłsudskiego — mogą służyć przykładem dla wielu innych miast.

Ambicją Torunia jest utrzymanie jego przodującej roli jako stolicy województwa Pomorskiego.

Szkoly, teatr, hotele, kawiarnie i magazyny handlowe — nadają miastu ton wielkomiejski, a poziom życia w Toruniu nie nosi cech zapadłej prowincji, lecz odpowiada kulturalnym wymaganiom jego mieszkańców i licznych turystów.

Niedawno została zorganizowana Pomorska Rada Gospodarcza, która z inicjatywy p. Ministra Raczkiewicza ma kierować polityką gospodarczą Pomorza.

Liczny garnizon wojskowy i młodzież szkolna współdziałają w rozwoju sportów, wśród których sport wodny zajmuje wy-



Ratusz w Toruniu i pomnik Mikołaja Kopernika

bitne miejsce, uzyskując swój wyraz na Wiśle, której wody roją się od żaglówek i kajaków.

W Toruniu wychodzą z pism codziennych „Słowo Pomorskie” i „Gazeta Pomorska”, oraz dobrze redagowany tygodnik dla młodzieży „Straż nad Wisłą”. Z rozgłośni radiowej w Toruniu nadawane są m. in. komunikaty w języku niemieckim.

Michał Gonerko

LATO W CIECHOCINKU-CIEPLICY

Lato zapukało do naszych domów wzywając nas mimo kłopotów dzisiejszych czasów na wypoczynek. Przypomina o potrzebie przeprowadzenia „remontu” całego organizmu, nabrania sił na dalszą drogę życia, o konieczności uspokojenia skołatanych nerwów i wyrwania się z murów miasta na zielone, kwiatne łono przyrody. Gdzie lepiej i wygodniej połączyć wypoczynek w przyrodzie z warunkami cywilizacyjnymi, do których jesteśmy przyzwyczajeni, gdzie łatwiej być może o skuteczną reparację organizmu, nabranie nowych sił oraz miłą rozrywkę, jak nie w Ciechocinku-Cieplicy? Wyzyskano tam dla dobra społeczeństwa, bogactwa naturalnych leków ziemi (źródła solankowe i pokłady borowinowe) — stwarzając wspaniałe warunki lecznicze. Ciechocinek posiada nadto jedyne w naszym kraju ciepłe kąpiele basenowe w trzech basenach, z których każdy posiada specjalne przeznaczenie. Jest więc pływalnia solankowo-termowa (o olbrzymich i nowoczesnych urządzeniach), basen „cieplica wspólna”, który służy w dni pogodne do normalnych kąpiei solankowych, i trzeci — czynny bez względu na pogodę. Piękno lata podkreśla bogactwo kwiatów, wśród których mija miło czas urozmaiczonej setką przeróżnych atrakcyj, i wśród których miło się mieszka w pensjonatach i willach od skromnych do luksusowych, łącznie posiadających ponad 3.500 pokoi. Lato wzywa wszystkich do Ciechocinka-Cieplicy!

EKSPORTOWA PRZETWÓRNIA MIĘSNA Stanisław Jaugusch i Ska, TORUŃ

Telegr.: Jaugusch-Toruń, Telef.: 1433, 1542



E k s p o r t:
trzody chlewnej bitej i żywej,
bekonów, konserw mięsnych
i przetworów mięsnych.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna w kraju:
konserw mięsnych, mięsa, wędlin, smalcu itp.

Własne sklepy detalicznej sprzedaży.



Od Tatr po Bałtyku wody
Wszyscy chwalą PINGWIN lody





Nowoczesne wnętrze cukierni A. Blikle, Nowy Świat 35

O kawiarniach, ploteczkach, miłości i ciastkach

Wiele rzeczy na świecie wiąże się z kawiarnią. Są więc kawiarniane plotki, kawiarniani politycy, kawiarniane nastroje, no i... kawiarniane ciastka. Posłuchajmy, co na ten temat życia współczesnej kawiarni mówi jeden z jego wybitnych znawców, p. Jerzy Blikle.

— Kawiarnie i ludzi kawiarnianych znam dobrze, gdyż od dziecka się im przyglądałem. Sam

nie tylko jestem właścicielem kawiarni, ale ją Kocham i podchodzę do niej nie tylko jako handlowiec, ale jak człowiek bliski.

— Nieraz sam zadawałem sobie pytanie, jak rodzi się plotka kawiarniana. Staje się to na ogół zupełnie po prostu. Kilku panów, którzy przeczytali już pisma, a czują się w kawiarni dobrze i przesiadują w niej czas dłuższy, muszą z ko-

nieczności o czymś mówić. Zazwyczaj tematu dostarcza świeżo przeczytana gazeta, której w pomoc przychodzi fantazja rozmawiających. Każdy coś dorzuci, coś przesadzi i przy marmurowym stoliku rodzi się jakiś dziwny stwór, który z niewiarygodną wprost azykłością obiega miasto, budząc „sensację”. Plotki pań obracają się zazwyczaj w ciałniejszym, bardziej osobistym zakresie. Więc kto z kim kogo zdradził? Jaką suknię miała ta przemila mecenasowa na „herbatce” u doktora? I czy panią X aby stać naprawdę na pięknego łisa?

Ludzie kawiarniani czują się w kawiarni nieraz lepiej, jak u siebie w domu. Kelnerzy znają ich upodobania i obojętnie i starają się w miarę możliwości zadowolić swoich klientów. Na ogół goście kawiarniani, tak zwani goście stałi, dzielą się na pesymistów i optymistów. Pesymista stara się utopić swą rozpacz w pół czarnej, przy której apodyktycznym, nieco zirytowanym głosem wygłasza czarne rozważania o przyszłości. Optymista jest ze wszystkiego zadowolony, zjada najczęściej wiele ciastek i twierdzi, że „wszystko jest jak najlepiej na tym najlepszym ze światów”.

Są jeszcze goście zalatwiający interesy. Ci mają myśl zaprzętą czymś innym, śpieszą się i nie mają czasu. Ostatnim typem są zakochani. Z reguły jedna strona stara się trafić do serca drugiej, wyrażając swoją troskliwość i serdeczność w wyborze ciastek, lodów i napojów chłodzących...

Wiele musimy zużyć nieraz trudu, aby wszystkie te indywidualności o tak różnorodnym usposobieniu czuły się w kawiarni dobrze.

WOLNOBIEGOWE PIASTY HAMULCOWE

A. F. S.

WYRÓB KRAJOWY N A J L E P S Z E

BIURO PODRÓŻY

„**ODOS**”

SP. Z O. O.

WARZAWA, ul. ALBERTA 2
TEL. 228-37

Zalotwanie wszelkich formalności związanych z wyjazdami turystycznymi, handlowymi i grupowymi DO WSZYSTKICH KRAJÓW EUROPEJSKICH I ZAMORSKICH. Paszporty, wizy, bilety kolejowe, okrętowe, lotnicze, miejsca sypialne.

OBSŁUGA FACHOWA

INFORMACJE BZPŁATNIE

WYTWÓRNIA ROWERÓW
I RAM ROWEROWYCH

„**DUREX**”

w/g. projektu kolarza
O. Nieciejowskiego

WARZAWA, ul. Kopińska 17a tel. 999-41

FABRYKA ROWERÓW I MOTOCYKLI

B. WAHREN

S. z o. o.

Warszawa, Leszczyńska 3, tel. 271-25
skład: Św. Krzyska 26, tel. 653-72

poleca rowery damskie, męskie
i dziecięce własnej produkcji.

DLA WSI 3000 ROWERÓW



Zacznieskich - ludowych po 75 zł. Na raty 100 po 10 zł. miesięcznie. Na opał POLSKIEGO RADIA obniżyliśmy cenę wszystkich naszych rowerów o 10 zł. prócz „LUDOWYCH” Ramy „ludowe” są długości 80 cm. jak

dawniejszy „Brennbör” maszynowy i grube z dwuletnią gwarancją piśmienną. Na w innym biegu (Freilauf), kola 28x1 1/4 opony „SAN JK”. Kierownica syst. niemiecki z ręcznym hamulcem (Hebelbremse). Całość b. efektywna i rower całkowicie podobny do rowerów krajów zachodnich. Rowerem tym mogą jechać 3 osoby od razu nie załamię się. Komu się rower nie podoba, a przesyłkę pokryje w obie strony odesłamy pieńiądze (dotychczas rowerów nikt nie zwrócił - dobre). Kto przysła całą należność z góry otrzyma rower natychmiast, bez kolejki. Ilustrowany prospekt DARMO, po nadesłaniu znaczka listowego, zamówić gdzie bliżej i wygodnie!

Fr. AL. PACZKOWSKI-Cieszyń (za Olzą) Mościckiego 2.
Jan KAMIŃSKI — Warszawa, Karolkowa 62.



Min. Ciano z wizytą u gen. Franco

Zjazd rzemiosła polskiego w Częstochowie złożył votum — srebrny ryngraf przed cudownym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej



Z POLSKI I ZE ŚWIATA

Pan Prezydent Rzplitej wziął udział w rozpoczęciu żniw w Spale



ALBRECHT KS. PRUSKI I JEGO ROLA W DZIEJACH POLSKI I NIEMIEC

Postać ostatniego wielkiego mistrza krzyżackiego i pierwszego świeckiego księcia Prus Wschodnich. Albrechta Hohenzollern-Ansbach ściągają na siebie w ostatnich czasach znowu wielkie zainteresowanie historyków. Tak więc przed niedawnym czasem ukazała się dobra polska monografia „Geneza holdu pruskiego“ (Pociechy), dziś znowu ukazuje się niemiecka książka Quednaua o inflanckiej polityce tego księcia, a także artykuł tegoż autora (w ostatnim, 4-tym za r. 1938 zeszycie kwartalnika „Jomsburg“) o niemieckości polityki Albrechta („Die Politik Herzogs Albrechts in Preussen als gesamt-deutsches Problem“).

Problemem sekularyzacji Prus i przekształcenia państwa zakonnego na dziedziczną monarchię protestanckich książąt niemieckich ma bowiem wielkie znaczenie nie tylko dla Polski, dla której stworzył zupełnie nową sytuację polityczną i w następstwie złączenia Prus i Brandenburgii w jednych rękach przyniósł utratę złożytego w XV wieku dostępu do Bałtyku. Niemniej doniosłe znaczenie polityczne ma metamorfoza Prus Wschodnich w życiu Rzeszy Niemieckiej, gdzie zapoczątkowuje ów. tak charakterystyczny dla życia niemieckiego w czasach nowszych, dualizm polityczny i rywalizację Habsburgów z Hohenzollernami.

Aż do początków XVI stulecia było państwo krzyżackie wyłączną domeną wpływu cesarzy. We wszystkich niemal wojnach z Polską korzystał Zakon zawsze z pomocy (przynajmniej dyplomatycznej) Luxemburgów i Habsburgów, był też często łącznikiem między dworem cesarskim a Moskwą. lub separatystycznymi dążnościami Litwinów. Toteż i upadek Zakonu (wojna trzynastoletnia i drugi pokój toruński w r. 1466) przypada w momencie osłabienia cesarstwa pod rządami niedołęznego Fryderyka III: cała zachodnia połać władztwa krzyżackiego odrywa się wtedy od Zakonu i przechodzi pod władzę Kazimierza Jagiellończyka. Z klęski tej państwo krzyżackie nigdy już nie miało się podźwignąć, choć już po kilkudziesięciu latach podjęło w Królewcu kroki, zmierzające do odzyskania dawnej pozycji politycznej i ziem utraconych na rzecz króla polskiego. Miało się to oczywiście dokonać z pomocą cesarza, którym był wówczas rycerski Maksymilian I, oraz przy poparciu książąt wschodnoniemieckich. Dlatego też Krzyżacy starają się w tym czasie powoływać na mistrzów, członków niemieckich dynastii książęcych: w 1497 — Fryderyka sasko-miśnieńskiego, w 1511 — Albrechta brandenburskiego.

W tych warunkach starają się Krzyżacy skleić wielką koalicję przeciw Polsce (oprócz cesarza, Saksonii i Brandenburgii, wejść do niej miała także Moskwa), lecz wielkim mistrzom mimo obietnic pomocy ze strony Rzeszy plany te się nie udają. Habsburgowie zostawiają Zakon na łasce losu, zawierając w 1515 r. umowę z Zygmuntem I (w Wiedniu) i zapewniając sobie następstwo po Jagiellonach (linii starszej) na Węgrzech i w Czechach. Gdy

więc Albrecht w 1519 r. wda się nieopatrznie w wojnę z Polską, będzie całkowicie osamotniony; uratują go tylko kłopoty polityczne Zygmunta Starego, który w 1521 roku przyjmie proponowany przez Krzyżaków rozjem na lat cztery.

Albrecht stara się oczywiście wyzyskać okres zawieszenia broni dla zmontowania nowej koalicji przeciw Jagiellonom. zawiadą go jednak wszyscy dawni sojusznicy



Albrecht von Brandenburg-Ansbach, książę pruski w r. 1528. (Portret pędzla L. Cranacha starszego)

cy i przyjaciele, toteż postanawia on przejść na luteranizm, zerwać całkowicie z dotychczasową polityką i zainaugurować nowy układ stosunków we wschodniej i nadbałtyckiej Europie.

Przyjęcie luteranizmu przez Albrechta, dokonane zresztą z przekonania, było politycznie krokiem bardzo śmiałym i pozabawiało Krzyżaków obu najważniejszych dotąd protektorów: cesarza i papieża. W zamian za to zyskiwał Albrecht jako opiekuna i przyjaciela dotychczasowego największego wroga — polskiego króla. Zygmunta I, który teraz będzie dlań wyrabiał u cesarza zawieszenie banicji. Ta grutowna ewolucja układu stosunków jest może specjalnie charakterystyczna dlatego, że zarówno Zygmunt I, jak i jego główni doradcy (przede wszystkim kanclerz biskup Tomieki oraz Andrzej Krzycki) znani są ze swej zdecydowanej katolickiej antyreformacyjnej działalności, że więc moment polityczny — chęć oderwania Krzyżaków od Habsburgów, przeważał wszelkie myśli o solidarności Polski z cesarzem w zwalczaniu „herezji“.

Mimo zawarcia wieczystego pokoju z Polską (układem krakowskim 1525 r.) nie wyrzeka się Albrecht bynajmniej swych szerszych aspiracji politycznych:

zmierzały one głównie w kierunku Inflant i szły równoległe z linią polityczną Jagiellonów. Inflanty bowiem, rządzone przez związanych z krzyżakami, zakon Kawalerów Mieczowych, nie uległy wraz z Królewem sekularyzacji (mimo silnych od początku prądów luteranickich), a pozostały wiernie cesarzowi. będąc przez to „mieczem Damoklesa“, zawieszonym nad świeżym dziedzictwem Hohenzollernów. Quednau wskazuje, że aspiracje Albrechta zmierzały w kierunku złączenia Inflant z Prusami w swym ręku (o Inflantach myśli książę jeszcze przed układem z Polską, gdy w rokowaniach wzajemnie za zrzeczenie się Prus Królewskich z Gdańskiem żądał Żmudzi, tego pomostu wiodącego ku państwu Kawalerów Mieczowych).

Ośrodkiem, na którym opierała się akcja Albrechta w Inflantach, była przede wszystkim szlachta kurlandzka, w znacznej mierze luteraniska, mająca w kraju wielkie znaczenie, a zniechęca jeszcze większymi przywilejami rycerstwa w państwie ks. Albrechta i w Polsce. Poważnym ułatwieniem prusko-polskiej akcji w Inflantach była osoba arcybiskupa Rygi, Wilhelma brandenburskiego, brata Albrechta. Wilhelm, w tym czasie również zresztą stronnik reformacji popada w zatarg z mistrzem inflanckim Plettenbergiem, który tłumy opozycję, a ustępuje dopiero pod wpływem interwencji Zygmunta Augusta. W czasie walk o Inflanty Albrecht czynnie pomaga Polsce: między innymi dopomaga Zygmunutowi Augustowi w organizacji kaprów, co potem spowodowało zatarg z Gdańskiem (por. artykuł Bodniaka o Albrechcie w Polskim Słowniku Biograficznym); mimo to wszakże z wojny nie wynosi żadnych bezpośrednich korzyści, poza tym, że traci od wschodu niebezpieczne sąsiedztwo sojuszników Habsburgów.

Działalność Albrechta w Inflantach jest głównym ośrodkiem rozważań Quednaua. Autor podchodzi do zagadnienia, szukając w działalności Albrechta jakiejś ogólnoniemieckiej idei narodowej i powołując się na pewne zwroty w pismach Albrechta, stwierdza, iż celem jego było stworzenie nowego państwa niemieckiego w północno-wschodniej Europie. Przy tym wszystkim autor stara się rehabilitować Albrechta w oczach czytelnika, a akcję antyhabsburską i antyinflancką (a propolską) księcia usprawiedliwia opuszczeniem Krzyżaków przez cesarza w dobie walk z Polską.

To aktualizujące podejście autora do zagadnień XVI wieku — mimo prawdziwości cytowanych przez autora zwrotów, w których książę prosi Sejm Rzeszy o opiekę nad „nowymi Niemcami“ („Nova Germania oder Neu Teutschland“) — wskazuje, że mimo gruntownych badań autor nie zdołał wyciągnąć z epoki badanej i wciąż ocenia wszystko z dzisiejszego punktu widzenia. W działalności Albrechta bowiem (tak samo, jak wszystkich innych władców tej epoki) nie istniały niemal momenty narodowej czy językowej solidarności, bardzo silnie natomiast na polityce jego zaciążyły trzy, nierozłącznie ze sobą związane czynniki: wyznaniowy, dynastyczny i socjalno-stanowy.

Gdy mówimy o księciu Albrechcie, to trudno zapomnieć o jego wielkiej roli w

życiu duchowym Polski. Były wielki mistrz Zakonu Panny Marii był bowiem jako książę pruski niezwykle zapalonym misjonarzem protestantyzmu w całej wschodniej Europie i opiekunem wszystkich (nie tylko luteranów zresztą) ewangelików u siebie i na zewnątrz: przyjmował np. i masowo osiedlał w Prusach emigrantów z Czech, t. zw. braci czeskich. Z polskimi stronnikami reformacji utrzymywał bardzo bliskie kontakty; na świeżo otwarty uniwersytet królewicki ściągał studentów-stypendystów, a nawet profesorów-Polaków, a pierwsze polskie druki reformacyjne tłoczone były również w stolicy księcia-misjonarza.

Inna rzecz, że kontakty ks. Albrechta ze szlachtą i nauką polską nie ograniczyły się wyłącznie do protestantów. Obejmowały one szerokie koła doradców królewskich (zwłaszcza z kanclerzem Szydłowieckim i hetmanem Tarnowskim łączyła Albrechta bliska przyjaźń), uczonych, działaczy szlacheckich. W tym wszystkim kryła się oczywiście myśl polityczna; Albrecht spodziewał się zyskać prawo następstwa po wygaśnięciu Jagiellonów (dowodzą tego listy przywódcy szlachty polskiej Rafała Leszczyńskiego do księcia, a zresztą fakt, że Albrecht kazał syna uczyć języka polskiego).

Obok tych wszystkich momentów wyznaniowych i dynastycznych jako ważniejszych od poczucia solidarności narodowej, jeszcze jeden czynnik przemawia też przeciw tezie artykułu Quednaua: były to stosunki społeczno-stanowe. Panowanie Albrechta w Prusach Wschodnich — to okres wzrostu wpływów szlachty pruskiej, która całkowicie opanowuje ster rządów. Ta właśnie szlacheckość polityki wewnętrznej Albrechta (co przejawiało się na przykład w bezwzględnym stłumieniu przez księcia powstania chłopskiego w 1525 roku) zbliżała go bardzo do Polski, przeciwna zaś była systemowi rządów Zakonu krzyżackiego i inflanckiego. Był to moment bardzo istotny, jeśli chodziło o szanse Hohenzollernów do sukcesji po Jagiellonach, zwłaszcza, że w XVI wieku różnica wyznaniowa nie była jeszcze poważną przeszkodą do tronu. Zbliżała poważnie ustrój wewnętrzny Prus Wschodnich do struktury monarchii polsko-jagiellońskiej.

S. G.

PRZED WYJAZDEM NA URLOP

NA WIEŚ
W GÓRY, NAD MORZE

Sz. Prenumeratorki zechcą za wiadomości Administrację naszego pisma (Warszawa, Zgoda 12) a zmianie adresu, by mogli bez przerwy otrzymywać nadal „Tygodnik Ilustrowany” i „Naokoło Świata”.

Zmiana adresu bezpłatnie.

Nowa Siedziba Towarzystwa Zachęty do Hodowli Koni w Polsce — na Służewcu

Stary tor na Mokotowskim polu na skutek zupełnego braku torów treningowych (roboczych) i pod wielu jeszcze innymi względami natury technicznej, nie odpowiadał warunkom hodowlanym państwa o rozgalonej hodowli; pod względem estetycznym pozostawiał też dużo do życzenia, a położony w śródmieściu tamował realizację wielkiego planu rozbudowy stolicy.

Po otrzymaniu przez Towarzystwo odpowiednich kredytów, w czerwcu 1937 r. przystąpiono do wykończenia budowy nowego stołecznego toru. W niespełna 15 miesięcy budowa została zakończona. Dziś stolica posiada nowy tor wyścigowy, odpowiadający warunkom hodowlanym dużego państwa. Pod względem estetycznym nowy tor wyścigowy imponować musi swym ogromem i celowością inwestycji. Z najwyższego wzniesienia tarasu trybuny głównej rozciąga się widok na zieleń torów, parku, kontury ogromnych trybun, budynków mieszkalnych i wspianych stajen.

Obszar nowego osiedla wyścigowego upięszony jest parkiem, sadzawkami i fontannami. Do trybuny głównej przylega parking na 2.000 samochodów. Główny tor polski, zasilający całą elitową krajową hodowlę koni, został wybudowany z rozmachem, z zastosowaniem ulepszeń, które ułatwiają funkcjonowanie techniczne wyścigów. Przestrzeń 145-cio hektarowa, zajęta pod nowy tor, obsiana w dużej części trawami i pięknie rozplanowanym parkiem, stanowi obecnie największy rezerwat świeżego powietrza w stolicy.

Projekty nowego toru wyścigowego na Służewcu wykonał inż. arch. Z. hr. Plater-Zyberk. Kierownikiem budowy był inż. T. Wędrowski. Kierownikiem biura budowy kontr. inż. W. Michniewicz.

Budowę wodociągów i kanalizacji wykonała znana w kraju i za granicą firma M. Łempicki, Sp. Akcyjna, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 15. Tel. 9-89-90.

KORZYSTAJCIE Z AUTOBUSÓW POWIATOWYCH

WARSZAWA — KONSTANCIN
WARSZAWA — ŚRÓDBORÓW
WARSZAWA — K A R C Z E W
WARSZAWA — OKĘCIE (Paluch)

TANIA, SZYBKA, DOKŁADNA KOMUNIKACJA.
PUNKTUALNOŚĆ. KOMFORT.

WISŁĄ do MORZA

Codzienna, regularna, bezpośrednia komunikacja salonowymi statkami
„VISTULA”

Kabiny 2 i 4 osobowe z miejscami sypialnymi

Odejście z Warszawy do Gdyni o godz. 23.30 salonowe
„ „ „ „ 17.30 wycieczkowe

Informacji udziela i zamówienia przyjmuje w Warszawie Kasa Zamawiań S-ki „Vistula”, Mazowiecka 12 tel. 2-16-31 i 6-37-97, oraz wszystkie Oddziały i Agentury Vistuli na linii Wisły. Poza tym wszystkie Oddziały i Agencje Polskiego Biura Podróży „Orbis”, w Warszawie i na prowincji przyjmują zgłoszenia na indywidualne przejazdy oraz organizują wycieczki zbiorowe do Morza. Telefony Orbisu w Warszawie: 999-08, 997-64, 991-19, 264-11, 990-24, 285-87, 11-64-50, 10-29-49 i Centralne Biuro Turystyczne Orbisu tel. 5-47-55.

NIECZYSTOŚCI

skóry

z wszech
wschodni płyn

MIMOSA

PERFECTION

UAB

O NIEBEZPIECZEŃSTWIE GAZOWYM

W związku z sytuacją polityczną specjalne zainteresowanie wśród społeczeństwa budzi zagadnienie ewentualnych nieprzyjacielskich napadów lotniczych, a w szczególności możliwość zastosowania gazów bojowych podczas tych napadów oraz zagadnienie obrony przed skutkami działania bomb gazowych.

Zainteresowanie to przejawia się także i pewnym podnieceniem, gdyż w literaturze powojennej oraz w innych publikacjach, omawiających napady lotniczo-gazowe, znajduje się na ten temat dużo nieścisłości i szkodliwej przesady. Poza tym wiele osób przez niezajomość rzeczy się niepotrzebnie niepokój i zwątpienie we własne siły oraz w zarządzenia władz, organizujących obronę przeciwlotniczą i działających w myśl zarządzeń Inspektora Obrony Powietrznej Państwa.

Jest aż nadto jasnym, iż zapewnienie kogokolwiek, że podczas ewentualnych napadów lotniczych gazy bojowe nie będą w ogóle przez nieprzyjaciela stosowane, byłoby wprost karygodnym. Możliwość stosowania przez nieprzyjaciela gazów bojowych istnieje i z tym trzeba się liczyć poważnie. Ale zakres stosowania tych gazów będzie bardzo niepodobny do tego, co różni pseudofachowcy piszą lub mówią.

Przede wszystkim jeśli chodzi w ogóle o napady lotnicze, to należy stwierdzić, że

niebezpieczeństwo napadów lotniczych nie jednakowo zagraża miastom i osiedlom położonym na obszarze państwa. Najbardziej mogą być zagrożone tylko te miejscowości, które będą stanowiły dla nieprzyjaciela przedmiot specjalnego zainteresowania ze względu na ich znaczenie lub na znajdujące się w nich cele. *Mogą to być tylko większe lub ważniejsze miejscowości.* Inne miejscowości będą mniej lub bardzo mało zagrożone, takich zaś miejscowości będzie znaczna większość na terytorium naszego Państwa.

Jeżeli zaś chodzi o zastosowanie gazów bojowych podczas napadów lotniczych, wykonanych na ważniejsze miasta i osiedla, to można z całą pewnością stwierdzić, że w ogóle *wielkie napady lotnicze, wykonywane tylko celem spowodowania masowego wytrucia mieszkańców miast i osiedli,* są zupełnie nieprawdopodobne i nierealne, a wszelkie wersje o takich napadach należy traktować jako przejawy zbyt wybujałej fantazji.

Bomby gazowe — jeśli w ogóle będą użyte podczas danego nalotu — będą stanowiły tylko pewien niewielki procent ładunku samolotów bombardujących. Będą one zrzucone na miasta ewentualnie tylko dla większego utrudnienia akcji ratowniczej służby obrony przeciwlotniczej, dla odpowiedniego zwiększenia procentu strat w ludziach i materiale, dla zwiększenia



grozy bombardowania wśród ludności cywilnej, oraz dla utrudnienia ruchu w miejscowości lub w obiekcie zbombardowanym.

W rezultacie tego, jeśli nieprzyjacieli zdecyduje się na obrzucenie bombardowanej miejscowości także bombami gazowymi, to choćby była to nawet duża ilość tych bomb, w żadnym razie nie będzie to żadną katastrofą dla mieszkańców tej miejscowości i w żadnym razie nie będzie to miało charakteru jakiegoś masowego trucia wszystkiego, co żyje.

Wiadomym jest powszechnie, że lotnicze bomby gazowe mogą zawierać albo gazy bojowe, które po wybuchu bomby tworzą tylko tak zwany obłok gazowy, posuwający się następnie z wiatrem, albo gazy bojowe, tworzące po wybuchu bomby w miejscu jej upadku tak zwaną plamę chemiczną, z której następnie wytwarzają się opary płynące z wiatrem.

Działanie obłoków gazowych jest zwykle krótkotrwałe, gdyż obłoki takie na otwartej przestrzeni bardzo szybko rozpraszają się, tracąc zabójcze stężenie gazu bojowego i wskutek tego przestają być groźne w bardzo krótkim czasie.

Plamy chemiczne są groźne zasadniczo tylko przy bezpośrednim zetknięciu się z nimi, zaś spod oparów wytwarzających się z plamy chemicznej, bardzo łatwo jest usunąć się, wiedząc, jaki jest kierunek wiatru. Aby zaś opary gazów parzących spowodowały szkodliwe oparzenia powierzchni ciała, trzeba przebywać w nich odpowiednio długo.

Skutki działania bomb gazowych mogą okazać się niebezpieczne przede wszystkim dla osób nie posiadających żadnego środka indywidualnej obrony przeciwgazowej i przebywających podczas bombardowania na otwartej przestrzeni. Dla osób, które podczas bombardowania bombami gazowymi znajdują się w choćby tylko prowizorycznie i niezupełnie doładnie uszczelnionych pomieszczeniach zamkniętych (naturalnie o ile szyby okien nie zostały wybite) niebezpieczeństwo gazowe jest poprostu znikome.

Dla osób natomiast, które podczas bombardowania bombami gazowymi będą znajdowały się w odpowiednio gazoszczelnym pomieszczeniu zabezpieczającym lub w specjalnych schronach przeciwlotniczych, dopóki tylko ponieszczenia te nie są naruszone przez bomby burzące — gazy bojowe nie przedstawiają w ogóle żadnego niebezpieczeństwa, choćby bomb gazowych upadło w pobliżu bardzo wiele.

W. I.

SIR FILIP SIDNEY (1554 — 1586).

SONET 64

*Już nigdy nie radź mi — o nigdy! Daj, niech dalej
Namiętność ma swobodnie swoim torem płynię,
Niech los mię by w najcięższym doświadczy terminie,
Niechaj tłum mędrków zimnych gromy na mnie wali,*

*Niech chmury twarz mą ściemnią, w oczach blask się spuli,
Niech na straconym szlaku ślad mej pracy zginie,
Niech świat imieniu memu wzgardę da w dziedzynie,
Byleś nie chciała, droga, bym zostawał w dali!*

*Ni Arystotelesą mądrość mnie nie nęci,
Ni krwawej mi Cezara wielkość sławy droga,
Ni, że ktoś wyżej zasiadł, zajrzeć nie mam chęci.*

*Jedna mi tu nadzieja i jedna mi droga:
Może poruszę z czasem litość w sercu twojem —
Tyś karmią myśli mojej, tyś mocy mej zdrojem!*

Tłumaczył Gustaw Wolff (Profanus)

NAJMILSZE MIEJSCE
SPOTKAŃ ELITY
WARSZAWY TO:

WYTWORNA KAWIARNIA
MONCAFÉ

Al. Jerozolimska 16

Letnisko Falenica

Wśród iglastych lasów, oplecionych łożyskiem Wisły i nurtami ku niej biegnącego Świdra leży gmina Falenica ze swoimi dziewiętnastu osiedlami — Dębinka, Zamładz, Rycice, Świder, Świdry Małe, Emilianów, Jarosław, Józefów, Michalin, Miedzeszyn, Radość, Zbójna Góra itd.

Urokiem swego niezwykle pięknego położenia owiane balsamiczną atmosferą szpilkowych drzew i kwiecistych łąk, miejscowości te wabią każdego, kto zmęczony nerwowym życiem stolicy chce choć na krótko zapomnieć o wszystkim — choć przełotnie wehłnąć to, co się zowie radością życia. Czego hojna i dobra natura dać już więcej nie mogła — uzupełniła tu ręka ludzka. Piękne pensjonaty, stylowe wille, komfortowo urządzone, nie ustępujące luksusowym krajowym letniskom — przy bardzo umiarkowanych cenach, dają najszere-



Falenica — kościół parafialny

zym masom inteligencji możliwość naprawdę zdrowego wypoczynku letniego. Autostrada na linii Warszawa — Otwock — Śródborów, dla połączeń autobusowych, państwowa kolej elektryczna i kolejka dojazdowa i szosa Wawer — Falenica, zapewniają wygodną, szybką oraz bezpośrednią komunikację z Warszawą, co zwłaszcza dla pp. urzędników ma poważne znaczenie. Dla rodzin prowadzących na letnisku gospodarstwo we własnym zakresie liczne miejscowe zakłady aprowizacyjne dostarczają codziennie świeżych produktów po cenach warszawskich. Gmina Falenica nie pobierając taksy kuracyjnej, nie dopuszcza też do otwierania zakładów leczniczych dla chorych i rezerwując swoje tereny wyłącznie jako miejsca wypoczynkowe, dokłada bez przerwy najenergiczniejszych starań by każdemu w jej granicach było jak najmilej, jak najlepiej i aby każdy, kto raz w jej progi zlądził rzucił na pożegnanie — wrócić tu z pewnością.

MOD PITY 87

PIERWSZORZĘDNY PENSJONAT
Z. GUMIŃSKIEJ
w Świdrze, Piękna Nr 1
Tel. własny: Otwock 53-12
Czynny cały rok. — Tylko dla chrześcijan.

PENSJONAT
ANULKA (wł. J. Blech.)
Świder, Zaciszne 16, tel. 53-87
Wygoda — komfort, uroczyste położenie
iglastych lasów z własną plażą
20 minut drogi od Warszawy.

„SŁONECZNA”
Świder, Pierackiego 9.
TEL. OTWOCK II — Nr. 55-18.

pierwszorządny pensjonat czynny cały rok. Pod osobistym zarządkiem właścicielki. Położenie piękne, wśród lasu sosnowego na najwyższym miejscu ŚWIDRA, w pobliżu rzeki.

„ZIELENIEC”
Świder, ul. Fosnowa 11, tel. Otwock 52-64
Czynny cały rok. Pod zarządkiem Marii Ryłkiej

Las, własna plaża, leżalnia. Ogród-park Biblioteka. Sala brydz. Nowoczesne wygody. W pokojach woda bieżąca zimna i gorąca.

U W A G A
P. P.
Automobiliści



10 minut
od Pl. Unii
Lubelskiej

Gabinety

W uroczej miejscowości obramowanej zielenią z najdziecie

„JAR” w Pyrach
najwykwintniejszy lokal podstołeczny

Kuchnia dla smakoszy. — — | miła i kulturalna atmosfera
— — Piękny ogród. — — | — — Ceny przystępne — —

DOBOROWA ORKIESTRA

Tel. Pyry 64

**WINIARNIA
POD KRZYWĄ
LATARNIĄ
PODWALE 25**

RESTAURACJA — DANCING
czynna codziennie od 10-ej
wieczorem do rana.

LUKSUSOWY PENSJONAT
„LELIWA” w KONSTANCINIE
TELEFON 23-66

poleca komfortowe pokoje z bieżącą zimną i gorącą wodą,
wykwintnym utrzymaniem, pięknie położony, dojazd
autobusami i Kolejką dojazdową.

KONSTANCIN
Café Restaurant w Parku.

„CASINO”

== Gabinety — Dancng towarzyski — Znakomita kuchnia. ==

Przyjmuje zamówienia:

Telefon Nr 21-28.

Orkiestra pod dyr.

T. Zielińskiego

NIE CZEKAĆ NA CUD, KTÓRY STAĆ SIĘ NIE MOŻE

Pragnąc wszechstronnie oświetlić bolączki rowerowe w Polsce, podajemy poniżej wywiad z prezesem Grupy Fabryk i Części Rowerowych inż. Henrykiem Landauem.

— Chce pan słyszeć o naszych bolączkach?— zaczyna prezes Landau.

— Bardzo chętnie, bo sytuacja, która wytworzyła się w chwili obecnej na rynku rowerowym w Polsce, jest co najmniej niewesoła. Jest faktem niezaprzeczonym, że kolarstwo nasze stoi niżej, aniżeli w innych krajach europejskich, pomijając nawet tak jaskrawe przykłady, jak Dania czy Holandia. Wypływa to prawdopodobnie ze zbyt małego uświadomienia w społeczeństwie użyteczności roweru, jako praktycznego i dla wielu osób niezastąpionego środka komunikacyjnego, oraz może również z nieco wygórowanej ceny.

Uderzono na alarm. Jest źle, bardzo źle, musimy pchnąć rozwój naszego kolarstwa. Najlepszą propagandą będzie tania cena. Stworzymy rower dla wsi. Cena jego nie może przekraczać zł 70,—.

Centralne Towarzystwo Organizacji Kółek Rolniczych podjęło przy udziale Komitetu dla Spraw Kultury Wsi energiczną akcję w tym kierunku. Poczyniono specjalne zamówienia w kilku fabrykach, produkując kilka tysięcy rowerów, wprawdzie nie 70-cio złotych, ale w cenie zł 93,— do zł 98,—.

Akcji tej towarzyszyła dość intensywna propaganda. Prasa i Radio poczęły wolnie radośnie, że to dopiero pierwszy krok, że

mamy już tani rower,

że będzie jeszcze lepiej. Kończono oczywiście apel, aby kupować kupować rowery.

I stała się rzecz trochę nieoczekiwana dla działających w najlepszej wierze propagatorów. Zamiast kupować coraz więcej rowerów, większa część nabywców zaczęła powstrzymywać się od kupna.

Słychać było mniej więcej takie rozmówki:

— Chcesz kupić rower? Poczekaj, będzie tańszy.

— Ale słyszałem, że są już rowery po zł 70,—.

— To nic, będziemy mieli rowery po zł 70,— a może po zł 50. Trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość.

Tymczasem cena zł 70,— za dobry rower — śmiałem twierdzić — w chwili obecnej jest wręcz fantastyczna i niemożliwa do zrealizowania. Od kilku lat przeciętny zbyt rowerów wahał się około sumy 250.000 rowerów, a więc roczna produkcja kilku tysięcy rowerów „dla wsi” nie powinna mieć wpływu na rynek.

Stało się jednak niestety, zupełnie inaczej. Niewłaściwie zorganizowana propaganda zasugerowała opinię publiczną i ludzie czekają, czekają na coś, co w chwili obecnej nie może się zrealizować.

Przykłady amerykańskie wykazały jasno, że podstawowym warunkiem taniości jest masowa produkcja. Tymczasem spada ona z dnia na dzień, a ludzie czekają na cud, który nie nadchodzi i najdłużej nie może.

Pamiętać należy, że kolarstwo jest pionierem motoryzacji. Człowiek, który długo jeździ na rowerze, zaczyna marzyć o motocyklu, a później o samochodzie.

Ponadto poza sportowo-turystycznym znaczeniem rower posiada wartość czysto praktyczną. Tysiące robotników i chłopów mogłyby się przyzwyczaić do używania roweru. Toteż sprawa rozwoju kolarstwa polskiego i motoryzacji ma dla Państwa doniosłe znaczenie.

Jeżeli chcemy mieć naprawdę tanie i dobre rowery, należy bez zwłoki je kupować, gdyż z powodu wysokich cen surowców, przy obecnej skali produkcji cena roweru już dalej spaść nie może.

Bóle artretyczne reumatyczne podagryczne

najwięcej dokuczają na zmianę pogody, w czasie zimna, śloty i niepogody. Nieznosnymi wtedy stają się bóle w stawach, kościach, mięśniach, powstają bolesne obrzmienia, chodzenie, a nawet poruszanie się bywa utrudnione. Ciężpienia te powstają skutkiem nagromadzenia się kwasu moczowego w ustroju i jeżeli nie będą racjonalnie zwalczane, będą się zwiększać, aż wreszcie na stałe przykują do łóżka. W tych wypadkach stosuje się wewnętrzny lek „UREMOSAN” GAŚECKIEGO, który rozpuszczając kwas moczowy w organizmie, wywołuje obfite wydzielanie się takowego wraz z moczem i współdziała z ustrojem w walce jego z artretyzmem, reumatyzmem, podagrą ischiasem, kamicą nerkową oraz złą przemianą materii.

Oryginalny „UREMOSAN” GAŚECKIEGO do nabycia w aptekach.



CUKIERNIA I KAWIARNIA
L. MYTKOWSKI SRA
WARSZAWA
ul. CHMIELNA 50 róg Wielkiej
(vis-avis Dw. Głównego)
ul. PIUSA XI róg Mokotowskiej



PODRÓŻUJ
LOTEM

NAJWIĘKSZE ZDROJOWISKO SOLANKOWE z radiocynną solanką termalną CIECHOCINEK

Największy basen termalny z ciepłymi kąpielami morskimi i plażą 20 000 m. kw.

Leczy skutecznie: artretyzm, reumatyzm, otyłość, cukrzycę, choroby kobiece, choroby górnego odcinka dróg oddechowych. Wzmacnia i hartuje nadwątlone organizmy dzieci i dorosłych.

Informacyj udziela: Państwowy Zakład i Komisja Zdrojowa w Ciechocinku oraz Związek Uzdrawisk w Warszawie, ul. Pierackiego Nr 16a tel. 530 - 38

Wszystkie rowery marki „ORMONDE” posiadają następujące zalety:

1. estetyczny wygląd
2. lekki chód
3. mocną konstrukcję
4. ramę z rur ciągnionych z tłoczonymi łącznikami lutowanymi na mosiądź
5. emalię piecową z paskami i strzałkami, wypaloną do 200 st.
6. widełki przednie płatkowe z t. zw. wzmacniaczami,
7. widełki tylne proste, drabinkowe,
8. mechanizm pedałowy uszczelniony od kurzu, miski wkręcane s. B. S. A.
9. korby o tryb. łańcuchowy, stalowy na kliny,
10. hamulec automatyczny nożny,
11. kierownik odwracalny o pięknej linii, chromowany,
12. 4-ry rączki na kierownik,
13. pedały z gumkami,
14. pompkę i torbękę z narzędziami,
15. dzwonek,
16. błotniki pod kolor ramy z paskami,
17. wszystkie części chromowane,
18. rower jest wyposażony w gumy balonowe,
19. rower jest przystosowany do 2-u wymiarów gum: balony i pół balony,
20. gwarancję piśmienną dwuletnią.

Amerykanie chcą wiedzieć o Otwocku, uzdrowisku klimatycznym, idealnej miejscowości weekendowej

— Ależ to niemożliwe, że nie u nas w Ameryce o Otwocku nie wiadomo.

— Niezupnie kolezę rozumiem. Jak to u was w Ameryce?

— Rzecz prosta. Takie wymarzone uzdrowisko nizinne, precyzyjnie urządzone. Z rozmachem amerykańskim, a finezją europejską. O tym powinni się pisać, pisać, pisać. Wyznam koledze, że wyjeżdżam z Otwocka zachwycony.

Rozmowa powyższa toczyła się podczas jednego z ad hoc zorganizowanych week-end'ów z jednym z amerykańskich kolegów dziennikarzy, przedstawicielem czołowego dziennika nowojorskiego.

Zawstydzony uwagą amerykańskiego kolegi, pragnąc rzucić kilka uwag o jednym z wzorowych podstolecznych uzdrowisk, które naprawdę zasługuje na to, ażeby o nim jak najwięcej mówiono.



Kasyno w Otwocku

Jednym z największych walorów Otwocka jest suchy klimat okolicznych lasów. Wiedzano już o nich od dawna; wybitny artysta malarz ilustrator Michał Elwiro Andriolli, który, choć z ojca Włocha urodzony, umiłował ojczyznę matki, poświęcił cały cykl swojej twórczości Otwockowi. Nabył on na lewym brzegu Świdra parowłokowy obszar lasu i tu zbudował mały domeczek dla siebie, a następnie już kilka innych, przeznaczonych dla letników. Pomysł okazał się szczególnie szczęśliwy. W r. 1885 nowoprzeznaczona linia kolei żelaznych przecina gęstwinę leśną w Otwocku, gdzie powstaje przystanek. Zachęceni dobrym przykładem Włocha, przedsiębiorcy zaczęli z roku na rok budować coraz liczniejsze domki drewniane i wille, tak że w krótkim czasie utworzyła się pokaźna osada letniskowa. Świat

lekarski, przekonawszy się o nadzwyczajnych zaletach otwockiego klimatu, zaczyna tam kierować coraz częściej przede wszystkim osoby chore na płuca. Wartość letniczą Otwocka ocenił należycie znakomity lekarz polski prof. dr Alfred Sokolowski popularyzator leczenia klimatycznego chorób płucnych. Obalił on błędne mniemanie o wyższości klimatu górskiego dla chorych płucnych, dowodząc doświadczalnie, iż w dobrych warunkach nizinnych choroby płucne mogą być również skutecznie leczone w kraju, jak w słynnych wszechświatowych stacjach klimatycznych. Dr Sokolowski zwrócił uwagę na szczególnie korzystne warunki Otwocka i od tej pory datuje się rozwój tej miejscowości jako renomowanej stacji klimatycznej, przywracającej zdrowie nawet tym, którzy zupełnie już w swe ocalenie wątpili.

Dziś Otwock jest już w kraju dobrze, nawet bardzo dobrze znany, a to, że cudzoziemcy zaczynają wnosić pretensje, iż zagranica wie za mało o tym uzdrowisku, jest już li tylko winą naszej propagandy. Widocznym symbolem wysokiej wartości leczniczej Otwocka jest sosna. Nie spotykany gdzie indziej olbrzymi rezerwat leśny o aromatycznym podszyciu jałowcowym, rosnącym na bardzo chłonnej glebie grupiaszczystej, sprawia że powietrze w Otwocku jest suche, wolne od kurzu i wszelkich szkodliwych dla zdrowia wyziewów.

W r. 1918 Otwock zostaje miastem, a w r. 1924 władze urzędowe uznają go za uzdrowisko o charakterze użyteczności publicznej. Obecnie Otwock rządzony jest jako miasto przez samorząd miejski, osobno zaś urzędują władze klimatyczne, od tego miasta niezależne. Władzom miejskim i uzdrowiskowym przewodniczy jedna osoba, p. Jan Gadomski. Ten ustrój gwarantuje koordynację wszystkich czynników.

Otwock posiada dzisiaj gęstą sieć bruków i chodników, a gdy własna elektrownia przestała dostarczać prądu, wybudowano stację transformatorową, czerpiącą prąd o sile 35.000 voltów z podstacji elektrycznej P. K. P., oraz nową sieć rozprzewadżającą, zapewniającą uzdrowisku oświetlenie. Rozpoczęto również energiczną rozbudowę kanalizacji i wodociągów, częściowo już czynnych.

Prawdziwą ozdobą Otwocka jest okazały gmach kasyna, znajdujący się w parku o powierzchni 8 hektarów. Koncentruje się tu życie towarzyskie uzdrowiska. Sale koncertowe, teatralne, dancinowe stwarzają niezwykle miłą atmosferę, w której kuracjusze i letnicy czują się znakomicie.

Dziś już nie podobna mówić o Otwocku jedynie jako o uzdrowisku. Jego wyjątkowe położenie, bliskość od stolicy, niezwyczajna nowoczesność urządzeń stworzyły z miejscowości tej wymarzony ośrodek weekendowy i wypoczynkowy. Pensjonaty urządzone luksusowo, z bieżącą ciepłą i zimną wodą, łazienkami i tarasami zapewniają przyjezdnym maksimum wygód i za-



Zarząd miejski w Otwocku

dowolenia z pobytu. Na komunikację również nie można się skarżyć, gdyż Otwock łączy ze stolicą około 70 pociągów elektrycznych dziennie, nadto zaś autobusy i kolejka.

Szczupłe ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na rozwinięcie rysu historycznego tego miasta. Zaznaczyć tylko należy, że za panowania króla Jana III u schyłku XVII wieku późniejszy wielki marszałek koronny wznosił w swych dobrach Otwock Wielki, okazały zamek nad brzegiem jeziora wśród dziewiczych prawie lasów, i otacza go pięknym parkiem z głębokimi fosami. August II Mocny przebywał często w Otwocku z postami: angielskim, holenderskim i rosyjskim, oczekując wyniku poselstwa od zwycięskiego jeszcze wówczas na wszystkich frontach wojny szwedzkiej Karola XII. Od czasu tego datuje się właściwe istnienie Otwocka.

O Hotelu F. F. w Śródborowie

Problem hotelarstwa w Polsce oddawna pozostawał wiele do życzenia. Jaskrawym dowodem tego jest fakt, iż dotychczas nie mieliśmy i nawet nie mamy w stolicy ani jednego hotelu, oznaczonego w przewodnikach międzynarodowych, jako luksusowe. Istniejące pierwszorzędne hotele sygnalizowane są jako hotele I klasy. Dopiero jeden z pensjonatów w Krynicy uzyskał miano placówki luksusowej.

Z przyjemnością sygnalizujemy, że w budowie jest pod samą Warszawą w Śródborowie drugi z kolei hotel-pensjonat tego typu. Będzie on niezawodnie ostatnim słowem techniki i komfortu. Wielkie przestronne hale, salony, jadalnie, sale dancinowe, tarasy kryte i otwarte, boisko sportowe — składają się na całość, przewyższającą nawet wzory zagraniczne. Wielopiętrowa budowla o wygodnych słonecznych pokojach z wodą bieżącą, telefonami i łazienkami, jadalnia na 1.000 osób zaspokoi wymagania nawet najbardziej wybrednych turystów zagranicznych.

Hotel buduje firma B-cia Front w W-wie.

NAJPIĘKNIEJSZY LOKAL PODMIEJSKI
KAWIARNIA-RESTAURACJA
KASYN O
W OTWOCKU
 Al. Marszałka Rydza Smigłego tel. 53-00
 czynna cały rok
 Doborowa Kuchnia. Dancing towarzyski

PENSJONAT POLSKI
Marli Inatowicz-Łubiańskiej
W OTWOCKU,
 ul. Żeromskiego 6 Telefon: Otwock-50-82

KOMFORTOWY PENSJONAT
„SOSNÓWKA”
 (właśc. Bielawce)
 Śródborów, Aleja Niepodległości, tel. 54-92
 25 pokoi, ciepła i zimna woda, tarasy.

INSTYTUT WÓD
MINERALNYCH I FABRYKA
NAPOI GAZOWYCH

Magistra Farm. W. PODOLSKIEGO
W OTWOCKU, ul. Kościuszki 3, tel 51-63

PENSJONAT
„NOWY DWOREK”
W ŚWIDRZE,
TEL: OTWOCK 51-86



UZDROWISKO I ZAKŁAD LECZNICZO-DJETETYCZNY

A. GÓREWICZA
W OTWOCKU

jest idealnym miejscem wypoczynkowym.

„SRÓDBOROWIANKA”

Zakład wypoczynkowy w Śródborowie, tel. 53-92 ■ Stacja klimatyczna
 (Pierwszy przyst. kol. za Otwockiem) Autostradą 30 minut od Warszawy
 — NAJWYŻSZY KOMFORT —

„ZDRÓJ”
Tel. podm. II Nr 63-18

Z. ZAŁUSKIEJ
 JÓZEFÓW
 przy koleje.

Kuchnia pierwszorzędna, ceny umiarkowane
 Blisko Wisły, Świdra, autostrady.
 Willa zelektryfikowana, skanalizowana.

Zagadnienia komunikacyjne miejscowości podwarszawskich

Na ogół biorąc, komunikacja m. st. Warszawy z osiedlami podmiejskimi i lotniskowymi jest zadawalająca. Zwłaszcza dotyczy to linii otwockiej, posiadającej aż 3 zasadnicze środki komunikacyjne, a mianowicie: kolej podmiejską szerokotorową elektryczną, autobusy powiatowe i wąskotorową kolejkę dojazdową. Sprawność pierwszych 2-ch wymienionych środków komunikacji stoi na bardzo wysokim poziomie. Natomiast wielkie dyskusje wywołuje działalność i prace kolejek dojazdowych, znajdujących się już od szeregu lat pod ostrzałem opinii publicznej, sfer zainteresowanych itp.

W 1935 roku kolejki prowadziły proces z Zarządem m. st. Warszawy, usiłującym eksmitować kolejkę z terenu Wielkiej Warszawy. Po upływie pewnego czasu spór sądowy został rozstrzygnięty na niekorzyść kolejek, których dwie linie, a mianowicie: Wilanowską i Grójecką usunięto z granic naszego miasta.

Ministerstwo Komunikacji, jako koncesjonariusz, zażądało wykonania całego szeregu inwestycji i przez pewien czas była mowa nawet o elektryfikacji, co ze względów materialnych okazało się niewykonalne. Natomiast problem unowocześnienia popularnych „samowarek” został rozstrzygnięty drogą motoryzacji. W obecnej chwili kolejka Grójecka jest całkowicie zmotoryzowana: w 90% zmotoryzowana jest również kolejka Wilanowska i tylko najbardziej ruchliwa linia Warszawa—Otwock posiada jeszcze przestarzałe „samowarki”. Jeśli zważyć, że jednak takie same „samowarki” istnieją jeszcze w całym szeregu państw zachodniej Europy, wydawać by się mogło, iż da-

żenia właściwych czynników winny się sprowadzać do unowocześnienia taboru.

Likwidacja komunikacji już istniejącej wydaje się w każdym razie niecelowa; żywotny interes osiedli i lotnisk podwarszawskich wymaga poza wszelkim sporem utrzymania działalności Warszawskich Kolejek Dojazdowych. Utwierdza nas w tym przekonaniu olbrzymia frekwencja pasażerów nawet na takiej linii, jak Warszawa—Otwock, która posiada 2 nowoczesne środki komunikacyjne.

Sądymy, że spór, w istotę którego wchodzi nie zamierzamy, rozstrzygnięty będzie ku zadowoleniu licznych rzesz, zamieszkujących osiedla podwarszawskie, i rozstrzygnięty będzie w kierunku zachowania kolejki przy jednoczesnym jej unowocześnieniu.

Hotel „Bristol” w Warszawie



PRZEMYSŁ ROWEROWY W POLSCE

Zasadniczą bolączką naszego przemysłu rowerowego jest powszechne przekonanie społeczeństwa, pokutujące do dziś, iż rower jest luksusem, nie zaś, jak być powinno, przedmiotem powszechnego użytku. Jedynie na Pomorzu, w Poznańskim i na Śląsku rowery już od dawna cieszą się wielką popularnością

Tymczasem cena rowerów w Polsce jest mniej więcej taka sama, jak za granicą. Trudno więc pogodzić się z tym, że stan taboru rowerowego naszego kraju pozostaje w tyle w stosunku do innych Państw. W Niemczech np. ogólny stan taboru rowerowego wynosi około 18 milionów sztuk, podczas gdy w Polsce ilość ich zaledwie przekroczyła milion.

Roweryzacja w żadnym wypadku nie koliduje z tak ważną z punktu widzenia obronności Państwa i poziomu kulturalnego motoryzacją. Praktyka bowiem wykazuje, że intensywne roweryzacja poprzedza rozwój motoryzacji. Ponadto motoryzacja nie wyklucza roweryzacji, gdyż, jak widzimy np. w Ameryce, popyt na luksusowe rowery wśród posiadaczy najwykwintniejszych samochodów jest olbrzymi. Nierzadko cena takiego luksusowo wykonanego roweru przewyższa nawet cenę samochodu.

Zważywszy, iż chłonność naszego rynku bezsprzecznie sięga cyfry 5 — 6 milionów sztuk, a posiadamy ich tylko 1 milion, możemy ustalić przyczyny, hamujące wzrost taboru rowerowego w Polsce. Jedną z nich jest brak kredytów bankowych, umożliwiających daleko idącą sprzedaż ratową. Poza tym nie bez znaczenia jest ogólna sytuacja materialna i pewien brak obowiązkowości wśród nabywców w wykonaniu przyjętych zobowiązań.

Stwierdzić należy olbrzymie zainteresowanie w ostatnich czasach rowerem ze strony ludności robotniczej oraz włościańskiej chętne korzystającej z tego nadzwyczaj dogodnego i taniego środka komunikacji.

K. L.

Czy jesteś
członkiem L. O. P. P.

KRÓLOWA MODY LETNIEJ



P. Nina Świerczewska została wybrana Królową Mody Letniej na dorocznym festynie Związku Autorów Dramatycznych w Salonach Hotelu Europejskiego.

Toalety Królowej Mody Letniej pochodzą z firmy Boguchwał Myszkorowski i S-ka (Mazowiecka 1). Ostatnio w firmie tej poczyniły zakupy Księżniczki Albańskie, siostry Króla Zogu.

U PANA KAZIMIERZA W BAGATELI

Lato w pełni... Skwar... rozpalone złoto z nieba upiększa szare zazwyczaj dni stolicy, ale... zmusza również do szukania wypoczynku wśród drzew i cienia. Takim właśnie miejscem jest pięknie urządzone ogród-kawiarnia p. Kazimierza Dakowskiego w Bagateli.

Tu znużony upałem znaleźć przed znojnym słońcem schronienie, a przy znakomitym koncercie orkiestry wypocznie rozkoszując się czystym powietrzem. Ogródek p. Dakowskiego ma swoją tradycję i to zaszczytną tradycję.

Tu w okresie zmagania o niepodległość niezrędkimi gośćmi byh czołowi działacze tego okresu omawiający poważne sprawy — tu też znajdowali schronienie i miejsce narad — kryjący się przed argusowym okiem okupantów młodzi zapaleńcy — pod czujną opieką p. Kazimierza czuli się bezpieczni.

Dalej w późniejszym okresie Bagatela znów służy szukającym godziwej rozrywki. Pokolenia się już przewinęły przez te gościnne progi, w których goście czują się jak w domu.

Pohyt w ogródku obecnie znacznie rozszerzonym i uporządkowanym umilają dwukrotnie w ciągu dnia koncerty i tańce towarzyskie. Toteż rojno i wesoło jest zawsze w Bagateli, bo tu jest słońce, moc świeżego powietrza, jest i starodrzew łagodzący spiekotę upalnego lata, dużo kwiatów, godziwa rozrywka, no i... wysmienite potrawy i lody.

Investycje w Inowrocławiu

W zdrojowisku inowrocławskim zaprowadza się stale pewne ulepszenia i innowacje. Dość powiedzieć, że z początkiem bieżącego sezonu urządzono bardziej komfortowo łaźienki do kąpiel solankowych, niebawem nastąpi rozszerzenie pewnych oddziałów lecznictwa borowinowego, a może już za rok miasto przystąpi do budowy wspaniałego, nowoczesnego zakładu zdrojowego z własnymi oddziałami kąpiel leczniczych.

W tych dniach oddano również do dyspozycji kuracjuszy pokoje towarzyskie mieszczące się na pierwszym piętrze gmachu administracji zdrojowiska. Pokoje elegancko urządzone, ze specjalnymi stolikami do bridge'a otwarte są przez cały dzień bez przerwy. Karty do gry otrzymać można każdego czasu w kancelarii zdrojowiska za opłatą 50 gr. od osoby.

Miłośnicy różnych gier w karty otwarcie pokoi towarzyskich przyjmują do wiadomości niewątpliwie z zadowoleniem.

RESTAURACJA KASYNA W ANINIE

czynna przez cały rok

Pod Zarządem
LEONA WIWEGERA
tel. II podm. 81-18.

LUKSUSOWY PENSJONAT „KAZIMIERA”

w ANINIE, ul. Pierwsza
Poprzeczna 12, woda
blejąca w każdym pokoju.

Wykwintna kuchnia — Ceny przystępne

PENSJONAT

ANNY ENDELMAN-WIDAWEROWEJ

PIASECZNO, ŚWIĘTOJAŃSKA Nr 25
telefon 02, Piaseczno 70-16 lub Warszawa 997-28

WEEK'ENDY: Śliczne położenie, duży teren, piękny las, miłe towarzystwo, doskonała kuchnia, słoneczne pokoje. Dwudziestominut. komunikacja z Warszawą.

Dla dzieci opieka fachowych sił wych.

RESTAURACJA 1 KLASY JÓZEFA NIEGÓDZIŃSKIEGO

„Willanów”

Wiekowa tradycja.
Wykwintna Kuchnia.
Świeże powietrze.
Dobre towarzystwo.

Czynią z niej najprzyjemniejsze
miejsce wypoczynku

Z Teatru Wielkiego

„Kobiety polskie na samoloty dla Armii”



P. generałowa Orlicz-Dreszerowa i pp. pułkownikostwo Strzelcecy

Dnia 6 lipca odbył się „Wielki Wieczór Wołkano-Tanechny” pod protektoratem gen. broni inż. Leona Berbeckiego, z którego dochód przeznaczono na Fon. Koncert ten uświetniła swoim występem p. gen. Elwina Orlicz-Dreszerowa znakomita śpiewaczka scen amerykańskich, którą komitet „Kobiety Polskie na Samoloty dla Armii” wybrał na v. przewodniczącą komitetu oddziału imprez, propagandy i zbiórki pieniężnej na Amerykę.

Atrakcją wieczoru były arie, pieśni i numery śpiewno-gwizdane p. Orlicz-Dreszerowej. W osobie tej artystki łączy się wiele uzdolnień — p. Dreszerowa śpiewa i gwizdże jak słowik, wykazując przy tym niezwykłą muzykalność i finezję we frazowaniu. Każde jej ukazanie się na scenie budzi zachwyt publiczności, a kiedy gwizdże, cała sala jest pod urokiem. Poza wrodzonym wdziękiem p. Dreszerowa posiada piękny głos i wysokiej klasy kunszt śpiewaczy, który wykazała w „Le nozze de Figaro” Mozarta i arii Luizy Charpentier'a oraz w angielskich pieśniach Wintera, Charles'a. Clutson'a i Bassett'a. W części choreograficznej wzięły udział najwybitniejsze siły polskiego baletu: pp. B. Bittnerówna, J. Grodzicka, S. Stanisławska, H. Bauska, P. Gobińska, Wierzbicki oraz mistrz Sobiszewski, świetny w Kujawiaku z p. Bauską. Akompaniował artystycznie prof. Urstein. Koncert ten poza wzniosłym celem pomocy dla Armii miał charakter szczególnie uroczysty i był jednocześnie pożegnaniem p. generałowej Orlicz-Dreszerowej, która udaje się do Ameryki z występami na Fon. W przyszłym miesiącu p. generałowa da szereg koncertów w Waszyngtonie, Chicago, Detroit i innych miejscowościach.





PARK i PAŁAC ZABYTKOWY W WILLANOWIE

z namiotem tureckim Jana III
Sobieskiego. Otwarty dla zwie-
dzających codziennie od g. 9⁰⁰
do zmroku bez przerwy.



SANATORIUM „EXCELSIOR” W IWONICZU ZDROJU

„ZDROJOWISKA PAŃSTWOWE”

BIURO SPRZEDAŻY PRODUKTÓW PAŃSTWOWYCH ZAKŁADÓW ZDROJOWYCH

WARSZAWA I, KRAKOWSKIE - PRZEDMIEŚCIE 11

TEL. 2-69-68

KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr 30.103

POLECA:

Wody mineralne (świeżego czerpania) sole, szlamy,
ługi do kąpieli, borowiny, okłady, preparaty
igłiwiowe — wyłącznie ze zdrojowisk krajowych.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna.

Informacje o Zdrojowiskach Państwowych.



MORSZYN-ZDRÓJ

JEDYNE W POLSCE ŹRÓDŁO WÓD GORZKICH O NIE-
DOŚCIĄGNIĘTEJ SKUTECZNOŚCI LECZENIA. EUROPEJ-
SKI KOMFORT URZĄDZEŃ, OPIEKA SPECJALISTÓW.

Sezon główny od 1 lipca do 31 sierpnia

Informacje: Zarząd Zdroju i Biura:
„Orbis”, „Wagons Lits Cook” i „PAR”.



PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIĘSCIOWYM I MIES. „NAOKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:

miesięcznie	zł 6.—
z dostarczeniem do domu	zł 6.50
kwartalnie	zł 17.50
z dostarczeniem do domu	zł 19.—
rocznie	zł 66.—
z dostarczeniem do domu	zł 74.—

NA PROWINCJI:

miesięcznie	zł 6.50
kwartalnie	zł 19.—
rocznie	zł 74.—

ZA GRANICĄ:

miesięcznie	zł 8.50
kwartalnie	zł 25.—
rocznie	zł 94.—
Zmiana adresu	zł 0.50

Konto Pocztovej Kasy Oszczędności Nr 143

Redakcja nie zwraca niezamówionych rękopisów.

CENNIK OGŁOSZEŃ Str. 1/1 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/3 — 250 zł, 1/4 — 150 zł, 1/6 — 100 zł, — za exp. wiersz. milimetry, lub jego miejsce PRZED I ZA TEKSTIM: 1,50 zł. Bilanse, artykuły opiewowe, układy tabelaryczne, 1 str. okładki i miejsce zarezerwowane 50% dzie

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P.K.O. 143.

Program Polskiego Radia

Od dn. 23 VII. do dn. 29 VII. 1939

Niedziela — dn. 23.VII.

7.00: Audycja poranna. 8.15: Koncert popularny muzyki polsk. w wyk. ork. Mar. Woj. z Gdyni. 9.00: Nabożeństwo z Kościoła OO. Franciszkanów w Warszawie. 12.03: Poranek muzyczny. 13.15: Muzyka obiadowa z Poznania. 14.45: „Czytamy Mickiewicza“ — „Pan Tadeusz“, Księga II. 15.00: Audycja dla wsi. 16.30: Hiszpańska muzyka fortepianowa w wyk. Edm. Röslera. 16.55: Duety operowe na dwa soprały — ze Lwowa. 17.15: Felieton podróżniczy „Ostatnie dni w Górach księżycowych“. 17.30: Podwieczorek przy mikrofonie z Torunia. 19.00: Teatr Wyobraźni: „Gospoda pod ukoronowanym kumotrem“. 19.30: Orkiestra Stow. Koncert. Konc. Paryskiego. 21.15: Muzyka taneczna z Katowic; w przerwach 3 humoreski Tristana Bernarda.

Poniedziałek — dn. 24.VII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: Pogadanka dla kupców. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Słuchowisko dla młodzieży „Dawid Copperfield“ — cz. II. 16.20: Arie i pieśni w wyk. Stanisława Pieczary (bas). 17.00: Muzyka taneczna z płyt. 18.00: Recital fortepianowy Katarzyny Rącz (Węgry). 18.35: Muzyka z płyt. 18.50: „Echa mocy i chwały“. 19.00: Audycja strzelecka. 19.30: Przy wieczery (z Wilna). 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert współczesnej muzyki szwedzkiej, transm. ze Stockholmu. 22.00: Muzyka taneczna z płyt.

Wtorek — dn. 25.VIII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: Dzieci mają głos: „O czym marzę“ — gawęda. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Kanie i biały niedźwiedź“ — pogad. dla młodzieży. 15.00: Muzyka ludowa Wileńszczyzny. 15.15: Muzyka popularna w wyk. Ork. Rozgl. Poznańskiej. 16.20: Koncert orkiestry mandolinistów „Kaskada“ — z Wilna. 17.00: Muzyka taneczna z płyt. 18.00: Antoni Dworzak: Kwartet Es-dur op. 51. 18.25: Recital organowy Aleksandra Kozłowskiego. Transmisja z Kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej z Łodzi. 19.00: Audycja dla rolników. 19.30: Przy wieczery. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert Muzycznego Ogniska Wakacyjnego Lic. Krzemien. Transm. z Krzemienia. 22.00: Polska między Wschodem a Zachodem: „Geograficzne położenie Polski, a wielkie decyzje polityczne kontyn.“ — odczyt. 22.15: Triumfalnym krokiem poloneza... Audycja muz.-słowna.

Środa — dn. 26.VII.

6.30: Audycja poranna. 8.00: Koncert poranny Muz. Ogn. Wakac. Lic. Krzemienieck., transm. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Nasz koncert“ — „W świecie baśni“ — aud. dla dzieci. 15.15: Muzyka popularna w wyk. ork. Rozgl. Katowickiej. 16.20: Wesole piosenki w wyk. Heleny Zboińskiej-Ruszkowskiej. 16.50: „Poranek w miejskim parku“ — pogadanka. 17.00: Muzyka do tańca z Café „Paradis“. 18.00: Słynne symfonie (płyty). 18.50: Echa mocy i chwały. 19.00: Śląska pozytywka — „Gęsi zawodzą“ —

kaczki zawodzą“. 19.30: „Przy wieczery“ — z Poznania. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert chopinowski w wyk. Zbigniewa Drzewieckiego. 22.00: Wiązanki melodii ludowych.

Czwartek — dn. 27.VII.

6.30: Audycja poranna. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Zagadka literacka — audycja dla młodzieży. 15.05: Muzyka popularna z Krakowa. 16.20: Preludia organowe Wł. Żeleńskiego w wykonaniu Kazimierza Garbusińskiego — z Katowic. 16.45: Reportaż z Muzeum Przemysłu i Techniki. 17.00: Muzyka do tańca. 18.00: Echa mocy i chwały. 18.10: Koncert w wyk. Ork. Rozgłośnia Wileńskiej. 19.00: Jules Romains: „Francja w lipcu 1914 r.“. 19.20: Przy wieczery. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: recital skrzypcowy Stanisł. Mikuszewskiego. 21.30: Teatr Wyobraźni: „Imię Pan Pasek wojuje w Danii“. Fragment z pamiętników Chryzostoma Paska — ze Lwowa. 22.10: Duety wokalne w wyk. Ireny Gadejskiej i J. Hupertowej. 22.30: Recital fortepianowy Haliny Sembrat. 23.15: Koncert muzyki polskiej.

Piątek — dn. 28.VII.

6.30: Audycja poranna. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Przerwane wakacje —

powieść mówiona dla młodzieży. 15.00: Muzyka popularna w wyk. Ork. Rozgl. Katowickiej. 16.20: Pieśni w wyk. Chóru mieszanego Zjednoczenia — z Łodzi. 17.00: Muzyka taneczna z płyt. 18.00: Jan Brahms: Sonata na klarnet i fortepian op. 120, Nr 1. 18.25: Kwartety Beethovena — koncert z płyt. 19.00: „Baśń, klechda, legenda“ — „Ze starożytności bajecznej“ Tadeusza Zielińskiego, prof. U. J. P. 19.30: „Przy wieczery“. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Opowieść o Schubercie — audycja z Poznania. 22.00: „Walter Scott“ — portret literacki. 22.15: Muzyka nowoczesna z płyt.

Sobota — dn. 29.VII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: Z mikrofonem przez Polskę: Dziedziniec w Kolonii Bezrobotnych — z Poznania. 12.03: Audycja południowa. 14.45: U Dorotki w ogródku — audycja dla dzieci. 15.15: Muzyka popularna w wyk. Rozgl. Wileńskiej. 16.20: Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana. 17.00: Muzyka do tańca z płyt. 18.00: Muzyka polska z Poznania. 19.00: „Przez siedem mórz, do szczytów wzgórz“ — wesola powieść radłowa. 19.30: Audycja dla Polaków za granicą. 20.00: Melodie ziemi polskiej — Jaworzyńskie Tatry, Jaworzyńskie nuty — audycja słowno-muzyczna z Poznania. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: W letni wieczór — transmisja z kawiarni „Bagatela“. 23.20: Muzyka taneczna z café „Paradis“.

Propaganda kłamstwa i propaganda prawdy

Coraz częściej w głośnikach radiowych wydławiamy słowa polskie na różnych falach, na różnych obcych stacjach. Niezdarnie przekręcany język polski, o jakimś dziwnym akcentem, iotykający się o błędy i usterki językowe stara się wzmóc takie czy inne pewniki w polskiej słuchaczy.

Sam fakt rozpoczęcia przez nasze radiostacje zagraniczne audycji w języku polskim napawać nas musi zadowoleniem. Dowodzi bowiem, że ze stanowiskiem Polski najwyżej się dziś liczą, że polską opinię publiczną wazą i oceniają, że starają się na nią wpływać, zmienić ją czy pozyskać. Z tego punktu widzenia audycje polskie w obcych radiofonach ocenimy musimy jako przejaw wzrostu znaczenia Polski w świecie.

Z drugiej jednakże strony stwierdzić można z głębokim przekonaniem, że jeżeli ktokolwiek ludzi się, iż audycjami radiowymi miała wpływać na stanowisko Polski, tego spotka głębokie rozczarowanie. Radio operuje jedynie słowem, a żadne słowa w żaden sposób nie wpłyną na niezłomne decyzje polskie. Jeżeli nie zachwiał nas słowo wykrzykiwane z trybuny, rzucane w ferworze krasomówczym na wielkich zgromadzeniach, jeżeli nie zachwiał nas słowa publicystów, układane po artykułach w misterne zawiłości fałszywej perswazji, jeżeli nie wskórały niczego słowa szeptane i podszeptywane przez dyplomatów na konferencjach, rozmowach i wzajemnych wzytach — nie wskorają nie także i te słowa, które łamaną polszczyzną niosą z dalekich stacyj skłamanie argumenty fałszywej propagandy. Polscy nikt nigdy żadnymi argumentami nie wyperswaduje jej najistotniejszych praw, jej praw do pełnej i niezłomnej suwerenności. Sprawy te bowiem leżą poza wszelką perswazją, poza wszelką dyskusją.

Na wszelkie kłamstwa jest tylko jedna najbardziej dla kłamstw zabójcza odpowiedź. Jest nią prawda. W odpowiedzi na wszelkie kłamstwo Polska falami eteru roznosi po całym świecie prawdę i tylko prawdę o swoim stanowisku, o woli Narodu i decyzjach Państwa. Audycje Polskiego Radia w językach obcych są właśnie oparte o przedstawianie faktycznego stanu rzeczy, nie fałszowanego żadnym kłamstwem.

Dotyczy to zarówno audycji nadawanych w językach obcych i przeznaczonych dla zagranicy, jak i wszelkich audycji polskich. Jest to potężnym atutem propagandy polskiej, że nie potrzebuje w swej działalności uciekać się do fałszowania rzeczywistości. Musi tylko jak najszerszej roznieść te myśli i uczucia, jakie nurtują w całym Narodzie polskim. Propaganda polska w odróżnieniu od propagandy niektórych innych krajów nie potrzebuje przekształcać myśli swych obywateli na wewnątrz, ani zatajać czegokolwiek na zewnątrz. Musi być jedynie instrumentem, jedynie środkiem technicznym wypowiedzania się prawdziwych myśli i uczuć.

Propaganda jest bronią obosieczną. Oparta na kłamstwie, daje czasem krótkotrwałe wyniki, daje na pewien okres pewne złudzenia i fikcje, ale na dłuższą metę obraca się zawsze przeciw własnemu inspiratorom. Stwarza bowiem fałszywy zupełnie obraz rzeczywistości, gdzie sami nawet jej twórcy nie potrafili dostrzec granicy prawdy i fałszu, a decyzje, podjęte na tle fałszywej oceny sytuacji, doprowadzić muszą do katastrofy.

Natomiast propaganda oparta o prawdę, o szerzenie i rozprowadzanie wśród najszerszych kół poczucia tych wartości, które rzeczywistość istniejąca — taka propaganda jest wyrazem najzdrowszych tendencji narodu — tendencji do uświadomienia sobie poczucia własnej siły.

XII MIĘDZYNARODOWY RAID AUTOMOBILKLUBU POLSKI

Seryjny CHEVROLET Master Sedan w zespole 8 Samochodów
potwierdza swe niezrównane zalety w najcięższych warunkach, sta-
wianych przez Regulamin Raidu, zdobywając Wielką Nagrodę czyli

GRAND PRIX POLSKI 1939

W SWOJEJ KLASIE

(Puchar im. Pana Prezydenta R. P.)

I JAKO

ZWYCIĘSKI ZESPÓŁ FABRYCZNY

Nagrodę Pana Marszałka Polski

ORAZ JAKO

NAJLEPSZY ZESPÓŁ SAMOCHODÓW

MONTOWANYCH W POLSCE

Nagrodę firm „Polski Fiat” i „Fablok”

PONADTO

NAJWIĘKSZA ILOŚĆ PUNKTÓW

DODATNICH (964.220 p.)

i 26 RÓŻNYCH NAGRÓD
dla 8 kierowców na swych własnych CHEVROLETACH



Chevrolet Master Sedan Cena Zł. 7640.-

CHEVROLET

LILPOP, RAU & LOEWENSTEIN - S.A. W WARSZAWIE
KONCESJONOWANA WYTWÓRNIĄ SAMOCHODÓW (LICENCJA GENERAL MOTORS)

AUTORYZOWANE ZASTĘPSTWO

„AUTO-SERVICE”

J. ŁEPKOWSKI SP. KOM.

WARSZAWA

NOWY ŚWIAT 9

TELEFON 8-04-14



TYGODNIK

I L L U S T R O W A N Y

Nr. 31

30 Lipca 1939

Cena 1 zł



Prof. Helena Sokółowska, kierowniczka Instytutu Kultury Fizycznej, odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi za działalność kulturalno-zawodową i społeczną



STAN RADIOFONIZACJI POLSKI

W Polsce jest z górą milion abonentów radiowych, z których około 700.000 mieszka w miastach i miasteczkach, a 300.000 na prowincji. To jest w miejscowościach r... ch poniżej 5.000 mieszkańców, oraz we wsiach, gdzie zrozumienie potrzeby posiadania radia jest coraz większe, a istniejące odbiorniki są stale w obłączeniu zwłaszcza podczas audycji słownych, z których mieszkańcy miast korzystają znacznie mniej chętnie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w miastach jest przeszło 2 miliony mieszkań, około 700.000 odbiorników, to widzimy, że jeden odbiornik wypada na mniej więcej trzy mieszkania.

Oczywiście najsilniej zradiofonizowane są wielkie miasta, mające ponad 100 tysięcy mieszkańców, tam co drugie mieszkanie zaopatrzone jest w odbiornik radiowy. Nie trzeba się więc dziwić, że uprządkowanie anten stało się palącą koniecznością. Natomiast na wsi jest pod względem radiofonizacji znacznie gorzej, aniżeli w miastach.

Na wsi wypada bowiem jeden odbiornik na mniej więcej 20 mieszkań, czyli chałup. A teraz zobaczmy jak się przedstawia radiofonizacja Polski, którą się określa tak zwanym nasyceniem, tzn. liczbą abonentów w stosunku do liczby mieszkańców. Stosunek ten oblicza się na 1.000 mieszkańców.

Okazuje się, że obecnie jest w Polsce średnio 33 odbiorniki na 1.000 mieszkańców. W zachodnich województwach jest więcej, bo 52 odbiorniki na 1.000 mieszkańców. Najmniej jest w województwach wschodnich, zaledwie 17. W województwach centralnych widzimy 32 odbiorniki na 1.000 mieszkańców, a w województwach południowych — 23. Różnice w nasyceniu są jak widzimy dosyć duże. Występują one jednak znacznie silniej, jeśli porównamy stopień nasycenia radiowego w poszczególnych województwach.

Przodujące miejsce zajmuje bezkondurencyjnie województwo śląskie, gdzie na 1.000 mieszkańców wypada 90 odbiorników, z których zaledwie 4 są detektorami — reszta wyłącznie odbiorniki lampowe. Na drugim miejscu jest województwo pomorskie, mające połowę nasycenia śląskiego, mianowicie 43 na 1.000 mieszkańców. Reszta województw idzie w kolejności następującej: na trzecim miejscu województwo łódzkie, na czwartym warszawskie, potem poznańskie, lwowskie, wileńskie, krakowskie, lubelskie, kieleckie, białostockie, wreszcie na końcu województwa najgorzej zradiofonizowane, a więc nowogrodzkie, poleskie, wołyńskie oraz stani-

awowskie i tarnopolskie, które mają nasycenie wyrażające się średnio około 12 odbiorników na 1.000 mieszkańców.

Najsłabiej jest zradiofonizowane województwo tarnopolskie — 11 odbiorników na 1.000 mieszkańców. Zważywszy, że 1/4 ogólnej liczby abonentów zamieszkuje w dużych miastach, mających ponad 100 tysięcy mieszkańców, warto zobaczyć, które z tych miast zajmuje stanowisko przodujące. Otóż okazuje się, że najsilniej zradiofonizowany jest Lwów, który wyprzedził Katowice.

We Lwowie jest 159 odbiorników na 1.000 mieszkańców, a w Katowicach — 151. Co jest uderzające we Lwowie, to stosunek odbiorników detektorowych do lampowych. We Lwowie jest trzy razy więcej, niż odbiorników lampowych. Ten stosunek jest zastanawiający. Wszędzie bowiem, tak w całej Polsce, jak i w poszczególnych miejscowościach przeważają odbiorniki lampowe, nie mówiąc już o Gdyni, gdzie jest zaledwie 30 detektorów na przeszło 10 tysięcy odbiorników lampowych. W Katowicach jest 500 detektorów na 19.5 tysięcy odbiorników lampowych.



PODRÓŻUJ LOTEM

W ogóle w wielkich miastach wypada jeden odbiornik detektorowy na trzy lampowe. A w całej Polsce jeden detektorowy na dwa lampowe, Lwów jest więc pod tym względem swego rodzaju zjawiskiem.

Alc powróćmy do wielkich miast. Po Lwowie i Katowicach najlepiej jest zradiofonizowany Poznań — 120 na 1.000, następnie Chorzów i Warszawa 110 odbiorników na 1.000 mieszkańców. Najgorzej są zradiofonizowane Sosnowiec, Lublin i Częstochowa, która choć jest dużym miastem, posiada zaledwie 46 odbiorników na 1.000 mieszkańców.

Muzea morskie za granicą

Muzea morskie, których ilość i wyposażenie dowodzi stopnia zainteresowania danego kraju sprawami morskimi — to instytucje grupujące przedmioty badań naukowych i technicznych oraz pamiątki historyczne z tej dziedziny. Warto zwrócić uwagę, jak niektóre kraje kultywują ideę morską niezależnie od niezbędnego zaspakajania aktualnych potrzeb żegluga i dziedzin jej pokrewnych.

W Ameryce, posiadającej bardzo dużo muzeów morskich, skupiających cały dorobek wiedzy oceanograficznej, ufundowano w 1930 roku nowe muzeum morskie, które zajmuje teren 100 km². Przy ujściu rzeki James urządzono przystań i basen dla prób i badań różnych typów statków.

Muzeum w Newport News składa się z kompleksu budynków parterowych oświetlonych wyłącznie przez dach szklany. Muzeum w Washingtonie bogactwem i wielkością może śmiało rywalizować z londyńskim „South Kensington”.

W Szwecji otwarto w 1912 r. muzeum morskie w Göteborgu. Zawiera ono największą dotąd, datującą się od czasów Wikingów, kolekcję z historii morskiej tego kraju. Bogate akwaria uzupełniają zbiory. Marynarce handlowej i wojennej poświęcone jest muzeum w Sztokholmie. W Leningradzie władze sowieckie strzegą zażytków morskich z czasów Piotra Wielkiego, również Niemcy, Francja i Holandia posiadają w stoli-

cach i większych swych portach muzea morskie i kolonialne.

W Rotterdamie szczególnie ciekawe są zbiory w muzeum techniki i konstrukcji okrętowej. W Belgii ostatnio opracowuje się projekt Narodowego Muzeum Morskiego, w którym znajdą się rozproszone dotąd wszystkie pamiątki życia morskiego Belgów.

W Gdyni staraniem Stacji Morskiej rozpoczęto budowę muzeum i akwarium mającego scentralizować dorobek pracy polskiej na morzu.

TEGOROCZNY „TYDZIEŃ GÓR” W ZAKOPANEM

Termin tegorocznego Tygodnia Gór wyznaczony został na okres od 7 do 12 września. Odbyć się on w Zakopanem, a program jego obejmie liczne wystawy i pokazy z dziedziny górskiego gospodarstwa rolnego, prac urbanistycznych i drogowych, fotografii, krajoznawstwa, przemysłu ludowego, inwestycji letniskowo-turystycznych i t. p. Ponadto przewidziany jest wielki festiwal tańca i pieśni ludowej z udziałem licznych grup wszystkich regionów górskich oraz kilku zaproszonych grup regionalnych z zagranicy.

Ostatnio odbyła się w Ministerstwie Komunikacji pod przewodnictwem min. Bobkowskiego konferencja Komitetu Organizacyjnego „Tygodnia Gór”, na której zatwierdzono schemat organizacyjny Komitetu, a mianowicie Komitet Honorowy, Organizacyjny i Lokalny w Zakopanem.

Komitet Organizacyjny podzielono na szereg komisji, a to telekomunikacyjną, skarbową, zjazdu, kwaterunkową, pokazów i wystaw, artystyczną, przebiegu imprezy, reprezentacyjną, prasy i propagandy oraz porządkową.

Jak widać, prace rozpoczęte są na szeroką skalę i wobec ściśle ujętych ram organizacji należy spodziewać się, że tegoroczny Tydzień Gór w pełni osiągnie zamierzenia i projekty tak doświadczonych specjalistów w tej dziedzinie i wynduje wspaniale.



pamiętajmy

o tym, że sole mineralne obok witamin konieczne są do normalnego funkcjonowania organizmu. — Brak soli mineralnych możemy uzupełnić, używając MINEROGEN F.F. — smaczną, musującą sól owocową. MINEROGEN F.F. dostać można w najbliższej aptece.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

ROK 80

WARSZAWA, 30 LIPCA 1939 r.

Nr 31 (4,111)

Gen. E. Ironside i Marsz. E. Śmigły-Rydz u p. Prezydenta na Zamku



Gen. E. Ironside w dniu wyjazdu z Polski oświadczył m. inn.: „Nie omyliłem się w swych przewidywaniach, dotyczących tego, co w Polsce zobaczę po wieloletniej nieobecności, to też korzystam z okazji, żeby pogratulować Wojsku Polskiemu i Jego Wodzowi doskonałego wyszkolenia i organizacji, a przede wszystkim patriotycznego ducha i gotowości do wykonania obowiązku, które wprost rzucają się w oczy na wszystkich szczeblach hierarchii wojskowej”

H 811/13

ODRODZONA, SILNA FRANCJA

Tegoroczne swe święto narodowe 14 lipca obchodziła Francja specjalnie uroczysto. 14 lipca 1939 r. minęło bowiem 150 lat od chwili, gdy lud paryski zburzył ponurą Bastylię — symbol despotyzmu i zacofania. Naturalną jest więc rzeczą, że obchodowi tej rocznicy nadano w roku bieżącym szersze ramy i wspaniałszą oprawę, niż zazwyczaj.

Nie ulega jednak kwestii, że prócz tej formalnej i przypadkowej w gruncie rzeczy okazji miał naród francuski głębsze i bardziej aktualne powody do szczerzego zadowolenia i radości w tegorocznym dniu swego narodowego święta. Bez żadnej przesady powiedzieć można, że Francja obecna — to jakby nie ta sama Francja, którą obserwowaliśmy przed kilku laty, a nawet jeszcze w roku ubiegłym. W ciągu roku, jaki dzieli nas od dn. 14 lipca 1938 r., we Francji dokonały się kolosalne przemiany, które zasadniczo zmieniły sytuację wewnątrzno-polityczną, nastroje społeczeństwa, oraz postawę Republiki na arenie międzynarodowej. Francja otrząsnęła się wreszcie z doktrynerskich mrzonek i ulud, spojrziała prawdzie w oczy i wyciągając konsekwentnie wnioski z realnej oceny rzeczywistości — okrzepła wewnętrznie, by gruntować i pomnażać swą siłę, która dla bezpieczeństwa granic i mocarstwowej pozycji Francji oraz dla utrzymania pokoju europejskiego stanowi gwarancję bez wątpienia skuteczniejszą, niż najszcześliwiej dobrane formuły dyplomatyczne, bądź najuroczystsze obietnice pewnego sąsiadującego z Francją państwa...

A jeszcze niedawno było przecież zupełnie inaczej. Francja pogrążona była w doktrynerskim pacyfizmie, jej polityka zagraniczna stanowiła pasmo niekończących się ustępstw, które kolejno niwelowały korzyści odniesionego w wojnie światowej zwycięstwa, hynajmniej nie przyczyniając się jednak do ugruntowania wymarzonego, trwałego pokoju. Pozycję Francji osłabiała jeszcze sytuacja we-

wnętrznno-polityczna, którą cechowało duże napięcie walk partyjnych, a w pewnym okresie także konfliktów społecznych — oraz notoryczna słabość rządów, bardzo skrupowanych i często obalanych przez parlament.



Uliczka na Montmartre

Trudno chyba o widowisko bardziej karykaturalne, niż to, jakiego byliśmy świadkami w ub. roku, w okresie Anschlussu Austrii. We Francji trwałoby niezwykle przewlekłe i długie przesilenie rządowe, co z natury rzeczy bardzo poważnie utrudniało temu państwu swobodę ruchów, uniemożliwiając praktycznie powzięcie jakiegokolwiek stanowczej decy-

zji. Niezwykle doniosłe wypadki, dziejące się tuż, o międzę i mające dla Francji bezsprzecznie wielkie znaczenie, nie spowodowały — jakby się można było tego spodziewać — natychmiastowego powołania silnego, energicznego rządu, który byłby w stanie stawić czoło wartkiej fali wydarzeń. Przeciwnie — przsilenie ciągnęło się w nieskończoność przynosząc wreszcie sformowanie t. zw. drugiego rządu Bluma, rządu wybitnie słabego i pozbawionego autorytetu, którego premier sam uważał swój gabinet za twór nieudany i prowizoryczny. Trudno przypuścić, aby taki obraz wewnętrznych stosunków francuskich i łącząca się z tym słabość polityki zagranicznej Paryża — mogły zniechęcić Niemcy do polityki faktów dokonanych...

Ale opinia francuska zrozumiała całą absurdalność i — niebezpieczeństwo, tkwiące w ówczesnej sytuacji wewnętrznej Republiki. Zmiany zbliżyły się szybkim krokiem. Po krótkotrwałym żywocie drugiego rządu Bluma przyszedł do władzy t. zw. rząd obrony narodowej. Na czele tego gabinetu stanął Edward Daladier, który poprzednio jako minister wojny zyskał sobie zaufanie sfer wojskowych oraz popularność nawet w kołach centro-prawicowych mimo iż swego czasu koła te wcale nie darzyły Daladiera sympatią. Daladier nie poszedł po linii tworzenia gabinetu koalicyjnego (t. zw. rząd jedności narodowej), który na pozór przedstawia się jako koncepcja bardzo pociągająca, ma jednak tą słabą stronę, że zawierając w sobie sprzeczności wielu partyj, nie może faktycznie prowadzić szerzej zakrojonej działalności. Przy układaniu listy swego rządu czerpał Daladier przede wszystkim z grona partii nadykalno-społecznej, której jest prezesem, tym nie mniej gabinet jego, rządzący do dziś dnia, nie posiada charakteru partyjnego i — co bardzo znamienne — nie opiera się w parlamencie na większości „frontu ludowego“. Stało się to po raz pierwszy od wyborów w 1936 r. Należący przed tym do większości rządowej komunistki zostali pozbawieni wpływów i znaczenia, „front ludowy“ przestał istnieć, a za nowym rządem obok deputowanych radykalnych głosowali również deputowani centrum i prawicy.

To był już w stosunkach wewnętrznych Francji wielki przełom. Rząd Daladiera przywrócił w kraju ład i porządek, opanował falę strajków, skutecznie załagodził zaognienia socjalne, kładąc przede wszystkim silny nacisk na rozbudowę siły zbrojnej. Nie był to jednak koniec ewolucji sytuacji wewnętrznej Francji, gdyż gwałtowny rozrost potęgi Niemiec (Sudety! aneksja Czech!), rozrost, któremu Francja nie potrafiła jeszcze skutecznie się przeciwstawić — spowodował dalsze, zasadnicze przeobrażenia nastrojów i poglądów społeczeństwa francuskiego. Oczywiście przede wszystkim w odniesieniu do zagadnień polityki zagranicznej, ale i na stosunkach wewnętrznych przeobrażenia te wycisnęły swe mocne piętno. Przeciętny Francuz zdał sobie sprawę, że Niemcy górują bezwzględnie nad jego ojczyzną

Francuski min. lotnictwa Guy la Chambre dokonuje przeglądu eskadr francuskich i angielskich na lotnisku w Le Bourget





Młodzież francuska zorganizowała pokaz wyobrażający pamiętne strony z dziejów kolonialnych Francji: podbój Tonkinu. Czołg przypomina o wielkich obowiązkach dzisiejszych

szybkością decyzji i że jeżeli w przyszłości demokratyczna Republika Francuska nie ma być dotknięta nowymi porażkami — to niezbędne jest wyrównanie tej różnicy i umożliwienie rządowi francuskiemu istotnie szybkiego działania w każdej sytuacji. I stał się fakt niebywały w dziejach III Republiki: parlament francuski uchwalił rządowi *nieograniczone pełnomocnictwa!*

Jest bardzo ciekawe, jakim przemianom uległ stosunek społeczeństwa francuskiego do parlamentu. Był przecież czas, że nastroje szerokich mas wykazywały tu wyraźną wrogość. W pamiętnym dniu 6 lutego 1934 r. demonstrujące na Placu Zgody tłumy parły na parlament, jako siedzibę zła i słabości Republiki. Od tego czasu nastąpiło znaczne uspokojenie, nastroje tak jaskrawo radykalne — osłabły, ale jednocześnie wzrosło *ogólne* zrozumienie prawdy, że w chwili obecnej Francja musi mieć silny rząd. Po udzieleniu długotrwałych pełnomocnictw rządowi Daladiera, parlament zbiera się od czasu do czasu, dyskutuje, interpeluje, ale w rządzeniu nie przeszkadza. W obecnym okresie działalność parlamentu jest bardziej dekoracją, niż istotną treścią, wszyscy wiedzą bowiem dobrze, że w gruncie rzeczy prawdziwa decyzja należy dziś do rządu, wyposażonego w pełną, rzecz można nawet, dyktatorską władzę, a cieszącego się poparciem armii i zaufaniem całego społeczeństwa.

Opinia francuska przejawia zresztą bardzo mało zainteresowania rozgrywkami partyjnymi, kierując swą uwagę przede wszystkim ku problemom polityki za-

granicznej i obrony narodowej. A w podejściu do tych zagadnień widzimy olbrzymi przełom. Nie będziemy rozwijali tego tematu, gdyż uczyniliśmy to już obszernie przed paru tygodniami w korespondencji z Paryża p. t. „*Od pacyfizmu do gotowości bojowej*”. Wystarczy stwierdzić, że Francja, która złożyła tyle ofiar na ołtarzu pokoju i która tak długo nie przeciwstawiała się czynnie ekspansji niemieckiej w nadziei, że za cenę pewnej ustępliwości uda się wreszcie doprowadzić do jakiegoś porozumienia z Rzeszą — ta Francja przekonała się, że wszelkie ustępstwa pobu-

dzają tylko Niemcy do wysuwania nowych żądań, gdy rozrost ich potęgi stanowi dla Francji najbardziej groźne niebezpieczeństwo. Zagarnięcie Czech i Moraw przez Niemcy raz jeszcze uświadomiło Francji, ile są warte wszelkie układy z Berlinem, bądź uroczyste zapewnienia ze stolicy tej płynące. Paryż nie zawahał się więc przed gruntowną zmianą swej polityki, której podstawą jest obecnie wzmocniona i rozbudowana siła zbrojna oraz proste, naturalne sojusze. Francja oczywiście nadal wojny nie chce, lecz jest zdecydowana przeciwstawić się czynnie każdemu nowemu aktowi agresji, bez względu na to czy będzie on skierowany bezpośrednio przeciw niej, czy też przeciw jej sojusznikom, lub państwom gwarantowanym. Nie ma już chwiejności i niezdeterminowania, nie ma bezgranicznej ustępliwości. Jest jasna, wyraźna postawa i jest siła, siła pokojowa, lecz właśnie dlatego wiążącą się ściśle z pełną gotowością *bojową*.

Spółeczeństwo polskie docenia wagę odrodzieńskich przemian, jakie dokonały się we Francji i komentuje je ze szczerą radością, jak to bywa zwykle w stosunkach między przyjaciółmi. Jest zrozumiałe, że wewnętrzne odrodzenie Francji wzmogło jeszcze znaczenie, sojuszu polsko-francuskiego, który wiąże zresztą nasze kraje już od 1921 r., a spośród wielu powojennych paktów, układów i całych systemów politycznych okazał się elementem trwałym, wartościowym i pożytecznym, stanowiącym jedną z najważniejszych gwarancji pokoju i równowagi europejskiej.

Janusz Kowalczyk

Duch Francji uosobiony w pomniku Konwencji:
„Wolnym być, lub umrzeć”



„BÓSTWO” KTÓRE OSKARŻA

Przez Niemcy idzie nowa fala okrucieństw szowinizmu, wyniesionego do roli pogańskiej boskości, szowinizmu zaślepionego, tępiącego wszystko, co nie jest „z ducha i rasy germańskiej”, co nie jest... narodowo-socjalistyczne. Zślepienie to, jak każde zresztą, obfituje w aspekty tak groteskowe i naiwne, że trudno się (coraz częściej!) oprzeć pogardliwemu już tylko wzruszeniu ramion.

Po zabawnej wyprzedży znakomitych dzieł plastyki, nie odpowiadających rzekomo duchowi nacjonal-socjalistycznemu dzisiejszych Niemiec... goniących za pieniądźmi; po nowym, tysiącletnim zapewne już, anektowaniu Kopernika, z czego śmieje się cały świat, bo wszędzie wiadomo, że Mistrz Mikołaj Kopernik był Polakiem; po zakazie wydanym na Śląsku Opolskim używania języka polskiego w kościołach katolickich — nie od rzeczy będzie spojrzeć na te wszystkie wydarzenia z wyżyn kultury... niemieckiej, przypominając Niemcom, co mówi o nich Fryderyk Nietzsche, tak gorąco obecnie w III Rzeszy zalecany, „odświeżony” i oficjalnie wydobyty z lamusa na użytek bluźnierczej i pogańskiej propagandy.

Nie trzeba wiele wysiłku, by ukazać Nietzschego takim, jakim był naprawdę, a jaki, o dziwo, smakuje III Rzeszy. Zajrzyjmy przede wszystkim do „Ecce Homo”, bo w książce tej filozof-ateusz sam mówi o sobie: „kim jestem” i tego uważnie (ze względów rasowych) „nazi” wysłuchać powinni:

„...jestem może bardziej niemiecki, niżby Niemcy dzisiejsi, zwykli obywatele państwa niemieckiego, być jeszcze mogli — ja, ostatni Niemiec antypolityczny. A przecież przodkowie moi byli szlachtą polską; stąd to posiadam we krwi wiele instynktów ra-

sowych, kto wie? może nawet *liberum veto*? Jeśli pomyśle, jak często w drodze przemawiają do mnie jako do Polaka i to Polacy sami, jak rzadko biorą mnie za Niemca, to mogłoby się здаwać, że należę tylko do Niemców *nakrapianych*”.

Wyznaniem tym oficjalny filozof III Rzeszy sprawia zapewne „rasistom” urzędowym wiele kłopotu. Ale niech będą spokojni. Nigdy nie upomniemy się o tego filozofa i chętnie, równie jak oni, zapomniemy o tym wyznaniu. Nie przynosi ono nam, Polakom, żadnego zaszczytu...

Nietzsche jest jednak nieublagany i rzeczy przykre prawi dalej, gdy zwierza się ze swych uczuć do Ryszarda Wagnera:

„Czego mi wybaczyłem Wagnerowi nigdy? Że stał się powolny żądaniom Niemców — że stał się państwowo niemieckim... Dokąd sięgają Niemcy psują kulturę”.

A następnie doda jeszcze: „Zważywszy to wszystko, nie byłbym był wytrzymał swej młodości bez muzyki Wagnera. Bo byłem skazany na Niemców. Chcąc się uwolnić od nieznośnego ucisku, trzeba haszyszu. Otóż to, potrzebowałem Wagnera. Wagner jest odtrutką przeciw wszelkiej niemieckości *par excellence*...”. I gdy się wyżali, że jest wśród Niemców, jak Wagner nieporozumieniem tylko, wykrzyknie oburzony: „Najpierw dwa wieki psychicznej i artystycznej dyscypliny „moi panowie Germanie!” — a może, może będziecie zdolni pojąć go, bo przecież pisze wyraźnie, słowo, po słowie: „Myśleć po niemiecku, czuć po niemiecku — mogę wszystko — to przechodzi z męsilny”.

Nietzsche jest jednak skrupulatny po niemiecku więc też prawi Niemcom dla czego nie może ani myśleć, ani czuć po

niemiecku. Zajrzyjmy do jego „Niewczesnych rozważań” i posłuchajmy co mówi o kulturze niemieckiej:

„Kształty, barwy, wytwory i ciekawostki wszystkich czasów i stref gromadzi Niemiec wokół siebie i stwarza przez to tę nowoczesną pstrokacizną jarmarczną, którą potem znów jego uczeni mają uważać i formułować jako „nowoczesność samą w sobie”; on sam tkwi spokojnie wśród tego zgiełku wszystkich stylów. Atoli tego rodzaju „kulturą”, która jest przecie tylko flegmatyczną nieczułością dla kultury, nie można pokonać żadnych nieprzyjaciół, najmniej takich, którzy, jak Francuzi, posiadają rzeczywistość, wytwórczą kulturę, mniejszą, jakiej wartości, i których aż dotąd naśladowaliśmy we wszystkim, nadto jeszcze przeważnie bez smaku”.

„Gdybyśmy byli rzeczywiście przestali ich naśladować, to przez to nie byłibyśmy jeszcze odnieśli nad nimi zwycięstwa, jeno byłibyśmy się od nich tylko uwolnili: dopiero wówczas, gdybyśmy byli im narzucili oryginalną kulturę niemiecką, mogłaby być mowa także o triumfie kultury niemieckiej. Tymczasem zauważmy, że tak teraz, jak przed tym, zależy od Paryża we wszystkich sprawach formy — i zależeć musimy: bo aż dotąd nie ma żadnej oryginalnej kultury niemieckiej. To winniśmy o sobie samych wiedzieć: nadto zdradził to także publicznie jeden z nielicznych, którzy mają prawo rzec to Niemcom w formie wyrzut: „My Niemcy jesteście wczorajsi — rzekł raz Goethe do Eckermanna; wprawdzie od stulecia krzewiliśmy kulturę zgola tego, atoli może jeszcze kilka stuleci upłynąć, zanim w rodaków naszych wnuknie i upowszechni się w nich tyle ducha i wyższej kultury, iż będzie można rzec o nich. że to jest dawno, gdy byli barbarzyńcami”.

I tak oto przykłady te mnożyć można by bez końca. W każdej z prac Nietzschego znajdzie się policzek wymierzony niemieckości, tej „płaskości europejskiej”, jak powiada; w każdej książce tego „antychrysta” znajdzie się piorunująca Niemców opinia.

Cóż więc skłoniło III Rzeszę do wydobycia Fryderyka Nietzschego z lamusa, otrzeptania go z kurzu, odpowiedniego zapewne „wyretuszowania”, postawienia na wysokim piedestale i oddawania czci jak bóstwu?

Przed wszystkim kompletne wyjąłowanie umysłowe Niemiec współczesnych, które przyszło po czystkach rasowych i politycznych, mordach kapturowych, wydaleniach z kraju i uroczystych paleniach na stosach dzieł znakomitych i pełnowartościowych, a następnie — „walor” ateuszostwa i bluźnierczości tego filozofa.

Czyż mógł znaleźć się lepszy współnik do dzieła rozkładu moralnego, osłabienia woli i wiary, do usypiania zdrowych i przez to niebezpiecznych, instynktów społeczeństwa?

Tego współnictwa z „nazistami” nie przewidział jednak twórca osobliwego „Zaratustry”.

Zdzisław Andrzejowski

Michał Bylina. „Z wojen Batorego”

Z wystawy „Polski obraz batalistyczny” w I. P. S.



MAUZOLEUM KRÓLEWSKIEGO SERCA

(W rocznicę śmierci królowej Marii rumuńskiej)

Dnia 19 lipca 1938 roku na zamku Peleszor w Sinaia zmarła królowa Maria rumuńska, zwana dla rozszerzonych za jej czasów przez oręż rumuński granic państwa — „Królową zwycięstwa“. Żaloba, spowita zgodnie z życzeniem Zmarłej w fioletowe kiry, okryła kraj. Ciało przewieziono do XIV-wiecznej katedry „Domneasca“ czyli „Nicoara“ w Curtea de Arges, stanowiącej świątynię grobową dawnych książąt wołoskich, i złożono obok zwłok małżonka Ferdynanda I. Serce, wydobyte podczas balsamowania, umieszczono zrazu w bukareszteńskim pałacu Cotroceni, później zaś — w myśl ostatniej woli Królowej — pochowano w wzniesionej przez nią kaplicy w ulubionej letniej rezydencji, w Balcic nad Czarnym Morzem.

Ów akt testamentu królowej Marii nadał w ten sposób miejscu spoczynku jej serca głębsze znaczenie polityczne. Należy mianowicie pamiętać, iż Balcic stanowi najdalej wysunięty na południe, punkt Rumunii — na kresach Dobrudży i u samej niemal granicy bułgarskiej, pośrodku prowincji tzw. „Czworoboku“ (Cadrilaterul), zdobytego na Bułgarach w 1913 r. a będącego po dziś dzień przedmiotem aspiracji terytorialnych między obu państwami. W takim stanie rzeczy złożenie w tym właśnie miejscu serca „Królowej zwycięstwa“ stawało się wyraźnym akcentem patriotycznym, bliskim zarazem przez sam swój fakt jak i jego romantyczny sztafaż barwnym i wojowniczym dziejom owej krainy.

Jest to bowiem ziemia bardzo stara. W zamierzchłych czasach wznosiło się tu pono miasto Cruni, opanowane w V w.



Królowa Maria Rumuńska

Kaplica „Stella Maris“ w rezydencji Królowej Marii



dowa legenda zgodna z zdaniem Pliniusza: „ubi Pygmaeorum gens fuisse dicitur“, opowiada iż tu właśnie Pigmejowie pod wodzą swej królowej Geranii walczyli z Herkulesem, którego starożytną płaskorzeźbę znaleziono również niedawno opodal.

Potem za handlarskich wędrowek Genuńczyków i Wenecjan — dzisiejsze Balcic zwalo się Carbona. Obecne imię przybrało dopiero w połowie XIV w. od księcia Balicy; inni zaś dowodzą, iż pochodzi ono z kumańskiego słowa „balic“ co znaczy „ryba“ i dotyczy morskich połowów u jego wybrzeży. Za rządów tegoż księcia w 1345 r. wyruszył stąd wspaniały orszak rycerzy pod przewodnictwem braci książęcych Dobrotyka i Teodora na odsiecz cesarzowej Bizancjum, Annie. Stamtąd bowiem nadciągało już nowe niebezpieczeństwo dla tych stron, jakie zapanować miało nad nimi na przeciąg pięciu wieków bezmała. Mówi o nim pobliski klasztor derwiszów Teké w pokrytej asfodelami — niby starożytne pola Elizejskie — niedalekiej dolinie Batova, i inne mauzoleum tych okolic: grobowiec sultana Ak-Tazik. Świadczy o nim też — już tylko tradycja dzisiaj tutejszego „Wielkiego Lasu“ (Deli Orman) Turków, zastąpionego obecnie przez spaloną od słońca, pustynną do cna Dobrudżę — i inna jeszcze skłócona tradycja tych okolic: stara, wyżłobiona w skałach Caliacry kapliczka, o której Muzułmanie powiadają, iż zawiera grób ich świętego Hagi-Baby, gdy natomiast Bułgarzy twierdzą, że uczyniono ją na pamiątkę 40 chłopców bułgarskich, jacy nie chcąc przyjąć wiary Mahometa, rzucili się stąd w morze, a Rumuni — iż to

Pałac królowej Marii „Tenha Juvah“ w Balcicu



przed Chr. przez Traków i przezwane później grodem Dionizosa — „Dionysopolis“. Na gruzach jego Akropolu wyrosła — jak tylekroć gdzie indziej — dzisiejsza główna świątynia miasta: cerkiew prawosławna — tak jak nie wiadomo kiedy i skąd zabłąkał się tu między prymitywne szeregi jego trackich bóstw odkopany świeżo, tajemniczo uśmiechnięty egipski Ozyrys... Słyszano tam snąc kiedyś o tych stronach, skoro Ptolomusz wymienia pobliski Balcicowi przylądek Capul Caliacra jako „Tiristis Acra“ — to samo „Callacrium“, o którym w wiele wieków później napisze przybysz z Italii, Filip Kallimach jako dziejopis wyprawy króla polskiego Władysława III na święty bój pod widną już stąd, złowrogą Warnę... Tymczasem jednak kwitła tu jeszcze kultura helleńska i rzymska, których tyle pamiątek kryje cała Dobrudża, odsłoniętych dziś w dużej mierze przez znakomitego archeologa rumuńskiego Tocilescu — aż po resztki cyrku przy łaźni Karakalli w sąsiedniej Mangalii, ongiś antycznym Kallatis. Do dziś też u wybrzeży Caliacry, obok grotty przypisywanej mitycznemu Polifemowi, morze odrzuca często stare monety greckie z wizerunkiem Filipa II władcy Macedonii, a lu-



Mauzoleum serca Królowej Marii w Balçicu

pustelnia innego ich świętego: Mikołaja Corabierul (Żeglarza), patrona rybaków. Jakkolwiek było — trzy nacje palą tu zgodnie światła i składają ofiary, niepamiętane niedawnych walk opanowanych ideą wolności — a zarazem skłóconych potężnie ze sobą — szczepów bałkańskich z półksiężycem. Toteż obecnie widnieje on na pięciu meczetach, od niedawna rumuńskiego Balçicu już jeno jako symbol przeszłości — jako emblemat w jego obrazie zarazem wojowniczy i malarski.

Tymi bowiem, którzy dokonali właściwego „odkrycia“ Balçicu byli nie historycy ni politycy lecz... malarze. Istnieje tu sobna Akademia malarska. Muzeum, Klub artystów a nawet wytworzyła się odrębna szkoła i specjalny styl malarski. Pionierami owego ruchu byli: Bart, Satmary i Cotzescu-Stork, działają tu zaś nadal, by wymienić tylko najwybitniejszych: Bunesco, Hrant, Iorgulesco, Rodica Maniu, Popesco, Steriade, Teodorescu-Sion i Vioreşcu. Wszystkich ich cechuje oryginalne połączenie marynistyki, orientalizmu i pleinairu — czyli to, z czego składa się Balçic: morze, światło i Wschód. Nie brak i literatów. Królowa Maria, która na dworze rumuńskim kontynuowała tradycje literackie swej poprzedniczki Carmen Sylvy, Ci-

sek, Adrian Maniu, Pillat i Vălsan — poświęcili Balçicowi szereg pięknych kart. Od nich też — jak się zdaje — pochodzi



Widok ogólny Balçicu

określenie tego wybrzeża: „Coasta de argint“ — „Srebrnego Brzegu“, nazwane go tak nie dla imitowania „Côte d'Azur“,

lecz od fantastycznych wapiennych zboczy, które przegładają się tu w błękitnym morzu — istotnie srebrne.

Podobne nagie wzgórza widnieją też nieraz niespodziewanie i w środku miasta, stwarzają w każdej niemal uliczce odmienne, wysoce malarskie perspektywy. Dzieli one zarazem miasto na kilka jakby dzielnic o odrębnym charakterze. Najciekawsza z nich, to „Ghemigi Mahlé“: dzielnica turecka, pełna orientального uroku zachowanego świetnie dzięki znacznemu odcięciu Balçicu od świata. Kursują tu wprawdzie specjalne samoloty z Bukaresztu i przygodne statki z Constanzy; można się tam też dostać z głębi łądu: od trzeciorzędnej linii kolejowej, z równie muzułmańskiego miasteczka Bazargic, lub wprost z Carmen-Sylvy długą, męczącą, wielogodzinną jazdą samochodem przez wypalony do żółbła południowym słońcem step Dobrudży — ale mimo to wszystko na szczęście nowoczesność nie dociera jakoś jeszcze zbyt do odległego, zagubionego w swym egzotyźmie Balçicu.

Na rogach krętych — niby orientalne piśmo — uliczek wznoszą się tu wszędzie

Widok spod arkad palacu w Balçicu



plaskie, ścienne studnie, całe bogato rzeźbione w ornamenty roślinne i misterne arabeski, wśród których zawilichy wzorów odczytać można nieraz sakramentalny napis Wschodu głoszący jakże aktualną w tym kraju suszy pochwałę wody i roztropności pijących: „Lehrab wa shuf!“ — „Pij i uważaj!“ Schodzą się u nich na wodę i plotki kobiety miejscowe: Bułgarki, Turczynki, Tatarki, nierzadko jeszcze w zakwieconych czardzafach, czego nie spotka się już gdzie indziej — nawet w zlaicyzowanym Konstantynopolu. Z dala od nich — u wybrzeży starzy rybacy naprawiają swe siccí, lub fabrykanci naczyń wykuwają w metalu swe smukłe dzbany o szlachetnej linii — jedni i drudzy w sposób ceremonialnie dostojny, z twarzami aż proszącymi się o paletę. Tło im dają stare budowle tureckie: zarówno nędzne szałas jak i stylowe domy o piętrach wysuniętych daleko ponad ściany parteru i dachach sięgających jeszcze dalej nad uliczkę i zacięniających ją na południowy sposób przed zbyt słońcem. U ślepej bramy kolatka, jakiś zagmatwany napis i czasem talizman: złota ręka Fatmy.



Pergola w parku królowej Marii

Na parterze, od ulicy, nie ma okien: dom cały obrócony jest ku wnętrzu — jak serce człowieka Wschodu — ku małemu wewnętrznemu ogródkowi z szemrzącą cicho pośrodku fontanną. Tylko różowe i lilio-we kwiecie przechyla się swawolnie z wiatrem przez wysoki mur — tam gdzie w górze widnieją ażurowe okienka dawnych haremów. Ponad tym wszystkim zaś po srebrnych wzgórzach pną się opustoszałe meczety i leżą ciche muzułmańskie cmentarze z pochylonymi ze starości kamiennymi słupami na mogiłach kobiet o starych ornamentach napisów przemiunionych żywotów.

Najpiękniejszy jednak zakątek Srebrnego Wybrzeża to ulubiony pałac królowej Marii o parę kilometrów obok Balcicu. Jedzie się tam wąską krętą wstęgą szosy pośrodku białych wapiennych skal, obsadzoną topolami, które stąd na tle ciemnego południowego morza wyglądają jak włoskie cyprysy. Pałac zbudowany jest w stylu wschodnim, z wieżyczką niby minaretu i nosi orientálną nazwę: „Tenha Juvah“, co tłumaczy się po turecku: „Gniazdo Samotne“. Obok wznoszą się inne wille: króla, następcy tronu, ks. Mikolaja. Łączy je wszystkie wielki, piękny park, wymyślnie hodowany na pochyłym, trudnym dla sztuki ogrodniczej, ale też niezwykle malowniczym zboczach. Pełno loggii, basenów, fontann, wiszących tarasów, posągów, ukwieconych pergoli, greckich waz. Pomiędzy nimi zwykła kamiennista ścieżka wiedzie do skromnej kaplicy z surowych glazów. Nosi ona nazwę, która z modlitwy litanijnej nasuwa się tu jakby sama — na tle błękitnych roztoczy wód: „Stella Maris“ — Gwiazdy Morza. Wnętrze jej pokrywają surowe, hieratyczne i prymitywne zarazem malowidła, wyszłe spod pędzla dwu mistrzów Balcicu: Demiana i Papatriandofila. W otwartej, zacięzionej bluszczem wnęce stoi prosty ołtarz z majoliką w stylu Lukki della Robbia i z wiszący antyczny kaganek z płonącej

lampką oliwną. Tutaj, w swym wzruszającym testamencie do narodu rumuńskiego królowa Maria kazała pochować — awe serce.

Ze stopni kaplicy grobowej patrzymy na rozciągającą się stąd daleką panoramę świata. Od zieleni ogrodów wzrok biegnie ku białemu molu królewskiej przystani, ku kolorowemu miastu i srebrnym wzgórzom objętym wielką ciszą nieba i morza. Rozległa, południowa kraina, gdzie nawet w zimie panuje łagodne powietrze i roślinie szlachetny wiuny krzew. Nic dziwnego że już starożytni sławili jego tutejsze soki i

nazwali miasto to „Dionysopolis“ — na cześć radosnego pana życia, boskiego Dionysosa. Ale poza tą słoneczną zasloną kryje się tu — u kresów Dobrudży — i świat inny: kraina krwi i zmagania — od czasu pierwszych osadników greckich, poprzez dzieje Traków, walki półkسیężycy, wyzwolenie — i bratobójcze — wojny bałkańskie aż po ostatnie — tu właśnie — zdobywcę rumuńskiego oręza, wykujającego nową Wielką Rumunię: „Romania Mare“.

Na straży kraju czuwa tu dziś serce jego Wielkiej Królowej.

Józef Mayer

POETKA KAGA-NO-CHIYO

Długi okres feodalny, jaki przypadł na czasy Tokugawów, zaciążył znamienne na ukształtowaniu się charakteru Japończyków. Przez półtrzecia wieku żyjąc pod reżimem autokratycznych siogunów, nie gardząc takimi metodami rządzenia, jak szpiegowanie, intrygi i zakulisowe podstępstwa, stali się Japończycy nadzwyczaj ostrożni w ujawnianiu swych wrażeń, oszczędni w słowach. Były to oczywiście skutki wszechwładzy siogunatu, póki wreszcie nie obalila go rewolucja 1868 r., przywracając należne znaczenie najwyższemu uosobieniu władzy nad Nipponem cesarzowi.

Ta szczególna powściągliwość w wypowiedzianiu się, poddyktowana koniecznością obrony duchowych wartości osobistych przed bezwzględnyimi warunkami życia, nie mogła nie wycisnąć swego piętna na tych utworach literackich owej ery, które wyrażają uczucia osobiste piszących, t. j. na lirycy japońskiej. Nawet tak popularna za czasów Fudziwarów śliczna forma poezji „tanka“, złożona z 31 sylab teraz już wydawała się za dużą. Poeci uważali za właściwe streszczać się jeszcze więcej i utworzyli nowy rodzaj liryczny w miniaturowej postaci 17 zgłoskowych „haikai“, składających się zaledwie z trzech wierszy: w pierwszym 5 sylab, w drugim siedem i w trzecim znów pięć.

W tak ciasnych ramach trudno było wiele powiedzieć, i tylko wychowany na zasadach pozytywnej filozofii Konfucjusza Japończyk mógł nagiąć swój umysł do podobnie twardej formy. Tłumaczenie tego rodzaju wierszy na którykolwiek z języków europejskich nastęcza wiele trudności, wymagając nieraz komentarzy i służyć może raczej za temat dla wolnego przekładu. Była to poezja ludzi przywykłych porozumiewać się niedomówieniami, domyślnikami, spojrzeńiami. Każda zgłoska musiała tam mieć ważkie znaczenie. Wielomówna, dowcipna werdycka, dama Sei-Sionagon, z pewnością źle by się czuła za Tokugawów, — ona, co tak nie lubiła ograniczać się w wypowiedzianiu swych ciętych spostrzeżeń.

A jednak znalazł się taki mistrz Matcuo Basio (1643 — 1694), który doprowadził „haikai“ do zadziwiającej doskonałości, i było dziesięciu innych poetów, jego uczni, co usiłowali mu dorównać i uczyli znów następnych. Ale wszystkich ich prześcignęła w układaniu „haikai“ nieporównana poetka XVIII wieku Kaga-no-Chiyo. Urodzona w osiem lat po śmier-

ci sławnego Basio, była córką biednego właściciela sklepiku z papierem w miasteczku Matsuto (w prowincji Kaga o sześć mil od miasta Kanazawa). Sklepik był położony na skraju osiedla w sąsiedztwie pola ryżowego. Mała Chiyo często tam wybiegała. Porwał ją urok otaczającego krajobrazu. Olsniewały ją rumiane wschody słońca, kołysały ją do snu monotonne dźwięki cykad. Śniły się jej legendy czasów minionych. Sklepik był często odwiedzany przez szlachtę japońską, którymi ozdabiano częste wystawy kwiatów lub którymi upamiętniano rozmaite konkursy, bardzo wtedy modne.

Dziewczynka wcześniej zaczęła zapoznawać się z estetyką trudnej sztuki kaligraficznej, często nie rozumiejąc nawet zawartej w niej treści, bo ta jeszcze nie była dla jej pojęć dostępna. Ojciec Chiyo, oceniając wrażliwość córki na piękno, dzielił się z nią swoim zamiłowaniem, starając się rozniecić ten ogień, jaki w jej duszy już budzić się zaczynał. Powoli tłumaczył jej znaczenie wierszy, wtajemniczał ją w arkana sztuki literackiej.

Typy Japonek





Krajobraz japoński

Była jesień. Liście krzewów pożółkły, a malowniczy klon „momidzi“, co rósł za domem, pokrył się złocistą czerwienią. Dziewczynka w milczeniu podziwiała wdzięk natury, gdy oto zauważyła odlatujące stado dzikich gęsi nad polem ryżowym. Oczarowana tym widokiem, schwyła pędzel i na oczekaniu ułożyła taki wierszyk w formie „haikai“:

*Hatsu-kari-ya
Narabete kiku wa
Oshii koto.*

*„Szkoda, że krzyku gęsi
lejących sznurem
nie usłyszysz już więcej“.*

Nie było jeszcze to zbyt wiele wobec niezliczonych znakomitych „haikai“, ogłaszanych przez poetów. Ale rodzice Chiyo.

uradowani odkrytym w niej przejawem talentu, tym gorliwiej zajęli się córką, nie szczędząc skromnych środków na jej kształcenie. Wysiłki te nie poszły na marne. Chiyo gorliwie zabrała się do pracy, ćwiczyła się cierpliwie w sztuce pisania wierszy, pozyskując sobie rozgłos w całym miasteczku, — ba, nawet w całej okolicy. Rodzice, dumni ze swego dziecka, posłali ją do szkół w mieście Kanazawa, gdzie uczył Hotta Bakusui, wyborny znawca poematów „haikai“. Pod jego kierunkiem 12-letnia Chiyo robiła postępy nadzwyczajne.

Gdy skończyła lat 15, zaszło w jej życiu wielkie wydarzenie. Do Matsuto przybył na kilka dni Rogenbo, godny uczeń niejakiego Siko, jednego z tych, których wtajemniczał w swą sztukę sam Basio. Mała Chiyo nie omieszkała naturalnie skorzystać z nadarzającej się sposobności:

zebrała się na odwagę i poszła do gospody, gdzie zatrzymał się poeta. Zdziwiony jej zjawieniem się, Rogenbo przejrzał pobieżnie prace poetyckie, które z sobą przyniosła, lecz nie wziął ich poważnie. Nic dziwnego. Któż w Japonii nie moził się za tamtych czasów nad składaniem „haikai“! A iluz wierszopisów niefortunnym oblanom już zimną wodą krytyki, bez wielkiej zresztą szkody dla chwały literatury japońskiej! Podobno Wiktor Hugo, zapytany przez jednego z profanów, czy łatwo jest wiersze pisać, odrzekł: „Dobre wiersze bardzo łatwo się pisze“. Być może, że i Rogenbo nie jednemu z nagabujących go niedoszlých wieszczów dał taką odpowiedź. Ale z małą Chiyo była inna sprawa. Mistrz widząc, że mocno ugodził swym lekceważeniem w ambicję dziewczęcia, zaproponował jej na pociechę, by napisała na oczekaniu jakiś wierszyk, chociażby o kukulce. Po krótkim czasie utwór był gotowy. Rogenbo go przejrzał, ale nic nie orzekł, tylko zadał jej inny temat jeszcze. Chiyo i z tego zadania wywiązała się również świetnie i z łatwością. I znów zawiodła ją nadzieja. Rogenbo milczał, a z jego twarzy kamiennej nie wyczytała nic, co by świadczyło o przychylności dla jej poezji. Powróciwszy do domu, długo łamała sobie główkę niezrażona Chiyo, co by tu takiego stworzyć, czym mogłaby zaimponować srogiemu pocię. Po nocach biedactwo sypiać nie mogła: zasłuchana w trele słowika, co nieopodal siadał na drzewie, osypanym białym kwieciami. Wstawiała o świcie i wpatrywała się w pierwsze brzaski słońca, różowiącego długie pasma obłoków. Aż wreszcie napisała taki misterny wierszyk:

*Hototogisu
Hototogisu tote
Ake ni kari.*

*„Słowiku!
Kazano mi pisać o tobie,
A już ranek nastąpi“.*

Tym razem nie skory do pochwał Rogenbo okazał się łaskawszym. Haikai podobala mu się, chociaż wykraczała poza uświęcone formy 17 sylab. Wyrzucił swoje uznanie dla usiłowań Chiyo i nawet zachęcał ją do dalszej w tym kierunku pracy.

Tego tylko było potrzeba zapalanej poetce. Pozyskać aprobatę takiego Rogenbo, to już było bardzo dużo! Po kilku latach osiemnastoletnia Chiyo zasłynęła jako zdolna twórczyni wierszy „haikai“, a każdy z nich był prawdziwą perełką literacką. Japończycy wrażliwi są na sztukę: zaczęto się ubiegać o poznanie młodej poetki, mężczyźni prosili ją o rękę. Wreszcie oddala ją jednemu z Samurajów, niejakiemu Fukuda z klanu Kaga. Malżeństwo to było opromienione miłością, a szczęście doszło do szczytu, gdy narodził się im synek, któremu dano imię Yaichi. Młoda mężatka pomimo obowiązków rodzinnych nie porzuciła pracy literackiej, tworząc pilnie nowe wiersze, a coraz to piękniejsze, coraz subtelniejsze. Krzątając się przy domu pewnego dnia Chiyo wyszła przed dom, by zaczerpnąć wody ze studni. Naraz widzi, że drązek bambusowy, na którym podwieszono było

Kioto. Willa dawnego Shoguna





Projekt Henryka Kuny



Projekt Xawerego Dunikowskiego

Sąd konkursowy komitetu stołecznego budowy pomnika Murszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie, pod przewodnictwem gen. br. Kazimierza

Sosnkowskiego postanowił nie przyznać nagrody, natomiast dopełniając zobowiązań, przewidzianych i ustalonych w warunkach konkursu podzielić

kwotę 50.000 zł po połowie pomiędzy art. rzeźb. Xawerego Dunikowskiego i art. rzeźb. Henryka Kunę.

wiadro. opłotła gałązka powoju. Przez chwilę przyglądała się z upodobaniem wiotkiej roślinie, rozważając, co tu począć. Ten powój czyż nie był symbolem słabego dziecka szukającego z ufnością oparcia u matki? I jakże tu pozbyć go tej podpory? Jest przecież studnia w sąsiedztwie! Ta myśl natchnęła ją dołożenia nowego wiersza:

*Asagao ni
Tusuruba torarete
murai midzu.*

*„Powój zabral wiadro.
Pójdę do sąsiadki
Prosić ją o wodę”.*

Artystyczna wrażliwość jej umysłu przejawiała się we wszystkim. Jak każda Japonka, kochała kwiaty i z niezwykłym znanstwem układała je w wazonie, który stawiała w „tokonoma”. Uwielbiała zwłaszcza irysy o długich, wąskich liściach na kształt miecza: są one symbolem chłopców, przyszłych rycerzy, a przecież ona miała syna. Więc o irysach skomponowała bardzo wdzięczną haikai:

*Midzu ga kaki
Midzu ga keshiken
Kakitsubata.*

*„Jakże ładnie w tafli wody
Odbijają się irysy,
Chociaż prędko zanikają”.*

Pogodne życie poetki wypełnione miłością i sztuką zostało magle zachmurzone: w roku 1726 zapada na zdrowiu jej mąż. Dzień i noc pielęgnuje chorego, ale nadaremnie: śmierć bezlitosna wydarła jej ukochanego. Zostało ich tylko dwoje, ona i synek. Teraz już w twardej walce o byt rzadziej może oddawać się ulubionej literaturze. Tylko wieczorami, gdy malec zasypia, chwytą pędzel i w ciszy nocnej tworzy. Ale los zawistny i tę resztę szczęścia jej odbiera: nagle umiera jej jedynak. Matka jest w rozpacz, czuje się wytrącona z życia. Najdrożsi jej odeszli, ale ich duchy teraz stały się świętymi „kami” i z pewnością czuwają nad nią. Więc modli się do nich i na ich cześć stawia na półce w tokonoma świece pachnącej i składa ofiary. W domu wszystko jej przypomina ukochane dziecko. Nawet zabroniła zaciągnąć świeczym papierem „siodzi”, które zostało podziurawione palcami jej synka. Nie jedną noc przesiedziała przed tymi rozsuwanymi drzwiami w słuchując się w szelest papieru za każdym podmuchem wiatru, co rozrywał go powoli. A gdy wreszcie papier musiano znieść, i to nie rozproszyło jej tęsknoty. Pod jej wpływem powstał taki wiersz:

*Tombo tsuri
Kyo wa doko made
Itto yara?*

*„Gdzie mój myśliwy?
Dokąd za ważką (tombo)
Pognął mój chłopiec?”*

Wkrótce po stracie męża wydała zbiór poezji pod tytułem: „Ciyodzi Kusiu”. Nie mogąc jednak przeboleć rozstania się z ukochanymi, wstąpiła do jednego z licznych w Japonii klasztorów. Miała już wówczas 53 lata. Ale w otoczeniu pospolitych i przyziemnych mniszek czuła się nie swojo. Nie siedziała więc na miejscu. cały czas aż do śmierci w roku 1775 ciągle podróżowała podobnie jak niegdyś poeta Basio, co też wciąż wędrował, szukając natchnień w nieśmiertelnym pięknie ziemi japońskiej. gdzie bujnie krzewią się kwiaty poezji!

Maria Juszkiewiczowa





Nad polskim morzem czuwa straż. Oto kontrtorpedowce „Wicher” i „Burza”, prujące fale Bałtyku



Japońska radiostacja polowa przy

Z POLSKI I



Dwa światy — dwa żniwa. W tym samym już zwożą



...y na froncie wojny w Chinach



„Ludzie na sprzedaż”. Prawdziwie amerykański pomysł mieli kandydaci do małżeństwa, wystawiając się na licytacje publiczną w parku zabaw

ZE ŚWIATA

...e gdy u nas wre praca w polu, Chińczycy
...tą bawełnę





Nad polskim morzem szaro strom. Dwa krążowniki „Wisconsin” i „Oregon”, przepływające Baltyk.



Japońskie oddziały polowa przy granicy wojny w Chinach.



„Ludzie na sprzedaż”. Przewodniczący amerykański parlament zwraca się do publiczności, wystawiając na sprzedaż publicznie w parku zabawy.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA



Dwa światy - dwa światy. W tym samym czasie gdy u nas wstaje w pole, Chłopczy już borykać się muszą z głodem.



PODSTAWY HISTORYCZNE PAŃSTWO- WOŚCI SZWAJCARSKIEJ

Wzrost prądów nacjonalistycznych w Europie, a ostatnio upadek państwa — mozaiki narodowościowej, Czechosłowacji, zaktualizował na nowo, od dawna dyskutowany, problem stosunku granic narodowych od państwowych. Jest to zagadnienie niemal wyłącznie europejskie. (Ameryce prawie nieznanie), powstałe w dobie romantyzmu XIX wieku, spotęgowane po wojnie światowej i upadku monarchii opartych na więzach ponadnarodowych legitymizmu (Austria).

Jeśli jednak mówimy o tym problemie i wskazujemy na kruche podstawy ideologiczne, na jakich mimo wszystkich zewnętrznych okoliczności opierała się Czechosłowacja, to trudno pominąć odosobniony w stosunkach europejskich, ale szczególnie charakterystyczny przykład wielowickowego współżycia kilku grup różnoplemiennych w Szwajcarii. Przykład tego, w gruncie rzeczy narodowościowo jednolitego, a tylko wyznaniowo, językowo i pod względem pochodzenia różnorodnego, państwa odegrał niewątpliwie swoją rolę zarówno w czasie kongresu pokojowego, jak i w dyskusjach mniejszościowych w Lidze Narodów, a ostatnio nawet w pomonachijskiej Czechosłowacji myślano o analogiach ze Szwajcarią, stale zapominając, że ten raj i ideał współżycia ludzi nie powstał jednak z dnia na dzień w wyniku targów i układów międzynarodowych, ale rozwinął się w ciągu wieków.

Dlatego też niezwykle aktualna wyda się wydana niedawno broszura¹⁾ szwajcarskiego historyka Näfa, który na kilkudziesięciu stronicach (zawierających przedruk czterech wykładów) dał nam genezę owej odrębności szwajcarskiej i wskazał głębsze przyczyny owej dziwnej w dzisiejszych czasach narodowości, która nie pokrywa się ani z pochodzeniem, ani językiem, ani też wyznaniem ludności, a choć jej źródłem jest przynależność do państwa, to nie jest jednak czymś zewnętrznym, formalnym, ale przenika do głębi przekonania każdego obywatela.

Ustrój Szwajcarii, położonej dosłownie w sercu Europy, rozwijał się zresztą zupełnie odrębnie od reszty Europy, na co nie bez wpływu było też górskie i mało przystępne położenie kraju, zamieszkałego już we wczesnym średniowieczu przez Retów, Celtów i Germanów (zwłaszcza Burgundów). Właściwej genezy państwowości szwajcarskiej szukać jednak musimy dopiero w późnym średniowieczu, a przynajmniej w w. XI — XII, gdy większa część dzisiejszej Szwajcarii wchodził w skład świętego cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego. Jest to okres późnego w części już zdegenerowanego feudalizmu i przekazywania władzy młodszej na pewnych ziemiach w ręce potężnych lenników. Na tym tle wyrasta właśnie związek kantonów szwajcarskich, które waleczą o bezpośredniość swego stosunku do cesarza i bronią się przed podkianiem ich książętom,

głównie austriackim. Związki terytorialne tego rodzaju nie były w średniowieczu rzadkością, było to zjawisko analogiczne do związku miast (np. słynnej Hanzy), miało zaś wielkie znaczenie o tyle, że skupiało różne stany (gminy miejskie i wiejskie, szlachtę, wolnych chłopów, mieszczan etc.), a wygaśnięcie rodzinnych szwajcarskich dynastii magnackich ułatwiało zementowanie kantonów.

Wiek XIII — doba walki papieża z Hohenstaufami jest dla Szwajcarów, podobnie zresztą, jak i dla miast włoskich, okresem niezależnienia faktycznego: już w 1231 r. najstarsze kantony górskie Schwyz i Uri uzyskują od cesarza prawo bezpośredniej zależności od korony. Nie uchroni ich to oczywiście od walk (w 1315 roku pod Mortangen zadają klęskę księciu Leopoldowi austriackiemu) a legendy o Tellu i Gesslerze, mitycznym wojcie cesarza Albrechta I Habsburga są tylko potwierdzeniem, iż niezależność Szwajcarów wyrastała stopniowo w ciężkich bojach: tworzyła się wprawdzie faktycznie, a dopiero potem znajdowała prawne potwierdzenie.

W ogniu walk z sąsiadami (oprócz Austrii przede wszystkim z potężnymi lennikami królów francuskich, książętami Burgundii) rozszerza się Szwajcaria terytorialnie: podhoje wprawdzie mało przynoszą kantonom nabytków (znaczna część niemieckich ziem Szwajcarii włączona została w ten sposób i później dopiero się zasymilowała), liczenie natomiast przystępują do związku (Eidgenossenschaft, co dosłownie znaczy sprzyście) okoliczne miasta i sfederowane okręgi wiejskie. Ten szybki rozrost trwa mniej więcej do końca wieku XV — do chwili właściwego oderwania się Szwajcarii od Rzeszy (1499).

Szwajcaria, złożona z szeregu różnorodnych ustrojowo (obok klasycznych przykładów chłopskiej bezpośredniej demokracji spotykamy tu w tym czasie niemieckie patrycjuszowsko-arystokratyczne rządzone kantony) części, stanowi już jednak wtedy dość dobrze zorganizowaną całość, której nie zdołają rozsadzić nawet tak ostre w XVI wieku walki religijne poszczególnych (katolickich, kalwińskich, zwinglikańskich) kantonów. Rozbicie centralnej władzy cesarskiej w Niemczech jeszcze bardziej umacnia państwowość szwajcarską (uznaną de jure dopiero pokojem westfalskim 1647 — 48 r.), ale zarazem zamyka ich we własnych partykularnych granicach, a „wielkie” polityczne zamiary Szwajcarów którzy w wiekach poprzednich często uczestniczyli w walkach Bawarów z Habsburgami (przeciw Austrii), znikają już w czasach nowożytnych bezpowrotnie. Aż do rewolucji francuskiej Szwajcaria żyje własnym życiem politycznym, jedynie tylko w zakresie doktryn religijnych (Kalwin, Zwingli, Oekolampadius) promieniuje na Europę.

Rewolucja francuska i wojny koalicyjne zmywają na krótko tę, pięć wieków już trwającą republikę związkową. W ostatnich latach XVIII wieku powstaje w

jej miejsce, zależna od Paryża, jednolita i centralistyczna, republika helwecka, a dopiero upadek Napoleona i kongres wiedeński przywraca dawny teraz bardzo luźno ze sobą spojony, Związek szwajcarski. Mimo to wszakże fala rewolucyjna nie da się już zmyć, a indywidualistyczne akcenty przeszezczone z Francji dają w zestawieniu z tradycyjną korporacyjnością szwajcarską — syntezę w postaci dzisiejszej demokracji helweckiej.

Ten proces kształtowania ustroju państwa w XIX wieku również nie odbył się tak od razu i spokojnie: poprzedzili go ciężkie walki liberałów z konserwatystami, zakończone konfliktem kantonów w 1847 roku i nadaniem w 1848 dzisiejszej konstytucji i ustroju federacyjnego. (Od 1815 — 1848 była bowiem Szwajcaria nie państwem związkowym, ale konfederacją — związkiem państw-kantonów). Z tego okresu datuje się również szwajcarska zasada neutralności — zagadnienie po dziś dzień najistotniejsze w całym życiu politycznym Szwajcarii.

Neutralność Szwajcarii, jak to podkreśla Näf, wypyka z woli ludności, aprobowanej przez mocarstwa, różni się więc od sytuacji Belgii, której w 1830 — 31 r. — w chwili powstania państwa, narzucono neutralność. Swą neutralność pojmują Szwajcarzy niemal fanatycznie: potwierdziła to nie tylko wojna światowa, kiedy wysokich dygnitarzy państwa dymisjonowano za próby doprowadzenia do odrębnego pokoju państw centralnych z Rosją, ale nawet czasy ostatnie, gdy rząd szwajcarski z wielką rezerwą odnosił się do wszelkich prób zorganizowania zbiorowego bezpieczeństwa przez Ligę Narodów, obawiał się bowiem, że sankcje międzynarodowe zmuszą Szwajcarię do porzucenia dotychczasowej postawy w Europie.

Dzisiejszy ustrój neutralnej Szwajcarii przeżył już dwie wojny: francusko-pruską i światową. Nie same jednak papierowe gwarancje przesądziły o całości Szwajcarii: a na szeroką skalę zorganizowane zarządzania wojskowe (zarówno w chwilach wybuchu tamtych konfliktów, tak samo i dziś każdorazowo, gdy sytuacja europejska ulega zaostreniu) wskazują, że i sami Szwajcarzy zdają sobie sprawę ze strategicznej roli swego kraju i z tego, że neutralności nie wystarczy ogłosić, a potrzeba ją obronić.

Nie papierowe gwarancje jednak, ani nie siła, w gruncie rzeczy, mimo neutralnej obronności kraju, siła zbrojna jest przyczyną, że Szwajcaria istotnie liczyć może na zachowanie swego bytu politycznego: przyczyna tkwi w podejściu Szwajcarów do sprawy neutralności; nie jest to neutralność sytego lub zagrożonego z powodu dawnych nabytków, lecz podobnie jak w Skandynawii, jest to neutralność strukturalna — system nieco egoistycznej może izolacji i partykularyzmu, ale jedyna chyba trafna droga dla państw małych, położonych wśród rywalizujących mocarstw. To też jak stwierdza Näf, Szwajcaria bez trudu zrezygnowała z szerszych, mocarstwowych planów, poprzestaje na planach małych, a czyni to „bez rezygnacji i bez ubocznych spojrzeń na te winogrona, które w przyszłości mogłyby się okazać gorzkie”.

¹⁾ Werner Näf: Die Schweiz in Europa. Die Entwicklung des schweizerischen Staates im Rahmen der europäischen Geschichte. Bern 1938. Verlag Herbert Lang et Cie. Str. 62.



Maksymilian Gierymski

Alarm w obozie powstańczym

Aleksander Orłowski

Bitwa pod Raszynem



Jan Matejko

Władysław IV pod Smoleńskiem

Z WYSTAWY
BATALISTYCZNEJ
W INSTYTUCIE
PROPAGANDY SZTUKI



Z PRZESZŁOŚCI PLACU ZAMKOWEGO

Nieregularny trójkątny plac zawarty między fasadą zamku a linią domów staromiejskich, łączący się z również obszernym, załamany placem, stanowiącym wstęp do zjazdu mostowego, jest dziełem przypadku — konglomeratem warstw historycznych i zamierzeń urbanistycznych, realizowanych praktycznie choć niekoniecznie szczęśliwie.

Miejsce dzisiejszego zjazdu mostowego zajmował, jak to jest zresztą ogólnie wiadome, kościół i klasztor Bernardynek, stanowiący najbliższe sąsiedztwo zamku, jak to przedstawiają stare sztychy a przede wszystkim obraz Canaletta, zatytułowany „Zamek królewski po pożarze w r. 1767“, ofiarowany przez hr. Potockich do zbiorów państwowych. Pomiedzy klasztorem a zamkiem biegła ulica Grodzka. Właściwy plac zamkowy zawarty między fasadą zamku a linią domów staromiejskich powstał w czasach Królestwa Kongresowego po zburzeniu około r. 1818 budynków otaczających trzeci zamkowy dziedziniec zwany Stajenny albo Apteczny oraz starej Bramy Krakowskiej. Dziedziniec Stajenny powstał jeszcze w epoce Wazów. Był kształtu trójkąta. Składał się z dwóch części, mniejszej w szczycie trójkąta i większej u jego podstawy. Do większej części prowadziła mniej więcej na wprost Piwnej założona ozdobna barokowa brama z herbami Wazów, zwana Świętojańska. Wzdłuż zabudowań dziedzińca Stajennego biegła nieforemna ulica zamknięta gmachem Bramy Krakowskiej, dającej przejazd na Senatorską i Krakowskie Przedmieście. Przez gmach Bramy Krakowskiej linia domów Podwała łączyła się z zabudowaniami zamkowego dziedzińca. Brama Krakowska początkiem swoim sięgała wieku XIV, była to istotnie brama w wieży wchodzącej w skład średniowiecz-

nych obwarowań Warszawy. Za Jana III Brama Krakowska została rozszerzona i przebudowana i stała się gmachem barokowym, uwiecznionym na szczycie herbem Sobieskich, Janiną i ozdobionym posągami, zachowanymi przy rozbiórce Bramy i znajdującymi się dziś wśród figur, zdobitych atakę palacu Namiestnikowskiego (dziś Prezydium Rady Ministrów). We wnętrzu przebudowanego gmachu znajdowały się pokoje mieszkalne. W końcu wieku XVIII zamieszkiwał gmach Merliniego.

W czasach Stanisława Augusta w związku z projektami przebudowy zamku narzucała się konieczność uporządkowania otoczenia. Przebudowa zamku dokonana przez Augusta III dotyczyła tylko nowej fasady od Wisły, wzniesionej przez Knöfla według projektu Chiaverego. Stanisław August odbudował zniszczone pożarem skrzydło od strony ulicy Grodzkiej, przebudował i ozdobił wielki dziedziniec wewnętrzny a wewnątrz zamku urządził wnętrza do dziś zachowane. Zamierzano daleko idącą przebudowę zamku od zewnątrz.

Architekci królewscy, Fontana, Kamsetzer, Merlini, a z poza ich grona architekt warszawski Schroeger i paryski Louis, przygotowali szereg projektów, zachowanych w tekach Stanisława Augusta dziś w Gabinetcie Rycin Uniwersytetu J. Piłsudskiego w Warszawie.

Najwięcej trudności ze względu na swój już wówczas archaiczny styl następczała fasada od strony dziedzińca Stajennego. Przebudowa jej i odsłonięcie narzucało konieczność zlikwidowania dziedzińca.

Plany te i projekty omówił po raz pierwszy prof. Tatarkiewicz akurat ćwierć



NIGDY NIE JEST ZAPÓŹNO

myśleć o zdrowiu, tym bardziej, jeżeli cierpisz na choroby NEREK, PĘCHERZA, WĄTRÓBY, KAMIENI ŻOŁCIOWYCH, ZŁEJ PRZEMIANY MATERII, na bóle artretyczne czy podagryczne, wzdęcia brzucha, odbijanie się lub skłonności do obstrukcji — Pamiętaj, że nigdy nie będzie za późno, o ile używać będziesz ziół moczopędnych „D I U R O L“ Gaseckiego, które zapobiegają gromadzeniu się kwasu moczowego i innych szkodliwych dla zdrowia substancji zatrzymujących organizm. Dziś jeszcze kup pudełeczko ziół „D I U R O L“ Gaseckiego, a przekonasz się o dodatnich skutkach ich działania zalecać będziesz swym znajomym. Sposób użycia na opakowaniu. Oryginalne zioła „D I U R O L“ Gaseckiego (Z KOGUTKIEM) sprzedaje apteki i składki apteczne.

wieku temu (vide Tatarkiewicz Wł. O materiałach dotyczących zamku warszawskiego. Sprawozdania z posiedzeń Twa Naukowego Warszawskiego Wydział I — II. Rok VII 1914).

Louis w środku fasady chciał otworzyć przejazd z wysokimi kolumnami a przed nim wyrzucić na plac duże, owalne w planie kolumnady na wzór kolumnad Berniniego w Rzymie. Fontana projektował przedłużenie północnego i południowego skrzydła zamku przez duże ryzality, które wychodząc daleko przed główną linię fasady, tworzyłyby zamknięty z trzech stron dziedziniec w miejscu dziedzińca Stajennego.

Ten to projekt jest tutaj reprodukowany (Gab. Rycin U. J. P. teka Stan Aug. 191, ol. 16). Inny projekt Fontany przewiduje zatoczenie na wprost fasady zamku półkolistej linii domów z wieżą pośrodku i nlicami promieniście z placu w ten sposób utworzonego wybiegającymi. W ostatnim swym projekcie już po śmierci przez Kamsetzera wykończonym projektował Fontana zburzyć fasadę i połączyć projektowany w miejscu dziedzińca Stajennego plac z wewnętrznym zamkowym dziedzińcem. Do tego pomysłu nawiązywali w swych projektach Kamsetzer i Merlini. Na pilną uwagę zasługuje projekt Schroegera, omówiony i reprodukowany w cennicy pracy prof. O. Sosnowskiego p. t. Powstanie, układ i cechy charakterystyczne sieci ulicznej na obszarze wielkiej Warszawy. Studia do dziejów sztuki w Polsce Tom II. W-wa 1930). Przewodnią myślą kompozycji Schroegera jest oś Krakowskiego Przedmieścia dwukrotnie załamana i poprowadzona przez środek projektowanego przed zamkiem placu. Fasada zamku zasłonięta potężną kolumnadą z bramą pośrodku w miejsce wieży Zygmuntofskiej. Analogiczna fasada pomyślana jest po stronie przeciwnej na wyrównanej linii domów. Dwie te kolumnady obejmują plac zwięzający się w głąb i zamknięty świątynią centralną o czterech portykach, ukoronowaną kopułą. Dla symetrii do kolumny Zygmunta po drugiej stronie osi kompozycji pomyślana jest druga kolumna. Załamanie osi szerokiej części Krakowskiego przedmieścia również uwzględnia wyrównanie linii budowlanej w miejscu kościoła Bernardynek.

Wśród projektów Merliniego najciekawszy jako ukształtowanie urbanistyczne jest wcześniejszy z jego projektów tutaj reprodukowany (Gab. Rycin U. J. P. teka Stan. Aug. 191, pl. 42). Projekt ten przewiduje zburzenie klasztoru Bernardynek, wzniesienie w jego miejscu równoległego

Projekt Merliniego rozbudowy Zamku i nowego placu. Gabinet rycin Bibl. Narodowej. Zbiór Wilanowski



do zamku gmachu teatru i połączenie go z zamkiem za pomocą ażurowej kolosalnej kolumnady, pośrodku której miał się wznosić centralny gmach z kopułą i portykiem. Dziedziniec Stajenny miał być zastąpiony pustym placem.

Na uboczu od tek królewskich i projektów architektów zawodowych leżą pomysły dyletanta wprawdzie, lecz człowieka o wielkim zmyśle do sztuki a zarazem jej teoretyka, Stanisława Kostki Potockiego, omówionego już przez autora niniejszego szkicu w Tygodniku Ilustrowanym w artykule p. t. Fantazja wielkiego pana (T. III. 1939. Nr. 12).

Projekty Potockiego powstały w roku 1791 z okazji zamierzonej budowy świątyni Opatrzności. Ciekawe są także dlatego, że w swoich pomysłach Potocki nie trzymał się miejsce wyznaczonego w konkursie królewskim (na terenie ogrodu Botanicznego), lecz umieszczał świątynię



Stanisława Kostki Potockiego projekt rozbudowy Zamku i nowego placu
Gabinet rycin Bibl. Narodowej. Zbiór Wilanowski



Fontany projekt przebudowy Zamku i dziedzińca. Gabinet rycin U. J. P. Zbiór
Stanisława Augusta

raz na powiększonym placu Trzech Krzyży, raz w sąsiedztwie zamku. Ten ostatni projekt przewiduje zburzenie kościoła i klasztoru Bernardynek oraz założenie na tyłach kościoła Bernardynów nowego zjazdu do mostu, wówczas na wprost Bednarskiej się znajdujące. Do nowej ulicy miało sięgać nowe skrzydło zamku mieszczące pośrodku świątynię. Dziedziniec Stajenny również miał być zlikwidowany. W perspektywie Krakowskiego Przedmieścia miał stanąć nowy pawilon. Sama świąty-

PRZED WYJAZDEM NA URLOP

NA WIEŚ
W GÓRY, NAD MORZE

Sz. Prenumeratory zechcą zawiadomić Administrację naszego pisma (Warszawa, Zgoda 12) o zmianie adresu, by mogli bez przerwy otrzymywać nadal „Tygodnik Ilustrowany” i „Naokoło Świata”.

Zmiana adresu bezpłatnie.

MORSKI PROGRAM RUMUNII

W Rumunii spuszczonej został na wodę pierwszy stawiacz min, jako nowa jednostka rumuńskiej floty wojennej, zbudowany całkowicie w krajowych stocznicach. W związku z tym bukareszteńska prasa poświęca dużo uwagi polityce morskiej Rumunii w ogóle.

Minister lotnictwa i marynarki generał Teodorescu, dokonując aktu wodowania stawiacza min, powiedział, że obecnie nastąpi seryjna budowa nowych okrętów, przeznaczonych do obrony wybrzeża rumuńskiego.

Ochrona wybrzeża uwzględnia dwa podstawowe zadania: bezpośrednią ochronę granicy morskiej i dostępu do Dunaju, jak również zabezpieczenie żeglugi rumuńskiej w kierunku cieśnin (Bosfor) gdyby okręty krążące w strefie wysp Dodekanazu zawędrowały zbyt daleko.

Wybrzeże rumuńskie, oblane wodami Morza Czarnego, ma długość 400 km i ciągnie się na odcinku ograniczonym z północo-wschodu, ujściem Dniestru w pobliżu m. Akkerman, a na południu granicą rumuńsko-bułgarską w pobliżu Warny.

Niebezpieczeństwo wylądowania, w

przypadku zbrojnego konfliktu, istnieje głównie w dwu miejscach: na południu Bessarabii (pomiędzy Bugazem a Zebriczni) oraz przy ujściu Dunaju na przylądku Midia.

Zgodnie z powyższymi zasadami rozwija się morską rozbudowa Rumunii. Kola miarodajne zwracają główną uwagę na budowę okrętów o małym tonażu, a natomiast o znacznej szybkości. Dla rumuńskiej floty wojennej niezbędne są wielkie pancerniki i łodzie podwodne. Wystarczą jej szybko poruszające się krążowniki, torpedowce, trawlerzy, stawiacze min, lotniskowce oraz okręty ćwiczebne.

Rozbudowa marynarki wojennej Rumunii ma charakter obronny, mając za zadanie ewentualne odparcie ataku. Właśnie dlatego wielkie znaczenie ma rozwój hydro-awiacji, a program morski rządu tej kwestii poświęca wiele uwagi.

Zygmunt Mann

SILNE LOTNICTWO
TO POTĘGA POLSKI

O SZTUCE CHODZENIA W DOBIE MOTORYZACJI

Przed kilkoma dniami zaobserwowałem sytuację, która pośrednio przyczyniła się do napisania tych rozważań z dziedziny technologii życia codziennego. Było tak: z autobusu miejskiego, który zatrzymał się właśnie na przystanku w ruchliwym i popularnym miejscu stolicy, przed wejściem do urzędu pocztowego Warszawa I na placu Napoleona, wysiadł pan w średnim wieku, z listem w ręku, spojrzal na zegar pocztowy i niespodzianie dla mnie, obserwatora, nie przeszedł tuż przed chłodnicą stojącego jeszcze autobusu, ale podszedł o parę kroków dalej, do rogu chodnika i stąd, po spojrzeniu w lewo poszedł na drugą stronę. Obserwacja ta byłaby niepełna, gdybym nie zauważył taksówki, która z dość dużą szybkością przejechała o ułamek sekundy przed owym panem, nie odgrywając już roli w samej procedurze przejścia na drugą stronę.

Pomyślałem sobie jednak co by było, gdyby ulegając nakazowi pośpiechu, pan, który wysiadł z autobusu, skrzył od razu obok chłodnicy, zaśnając sobie na ułamek sekundy widzenie z lewej strony? Oczywiście można by uniknąć wypadku, prawdopodobnie szofer taksówki zahamowałby silnie, pan z listem cofnąłby się, marnując szoferowi autobusu wysiłek włożony w uruchomieniu wozu, może by istotnie ten wypadek nie znalazł się w kronice coraz liczniejszych wypadków konfliktu piechura z maszyną... Takie rozmyślenia abstrakcyjne na pograniczu chodnika i jezdni zapoczątkowały niniejszy reportaż o praktycznych, użytkowych celach.

Antagonizm czy współpraca?

Statystyka stwierdzająca, że nasze życie nasycy się coraz bardziej mechanicznymi środkami lokomocji, stawia człowieka, mającego do dyspozycji dla pokonywania przestrzeni własne nogi, w trudne położenie. Zapewne z radością czyta on cyfrę pnącą się wwyż: meldunek o przekroczeniu szóstego dziesiątka tysięcy samochodów i motocykli, ale jednocześnie czuje swoje upośledzenie, jest tym, który, jeżeli chodzi o stolicę, należy do grupy 100 mieszkańców (domyślnie: piechurów na jeden samochód). Takie zestawienie, świadczące o wybitnych nierównościach społecznych, uspasabia piechura kosztownie. Człowiek zmuszony od czasu do czasu do znalezienia się na jezdni, skłonny jest wszystkie jej niebezpieczeństwa i groźby przypisać nieznośnym kierowcom, rozwijającym zbyt wielką szybkość, harcom motocyklowo-samochodowym itp. W atmosferze wielkiego miasta unosi się ten antagonizm człowieka idącego do człowieka, jadącego samochodem. Taki sam antagonizm zresztą dzielił dawniej spacerowicza w Alejach Ujazdowskich od eleganckiego jeźdźca na koniu, odprowadzanego życzeniem, jakim się dziś żegna lotników.

To powierzchowne przeciwieństwo idącego i jadącego zawiesza swe funkcje od chwili, gdy idący zmienia się w jadącego, gdy siada do taksówki i śpieszy się

pomagając kierowcy w przeklinaniu i oczernianiu wydzielonego narodu piechurów. Słowem, od chwili, gdy powstaje zagadnienie własnego stosunku do czasu potrzebnego dla przebycia pewnej odległości, zmienia się również ocena zjawisk i antagonizm wciąga niedawnego żołnierza obozu piechurów na drugą stronę barykady.

Słowem: antagonizm istnieje. Oparty jest na przesłankach psychologicznych i społecznych. Antagonizm musi być zwalczony w pierwszej linii, przez argument wartości społecznych i przez plan taki jest, przez Plan Piechura. A co to znaczy Plan Piechura, wyjaśnimy nieco dalej.

Pierwsza strefa rozmyślań

Muszę sobie uświadomić — tak mówi piechur do siebie — czym jest właściwie motoryzacja, czyli wprowadzanie do naszego życia komunikacyjnego jak największej liczby mechanicznych środków lokomocji? Jest w pierwszym rzędzie walką z czasem. Tak jest. Bogate społeczeństwa, na przykład amerykańskie, dążą przez motoryzację do stworzenia funduszu oszczędności czasowych. Wszystkie zadania, jakie człowiek czynny wykonuje, odbywają się w przestrzeni i czasie. Jeżeli odległość 100 km., dzieląca mnie od miejsca, w którym jestem teraz, do miejsca, gdzie mam załatwić sprawę, pokonana zostanie nie w sześć godzin, a w dwie, to znaczy, że zaoszczędziłem dla innych działań cztery godziny. Ta arytmetyka, na pozór prosta w sobie, jest symbolem naszych czasów.

Mała maszyna, na której piszę niniejsze rozważania, ma na znaku firmy napis „oszczędzać czas — to przedłużać życie”. Oczywiście maszyna jest amerykańska i jest jednym z odcinków motoryzacji i mechanizacji naszego życia. Ale wróćmy do piechura.

Człowiek chodzący pieszo dochodzi więc do wniosku, że dzięki wzrastającej liczbie samochodów wzrasta oszczędność czasu w jakimś przestrzennym P. K. O. i,

że przecież istnieją takie sytuacje, kiedy on sam musi sięgnąć do swojej czasowej książeczki oszczędności, do taksówki, stojącej na rogu którejś ulicy. Im więcej tych taksówek, tym większa pewność zaoszczędzenia czasu w właściwym momencie: słowem, nasycenie przestrzeni samochodami jest gwarancją pokonania jej w czasie. Oczywiście w czasie innym, niż dawny, czasie krótszym.

Ale wciąż jeszcze chodzę — myśli sobie piechur — podczas kiedy mijają mnie samochody. I myśli dalej: czas tych ludzi, którzy siedzą w samochodzie, jest w tej chwili więcej wart od mojego. Właśnie dlatego, że się śpieszą, a ja chodzę. Czyli, że muszę swój marsz podporządkować nadrzędnemu interesowi ich jazdy, czyli, że musi dojść do takiego układu między nami, w którym nasze interesy nie mogą się kłócić. Z chwilą bowiem, gdy idę pieszo w pośpiechu czy powoli, muszę się znaleźć na punktach stycznych z ich absolutnie pośpiesznym ruchem. Ich szybkość jest przeciwieństwem mojej potrzeby bezpieczeństwa, ale ich czas jest w tych samych wymiarach godzin o ileś tam razy droższy od mojego, więc. Więc...

Druga strefa rozmyślań

Jeżeli nasz piechur nie myślał jeszcze kategoriami wyższej użyteczności, jak obronność państwa, rola gospodarcza samochodu, to nie dlatego, by tych ogromnie ważnych rzeczy nie doceniał. Po prostu zmierzał od wywodu abstrakcyjnego do ograniczonego zakresu swoich codziennych potrzeb. Podkreślam swoich, egoistycznych, a więc dominujących, co tu dużo gadać, w psychice każdego z nas.

A oto dalszy ciąg rozmyślań piechura: jestem jednym z miliona dwustu tysięcy mieszkańców Warszawy. Ruch motorowy poza jej granicami jest dla mnie abstrakcją. Kiedy wyjeżdżam, używam pociągu. Zresztą w proporcjach dróg, jakie się przed samochodem otwierają po opuszczeniu granic miasta, wygląda cała sprawa zupełnie inaczej. Mnie, piechura, obchodzi kilka dziesiątek ulic, na których muszę się zjawić z rąk drogi do pracy, drogi po rozrywkę, drogi na czysty spacer itd. Pocucie absolutnego bezpieczeństwa przed demonem szybkości, wcielaniemi cudzych oszczędności czasowych, mam albo w domu, w mieszkaniu, leżącym na innej płaszczyźnie przestrzennej, niż teren ruchu, albo że tak nazwę, w portach, do których udało mi się dotrzeć, a więc w biurze, mieszkaniu znajomych, kinie, teatrze lub chodniku spacerowym na jego odcinkach między jezdniami. Reszta to świat groźnych dla mnie niebezpieczeństw, dla których pokonania muszę zużyć pewien wysiłek psychiczny i fizyczny. Muszę skupiać uwagę, przyspieszać rytm chodzenia, a więc rytm oddechu i serca itp.

To wszystko znaczy, że póki jestem w zamkniętych portach bezpieczeństwa i na odcinkach ciszy, póty jestem poza obrębem zagadnienia. Ale w chwili, gdy przekraczam granicę chodnika i jezdni, staję się problemem do rozwiązania dla trzech osób, oczywiście teoretycznie, bo

Przechodzień, który ma swoje „widzimisie”



wraz z nasyceniem jezdni środkami lokomocji staje się problemem dla wielu osób. A co najgorsze, zasadniczą sytuacją jest stan wzajemnej niewiedzy i wrogości między nami, to jest, między mną, piechurą, policjantem zajmującym się sprawami ruchu i szoferem, kapitalizatorem czasu na drogach miasta.

Wiem z doświadczenia, że są pory dnia, kiedy kilkaset tysięcy mieszkańców miasta odciaża arterie komunikacyjne przez przechywanie na płaszczyznach niezależnych od ruchu, na piętrach mieszkań, urzędów i biur. Wiem również, że o określonych porach nasycamy, zwielokrotniamy trudności i niebezpieczeństwa dróg, ulic, współczynników walki z czasem i oszczędności czasowych. Więc...

Plan Piechura

Tu docieramy do Planu Piechura. Wyszedłszy z założenia, że cyrkulacja ludzi pieszych po mieście jest wynikiem różnych kategorii ich potrzeb, czasowo mniej wartościowych od potrzeb ludzi w maszynach, wyszedłszy z założenia, że cyrkulacja ludzi pieszych w stosunku do ludzi w maszynach ma aspekt psychologiczny, społeczno-państwowy i egoistyczny, że właściwie pojęte ruchy człowieka piechurą są gwarancją ocalenia go przed kalectwem i śmiercią, są zagadnieniem oszczędności maszyn i urządzeń hamujących, że wreszcie na drodze antagonizmu piechur będzie zawsze stroną przegrywaną, trzeba sobie powiedzieć: w życiu Piechura musi powstać Plan. Taki sam plan, jaki obowiązuje koleje i tramwaje, rozkład jazdy, czyli rozkład marszu.

Plan piechura powstaje z autoobserwacji. Piechur zaczyna swoją analizę pobytu i dróg w mieście od ustalenia, że najbardziej skoordynowaną częścią jego ruchów na mieście, jest droga do i od miejsca pracy. Tam bowiem zasada oszczędności czasu ustaliła najlepsze środki, najkrótszy czas, najdogodniejsze przejścia, znajomość całej trasy. Na tych drogach i w tym czasie jest piechur, lub piechur skombinowany z miejskim środkiem lokomocji, najpewniejszym. Powtórzenie wielokrotne służy do utrwalenia systemu bezpieczeństwa na drodze, do systemu celowych spojrzeń i zahamowań itd.

Trzeba wszystkie następnego wyjścia z portów bezpieczeństwa uczynić podobnymi do wędrówki na miejsce pracy. To znaczy, trzeba każdy zespół drogowy w znajomym mieście opracować sobie w myśli przed pójściem, opierając się na znajomości miasta, na punktach orientacyjnych, jak gmachy, pomniki itp. Wszystko to dla zrobienia jednej rzeczy, dla zmniejszenia do minimum miejsc przejściowych, czyli dla powiększenia szans bezpieczeństwa na ulicy.

Powstaje Plan Piechura, swoista filozofia chodzenia człowieka, który musi chodzić a chce wrócić, który obojętnie czyta wiadomości w gazecie o wypadkach na jezdni, ale chciałby swoim bliskim oszczędzić przeczytania własnego nazwiska.

Kilka założeń Planu Piechura

1. Bezpieczeństwo na liniach ruchu mam zagwarantowane tam, gdzie prócz



Jedno z najruchliwszych i najtrudniejszych dla piechura miejsc w Warszawie, przy Dworcu Głównym

mojej uwagi współpracuje ze mną uwaga osoby postrojonej, czyli tam, gdzie jest policjant, czyli tam, gdzie ruch jest regulowany, czyli tam, gdzie zmniejszenie się szybkości samochodu dochodzi niekiedy do zera.

2. Bezpieczeństwo na liniach ruchu gwarantują mi decyzje zespołu ludzi przechodzących, jestem bezpieczniejszy w grupie naszej, piechurów, niż w samotności na wszelkiej innej linii ruchu.

3. Grupa idąca na dany znak na drogą stronę mijają się z grupą idącą w stronę przeciwną, to znaczy, że obydwa kierunki ruchu na linii są bezpieczne.

4. Tajemnicą dobrego przejścia jest zsynchronizowanie się z siłą wykonawczą mającą władzę nad ludźmi maszyny, podczas kiedy ja, piechur, nie mam egzekutywy nad nim.

5. Każda droga w mieście nie poprzedzona przez plan marszu jest drogą niebezpieczną. Niema takiego miejsca w mieście, do którego nie można by się dostać z poprzedzającego albo następującego rogu ulicy, bez przechodzenia na wprost przez jezdnię.

Prawdziwa sztuka chodzenia

W ten sposób zbliżyliśmy się do finału naszego reportażu. Ale nie zaniedbujemy drobniaków, równie godnych uwagi i cennych. Przypuścimy, że mamy uplanowane dojście najkrótszą drogą, najcelowszymi przejściami do jakiegoś punktu, ale w tym planie chcemy poczynić drobne oszczędności. Okazuje się, że po przejściu większej części jezdni na miejscu do przechodzenia po linii prostej skracamy sobie resztę o przekątną. Staje się tak, że jednolity strumień przechodniów rozpryskuje się przy zbliżeniu do celu. Jest to błąd. Błąd w stosunku do kierującego ruchem, który przepuści ruch motorowy o ułamek sekundy później, błąd w stosunku do zespołu przechodzącego z drugiej strony jezdni. To jedno.

A drugie. Przechodzimy często wtedy, kiedy regulujący ruch wskazuje drogę wolną dalekiej na razie maszynie i faktycznie zamyka dla nas jezdnię. Co to

znaczy? Znaczy to, że aczkolwiek droga jest w praktyce wolna, to dla jej przechylenia w niepewnym stanie bezpieczeństwa, nie znamy howiemi szybkości odległej maszyny, musimy ją ocenić, zapewnić sobie dystans, podjechać jezdnią szybciej, uważając w obydwie strony, czynimy wysiłek psychiczny, męczymy się.

Wiele się mówiło o hałasach miasta, które niszczą współczesnego człowieka. Były to zjawiska z kategorii dostrzegalnych dla każdego. Drobne wysiłki, nie uzewnętrznione efektem hałasu, mają nie mniejsze znaczenie dla naszej organizacji psychicznej. Każdy zbędny wysiłek to uszczuplenie wewnętrznej substancji. Szybsze zużycie. A przecież nie chcemy się szybko zużywać, męczyć, niszczyć drogocenny mechanizm.

I stąd tylko krok do ostatniego wniosku, tym razem gospodarczego. Każdy niepotrzebny błąd w planie chodzenia, przejście przez jezdnię w miejscu dozwolonym dla ludzi maszyny i pędu, jest działaniem na szkodę gospodarki narodowej, jest akcją przeciwko psychice człowieka kierującego, więc pełniącemu wysiłek roboczy i przeciwko maszynie, która kosztowała spore sumy z majątku narodowego. Każde zbędne zahamowanie, to przedwcześnie zdarty tryb i opoma, to przedwcześnie zniszczona jezdnia, to źle zamortyzowany kapitał.

Prawdziwa sztuka chodzenia to jeszcze jedna forma walki z czasem o życie własne, o jego długość i jakość, o szereg wartości społecznych i gospodarczych, o plan życia zrealizowany na ważnym odcinku: życia w centrach norwowych państwa i narodu — w miastach. (M. S.).



NAJWAŻNIEJSZE SUROWCE ŚWIATA

Miedź związana jest przeważnie z ciałami innymi, jak antymon, żelazo, cynk, złoto, srebro, arsenik i bizmut oraz wchodzi w skład wielu stopów, że wymienimy tylko brąz, mosiądz, nowe srebro itd. Sole miedzi znajdują zastosowanie w przemyśle tekstylnym do drukowania tkanin oraz w hutach szklanych do barwienia szkła na czerwono i niebiesko.

Miedź znajduje zastosowanie w wielu przemysłach. Używa się jej do wyrobu drutu, kabli, aparatów browarnianych. w cukrownictwie i przy wyrobie sprzętów domowego użytku największym atoli konsumentem tego metalu jest przemysł elektrotechniczny.

Pod wpływem szybkiego wzrostu przemysłu elektrotechnicznego, produkcja miedzi, której ziemia posiada niewyczerpane prawie zapasy, poczęła w szalonym tempie wzrastać. Ilustracją tego wzrostu produkcji służyć może fakt, iż światowa produkcja miedzi, wynosząca w 1880 r. zaledwie 130.000 ton, w r. 1900 sięgała już 400.000 ton, w r. 1920 przekroczyła cyfrę 1.100.000 ton, zaś w 1937 r. wzrosła dalej do 1.848.600 ton.

Najbogatsze pokłady pirytów miedziowych znajdują się nad jeziorem Superieur, w Stanach Zjednoczonych, gdzie metal ten wydobywany jest w olbrzymich blokach ważących często ponad 1000 ton. Miedź ta jest prawie bez obcych domieszek. Drugie miejsce w światowej produkcji miedzi zajmuje pod względem ilości produkcji, jak też gatunku, zajmuje Chile. Miedź chilijska zawiera 60 — 80% czystego metalu z domieszką tlenku i piasku. Czwarte miejsce w produkcji światowej, tuż zaraz po Kanadzie, zajmuje Katanga w Kongo Belgijskim, której pokłady oceniane są przez fachowców jako najbogatsze na ziemi i której produkcja, przewiduje się, zajmie wkrótce pierwsze miejsce w świecie.

W Europie największymi producentami miedzi są Niemcy, Jugosławia i Hiszpania, najbogatsze jednak złoża tego cennego metalu są w Hiszpanii i Portugalii. Ciągną się one w prowincjach Huelva i Seville oraz w prowincji portugalskiej Alentejo na przestrzeni 230 km długości i 30 km szerokości. Złoża te, dotąd w słabej tylko mierze eksploatowane, są obecnie przedmiotem specjalnych zainteresowań Niemiec i Italii, które po otrzymaniu koncesyj, powołały do życia dwa mieszcane towarzystwa, które przystąpiły do eksploatacji na szeroką skalę.

Światowa produkcja miedzi w 1937 r. przedstawiała się następująco:

Stany Zjednoczone	557.000	ton
Chile	256.000	"
Kanada	191.000	"
Kongo (Katanga)	189.300	"
Rodezja Póln.	144.600	"
Niemcy	123.500	"
Z. S. R. R.	83.000	"
Japonia (Korea)	39.400	"
Meksyk	32.100	"
Unia Pol. Afr.	11.000	"
Szwecja	9.300	"
Hiszpania	9.300	"
Anglia	8.000	"
Indie Bryt.	7.300	"
Razem	1.848.600	ton

Wojna światowa stworzyła, tak jak na cały szereg innych metali i surowców, znaczny wzrost zapotrzebowania również i na miedź, wskutek czego produkcja tego metalu skoczyła gwałtownie z 987.000 ton w r. 1913 do 1.408.000 w r. 1918. Po wojnie, nastąpił silny spadek produkcji miedzi, który w r. 1921 wyraził się cyfrą 557.000 ton. Od tego czasu w związku z sytuacją polityczną w świecie i bezpośred-

nie z nią związanymi wciąż wzrastającymi zbrojeniami państw, produkcja miedzi przyjęła znów swój rytm przyspieszony i odtąd stale wzrasta.

Żywą ilustracją tego, jak bardzo wzrosło światowe zapotrzebowanie na miedź są ceny na ten metal na rynkach światowych. Cena więc za 100 kg miedzi wyrażała się w złotych, jak następuje:

W r. 1938 — 333; w r. 1932 — 131; w r. 1935 — 110; w r. 196 — 131; w roku 1937 — 179.

T E A T R

„ŚWIĘTY GAJ” (Teatr Narodowy)

Widz, który w upalnym, lipcowym wieczorze znalazł się w cienistym chłodzie „Świętego gaju” ma trudny problemat do rozwiązania. Walczą w nim dwa poglądy. Pamięta, że znajduje się w „Teatrze Narodowym” i że ma prawo do wymagań a przy tym jednocześnie bawi się bez zastrzeżeń, bez omówień i programowych pretensji. Dlatego może publiczność ma spektaklu ekłada się w połowie z malkontentów i w połowie ze szczerze rozbawionych i śmiejących się ludzi.

Malkontenci pomrukują w antrakcie: hm, Teatr Narodowy, pierwsza scena polska i taka komedijka, prawie skecz z nadscenki. Zadoleni powtarzają powiedzenie o „urzędowej kopercie, która wygląda niepoważnie” i cieszą się ze sprawy zapomnianych sześciu Muz... w ministerstwie kultury i sztuki.

Istotnie, nie należy wybierać się na „Święty Gaj” z wysokimi wymaganiami. Trzeba sobie powiedzieć, że lipiec to lipiec, że wolno sobie pozwolić na zabawę, na dobrze żarty, warte niejednego tynfa, na śmiech. A jest sporo przyczyn, dla których dyskretny i mniej dyskretny śmiech rozlega się na widowni Teatru Narodowego.

Wyobraźmy sobie bowiem kobietę — literatkę, której ambicje wprowadzają w ruch cały światek: małżonka, idealnego małżonka, ministra, panią ministrową, zakochanego ramola-arystokratę itd. Wszystko to krąży dokola zagadnienia wawrzynu akademickiego, tj. przepaszam, wstążeczki Legii Honorowej. Rzecz się bowiem dzieje we Francji.

Dlaczegoż więc nie śmiać się z całego serca, kiedy przypadek, znalezienie listu, wtajemnicza literatkę w prywatne życie pani ministrowej, kiedy rywalka do odznaczenia, literatka z prowincji, okazuje się starszym panem, który zdobył sekret powodzenia — damski pseudonim. Jak nie współczuć zakochanemu baronowi, który robi wszystko na złość damie swego serca... mimo woli? A wreszcie to ministerstwo sztuki i kulisy zdobywania wyróżnień.

A jeżeli kogoś razić może anachronizm farsowej postaci Rosjanina, to niech sobie przypomnieć raczej, że „Święty Gaj” liczy sobie przeszło trzydzieści lat. Napisany został w okresie gdy balety rosyjskie zdobywały Paryż i trzeba było na gwałt wyzyskać kapitalny motyw rosyjskich mecenasów sztuki.

„Święty Gaj”. P. Gorczyńska i p. Solariski



A że autorowie „Świętego Gaju“ znali rzemiosło teatralne jak mało kto, więc też ta ich komedia, choć nie najpierwszej klasy, szkicując tylko i nie mając większych ambicji, daje pole do wygrania się artystom, którzy istotnie bawią się chyba nie gorzej od widzowi.

Panie: Gorczyńska i Żeliska, kontrastowe w typie urody i gry, są filarami komedii, stanowiąc o jej wdzięku i lekkości. Pp. Łuszczewski, Chodecki, Solarski i Łapiński — nie zdobywają dzięki „Świątemu Gajowi“ nowych, ważnych pozycji w swym bogatym dorobku.

„PUBLICZNE ZGORZENIE“ (Teatr Letni)

Tu przynajmniej człowiek nie ma zgryźliwych myśli. Wiedział gdzie iść i czego wymaga. I otrzymuje swoje, tj. przedwojenną farsę wiedeńską, okraszoną kilku współczesnymi kawałami, zagraną żywo i zabawnie.

„Publiczne zgorzenie“ jest splotem niezwykłych sytuacji. Jest i mezalians między młodym dyplomata pochodzenia... mieszczańskiego a panną z prawdziwaj arystokracji. Jest zdeklasowany arystokrata, gotowy, oczywiście za odpowiednim wynagrodzeniem adoptować całą młodzież Wiednia, jest tancerka egzotyczna i uczony — profesor, znawca zagadnień rasowych. Jest i bogaty pan, który kupuje tytuł konsula Nigerii i jest wreszcie papuga, małpa i nawet mały lew. Słowem menażeria jakich mało.

Trzyma się to wszystko kupy dzięki niezliczonej ilości przypadków i tzw. po niemiecku „vorgeschichte“. Bo pointą całości jest fakt, iż rodzicem tancerki muzycznej jest właśnie profesor — rasolog i moralista.

Ale czy ważna jest fabuła takiej blahostki. Ważne jest to, że z przyjemnością patrzy się i słucha pani Zaklickiej, kapi-talnej Dorim, że strapienia pana konsula

„Publiczne zgorzenie“. P. J. Zaklicka



Scena zbiorowa z „Publicznego zgorzenia“. Pp. Zaklicka, Orwid, Grabowski i Tatariewicz

(Orwid) budzą naprawdę serdeczny śmiech, że p. Stojowska i Niczewska wyglądają ładnie i grają swobodnie, a pp. Grabowski i Tatariewicz są zabawnymi krewnymi z adoptacji.

Aluzje współczesne w nowej adaptacji polskiej są trafne i nie przejawione i mają u publiczności doskonale przyjęcie.

Z a s t ę p c a

Kultywuj kobiecość i sprawność mięśni

„Rozpoczęłam ćwiczenia rytmoplastyki zdrowotno-wyrównawczej w 1936 r. mówi jedna z wielu uczestniczek kursów Instytutu Kultury Fizycznej prof. Heleny Sokolowskiej, ważyłam wówczas 100 kg przy niskim wzroście, wskutek czego zadyszka, ociążałość i depresja odbierały mi chęć do życia. Po systematycznych ćwiczeniach waga stopniowo się zmniejszyła — dziś ważę 65 kg i mam serce w porządku — wróciła radość życia i energia młodej dziewczyny — a mam syna kilkunastoletniego“.

Zainteresowani takim wpływem ćwiczeń — odwiedziliśmy pionierkę systemu rytmoplastyki zdrowotnej w jej Instytucie przy ul. Marszałkowskiej 74 aby dowiedzieć się bliższych szczegółów o stosowaniu ćwiczeń. Smukła i pełna wdzięku postawa prof. Sokolowskiej jest dowodem skuteczności ćwiczeń przez nią stosowanych. Zapiski w „Złotej Księdze“ poinformowały nas, że w Instytucie ćwiczą osoby najbardziej osłabione, anemiczne, z nerwicą serca, artryticy, reumatycy z chorą wątrobą, żołądkiem i kiszeciami, przeważnie kierowani do Instytutu przez lekarzy. Jak widzimy Instytut prof. H. Sokolowskiej jest jedyną placówką, gdzie ćwiczą osoby ze schorzeniami i gdzie ćwiczenia są indywidualizowane stosownie do niedomagania, a efektem tych ćwiczeń są: linia, estetyka ruchów, zdrowie i radość życia.

„W swoim czasie walczyłam o szkołę polską — mówi prof. Sokolowska, po wieloletnich studiach w Szwecji, Anglii, Francji i Danii w Polsce już Odrodzonej walczyłam o sport polski na terenie parku Sobieskiego przy boisku s. p. płk. Osmólskiego, red. Gebethnerów, Olchowiczów i i n. Obecnie walczę ze złą przemianą materii i nieprawidłowym krążeniem krwi“.

Działalność prof. Sokolowskiej nie zamyka się w ramach jej Instytutu, pracuje ona też na terenie Min. Spr. Wojsk., Min. Oświaty, Rodzinie Po-

licyjnej, Państw. Zakł. Inż. oraz wielu instytucjach społecznych. Za działalność zawodową i społeczną odznaczona została Srebrnym Krzyżem Zasługi i odznaką honorową za Walkę o Szkołę Polską.

Czy jesteś członkiem L. O. P. P.

P. Żeliska i p. Łuszczewski w „Świątym Gaju“



2 GROSZE Kosztuje filiżanka

KAWY namiaszki SFINKS HABERBUSCH i SCHIELE

ZE SPÓŁEK AKCYJNYCH

W dniu 14 b. m., pod przewodnictwem p. mec. L. Altberg, odbyło się doroczne Ogólne Zebranie Akcjonariuszów Towarzystwa Przemysłu Metalowego K. RUDZKI I S-KA.

Ogólne Zebranie zatwierdziło wnioski Zarządu, mające na celu wysanowanie bilansu Towarzystwa, w związku z ostatecznym ukończeniem likwidacji dawnej warszawskiej fabryki, należącej do Firmy oraz terenów na Grochowie, sprzedanych Zarządowi m. st. Warszawy, a uznanych uprzednio przez odnośne władze za obiekt, mający charakter zabytku historycznego.

W związku z propozycjami Zarządu i decyzją Ogólnego Zebrania, kapitał akcyjny Towarzystwa wynosić będzie zł 1.250.000, podzielony na 12.500 akcji po zł 100 nominalnej wartości każda.

Z powyższych liczb 1.700 akcji będzie imiennych, uprzywilejowanych co do głosu. Każda akcja będzie dawać prawo do 5 głosów.

Do Zarządu Towarzystwa wybrani zostali pp.: Gintowt Antoni, Gliwic Hipolit, Hofman Mieczysław, Włodek Gustaw i Zalewski Andrzej.

Do Komisji Rewizyjnej wybrani zostali pp.: Jacobson Waclaw, Stala Władysław, Majewski Marian Kazimierz, Wierzbicki Witold i Zakrzewski Marian.

CZYTAJCIE

„NAOKOŁO ŚWIATA”

Wydawnictwa nadesłane

Ellison Hawks: *Książka o elektryczności*. Seria „Człowiek i świat”. Gebethner i Wolff. Zakład Narodowy im Ossolińskich, 1939, str. 285 + 7 nl.

Kazimierz Skórewicz: *Gdzie leży Ukraina*. Terytorium Ukrainy w świetle kartografii. Skł. Główn.: Gebethner i Wolff. W-wa 1939, str. 40 + 17 załączników.

Dr Leon Rymar: *Cel wychowania*. Skł. Główn.: Gebethner i Wolff. Kraków 1939. Str. 66 + 4 ni.

Dr Henryk Strashurger: *Dlaczego Polska nie może się dać odepchnąć od Bałtyku*. Wyd. IV. Biblioteka Polska. 1939, str. 90.

Polska Akademia Literatury: *Rocznik P.A.L. 1937 — 1938*. Str. 195 + 11 nl.

I. M.: *Zmotoryzujmy Polskę*. Wyd. III, str. 48.

Inż. Witold Hubert: *Polskie dążenia morskie*. W-wa 1939. Wyd. L. M. i Kol., str. 168.

„Nike”. Kwartalnik. Zeszyt 2, 1939, str. 196.

„W i l n o”. Kwartalnik, Nr 2, 1939 str. 73 — 176.

„Jantar”, kwartalnik, zeszyt 2 (10) str. 65 — 128.

„Mały Rocznik Statystyczny 1939”. Nakł. G. U. S., str. 424.

Sprawozdanie dyrekcji Muzeum Narodowego w Krakowie za r. 1938/39. str. 32.

„Niepodległość”, tom XX zeszyt 1 (54) lipiec — sierpień 1939. Wyd. Instytut J. Pilsudskiego Pośw. Badaniu Najnow. Historii Polski.

„Rocznik Muzeum Narodowego w W-wie” I. W-wa 1938, str. 210.



Przyjaźń w Zoo. Leopard zawarł znajomość z żółwiem

NAPOLEON
nie wygrał walki, ale przetrwał
POLONIA
był zwycięzcą, ale było to na jego cześć...

SÓL do NÓG
AGEPIN Z KOGUTKIEM
usuwa ból, pieczenie, nabrzmienie nóg, zniększca edlaki, które po tej kąpieli dają się usunąć, nawet poznaczka. Przepis użycia na opakowaniu.

Nowość!
NIEWIDOCZNY NA SKÓRZE
SIX-SIX Cherys
ruder Koloidalny
SIX-SIX Cherys
DAJE CERZE MIECZĄ MŁODOŚĆ

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAOKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50	kwartalnie	zł 19.—	kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	rocznie	zł 74.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—			Zmiana adresu	zł 0.50
rocznie	zł 66.—				
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztovej Kasy Oszczędności Nr 143

Redakcja nie zwraca niezamówionych rękopisów.

CENNIK OGŁOSZEŃ Str. 1/4 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/4 — 250 zł, 1/8 — 150 zł, 1/16 — 100 zł, — za szp. wiersz. milimetry, lub jego miejsce PRZED I ZA TEKSTEM: 1,50 zł. Bilanse, artykuły opisowe, układy tabelaryczne, 1 str. okładki i miejsce zarezerwowane 50% drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P.K.O. 143.

Program Polskiego Radia

Od dn. 30 VII. do dn. 5 VIII. 1939

Niedziela — dn. 30.VII.

7.00: Audycja poranna. 8.15: Popularna muzyka polska w wyk. ork. wojskowej z Poznania. 9.00: Transmisja z Augustowa (nabożeństwo). 12.03: Koncert ork. filharmonii londyńskiej. 13.15: Muzyka obiadowa z Poznania. 14.45: „Czytam Mickiewicza“ — „Pan Tadeusz“, księga II-ga. 15.00: Audycja dla wsi. 16.30: Recital fortepianowy Ireny Kurpiusz-Stefanowej (z Torunia). 16.55: Muzyka symfoniczna. 17.15: „Kto odpowie?“ — audycja z rozrywkowa. 17.30: „Podwieczorek przy mikrofonie“ z Augustowa. 19.00: Teatr Wyobraźni — „Sam Yust“ — słuchowisko. 19.30: Trzy słynne wirtuozki francuskie (płyty). 21.15: Koncert rozrywkowy z Grudziądza (przez Toruń). W przerwie o godz. 21.50 „Dobry żart tyńfa wart“ audycja konkursowa.

Poniedziałek — dn. 31.VII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: Pogadanka dla kupców: „Jak pracuje biuro organizac.-handl. rzemiosła polskiego“. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Słuchowisko dla młodzieży „Dawid Copperfield“ (cz. III). 15.15: Muzyka popularna z rozgłośni Poznańskiej. 16.20: Koncert chórów Wielkopolsk. Zw. Śpiewaczego z Poznania. 17.00: Muzyka do tańca. 18.00: Dawna muzyka fletowa. 18.20: „Polskość ewangelicyzmu na Śląsku Cieszyńskim“ — odczyt. 18.50: Recital fortepianowy Lilly Baranyi (Węgry). 19.30: Przy wieczery. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: „Z kraju gór, śniegów i mocnych ludzi“, reportaż dźwiękowy ze Szwajcarii. 21.50: Echa mocy i chwały. 22.00: Muzyka do tańca.

Wtorek — dn. 1.VIII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: Pensjonat organizuje wycieczkę w góry — gawęda ze Lwowa. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Przerwane wakacje (cz. II) opowiadanie dla młodzieży. 15.00: Muzyka góralska w wyk. Kapeli Wojtka Szwabajora z Witowa. 15.15: Muzyka popularna z Rozgłośni Katowickiej. 16.20: Utwory organowe wyk. Józefa Pawlaka — z Poznania. 16.45: Kronika literacka. 17.00: Muzyka do tańca. 18.00: Recital śpiewaczy Edwarda Bendera. 18.25: Jan Brahms: Trio Es-dur na fortepian, skrzypce i altówkę. 19.00: Audycja dla robotników. 19.30: „Przy wieczery“ (z Wilna). 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Gioacchino Rossini: „Cyrulik Sewilski“ opera komiczna w wyk. solistów i ork. Teatru „La Scala“ w Mediolanie. W przerwie szkice literackie o Rossinin Cyruliku Konstantego Regameya.

Środa — dn. 2.VIII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: Pogadanka turystyczna. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Nasz koncert“ — audycja dla dzieci. 15.15: Muzyka popularna w wyk. Orkiestry Salonowej z Łodzi. 16.20: Recital altówkowy Mieczysława Szaleskiego. 16.50: Lato: „Upalne południe wśród łąk i pól“ — pogadanka. 17.00: Muzyka do tańca z dancingu „Café Paradis“.

18.00: Słynne symfonie (muzyka z płyt). 19.00: „Dziwna przygoda“ — Kukulka Wileńska. 19.30: „Przy wieczery“ (ze Lwowa). 20.10: odczyt wojskowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert chopinowski w wyk. Witolda Małcużyńskiego. 21.40: „Nowości literackie“ (z Krakowa). 22.00: Ze współczesnych operetek (płyty).

Czwartek — dn. 3.VIII.

6.30: Audycja poranna. 8.20: Pogadanka sportowa. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Wojsko polskie „Pierwsza Kadrowa“ — aud. dla młodzieży. 15.05: Muzyka popularna z Katowic. 16.20: Utwory Karola Prosnaka w wyk. chóru mieszanego żeńskiego. 16.45: Reportaż z Muzeum Przemysłu i Techniki. 17.00: Muzyka do tańca (płyty). 18.00: Echa mocy i chwały. 18.10: Koncert z Poznania. 19.00: „Wielkie włóczędzy morskie“: fragment z „Odyssey“. 19.20: Przy wieczery. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Z zapomnianych naszych pieśni — audycja z Krakowa. 21.30: Teatr Wyobraźni „Jutro“, nowela Conrada Korzeniowskiego. 22.20: Koncert solistów.

Piątek — dn. 4.VIII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: Kłopoty i rady „Próbujmy wrócić do natury“, dialog. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Przerwane wakacje“ (cz. III) opowiadanie z Krakowa. 15.00: Muzyka obiadowa

ze Lwowa. 16.20: Koncert budapeszteńskiego chóru kolejowego. 16.45: Rozmowa z chorymi ks. kapelana Michała Rękas. 17.00: Muzyka taneczna. 18.00: Recital śpiewaczy Heleny Lipowskiej. 18.25: Kwartety Beethovena (płyty). 19.00: „Książki, do których się wraca“: „Ludzie bezdomni“. 19.20: Chwila Biura Studiów. 19.30: „Przy wieczery“ (z Wilna). 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: „Ilustracje muzyczne dla utworów scenicznych“. Muzyka Williama Szekspira. 22.15: „Polska między Wschodem a Zachodem“. Polska myśl wojskowa na granicy dwóch światów — odczyt. 22.30: Pół godziny muzyki na dawnych instrumentach (płyty).

Sobota — dn. 5.VIII.

6.30: Audycja poranna. 12.03: Audycja południowa: Sztafeta 25-lecia wymarszu 1-szej Kadrowej wyrusza z Krzywopłot (przez Kraków). 14.45: Audycja dla dzieci — „Wesoły podwieczorek“. 15.15: Muzyka popularna. 16.20: Polonezy w wyk. Zbigniewa Drzewieckiego — fortepian. 17.00: Muzyka do tańca. 18.00: „Echa mocy i chwały“. 18.10: Koncert muzyki polskiej. 19.00: „Przez siedem mórz do siedmiu wzgórz“ — wesoła powieść. 19.35: Audycja dla Polaków z zagranicy — „Powstały sztafendary wczes rano“ — aud. słowno-muzyczna. 20.05: Melodie ziemi polskiej — Tadeusza Sygietyńskiego — szkice mazowieckie. 20.25: Przybycie sztafety do Oleandrów — Transmisja z Krakowa. 20.45: Apel poległych I Kompanii Kadrowej — transm. z Krakowa. 21.20: Muzyka. 22.00: Teatr Wyobraźni: „Na polach popiołów“ — słuchowisko. 23.20: Polska muzyka taneczna.

Polskie Radio wobec uroczystości sierpniowych

Cała Polska obchodzi w dniach najbliższych 25 rocznicę Wymarszu 1-szej Kadrowej z Oleandrów Krakowskich. Wymarsz ten uważa dziś cały Naród za symbol ponownego podjęcia walki zbrojnej o niepodległość i za odrodzenie się chlubnych tradycji Wojska Polskiego. Polskie Radio weźmie czynny udział w obchodach rocznicy sierpniowej, którą uczci specjalnym programem.

Bliższe szczegóły audycji radiowych, związanych z uroczystościami sierpniowymi, podane zostaną w dniach najbliższych, już dziś jednak możemy stwierdzić, że w hołdzie rocznicowym weźmie udział i muzyka, i literatura i służba sprawozdawcza Polskiego Radia.

Specjalny, starannie przygotowany program, opracowany szczegółowo we wszystkich działach, będzie wyrazem uroczystego nastroju, jaki ogarnie w tych dniach cały Naród, zarówno w Krakowie, w historycznym mieście olbrzymiego zjazdu, jak i we wszystkich zakątkach Polski.

Centralnym punktem całych uroczystości będzie przemówienie Pana Marszałka Śmigłego Rydza: Tradycja wielkich zasadniczych przemówień na zjazdach legionowych trwa już od wielu lat, przemówienie takie wygłaszał wielokrotnie na zjazdach Marszałek Józef Piłsudski, a Marszałek Śmigły Rydz przemawiając na ostatnim zjeździe Legionistów, rzucił pamiętne

hasło, że nie oddamy nie tylko sukni, ale nawet guzika od szaty Rzeczypospolitej.

Przemówienie Pana Marszałka Śmigłego Rydza będzie transmitowane przez wszystkie rozgłośni Polskiego Radia oraz przez liczne instalacje megafonowe, których już coraz więcej jest w Polsce.

Transmisje z samego zjazdu, transmisje z różnych etapów zdążających do Krakowa sztafety, okolicznościowe koncerty, słuchowiska, a nawet audycje piosenek i humoru, złożą się na całość rocznicowego programu, którym Polskie Radio dołączy się do ogólnonarodowego aktu hołdu wobec tradycji walk legionowych.

LMK^a przez FOM

walcz o kolonie i surowce dla Polski, broni dróg komunikacyjnych do kolonii.

„TYGODNIK ILLUSTROWANY”

Ostatnio w „TYGODNIKU ILLUSTROWANYM” zamieszczali swoje prace między innymi następujący pisarze, uczeni i publicyści:

Berent Waclaw, Borowy Waclaw, Boye Edward, Chrzanowski Ignacy, Czachowski Kazimierz, Dąbrowka Maria, Essmanowski Stefan, Flukowski Stefan, Goetel Ferdynand, Gombrowicz Witold, Górka Olgierd, Grabowski Jan, Grzebieniowski Tadeusz, Horoszkiewicz R. W., Hollender Tadeusz, Hulewicz Witold, Huszczawinnicka H., Iłakowiczówna Kazimiera, Irzykowski Karol, Iwaszkiewicz Jarosław, Kaden Bandrowski Juliusz, Kleiner Juliusz, Kondracki Michał, Kossak-Szczucka Z., Kubacki W., Laskowski-Hulka Paweł, Lechoń Jan, Lepecki B., Lutosławski W., Makuszyński Kornel, Melcer Wanda, Mieszkowski J. T., Miller, Jan N., Morcinek Gustaw, Muszkowski Jan, Nowakowski Zygmunt, Ossendowski F. A., Parandowski Jan, Powlikowska Maria, Piwiński Leon, Połczyński Janta Aleks., Pomirowski Leon, Rogowicz Waclaw, Rogoż Stanisław, Rudnicki Adolf, Rusinek Michał, Rytard Miecz., Schulz Bruno, Sieroszewski W., Skiwski J. E., Smogorzewski K., Staff Leopold, Straszewicz Czesław, Stromenger Karol, Syruczek Waclaw, Szemplińska Elżbieta, Szyjkowski M., Śliwiński Artur, Terlecki Tymon, Tuwim Julian, Wasylewski Stanisław, Wierzyński Kazimierz, Wiktor Jan, Wittlin Józef, Wołoszynowski Julian, Zawistowski Władysław, Zrębowicz Roman.

NAOKOŁO ŚWIATA

bogato ilustrowany magazyn nowelistyczny, ukazujący się co miesiąc.

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA

przyniosła w latach ubiegłych obok autorów polskich, szereg utworów pisarzy tej miary, co Johan Boyer, Daniel Rops, Fr. Mauriac, J. Andersen Nexø, Marta Ostense, Mary Webb, J. Roth, Colette, G. Papini, Jo Van Ammers-Küler, W. B. Maxwell, W. Peteani i inni.

„Tygodnik Ilustrowany” wraz z dodatkami ma obecnie najtańszą prenumeratę zbiorową, gdyż tylko

za 6 zł miesięcznie (6.50 z dostarczeniem do domu), prenumeratorem TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO otrzyma w tydzień numer „Tygodnika Ilustrowanego”; co miesiąc 80-o stron. sessyt „Naokoło Świata” w wielobarwnej okładce i co miesiąc bliżej 240-o stronicowy tom powieści polskiej lub tłumaczonej. KTÓREJ CENA KSIĘGARSKA WYNOŚI około 6—8 zł.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAOKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50			kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	kwartalnie	zł 19.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—			Zmiana adresu	zł 0.50
rocznie	zł 66.—	rocznie	zł 74.—		
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztovej Kasj Oszczędności Nr 143

CENNIK OGŁOSZEŃ Str. 1/4 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/3 — 250 zł, 1/6 — 150 zł, 1/12 100 zł. — za szp. wierz. milimetrowy, lub jego miejsce PRZED i ZA TEKSTEM: 1,50 zł. Bilansu, artykuły opisowe, układy tabelaryczne, 1 str. okładki i miejsce zarezerwowane 50% drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P. K. O. 143

ZAKŁADY SAMOCHODOWE WSPÓLNOTY INTERESÓW S. A.

ZARZĄD: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 11, TEL. 571-00

MONTEWANE W KRAJU SAMOCHODY
OSOBOWE I CIĘŻAROWE

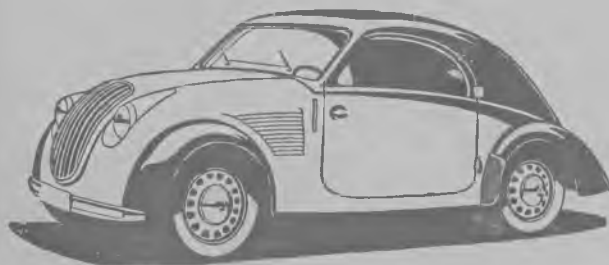
MARKI:

AUTO-UNION: DKW i HORCH

B. M. W.: 236

MERCEDENS-BENZ: 170 V i 230

STEYR: 55 i 220



STEYR TYP 55

HANOMAG:
TRAKTORY I CIĄGÓWKI

HENSCHEL:

SAMOCHODY CIĘŻAROWE I PODWOZIA AUTO-
BUSOWE Z SILNIKAMI DIESEL ORAZ NA GAZ
GENERATOROWY

KRUPP:

SAMOCHODY CIĘŻAROWE Z SILNIKAMI
LEŻĄCYMI CHŁODZONYMI POWIETRZEM

SPRZEDAŻ WE WSZYSTKICH WIĘKSZYCH MIASTACH

WŁASNA STACJA OBSŁUGI I WARSZTATY NAPRAWY

WARSZAWA UL. FABRYCZNA 1^c TEL. 803-20.



Służba sprawozdawcza Polskiego Radia w czasie uroczystości sierpniowych

Polskie Radio, biorąc czynny udział w wielkim obchodzie sierpniowym, oddaje całą swą działalność transmisyjną dla odтворzenia przebiegu historycznego zjazdu. Już w pierwszych dniach sierpnia nagranych zostanie szereg transmisji ze startu sztafet zdążających z całej Polski do Krakowa. Tak więc będziemy mieli transmisję z Wilna, z Gdyni, z Wrześni, ze Lwowa, z Bogumina oraz z Krzywopłot, z miejsca znanej bitwy legionowej. Finisz sztafet transmitowany będzie przez Rozgłośnie Krakowską *dnia 5 sierpnia o godz. 20.25* w specjalnej transmisji p. t. „Oleandry witają sztafety całej Polski”. Bezpośrednio po tym, również z Oleandrów transmitowany będzie apel poległych Pierwszej Kompanii Kadrowej. Sprawozdawcą będzie Juliusz Kaden-Bandrowski.

Dnia 6 sierpnia Polskie Radio transmitować będzie uroczystość z Błoni Krakowskich *w godzinach od 9.30 do 13.00*. W ramach tego repertażu będą zarówno wrażenia wstępne, jakie opowiedzą nam mjr. Krzewski i ppłk. Lipiński, jak również Msza połowa i kazanie z Błoni. *Między godz. 11.00 a 12.00* TRANSMITOWANE BĘDZIE PRZEMÓWIENIE NACZELNEGO WODZA PANA MARSZAŁKA EDWARDA ŚMIGŁEGO - RYDZA. Bezpośrednio po przemówieniu Pana Marszałka nadane będą pieśni i marsze wojskowe, przerywane od czasu do czasu dla nadania fragmentów defilady legionowej. *Między godz. 13.00 a 13.30* ppłk. Lipiński i p. Kaden-Bandrowski przeprowadzą transmisję z Hołdu Legionistów na Wawelu.

Tegoż dnia *o godz. 16.10* nadana zostanie z Warszawy audycja p. t. „Jak to w 1914 roku było”. Będą to wspomnienia uczestników wymarszu Pierwszej Kadrowej utrwalone na płytach.

W przerwach koncertu nadane zostaną również krótkie migawki repertażowe, jak np. „Na Błoniach wśród Legionów”, rozmowy mjr. Krzewskiego i Kaden-Bandrowskiego z Legionistami i t. p.

Dalej *o godz. 17.30* nadawane będą krótkie reportaże z manifestacji legionowych na Placu Szepepańskim, pod pomnikiem Grunwaldzkim i pod pomnikiem Mickiewicza. M. in. nadane zostaną fragmenty z przemówień Marszałka Senatu Miedzińskiego i Szefa O. Z. N. gen. Skwarczyńskiego.

O godz. 18.00 Polskie Radio trans-

mitować będzie z Oleandrów wymarsz drużyn na szlak Kadrówki.

O godz. 20.50 Kraków nada w audycjach informacyjnych pierwsze telefoniczne sprawozdanie specjalnych sprawozdawców z trasy marszu.

Dnia 7 sierpnia nagrany zostanie szereg fragmentów z marszu na szlaku Pierwszej Kadrowej. Podohmie będzie i w dniach następujących.

W dniach 7, 8 i 9 sierpnia wieczorem

Audycje literackie Polskiego Radia w dniach rocznicy sierpniowej

Programy letnie Polskiego Radia przenika idea służenia Narodowi i Państwu. Służba ta realizuje się m. in. poprzez stale akcentowanie w programach tych momentów naszych dziejów politycznych i kulturalnych, którego mogą dać szerokim rzeszom słuchaczy niezamącony obraz wielkości Polski. Znaczenie tego rodzaju oddziaływania nie wymaga komentarzy. W dziele audycji słownych i słowo muzycznych te cele programu Polskiego Radia reprezentuje wielki cykl montaży historycznych, przedstawiający w formie dramatycznej sylwetki wodzów naszych, takich, jak królowie: Bolesław Chrobry i Bolesław Śmiały, Hetmani: Czarniecki i Żółkiewski, Marszałek Józef Piłsudski.

Należy tu także przypomnieć cykl krótkich fragmentów z pamiętników, dokumentów i t. p., ukazujący bohaterstwo Polaków przewijające się jak zasadniczy motyw naszej historii.

Prócz uświadamiania społeczeństwu naszych wartości militarnych, uwzględnia się także wielkich przewodników duchowych. Na pierwszym miejscu stoi tu Adam Mickiewicz, którego kult realizowany jest przez Polskie Radio planowo i konsekwentnie. Kult ten utrwała się przede wszystkim poprzez stale niedzielne kwadransy recytacji Jego nieśmiertelnych dzieł. Dodać tutaj należy, że na jesień b. r. projektuje się opowieść o Mickiewiczu, polobnie, jak była opowieść o Schubercie czy o Chopinie.

Naturalnie lista audycji poświęconych realizacji idei służby Narodowi i Państwu jest znacznie dłuższa i trudno ją wyczerpać. Przypominamy ją jedynie dlatego, aby zwrócić uwagę, że audycje okoliczno-

nadawane będą sprawozdania z trasy marszu.

Liczne nagrania wspomnień, różnów z kurierkami, kadrowiakami i członkami patroli będą umieszczone w programie, jako audycje 5-10-minutowe w czasie między 5 a 30 sierpnia.

Jak widać z powyższych pobieżnych uwag, służba sprawozdawcza Polskiego Radia pracować będzie w czasie uroczystości sierpniowych niezmiernie intensywnie i doloży wszelkich starań, aby wszyscy radiosłuchacze mogli wziąć jak najwyższy i jak najbardziej bezpośredni udział w obchodach i uroczystościach 25-letniej rocznicy Czynu Legionowego.

ściowe, nadawane z okazji specjalnie uroczystych momentów, nie są czymś wyjątkowym i sporadycznym, lecz fragmentem całej szerokiej i stale realizowanej akcji Polskie Radio w dziedzinie audycji literackich czci rocznic 25-lecia Wymarszu 1-szej Kadrowej nie tylko w dwóch dniach obchodu rocznic, ale w ciągu całego programu letniego. W tych dniach je także koncentrują się audycje o charakterze pewnych syntez ideowych, o specjalnie zasadniczym znaczeniu.

A więc dnia 5 sierpnia nadana zostanie audycja słowna p. t. „Rachunek Wodza”. Będzie to montaż z pism Józefa Piłsudskiego opracowany przez Jana Piotrowskiego w ten sposób aby uświadomić słuchaczom główny nurt przemysłu Wielkiego Wodza związanych z decyzjami, które poprzedziły czyn zbrojny polskich Legionów. Wigilia wymarszu 1-ej Kadrowej to dobry dzień na tego rodzaju obrachunki. Audycja nadana będzie *o godz. 22.00 wieczorem*.

Dzień następnym, właściwa rocznica legionowa, przyniesie nam montaż oparty o fragmenty z „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego, p. t. „Polska to jest wielka rzecz”. Związki ideowe pomiędzy twórczością Wyspiańskiego a Czynem Piłsudskiego, są tak ścisłe, że przypomnienie ideologii Wyspiańskiego wydaje się najwłaściwszą formą literackiego hołdu dla tradycji Legionów.

O godz. 22.00 tegoż dnia usłyszymy zarys dziejów piosenki i humoru legionowego. Będą to próbki lekkiej beztrudnej literatury legionowej, która tak znakomicie rozwijała się wśród gwaru bojowego na frontach, w kadrach Łomży, Zambrowa i Piotrkowa, a nawet „za kratami więzień i drutami obozów”, w Szczępiornie, Beniaminowie czy Huszcie.



głodówka

nic Ci nie pomoże... — Osłabiasz tylko swój organizm! — Pamiętaj, że chcąc pozbyć się nadmiernej tuszy musisz przede wszystkim usunąć przyczynę wadliwej przemiany materii. Pomoże Ci w tym mineralna sól owocowa **MINEROGEN F. F.**, którą nabędziesz w każdej aptece. **Skład główny: Apteka Mazowiecka — Warszawa ul. Mazowiecka 10.**



SILNEJ FLOTY WOJENNEJ I KOŁOMU!



Komendant Józef Piłsudski i mjr. Edward Śmigły-Rydz w pierwszym okresie bojów legionowych

W 25-LECIE WYMARSZU LEGIONÓW

(Ze wspomnień żołnierzy Józefa Piłsudskiego)

Dzień 6 sierpnia 1914 r. jest i będzie pamiętnym dniem, nie tylko w historii Legionów Polskich, ale także i w historii polskiego narodu. Dzień 6 sierpnia 1914 roku jest dniem wymarszu pierwszej Kompanii Kadrowej z Krakowa, oraz wkroczenia jej, przed oddziałami kawalerii austriackiej, do Królestwa Polskiego.

Rok już upłynął od tego pamiętnego poranku sierpniowego, gdy przez ulice uśpionego Krakowa sunął cicho oddział strzelców, gdy z rozkazu swego Wodza Józefa Piłsudskiego, wkroczył on na ziemię Królestwa Polskiego, niszcząc wszędzie oznaki panowania moskiewskiego, gdy, wreszcie wieczorem wszedł do miasteczka Słomnik, witany entuzjastycznie przez ludność.

Wkroczenie Pierwszej Kadrowej do Królestwa pozostanie bezsprzecznie doniosłym faktem historycznym. Ta mała garstka strzelców polskich swym śmiałym

marszem w głąb Królestwa pokazała, że naród polski nie porzucił myśli walki z najeźdźcą moskiewskim, że żołnierz polski, wierny tradycjom swych przodków, potrafi dzielnie stawić czoło żołdactwu moskiewskiemu.

Józef Piłsudski, rzucając do Królestwa oddziały strzeleckie, rozstrzygnął sprawę przyszłych Legionów polskich, postawił sprawę polską na porządku dziennym.

W połowie lipca 1914 roku obie organizacje strzeleckie urządziły w Galicji dla oficerów i podoficerów wojskowe kursy instruktorskie. Związek Strzelecki w Krakowie, Polskie Drużyny Strzeleckie w Nowym Sączu, Kursy te z bogatym programem były zorganizowane specjalnie dla Królewianów, członków tajnych organizacji strzeleckich w Królestwie, którzy też pomimo dużych trudności w przebyciu granicy, stawili się dosyć licznie (oba kursy liczyły około 400 ludzi).

Nie ukończyły one swego programu.

Gdy wybuch wojny staje się nieuniknionym, Komenda Drużyn Strzeleckich, rozkazem swym z dnia 1 sierpnia, przywołuje kurs z Nowego Sącza do Krakowa. Wieczorem 2 sierpnia przemaszerowujemy przez Kraków, witani okrzykami przez publiczność.

Nazajutrz na podwórzu na Dolnych Młynach ustawiono pluton do Oleandrów, samych Królewianów, wszyscy porządnie wyekwipowani, z torniastami, karabinami Manlichera i ostrą amunicją. Podchorąży Norwid krótko nas pożegnał: „Żołnierze. Idźcie pierwsi pomścić krzywdy ojców waszych. Bądźcie przykładem dla tych, którzy pójdą za Wami“.

Pod komendą podchorążego Bukackiego pomaszzerował pluton do Oleandrów, gdzie mieścił się kurs Związku Strzeleckiego. Tam niedługo dołączył się oddział, złożony również z Królewianów, członków



Artyleria Legionów

związku Strzeleckiego. Po zdaniu raportu Komendantowi Piłsudskiemu, ustawiły się oba oddziały naprzeciwko siebie. Środkiem z założonymi w tył rękami przecierał się Piłsudski.

Krótkimi, urywanyymi, lecz twardymi, żołnierskimi zdaniem przemówił do nas. Nie dobierał słów ani wyrażań, ale słowa jego zapadały głęboko do serc naszych i pozostawały w nich jako drogowskazy życia...

...Nadchodził wieczór, a myśmy jeszcze stali, czekając na rozkazy. Sądziłyśmy, że jeszcze dziś wyruszymy do Królestwa. Zbliżył się do nas stary Sieroszewski w białym fartuchu, gdyż pełnił wtedy szczytne obowiązki kucharza. Żalował bardzo, że nie może iść z nami, ale obiecywał niedługo nas dogonić.

W starym gmachu teatralnym wyznaczono nam kwatery i niedługo wzburzone umysły uspokoił sen. Przez następne dni uzupełniono braki wyekwipowania, cwi-

czyliłyśmy musztrę formalną i taktyczną, starając się wyróżnić różnice w komendzie i systemach ćwiczebnych organizacji. Z niecierpliwością i gorączkowym niepokojem oczekiwaliśmy dnia i godziny wymarszu.

A tymczasem mobilizacja postępowała naprzód. Co dzień przybywały oddziały połączonych organizacji z różnych okolic kraju. Gwaro i tłoczno było na obszernej boisku w Oleandrach. Wszystko dygotało gorączkowym pragnieniem wymarszu.

Pierwszą Kompanię Kadrową zorganizowano 3 sierpnia. Dnia 5 sierpnia o godzinie 3 rano alarm Kompanii. A więc wymarsz. Prędko ubiera się wiara, wkłada ryszulunek i niedługo cała Kompania we wzorowym ordynku stoi i czeka na rozkazy.

Wyprowadzono nas z Oleandrów na szeroką drogę. Pewni jesteśmy że dziś będziemy w Królestwie. Tymczasem, zamiast

do Królestwa, skęciliśmy na obszerne błonia pod kopcem Kościuszki i zaczęły się ćwiczenia.

Powrócił już oddział naszej kawalerii w sile 5 koni ze swego wywiadu pod Jędrzejów i przywiózł pomyślnie wiadomości.

Wreszcie nadszedł dzień 6 sierpnia. Podobnie, jak dnia poprzedniego o godzinie 3 rano alarm.

Raport, kolumna czwórkowa i marz! U wyjścia zęgnął nas lwowski oddział pod komendą podchorążego Bilińskiego-Ostrowskiego (dziś podporucznika I pułku piechoty).

I znów pomaszcerowaliśmy szeroką drogą przez Łobzów. Cicho było, na ulicach żywej duszy.

Ciężko nas doświadczone owym okrutnym marszem 12 kilometrowym, aż wreszcie doszliśmy do szosy krakowskiej. Odpoczynek. Na prawo widać Kraków. Pytanie dokąd pójdziemy? Na lewo, czy na prawo? Odetchnęliśmy wszyscy z ulgą, gdy czoło Kompanii skęciło na lewo. Zagrała trąbka. Rażno szliśmy twardym krokiem, zbliżając się do ziemi obiecanej.

Wiedzieliśmy już na pewno, że idziemy do Królestwa. Razem z nami szedł komisarz wojskowy i nasz intendent Litwinowicz.

Minęliśmy ostatni fort krakowski i wsie za nim leżące, komorę celną austriacką, witani wszędzie przez ludność.

Aż oto przed nami ukazały się zabudowania komory celnej w Michałowicach już po drugiej stronie kordonu. Jeszcze chwila, a przekroczymy granicę oznaczoną żelaznym słupem.

Godzina 9 minut 45. „Bacność“! Zablęśły w słońcu wyciągnięte szable, każdy wyciągał się jak mógł, ażeby godnie wejść w tę ziemię, jak przystało na żołnierza polskiego. Słuchając dobrze, można było usłyszeć bicie własnego serca, każdy czuł powagę i uroczystość chwili. Przeszliśmy przez komorę celną w Michałowicach i dalej. Kompanię zatrzymano, a kompanijny nasz w serdecznych słowach powitał tę ziemię, na której staliśmy.

(Wspomnienia podporucznika Hauke-Nowaka, obecnego wojewody wołyńskiego, pisane w roku 1915 w Pradze).

W drodze po Polskę

Pomyśleć, że już nija 25 lat od chwili wymarszu Kompanii Kadrowej, która na rozkaz swego Komendanta Głównego wypowiedziała wojnę carskiej Rosji i brała to tak do serca, tak była tym dumna i tak się tym przejęła, że nie, i to zupełnie, nie było poza tym.

Pięknego popołudnia, parę dni przedtem, sformowano ją z dwóch, dość niechętnie na siebie patrzących, z podoficerskich szkół letnich Związku Strzeleckiego i Drużyn Strzeleckich.

Mało myśmy się znali w tej Kompanii kochanej. Icho ubrani, gdyż tylko strzelcy mieli uniformy i to przeważnie drelichowe. Drużniakom brakowało dużych ilości spodni wojskowych. Nikt nie miał płaszcza. Broń tylko zebrano nam najlepszą i jednolitą. Żadnych kuchen polowych, wozów lub coś w tym rodzaju. Oficerowie, a było ich z intendentem 5, musieli własnym przemysłem zdobywać ekwipunek i broń.

Beliniacy pod Konaruni





Komendant ze swym sztabem w Kielcach

Tak sformowana Kompania wypelnia swc zaszczytne zadanie i az do Kielc — toruje droge naszym kolegom Legionistom, toruje tez i pierwszemu korpusowi anstrzackiemu jazdy.

Łaczy nas w Kompanii wspólny zapal. wiara i miłosc dla idci i wiara w Komendanta i bezgraniczne oddanie się Jemu tych, którzy Go już znali i podziwiali przedtem. Jak wielki zapal, jaki entuzjazm byl w tej Kompanii — trudno opisać. Pamietam, iż większość kolegów wyrzucala. hłb rozdawala wszystkie pieniadze, gdyż wychodzimy na wojne. Całymi dniami, a bylo tych dni aż trzy, śpiewano i cieszono się.

Gdy Wódz nasz. Józef Piłsudski, chcial się przekonać o naszym duchu (morale), w przeddzień wymarszu i zarządziwszy alarm, kazal rozdać nam suchy chleb i zwykłą wodę z beczki, to egzamin ten wypadł pomyslnie, gdyż wszyscy. oficerowie i żołnierze, tłoczyli się beztrósko przy beczce.

6.VIII.1914 r. Świt, cale Oleandry śpią. Przed Komendą Główną stoi rozwinięta Kompania Kadrowa. Zimno jakoś. cicho i tajemniczo. Wiemy, że dziś, to na pewno! Ale gdzie i w jakim kierunku? Jakic nas czeka zadanie?.. Czujemy ważność

chwili. Komendant Główny wydaje podobno ostatnie instrukcje Kasprzyckiemu.

Doktór wydaje nam bandaże i poucza. Inny ktoś, smaruje jodyną nasze, zbyt błyszczące, orzelki i guziki. A więc już zaraz!..

Idziemy do Kongresówki! Belina zdawał Komendantowi ważne relacje...

Komendant chmurny — otoczony światą co najlepszych oficerów, przyjmuje defiladę Kompanii.

Oficerowie z dobytymi szablami. Wszyscy przejęci i skupieni w sobie. Gdy idziemy, szumią nam orły naszej fantazji i egzaltacji. Czuję, że mam łzy w oczach. ale też czuję zapal. siłę i wielkość naszego czynu.

Widzę w otoczeniu Komendanta płaczącego Żulińskiego i wielu, wielu innych, wzruszonych i przejętych...

Rękawica rzucona! Złoty róg się odzywa; — czy go usłyszą, czy staną na zew!..

Kraków śpi. Okrążamy go śpiesznie. Ranek się wylania słoneczny i zapowiada piękną pogodę. Biorę to za dobry znak. Idziemy w kolumnie czwórkowej w ciszy. Jesteśmy pod wrażeniem defilady i ostatniego wejżenia Jego i przyjaciół, tam, w Oleandrach. Raz jeszcze się zwracam na

chwile i widzę w oddali kontury Krakowa. Przed nami niewiadome, za nami Polska...

Słup graniczny. Kompania się zatrzymuje. Wywołani zrzucają godla i niszczą słupy. Dowódca Kompanii ma krótkie przemówienie okolicznościowe. Zarządza defiladę. Przechodzimy kordon. Wróg ustąpił. Wojna rozpoczęta. Otrzymujemy rozkaz: załadować broń...

Iluz was, bracia najmilsi, leży cicho hen po tej szarej ziemi. Kto was zliczy, kto wasz zapal zmierzy, kto krew przez Was przelaną zbierze?..

Leżycie spokojni i dumni. Wyroki się ziściły...

(Ze wspomnień gen. bryg. Henryka Krok-Puszkowskiego).

Pierwszy patrol strzelecki

Wakacje 1914 roku miałem spędzić na szkole oficerskiej Związków Strzeleckich. Wraz ze mną wybierało się dwóch młodych chłopców z Sandomierskiego. Jeden z nich, Stasiek Skotnicki (Grzmot) miał przyjechać wprost ze Szwajcarii, drugi Antoni Jabłoński (Zdzisław) wyjeżdżał ze mną z Sandomierza. Odprowadzili nas do Wisły wszyscy nasi najbliżsi znajomi. W czasie pożegnań zażartowałem, że jedzie-

Msza polowa w Kielcach



Ulani Beliny



my na szkołę z ostrymi nabojami. Wówczas matka Zdzisia zwróciła się do mnie z prośbą, by w razie wybuchu wojny Zdzis poszedł wraz ze mną, co też jej przyrzekłem.

Po przyjeździe do Krakowa, objąłem dowództwo kompanii szkolnej w Oleandrach. Lecz niedługo nią dowodziłem. Na drugi dzień zostałem wezwany do Komendanta Głównego na ulicę Siemiradzkiego 27. Komendant rozkazał mi oddać dowództwo kampanii zastępcy, a samemu dobrać sobie paru ludzi, którzy wraz ze mną mieli udać się na jakąś ekspedycję, związaną z mobilizacją Moskali, w Sandomierskie. Wybrałem, rozumie się swoich sandomierczaków. Ekspedycja ta z nieznanymi mi bliżej powodów nie doszła do skutku, natomiast 2 sierpnia zostałem ponownie wezwany do sztabu głównego. Tam Komendant wydał mi rozkaz poprowadzenia patrolu w Jędrzejowskie celem rozbięcia mobilizacji Moskali w tym powiecie, wyjaśniając, iż patrol ten jest bardzo niebezpieczny i że jest 90% pewności, że wszystkich nas powieszą. Na zapytanie moje, ilu ludzi Komendant mi wyznacza— odpowiedział: jak najmniej, pięciu, sześciu. Po targach z mojej strony stanęło na siedmiu. Ludzi miałem wybrać na ochotnika ze swej kompanii szkolnej. Ja tylko i drużyniak Bończa-Karwacki, jako znający dobrze okolicę, szliśmy z rozkazu. Wówczas szef sztabu Sosnkowski zapytał mnie, kogo mam zamiar zabrać z sobą. W pierwszym rzędzie wymienilem obu sandomierczaków. Na Jabłońskiego zgodził się bez zastrzeżeń, natomiast o Skotnickim wyraził się: „Co, ten lalusz? —nie będzie miał ochoty iść na pewną śmierć i odmówi”. Bardzo energicznie zaprzeczyłem, dowodząc, że krew sandomierska nigdy nie zawodzi. W dalszym ciągu ustaliliśmy listę kandydatów, którym miałem zaproponować wyprawę.

Po powrocie do Oleandrów, niezwłocznie przez dyżurnego podoficera wezwałem do siebie kandydatów na przyszłych ułanów.

Nie zapomnę nigdy tych krótkich rozmów z nimi, gdy po kilku moich wyjaśnieniach ogólnych, o celu wyprawy — prosto, po żołniersku, w dwóch słowach decydowali się stawić wraz ze mną swoje młode życie na jedną kartę. Pierwszy wszedł Jabłoński. Na moją propozycję



Przy mogile kolegi

odpowiedział prosto: „Ty idziesz, ja z tobą”. Skotnicki, wbrew przewidywaniom szefa, strzepnął tylko palcami i ze zwykłą werwą powiedział: „psiakrew, idę”. Dalej Janusz Głuchowski, Stefan Hanka-Kulesza i Ludwik Kmicie-Skrzyński bez namysłu wyrazili swą zgodę.

Zaczęły się gorączkowe przygotowania do wyprawy, bo w myśl rozkazu nad ramię już mieliśmy przekroczyć kordon graniczny, jadąc do granicy w cywilnych ubraniach; dopiero na terenie Kongresówki wolno nam było włożyć mundury. Podoficer broni — Światelko, wybierał karabiny, tomistry i naboje, specjalni kurierzy rozbiegli się po mieście, szukając dla nas cywilnych marynarek i nakryć głowy, a pocziwy dr Rouppert zajął się wyekwipowaniem sanitarnym, obciążając nas rozmaitymi gazami, jodynami, gumami do przywiązywania, jakby każdy z nas był co najmniej podoficerem sanitarnym.

W tym czasie Komendant konferował z moimi ochotnikami, przedstawiając im niebezpieczeństwo i dając cztery godziny czasu do namysłu. Bajecznie odpowiedział Komendantowi Janusz Głuchowski: „Komendancie, my już raz zdecydowaliśmy się i nie chcemy się namyślać, bo przez cztery godziny myślenia mogliśmy osiwieć, a decyzji nie zmienimy”. Konie mające nas

wieźć do granicy, zarekwirowaliśmy kole-dze uniwersyteckiemu Kozłowskiemu, który ze swoich Przybyśławic w tym dniu przyjechał do Krakowa.

O godzinie 10 wieczorem mieliśmy się stawić wszyscy na pierwszą polską odprawę wojenną w głównym sztabie. Komendanta nie było, przeprowadzał konferencję z Austriakami. Zastępował go szef Sosnkowski. Po zdaniu przeze mnie raportu szef w dłuższej przemowie żegnał nas i pocieszał: „Choć będziecie wisieć, ale za to spełnicie piękny swój obowiązek żołnierski i historia o was nie zapomni”. Na pożegnanie wycalował się ze wszystkimi. Po wyjściu ze sztabu zauważyłem towarzyszone miny mego patrolu, a ponieważ pozostawały do wymarszu jeszcze dwie godziny, poprosiłem wszystkich do Hawelki na kieliszek wiśniaku.

Tu dopiero zorientowaliśmy się, jak wyglądają w dorywco zebranych cywilnych ubraniach. Kelnerzy o mało nie wyprosili nas za drzwi. Do małego stolika przysiadła się cała banda oficerów strzeleckich, którzy wiedzieli o naszej wyprawie, aby pożegnać się i wypić strzeleckiego. W milej pogawędce humory się żywiły.

O godzinie 12.30 wyruszyliśmy na dwóch podwodach w kierunku granicy. Kordon mieliśmy przekroczyć pod Baranem koło Kocmyrzowa, gdzie stanęliśmy nad ranem. Na granicy dowiedzieliśmy się, że Moskale cofnęli się, ale silne patrole miały przebiegać okolicę.

O świcie, nalożywszy mundury i bagnety na broń przekroczyliśmy kordon graniczny. Przemówiłem parę słów do swoich żołnierzy, podkreślając szczęście i zaszczyt, jaki ich spotkał, że są pierwszymi żołnierzami zmartwychwstającej Polski, którzy otwarcie z bronią w ręku łamią kordony dzielące ojczyznę.

Plan mój dalszej akcji polegał na tym, żeby niepostrzeżenie przemknąć się koło większych oddziałów nieprzyjacielskich, kierując się na Goszyce, Skrzyszowice, Działoszyce, pod Jędrzejów; po dojściu w najbliższą okolicę Jędrzejowa zatrzymać się w lesie i przeprowadzić wywiad; w tym samym czasie z materiału wybuchowego, jaki posiadaliśmy, złożyć bomby. Przy pomocy tych bomb mieliśmy wywołać popłoch w mieście i uderzyć na załogę Jędrzejowa. Gdyby siły nieprzyjacielskie okazały się za duże, akcją postanowiłem przeprowadzić w nocy i po rzuceniu bomb i ostrzeleniu miasta, korzystając z ciemności, cofać się w kierunku Krakowa. W marszu na Jędrzejów, o ile nie spotkamy większych oddziałów nieprzyjacielskich, uciśnięmy rozpuszczać między ludnością wieść, że jesteśmy patrolom wywiadowczym silnej grupy strzelców, która maszeruje za nami, by w ten sposób wzniecić popłoch wśród władz moskiewskich będących jeszcze w Jędrzejowie.

(Z zapisków ś. p. płk. W. Beliny-Prażmowskiego z r. 1934).

Przenosiny rannego do ziemianki



DBAJCIE O SWOJE ZDROWIE

Przy chorobach: ŻOŁĄDKA, KISZEK, WĄTROBY, przy KAMIENIACH ŻOŁCIOWYCH, WZDECIU BRZUCHA, ODBIJANIU SIĘ, LUB SKŁONNOŚCIACH DO ZAPARCIA, stosuje się: „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” Gaseckiego, naturalny łagodny środek przeczyszczający, ułatwiający funkcje organów trawienia, stosowane również przy nadmiernej otyłości. Sprzedają apteki i składy apteczne

G W I A Ź D Z I S T Y S Z T A N D A R P R Z E C I W W S C H O D Z A C E M U S Ł O Ń C U

Przed paroma tygodniami poświęcił „Tygodnik Ilustrowany“ dwa kolejne artykuły zagadnieniom Dalekiego Wschodu, oświetlając je z chińskiego i japońskiego punktu widzenia¹⁾. To ograniczenie zakresu rozważań było koniecznością ze względu na ogromną złożoność sprawy, której nowy, ważny etap rozpoczął się w ubiegłym tygodniu.

W tym samym czasie, gdy zatarg koncesyjny między Anglią a Japonią dobiegał końca w postaci nowego układu, rze-



Cesarz Japonii, *Meiji*

można nowego „Monachium“ daleko-wschodniego, zabrał głos inny partner z nad oceanu Spokojnego. Odezwały się Stany Zjednoczone i to w sposób, który nie tylko Japonii, ale całemu światu uprzytomnił, jak bardzo skomplikowany jest węzeł przeciwności na olbrzymich przestrzeniach między wschodem Azji i zachodem Ameryki.

Stany Zjednoczone niespodzianie wypowiedziały traktat handlowy japońsko-amerykański, stanowiący od 28 lat podstawę wymiany towarowej między obydwojema krajami, wymiany, która dla Japonii ma zasadnicze, życiowe znaczenie. Odległość pomiędzy Jokohaną a San-Francisco, wynosząca około 8 i pół tysiąca kilometrów, nie była przeszkodą dla rozwoju stosunków gospodarczych między obydwojema krańcami oceanu Spokojnego. Amerykańska nafta, żelazo i stal stanowiły niezbędną podstawę surowcową dla przemysłu japońskiego, dla jego pokojowej i wojennej ekspansji. I oto po wielu latach ostrożnej polityki „nieinterwencji“ na Dalekim Wschodzie zdobyły się Stany Zjednoczone, a właściwie prezydent Roosevelt, na tak ważny krok, ważniejszy

chyba od lokalnych zatargów koncesyjnych i lokalnych bitew nad rzeką Kławką.

Rzecz jasna, że decyzja Stanów Zjednoczonych, będąca jednym z najdonioślejszych posunięć polityczno-gospodarczych tego mocarstwa bodaj od chwili przystąpienia Stanów do frontu przeciwniemieckiego podczas wojny światowej, nie jest tylko manewrem odciążającym „front pokoju“ od nacisku azjatyckiego partnera osi Rzym — Berlin. Przeciwnie japońsko-amerykańskie jednym z najistotniejszych zagadnień na oceanie Spokojnym, a ostatnie wydarzenia dowodzą, że dojrzewa ono w szybkim tempie do rozstrzygnięcia, być może nawet zbrojnych.

W czym bowiem mieści się owo kapitalne przeciwieństwo japońsko-amerykańskie?

By odpowiedzieć na to pytanie, trzeba się cofnąć trochę w przeszłość i prześledzić wydarzenia ostatnich lat pięćdziesięciu, mimochodem tylko zatrącając o dawniejsze dzieje. Jest bowiem coś z symbolu w tym, że w r. 1853 rozegrała się „mała wojna“ japońsko-amerykańska, pierwszy konflikt zbrojny, który wyglądał w ten sposób, że cztery okręty amerykańskie groźbą swych armat zmusiły bezbronną Japonię do otwarcia portów dla handlu ze Stanami. Japonia, podówczas tkwiąca jeszcze w ustroju feudalnym, uzbrojona w iście średniowieczną broń, musiała podpisać szereg umów, mało się różniących od chińskich nkladów koncesyjnych. Kupcy amerykańscy, a następnie i europejscy otrzymali prawa eksterytorialności, a cła japońskie na importowane towary nie mogły przekraczać 5%.

Jak legenda prawie, zważywszy jaką potęgą militarną jest współczesna Japonia, brzmi fakt, że w 1864 r. połączone floty Stanów Zjednoczonych, Francji, Anglii i Holandii urządzają ekspedycję

Prezydent Roosevelt z rodziną



karną na port Shimonoseki, z którego strzelano do statków cudzoziemskich. (W latach 70-ych zeszłego stulecia składała się flota wojenna Japonii z... 20-tu niewielkich okrętów, w tym 3 żaglowce).

Takie były pierwsze kontakty japońsko-amerykańskie. Wiemy skądinąd w jak szybkim tempie i w jakim kierunku poszedł rozwój Japonii w latach następnym. Ale należałoby się przyjrzeć co się stało z wojowniczym partnerem amerykańskim. Należy stwierdzić, że Stany Zjednoczone



Marszałek *Ciang-Koi-Szek*

na długie lata usunęły się z czynnej pozycji nad oceanem Spokojnym, zaabsorbowane sprawami wewnętrznymi (wojna Stanów Północnych z Południowymi i t. zw. „kolonizacja wewnętrzna“). Słowem okres przewrotu gospodarczego i politycznego w Japonii i zapoczątkowania jej ekspansji najpierw na pobliskich terenach wyspiarskich, a następnie na lądzie stałym Azji, przypadł na okres usunięcia się ważnej siły Stanów Zjednoczonych.

Kiedy zaś Stany powróciły do czynnej pozycji na Dalekim Wschodzie, była już Japonia nieomal decydującym czynnikiem w układzie sił i rozwoju stosunków nad Oceanem Spokojnym.

* * *

Stany Zjednoczone przeżywały w drugiej połowie zeszłego stulecia okres ogromnego rozwoju gospodarczego, skierowanego na stale rosnące potrzeby wewnętrzne. Nie interesowały się też rynkami obcymi aż do lat 90-ych, które właśnie są okresem przelomowym w ich polityce. Jeżeli bowiem przyjrzymy się polityce zagranicznej Stanów na przestrzeni 19-go wieku, to stwierdzimy, że nie wykazywała ona tendencji ekspansji kolo-

¹⁾ „Na Dalekim Wschodzie“, nr. 27 i „Wśród zagadnień Dalekiego Wschodu“, nr. 28 b. r.

mialnej, w przeciwieństwie do Anglii i Francji a następnie Niemiec i Japonii. Wzmiankowane wyżej interwencje amerykańskie w Japonii były tylko próbą parcia siłą swego handlu, bez ambicji terytorialnych zdobyczy. Dopiero w r. 1889 przez wzięcie udziału wraz z Anglią i Niemcami w opanowaniu wysp Samoa rozpoczyna erę „kolonialną“ w nowej historii Stanów.

Etapami tej polityki „kolonialnej“ są: zagarnięcie wysp Hawajskich, a więc pierwszy krok przez Ocean Spokojny w kierunku azjatyckim. (Hawaje znajdują się mniej więcej w odległości 2.500 klm.



Na wyspach Hawajskich odbywają się ćwiczenia sił morskich i powietrznych U. S. A.

od ważniejszych portów zachodniego wybrzeża Stanów). Następnie ekspansja amerykańska kieruje się przeciw najbliższemu z państw kolonialnych Hiszpanii, odbierając jej Kubę, ważną zarówno ze względów ekonomicznych, jak i strategicznych (pozycja kluczowa wobec kanału panamskiego). Wreszcie dalsze kroki, to zabór wysp Filipińskich i wyspy Guam na wyspach Maryańskich. I oto nagle Stany przesuwa się coraz bliżej Azji, coraz bliżej Chin i coraz bliżej Japonii. Z wysp Filipińskich jest bowiem do np. Honkongu tylko około 700 kilometrów do przebycia, a do brzegów Japonii niespełna półtora tysiąca.

To parcie w kierunku azjatyckim nie było przypadkiem, a wiązało się z nowymi tendencjami ekspansji handlu i przemysłu amerykańskiego, który natrafiając na terenie azjatyckim na tak różnorodną konkurencję, musiał przeciw zabezpieczyć sobie pomoc i środki presji, w postaci baz floty wojennej. Guam i Filipiny były więc dalszym pomostem przez ocean Spokojny, którego pierwszym etapem były wyspy Hawajskie.

Rzecz jasna, że szło o Chiny, o ten olbrzymi obszar wszelkich możliwości. Jeżeli przyjrzymy się amerykańskiej publicystyce gospodarczo-politycznej tego okresu, to uderzającym jest jej przeświadczenie o doniosłości rynku chińskiego dla gospodarki światowej w ogóle, a dla amerykańskiej w szczególności. Stany Zjednoczone przygotowywały się całą parą do schwytania momentu, gdy ten rynek okaże całą swą chłonność, której zaspokojenie winno być udziałem prężnej, młodej gospodarki amerykańskiej.

To zainteresowanie przetworzone w czyn za pomocą wielkiej floty handlowej

wyraża się w ostatnich dziesiątkach lat zeszłego stulecia zajęciem trzeciego miejsca po Anglii i Japonii w chińskim handlu zagranicznym. Pod koniec zeszłego wieku zajmują Amerykanie poczesne miejsce wśród cudzoziemców na terenie chińskim (około 16%), a większość stanowią ruchliwi agenci firmy naftowej Standart-Oil, wwożącej do Chin przeszło połowę zapotrzebowania naftę.

Stany Zjednoczone przystępują do frontu „koncesyjnego“. Rozwój finansów amerykańskich, który pod koniec zeszłego wieku przybrał niespotykane dotąd na świecie formy koncentracji kapitałów,

wymaga inwestowania i zdobywania zysków dla sum inwestowanych. Powstają liczne spółki banków, ofiarujące Chinom budownictwo dróg kolejowych, dla eksploatacji bogactw naturalnych kraju i dla penetracji obcego przemysłu.

Ale jak to już wspomnieliśmy, przypadł ów wzrost ekspansji amerykańskiej na okres, kiedy w Chinach już operowały potęgi gospodarczo-wojskowe Anglii, Japonii i Rosji. Państwa te były przy tym w znacznie lepszym położeniu od Stanów, przede wszystkim zaś Japonia, która miała idealne warunki dla wytworzenia szerokiego kontaktu gospodarczego i nacisku wojskowego.

Bowiem brać udział w eksploatacji rynku chińskiego to znaczyło nie tylko konkurować jakością i ceną towaru, ale również dysponować silną flotą wojenną i bazami, umożliwiającymi tej flocie swobodne poruszanie się na dalekich morzach. Jak już wyżej stwierdziliśmy, zdobywają Stany kolejno, etapami owe punkty oparcia na oceanie Spokojnym. Znaczenie tych baz (Hawaje, Filipiny, Guam i in.) znakomicie wzrosło wraz z zakończeniem budowy kanału panamskiego, który pozwala flocie Stanów z Atlantyku i statkom handlowym wpływać na Pacyfik bez nakładania olbrzymiej drogi dookoła Ameryki Południowej.

* * *

Jakąż więc była rola Stanów Zjednoczonych w zagadnieniu walki o Chiny? Należy najpierw stwierdzić, że Stany miały nieco odmiennie cele od innych państw, zainteresowanych sprawą chińską. O ile bowiem między Anglią, Rosją i Japonią mogło dojść do porozumienia na zasadzie podziału Chin na sfery wpły-

wów, o tyle dla Stanów, spóźnionych w tej procedurze terytorialnego podziału Chin i znajdujących się w wielkiej odległości, byłby taki rozbiór Chin klęską. Dla polityki amerykańskiej było więc ważnym zadaniem zachowanie jedności Chin jako państwa. Tylko bowiem w pertraktacjach z Chinami mogły Stany uzyskać owe udogodnienia dla wwozu swych towarów i transakcji pożyczkowych ewentualni zaś nowi władcy mieliby na oku, rzecz prosta, przede wszystkim interes własny.

Z tych przesłanek narodziła się zasada „otwartych drzwi“, sformułowana przez dyplomację Stanów Zjednoczonych w r. 1899. Zasada ta zmierzała do ustalenia, iż wszyscy konkurenci na terenie chińskim mają jednakowe uprawnienia i choć niejako potwierdziła fakt podziału Chin na sfery wpływów, to jednak odpięła ewentualność podziału terytorialnego i zajęcie monopolistycznego stanowiska przez poszczególne państwa zainteresowane na ich terenach koncesyjnych.

Zasada „otwartych drzwi“ w Chinach była instrumentem polityki amerykańskiej i choć nie była na rękę innemu państwu, musiały się one na nią zgodzić de facto. Wbiła bowiem klin pomiędzy zaawansowane na terenie chińskim, a konkurujące ze sobą mocarstwa. W ten sposób znalazł się na terenie chińskim silny partner, który na razie kierował ostrze swej broni raczej przeciw Anglii i Rosji, niż Japonii. Z czasem jednak, gdy Japonia stała się rzecznikiem podboju terytorialnego, było rzeczą jasną, że Ameryka będzie głównym przeciwnikiem tej polityki. Okazało się to po zwycięstwie japońskim nad Rosją w 1905 roku. Nacisk Stanów Zjednoczonych na Japonię pozabawił ją owoców zwycięstwa. Za stosunkowo lekkimi warunkami pokoju w Portsmouth, stała postać prezydenta Teodora Roosevelta, pierwszego z dynastii Rooseveltów w Białym Domu.

Linia polityczna Stanów na Dalekim Wschodzie zmierzała do stworzenia równowagi sił i dalszej pokojowej penetracji kapitału amerykańskiego w Chinach. O ile więc w początkach naszego stulecia głównym konkurentem Stanów była Rosja i Anglia, o tyle po wojnie japońsko-rosyjskiej stało się jasnym, że równowaga sił została naruszona. Zwycięstwo Japonii wzmocniło znakomicie jej pozycję na oceanie Spokojnym i kierowało uwagę Ameryki na jej posiadłości wyspiarskie na tym oceanie. Zarówno powolna ale stała penetracja emigracji japońskiej na wyspy oceanu, a docierająca do samych Stanów, jak i polityka japońska wobec finansjery amerykańskiej na terenie chińskim, były powodem rosnącego w Ameryce ruchu antyjapońskiego. Japonia pierwszy cios zadała Stanom przez odrzucenie zasady „otwartych drzwi“ na terenie Mandżurii, uważając ten kraj za domenę swych wyłącznych wpływów, nie dopuszczając handlu amerykańskiego ani kapitałów. Darcie były noty protestacyjne. Wyłączenie Japonii w Mandżurii i Korei była faktem dokonanym.

* * *

Kiedy więc z jednej ..ony oceanu Spokojnego powstawało ognisko nowego,

groźnego przeciwieństwa amerykańsko-japońskiego, rodził się po drugiej stronie, na rdzennej ziemi amerykańskiej silny prąd, skierowany przeciw emigracji japońskiej. Zaczęło się to w Kalifornii i innych zachodnich stanach. Ludność amerykańska wypowiadała się coraz głośniej przeciw napływowi „żółtych“ i przeciw wspólnemu szkolnictwu dla dzieci białych i żółtych. Na tej, jak powiedzieliśmy dziś, rasistowskiej podstawie, rozwinęła się akcja, która musiała wyrzucić znaczny wpływ na dalszy rozwój stosunków japońsko-amerykańskich.

Uchwały senatów stanów zachodnich zagrożonych przez imigrację prężnego, zdolnego elementu japońskiego, kupców i handlowców, zmierzały do zakazu imigracji japońskiej. Powstały Ligi antyjapońskie, kierujące organizacjami bojkotowymi i uciekające się niczaj do siły fizycznej.

Tak więc polityka japońska na terenie Azji, naruszająca zasadę „drzwi otwartych“ i ruch antyjapoński w Kalifornii, pogłębiały antagonizm, który pod koniec r. 1907 mógł się nieomal wyrazić w otwartej wojnie. Stany zaczęły w pośpiesznym tempie dostrajać swe bazy morskie na Hawajach, Filipinach i wyspie Guam. Roosevelt nakazał przeprowadzenie wielkiej demonstracji flotowej. Flota atlantycka Stanów przepłynęła dokoła Ameryki południowej (kanalu panamskiego jeszcze podówczas nie było) i zjawiała się w portach Pacyfiku.

Japonia doszła wkrótce do porozumienia ze Stanami, ograniczając emigrację, jednak co się tyczy Mandżurii, to nie zmieniła Japonia swej linii politycznej; w ten sposób przeciwieństwo amerykańsko-japońskie, choć na razie wojna została zażegnana, stawało się chronicznym, zwłaszcza, że dalszy wzrost mocy gospodarczej Stanów musiał powodować ich ekspansję na Dalekim Wschodzie.

Stany Zjednoczone przechodzą do t. zw. „dyplomacji dolara“, do wielkiego ataku finansowego na rynek chiński. ofiadując dogodnie i wielkie pożyczki, budując linie kolejowe, konkurujące z liniami dawniejszych, japońskich i rosyjskich koncesjonariuszy. Ta czynna postawa Stanów i atak „dolarowy“, któremu inne państwa zainteresowane nie były w stanie sprostać, wywołał nowe konfiguracje polityczne. Niedawni przeciwnicy, Japonia i Rosja, zaczęli się porozumiewać dla wspólnej akcji obronnej przeciw zachłannemu „Wujowi Samowi“. Powstały również umowy japońsko-angielskie i japońsko-francuskie, skierowane przeciw Stanom.

Wojna światowa skierowała prawie całkowicie zainteresowania Ameryki na Europę. Był to bowiem rynek, którego eldonność towarowa i finansowa przewyższała możliwości chińskie. Jednocześnie wojna światowa dawała Japonii, najbliższym terenem Chin, nowe możliwości, niejako pozostawiała ją samą na placu. Polityka japońska, zawsze umiająca wykorzystywać odpowiednie sytuacje, nie próżnowała w czasie wojny, zajmując mocne pozycje w Mandżurji i Chinach. Za nią szedł przede wszystkim handel japoński wypierając coraz bardziej partnerów angielskich i amerykańskich. Już w przed-

dzień wojny, w r. 1913, wyprzedziła Japonia Stany, zajmując w Chinach drugie miejsce w globalnym handlu tego kraju.

Za kulisami wojny, w której Japonia była sprzymierzeńcem Anglii a następnie Stanów Zjednoczonych, trwała walka o Chiny. I tak powstał w roku 1916 pakt japoński-rosyjski, skierowany przeciw każdemu trzeciemu mocarstwu, które chciałoby opanować Chiny. Układ ten skierowany był przeciw Anglii, ale pośrednio także przeciw Stanom. Japonia tymczasem zajęła szybko niemieckie posiadłości w Chinach i na oceanie Spokojnym, zdobywając w ten sposób lepszą pozycję w stosunku do baz amerykańskich.

Koniec wojny światowej przyniósł wielkie przegrupowanie wpływów gospodarczych na terenie Chin. Japonia wysunęła się w handlu chińskim na pierwsze miejsce, pozostawiając daleko za sobą Anglię i Stany Zjednoczone. Państwa te w okresie powojennym musiały przejść do kontrofensywy, starając się odzyskać utracone pozycje. Przeciweństwa japońsko-amerykańskie znów musiały dojść do głosu.

Okazało się to najlepiej po rewolucji bolszewickiej, kiedy mocarstwa organizowały akcję interwencyjną na Dalekim Wschodzie. Kto wie, czy rewolucja bolszewicka nie zostałaby zlikwidowana przez połączone siły japońsko-angielsko-amerykańskie, gdyby nie to, że Stany Zjednoczone wycofały swe oddziały. Wniosek bowiem był prosty: Stany wolały dopuścić do ustabilizowania się jakiegokolwiek siły rosyjskiej, choćby komunistycznej, niż wyjmować gorące kasztany z ognia... dla Japonii.

Próba rozwiązania pokojowego narastających przeciwieństw nad Oceanem



Kolumny piechoty japońskiej posuwają się coraz dalej w głąb Chin

Spokojnym była konferencja waszyngtońska, ograniczająca zbrojenia morskie mocarstw i usiłująca stworzyć płaszczyznę porozumienia na zasadzie „drzwi otwartych“ w Chinach. Ale wszystkie układy i konwencje nie mogły powstrzymać naturalnych tendencji i planów japońskich. Status quo — był fikcją, a uchwały konferencji waszyngtońskiej nie wytrzymały próby życia. Zamiast zbrojeń morskich zaczęto forsować zbrojenia powietrzne, zamiast zachowania otwartych drzwi, wybuchła wojna, narzucona Chinom przez Ja-



HYDRAULICZNE HAMULCE
NIEZALEŻNE PRZEDNIE KOŁA
ZUŻYCIE BENZYNY - 7 L/100 KLM
SILNIK • POJ. 1.2 L. • MOCY 34 KM

GENERAL TRADING, WARSZAWA
SENATORSKA 32, TEL. 306-10 i 268-61

ponię, wypełniającą swoje dalekosieżne plany na terenach Azji.

Dążenie Japonii do stworzenia systemu azjatyckiego: Japonia — Mandżuria — Chiny i wyeliminowania dotychczasowych partnerów z Chin, zadawało bolesny cios interesom Anglii i Stanów Zjednoczonych. Wyrazem tego było stanowisko Anglii i Stanów wobec rządów chińskich pomoc finansowa dla reformy waluty chińskiej, pomoc w dostawach materiałów wojennych. Stany dały Chinom doradców ekonomicznych i wojskowych. Zorganizowały linie samolotowe, komunikację telefonicz-

ną itp. Ale ważniejsze środki presji, flota wojenna Stanów, ustępowała pod wieloma względami siłom Japonii. Stąd długi okres zastoju w aktywności Stanów wobec Japonii. Nowy krok prezydenta Roosevelta jest dowodem, że Stany dobroili się na oceanie Spokojnym i że gotowe są do walki o „drzwi otwarte“ w Chinach. Wypowiedzenie traktatu handlowego jest otwarciem nowego okresu w rywalizacji nad oceanem Spokojnym. Gwiazdzisty Sztandar występuje zdecydowanie przeciw Wschodzącemu Słońcu. (P).

WSPOMNIENIA

Dwadzieścia cztery lata minęło od chwili ewakuacji Rosjan z Warszawy. Dzień 5 sierpnia 1915 roku zapisał się złotymi zgłoskami w pamięci wszystkich Polaków a zwłaszcza tych, którzy mieszkali w zaborze rosyjskim. Dla mnie ostatnie dni pobytu Rosjan w Warszawie przeszły w trosce o mienie Politechniki, w której byłem asystentem. Właściwie Politechnika dawno już była ewakuowana częściowo jeszcze w październiku 1914 roku, częściowo, po pogromie wojsk rosyjskich w Galicji, na wiosnę roku 1915. Zespół naukowy otrzymał bilety ewakuacyjne w końcu roku akademickiego i już w czerwcu rozjechał się. Pozostało nas kilku asystentów Polaków. Gmach Politechniki, wraz z zawartym w nim inwentarzem ruchomym, pozostały pod opieką prof. Federsa, który z racji swego stanowiska w Ministerstwie Dworu, miał powierzona opiekę nad Zamkiem Królewskim i Łazienkami i według otrzymanych instrukcji, dopiero w ostatniej chwili miał opuścić kołmi Warszawę i zabrać ze sobą najcenniejsze dzieła sztuki. Zarząd Politechniki zostawił do pomocy prof. Federsowi urzędnika Gołoskiewicza, który pełnił obowiązki gospodarza.

Ponieważ od dawna postanowiłem z Warszawy nie wyjeżdżać, już znacznie wcześniej, robiłem starania o pozostawienie mnie w charakterze oficjalnego przedstawiciela Politechniki do współpracy z Komitetem Obywatelskim. Starania moje, poparte zresztą przez członków Komitetu Obywatelskiego, nie zyskały sankcji czynników miarodajnych i spotkały się z kategoryczną odmową. Dopiero w ostatniej chwili, na wniosek prof. Federsa, którego prosiliśmy o to z kol. Glixellim, dyktator Politechniki, Amalicki, już z Peters-

burga, przysłał na moje ręce następującą depezę: proszę pana i pana Glixellego o pozostanie w Warszawie do pomocy Komitetowi Obywatelskiemu. Było to w sobotę 24 lipca. Później dopiero dowiedzieliśmy się od prof. Federsa, że Senat Politechniki, na wypadek ewakuacji Rosjan z Warszawy, przekazał opiekę nad Politechniką p. Piotrowi Wertheimowi, który z racji swych świadczeń, był dobrze widziany przez władze Politechniki. Następnie stosunki tak się ułożyły, że p. Wertheim miał reprezentację, ja zostałem Kuratorem z ramienia Komitetu Obywatelskiego, kolega zaś Glixelli moim zastępcą¹⁾.

Następnego dnia, pomimo niedzieli, od rana przystąpiliśmy wraz z p. Gołoskiewiczem do oglądania Politechniki. To, co zobaczyliśmy, było dla nas przykrą niespodzianką. W pawilonie mechanicznym gospodarował dowódca Automobilowej Roty, oficer rezerwy Goldstein. Gospodarka była rabunkowa. Szereg maszyn zebrano jednocześnie i subtelne części różnych maszyn poniewieraly się po całej hali. Część instalacji była już doszczętnie zniszczona: kable pocięte i powyciągane, pasy poniszczzone, motory porozbijane. W niszczeniu Pawilonu mechanicznego gorliwie pomagał pomocnik osławionego prof. Kasmina, Nikołajew, który uważał, że trzeba wszystko zniszczyć, aby się nie dostało do rąk Niemców.. Zburzenie kanałów wentylacyjnych uważał za konieczne, widział w nich bowiem gotowe kazamaty, gdyż mógł służyć za cel dla Niemców. Gdy staraliśmy się wytłumaczyć, że pewne urządzenia są konieczne do konserwacji gmachów, usłyszeliśmy odpowiedź: „wy eto wsio chotitie ostawit Niemcam“.

Gmach główny Politechniki warszawskiej w r. 1914



Na odchodnym zakomunikowano nam kategorycznie: 1) że kotły zostaną zniszczone, komin wysadzony i wszystkie maszyny zabrane; 2) że nasza wizyta ich dźwi, że mają instrukcje i nikomu nie pozwolą się wtrącać do ich czynności. To pierwsze spotkanie z niszczycielskimi siłami było bardzo nie zachęcające, trzeba było myśleć o środkach zapobiegawczych na najbliższą przyszłość. Dalsze oględziny Politechniki musieliśmy przerwać, ponieważ o 12-ej mieliśmy być u Ks. Zdzisława Lubomirskiego. Rozstając się z p. Gołoskiewiczem, poleciłem mu, aby następnego dnia przyszedł rano i przy mnie zakomunikował służbie w jakich warunkach zarząd Politechniki ich zostawił, t. j. że mogą liczyć tylko na miesięczną pensję. Gołoskiewicz jednak więcej się nie pokazał, w nocy uciekł z Warszawy.

Dzień był parny, rzadkie początkowo strzały armatnie, ku południowi, zmieniły się w ogień huraganowy, nastroj potęgowała rozszalała burza. Podczas największej nawałnicy pojechałem z p. Wertheimem i profesorem Federsem do Fraskati. Rozmowa z ks. Lubomirskim, prowadzona w tak niezwykłych warunkach, nie dała nam żadnych wskazówek, sytuacja nie była jeszcze wyjaśniona. Ks. Lubomirski prosił, aby o 8-ej wieczorem zgłosić się do niego w pałacu Kronenberga.

Gwałtowna letnia burza przeszła szybko, korzystając z pogody spędziłem resztę dnia w mieście.

Na głównym szlaku ucieczki, przez Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście wlokły się grupki zbiedzonych, obdartych żołnierzy, raczej cienie ludzkie, niż ludzie. Widziałem żołnierzy ciągnących armaty, jakieś resztki sprzętu wojennego. Maruderzy włóczyli się po mieście, wszystko wskazywało na całkowitą demoralizację. Na chodnikach tłum publiczności zdradzał silne podniecenie, dla każdego było jasnym, że zbliża się chwila dziejowa, że stuletnia niewola się kończy.

Wieczorem ks. Lubomirski zakomunikował nam, że prezydent Warszawy nie wyjechał i że wobec tego on jeszcze władzy nie przejął, że trzeba się wstrzymać z oficjalnym załatwianiem spraw, że czasowo należy porozumiewać się z Komisją, złożoną z p. Ignacego Radziszewskiego, Franciszka Rudnickiego i dr. Kociatkiewicza, wreszcie, że Komisja ta ma się jutro zebrać o 4-ej u Techników. Kolo 10-ej wracałem do domu przy ogłuszającym huku armat, które dopiero nad ranem zcichły.

W poniedziałek, wczesnym rankiem obudził mnie dzwonek. Była to wizyta oficera Pisarewa, który zakomunikował, że z polecenia władz wojskowych, ma organizować cztery pracownie chemiczne i potrzebny do tego sprzęt i chemikalia ma wziąć z Politechniki, czyli, że przystępuje do rekwizycji. Wizyta Pisarewa była pierwsza, ale nie ostatnia. Odtąd mieliśmy już stałe rekwirentów, aż do ostatecznej ewakuacji Rosjan. Gdy rano z kol. Glixellim przyszedliśmy do pawilonu chemicznego, zastaliśmy kilku oficerów, podoficerów i żołnierzy, którzy szukali sami nie bardzo wiedząc czego. Zdarzali się

¹⁾ Później szereg kolegów chemików i inżynierów współpracowało z nami w charakterze moich zastępców.

między nimi zwyczajni złodzieje, którzy brali, co się dało, i sprzedawali. Pułkownik Filipow i Lebediew, oficerowie marynarki, poszukiwali przyrządów fizycznych i cyjanku potasowego, Pisarew informował się co i skąd może zabierać, pawilon mechaniczny również grabiono i ze zgrozą dowiedzieliśmy się, że kotły mają niszczyć. W tym trudnym położeniu przyszedł nam z pomocą Pisarew, który, nie bez wysiłku, skłonił pułkownika Filipowa do odłożenia dzieła zniszczenia do przyścia generała Szulgi, szefa ewakuacji Warszawy. Praca tego ranka była denerwująca i bezładna, każdy się spieszył, każdy nas ciągnął w swoją stronę. Koło 1-ej przyjechał generał Szulga. Na nasze prośby, poparte przez Pisarewa, Szulga zawiesił niszczenie kotłów. Był to nasz pierwszy tryumf nad niszczycielską załogą kotłowni, która też od tego czasu zaczęła się z nami liczyć.

Podczas oglądania pawilonu fizycznego, gen. Szulga postanowił wysłać Gabinet Fizyczny do Michajłowskiej Akademii, co w tym pośpiechu równało się zniszczeniu wszystkich przyrządów. Nasze usiłowania, aby Gabinet zachować, narażenie nie dały wyników. Dopiero za drugiej bytności generała udało się nam go przekonać, że pośpieszne wywożenie Gabinetu, to zniszczenie przyrządów — i Gabinet pozostał. Na drugi dzień, t. j. we wtorek, rozpoczęła się rekwizycja w pawilonie chemicznym. Pisarewowi pomagali dwaj panowie Daniłow, kilku woźnych z Uniwersytetu i Politechniki. Rekwizycja Pisarewa trwała dwa dni, t. j. wtorek i środek i miała charakter rabunkowy. Pakowano co popadło pod rękę i mam przeświadczenie, że gdyby zarekwirowane rzeczy zdołali wywieźć, wszystko by uległo zniszczeniu (podobno cały ten ładunek spalił się na Dworcu Petersburskim), na co zresztą zwracaliśmy uwagę Pisarewowi. Pisarew zabrał ogółem 98 skrzyń, nie licząc balonów z płynami i licznych mebli. Jakkolwiek w tych warunkach nie mogło być mowy o dokładnym sprawdzaniu i zapisywaniu, zawdzięczając usilnym naszym staraniom, pokwitowania od Pisarewa uzyskaliśmy.

Wynikiem tej rekwizycji było całkowite zniszczenie pracowni prof. Waniukowa, Sołoniny (chemia nieorganiczna), Jerczykowskiego (chemia fizyczna) i częściowo Isajewa (technologia chemii fermentacyjnej), natomiast ocalały zakłady prof. Bewada (chemii organicznej), Boguskiego (technologii związków nieorganicznych), Ciglera (metalurgia) i Worózcowa (barwniki). Rekwizycji w pawilonie chemicznym sekundowały rekwizycje w innych pawilonach. Nie były to często rekwizycje, lecz zwykłe rabunki. Przychodził prosty żołnierz i żądał, żeby mu otworzyć pracownię, bo „może co dla siebie znaleźć“, a żądanie swoje stawiał w imię najwyższych celów wojny. Trzeba to było koniecznie ukrócić.

Pojechałem do generała Szulgi i uzyskałem na piśmie zakaz wszelkiej rekwizycji w Politechnice bez zezwolenia generała. Był to nasz największy tryumf. Generał Szulga był człowiekiem bardzo kulturalnym, to też łatwo go było przekonać. Zawdzięczając wyłącznie jemu, ocalał komin, kotły, niezbędne maszyny,



Scenka uliczna z ewakuacji Rosjan 1915 r.

kilka dużych motorów, jednym słowem wszystko, czego panowie Goldstein i Nikolajew nie zdążyli jeszcze zniszczyć. Mając zakaz rekwizycji, prowadziliśmy życie znośne. Niszczycielskie siły w pawilonie mechanicznym opanowaliśmy, od włóczągów chroniło nas pismo generała Szulgi. A działa pod Warszawą grały co raz donośniej. Jeszcze w poniedziałek mieliśmy większe rekwizycje. Pisarew zabrał osiem skrzyń chemikali, lotnik Zielinin — beczkę chloranu potasowego, a profesorowie Bogojawleńskij i Ławrow nieco chemikali dla Czerwonego Krzyża.

Dziwni byli ci oficerowie rosyjscy. Do ostatniej chwili albo sami się ludzili, albo oklamywali ich naiwnie. Pisarew np. jeszcze we wtorek utrzymywał, że Warszawa nie oddadzą i że ewakuacja jest zupełnie zbędna. Szulga był mniej stanowczy, ale również wierzył w utrzymanie Warszawy i zapewniał, że, gdyby nawet Warszawę trzeba było oddać, twierdzą Modlin i Dęblin będą się trzymały do powrotu Rosjan. Jedynie pułkownik Diedulin, wprawdzie dopiero we wtorek, zakomunikował mi, że Warszawa musi być oddana Niemcom, i nawet starał się mnie wybiadać, co o tym społeczeństwo polskie myśli i kiedy spodziewa się powrotu Rosjan.

W środę żołnierze przystąpili do wyśadzania niektórych fabryk, pogoda była piękna, acroplany dość często przelatwały nad miastem, strzelanina trwała bez przerwy, w mieście znać było podniecenie i zrozumiałe zdenerwowanie, z godziny na godzinę należało oczekiwać rozstrzygającej chwili, zapowiedziano wysadzenie

mostów i w związku z tym kazano nie zamykać okien. Rekwizycji już nie mieliśmy. Nastal wieczór. Służbie kazalem czuwać i dać mi niezwłocznie znać, gdyby Niemcy się zjawili, od pierwszego bowiem spotkania w tych razach wiele bardzo zależy. Dnia tego w Warszawie nikt o śnie nie myślał.

O zmierzchu wyjechały na miasto patrole kozackie, zagarniające mężczyzn na Pragę, to też ulice były puste. Koło północy w pobliżu Politechniki padły pierwsze strzały, podobno był to pierwszy podjazd niemiecki. Ranek przyniósł zapowiedziane wysadzenie mostów. Nastąpiły trzy kolejne detonacje. Pierwsza i druga były słabe i odpowiadały mostowi pod Cytadelą i Poniatowskiego, druga — potężna — mostowi Kierbedzia. Niedługo po tym kawaleria niemiecka Alejami Jerozolimskimi, galopem wjechała do Warszawy.

Wejście Niemców Warszawa przeżyła spokojnie, sklepy były pootwierane, ludzie na ulicach dużo, miasto miało wygląd zwykły. Niemcy byli tem zaskoczeni, bali się jakiejś niespodzianki. My w Politechnice oficjalnych gości mieliśmy dopiero o jedenastej. W mojej nieobecności przyjął ich pierwszy kol. Glixelli.

Prof. K. Sławiński

**Czy jesteś
członkiem L. O. P. P.**

**SPĘDZAJCIE LATO
NA PLAŻACH FRANCUSKICH**



40% zniżki na kolejach. — 0.50 %
zniżki na litrze benzyny na podstawie
„Carte de Voyage Touristique“
w cenie 40 fr.



FRANCUSKI URZĄD TURYSTYCZNY

Warszawa, Ossolińskich 4, Tel. 684-85 (Wycieczki Organizują Biura Podróży)

UCZMY SIĘ LICZYĆ

Dzień 1 sierpnia 1939 roku miał stanowić datę przełomową w ruchu kołowym na ulicach Warszawy¹⁾ — w najbliższej przyszłości w ciągu dnia, od godz. 9 względnie 10-ej rano do 23-ej przez śródmieście unknąć będą wyłącznie samochody, motocykle, rowery, tramwaje — znikną z bruków śródmieścia stolicy potwornej wielkości, a jakże powolne wozy meblowe, znikną wozu węglowe, Chłopskie, ciężarowe... Odetchną kierowcy samochodów, motorniczowie tramwajów, przechodnie, policjanci, regulujący ruch... Narzeczcie!

Tak będzie w Warszawie, ale w innych wielkich miastach Polski na razie przynajmniej pozostanie wszystko bez zmian. Wozy konne nadal będą tarasować jezdnię hamując szybkość i swobodę ruchu pojazdów mechanicznych. Tym się pocieszymy, że inicjatywa stołeczna zostanie podchwyczona przez prowincję i że niezbyt odległy jest już dzień, w którym przez miasta będą bezzwłocznie sunąć wyłącznie pojazdy motorowe, a koń zostanie usunięty tam, gdzie jest jego miejsce — na rolę i drogi wiejskie.

Nie przyjdzie to z łatwością, o nie! Długi jeszcze czas zapewne koń będzie zjawiskiem powszednim na wszystkich drogach, od gruntowych aż do nowoczesnych magistrali betonowych. Nic dziwnego, skoro tych poczciwych czworonogów mamy w kraju około 4.000.000 (czterech milionów), a pojazdów mechanicznych nie wiele ponad 60.000 (sześćdziesiąt tysięcy). Dlatego więc samochód, śpieszący do jakiegoś miasta, musi się przebiegać przez zatory furmanek chłopskich, ciągnących nieskończonym sznurem na targ, na jarmark lub prosto na codzienne targowiska w dni powszednie — dla tego

¹⁾ Termin ten został narazie przesunięty.

samochód musi zwalniać biegu na każdej szosie w dzień niedzielny, by nie spłoszyć pasażerów się w rowach przydrożnych koni, dla tego wreszcie tak powolnie postępuje motoryzacja naszego kraju, gdyż tyle mamy tańszej, powszedniej siły pociągowej.

Tańszej? — być może, a nawet napewno, jeśli się porówna koszt nabycia i utrzymania pojazdu konnego z takimże kosztami pojazdu mechanicznego. Cyfry są tu argumentem pozornie nieodpartym, jak każde zresztą cyfry, szermują więc nimi entuzjaści uświęconej wiekami tradycji przewozów i komunikacji pojazdami konnymi. No, ho jakże? Kupno konia i furki chłopskiej wraz z uprzężą to kwestia kilkuset złotych, mniej lub więcej, w zależności od wieku i siły konia — kupno samochodu ciężarowego o nośności około 2 ton to już wydatek wielotysięczny: kupno silnego, ciężkiego konia pociągowego i t. zw. platformy to koszt najwyżej 2.000 zł., a samochód ciężarowy, ho, ho!!

Utrzymanie pojazdu konnego w dużym mieście wraz z pensją woźnicy, pasażera konia i t. p. kosztuje niechby 300 zł., a samochód, panie dobrodziej, tyle tej benzyny wypali, a garaż mu daj, a opony zmieni, a szoferowi płac, najmniej dwa razy tyle, albo i więcej!

W tym jednak obliczeniu, w tych cyfrach poniją się świadomie lub nieświadomie dwa czynniki materialne — wydać i czas. Nie zamierzam przeprowadzać długich i żmudnych wyliczeń, nie chcę w ramach tego niewielkiego artykułu cytować zestawień, kalkulacji i t. p., pragnę tylko rzucić kilka pytań, pytań może retorycznych, ale odpowiedź na które dałaby rozwiązanie nie jednej zagadki, nie jednej kwestii.

Więc pytanie pierwsze. Czy wydajność pracy jednego pojazdu konnego jest rów-

AUTO TRADING COMPANY

Sp. z ogr. odp.

Warszawa

Plac Napoleona 5

Telefony: 215-49, 309-95

na wydajności pracy samochodu ciężarowego? Czy ktokolwiek potrafi udowodnić, że wóz konny wykona w ciągu dnia taką samą pracę, jak samochód ciężarowy? Czy wobec tego, przeciwstawiając kosztom utrzymania i nabycia samochodu niższe koszty pojazdu konnego, porównujemy cyfry współmierne?! Przecież prosta, chłopska logika wskazuje, że musi być do tych wartości porównawczych zastosowany odmienny współczynnik, jakaś mnożna, która od razu wykaże supremację pojazdu mechanicznego i jego taniość! To raz.

A teraz kwestia druga. Żadna prawie kalkulacja nie bierze w rachubę czynnika czasu, mimo, że w każdym języku świata, a więc i w polskim także, istnieje przysłowie: „czas to pieniądz”. Czas ma jednak w Polsce ciągle jeszcze zbyt małą wartość. Wystarczy przecież stanąć o dowolnej porze w najruchliwszym punkcie największego miasta naszego kraju, jakim jest Warszawa. Obok zrzadka przynykających samochodów osobowych, autobusów i taksówek, ileż widać czekających na skrzyżowaniu dorożek konnych, wozów meblowych i ciężarowych, naladowanych węglem, cegłą, żwirem, piaskiem...

Mimowoli przychodzi do głowy refleksja: przecież to jest wszystko komuś, gdzieś, dla jakiegoś celu dostarczone, przecież ktoś wolałby niewątpliwie mieć wcześniej ciepło w mieszkaniu, cegłę i piasek do budowy, meble do szybszego urządzenia nowowynajętego domu.

Przecież ten skulony w dorożce konnej pasażer, poto tylko wsiadł do niej, aby prędzej, niż piechotą i wygodniej, niż tramwajem, być u celu swej krótkiej podróży po mieście. Przecież każdy woźnica radby był wcześniej dowieźć na miejsce przeznaczenia swego pasażera, lub towar, by może jeszcze raz, lub dwa razy obrócić, tym samym osiągając większe zyski.

W każdym z tych ludzi niewątpliwie tkwi głęboko poczucie wartości czasu. Żaden z nich jednak nie umie, nie potrafi, lub nie chce przeliczyć właściwie tego elementu, poświęcić jeszcze odrobiny grosza na to, by zyskać kilka, kilkanaście, lub kilkadziesiąt jednostek drogiego czasu.

* * *

Wróćmy do tego pasażera dorożki konnej, płaconego przeciętnie od jednego do dwóch złotych za półgodzinny kurs, podczas gdy taksówka przewiezie go na tę samą odległość w 10 minut za 2 — 3 zł. Efekt prosty — zysk 20 minut za kilkadziesiąt groszy, lecz pasażer odczuwa tylko doraźny większy wydatek, nie biorąc wcale pod uwagę możliwości oszczędzenia czasu. Mniejsza o tych kilka minut!

Przedsiębiorca węgłowy dostarcza swój

ANGIELSKIE SAMOCHODY WYSOKIEJ KLASY

THE ROLLS-ROYCE OF LIGHT CARS

SUNBEAM - TALBOT



Precyzja wykonania — Najlepszy materiał konstrukcyjny — Doskonałe resorowanie — Ekonomia w eksploatacji — Najnowocześniejsze udogodnienia — Trwałe i mocne podwozia — Subtelne i luksusowe wykończenie — Części zamienne na składzie

GENERALNA REPREZENTACJA

WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO HANDLOWO - PRZEMYSŁOWE

„WAR-TE-HAN” Sp. z o. o.

Warszawa Kredytowa 6. Tel. 333-43. Tel. 625-11

PRZEDSTAWICIELSTWA:

Poznań — „BRZESKIAUTO” Sp. Akc. Dąbrowskiego 29, tel. 63 23.

Łódź — M. OSSER, Zachodnia 64, telef. 108.17.

Katowice — JÓZEF BROSS, Ligonja 21, telef. 330.65.

Łwów — „UNIA STRAŻACKA”, Lekarska 3, tel. 214.84.

RASOWĄ LINIĘ, ELEGANCJĘ WIEDEŃSKĄ PRZY WALORACH TECHNICZNYCH POSIADA TYLKO STEYR 220



STEYR, DAIMLER, PUCH & POLSCE Sp. Akc. WARSZAWA

DYREKCJA
tel. 5.85-91, 5.85-99
Wierzbowa 8

Magazyn części i stacja obsługi
tel. 9.51-50, 7.16-69
Książęca 9

Składy samochodów i motocykli
4.41-39
Wiktorska 18, (dom własny)

towar wielkim, ciężkim wozem, zwolna ciągniętym przez jednego konia. Czas przewozu i powrotu wozu do składu trwa przeciętnie nie mniej 2 — 3 godzin, a więc uwzględniając czas na naladunek i wyładunek, będzie on mógł w ciągu krótkiego, zimowego dnia przewieźć najwyżej 3 razy po około 1½ tony węgla. Tymczasem samochód ciężarowy zrobi jeden kurs obustronny w 10 minut, wioząc po 3 — 4 tony na raz, co pozwoli na przewiezienie w ciągu dnia przy 5 kursach czterokrotną, a nawet pięciokrotną ilość węgla, rozwożonego przez zaprzęg konny.

Mamy więc nowe dane do kalkulacji, zadające kłam cyfrom, przytoczonym na wstępie: czas, zaoszczędzony przez samochód ciężarowy, równoważy się kosztami utrzymania i posiadania 3 — 4 dodatkowych wozów, koni i woźniców, co stanowi już wartość bardzo znaczną i cyfrowo obala legendę o tanioci konnego środka przewozu.

Jeszcze jaskrawiej przedstawia się sytuacja z przewozem cegły i piasku, przy czym zaznaczyć należy, iż konie, przewożące te artykuły są absolutnie nie przystosowane do tak wielkich wysiłków, że są obciążone o wiele ponad swe możliwości, że wreszcie najczęściej wiozą wspomniane materiały budowlane z miejscowości podmiejskich, a więc na odległości, przenoszące często kilkadziesiąt i więcej kilometrów. Wyklucza to po prostu możliwość powtórzenia kursu — całodzienny więc zarobek takiego przewoźnika wynosi 4 — 5 zł., bo więcej nie otrzyma za dostarczenie tak małej stosunkowo ilości cegły, podczas, gdy samochód ciężarowy przewiozłby co najmniej za pięcioma nawrotami na odległość choćby i 20 kilometrów ze dwadzieścia razy tyle, a więc tyle, co 20 wozów, czyli, że jeden samochód ciężarowy zarabia dla swego posiadacza, spółdzielni lub cegielni 80 — 100 zł. dziennie, które z nawiązką wystarczą

na pokrycie kosztów, amortyzację i zysk. „Ale cóż, kiedy samochód jest drogi, a koń tani” — odpowie domorosły kalkulator, zapatrzony w nieznaczną jednorazowo kwotę wydatku na transport jednego wozu — „a kwestia czasu — głupstwo, zdąży się!”

Czasem jednak nie zdąży do chorego lekarz, na rozprawę sądową — adwokat. Ci więc posługują się taksówkami, wydając na nie często kilkanaście i więcej złotych w ciągu dnia. Ci mają poczucie wartości czasu, bo za ich czas im się płaci, ale... nie umieją liczyć, bo 10 zł. choćby dziennie na taksówkę, dorożki i t. p., to jest około 3.500 zł. rocznie, co kosztuje mały, ale własny samochód.

Wróćmy jednak do marnotrawienia czasu. Co ranka na szosach podmiejskich długie sznurzy wozów chłopskich ciągną do miasta, dowożąc nabiał, jarzyny, drzewo i inne produkty wsi. Setki ludzi, wozów, koni ciągnie z daleka, godzinami i dzie-



*punktualni...
szczęśliwi*



bo posiadają
**ŻELAZKO
ELEKTRYCZNE**

**Kupione na raty
W SALONIE
ELEKTROWNI MIEJSKIEJ
ul. Marszałkowska 150**

siatkami kilometrów, by sprzedać swój towar i czas za kilka złotych. W porze letniej, w porze robót rolnych, odrywa się konia i gospodarza od pracy na roli, by mógł zarobić trochę pieniędzy.

Ileż by się zaoszczędziło czasu koszna czeka, a gospodarstwo zaniedbane — opatrzonej w jeden lub dwa samochody ciężarowe, dowożące produkty wiejskie z całej wsi do miasta.

Wniosek końcowy zawarty jest w tytule tego artykułu. „Uczmy się liczyć!” — wtedy może zniknąć z naszych dróg takie dziwolgi, jak zaprzęg konny, rozwożący benzynę dla automobilistów.

Na razie jednak tracimy drogi czas, jedyną wartość, której na pewno nie uda się już nigdy „odrobić”. Tracimy ten drogocenny element lekkomyślnie, beztrudnie szafując nim na prawo i lewo, z wielką stratą dla nas samych i dla Państwa. Zmarnowanego czasu nikt nam już nie wróci.

M. F.

O koncesjach samochodowych w Polsce

(N. m. wyw. z dyr. dep. przem. M. P. i H. p. Łojko)

Przy omawianiu produkcji samochodowej stale wylania się zasadniczy problem jej reglamentacji. W zasadzie istnieją dwa systemy: 1) system wolnej produkcji, opartej na zwykłej rynkowej konkurencji, i 2) system koncesyjny.

W krajach Europy Zachodniej i Ameryce zasady wolnego handlu, usuwające wszelką reglamentację, są wynikiem olbrzymich postępów motoryzacji i wielkiego popytu na wszelkiego rodzaju pojazdy mechaniczne, z trudem zaspakajalnemu przez produkcję samochodową. Natomiast w Polsce, przy dość szczupłym liście taborze samochodowym, nasuwa się zagadnienie, czy należy w interesie rozwoju motoryzacji tolerować mnogość typów i marek pojazdów mechanicznych, czy też ograniczyć je do niewielkiej liczby typów seryjnych, wypuszczanych na rynek masowo.

Ostatnio koncepcja ograniczenia typu z rozmaitych względów rzeczowych (o czym piszemy na innym miejscu) zwyciężyła i zastosowano u nas system koncesyjny.

Zasadniczą cechą koncesji jest przejściowość, gdyż udzielane są koncesje na czasowy montaż przy jednoczesnym zobowiązaniu się koncesjonariusza do budowy własnej fabryki samochodów, wytwarzanych w 100% z krajowych surowców.

Jeśli koncesja w swym pierwotnym stadium reguluje pewne sprawy między państwowej wymiany gospodarczej, nie jest to jednak jej głównym założeniem, lecz ubocznym.

Dążeniom więc do samowystarczalności i uniezależnienia się gospodarczego służy system koncesyjny i przede wszystkim zmierza do własnych fabryk samochodowych, wbrew głosom defetystów, że „Polskę jakoś nie stać na własne fabryki samochodowe”.

Rzeczpospolita Polska, jako Wielkie Mocarstwo, niezawodnie i w dziale produkcji samochodowej przy dokonaniu zgodnego wysiłku żołnierzy przemysłu wkrótce zajmie należne jej miejsce wśród narodów świata, gdyż w innych dziedzinach to miejsce już sobie wywalczyła.

Nie kupujcie samochodu dopóki nie obejrzyście nowego typu wozu ludowego największej produkcji angielskiej

M O R R I S

Generalne Przedstawicielstwo na Polskę i W. M. Gdańsk

„AUTOMOTOR“ Sp. z o. o.

Warszawa, Marszałkowska 152. Tel. 580-90

Na Śląsku Cieszyńskim wylały rzeki. Powódź wyrządziła znaczne szkody. Oto obraz sytuacji pod Boguminem



PROBLEM MOTORYZACJI POLSKI

Na podstawie danych uzyskanych w Międzyministerialnej Komisji motoryzacyjnej

Zastraszający do niedawna zastój w doniosłym problemie motoryzacyjnym spowodował niarodajne czynniki w Polsce do zajęcia się powyższym problemem da capo oraz skierowania go na ustalone, pewnie do założonych celów prowadzące tory.

W skład, z ramienia Rządu ad hoc wyłonionej Międzyministerialnej Komisji dla motoryzacji Polski weszli: jako prezes p. inż. Julian Piasecki, podsekretarz stanu, wiceminister komunikacji.

Wiceminister Przemysłu i Handlu Rose i Dyrektor min. Przemysłu i Handlu p. Łojko.

Z min. Skarbu dyrektor p. Świtalski i dyrektor p. Janusz Rakowski.

Wiceminister Spraw Wojsk. p. general Litwinowicz.

Z komitetu obrony Rzplitej p. ppłk. Jerzy Orski i Dyrektor p. Poniatowski.

Międzyministerialna Komisja dla Motoryzacji Polski w powyższym składzie objęła kierownictwo spraw złączonych z motoryzacją kraju.

Akcja motoryzacyjna Polski jest wprawdzie jeszcze w początkach, ale dziś już można mówić o stopniowym nasileniu realizacji tego niezwykle, ze względu na dobrobyt i obronność Państwa doniosłego problemu w granicach na daleką metę gruntownie przemyślanego oraz do warunków naszego kraju dostosowanego, planu.

Mamy za sobą już etap bardzo poważny, etap doświadczeń i prób, okres wahań nad wyborem właściwej drogi, na którą akcję motoryzacyjną należało skierować. Rezultaty tego najcięższego okresu — nie dały na siebie długo czekać. W ciągu ub. trzylecia akcja motoryzacyjna znalazła pełne zrozumienie czego dowodzi coraz więcej wrastający pęd do motoryzacji transportu i od trzech lat datująca się znacznie większa chłonność rynku samochodowego.

Idąc po jasno wytycznej prostej M. K. postawiła sobie zasadniczy cel — motoryzację Polski przy równoczesnym tworzeniu krajowego przemysłu pomocniczego a w przyszłości produkcyjnego.

Pierwszą firmą wytwórczą samochodów były Państwowe Zakłady Inżynierii wydawnic i konsekwentnie popierane przez Rząd. Następnie udzielono koncesji na montaż samochodów z warunkiem stopniowego przejścia na produkcję czysto krajową firmie Lilpop Rau i Loewenstein a identyczne przedsiębiorstwo wyłoniła z siebie „Wspólnota Interesów“, budująca obok istniejącego już montażu, własną produkcyjną fabrykę samochodową. Najświeższą koncesję w tym kierunku otrzymała firma „Fablok“. W ten sposób zostały położone podwaliny i stworzone podstawy dla szerokiego rozwoju przemysłu samochodowego w Polsce. Obecnie każda z fabryk ma dokładnie sprecyzowane zadania, zakres wytwórczości oraz sposób ich realizacji przy czym zasadą ogólną jest zastawienie produkcji na wyrób samochodów ciężarowych typów z góry ustalonych dla każdej wytwórni. Równocześnie ze specjalizacją fabryk nastąpiła specjali-

zacja warsztatów, podniesiona wydajność gatunkowa przemysłu pomocniczego. Wzrósł asortyment krajowych części zamiennych co jest równoznaczne w tym względzie z uniezależnieniem się od zagranicy i z oszczędnością dewiz. Konsekwentnie do powyższego stanu rzeczy — poszło i nadal postępuje ujednoczenie typu pojazdów mechanicznych kursujących w Polsce. Znikają pojazdy, nie posiadające części zamiennych w kraju — wypierają je te marki, które stworzyły, względnie obecnie tworzą sieć stacji obsługi i magazynów części, dostępnych w każdej chwili i udostępniających korzystanie z samochodu bez większych przerw w eksploatacji. Jeszcze w dniu 1.I.1937 r. kursowało w Polsce 299 marek samochodów — obecnie cyfra ta zmniejszyła się do 181 marek a jednocześnie w statystyce następują przegrupowania. Już teraz około 48% ogólnego stanu taboru samochodowego Polski składa się zaledwie z trzech dominujących marek, ponad 20% stanowi dalszych 6 marek, wreszcie około 21% składa się z następujących 16 marek a na pozostałe 11% złożyły się niedobitki samochodów najprzeróżniejszych marek i typów.

Ogólny wzrost motoryzacji kraju jest jednak ściśle związany z udostępnieniem możności nabywania samochodów przez szerszy ogół — jednym słowem tyjących potaniaenia wozu i jego eksploatacji.

W tym kierunku zrobiono również wiele. Wyrazem tego było wprowadzenie ulg podatkowych dla nabywców pojazdów mechanicznych, które obniżyły tym samym cenę pojazdów. Wobec wyraźnego wpływu tego dekretu Pana Prezydenta Rzplitej na rozszerzenie rynku samochodowego w Polsce, eksperyment ten został wznowiony w drodze ustawy uchwalonej przez Izby Ustawodawcze, a powiększającej jeszcze zakres udzielonych ulg. Obecnie obowiązująca ustawa obniża cenę samochodu czy też motocykla o pełne 20% nie zależnie od dochodu nabywcy i ceny kupna pojazdu — w tych warunkach za 3150 zł można już kupić samochód, a poniżej 1500 zł motocykl. Dalsze obniżenie cennika pojazdów mechanicznych leży w programie prac komisji międzyministerialnej dla spraw motoryzacji kraju. Równocześnie w dziedzinie eksploatacji mechanicznego pojazdu nastąpiła poprawa warunków przez potaniecie środków napędowych oraz wprowadzenie lepiej kalkulujących się mieszanek trójskładnikowych: spirytusu benzolu i benzyny. Są one silnie używane nawet w Stanach Zjednoczonych Ameryki, tak bogatej w benzynę.

Są również zainicjowane badania nad możliwością produkcji w kraju paliw syntetycznych opartych o przeróbkę węgla, torfu, drewna, oraz gazów ziemnych.

Jak więc zupełnie obiektywnie wnioskować można międzyministerialna komisja dla motoryzacji kraju dąży celowo i wyraźnie do jak najdalej posuniętego ograniczenia importu zagranicznego pojazdów mechanicznych do Polski, a z drugiej strony do zaspokojenia potrzeb

rynku, wyłącznie w drodze własnej wytwórczości, przy czym za podstawowy i najważniejszy obiekt tej wytwórczości, tak ze względu na potrzeby Obrony Państwa jak i ze względów gospodarczych i możliwości technicznych, uważa samochody ciężarowe. Chodzi tu w pierwszym rzędzie o samochody ciężarowe, podwozia autobusowe i ciągniki ciężkiego typu, tj. o dużej nośności użytkowej (od 4 — 4½ ton wzwyż względnie dla 36 — 50 podróży), co do których istnieje w kraju coraz to większe i wyraźniejsze zapotrzebowanie ze strony zarządów miejskich, przedsiębiorstw przemysłowych itp. Oplacalność produkcji podwozi ciężarowych i autobusowych nie wymaga specjalnie wiel-

(Dokończenie na str. 628)

O podwoziach samochodów ciężarowych w Polsce

Zapotrzebowanie na ciężarowe samochody w Polsce, rośnie bezsprzecznie z każdym rokiem.

Wśród producentów podwozi wysuwa się na czoło stanowczo fabryka „Lilpop, Rau i Loewenstein S. A.“, której podwozia ze względu na ich wyjątkowe walory, doprowadziły do tego, iż ogólnopolski tabor samochodów ciężarowych obecnie zbudowany jest w 80% na podwoziach „Chevrolet“, montowanych w zakładach „Lilpopa“.

Tak olbrzymie zapotrzebowanie na podwozia „Chevrolet“ jest wykonywane przez firmę bezzwłocznie, przy czym w chwili obecnej większa część produkcji i części składowych są pochodzenia krajowego, a w zakresie starań firmy leży, aby w jak najbliższym okresie wszystko w 100% pokrywała produkcja krajowa.

Wśród najbardziej popularnych podwozi, z którymi spotykamy się wszędzie, wymienić należy ciężarówki typu 133-D ciężarowe i ciągnikowe, 155-FH, 158-D, 158-HD, 183-FS, 185 (oba autobusowe) oraz 113 Commercial. Każdy z wyżej wymienionych typów posiada swoje właściwości odpowiednio do celów, dla których jest przeznaczony i dla których bezwarunkowo najwięcej odpowiada.

Zainteresowanych odsyłamy do katalogów, wydanych przez Tow. Przem. Zakładów Mechanicznych „Lilpop, Rau i Loewenstein“ S. A.

Przeglądnięcie dokładne tych katalogów da każdemu możliwość wyboru odpowiedniego podwozia które jest mu potrzebne.

STOŁECZNE TOWARZYSTWO
HANDLU SAMOCHODAMI

Adolf Skwarczewski i S-ka

Biuro i skład części

Kredytowa 2/4, tel. 572-00

Stacja obsługi

Grójecka 78, tel. 8.40-37.

M N E M E

Kanikuła. Dzień pali się pożarem słońca... Noc ledwie dyszy i powłóczy po ziemi dymy i mocne technienia lasu kresowego. Świat cały utonął w skupieniu gorąca... No — ale wreszcie co słyhać na szerokim świecie? Przez wiszary lasu wojny ani zawieruchy nie widać... Rolnicy białorusini pytają — „da jak tam z tą wojną, panoczek?“ — „Jakoś nikt się jej zbyt tragicznie nie obawia i rzekomą walką nerwów nie przejmuję się. Czyżby — rezygnacja, czy poczucie siły i mocy? Prędzej jakaś stateczność wyrozumowania chwili i sytuacji. Do Niemca nikt specjalnie sympatii nie posiada, ogólnie biorąc jego zagadnienie etniczne uważa go się za intruza, czy wyplosza „z kartofli-ska“ wśród spokojnej, zażywej, mądrej dostojęstwa rodziny europejskiej — mocno słowiańskiej, bo i „chrancuzy“ także z nami „spokrewnione“, tylko inaczej gadają i piszą, ale to wszystko przez Żydów, bo jak mówi mój leśny Hryhorowicz „bonjour monsieur“, to to samo, co „bądź zdrów Mojsze!“ Węc jakoż on Hryhorowicz jest na żydowski „wyrozumiały“, to i gwara paryska jest mu (w jego wyobraźni) całkiem nie obca.

Nie chcąc ze starym, blisko osiemdziesięcioletnim wiernym przyjacielem rodu dyskutować. ani tym bardziej mu przeczyć, bo zaraz wyjmie z za pazuchy brzostrawą tabakierkę z taką mocno śmierdzącą tabaką, że można z miejsca zagorzeć w jego sąsiedztwie, wołę skłonić jego zawsze pachnącą lasem wyobraźnię i mowę w kierunku konstelacji mniejszościowej. Tu już głębsze pomyślenia z nad naszej Świ-tezi — tak bo się wszystkie jeziora zamknięte wśród lasów nazywają, a nie tylko jedno opiane przez Mickiewicza.

Otóż Hryhorowicz — białodusin rdzenny i plemienny i wiary „blagocestywoj“ uważa, że przedtym to byli tu „pany i chłopcy“ — a „ciapier“ wymyślił ci głupi ludzie z miasta jakichś nieznanym nikomu „biełobrusów“... A że brus to to samo, co oselka, więc białorusinami państwo „wyostrza“ jakąś sprawę...

W ten sposób na ganczczu starego, omszałego na zieleni mocną dworu doszliśmy w słodką ciszę przedwieczera pod wołaniami — ci! ciwit-ciwit! — jaskólek — do odczytania przy złotej zorzy wieczornej słodkiego również wiersza Syrokomli „Lalka“...

— No i co, stary... podoba ci to, co ten pan pisze „stichami?“

— Da jakże! Ślicznie pisze... ślicznie... widać człowiek kochający i wiadomo musi być z naszych, ot! takich, jak twój dziad był!...

O drogi litniku! Rzadko kto w Polsce umiłowanej pamięta, żeś ty pisał i śpiewał przy swojej lirze „z czarodziejskiego drewna“ po polsku i po białorusku, albowiem to jest i był drugi język naszej Kresowej Ojczyzny!... Na jakimś zebraniu w Wilnie zachwylił mi duszę zacny, czcigodny pan Jeneral Lucjan Żeligowski, który na moje wspomnienia Syrokomli i jego wierszy białoruskich zaraz zaczął je deklamować z pamięci całymi seriami...

Niech mu Bóg za to daje piękne zdrowie, a pomyślny plon Jego roli!

Lira ta jest nie tylko śpiewna, ale umie grać i marsze wojskowe, że przypominę nieśmiertelnego na kresach „Kaprła Tereferę“ — „Jezu Chryste Panie miły! Tereferę Tatuleńku“... w którym jest nadzwyczajne wyczuwanie i wyrozumienie ducha wojskowego polskiego, który jest wieczny od Chrobrego. To też dlatego — przepraszam — ci poloniści i układacze i „metrapaże“ programów szkolnych dla szkoły średniej i liceum tak zbojkotowali Syrokomlę z jego prześliznym serdecznym polskim językiem i głęboko narodową treścią jego „liry śpiewnej“?.. Przecież gdzieś kiedyś polskie dziecko należy zachwylić harfą druidową jego mowy ojczystej, aby choć trochę odpojęło, odetchnęło po męczarniach rozplątywania gadek filozoficznych mesjanizmu i anhelizmu... bo to naprawdę jest ciężkie, nużące — i do kopy diabłów!...

Przydałby się Syrokomla — mój rodak — nawet przy tych wzmożonych obecnie wycieczkach uczuciowych na Jasną Górę, bo ktoś pięknie od niego opisał wierszami Częstochowę, sam będąc pod Ostrą naszą Bramą w miłości wychowany?

Nie zna dziatwa nasza zupełnie Lenartowicza, nie słyszy Komorowskiego — mało do niej mówią współczesne (rzadkie zresztą) wiersze o Ojczyźnie i współczesna muzyka, albowiem wyzbywany się sentymentu, zostawiając go tylko na pamiętkę „rodzicom i pieńnikom“, jak zdecydował pewien młody bard, który w nadmiarze pragmatyzmu twierdzi, że jego „wyobraźnia ma nagniotki“. A że Muza jego ma hemoroidy to także pewnie!

Do rozgardiaszu w programach i ich wysuwaniu przyczyniają się mocno i niekiedy krytycy i historiografowie litera-

Fragment salonu pokazowego Elektrowni Miejskiej Marszałkowska 150, wejście od Kredytowej



tury. Kiedyś któraś z moich siostrzenic na Żmudzi Świętej Ziemi przy koldunach (oczywiście — dla mazurek — my jadamy kolduny „4 razy dziennie!“) zakomunikowała mi, że Konrad Wallenrod jest „apoteozą zdrady!“ Zdebiatem. — „Kto ci to — nieszczęsna — powiedział?!“ — „Prof. Antoni Gustaw Bem na pensji pani Later, a przecież — Wujaszku — on był też nauczycielem i Stefana Żeromskiego, więc może Trylogia“... i t. d. — „A czy ty czytałaś z profesorem Wallenroda?“ — „Nie — on... żałował czasu na to!“

Zawrzał we mnie wallenrodizm ukro-pem (oddawałem się wtedy sprawom militarno-rewolucyjnym z całą namiętnością), więc porwałem się od stołu, cudną siostrzenicę za rączkę do biblioteki i za karę — nie dojadłszy obiadu — odczyta-liśmy z kopyta Wallenroda.

— Gdzież tu jest to, co mówił tobie twój profesor, moja Zuleczko?

— Nie ma... doprawdy teraz nie nie rozumiem, o co mu chodziło?

Jakże to często bywa, że nie się nie rozumie, o co chodziło, wobec znakomitej współczesnej dialektyki o wielkościach, którą Boy-Żeleński nazywa metalicznie odbrazowaniem.

W Galicji dawniej jednak sprawiedliwsi byli, niż u nas w Koronie. Jeżeli nawet kogoś przez całe życie kopali, czy zakopywali (np. Asnyka, Wyspiańskiego). to po śmierci za to wspaniały pogrzeb narodowy i sarkofag na Skalce i koniec dyskusjom.

A u nas umarłym nie się nie darowuje. „A przepraszam — a z kim pan miał wtedy roman? a dlaczego? a pogo?...“ To ostatnie pytanie jest mocno stateczne!

Pamiętam — do jakiej wściekłości doprowadził zacnego i cichego chrześnego mego prof. Tadeusza Korzono jakiś bogohojny i cnotliwy „literata“, który z „Jego“ biblioteki Zamojskich wyciągnął mocno erotyczne wiersze któregoś z wieszczów i — nie spytawszy się Korzono o pozwolenie — wydrukował in extenso z domyslnikami oczywiście i fachowymi wyjaśnieniami akcji. Myślałem, że zacnego Kustosza pamiętek i dokumentów żółć zaleje na widok tych druków...

Teza wdzierania się w życie prywatne, aby zrozumieć życie publiczne i twórczość — zdaje się — że powolutku bankrutuje jako rzecz nie nadająca się do rozwoju właściwego demokracji. I słusznie. „Chrancuzy“ mówią, że „il faut respecter toutjours la foi des autres“. Rozumie to — po białorusku oczywiście — Hryhorowicz, bo na moje pytanie, czy pani ta a ta była naprawdę krewną, czy przyjaciółką mego Dziada, odpowiedział z miejsca — nastroszywszy wiechy wąsów:

— A co tobie do tego?... Niech odpoczywają w spokoju na „pohoście“...

Śliczny wyraz „pohost“ znaczy cmentarz, a wywodzi się od gościa i kości: „My tu nie na zawsze, tylko dla spoczynku“ — wymyślił dla Rossy napis czy zagłówek prawdziwy „litnik“ (poeta) Syrokomla. Ot! i nad moim dzisiejskim ementarem dziadów zaszło czerwone jak brzoskwinia słońce i ogarnęło ziemię ostatnim usnie-ciem złotym ciszy i spokoju. Od powie-trza, głodu, wojny zachowaj nas Panie...

K o n r a d C h m i e l e w s k i

Francuskie samochody Renault na rynku polskim

Dyskusje na tematy motorowe nie schodzą ze szpalt czasopism fachowych i dzienników. Mówi się wiele o planie montażowym, o produkcji samochodów, o nasyceniu rynku polskiego, o konieczności zwiększenia pojemności rynków. Obecnie w dyskusje motoryzacyjne wpadł ton nowy: rozpoczęto debatować na temat konieczności oparcia się w imporcie części samochodowych do montażu w Polsce, czy też gotowych samochodów, o te kraje, które dają rękojmię nieprzerwanego wypełniania przyjętych na siebie zobowiązań. Jak dotąd, głównym eksporterem samochodów na rynek polski byli Niemcy i Amerykanie. Ameryka na skutek pewnej jednostronności w swym materiale samochodowym (produkuje tylko wozy duże) nie mogła pokryć w całości zapotrzebowania naszego rynku, który przejawia zainteresowanie raczej mocnej budowy wozem średnim lub małym. Zmiana sytuacji politycznej przekreśliła w pewnym sensie możliwości ścisłej współpracy z wytwórniami niemieckimi, w przyszłości zaś prawdopodobnie w ogóle wyeliminuje produkt niemiecki z rynku polskiego.

Trudności w znalezieniu kraju, który mógł dostarczyć nam wozy pełnej gamy, potrzebnej na rynku polskim, były by dość znaczne. Na szczęście, zwrócono oczy na niedoceniany dotychczas teren francuski pełen stojących bardzo wysoko technicznie wytwórni samochodowych. Mamy do zanotowania fakt udzielenia koncesji na montaż i produkcję francuskich samochodów Renault.

Udzielenie tej koncesji odbiło się żywym echem w opinii polskiej, która z zadowoleniem przyjęła wiadomość, że narazie będziemy mieli dobre i mocne wozy zaprzyjaźnionego z nami mocarstwa. Wybór wytwórni francuskiej uważać należy za bardzo szczęśliwy. Fabryka Renault to nie tylko największa i najstarsza wytwórnia samochodów we Francji, posiadająca, jak wiadomo, bardzo szeroko rozbudowany dział samochodów, lecz jednocześnie największa fabryka w Europie. Dość powiedzieć, że zakłady Renault Billancourt pod Paryżem zajmują przeszło 120 ha powierzchni zabudowanej, posiadają około 18 tys. obrabiarek i zatrudniają 35 tys. robotników. Zakłady Renault produkcją całą gamę samochodów osobowych od małych i tanich do dużych reprezentacyjnych i luksusowych oraz liczne typy wozów półciężarowych, ciężarowych, specjalnych, podwozi autobusowych różnych wielkości.

Samochody Renault wyróżnia z pośród innych nadzwyczaj solidna budowa karoserii, podwozia oraz niezwykle sprawne działanie silnika.

Wóz osobowy Renault to samochód „en tout case“, co dla nas, posiadających drogi o bardzo wielkiej „różnorodności“, nie jest bez znaczenia. Samochody Renault budowane były z myślą krążeńia nie tylko po gładkich asfaltach francuskich, lecz i po trudnych, przypominających (przyznać się do tego trudno) drogi pol-

skie — drogach kolonialnych metropolii francuskiej.

Wozy Renault zdały zresztą próbę i w naszych warunkach, podczas ostatnio odbytego raidu międzynarodowego o Grand Prix Polski. Przybyły one po 4 i pół tys. kilometrów dróg polskich na metę bez żadnych uszkodzeń, wyciągając bez trudu wysokie regulaminowe przeciętne, dając sobie z łatwością radę w egzaminie, który organizatorzy utrudnili do ostateczności. Sukces zdobycia Grand Prix Polski, Puharu P. Prezydenta Rzplitej, puharu Automobilkłubu Polski, wielu cennych nagród mówi sam za siebie.

Koncesję na montaż i produkcję samochodów Renault uzyskała Wytwórnia Samochodów i Wyróbów Metalowych „Fablok“, będąca emacją pierwszej fabryki lokomotyw w Polsce. Montaż wozów odbywać się będzie początkowo w Chrzanowie a później w specjalnej fabryce samochodów, która już powstaje na terenie Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Mają być montowane w Polsce w zasadzie wszystkie typy renaulowskie, ale główny nacisk będzie położony na świetny typ Primaquatre — solidnej budowy, oszczędny w eksploatacji, wóz średnio-litrażowy, posiadający charakter wozu użytkowego a jednocześnie cechy wozu sportowego. Silnik Primaquatre ma pojemność 2,4 litra i łatwo (co wykazano podczas oficjalnych prób w Polsce) rozwija ponad 125 km. na godz.

Renault Primaquatre to doskonale uzupełnienie naszego rynku samochodowego, który nie posiadał dotychczas wozu użytkowego tej klasy i tych wartości.

Oprócz Primaquatre, montowany będzie mały samochód osobowy Juvaquatre — mocny, oszczędny samochód czterosobowy dla wszystkich.

Ponadto będą montowane również i

Podczas wyprawy w Himalaje zginęli pod lawiną dwaj członkowie ekspedycji polskiej: inż. St. Bernadzikiiewicz (pierwszy od prawej str.) i inż. A. Karpiński (trzeci od prawej)



SAMOCODY

BUICK, CHEVROLET, OPEL

Wszystkie modele na składzie

Autoryzowane zastępstwo Koncesjonowanej Wytwórni Samochodów

Lilpop, Rau i Loewenstein S. A.

LICENCJA GENERAL MOTORS

AUTO-SERVICE

J. ŁEPKOWSKI Sp. Kom.

Warszawa Nowy Świat 9

Telef. 8.04.14.

Najnowocześniejsza

stacja obsługi

Warszawa, Towarowa 33

telef. 5.91-07.

większe samochody osobowe o charakterze zarówno dużych wozów turystycznych, jak i reprezentacyjnych, a więc: Vivaquatre, Viva Grand Sport, Vivastella i Suprastella.

Niezależnie od samochodów osobowych, Fablok będzie montował samochody półciężarowe o nośności użytkowej 500 kg., 1.000 kg., i 1.500 kg., duże samochody ciężarowe z motorem Diesla na ropę i duże podwozia ciężarowe również na Diesla.

Nowej placówce, opartej o bogate doświadczenia przemysłu francuskiego, żyć należy, z wielu względów, powodzenia. (Spp).

Rola Zakładów Samochodowych Wspólnoty Interesów S. A. w motoryzacji kraju

W ostatnich czasach motoryzacja poczyniła i w naszym kraju znaczne postępy, coraz więcej widzimy wozów, coraz więcej motocykli; przyczynił się do tego nie tylko stale polepszający się stan dróg i ulgi podatkowe dla nabywców samochodów, lecz przede wszystkim zrozumienie przez szerokie masy społeczeństwa charakteru i znaczenia samochodu jako środka lokomocji i współczynnika podniesienia stopy życiowej i osobistej wygody. W znacznym stopniu również przyczyniły się do wzmożenia motoryzacji w kraju powstałe montownie i fabryki samochodów.

Nowa placówka powstała w zakresie wielkiego koncernu jakim jest „Wspólnota Interesów“, która wyloniła z siebie przedsiębiorstwo p. n. „Zakłady Samochodowe Wspólnoty Interesów S. A.“ — z zakładowym kapitałem 5.000.000 zł.

Wymienione Zakłady Samochodowe zostały, jak powiedzieliśmy, powołane przez Wspólnotę Interesów dla zrealizowania koncesji samochodowej, którą Wspólnota Interesów otrzymała w końcu roku ubiegłego. Aby dać Zakładom Samochodowym odpowiedni ciężar gatunkowy gospodarzy Wspólnoty Interesów utworzyła z nich autonomiczną spółkę akcyjną o kapitale zakładowym zł 5.000.000, — i udzieliła jej zarazem gwarancji finansowych przy nabywaniu do montażu samochodów niemieckich i ich części. Wydzielenie problemu motoryzacyjnego, z programu zagadnień przemysłowych Wspólnoty Interesów świadczy o tym, że Wspólnota Interesów pragnie mu nadać specjalne oblicze i chce aby zrealizowanie zagadnienia motoryzacyjnego w zakresie posiadanej przez nią koncesji odbywało się możliwie najsprawniej i w warunkach organizacyjnych, odpowiadających właśnie temu celowi.

Fakt powyższy dokonał się drogą szybkiej ewolucji, której można by dać nazwę — „od przemyślanego planu — do jego szybkiej realizacji“.

Podstawę stworzyły tu rozmowy prowadzone przez „Wspólnotę Interesów“ pod stałą opieką ze strony Polskiego Rządu z samochodowym przemysłem niemieckim, które w końcu przeszły w sfinalizowaną i podpisaną, obustronną umowę opartą o zasady kompensacji, a więc *wykluczającą wywóz dewiz*. Umowa powyższa, zresztą dla Polski nader korzystna, została, na podstawie w jesieni 1938 r. udzielonej „Wspólnotcie Interesów“ koncesji sfinalizowana i podpisana w dniu 31 marca 1939 r. w Warszawie i uzyskała zgodę rządu polskiego, co oznaczało wprowadzenie jej w życie.

Pracę w kraju rozpoczęła „Wspólnota Interesów“ od montażu samochodów osobowych *Mercedes-Benz*, *Steyer*, *B. M. W.*, popularnych i tanich wozów *D. K. W.* i *Horch*, ciężarowych i autobusowych marki *Henschel*, specjalnych *Kruppa* i ciągników *Hanomag* — a poza tym w międzyczasie intensywnie prowadzone są prace nad budową fabryki pod Radomiem.

Ciężarowe wozy i podwozia autobusowe *Henschla*, jak również samochody osobowe wszechświatowej sławy marek „*Mercedes-Benz*“ i „*Steyer*“ specjalnie odpowiadają warunkom naszego kraju, oraz są ekonomiczne w eksploatacji.

„Zakłady Samochodowe Wspólnoty Interesów S. A.“ obecnie mają już w obiegu poważną liczbę wozów przez siebie zmontowanych.

Zawdzięczając opiece czynników rządowych, które udzieliły koncesji, oraz przez uzyskanie u kontrahenta najkorzystniejszych warunków, a wreszcie przez

racjonalny montaż, doszły „Zakłady Samochodowe Wspólnoty Interesów S. A.“ do możliwości *poważnej redukcji cen* za swoje wozy, co niewątpliwie jest czynnikiem zasadniczym przy motoryzacji kraju.

Reasumując wszystko powyższe, uważamy, iż realizacja koncesji samochodowej przez Zakłady Samochodowe Wspólnoty Interesów ma przed sobą zdrową i dobrą przyszłość.

BE-TE-HA BOSCH SERVICE

Techniczno-Handlowa Firma Be-Te-Ha od szeregu lat cieszy się powagą i wzięciem wśród licznej rzeszy swej klienteli, zaopatrując prawie cały polski przemysł montażowo-konstrukcyjny w maszyny i narzędzia do tej produkcji konieczne. P. Robert Bosch twórca i założyciel Firmy zdobył to przodujące stanowisko własną energią i fachową pomysłowością — zaczynając od najniższych szczebli. Współ z znanym *Gotliebem Daimlerem* pracował w tych czasach nad konstrukcją pierwszego silnika. W roku 1887 Firma Bosch wyprodukowała po raz pierwszy magneto, które w kilkanaście lat potem (r. 1924) zostało rozsprzedane w ilości 3 milionów sztuk. W czasach najnowszych biura techniczno-handlowe Be-Te-Ha prowadzi sprzedaż wszelkich maszyn i narzędzi do obróbki metali oraz wszystko co należy do stroju elektryfikacyjnego samochodów — reprezentując słynny wszędzie *koncern Bosch*.

W tej dziedzinie Be-Te-Ha dostarcza wszelkich części, służących do oświetlenia, rozruchu oraz zapłonu, jak również i paliwa do silników Diesla.

W rozmaitych stronach kraju firma posiada 10 stacji obsługi wyposażonych w przyrządy do sprawdzania części sprzętu samochodowego. W końcu nadmienić należy, że firma Be-Te-Ha prowadzi również akcję przeszkoleniową, szkoląc w dziedzinie elektrotechniki samochodowej, w ciągu 3-letnich kursów — szoferów, mechaników, monterów itd.

Z kursów powyższych wyszło wielu odpowiednio wyszkolonych pracowników P. Z. Inż., Tow. przem. Lilpop, Rau i Loewenstein, Ostrowieckich Zakładów oraz innych pracowników komunikacyjnych.

MERCEDES-BENZ W WARSZAWIE

Przedstawicielstwo samochodów Mercedes-Benz na m. st. Warszawę, była Kongresówkę, Małopolskę i Kresy Wschodnie posiada Spółka Motoryzacyjna w Warszawie (Krakowskie Przedmieście 42) z oddziałami w Krakowie i Lwowie.

Spółka ta pod kierownictwem hr. Stefana Tyszkiewicza, pioniera przemysłu samochodowego przejawia dużą aktywność w kierunku rozwoju motoryzacji w kraju.

Obecnie w związku z produkcją Wspólnoty Interesów, Spółka prowadzi samochody krajowego montażu.



Nigdy
nie zawodzi
osprzęt

BOSCH

BE-TE-HA, WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 17, TEL. 5.54-63

O ROZBUDOWIE DRÓG W POLSCE Zakłady Przemysłowe Lilpop, Rau i Loewenstein

Od szeregu lat na pierwszy plan ogółu naszych zagadnień natury społeczno-państwowej wysuwa się tak nierozdzielnie z obroną państwa związany problem motoryzacji kraju — o którym się bardzo wiele mówi, również wiele pisze — ale jeszcze ciągle w jego kierunku mało się robi. To wolne tempo, w jakim motoryzacja w Polsce posuwa się naprzód jest jednak miarą trudności, które przy jej realizacji spiętrzyły się w znacznie większym stopniu, niż w niektórych innych państwach, zwłaszcza zachodnich. Jest bowiem rzeczą jasną, że zagadnienie motoryzacyjne ciąga za sobą również inne inwestycje, bez których przeprowadzenie jej jest wprost niemożliwe. Chodzi tu więc przede wszystkim o odpowiedni stan dróg i mostów, a po wtóre o opanowanie i regulację ruchu drogowego. Niestety jednak — katastrofalny stan naszych dróg, zagrażająca ich dewastacja oraz brak ogólnego zainteresowania się nimi, nie tylko że nie dozwalały problemowi motoryzacyjnemu poruszyć naprzód w kierunku choćby powolnego rozwoju ale nawet doprowadziły formalnie do upadku motoryzacji w Polsce, co ze wspomnianych powyżej względów na obronę Państwa przedstawiało się nawet tragicznie. Te przykre okoliczności stały się powodem, że pod koniec r. 1933 powstała myśl utworzenia instytucji społecznej pod nazwą „Ligi Drogowej“ mającej na celu krzewienie wśród szerokich sfer społeczeństwa poczucia konieczności naprawy, rozbudowy i należytego utrzymania dróg w Polsce.

Równoległe więc z propagandą „Ligi Drogowej“ rozpoczęły się planowe prace nad naszymi drogami.

A teraz przejdźmy do stanu faktycznego naszych dróg — kiedyś i dziś, odzwierciedlonego miarodajnymi cyframi oraz do przyszłościowych planów tego, niesłychanie dla nas ważnego, problemu.

Po państwach zaborskich Polska odziedziczyła sieć dróg o twardej nawierzchni, niedostatecznie gęstą, dość silnie zdewastowaną i bardzo nierównomiernie rozłożoną. Ogólna ilość dróg państwowych i samorządowych o nawierzchni twardej wynosiła w r. 1920 około 43.000 kilometrów, co stanowiło gęstość 11 km na 100 km² powierzchni. Gęstość ta była bardzo nierównomierna, wynosiła ona bowiem w województwach zach. zaledwie $\frac{1}{10}$ gęstości w województwach zach.

Spośród ogólnej liczby 184.000 mb mostów, znajdujących się na głównych drogach publicznych, zaledwie 15.000 mb, tj. 8 5% przypadało na mosty stałe (żelazne, żelbetowe i kamienne), reszta zaś to były mosty drewniane, często przewoźnicze i w znacznej części mniej lub więcej zniszczone wskutek działań wojennych i wskutek braku należytej konserwacji, ściślej dane co do ilości dróg posiadamy dopiero z r. 1924 i obejmowały one 44.334 km z twardą nawierzchnią i 290.831 km dróg gruntowych. Sytuacja z czasem uległa poprawie i statystyka z I.IV.1938 wykazała 64.169 km dróg z twardą nawierzchnią i 272.570 km dróg gruntowych.

Dróg o nawierzchni ulepszonej posia-

daliśmy na I.IV.1938 r. 2.604 km, doliczając do tego drogi przebudowane w roku 1938 można przyjąć, że ilość dróg zmodernizowanych osiągnęła w Polsce 3.000 km. Wszystkie te drogi stanowią dorobek nasz po odzyskaniu niepodległości, a przeważająca ich część bo około 1900 km zbudowana w ostatnich 5 latach Budowa dróg ulepszonych jest od 5 lat prowadzona według z góry opracowanego planu. Początkowo modernizowano drogi wypadowe z większych miast, a dziś dąży się do tego aby osiągnąć sieć połączeń w tym typie między wszystkimi większymi miastami i po części osiągnięto to już. łącznie z budową dróg nowych budowano również nowe mosty zarówno stałe jak i drewniane, a na najważniejszych szlakach zastępowano mosty drewniane nowymi stalowymi. Od I.VI.1924 do I.V.1938 wybudowano około 111.000 mb mostów drewnianych oraz 22.000 mb mostów stalowych żelbetowych i stalowych. (Mowa tu o mostach wynoszących ponad 20 m rozpiętości). Oczywiście powyższy stan rzeczy jest jeszcze bardzo nie zadawalający a ilustruje to porównanie z zagranicą. Otóż np. Francja posiada 83% dróg państwowych całkowicie zmodernizowanych, Niemcy 87%, Czechosłowacja 60% a w Polsce zaledwie 13% dróg państwowych zaopatrzone w ulepszone nawierzchnie.

Oprócz tych zmodernizowanych posiadamy znacznie poważniejszą ilość dróg tłuczniowych i najwięcej już bo 268.000 kilometrów dróg gminnych. Niestety jednak tak drogi tłuczniowe jak i gminne przedstawiają się ciągle jeszcze w okropnym stanie, a główną przyczyną w tym kierunku jest brak odpowiednich funduszy tak na rozbudowę jak też i konserwację dróg. Opracowany ostatnio program trzydziestoletni gospodarki drogowej, przewiduje dopiero poważniejsze sumy na podniesienie stanu naszych dróg w kierunku ich modernizacji

Jedną z najwybitniejszych placówek w naszym przemyśle metalowym jest bezwarunkowo Towarzystwo przemysłowe Zakładów Mechanicznych Lilpop, Rau i Loewenstein w Warszawie.

Historia rozwoju tego towarzystwa dysponującego dziś rozległymi terenami fabrycznymi jest dość długa i ma, jak zwykle w takich wypadkach, skromne początki. W r. 1818 bracia Evens założyli przy ul. Św. Jerskiej w Warszawie niewielką odlewnię i warsztaty mechaniczne, przeniesione niedługo potem na Solec.

Z biegiem czasu systematycznie rozszerzano zasięg produkcji obejmując ją budowę wagonów oraz wyrób szeregu artykułów dla potrzeb kolejnictwa. W pierwszych latach bieżącego stulecia a ściślej w r. 1904 nabyto obszerne tereny fabryczne wraz z zabudowaniami należące do Towarzystwa August Rebban na Woli, w dalszym ciągu rozszerzając systematycznie produkcję na budowę mostów kolejowych i miejskich, roboty wodociągowe, budowę maszyn parowych oraz wyrób amunicji i sprzętu taborowego dla wojska.

Wojna światowa spowodowała jak zresztą we wszystkich innych wypadkach kilkuletnią przerwę w produkcji Zakładów Lilpop, Rau i Loewenstein, a częściowo ewakuowano je nawet do Rosji. Odbudowa ich nastąpiła dopiero w r. 1919 i wtedy produkcja tego Towarzystwa objęła już na największą skalę najrozmaitsze nowe dziedziny przemysłu metalurgicznego. W r. 1936 Firma Lilpop, Rau i Loewenstein otrzymała koncesję na montaż i produkcję samochodów osobowych i ciężarowych licencji General Motors.

Produkowane są wozy: Buick, Chevrolet i Opel, dla których w całym kraju zorganizowano sieć punktów sprzedaży, jak zarówno stacje obsługi.

Nowa i nowoczesnie urządzona krajowa Fabryka samochodów f-my Lilpop, Rau i Loewenstein powstała w Lublinie; jeszcze w r. ubiegłym położono pod nią kamień węgielny.

Uruchomienia tej Fabryki należy się spodziewać w pierwszym kwartale 1940. r.

Nowy ambasador Rzplitej przy Watykanie, dr. Papée złożył Ojcu Świętemu swe listy uwierzytelniające



T E A T R

„GENEWA” (Teatr Polski)

Razi w tej „Genewie” przede wszystkim końcowa „puenta”: owa groźba katastrofy kosmicznej, mającej zdmuchnąć kulę ziemską, nędzny pyłek wszechświata wraz z całą jego cywilizacją czy kulturą. Groźba katastrofy, pomysłanej jako odczynnik urojonej wielkości problemów dni naszych. „Wszystko to nieważne, i tak wszyscy zginieemy”!

Sądzę, że taki tryb myślenia nie jest godny głębszego umysłu. Tę puentę złożyć należy zapewne na karb dziewiętego krzyżka Shawa, jest to typowo starczy kąt widzenia. Jeśli to oceniać od strony moralnej, mamy tu do czynienia z podważaniem męskiej postawy trwania, z zachwianiem odwagi wiary, że mimo musu śmierci życie i kultura ma wartość absolutną. Logicznie jest w tym błąd szeregowania w jednym syllogizmie zjawisk już z natury nie dających się sprowadzić na jedną płaszczyznę.

Idealy nasze nie zasługują na szyderstwo tylko z tego powodu, że świat nasz może będnie kiedyś stracony w nicłość. Odczynnik końca świata, odczynnik *vanitas vanitatum* jest tandetnym rekwizytem myślowym, dobrym może w jakimś melodramacie filozoficznym (bo i takie być mogą), ale nie na miejscu w dziele o ambicjach poznawczych. Jako efekt tyle to warte, co burza wybuchająca w kulminacyjnym punkcie tragedii, a jako dowód tyle, ile mawrócenie *in articulo mortis*.

Jeśli wszystkie zagadnienia świata nie są nie warte wobec groźby katastrofy kosmicznej, to — można by się złośliwie zapytać — cóż warta jest sztuka Shawa? Z tego punktu widzenia nie trzeba by o niej w ogóle mówić. Ale bądźmy lepszego zdania o „fantazji politycznej” Shawa niż sam

shaw i nie odmówmy jej chwili uwagi, jakkolwiek bez wątpienia jest to najsłabsze dzieło naszego Matuzala.

Myśl Shawa nie grzeszyła nigdy szczególną głębią, ale przynajmniej odznaczała się bystrością i czujnością. W ciągu lat Shaw przebiegł całą gamę poglądów od socjalizmu poprzez nietzscheanizm do „life force” i każde jego dzieło można było umieścić w jakim takim wymiarze ideowym. W „Genewie” nie ma już mowy o żadnej podbudowie filozoficznej, jeśli pominiemy ową kwakerską apelację do końca świata. Myśl Shawa kontentuje się podchwytym różnymi aspektami rzeczywistości, przy czym nie odtwarza ich wierne, lecz poddaje specjalnej deformacji, niestety, nie z punktu widzenia tej czy innej ideologii, lecz wyłącznie dla zaostrenia paradoksu.

Stąd Shaw nie jest lojalny wobec żadnej idei, równie fałszywie ujmuje demokrację jak dyktaturę, dba tylko o to, by stały w możliwie największym kontraście do przypisywanej im treści. Można by powiedzieć, że autor usprawiedliwia zamysł artystyczny napisania komedii czy farsy idei politycznych. Ale myślę, że nie pora na takie igraszki. Myślę, że dziś *de politicis aut nihil aut prudenter*. Stawianiem rzeczywistości na głowie możemy powiększyć tylko chaos myślowy dzisiejszego pokolenia, postawionego w obliczu gwałtownych przesilen, w punkcie zwrotnym historii, kiedy gra idzie o to, czy pokolenie nasze zdoła dźwignąć świat ku nowej, szlachetniejszej formie.

W rozeznaniu rzeczywistości „Genewa” nie odda nam poważniejszej usługi. Przeciwnie, powiększa obszar nieporozumień. Weźmy dla przykładu, co Shaw mó-



wi o kwestii żydowskiej, a raczej co każe mówić dyktatorowi Battlerowi, pod którym skrywa się przejrzyste „führer” Rzeszy Niemieckiej:

— Nie ma pan praw w moim kraju, — woła Battler do Żyda. — Wykluczam pana tak samo, jak Brytyjczycy wykluczają Chińczyków z Australii, jak Amerykanie wykluczają Japończyków z Kalifornii...

Tu rzecz jasna wybuchają oklaski młodzieży nacjonalistycznej. Aliści Battler mówi dalej:

— ...Anglia wolala pełną całą Europę w wojnę, niż pozwolić żołnierzom niemieckim na przemaszerowanie przez Belgię...

Tu rzęduł miły antysemitki galerii, a rozlega się śmiech na „demokratycznych” krzesłach. Battler palnął niewiarygodną bzdurę, a więc i poprzecznie jego oświadczenie trzeba uważać za głupstwo...

Lecz Battler ciągnie dalej:

— „Kaźde państwo ma wolny wybór co do rasy swej ludności i doboru jej krwi.

I znowni cieszy się galeria, a szmer niezadowolonia przebiega widzów „demokratycznych”.

I tak dalej i tak dalej. Shaw zachowuje się jak najezystszej krwi demagog. Można go nazwać mistrzem podwójnej, czy królem obojga demagogii. Takich chwytów, jak ten w kwestii żydowskiej, jest, zwłaszcza w ostatnich jego sztukach co niemiara. Jest to ulubiona metoda niemocy. Na dobro należy zapisać Shawowi, że ma ogółnie nie misza kryteriów, że nie uprawia up-

Scena zbiorowa z „Genewy”. Pp. Samborski, Danięcki, Ziembiński, Węgrzyn i Buszyński



Pensjonat „HELIANA”

ŚWIDER, ZACISZNA 22
TEL. OTWOCK 54-66

Komfort, wygodę,
uroczą połozenie.

CZYNNY CALY ROK

HURTOWY SKŁAD MASZYN DO SZYCIA,
ROWERÓW I GRAMOFONÓW

H. BŁASZKOWSKI

Warszawa, Tłomackie 9, tel. 11.44-28

moralizatorstwa politycznego i zadawała się kalamburami myślowymi. Płytkość Shawa w tym względzie jest raczej jego zaletą.

„Genewa“ — to w istocie szopka polityczna, jakaś silva rerum współczesnych zagadnień politycznych, przemieszanych bez ładu i składu, z pogwałceniem wszelkiej proporcji. Publicystyka współczesna, choć mówi się raczej o jej upadku, może być dumna ze swej ponad Shawem przewagi. Zbadala już wszechstronnie, głębiej

pp. Romanówna i Buszyński w „Genewie“ Shawa



i nawet dowcipniej wszystkie te problemy, które dramaturg i artysta, uznawany za jednego z największych pisarzy świata, pogmatwał naiwnie, tandetnie i dwuznacznie.

„Genewa“ zdezaktualizowała się zresztą zanim zdolano ją wystawić na deskach scenicznych. Pod wpływem wypadków politycznych sam Shaw musiał sztukę przerabiać. Dziś trzeba by ją poddać nowej zasadniczej przeróbce, żeby nie stała w tak rażącej sprzeczności z faktami. Z którejkolwiek bądź strony rozważymy ten utwór, zawsze dojdziemy do wniosku, że jest to dzieło chybione.

Mimo to zagna znacznego powodzenia. Bądź co bądź ta komedia zwraca się ku rzeczywistości, porusza to, co pasjonuje współczesnego człowieka, a co w teatrze nie znajduje jeszcze wyrazu.

Przedstawienie w teatrze Polskim jest przy tym dobre, dalekie od doskonałości, ale dobre. Na tle świetnych tym razem dekoracji Daszewskiego wyreżyserował p. Ziemiński bardzo zręcznie błyskotliwy dialog Shawa, tak że nawet wielka scena sądu nad dyktatorami, trwająca około półtorej godziny, nie nuży.

Błędne wydaje mi się tylko ujęcie niektórych ról. Bombardone p. Samberskiego jest stanowczo przerysowany, ewolucje szczęką są efektem zbyt grubym. P. Węgrzyn jako Battler dał figurę nijaką, która go widać wprowadził na fałszywy trop. Rola Begonii wymagała artystki o większej dozie prostoty niż p. Romanówna. Za pozycje bez zarzutu uważam z całej obsady tylko role pp. Krzewińskiego i Myszkiewicza.

Wacław Syrczek

Ś. p. Alicja z Epsteinów Zyguntowa hr. Rzysszczewska



Dnia 21 lipca rozstała się z tym światem ś. p. Alicja z Epsteinów Zyguntowa hr. Rzysszczewska, okrywając żalobą syna hr. Romana Rzysszczewskiego, rodzinę oraz liczny zastęp przyjaciół i znajomych. Rzadkie zalety umysłu i dobroć serca, zawsze czulego na niedolę ludzką opromieniały całe Jej życie, pełne poświęcenia dla wzniosłej idei miłości bliźniego. Żywotna Jej natura nie znała bezczynności. Każda chwila Jej życia była wypełniona pracą. Ś. p. Zmarła była protektorką licznych Towarzystw Dobroczynnych i rozwijała szeroką działalność na niwie społecznej. Niezależnie od dźwiganych przez siebie obowiązków społecznych Zmarła Matrona była wzorem kapłanek ogniska domowego, spełniając gorliwie zadania związane z tym stanowiskiem. Wielkie zalety charakteru ś. p. Zmarłej zjednały Jej miłość i uznanie wszystkich tych, którzy mieli sposobność poznać Ją bliżej i doznać opieki Jej zacnego serca. Zgonowi Jej towarzyszy szczerzy żal i smutek tych, którzy Ją kochali.

Cześć Jej Świetlancj Pamięci!

AUTO SERVICE

Od r. 1918 istniejąca firma *Auto-Service*, Józef Łepkowski S-ka Kom. jest bezsprzecznie jedną z najstarszych firm samochodowych w Polsce. Opierając się na trzech światowych markach *Chevrolet*, *Buick* i *Opel*, *Auto-Service* cieszy się największą powagą w naszym świecie samochodowym. Znaczącą tą okolicznością firma pozostaje. Jako zasłużony, trzykrotnie nu, pod którego doświadczonego kierownictwem, przez cały okres swego istnienia pozostaje jako zasłużony, trzykrotnie wysoko odznaczony pionier motoryzacji

kraju, p. Józef Łepkowski piastuje godność Prezesa Zrzeszenia Kupców Samochodowych oraz zajmuje stanowisko Rady Izby Przem. Handlowej w Warszawie.

LMK^a przez FOM

walczy o kolonie i surowce dla Polski, broni dróg komunikacyjnych do kolonii.

Gruźlica płuc jest nieublagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla pleci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych, bronchitów, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu itp. stosują pp. lekarze „Balsam Trikolan“ Gąseckiego, który ułatwia wydzielanie się płwociny, wzmacnia organizm i samopoczucie chorego oraz powiększa wagę ciała i usuwa kaszel. Sprzedają apteki.



PODRÓŻUJ
LOTEM

T-WO DLA PRZEMYSŁU
I HANDLU SUROWCOWEGO

Sp. z o. o.

Centrala, ul. Złota 9
Saloni Ossolińskich 1

Generalne przedstawicielstwo samochodów
Willys Overland Nash



Problem motoryzacji Polski

(Początek na str. 621)

kich serii (zwłaszcza typu ciężkiego) i zapotrzebowanie naszego rynku może w zupełności uzasadnić powstanie i istnienie tej galezi wytwórczości. Niezależnie od tego zwrócono uwagę przy rozbudowie przemysłu krajowego na małe i średni wozy osobowe typu popularnego oraz takśówki. Postulatом tym sprostala „Wspólnota Interesów”. Uruchomiła względnie uruchamia w Polsce produkcję pojazdów uzupełniającą naszą gamę wytwórczą, opartą na licencjach niemieckich fabryk samochodowych a mianowicie samochodów przede wszystkim ciężarowych typu ciężkiego marki Henschel oraz popularnych typów osobowych D. K. W., Mercedes i Steyer.

Umowa ta przewiduje uruchomienie całkowitej produkcji krajowej samochodów marki Henschel (ciężarowych) i osobowych D. K. W. w jak najbliższej przyszłości.

W międzyczasie Wspólnota wykorzystuje prawo montażu tych samochodów w Polsce z natychmiastowym zastosowaniem

do montażu maksimum części pochodzenia krajowego.

Jak natomiast przedstawia się produkcja samochodowa i jakie postępy zrobiła motoryzacja naszego kraju — podkreśli to cyfrowe zestawienie poniżej.

Wytwórczość krajowa (produkcja i montaż):

Rok	1937	1938	1939
P. Z. Inż.	2416	2920	4400
Lilpop	270	4680	5400
Wsp. Interesów	—	—	3000

Postępy motoryzacji

Według statystyki na dzień 1 lipca 1939 r. mieliśmy w Polsce 62.245 pojazdów mech. (w r. ub. 51.729). W tej liczbie samochodów 46.822 (39.259), motocykli 15.423 (12.476), osobowych wozów 28.154 (23.064), ciężarowych 9.503 (7.813), zawodowych 5.282 (5.019), autobusów 2.207 (1.983).

Wszelkich innych (pożarnicze, szpitalne 1673 (1374).

Na podstawie powyższego poglądu na ogólny stan rzeczy w związku z motoryzacją Polski stwierdzić się musi, że motoryzacja postępuje u nas planowo i stale naprzód i ta planowość w całej tej gigantycznej akcji, ujęta w dobrze przemyślane wytyczne, daje zupełnie pewną rękojmię na lepsze jutro.



Samochody Steyr

W związku z przejęciem montażu samochodów Steyr przez Zakłady Samochodowe Wspólnoty Interesów S. A. generalne przedstawicielstwo samochodów Steyr polskiego montażu, a w przyszłości produkcji polskiej pozostaje się w rękach firmy Steyr-Daimler-Puch w Polsce Sp. Akc., która to firma egzystuje w Polsce od roku 1922.

Poprzednio firma Steyr-Daimler-Puch w Polsce, wprowadziła na rynek Polski samochody „OM”, Austro-Daimler” i „Citroen”.

Przez staranną obsługę klientów i rzeczową akwizycję firma Steyr-Daimler-Puch w Polsce zyskała całe szeregi klientów, którzy z roku na rok powiększają swoje zastępy. Obecnie firma Steyr-Daimler-Puch w Polsce, zakupiła tereny budowlane przy ul. Wiktorskiej 18 kosztem 150.000 zł celem budowy nowoczesnej stacji obsługi. Jednocześnie przebudowuje swoją stację obsługi przy ul. Książęcej 9.

Należy przypuszczać, że firma, która egzystuje od roku 1922 rozwinie się jeszcze bardziej przy sprzedaży samochodów Steyr, montażu i produkcji Zakładów Samochodowych Wspólnoty Interesów, ku pożytkowi motoryzacji kraju i zadowoleniu nowonabywców polskich Steyrów.



RESTAURACJA - DANCING
A. ŻELECHOWSKIEGO
W MILANÓWKU, UL. ŁPIERACKIEGO 11

Najelegantszy lokal podwarszawski - punkt zborny stołecznej elity.

— — — Doborowa kuchnia, doskonała obsługa, ceny niskie. — — —

CZYTAJCIE
„NAOKOŁO ŚWIATA”

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAOKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50	kwartalnie	zł 19.—	kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	rocznie	zł 74.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—			Zmiana adresu	zł 0.50
rocznie	zł 66.—				
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztovej Kasy Oszczędności Nr 143

Redakcja nie zwraca niezamówionych rękopisów.

CENNIK OGŁOSZEŃ Str. 1/1 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/4 — 250 zł, 1/8 — 150 zł, 1/16 — 100 zł, — za exp. wierz. milimetry, lub jego miejsce PRZED I ZA TEKSTIM: 1,50 zł. Bilanse, artykuły epiczne, tkiody telezyczne, I str. kładki i miejsce zniżkowe 50% droż

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P.K.O. 143.

Program Polskiego Radia

Od dn. 6 VIII. do dn. 12 VIII. 1939

Niedziela — dn. 6.VIII

7.00: Audycja poranna. 9.30: Transmisja z Krakowa uroczystości Obchodu XXV rocznicy Czynu Legionowego. 13.30: Utwory Chopina — z Krakowa. 14.00: „Czytamy Mickiewicza“ — „Pan Tadeusz“. 14.15: Audycja dla wsi. 15.30: Polskie pieśni. 16.10: „Jak to w 1914 roku było“ — wspomnienia kadrowiaków (montaż). 16.30: Transmisja koncertu rozrywk. z Rynku Krakowskiego. W przerwach: Obrazki transmisyjne — Start Drużyn do marszu Szlakiem I Kadrowej. 19.00: „Polska to jest wielka rzecz“, zebrane sceny z „Wesela“. 19.30: Muzyka polska (płyty). 20.10: Reportaż z marszu „Szlakiem Kadrowki“ (z Krakowa). 21.15: Reportaż dźwiękowy z manifest. legionowych w Krakowie. 21.35: „Piosenki i humor w Legionach“ — zbiorowa aud. słowno-muz. 23.05: Wiadomości w języku niemieckim. 23.13: Wiadomości w języku angielskim. 23.20: Zakończenie Zjazdu Legionowego na Rynku w Krakowie. 23.30: Reportaż dźwiękowy z uroczystości 25-lecia słupów gran. w Michałowicach (przez Kraków). 23.45: Fragment z Pism Józefa Piłsudskiego.

Poniedziałek — dn. 7.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Jakie znaczenie mają organizacje wspólnych zakupów“ — pogadanka dla kupców. 12.03: Audycja południowa. 14.15: „Jedynym naszym znakiem — „Orzeł Biały““ — słuchowisko dla młodzieży. 15.15: Muzyka popularna w wyk. Ork. Salon. Zw. Muzyk. Chrześc. 16.20: Pieśni egzotyczne w wyk. Anny Drwęzanki. 16.45: Kronika naukowa: Nauki społeczne. 17.00: Muzyka do tańca. 18.00: Recital fortepianowy Haliny Ekierówny. 18.25: Audycja kameralna (z Poznania). 19.00: Audycja żołnierska. 19.30: „Przy wieczery“ z Wilna. 20.10: Reportaż dźwiękowy specjalnej ekipy sprawozd. Polskiego Radia z Marszu Szlakiem Kadrowki (przez Kraków). 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Muzyka lekka do tańca. 21.30: „Jak się tworzyła literatura legionowa“ — szkic literacki. 21.52: Koncert symfoniczny z okazji Festiwalu Muzycznego w Lucernie — transmisja ze Szwajcarii. 23.05: Wiadomości w języku niemieckim. 23.13: Wiadomości w języku angielskim.

Wtorek — dn. 8.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Odjazd“ — gawęda Wiktora Budyńskiego (ze Lwowa). 12.03: Audycja południowa. 14.45: Rozmowę technika z młodzieżą przeprowadzi W. Frenkiel. 15.00: „Sładami Sahary“ — aud. podhalańska. 15.15: Muzyka popularna w wyk. zespołu smyczkowego Zw. Zawod. Muzyków Chrześc. 16.20: Koncert w wyk. Chóru P. R. pod dyr. St. Nawrota. 16.45: Kronika literacka. 17.00: Muzyka do tańca. 18.00: Najstarsze melodie świata — aud. słowno-muzyczna. 18.30: Utwory wiolonczelowe w wyk. K. Wilkomirskiego. 19.00: Audycja dla robotników. 19.30: „Przy wieczery“ (ze Lwowa). 20.10: Reportaż dźwiękowy specjalnej ekipy sprawozd. P. R. z Marszu Szlakiem Kadrowki (przez Kra-

ków). 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: „Ilustracje muzyczne do utworów scenicznych“. 22.15: Polska między Wschodem a Zachodem: „Polska wobec dwóch faktów“ — odczyt. 22.30: Recital fortepianowy Valentine Rives (pianistka estońska). 23.05: Wiadomości w języku niemieckim. 23.13: Wiadomości w języku angielskim.

Środa — dn. 9.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.15: Pogadanka turystyczna. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Nasz koncert — „Przy ognisku“ — aud. muzyczna dla dzieci. 15.15: Muzyka popularna w wyk. Orkiestry Rozgl. Lwowskiej. 16.20: Miniatury kwartetowe w wyk. Kwartetu Smyczk. Rozgl. Krak. 16.50: Lato: wieczór na stawach i jeziorach — pogadanka. 17.00: Muzyka do tańca z dancingu „Cafe Paradis“. 18.00: Duety wokalne (z Wilna). 18.30: Słynne symfonie — Robert Schumann (płyty). 19.00: „Podsluchy“ — Wesoła Syrena. 19.30: Przy wieczery (z Wilna). 20.05: Reportaż dźwiękowy specjalnej ekipy sprawozd. P. R. z Marszu Szlakiem Kadrowej (przez Kraków). 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert chopinowski w wyk. Józefa Smidowicza. 21.40: Książka i wiedza: „Zagadnienia socjologii teatru“. 22.00: Rewia słynnych solistów instrumentalnych — koncert. 22.55: Reportaż specjalnej ekipy sprawozdawczej P. R. z Marszu Szlakiem Kadrowki (z Krakowa). 23.05: Wiadomości w języku niemieckim. 23.13: Wiadomości w języku angielskim.

Czwartek — dn. 10.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.20: Pogadanka sportowa. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Płyniemy wielką rzeką: „Nil“ — audycja dla młodzieży. 15.05: Muzyka popularna z Katowic. 16.20: Recital śpiewaczy Stefana Witasa. 16.45: Reportaż z Muzeum Przemysłu i Techniki. 17.00: Skrzynka techniczna Wacława Frenkla. 18.00: Utwory klarinetowe w wykonaniu Ludwika Kurkiewicza. 18.20: Muzyka organowa w wykonaniu Feliksa Rarczkowskiego. 18.50: Echa morzy i chwaly. 19.00: „Wielkie włóczęgi morskie“. „Historia prawdziwa“. 19.20: Przy wie-

czery. 20.05: Reportaż dźwiękowy specjalnej ekipy sprawozdawczej P. R. z Marszu Szlakiem Kadrowki. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Utwory na Viola d'amore w wyk. J. Rakowskiego — z Poznania. 21.30: „Diabeł kulawy“ — słuchowisko. 22.00: w 20-tą rocznicę śmierci Ruggiero Leoncavalla „Pajace“ — opera z 2 aktach (z płyty). 23.05: Wiadomości w języku włoskim. 23.13: Koncert muzyki polskiej w wyk. Kwartetu Smyczkowego P. R.

Piątek — dn. 11.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.15: Kłopoty i rady: Trudne wakacje — dialog. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Pogadanka dla młodzieży. 15.00: Muzyka popularna w wyk. Ork. Rozgl. Wileńskiej. 16.20: Utwory skrzypcowe w wyk. Antoniego Szafranka (z Katowic). 16.45: Rozmowa z chorymi ks. Michała Rękasa. 17.00: Muzyka do tańca. 18.00: Wiosna i lato w pieśni polskiej — recital śpiewaczy Hanny Łosakiewicz-Molickiej (z Krakowa). 18.25: Kwartety Beethovena 19.00: „Baśń, klechda, legenda“. „Dwaj bramińni“ — legenda indyjska. 19.30: Przy wieczery. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Ilustracje muzyczne do utworów scenicznych. 22.15: Medytacje Montaigne: „Filozofować znaczy uczyć się umierać“. 22.30: Muzyka (płyty). 23.05: Wiadomości w języku niemieckim. 23.13: Wiadomości w języku angielskim.

Sobota — dn. 12.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Z mikrofonem przez Polskę“. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Audycja dla dzieci: „Koszalki opalki z radiowej kobiałki“. 15.15: Muzyka popularna w wyk. Ork. Rozgłośni Lwowskiej. 16.20: Recital fortepianowy Marii Ogilbianki (z Wilna). 16.45: Kronika wydarzeń w technice. 17.00: Muzyka do tańca z dancingu „Cafe Club“. 18.00: Francuska muzyka współczesna (z Poznania). 19.00: „Przez iedem mórz do siedmiu wzgórz“ — wesoła powieść. 19.25: Pierwsze walki legionowe „Znaczenie marszu na Kielce“ — pogadanka. 19.35: Audycja dla Polaków za granicą. 20.00: „Melodie ziemi polskiej“ — pieśni ludowe cieszyńskie. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: „Przy sobocie po robocie“ — koncert rozrywkowy. 23.05: Wiadomości w języku niemieckim. 23.13: Wiadomości w języku angielskim. 23.20: Muzyka taneczna z dancingu „Cafe Paradis“.

Instytut Naukowy Ligi Morskiej i Kolonialnej

Przy Lidze Morskiej i Kolonialnej istnieje Instytut Naukowy, pracujący pod kierownictwem prof. dra Stanisława Pawłowskiego (z Uniwersytetu Poznańskiego). Jest to placówka zajmująca się naukowym opracowaniem polskiego zagadnienia kolonialnego i morskiego. Instytut wydaje kwartalnik „Sprawy Morskie i Kolonialne“ (adres redakcji: Poznań, Fredry 10), ma bibliotekę liczącą ok. 8.000 tomów, oraz Muzeum Morskie i Kolonialne (w organizacji). Biblioteka Instytutu mieści się przy ul. Widok 10, tel. 650-54 i udostępniona jest dla publiczności, czynna jest codziennie od godz. 12.30 do 14.30, w soboty od 11.30 do 14.30 i zaopatrzona jest w najaktualniejsze wy-

dawnictwa polskie oraz w językach angielskim, francuskim, niemieckim i włoskim. Muzeum (Widok 10, tel. 650-54) gromadzi eksponaty z dziedziny surowców kolonialnych, przyrodnicze, pozostające w ścisłej łączności z zagadnieniami kolonialnymi, etnograficzne i morskie. Kustosz muzeum służy informacjami w dziedzinie swej specjalności.

Osoby interesujące się stroną naukową zagadnienia kolonialnego (geografia polityczna i gospodarcza, ekonomia, handel zamorski, surowce kolonialne) mogą korzystać z materiałów bibliotecznych, bądź też otrzymywać informacje w zakresie prac i badań prowadzonych przez Instytut.

„TYGODNIK ILLUSTROWANY”

Ostatnio w „TYGODNIKU ILLUSTROWANYM” zamieszczali swoje prace między innymi następujący pisarze, uczeni i publicyści:

Berent Waclaw, Borowy Waclaw, Boyé Edward, Chrzanowski Ignacy, Czachowski Kazimierz, Dąbrowska Maria, Essmanowski Stefan, Flukowski Stefan, Goetel Ferdynand, Combrowicz Witold, Górka Olgierd, Grabowski Jan, Grzebieniowski Tadeusz, Horoszkiewicz R. W., Hollender Tadeusz, Hulewicz Witold, Huszcza-Winnicka H., Illakowiczówna Kazimiera, Irzykowski Karol, Iwaszkiewicz Jarosław, Kaden Bandrowski Juliusz, Kleiner Juliusz, Kondracki Michał, Kossak-Szczucka Z., Kubacki W., Laskowski-Hulka Paweł, Lechoń Jan, Lepcecki B., Lutosławski W., Makuszyński Kornel, Melcer Wanda, Mieszkowski J. T., Miller, Jan N., Morcinek Gustaw, Muszkowski Jan, Nowakowski Zygmunt, Ossendowski F. A., Parandowski Jan, Powlikowska Maria, Piwiński Leon, Polczyński Janta Aleks., Pomirowski Leon, Rogowicz Waclaw, Rogoź Stanisław, Rudnicki Adolf, Rusinek Michał, Rytard Miecz., Schulz Bruno, Sieroszewski W., Skiński J. E., Smogorzewski K., Staff Leopold, Straszewicz Czesław, Stromenger Karol, Syruczek Waclaw, Szemplińska Elżbieta, Szykowski M., Śliwiński Artur, Terlecki Tymon, Tuwim Julian, Wasylewski Stanisław, Wierzyński Kazimierz, Wiktor Jan, Wittlin Józef, Wołoszynowski Julian, Zawistowski Władysław, Zrębowicz Roman.

NAOKOŁO ŚWIATA

hogato ilustrowany magazyn nowelistyczny, ukazujący się co miesiąc.

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA

przyniosła w latach ubiegłych obok autorów polskich, szereg utworów pisarzy tej miary, co Johan Boyer, Daniel Rops, Fr. Mauriac, J. Andersen Nexø, Marta Ostenso, Mary Webb, J. Roth, Colette, G. Papini, Jo Van Ammers-Küler, W. B. Maxwell, W. Peteani i inni.

„Tygodnik Ilustrowany” wraz z dodatkami ma obecnie najtańszą prenumeratę zbiorową, gdyż tylko

za 6 zł miesięcznie (6.50 z dostarczeniem do domu), prenumeratorem TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO otrzyma co tydzień numer „Tygodnika Ilustrowanego”; co miesiąc 80-a stron, zeszyt „Naokoło Świata” w wielobarwnej okładce i co miesiąc blisko 240-a stronicowy tom powieści polskiej lub tłumaczonej KTÓREJ CENA KSIĘGARSKA WYNOŚI około 6--8 zł.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAOKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50			kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	kwartalnie	zł 19.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—				
rocznie	zł 66.—	rocznie	zł 74.—	Zmiana adresu	zł 0.50
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 143

CENNIK OGŁOSZEN Str. $\frac{1}{4}$ — 800 zł, $\frac{1}{2}$ — 450 zł, $\frac{1}{3}$ — 250 zł, $\frac{1}{6}$ — 150 zł, $\frac{1}{12}$ 100 zł. — za szp. wierz. milimetry, lub jego miejsce PRZED i ZA TEKSTEM: 1,50 zł. Bilanse, artykuły opisowe, układy tabelaryczne, 1 str. okładki i miejsce zarezerwowane 50% drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P. K. O. 143

TYGODNIK

ILLUSTROWANY

Nr. 33

13 Sierpnia 1939

Cena 1 zł.



Jadwiga Borczowska, jedna z najwybitniejszych pieśniarek polskich odniosła wielki sukces na własnym wieczorze w „Sim'ie” dn. 30 lipca.

Toaletę wykonał Dom Modelowy „Ewelina” Warszawa. Chmielna 24.

RADIO W LOTNICTWIE

Jeszcze nie tak dawno lotnik, wznosząc się w powietrze, tracił wszelki kontakt z ziemią. Aż do chwili wyładowania nie mógł się porozumieć z lądem, zasięgnąć informacji co do kierunku i prawidłowości swego lotu — co zwłaszcza przy niesprzyjającej pogodzie było przyczyną wielu przymusowych lądowań i wypadków. To też niemal od pierwszych chwil istnienia radio konstruktorzy starali się połączyć ze sobą radio i lotnictwo, dwie najnowsze i świetnie do siebie pasujące zdobycze techniki. Na przeszkodzie stawały tu głównie rozmiary i ciężar aparatów radiowych, nadawczych i odbiorczych, wraz z zasilającymi lampy radiowe w tych aparatach bateriami, dochodząca do tak poważnego obciążenia maszyny latających, że tylko duże, silne samoloty mogły zabrać na pokład radiostację.

Ciągły postęp radiotechniki doprowadził jednak do znacznego ulepszenia urządzeń radiowych dla samolotów i pozwolił na znaczne zredukowanie ich wagi. Dziś latanie bez radia możliwe jest tylko na małych przestrzeniach, w wielkich samolotach sportowych, a żaden samolot komunikacyjny bez radia nie lata. W wojsku radio jest tak ważnym środkiem łączności, że samoloty wojskowe choćby dla spełnienia zadań, jakie im nakazano, muszą mieć radiostację.

W porównaniu się z ziemią za pośrednictwem radia niezwykle ważnym jest dziś stałe otrzymywanie meldunków o pogodzie i wskazywanie samolotom kierunku lotu. Umożliwia ono wraz z przyrządem, zwanym — sztucznym horyzontem latania w nocy, w mgłę i w czasie niekorzystnych warunków atmosferycznych.

Latając w dzień, przy dobrej widoczności terenu, pilot może z łatwością sprawdzić kierunek lotu, porównyując mapę z widokiem leżącym pod nim terenu. Lecąc w chmurach, lub nad nimi, lecąc w nocy — musi mieć jakiś pewny wskaźnik pozwalający na kontrolę trasy lotu. Daje się to wykonać tylko za pomocą radia, a więc stacji nadawczych i odbiorczych lotniskowych i radiostacji pokładowej samolotu.

Nadawanie samolotowi kierunku lotu polega na tym, że pewne rodzaje anten, a mianowicie anteny ramowe, powodują znaczne osłabienie odbioru danej radiostacji, jeśli są obrócone w kierunku tej radiostacji prostopadle, tj. jeśli powierzchnia anteny radiowej zwrócona jest w kierunku radiostacji nadawczej. Jeżeli zaś tę samą antenę obrócimy tak w kierunku stacji nadawczej, by płaszczyzna ra-

my leżała właśnie w tym kierunku — odbiór będzie bardzo silny. Łatwo jest zatem wywnioskować teraz, że pilot samolotu lecącego w kierunku jakiegoś lotniska z nastawioną na najsilniejszy odbiór anteną, może z nagłego osłabienia odbioru zauważyć, że zboczył z kierunku i może ten kierunek odszukać. Więcej jeszcze: odbierając dwie radiostacje lotniskowe, z których jedna leży u celu lotu, druga zaś z boku trasy — może w każdej chwili, przeprowadziwszy na mapie linie od tych radiostacji znaleźć na ich przecięciu położenie własnego samolotu, i określić dokładnie, gdzie się w danej chwili znajduje. Oczywiście radiostacje lotniskowe mogą w ten sam sposób określić położenie samolotu i podać mu je.

Podchodząc do lądowania na lotnisko w nocy lub w mgłę gdy powierzchnia ziemi jest niewidoczna, pilot samolotu może

lądować podług radia, które w tym celu wysyłając wąską wiązkę fal tylko w jednym kierunku może nadlatującej maszynie wskazać położenie lotniska i po tej wąskiej taśmie fal, idącej z anteny nadawczej tylko w jednym kierunku — sprowadzić samolot na ziemię jak na niewidocznej nici.

Naturalnym warunkiem dobrego działania tych przyrządów jest ich wielka precyzja, odporność na wstrząsy, na ciśnienie powietrza na zmianę temperatury itp. Dlatego te przyrządy muszą przed zabudowaniem na samolot przejść bardzo skrupulatne próby, konstrukcja ich i wykonanie muszą być najdokładniej przemyślane. Stąd wynika, że przyrządy radiowe lotnicze są bardzo drogie. Kupując samolot nie możemy zapominać o tych ważnych przyrządach pokładowych, a na to trzeba pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

Amerykański pomysł zastosowania radia

Fale radiowe wydają się jeszcze dzisiaj szerokiemu ogółowi czymś, co raczej pochodzi i przebywa w krainie nadzmysłowej, a nie z zupełnie realnej i rzeczywistej „fabryki radiowej”. Przyczynia się może do tego sposób, w jaki się z nimi przeważnie stykamy, czyli radiofonia. Fale radiowe znane są przecież przeważnie tylko jako to zjawisko, dzięki któremu słyszymy z głośnika dźwięki muzyki lub mowy ludzkiej, nadane ze stacji nadawczej odległej o setki lub tysiące kilometrów.

Fale radiowe znalazły jednak, prócz tego, zastosowanie w wielu innych kierunkach, gdzie zużytkowano zawartą w nich energię. Ciekawym dowodem zawartości energii w falach radiowych było doświadczenie przeprowadzone wobec licznych widzów, podczas budowy gmachu Radio Corporation of America na terenie Wystawy Światowej w Nowym Yorku. Urządzono tam mianowicie małą radiową stację nadawczą. Całą jej energię skierowano jednak nie na antenę nadawczą, lecz na dość prosty przyrząd, w którym tkwił żelazny nit. Nit ten miał być ostatnim w stalowym szkieletcie wystawowego budynku. Po uruchomieniu stacji nadawczej, skupiły się fale radiowe na małej przestrzeni wewnątrz przyrządu i rozgrzały żelazny nit w ciągu kilkunastu sekund do białego żaru, dając w ten sposób zupełnie oczywisty dowód zawartej w nich energii.

Mikrofon jest jakby pośrednikiem przy zamianie energii fal głosowych w fale radiowe. Wśród swych, już naprawdę fantastycznych wędrowek, znalazł się mikrofon nawet na sali sądowej. Tym razem nie dla jakiejś sensoryjnej transmisji, lecz

jako najczulszy i najpewniejszy protokół. W jednym mieście w Stanach Zjednoczonych, wypróbowano niedawno po raz pierwszy urządzenie do utrwalania całkowitego przebiegu rozprawy sądowej. Urządzenie to, oparte zresztą na znanych już zasadach, składa się z czulego mikrofonu i bardzo małej i prostej aparatury do utrwalania dźwięków na walcach pokrytych woskiem. Walec zmieniają się automatycznie po nagraniu, a nagrania można zaraz wysłuchać na głośnik lub słuchawkę. Zaletą tego nowego aparatu w służbie sprawiedliwości ma być jego możliwość oddania nawet najmniejszej intonacji głosu, co ma duże znaczenie zwłaszcza przy przesłuchiwaniu świadków, a czego nie jest w stanie oddać suchy protokół sporządzony na podstawie stenogramu.

IDEALNA „ŚWIETLICA ZRADIOFONIZOWANA”

na Dorocznej Wystawie Radiowej

Na Drugiej Dorocznej Wystawie Radiowej wśród wielu stoisk (których liczba jest obecnie znacznie wyższa niż w roku ubiegłym), znajdzie się również stoisko Społecznego Komitetu Radiofonizacji Kraju. Znajdą się w nim ekspozyty i materiały, które w wyrazisty sposób naświetlą społeczne znaczenie radia jako potężnego czynnika kształtującego wiele dziedzin życia społecznego. Między innymi w ramach stoiska S. K. R. K. zorganizowana zostanie idealna „zradiofonizowana świetlica”, która stać się winna wzorem dla świetlic szkolnych i organizacyjnych we wsiach i miastach.

Niewątpliwie świetlica ta zwiedzana będzie z wielkim zainteresowaniem, zwłaszcza przez wszelkich działaczy społecznych i oświatowych, którzy przybędą na Doroczną Wystawę Radiową z całej Polski. Warto bowiem przypomnieć, że szereg pociągów popularnych, zorganizowanych specjalnie na D. W. R., umożliwi zwiedzenie Wystawy mieszkańcom najdalej zakątków Polski.



namietajmy

o tym, że sole mineralne obok witamin konieczne są do normalnego funkcjonowania organizmu. — Brak soli mineralnych możemy uzupełnić, używając MINEROGEN F.F. — smaczną, musującą sól owocową. MINEROGEN F.F. dostać można w najbliższej aptece.



Z PRZEMÓWIENIA NACZELNEGO WODZA, P. MARSZAŁKA E. ŚMIGŁEGO-RYDZA W DNIU 25-LECIA CZYNU ZBROJNEGO:

A gdy w czasach dzisiejszych słowo pokój i wojna na przemian są na ustach świata — to my stwierdzamy: cenimy i szanujemy pokój tak jak inne narody, ale nie ma takiej mocy, która by nas przekonała, że pokój, to jest takie słowo, które dla jednych oznacza brać, a dla drugich dawać.

Nie żyjemy w stosunku do nikogo agresywnych zamiarów, co jest chyba jasne i nie ulega wątpliwości, tak samo jak nie ulega żadnej wątpliwości, że przeciwstawimy się wszystkimi środkami bez reszty każdej próbie bezpośredniego lub pośredniego naruszenia interesów, praw i godności naszego państwa.

Uważam za swój miły obowiązek stwierdzić z głębokim odczuciem i żołnierską wzajemnością, że Polska ma wśród narodów szczerych przyjaciół którzy rozumieją sedno sprawy i którzy określili swój stosunek do nas.

Stanowisko w sprawie Gdańska w ciągu stuleci związanego z Polską i stanowiącego płuco jej organizmu gospodarczego Polska sprecyzowała niedwuznacznie.

Nie myśmy zaczęli proces gdański, nie my wycofujemy się z zobowiązań i nasze postępowanie będzie dostosowane do postępowania strony drugiej.

I niech nikt nie sądzi, że nasza miłość ojczyzny ma mniejsze prawa, lub mniejsze nakłada obowiązki, aniżeli jego miłość ojczyzny.

Przed tą pomyłką ostrzegamy.

H 899/53

OSTRZEŻENIE

Tak się złożyło, że 25-lecie Czynu Sierpniowego wypadło w momencie wyjątkowo dalekim od beztronski i spokoju. gdy Europie zagraża perspektywa nowej wielkiej wojny, którą lada dzień rozpętać może nieuasycony imperializm niemiecki. Ten sam, który był przyczyną wybuchu wojny w 1914 r., a który tak „pięknie“ odrodził się w Trzeciej Rzeszy, łaknącej coraz to nowych podbojów. Zhyteczne byłoby tłumaczyć dlaczego Polska jest obecnie obiektem szczególnego zainteresowania opinii publicznej całego świata i dlaczego też Zjazd krakowski a zwłaszcza mowa Marszałka Śmigłego-Rydza oczekiwana była z ogromnym zaciekawieniem i napięciem daleko poza granicami Rzeczypospolitej. Wobec nieustannych prowokacji antypolskich w Gdańsku,

wobec coraz to nowych zapowiedzi, pogroźek i pospolitych fałszów niemieckich — wypowiedzenie się Naczelnego Wodza nabrało specjalnego znaczenia.

Należy zwrócić uwagę, że cała gra Niemiec w sprawie Gdańska odbywa się w atmosferze niesłychanego zakłamania. Pomijamy już fakt, iż problem ten został przez Berlin podniesiony wbrew uprzednim uroczystym zapewnieniom kanclerza Hitlera, że Gdańsk „to prowincjonalne miasto nie będzie przedmiotem sporu między Polską i Niemcami“ i że podobnie, jak Polska uznaje i szanuje niemiecki charakter narodowy większości mieszkańców Wolnego Miasta — tak i Niemcy będą szanować prawa Polski w Gdańsku. Ale przecież Niemcy uzasadniają swe pretensje do Gdańska zasadą samostanowie-

nia narodów — i mają odwagę wysuwać ten argument po włączeniu ok. 8 milionów Czechów do Rzeszy... Mało tego! Ostatnio Berlin wyraził zgodę na przymusowe wysiedlenie rdzennie niemieckiej ludności z włoskiego Tyrolu. Wszystkie „święte“ zasady narodowego socjalizmu nie przeszkodziły w zaakceptowaniu niewątpliwiej krzywdy części niemieckiego narodu, gdy tylko ze względów zewnętrzno-politycznych Berlin uznał to za potrzebne. A jednocześnie kierownictwo Rzeszy zapalało gwałtowną troską o los Niemców gdańskich, którzy przecież w swym rozwoju narodowo-kulturalnym, a nawet ideowym cieszą się kompletną swobodą...

Trudno by przy takim pojmowaniu i stosowaniu przez Niemcy głoszonych przez nie zasad — ktokolwiek zewnątrz wierzył choć trochę w szczerą argumentację niemiecką w sprawie Gdańska. Tym więcej, że Niemcy sami są na tyle nieostrożni, że ubolewając nad losem „oderwanego od niemieckiej macierzy“ Gdańska — coraz częściej przebąkiwać zaczynają o Pomorzu. Te apetyty wskazują najlepiej, jaki jest istotny sens t. zw. „sprawy Gdańska“.

Traktując Gdańsk jako etap na drodze do zniszczenia niezależności Polski i zdobycia hegemonii w Europie, starają się Niemcy stosować sprytną — w ich przekonaniu — taktykę, zmierzającą do zaspokojenia nieufności między Polską a Anglią i Francją i do stopniowego rozbicia solidarności tych państw. Solidarności, która tak bardzo przeszkadza Niemcom w ich planach. Berlin pragnąłby przy tym przedstawić zdecydowane stanowisko Polski jako niebezpieczeństwo dla pokoju... Jeżeli Polska nie ustąpi — tłumaczą Niemcy — to będzie wojna; w imię utrzymania pokoju winna więc Polska zrezygnować z oporu wobec Niemiec, a mocarstwa zachodnie — znów w imię pokoju — winny na nią wyrzucić wpływ w tym kierunku. Niemcy — głoszą dalej panowie z Berlina — nie chcą wojny o Gdańsk — ale Gdańsk musi wrócić do Rzeszy...

Na tle tej perfidii i zakłamania, w obliczu powodzi wykrętnych i cynicznych „argumentów“ niemieckich mowa Marszałka Śmigłego-Rydza uderzała swą jasnością i oczywistością, a w surowej, żołnierskiej prostocie pełna była godności i mocy. Słowa Naczelnego Wodza przypominały raz jeszcze, że dla Polski pojęcia uczciwości i honoru nie są pustym dźwiękiem. O ile cenimy i szanujemy pokój, to jednak nic nie zdoła nas przekonać, że „pokój to jest takie słowo, które dla jednych oznacza br a ć, a dla drugich d a w a ć“. Rzecz jasna — sami nie zamierzamy nikogo zaatakować. Lecz jeśli ktokolwiek odważy się na próbę bezpośredniego, czy pośredniego naruszenia interesów, praw i godności naszego Państwa, zareagujemy natychmiast i to nie słownymi protestami, czy apelami o sprawiedliwość i pomoc, lecz wszystkimi naszymi siłami. Dotyczy to w całej rozciągłości Gdańska, który stanowi płuco organizmu gospodarczego Polski. Nasze stanowisko w sprawie Gdańska jest spre-

P. Marszałkowa Piłsudska z córką, vice-premier Kwiatkowski, marsz. Makowski i gen. broni Sosnkowski podczas mszy św. na Błoniach



P. minister Józef Beck, w mundurze artylerzysty, wita się z towarzyszanami broni artylerzystami z Legionów



cyzowane i ogólnie znane, a postępowanie będzie dostosowane do postępowania strony drugiej. Polska pamięta o zasadzie, wpojonej przez Wielkiego Marszałka, że „gwałt zadawany siłą — musi być siłą odparty“.

W wywiadzie, udzielonym nie dawno prasie amerykańskiej, oświadczył Marszałek Śmigły-Rydz, że w razie zamachu na Gdańsk Polska podejmie walkę nawet gdyby miała się bić sama, bez sojuszników. To oświadczenie, dające wyraz zdecydowanemu stanowisku Polski i Jej gotowości bojowej, bynajmniej nie oznaczało, że w stosunkach między Warszawą, Paryżem i Londynem powstały jakieś zgrzyty, że solidarność tych trzech stolic została choć trochę podważona — ku wielkiej radości Niemiec. Jeśli w Berlinie bodaj przez chwilę ludzono się co do tego, to znów przyszło gorzkie rozczarowanie, w dniu 6 sierpnia powiedział bowiem Marszałek Śmigły wyraźnie:

„Uważam za swój miły obowiązek stwierdzić z głębokim odczuciem i żołnierską wzajemnością, że Polska ma wśród narodów szczerych przyjaciół, którzy rozumieją sedno sprawy i którzy określili swój stosunek do nas“.

Wszelkie próby Niemiec wbicia klimy między sprzymierzeńców spaliły na panewce. Sojusz polsko-angielsko-francuski trwa mocny i nienaruszony, zarówno w decyzji rządów, jak i w powszechnym zrozumieniu i poparciu szerokiej opinii publicznej wszystkich trzech sprzymierzonych krajów. W odniesieniu do Gdańska Anglia i Francja nie tylko podzielają całkowicie stanowisko Polski, ale manifestują też wysokie uznanie dla naszej rozważnej i stanowczej zarazem postawy.

Ostatnia mowa Marszałka Śmigłego-Rydzia spotkała się w opinii zachodnioeuropejskiej z gorącym przyjęciem. Prasa podkreśla, że Naczelny Wódz Armii Polskiej przemawiał w imieniu całego narodu, który jest zdecydowany walczyć o Gdańsk w przekonaniu, że broni w ten sposób swej Niepodległości. Mowa ta nie zawiera nawet cienia tonu prowokacyjnego, jest spokojna i umiarkowana, lecz na tyle zdecydowana, że byłoby szaleństwem ze strony Niemiec przypuszczać, że Polska ustąpi z tego, co uważa za swój najbardziej żywotny interes.

Doświadczenia ubiegłych paru miesięcy zdają się wskazywać, że w rozgrywce o Gdańsk niemieckie czynniki decydujące ulegały złudzeniu, iż stanowcza postawa Polski i mocarstw zachodnich jest sztuczną, nietrwałą i musi się załamać pod naciskiem ostrej ofensywy Rzeszy, torując drogę nowemu rozwiązaniu à la Sudety i Czechy. Niemcy, którzy nigdy nie byli dobrymi psychologami, nie doceniali widać mimo wszystko znaczenia ogromnego przełomu psychicznego, jaki dokonał się w społeczeństwie angielskim i francuskim po zagarnięciu przez Rzeszę Czech i Moraw. W większym zaś jeszcze stopniu nie zdawali sobie sprawy z zasadniczej różnicy, jaka zachodzi między narodem polskim i czeskim, już nawet nie pod względem siły materialnej, ale przede wszystkim — moralnej.

Nasz Naczelny Wódz ostrzegł z całym naciskiem, aby nikt nie sądził, że nasza miłość ojczyzny ma mniejsze prawa, lub mniejsze nakłada obowiązki, aniżeli jego



Powitanie Naczelnego Wodza w murach Barbakanu

miłość ojczyzny. To stanowcze ostrzeżenie jest głosem całej Polski, która nie ma najmniejszych wątpliwości, jaką kroczyć drogą.

Nie darmo Zjazd krakowski odbył się pod hasłem „Polska na szlaku Józefa Piłsudskiego“. Nie darmo Wódz Naczelny mówił o wychowawczym znaczeniu Czynu Sierpniowego, o zasadach, które stały się własnością narodu. Polska jest skazana

na wielkość — i nie sprzeniewierzy się Testamentowi Wielkiego Marszałka, realizowanemu dziś przez następcę Józefa Piłsudskiego, Edwarda Śmigłego-Rydzę.

Niemcy zostali uprzedzeni i powinni się pozbyć wszelkich złudzeń. A jeśli sami odurzają się oparami swej kłamliwej propagandy i tracą poczucie rzeczywistości — przebudzenie może być bardzo nie-miłe. J a n u s z K o w a l c z u k

Las pocztów sztandarowych na Błoniach krakowskich w dniu 25-lecia Czynu Zbrojnego



GIBRALTAR CZARNOMORZA

Oczy całego świata były zwrócone w ostatnich czasach na Turcję, a szczególnie na przesmyk dardanelski. Wiadomo, że morza rozdzielają, ale i łączą. Wiadomo, że kto chce władać morzami, ten musi panować nad cieśninami. Tę prawdę morską nie od dziś rozumie Anglia, strażąca w Gibraltarze i nad Kanalem Sueskim, nad przesmykiem Bab el Mandeb u bramy Morza Czerwonego, nad którą panują działa Adenu, i w porcie Singapurze na Dalekim Wschodzie. Tę prawdę rozumieją i jej młodzi konkurenci — Włosi, kiedy domagają się Tunisu od Francji, czy też kiedy chcą się usadowić naprzeciw Gibraltarowi, w hiszpańskim Marokku. Kto panuje na Sycylii i na bliskim już wybrzeżu afrykańskim, na przyłdku Bon w Tunisie, ten kontroluje właściwie całe Śródziemnomorze. Działa dalekonośne, umieszczone z jednej strony na przyłdku Tunisu i na Sycylii, z drugiej strony, sprawić mogą, że Morze Śródziemne zostanie przepołowione w razie wojny na dwie części. Tym bardziej, że między

wzięli księżęta rusecy wiarę w Chrystusa, tam powinna się była w marzeniach imperialistów rosyjskich mieścić druga stolica wszechsławińskiej, wielkiej Rosji.

Trzeba też dodać, że pomimo wielkiej potęgi militarnej carów rosyjskich Rosja nie była nigdy zbyt silna na morzach. Nie wszystkie morza imperium były dla niej pełnowartościowe. Bałtyk był zakorkowany silami Danii. Szwecji, a potem Niemiec, morza północne zamarzają w zimie, były zresztą zbyt oddalone od mórz Europy i jej szlaków; morza Dalekiego Wschodu były też odcięte wielką przestrzenią; wreszcie Morze Czarne blokowała skutecznie Turcja, która zawsze mogła odciąć rosyjską flotę czarnomorską.

W ciągu ubiegłego wieku ratowała Turcję Anglia. Wobec oznak rozkładu, jakie okazywało państwo sultanów, Anglia wołała, żeby nad kluczem Czarnomorza trzymał straż słabszy partner. Rosja zagrożić mogła Indiom. Potęga rosyjska mogła zagrozić angielskiej. Anglia zwalczała Turcję tak długo, jak długo mogła się oba-



Twórca Nowej Turcji, zmarły w ub. roku Kemal Pasza Atatürk

wiać sił tureckich, szczególnie na morzu.

W czasie ostatniej wojny zdawało się, że dla państwa tureckiego wybiła ostatnia godzina na zegarze dziejów. System rządów w tym kraju sprawił, że wielki gmach imperium zarysował się ostatecznie. Wielkie przestrzenie azjatyckie płonęły powstaniem, popieranym przez Anglików. Na tych przestrzeniach miały powstać państwa arabskie. Ludy arabskie, zorganizowane przez legendarnego pułkownika Lawrence'a działającego z ramienia Intelligence Service, zerwały się do walki z Turcją i szły w jednym szeregu z wojskami Wielkiej Brytanii. I kiedy wojna się skończyła, kiedy na nowo urządzano świat, na gruzach dawnego państwa sultanów powstały nowe organizmy pod protektoratem Anglii i Francji. Z państwa tureckiego pozostał tylko półwysep małowazjatycki, zamieszkały przez ludność prawie rdzennie turecką i szczątek posiadłości dawnego imperium w Europie, cypel dardanelski z prastarą kością niezgody, Konstantynopolem. Anglia znowu nie zgodziła się na oddanie komukolwiek tego ważnego punktu morskiego. Wołała, żeby pozostał on przy osłabionej Turcji. I kiedy w kilka lat potem Grecy uderzyli na

Kościół św. Zofii w Konstantynopolu



dwoma przyłdkami, tuniskim i sycylijskim leży wysepka Pantelleria, znakomicie utwierdzająca panowanie nad tą cieśniną.

Jeżeli działa angielskie na skałach twierdzy w Gibraltarze czuwają nad tą bramą morza i mogą nie przepuścić ani jednego okrętu, którego sobie nie życzą na tych wodach, podobnie ani jeden okręt nie wydobędzie się z wewnętrznego Morza Czerwonego na błękitne fale Śródziemnomorza, ani nie wpłynie na Morze Czarne, jeżeli nie pozwoli na to Turcja.

Od wieków dwie potęgi konkurowały ze sobą na Morzu Czarnym: Turcja i Rosja. Od kilku wieków rosnąca potęga Rosji spychała systematycznie Państwo Otomańskie z wybrzeży Morza Czerwonego. Rosja popierała niepodległościowe wysiłki narodów na Bałkanie. Dalekim celem tych marzeń był Carogród, Konstantynopol, Bizancjum, przez długie wieki druga stolica świata konkurentka Rzymu. Stąd

Targ w starej dzielnicy Ankary



Turcję, marząc również o zdobyciu prastarego greckiego miasta, Anglia znówu poparła Turcję przeciw Francji, dopuszczając do klęski niedawnych sojuszników. Kiedy przyszły niepowodzenia armii greckiej w głębi Malej Azji, Konstantynopol pozostał ostatecznie przy Turkach. I jeżeli dzisiaj Turcja zawarła pakt z Anglią, nie z Niemcami, może ten kierunek właśnie polityki angielskiej zaważył na tureckiej decyzji. Może dlatego także Turcja zapomniała o braterstwie broni, które łączyło ją przed dwudziestu pięciu laty z Niemcami.

Turcja dzisiejsza nie jest już dawną Turcją. Turcja dzisiejsza, uzbrojona po zęby, jest bodaj największą potęgą militarną w tym kącie Morza Śródziemnego. Dość powiedzieć, że samoloty wojenne włoskie, które bez przeszkód i bez obaw latają sobie nad wszystkimi prawie państwami bałkańskimi, nie odważają się docierać do wybrzeży małoazjatyckich. Piloti, siedzący w tych samolotach, zdają sobie doskonale sprawę z tego, że mogą być zasypani celnymi strzałami z ziemi tureckiej, że żołnierze i oficerowie nie będą żartować, jeżeli idzie o turecki prestiż i o turecką ziemię. Zmarły prezydent Turcji, zwany przez rodaków Atatürkiem, czyli ojcem Turków, a przez Europejczyków Kemalem Paszą nauczył swoich współziomków nie tylko zwyczajów europejskich i noszenia europejskich ubrań, czy nakrycia głowy, ale także metod europejskiego prestiżu i pojęcia patriotyzmu, które nie było zbyt znane różnojęzycznej masie ludów zamieszkujących dawne państwo Otomańskie, przypominające żywo Austro-Węgry.

Płynąc statkiem od strony Grecji widać się już z daleka półwysep Galipoli, który zbliża się do wybrzeży azjatyckich. Na jego krańcu leży Bizancjum, bajeczne miasto, starsze od Rzymu, cel niezdrowych pożądań i ambicji wielu narodów Europy, najbardziej chyba międzynarodowe miasto w tej części świata.

Kiedy statek płynie zwolna w kierunku północnych, a z fal morskich wyskakują w łukach, pełne wdzięku ryby Posejdonna i Amfitryty — delfiny, bardzo pospolite na tych wodach, z daleka widać na

zielonych brzegach, usianych domami i budynkami, masę jakiejś większej budowli, otoczonej białymi punkcikami. Te punkciki i ten masę to wielki cmentarz poległych w czasie ostatniej wojny Anglików i Francuzów podczas nieustannych prób desantu, kiedy siły sprzymierzonych, nie mogąc dostać się na Morze Czarne i połączyć się z uwięzioną tutaj flotą rosyjską, forsowały bezskutecznie od strony morza Galipoli. Ta próba sforsowania, na której wspomnienie pień się jeszcze dzisiaj stary Lloyd George w swych pamiętnikach wojennych, kosztowała Sprzymierzonych 40.000 ofiar. Ofiary tej próby leżą właśnie na tym olbrzymim cmentarzu, uczczonym białym pomnikiem. Dodajmy, że siłami tureckimi, które broniły wtedy tego odcinka, dowodził nie kto inny, jak późniejszy Kemal Pasza, służący wówczas w randze pułkownika w sultanskiej jeszcze armii tureckiej.

Dardanele dowiodły wtedy raz jeszcze swej obronności i znaczenia strategicznego, jakie posiadają nawet w rękach słabego przeciwnika. 40 000 trupów angielskich i francuskich żołnierzy, leżących na

ogromnym cmentarzu, złożyło własnym życiem świadectwo o wyjątkowym znaczeniu tego cypla. Trzeba dodać, że Galipoli i Konstantynopol zostały zdobyte przez Sprzymierzonych dopiero przy końcu wojny, i o od strony lądu, nie od strony morza, po pokonaniu Bułgarów, kiedy państwa centralne były już właściwie pobite i nie mogły wspomagać zbyt oddalonego sojusznika.

Wyparta z Europy prawie zupełnie, Turcja trzyma się skrawka europejskiego lądu żelaznymi pazurami. Niemal każdy metr kwadratowy tego wybrzeża i pobliskich wybrzeży azjatyckich kryje pod ziemią fortyfikacje. Gdybym spróbował wyjść na ląd z tego statku i gdybym chciał odbyć spacer wzdłuż tych przepięknych brzegów, wyrastałyby, jak spod ziemi, co krok żołnierze turecki, uzbrojeni po zęby, i cała sprawa mogłaby się skończyć nie zbyt przyjemnie. Mówią mi o tym wszyscy tutaj. Oba brzegi — azjatycki i europejski — są najeżone fortyfikacjami, tym groźniejszymi, że niewidzialnymi dla oka, ukrytymi przezornie przed oczyma obserwatora, czy obiektywem fotograficznego

Widok ogólny Złotego Rogu



Zanikające typy starej Turcji: handlarz pieczywa



aparatu nie tylko z ziemi, ale i z powietrza. Nauka ostatniej wojny nie poszła w las, wzmogła się technika obrony. A zmarły wódz i „ojciec Turków“ nienadarmo dowodził obroną tych stron w czasie ostatnich zmagania. Patrząc na te brzegi i dowiadując się o tym wszystkim, można się przeświadczyć, że raidy samolotów włoskich, przelatujących swobodnie nad terytorium „zaprzyjaźnionych“, czy też tylko sterroryzowanych Greków, tutaj mają zamkniętą strefę bezkarności. Dla takich „przyjaźni“ najlepszym zabezpieczeniem jest umiętność i możność zrezygnowania z niej. Przyjaźń przestaje być bowiem przyjaźnią w tej samej chwili, kiedy jedna ze stron traci możność jej wypowiedzenia. Odczuł to ostatnio na własnej skórze i zrozumiął Achmet Zogu, niedawny „przyjaciel Włochów“.

Sytuacja Turcji w tej części Europy i Morza Śródziemnego jest tak samo kluczowa, jak kluczowe jest położenie Polski w

Europie wschodniej, albo Jugosławii na Balkanie. Zrozumienie tej kluczowości polyktowało przezorną politykę angielską zbliżenie do obu powyższych państw. Cwarancje dla Turcji i pakt angielsko-turecki przyszedł w samą porę, uprzedzając niemieckie unizgi Papena, który spóźnił się wyraźnie ze swą wizytą w Ankarze. Wizyta w Ankarze dotyczyła nie tyle stolicy państwa tureckiego, ile właśnie Konstantynopola i jego kluczowej, „gibraltarskiej” pozycji nad Czarnym Morzem, a raczej nad wejściem do niego. Po zawarciu tego paktu stało się jasne, że zarówno pomoc dla Rumunii i Polski, pomoc w materiale przede wszystkim, jaką Anglia i Francja obiecała tym państwom na wypadek konfliktu, nie będzie pomocą tylko na papierze, ale że oprócz floty brytyjsko-francuskiej jeszcze flota sowiecka będzie miała wiele do powiedzenia.

Niechęć do Niemców datuje się w Turcji od czasów wielkiej przegranej i ostatecznej klęski tego państwa, klęski doznanej przy boku Niemiec. Po przegranej wojnie Turcja utraciła swoje mocarstwo we znaczeniu, zesłała do roli niewielkiego państwa, okrojona i skompromitowana. Od ostatecznej klęski i złamania militarnego ocaliła ją przezornie Anglia. Okazało się raz jeszcze, jak przewidująca i dalekowzroczna umie być polityka brytyjska, wbrew wszystkim bzdurom, które się wygadywało o zmierzchu Wielkiej Brytanii. Gruntowne reformy Atatürka odrodziły ten naród i przywróciły go cywilizacji, lecząc rany zadane przez absolutyzm sultanów. Reformy te wzmocniły Turcję nie tylko wewnątrz, ale i uczyniły ją znowu najważniejszym i najmocniejszym państwem w tym kącie morza Śródziemnego.

Dzięki temu Konstantynopol staje się trzecim kluczem tego morza, po Gibraltarze i Kanale Suezkim. Dzisiejsza Turcja widzi doskonale i zdaje sobie sprawę z tego, że ostateczną klęskę przyniosło jej przymierze z tym partnerem, który znowu proponował swoje usługi i przeciwko tym samym państwom. Dlatego Turcja nie chce po prostu powtórzyć dawnych błędów. Tak samo jak waha się znowu przed

PRZY CIDRZE I CALVA

(LIST Z FRANCJI)

U nas 14 lipca ma, jak zresztą każdy inny dzień, swoich skromnych 24 godzin; w Paryżu Quatorze Juillet rozciąga się na trzy, a w jubileuszowym roku Wielkiej Rewolucji na cztery potwornie zgicliwie doby. Jeżeli do tych czterech dób dodamy dwie noce i dzień, spędzone w pociągu, a do tysiąca osmiuset kilometrów odbytych kolejną tysiąc osiemset pięćdziesiąt przebieganych w „metro”, nie będziemy się dziwili, że szpakowaty pan w Bureau de tourisme patrzył na mnie z życzliwym współzuciem.

— Pan zdaje się być bardzo zmęczony, monsieur — mówił. — Dlatego, jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie, radziłbym wyjazd do jakiejś małej, cichej, spokojnej miejscowości, gdzie byłoby też ła-

twiej o pokój w hotelu. W tym roku z powodu sytuacji politycznej, cała Francja spędza wakacje w kraju; w kąpieliskach nieprawdopodobny tłok; nie mogliśmy panu gwarantować mieszkania. Z Quiberon, dokąd pan chciał jechać, mieliśmy właśnie przed chwilą telefon; wszystko zajęte. A posiadamy tyle ładnych małych miasteczek, niedaleko Paryża; podróż byłaby nie męcząca... — znowu spojrzeń pełne współzucia.

— Na przykład?

— Na przykład, Verneuil. Dwie godziny od Paryża; cztery tysiące mieszkańców; spokój, cisza, świetne powietrze; stare domy...

— Bardzo stare?

— Dokładnie nie wiem. Siedemnasty, może szesnasty wiek.

— Wina równie stare?

Spzakowaty pan nicco się stropił.

— Mais oui...

— Ale młodsze od domów?

— Certainement! — rozczmiał się. —

Poza tym będzie pan w Normandii, oczywiście cidru, du vrai cidre, j'entends, i calvadosu, du vieux calva...

— Du vieux? Vraiment? Monsieur, je baisse pavillon! Jadę do Verneuil.

Uprzejmy i współczujący pan obdarzył mnie jeszcze adresem hotelu, a właściwie: cud-hotelu. Jest to — podkreślał — une information intime, udzielana tylko klientom. Dlatego proszę o utrzymanie w tajemnicy. Niezwykła okazja! Zamiast 60 fr. dziennie, będę płacił w owym cudzie-hotelu tylko 35 fr., a znajdę wszystkie wygody, tout le confort.

Tout le confort. Wiedziałem, że słowo to gwarantuje mi dwa kurki przy umywalni, jeden z napisem: chaud, drugi: froid. Przeważnie jednak cieknąca z nich woda różni się nie tyle temperaturą, co wielkością strumienia: z pierwszego kurka sączy się kropkami, z drugiego — buchają wartką strugą. Poza tym confort każe się spodziewać, że trzy czwarte pokryte lustrami, odbijającymi w nieskończoność skrzyta nikuł i szkielek, a atmosfera może być bardzo łatwo eksterytoriałna i internacjonalna, wyprana z wszelkiego couleur local, ewentualnie wtórnie i sztucznie nim dla użytku etranżerów zabarwiona, jednym słowem, nudna, jak flaki z olejem (calkiem co innego, niż tripes a la mode de Caen).

To też zapewniwszy mego informatora, że adresu cud-hotelu nie zdradzę nawet ukochanej, obiecałem sobie również solennie, że w ogóle zeń nie skorzystam. Dotrzymawszy tej obietnicy, nie miałem poza tym powodu użalać się na Bureau de tourisme. Miasteczko było niewiarygodnie ciche i spokojne. Mijały czasami całe godziny, w ciągu których ani jedna sylwetka ludzka nie przesunęła się przez obszerny plac de la Madeleine, ozdobiony cudownym kościołem pod wezwaniem tejże świętej. Kościół wzniesli Anglicy jeszcze w XV w. Jego bogato rzeźbiona

ich powtórzeniem druga sojuszniczka dawnych państw centralnych — Bułgaria.

Ale oba te państwa straciły wiele po ostatecznej klęsce i oba chcą odrobić niejedno i niejedno uzyskać. W tym kącie Morza Śródziemnego panuje opinia, że Turcja w ewentualnym konflikcie znajdzie się w sytuacji dogodnej, bardzo dogodnej. Będzie mogła wyciągać z ognia światowe go kasztany, które upieką dla niej inni.

Turcja ma niejedno do odzyskania, ale wie doskonale o tym, że nie uzyska nie partner słaby, albo mało wartościowy. Daje do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko ewentualnemu przymierzcu, ale chce coś za to otrzywać. Korzystne dla Turcji załatwienie sprawy Sandzaku Aleksandryty, która o mało nie wywołała wojny w ubiegłym roku, sąd ten tylko potwierdza. A armaty przybrzeżne na brzegach cieśniny czarnomorskiej tylko tę sytuację Turcji umacniają. Prawda o wyższości cieśniny nad morzami jeszcze raz potwierdza się w historii świata.

Tadeusz Hollender

Marszałek Smigły-Rydz składa hołd Wielkiemu Marszałkowi w krypcie Wieży Srebrnych Dzwonów



wieża, zakończona podwójną koroną, koronkową robotą w kamieniu, stanowi słuszą chlubę Verneuil. W pobliżu kościoła w sąsiedztwie „pasiastych“ (rayé) domków z XV stulecia z pięknymi portalami i smukłymi wiczyczkami znalazłem sobie skromny, pocziwy hotelik, którego salę najwyższą w jednej piątą pokrywały lustra. Znajdował się tam natomiast kominek, a przy nim — zepsuty wprowadzić i pokryty zielonkawą patyną, lecz tym miłszy oku i tym autentyczniejszy w swojej starości — przyrząd do obracania różna. Boże miły! Widok ten przywiódł mi nagle na pamięć wielkie, in folio, ilustrowane wydanie „Trzech muszkietierów“; podpisy pod ilustracjami stanowiły przed trzydziestu laty mój pierwszy podręcznik języka francuskiego. Spocznijmyż — pomyślałem — na moment w tej oberży, w której Bóg wie, czy nie zatrzymał się ongiś sam inépan d'Artagnan.

Spoczałem na moment, który przeciągnął się na dni kilkanaście. Dlaczegoż by nie? Był przecież i kominek z rożnem, i świetny chartreuse i płaciło się raptem 26 fr. (3 zł. 50) dziennie, tout compris, w czym się mieściła również czarna kawa z koniakiem. Nie będąc zresztą przysięgał, czy na decyzję pozostania nie wpłynął fakt, że ten świetny chartreuse i ten koniak nalewał mi — bardzo szczerze — nie kto inny, a właśnie mademoiselle Geneviève, czyli Zérette, rodowita normandka, która po swych przodkach z północy odziedziczyła delikatną, różową cerę i zlociste niewiarogodnie bujne włosy.

— Quelle chevelure magnifique! — zachwycał się M-r Louis, profesor micjęscowego kolegium, wielki wielbiciel płci pięknej i poczji Charle Péguyego.

Pod wieczór, kiedy uliczkami, wśród starych domów, spowitych w pnące róże i glicynie, wracałem z zieleni normandzkich prés, m-r Louis stał już au comptoir pijając Suze-Citron.

Kościół w Verneuil-sur-Avre



Stary dom w Verneuil

— Un verre pour monsieur — mówił nie wypuszczając cygara z ust.

Milkły ostatnie brzmienia sygnaturki; majaczył się w pamięci obraz pól i pastwisk z rzędami pocziwych, jak nasze, wierzby: rysowała się za oknem wieża starożytnego kościoła. Monsieur Louis mówił wiersze Péguyego o świętej Genowefie:

I jak czuwała ongiś w samotne wieczory
Na podwórzu zagrody, czy nad brzegiem

[rzeki
U pnia tej samej wierzby, czy tej samej
[hrzozy...

Po drugiej stronie comptoiru złoto-włosa Geneviève w zadumie słuchała poezji o sainte Geneviève, a przy trzecim aperitifie stulecia zaczynały się stapiać z sobą i kureczyła się całkiem odległość 120 kilometrów dzielących Verneuil od Nanterre, gdzie patronka Paryża pasala owce.

Jak monsieur Louis uwodził mnie w przeszłość, tak znów w terażniejszość życia prowincji francuskiej wprowadzał mnie jego kolega monsieur Roland, a wdziałek tej terażniejszości przewyższał chyba jeszcze urok starości. Jeżeli zna się stare miasteczka hiszpańskie, francuskie i włoskie, to starości chyba włoskiej przyjdzie oddać pierwszeństwo. Jest ona wciąż krzepka, jak pić, górą już zmurszały, dołem wypuszczający świeże pędy: we Francji starość istnieje godnie i czcigodnie obok terażniejszości; en un viejo pueblo espanol przesycą terażniejszość melancholią swojej martwoty.

Zato współczesność francuska wymusza wszelką konkurencję. Budzi szacunek swoją rzetelnością i pracowitością, podbija serce prostotą, naturalnością, serdecznością, gościnnością, a równocześnie wielkim taktem i delikatnością. Mówimy, rzecz prosta, o prowincji a pamiętajmy, że Francja składa się z Paryża i prowincji. Niestety, o tej drugiej składowej u nas zbyt często zapomina się. Wyjeżdżając do Francji na kilka wakacyjnych tygodni, albo zdąża się do międzynarodowych kapielisk, albo tkwi się cały ten okres w Paryżu. A poznaje się tę „stolicę świata“ nie w jej najpiękniejszych godzinach poranka, kiedy wiatr strąca li-

ście na puste jeszcze ławki na bulwarach a wieże niezrównanej Notre Dame wydierają się z osłon różowej mgły, lecz wieczorem w lokalach, które dla etranżerów służą wszystkim: nagimi dziewczętami na Montmartrze a starofrancuską piosenką i naiwnymi efektami „grozy średniowiecza“ w „Les Oubliettes Rouge“ opodal Notre Dame. Cudzoziemiec nalkawszy się kilkaset litrów oparów benzynowych, wyjeżdża z kiepskim pojęciem o piosence, gorszym o średniowieczu, a całkiem opaczny o kobiecie francuskiej. A szkoda niemała, bo Francuzka obok tyśiąca zalet żony i matki, posiada niezrównany czar i wdzięk, którym darzy chętnie każdego.

Zapytany, nie mogłem nie powiedzieć:

— Il se peut que nos femmes soient plus belles mais les Françaises sont plus jolies et plus charmantes.

— Po czym pan poznał, że jestem Polką? — spytała mnie w pociągu rodaczka, do której niespodzianie dla niej zwróciłem się w ojczystym języku. — Po akcencie?

— Nie zwiędzie mnie — rzekłem — najpiękniejszy akcent, czy z nad Sekwany, czy z nad Sprewy. Poznałem panią po braku uśmiechu, tego sourire Francuzki, który każe momentalnie zapomnieć o wszystkich nieregularnościach jej twarzy, czy o wszystkich niedociągnięciach jej linii.

Jeżeli jednak chcecie mili rodacy radować się prawdziwym, nie zafalszowanym uśmiechem, jeżeli chcecie pić cydr pachnący jabłkami, a przy tym wszystkim nie wydać więcej niż sto dwadzieścia złotych na miesiąc, skróćcie raczej swój pobyt w Paryżu a poszukajcie une petite trou na prowincji.

S. E.

CZYTAJCIE

„NAOKOŁO ŚWIATA“

RODIN I WALKA O POMNIK BALZAKA

Na skrzyżowaniu bulwarów Raspail i Montparnasse w Paryżu odbyła się niedawno podniosła uroczystość. Po czterdziestu latach, które zakończyły głośnie „afery Balzaka“, i po wielu emocjonujących walkach, dokonano na jednym z placów Paryża odsłonięcia pomnika Balzaka, arcydzieła Augusta Rodina. W uroczystości odsłonięcia pomnika, który tak długo był przedmiotem sporu i nieustannych dyskusyj, wziął udział francuski minister oświaty Jean Zay, który akt ten uznał za naprawienie krzywdy, wyrządzonej znakomitemu rzeźbiarzowi w czasach



Twórca pomnika Balzaka, August Rodin

„gdy przeciw magii wielkiej poezji i żywej sztuki szalały, według mocnego wyrażenia poety, „brudne wymioty głupoty“. W ten sposób arcydzieło Rodina, które przez czterdzieści lat spoczywało w cieniu zapomnienia i wzgardy, ażeby czekać cierpliwie na dzień rehabilitacji, odniosło ostateczny triumf, a wraz z tym triumfem doczekał się również dnia odwetu świetny autor „Komedii ludzkiej“, którego twórczość francuskie podręczniki szkolne umieszczały przez wiele lat na marginesie literatury, zarzucając jej charakter „popularny“ i „wątpliwy styl“. Teraz Balzak ma dwa posągi na dwóch biegunach Paryża, na lewym i prawym brzegu Sekwany. Na posągu dłuta Rodina widnieje prosty napis, oddający wspólny hołd obu wielkim twórcom: „Balzakowi — Rodinowi“.

Nieprawdopodobnie dziwne były koleje losu tego pomnika Rodina. Mało kto z ludzi dzisiejszego pokolenia, nawet we Francji, zna historię tego potężnego dzieła, które wielki rzeźbiarz skomponował z właściwą mu śmiałością myśli, prowokując nim swoich współczesnych i ściągając na swoją głowę gromy oburzenia. Dokładny przebieg wszystkich tych dramatycznych awantur i skandali, jakie spadły na Rodina i jego dzieło, przedstawiła w interesującej swojej książce o wielkim rzeźbiarzu jego wierna przyjaciółka, Ju-

dyta Cladel. Jest to historia niezwykła, walka genialnej myśli twórczej, torującej drogę nowym kierunkom w sztuce, z oportunistycznym skostniałym akademizmem, zmaganie się tytana z tłumem małodusznych wrogów, dalekich od zrozumienia arcydzieła, wybiegającego poza krąg ich ciasnych pojęć o sztuce.

Myśl stworzenia pomnika Balzaka powstała w roku 1851, w roku śmierci autora „Komedii ludzkiej“. Pierwsza subskrypcję na pomnik zainicjował Dumas ojciec. W trzydzieści lat później inicjatywę tę podjął Związek literatów francuskich, który powierzył wykonanie pomnika znanemu rzeźbiarzowi Chapu. Ale Chapu zmarł w roku 1891 i wtedy na wniosek Emila Zoli zwrócono się do Rodina, który zobowiązał się wykonać pomnik w przeciągu ośmiastu miesięcy i oddać go definitywnie w roku 1893.

W owym czasie Rodin liczył pięćdziesiąt lat i był już twórcą „Pocalunku“, wspaniałego brązu „Człowiek pierwszych czasów“, kamiennej wizji ciężarnej „Ewy“, natchnionego „Jana Chrzciciela“, doskonałego w typie i wyrazie twarzy „Człowieka o złamanym nosie“, nadludzkiej „Głowy Wiktora Hugo“ i świetnych portretów Legrosa, Prousta, Henryka Becque'a, Puvis de Chavannes'a. Po monumentalnym, kolosalnym poemacie kamiennym „Brama piekielna“, pracował Rodin nad pomnikiem Wiktora Hugo i nad patetyczną grupą „Mieszczan z Calais“. Był to płodny, żywiołowy, bujny dorobek mistrza. Rodin ogarnięty był wówczas ideą dzieł gigantycznych, wpatrzony w „legendy wieków“ i oddzwia najjobniejszych katedr gotyckich. Jakby jakaś wiążąca się logiczną przesłanką myśl kazała mu wówczas przerzucić się od dzieła o twórcy „Boskiej Komedii“ do twórcy „Ludzkiej komedii“ — od „Bramy piekielnej“ Dantego do Balzaka.

Nie śpieszył się jednak z wykonaniem dzieła. Myśl pomnika rosła i dojrzewała w nim bardzo powoli, niemal leniwo. Zagłębił się najpierw w powieści Balzaka, ażeby wytworzyć w sobie ideę psychicznego obrazu wielkiego pisarza. Potem, z właściwą sobie skrupulatnością, zaczął szukać modelu. Rodin nie chciał oszukiwać ani zwodzić. Czuł potrzebę oparcia swojej wizji pisarza na prawdziwym typie fizycznym, który mógł znaleźć jedynie w ojczystej ziemi Balzaka. Udał się więc nad brzegi Loary, sądząc, że Balzak pochodził z Tours. Była to omyłka, bo wprawdzie miastem rodzinnym Balzaka było Tours, ale tylko przypadkowo, gdyż jego przysięciem na świat do Tours z swojej rodzinnej wioski w południowej Francji. Po dłuższych poszukiwaniach odkrył Rodin w jednej z ciasnych uliczek miasta Tours upragnionego modela: był to atletycznie zbudowany pomocnik rzeźnika. Według tego „fizycznego dokumentu“, dostarczonego mu przez naturę, wykonał Rodin portret Balzaka. Ale z swoim modelem miał nie małe trudności, zanim skłonił go do pozowania mu w stroju Adama. Rodin naszkicował więc najpierw podług swego modelu twarz i postać Bal-

zaka, a potem, korzystając już ze sposobności, stworzył jeszcze ponadto szkic do wspaniałej figury Herkulesa, duszącego węże.

Nie przestawał jednak na surowym modelu. Wczytał się znów w powieści Balzaka, przewertował jego listy, przestudował wszystkie jego portrety. Z tego bogatego materiału, z tych licznych postaci powieściowych i portretów ich twórcy urabiał sobie powoli syntetyczny obraz posągu Balzaka. Dagerotypy nie dawały mu żadnego wyraźnego wyobrażenia o istocie twórcy „Ludzkiej Komedii“. Może najbardziej charakterystyczny wydawał mu się jedynie dagerotyp, będący własnością Stefana Mallarmé, który przedstawiał Balzaka bez surduta, z szelkami na koszuli. Istniał prócz tego biust Davida w Komedii Francuskiej, oraz mały obrazek Louis Boulanger'a. Po dodatkowym przeczytaniu artykułów Teofila Gautier, notatek Concourtoń i szkicu Lamartine'a, Rodin wykonał siedm aktów, przedstawiających Balzaka w różnych pozach. Nie był jednak z tego zadowolony, postacie wydawały mu się zbyt grube, przyziemne i ciężkie, wrócił przeto do opisu Lamartine'a: „Była to — pisze Lamartine — postać żywiolu, wielka głowa, włosy niby niestrzyżona grzywa, rozrzucone po policzkach, opadłe aż po kołnierz surduta, oko ogniste, kolosalny tułów; i choć przysadkowaty, otyły, czworograniasty w ramionach i u podstawy, miał rozłożystość Mirabeau'a, zaś nijakiej ciężkości. Tyle się tam mieściło duszy, że mogła ona unieść ów ciężar, dający wrażenie prędkiej siły, niżli centnarowej wagi“. Żaden dagerotyp, żaden portret malarski nie mógł dać Rodinowi bardziej plastycznego obrazu Balzaka, co ten sławny konterfekt Lamartine'a. Ażeby uduchowić jeszcze bardziej Balzaka i zbliżyć go do idei pracującego szarego tytana myśli, narzucił mu Rodin na ramiona mnisi habit,

Posąg Balzaka (marmur), dzieło Rodina





Balzak (pr. obrazu Louis Boulengera)

który Balzak zwykł był nosić w czasie pracy.

Wszystkie te drobiazgowo studia twórcze zabrały Rodinowi wiele czasu. Nie był to jeszcze koniec. Po szczegółach konstrukcji należało dać syntezę, podciągnąć posąg do wyżyn heroizmu, oblec go w kształty wizji twórcy genialnego, tenąć w niego nadludzkość i nadnaturalność. To trwało najdłużej. Powstał jednak w końcu przedziwnie ekspresyjny posąg: z lekko brylowatej, lecz lekkiej masy korpusu, obleczonego w długi habit, wyrasta na żubrym karku wspaniała, odrzucona dumnie w tył głowa o zwiechrzonej czuprynie w której pod silnie sklepionymi arkadami brwi bije z plonących źrenic żądza ideału i pełna wzgardy ironia.

Tymczasem Związek literatów francuskich niecierpliwił się i czekał. Uważał on, że praca przeciąga się w nieskończoność i że artysta kpi sobie ze świata. Stosunki stawały się coraz bardziej naprężone, gdy w końcu Rodin zdecydował się pokazać swoje dzieło w Salonie paryskim w roku 1898. ze spóźnieniem pięciu lat.

Posąg Balzaka z odrzuconą w tył głową, w brylowatym habicie, wywołał burzę protestu i prawdziwy ryk śmiechu. Jeszcze żaden posąg nie wzbudził takiego huraganu wesołości. Najwięcej wydrwiwano ów nieszczęśliwy habit. Paryżanie nazywali pomnik „ziemiakiem w szlafroku”, „wyścigami w worku” i „balwanem ze śniegu”. Sypały się piosenki i złośliwe dowcipy. Na bulwarach sprzedawano małe foki lub pingwiny w formie breloków. Sprzedawcy wołali: „Kupujcie „Balzaka” Rodina!” Krytycy i znawcy sztuki mówili o braku wszelkiego smaku artystycznego, odmawiali Rodinowi talentu i radzili go zamknąć w domu obłąkanym w Charenton.

Świat artystyczny podzielił się na dwie grupy. Mniejszość była za Rodinem, większość zwalczała go z całą namiętnością. Komitet Związku literatów francuskich uznał dzieło „za nie odpowiadające artystycznym wymogom”, a opierając się na prawnym fackie, że artysta spóźnił się z

dostarczeniem dzieła w określonym terminie, zerwał kontrakt i zażądał zwrotu zaliczki w kwocie dziesięciu tysięcy franków.

Rodin wolał wycofać dzieło, niż ulec presji opinii i zwrócić zaliczkę. „Balzak” wrócił do pracowni mistrza, a Związek literatów francuskich powierzył wykonanie pomnika znanemu rzeźbiarzowi francuskiemu. Falguiere’owi. Falguiere wywiązał się z zadania w ściśle określonym terminie. Jego „Balzak” został przyjęty i ustawiony na avenue Friedland w Paryżu, gdzie siedząc ze skrzyżowanymi nogami, w szlafroku, przygląda się od wielu lat przechodniom i przejeżdżającym samochodom.

W ostatnich czasach powstał jednak komitet z Georgesem Lecomtem na czele, który postanowił wydobyć posąg Balzaka z muzeum Rodina w Meudon i naprawić krzywdę, wyrządzoną wielkiemu artyście, ustawiając posąg na jednym z placów Paryża. W roku 1936 rozpoczęła się znów namiętna kampania za i przeciw „Balzakowi” Rodina w paryskim świecie artystycznym. Projektowano nawet ustawić posąg na placu Palais Royal i wzniesiono gipsową makietę dla zbadania, czy ramy placu odpowiadają posagowi. Znowu wywiązała się namiętna polemika. Tym razem zwyciężył jednak Rodin. Posąg stanął na skrzyżowaniu dwóch bulwarów na Montparnassie. wśród tej dzielnicy artystów, którzy najlepiej może odczują



A. Falguiere

Pomnik Balzaka

wielkość dzieła Rodina. „Balzak” zakończył swoją tragiczną wędrówkę i chociaż dotąd jeszcze nie ucichły głosy sprzeciwu przeciw posagowi, „afery Balzaka”, trwającą czterdzieści lat, można obecnie uważać za definitywnie zamkniętą. Zwyciężyła genialna myśl wielkiego artysty.

Kazimierz Bukowski

Z TEK I POŚMIERTNEJ

Pieśń żółtego listka

*Ty, żółty listku, nie łudź się, nie,
Że jeszcze wróci twój dawny los,
Że na gałązce przy tobie drgnie
Słowika głos!*

*A braci listków, równieśny chór
Natchnionej pieśni zaszumi wtór,
A gdy tak śpiewem rozbrzmiewa sad,
Wtulony w ciebie usypia kwiat.*

*Złóc się, o listku, na słońcu złóc,
Na zbladłe lica nakładaj róż,
Nadziej się szczęścia, jak chcesz się zwódź,
Nie wróci już!*

*Co przeminęło, nie wróci wstecz,
Jak kurz, co z wiatrem poleciał precz,
Jak ten, co z falą popłynął, kwiat...
Jak ten na piasku zatarty ślad.*

*Nie czekaj, serce, niczego już
Od tych ostatnich, nielicznych dni.
Powrotu, och! piaszą i róż,
Nie wróce już!*

To słońce martwo lśni.

*Będą twe dni, bezbarwne, mdle
Wciąż w grubszą noc i w zimno iść,
Wciąż niżej, aż w ten dół, pod mgłę,
Gdzie zwienu czas
I żółty liść
I nas!*

Maria Grossek-Korycka

myszka korycka

Z CAŁEGO



Rekruci angielscy „fasują” po przybyciu do pulku



Tak wygląda szkoła dokształcająca

*Oto skutki wybuchu maszyny piekarniczej
Zamachu dokonano*

Policja angielska zatrzymała przy brzegach Palestyny statek, wiozący nielegalnych imigrantów żydowskich



Ś W I A T A



dla dorosłych w Indiach

*w jednym z dworców londyńskich.
Przyjeżdżający Irlandczycy*



Modlitwa poranna na pancerniku brytyjskim „Rodney”

W amerykańskich szkołach kadetckich kładziony jest szczególny nacisk na opanowanie karabinu maszynowego



Z CAŁEGO



Właściciele sklepów „północni” po przyjeździe do polski

Polacy wzięli udział w targach Państwa słonek, wzięli udział w targach w Warszawie



Właściciele sklepów „północni” w Warszawie
Oni chcą wjechać naszymi produktami na polski i obywateli ludzkości.
Zamach dyktando terroryści islamskiej



ŚWIATA



Mobilna jednostka na parawolcie brzojstom „Dobry”



W amerykańskim składzie żołnierskim mobilny jest urządzenie parowca na oceanowym okręcie

U ŹRÓDEŁ NIEPOKOJU I SAMOTNOŚCI

Filozof, profesor, wziął się do literatury. Jean-Paul Sartre, autor traktatu „L'Imagination“ wydaje powieść. A w rok później tom nowel. Literatura odnosi się nieufnie do uczonych. Między popularyzacją a dziełem sztuki leży przepaść. J. P. Sartre zapełnia ją rzetelnym talentem. Dar narracyjny. umiejętność stwarzania typów odrobina ironii, uadająca smak sytuacji, które zbyt wysuszyl intelektualizm — te zalety rasowego pisarza spychają na daleki plan wielką sumę wiedzy włożonej w książki Sartre'a. Odnajdujemy ją dopiero w sposób wtórny, gdy zastanowimy się nad przeczytaną treścią i gdy jej prawda domaga się innego wytłumaczenia, niż najbardziej nawet sumienna obserwacja.

Powieść „La Nausée“ opisuje wielki port francuski, w którym nie trudno poznać Le Havre. Rozległe bulwary nadmorskie omiatane przez wiatr, seana biblioteka, muzeum, w którym wiszą portrety lokalnych znakomitości, niedzielne spotkania elity miejscowej przed kościołem, brudne kawiarenki, małość nadętej burżuazji, prowincjonalna nuda, stwarzają atmosferę, w której nie się stać nie może. To też dramat dzieje się na płaszczyźnie czysto wewnętrznej, psychologicznej.

Bohater książki, Antoni Roquentin, podróżnik zniechęcony do podróży, posiadacz skromnej renty pozwalającej mu nie poddawać się żadnym przymusom społecznym, pisze monografię markiza z XVIII wieku, pana de Rollebon. Nudzi go ta robota piekielnie, tak jak nudzą go otaczający ludzie i wszystko zresztą co mu się może zdarzyć.

Rozważając własną przeszłość i istnienie innych, p. Roquentin doznaje uczucia wstępu do samego życia. W dzieciństwie ciotka mówiła mu: „Jeśli będziesz się sobie przyglądał zbyt długo w lustrze, zobaczysz w nim małpę“. Roquentin stwierdza: „Przyglądałem się sobie widocznie jeszcze dłużej; to, co widzę jest znacznie poniżej mały, na skraju świata roślinnego, na poziomie polipów“.

Tym się tłumaczy tytuł książki: „La Nausée“, uczucie mdłości ogarniające człowieka z chwilą, gdy opadnie zeń wszystko, co nie jest istnieniem. Jedyłą rzeczą realną jest teraźniejszość. Przeszłość pozostaje tylko jako luźny zbiór wspomnień, mogących równie dobrze należeć do innej osoby. Myśl, ponieważ musi się oprzeć o rzeczy zewnętrzne, jest chęcią wyzwolenia się z siebie samego, jest więc też obcością. Wiedza nabyta, tak samo jak wspomnienia, należy do rekwizytów.

Uwolniony z nich, Antoni Roquentin myśli: „Skończyło się. Jestem sam. Sam i wolny. Ale ta wolność jest trochę podobna do śmierci“.

Odnalezienie na dnie własnej duszy obcości zupełnej: negacji życia, wobec której wszelkie przejawy zewnętrzne, a nawet przedmioty martwe budzą obrzydzenie graniczące z nienawiścią, jest także podstawą tomu nowel wydanego w roku bieżącym.

Nowela pierwsza „Le Mur“, która nadała tytuł całemu tomowi, przedstawia trzech hiszpańskich milicjantów, znajdu-

jących się w niewoli u nacjonalistów i oczekujących rozstrzelania, które ma nastąpić o świcie. Ostatnia noc skazańców! Opowiadanie Sartre'a wstrząsającym realizmem przechodzi wszelkie dotychczas robione próby odtworzenia podobnej sytuacji. Opis strachu, stojącego się funkcją fizjologiczną, nad którą umysł nie potrafi zapanować, rozprzężenie zupełnie całej istoty, odarcie jej z wszelkich więzów jakimi są miłość, przyjaźń, a nawet przywiązanie do życia, wprowadza milicjanta Pablo Ibbieta w stan, do którego Antoni Roquentin doszedł intelektualistyczną samotnością.

„W stanie, w jakim się znajdowałem, gdyby mi oznajmiono, że mogę spokojnie wrócić do siebie, że mi darowano życie, pozostawiłoby mi to zimnym: kilka godzin, lub kilka lat czekania, to wszystko jedno, gdy się straciło złudzenie, że się jest nieśmiertelnym“.

Nowozdobytą świadomość jest tak silna, że gdy rano oficer zaproponuje mu targ: ocalenie za wskazanie kryjówki jego szefa Ramona Gris, Pablo Ibbieta nie zechce skorzystać z nadarzającej się okazji.

„...jego życie nie miało więcej wartości niż moje: żadne życie nie ma wartości. Miano przystawić człowieka do muru i strzelać do niego póki nie zdechnie: czy to byłbym ja, czy Gris, czy kto inny, wszystko jedno. Wiedziałem dohrze, że on był pożyteczniejszy niż ja dla sprawy Hiszpanii, ale gwizdałem na Hiszpanię i na anarchię: nie już, nie miało znaczenia. A jednak znajdowałem się tu, mogłem uratować skórę wydając Gris i odmawiałem. Uważałem, że to raczej komiczne: był to upór“.

Zmysł ponurej groteski nie opuszcza również Sartre'a. Pablo Ibbieta mimo woli ratuje swe życie. By zakpić sobie ostatni raz z prześladowców, każe im szukać swego przyjaciela na cmentarzu. Przyjodek sprawia, że Ramon Gris opuścił bezpieczną kryjówkę u krewnych i schronił się między grobami...

Tematem innych nowel jest także niczym nie zwalczona samotność, wrogi niepokój, który gnieździ się na dnie duszy i w krytycznych momentach opanowuje całą psychikę. Mistrzowska analiza młodej kobiety zakochanej w mężu chorym umysłowo, wprowadza nas w cztery ściany (La Chambre) zamykające walkę o zwycięstwo przegranej istniejącej między dwójgim ludźmi. Wtargnięcie w świat szaleństwa, w którym przebywa ukochany, jest jednak niemożliwe. Chwilami, w półciemnym pokoju, Ewie udaje się wierzyć w istnienie posągów przelatujących z szumem samolotu nad ich głowami, ale już rośnie w niej świadomość, że w chwili gdy mózg męża ostatecznie zagłębi się (doktor powiedział, że za rok) w odmętach obłądki, nie będzie mogła za nim podłączyć.

„Pewnego dnia jego rysy się zmaca, szczerka mu zwisnie, nawpół otworzy zalzawione oczy. Ewa przechyliła się nad ręką Piotra i przytknęła do niej usta. „Zabiję cię wcześniej“.

Samotność, zło pierwotne, do zwalczania którego dąży cała cywilizacja, może doprowadzić w chwili uświadomienia jej sobie do negacji życia, lub do szukania

mniej, lub bardziej gwałtownych sposobów wyzwolenia

Morderca, planujący zastrzelenie sześciu ludzi i ogłoszenie swego czynu w gazetach („Erostrate“), żona nie znosząca swego kochanka, a przeczcie gotowa dla niego rzucić męża, był tylko czuć nad sobą przewagę unicestwiającej własną osobowość („Intimité“), wszystkie te studia poza wartościami zamykającymi je w osobne, zwarte całości, są ilustracją zniszczenia spowodowanego wydobyciem na jaw ukrytego zwykle niepokoju. Swoim zasięgiem nie przekraczają dramatu jednostki.

Inaczej rzecz się przedstawia w ostatnim opowiadaniu („L'enfance d'un chef“).

Odkrywszy w sobie jedynie smutek ciała, ohydne kłamstwo równości i nieład“ mali Lucjan Fleuriere, führer avant la lettre, odnajduje w najprostszych haślach dnia drogę, która go zaprowadzi na czoło gromady ludzkiej. „Pierwsza zasada powiedział sobie Lucjan: nie starać się patrzeć w siebie; nie ma bardziej niebezpiecznego błędu. Prawdziwego Lucjana — wiedział o tym teraz — trzeba było szukać w oczach innych, w bojaźliwym posłuszeństwie Pierrette i Guigarda, w pełnym nadziei oczekiwaniu wszystkich tych istot, które rosły i dojrzewały dla niego, owych młodych czeladników, którzy staną się jego robotnikami, mieszkańców Ferolle, dużych i małych, których burmistrzem pewnego dnia zostanie. Lucjan bał się prawie: czuł się nieledwie zbyt wielkim dla siebie. Tyłu ludzi czekało na baczność: a on był: będzie zawsze tym ogromnym oczekiwaniami innych“.

Charakterystyczny dla naszej epoki niepokój, wraz ze wszystkimi konsekwencjami jakie za sobą pociąga, znajduje wstrząsające oświetlenie w książkach Sartre'a. Narzuca się pytanie jakie są zeń drogi wyjścia. Byłżeby to, jak twierdzi Carrel, skutek takiej jednostronnej cywilizacji, wyrosłej zbyt szybko z pominięciem nauki o człowieku, istocie nieznannej? Patrząc na ogólny bieg spraw naszego świata trudno się oprzeć temu twierdzeniu. „Wystarczy, by poczucie niebezpieczeństwa nas nie opuszczało, by życie i śmierć wydały nam się nie tylko graniczące ze sobą, ale pomieszane jedno z drugim, by największe dobro, te których posiadanie zdawało nam się najlepiej zapewnione, mogły być w każdej chwili zdruzgotane, — ażeby nasze spojrzenie zwrócił się w sposób naturalny ku sercu samemu naszego istnienia, pojętego samo w sobie, niezależnie od wszystkich rzeczy poszczególnych i chwilowych. W ten sposób — pisze filozof francuski Louis Lavelle, — to co u jednych rodzi tylko przerażenie, u innych powoduje wyzwolenie zbawcze. Opinia i przesąd giną. Przyzwyczajenia zalamują się nagle i przestają nas podtrzymywać. Trzeba co rano żyć od nowa, jak pierwszego dnia stworzenia, w tym samym niepokoju i w tym samym cudzie zawsze odrodzonym“.

J. P. Sartre nie jest piewą jedynie zniechęcenia i niepokoju. W umyśle bohatera „La Nausée“, Antoniego Roquentin, świąta możliwość wyzwolenia. Będzie nim droga podobna tej, którą odhł Marcel w poszukiwaniu straconego czasu — droga twórczości.

Krzysztof Mieczysławski

LORD ALFRED DOUGLAS BRONI SIĘ I OSKARŻA...

Dobrze jest czasem sięgnąć ręką na półkę z książkami na chybił — trafił, zabawić się z samym sobą w loterię fantową, wyciągnąć książkę — fant i pochylić się nad nią i jeszcze raz, jakby się jej nigdy nie czytało... od początku, od tytułu, od przedmowy, zacząć.

Więc czynię to dziś i jakby związane tajemną umową wpadają mi pod rękę, tylko książki Oscara Wilde'a. A te zbyt dobrze znam, zbyt głęboko wykosztowałem ich smak i zapach, zbyt dobrze wryły się w pamięć całe ustępy. Więc szukam dalej i już prawie że odechciewa mi się tej mojej zabawy, gdy nagle... jest... Lord Alfred Douglas: „Moja przyjaźń z Oscarem Wilde'm”. Więc jednak. I jeśli nie jego same-



Lord Alfred Douglas

go, to przynajmniej o nim będę jednak dziś czytał.

Dawno już przebrzmiały echa słynnej „afery” Wilde'owskiej. Minęły już czasy, gdy jego sprawy były tematem salonowych rozmów, wybitnie jednak zastrzeżonych „dla dorosłych”. Europa zapomniała o skandalu Wilde'a. Grób na cmentarzu Père Lachaise dawno już porósł gęstą trawą. Jego książki, sztuki, przetłumaczone na wszystkie niemal języki, stały się dziś prawie że literaturą dla młodzieży, a poza Anglią w każdym razie ćwiczeniem dla zaawansowanych uczniów języka angielskiego. Minęło wszak blisko 40 lat od jego śmierci i wyrosła już dokoła jego postaci legenda. Coraz mniej zostało ludzi, których można zaliczyć do jego współczesnych, wrogów czy przyjaciół. Umarł Robert Ross, Frank Harris, nie żyje również Markiz of Queensberry, człowiek, który wtrącił go do więzienia i był przyczyną słynnej „wielkiej katastrofy” w życiu króla aforyzmów.

Żyje jednak jeszcze i mieszka gdzieś w jakimś zakątku Szkocji Lord Alfred Douglas i jego to pamiętnik, wielka spowiedź jego burzliwego życia leży przede mną.

I zaraz, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wyrasta obraz tego pięknego, złotowłosego młodzieńca, którego cudowna uroda natchnęła Wilde'a do napisania jednego z największych arcydzieł literatury angielskiej, do którego obrazu o 16 lat starszy Wilde nicomalże się modlił w swojej wielkiej wrażliwości na wszystko, co piękne.

Nie jest to zresztą pierwsza publikacja Douglasa na ten temat. Pierwsza jego książka o Oscarze Wilde ukazała się dokładnie w dniu wybuchu Wielkiej Wojny i nosiła tytuł: „Oscar Wilde i ja...”

W owej książce, pisanej wraz z innym pisarzem i publicystą T. W. H. Crosslandem, Douglas gwałtownie odpiera wszystkie zarzuty intymniejszych stosunków z Wilde'm i dowodzi, że ich krótka zresztą, przyjaźń oparta była wyłącznie na więzach natury duchowej.

W tej ostatniej spowiedzi starego, prawie sześćdziesięcioletniego już człowieka Lord Douglas chce, jak sam twierdzi, zdeżyć ostatecznie maskę i z rozbijającą wprost szczerością, wprowadza nas w szczegóły swego burzliwego życia. Przyznaje się więc tu, że łączyły go z Wilde'm nie tylko węzły męskiej przyjaźni, lecz i coś więcej, by natychmiast dodać, że trwało to zaledwie kilka miesięcy, że uległ gorącym namowom starszego od siebie Wilde'a i że po krótkim czasie wyzwoił się spod jego zgubnego jakoby pływ.

Siedem lat trwała w sumie ta dziwna przyjaźń między młodym Douglasem, oryginałem „Portretu Dorian Gray'a” i dojrzałym, znanym i uznanym arbitrem elegantiarum, sławnym już na całą Europę Wilde'm.

Trudno powiedzieć, komu z nich przyjaźń ta wyrządziła więcej szkody, na czym losie zaważyła fatalniej. Faktem jest, że zarówno Wilde do końca swojego życia, a więc do roku 1900-go, pokutował za „uwiedzenie” najmłodszego syna Markiza of Queensberry, Lorda Alfreda Douglasa, że „umarł na tę przyjaźń”, jak i to, że sam Alfred Douglas od lat 40-tu nie przeżył ani jednej spokojnej chwili, ani jednego prawie spokojnego dnia, w którym nie przesładowałoby go wspomnienie tej, jakże dawno wygasłej przyjaźni.

Dla polskiego czytelnika zainteresować postacią Lorda Douglasa skończyło się tam, gdzie skończyła się przyjaźń z Wilde'm. Lecz w Anglii stanowi ona od kilkudziesięciu lat temat do nie kończących się artykułów w całej prasie. Niezliczona ilość procesów, jakie Douglas prowadził przez szereg lat, oskarżając osoby prywatne, pisma i wydawców o oszczerstwo przyczyniła się do tego w dużej mierze i nie pozwala zapomnieć o Lordzie Douglasie.

Ten stary już dziś arystokrata, na którego pomiętej twarzy fanatyka trudno się już dziś doszukać śladów dawnej promiennej urody, przeszedł przez całe piekło, jakie może wytworzyć człowiekowi, „który zepsuł sobie opinię” angielskie społeczeństwo.

Sam Douglas pisze o sobie, że miał tylko kilka spokojnych miesięcy w życiu, a mianowicie, gdy posiadał własną stajnię wyścigową w Chantilly i mieszkał we Francji. Lecz wtedy żył jeszcze Wilde. Złamany już wprawdzie dwuletnim więzieniem i na wygnaniu, lecz jeszcze żył i było tak, jak gdyby samym faktem, że żyje, chronił Douglasa przed nienawiścią ca-



Oscar Wilde i lord Alfred Douglas (1894)



Oscar Wilde
(zdjęcie z r. 1890)

lej zacierzwionej konserwatywnej Anglii i przed złą wolą i złośliwością wspólnych przyjaciół.

Lecz gdy Wilde zamknie oczy w swym małym pokoiku paryskim, zacznie się dla Lorda Douglasa pasmo nieszczęść, które go będą prześladowały przez długie lata. Dwukrotnie hędzie siedział w więzieniu pisma które będzie redagował zostaną, mu odebrane, opuści go żona, sąd zabierze mu jedyne go syna, aż wreszcie doprowadzony do szaleństwa żyć będzie już tylko jedną myślą, jednym celem zemśzczenia się na wszystkich, którzy powiedzą lub napiszą o nim choć jedno obraźliwe słowo. A te obraźliwe słowa, których mu zresztą prasa nie szczędzi ciągle jeszcze, po wielu latach dotychczas będą wyłącznie jego przyjaciźni z Wildem.

Czego tu nie ma na tych 300 stronicach. O wszystkie niecnosci świata oskarża Lord Douglas swoich byłych przyjaciół w swojej gorzkiej książce.

Kradli jego listy pisane do Wilde'a, jego listy pisane do żony. Ukrywano przed nim przez 12 lat tak zwaną niewydaną część „De profundis“, czyli listu, pisanego przez Wilde'a do niego z więzienia. Części tej Wilde nie pozwolił opublikować z jemu tylko znanych przyczyn w książce, wydanej po odcierpieniu przezeń kary. Według Douglasa list ten został wręczony przez Wilde'a Robertowi Ross, który miał go przekazać adresodawcy. Ross jednak ukrył ten dokument, by go opublikować dopiero po 12 latach i zaofiarować oryginal British Muzeum. Douglas po rozprawieniu się z Rossem, zwraca się w swej książce bezpośrednio do kustosa muzeum brytyjskiego i wzywa go do oddania mu tego manuskryptu, który stanowi wreszcie jego własność i nade wszystko... posiada wielką wartość rynkową.

Nie tu jednak kończy się pasmo udręek,

które prześladowają Lorda Douglasa przez całe życie. Porywają mu syna, z którym schronił się do Szkocji przed niesprawiedliwym wyrokiem sądowym, w myśl którego „zobowiązany jest posłać syna na wakacje do ojca swojej żony“. (!)

Opisuje dziesiątki swoich przyjaciźni z angielskimi pisarzami, poetami, i znanymi osobistościami ze świata sztuki i literatury. Lecz żadna z tych przyjaciźni nie trwa, wszystkie kończą się prędzej czy później jakimś skandalem, jakąś brudną aferą. W jakimś momencie zaczynają się zatargi natury honorowej (Oscar Wilde) lub finansowej i przyjaciźni przekształca się w niechęć a często nieuawisć.

Jakaś dziecinna wprost zarozumiałość a nawet pyszałkowatość przejawia się na niektórych stronicach. Lord Douglas podkreśla wprawdzie na każdym kroku, że jest już stary i że stojąc na progu grobu chce powiedzieć wszystko, co o sobie myśli, lecz wpada miejscami w taki zachwyt nad samym sobą, że jako jedyny efekt wywołuje już tylko pobłaźliwy uśmiech na ustach czytelnika.

W jakimś entuzjzm wpada pisząc o swoich własnych utworach literackich. Jak często i z jaką lubością cytuje swoje wiersze, chociaż wszystkie ukazały się już w wydaniu książkowym a przedtem na lamach szeregu pism literackich. Z jaką dumą mówi o swoim rozwodzie, na który składają się dwie najwybitniejsze szkockie i angielskie rodziny. Potępiając angielską małostkowość i hipokryzję, z dumą podkreśla swoje szkockie (po kądzieli) pochodzenie.

Jest coś wzruszająco dziecinnego w tym, co pisze o swojej urodzie. Ohurza się jednak gwałtownie na Franka Harrisa, który w swojej książce, p. t. „Oscar Wilde. Spowiedź życia“, pisze, że uroda Douglasa była dziewczęca.

Przytacza cały szereg dowodów swojej odwagi cywilnej, wlicza sporty, które uprawiał. Szczęści się tym, że gdy mając lat 27 był wraz z matką w Monte Carlo nie chciano go wpuścić do kasyna gry, twierdząc, że dla młodzieży wstęp wzbroniony. Dopiero matka moja — pisze — musiała osobiście zapewnić dyrektora, że jestem 27-letnim mężczyzną. Dyrektor wzruszył ramionami i oświadczył, że ma 16-letniego syna, który wygląda już znacznie poważniej.

Porównywuje się często z bohaterem najpiękniejszej książki Wilde'a Dorianem Gray'em. Twierdzi, że posiadał do 40-tego roku życia, podobnie jak bohater Wilde'a dar wiecznej młodości, i że często dla zabawy podawał się za młodego chłopca. — Jeżeli spędziłem tylko kilka dni w górach, na polowaniu lub na wycieczce, mogłem do mojego 40-go roku życia, nie zwracając na siebie najmniejszej uwagi, włożyć czapkę szkolną i zmieszać się z tłumem uczniów — pisze.

Walczy uparcie z poglądami jakoby Wilde miał jakikolwiek wpływ na jego twórczość literacką. Posuwa się nawet do twierdzenia, że to on raczej miał wpływ na twórczość Wilde'a. Twierdzi, — że pisząc swoją słynną „Balladę o więzieniu w Raeding“ Wilde „zadużył się u niego“. Podaje przy tym następujący przykład: Po wyjściu z więzienia Wilde zamieszkał z Douglasem w niewielkiej willi w Wenecji i tam pracował nad wykończeniem i przygotowaniem do druku swojej ballady. Douglas pokazał mu jakoby w owym jeden ze swoich sonetów, pisanych podczas pobytu Wilde'a w więzieniu, który zawierał następującą strofę:

*Into the dreadful town through iron doors
By empty stairs and barren corridors...*

Wilde, zdaniem Douglasa tak przejął się tym sonetem, że strofa:

That night the empty corridors...

którą odnajdujemy w jego balladzie jest plagiatem z utworu Douglasa, za który to plagiat Wilde podobno nawet go przeproszał.

Ciekawa jest podana przez Douglasa wersja tłumaczenia angielskiego słynnej sztuki Wilde'a „Salome“.

Wilde napisał tę sztukę jak wiadomo po francusku, przy czym korzystał z przyjacielskiej pomocy André Gide'a i Pierre Louysa, ponieważ nie znalazł w tym czasie jeszcze dostatecznie francuskiego.

Douglas zajął się jej przekładem na angielski, któremu, jak twierdzi, poświęcił wiele czasu i starań. Wilde'owi jednak tłumaczenie się nie podobało i powierzył je Aubrey'owi Beardsley. Lecz i ten przekład nie przypadł autorowi do gustu, zwrócił się więc do Douglasa i zastrzegł sobie prawo poczynienia w jego przekładzie szeregu przeróbek, na co ten się zgodził.

— Przekład angielski „Salome“, na którym figuruje moje nazwisko, jako tłumacza, nie jest więc moim przekładem — pisze Lord Douglas — gdyż Wilde kompletnie go przerobił, a moje pierwotne tłumaczenie było oczywiście... znacznie lepsze.

Trudno zakończyć omówienie tej książki, by nie wspomnieć o licznych zarzutach natury finansowej, które stawiali sobie Wilde i Douglas.

Wilde po odsiedzeniu swojej dwuletniej kary więziennej, zamieszkał we Francji i żył wyłącznie z tego co dawali mu jego przyjaciele. W listach, które pisał w owym czasie do Anglii skarżył się stale, że „Bosic“ (Douglas), nie daje mu ani grosza, że umiera z głodu itd. Lord Douglas gorąco broni się przed tymi zarzutami. Przytacza dowody (wyciągi z ksiąg handlowych banku) na to, że stale posyłał Wilde'owi czeki na różne sumy.

Przysięga, że za każdym pohytem w Paryżu zostawiał mu setki a często i tysiące franków i że wie, że jednocześnie Robert Ross i inni przyjaciele również zapopatrywali Wilde'a w gotówkę. Czuje się tak głęboko dotknięty tym zarzutem (który potwierdza zresztą André Gide w swojej książce o Wilde'iu), że posuwa się do zarzucenia Wilde'owi zachłanności i małostkowości. Twierdzi, że Wilde zarówno do niego, jak i do swoich przyjaciół, stale pisał w przesadnych słowach o swojej nieistniejącej nędzy, by wywołać w nich litość i wymusić na nich większe sumy. Niestety, jednak wszystkie listy, które otrzymał wtedy od Wilde'a spalił w przystępnie wielkiej złości.

W swojej „wiecznej walce z duchami przyszłości, w wiecznej pogoni za oszczercami i plotkarzami, która doprowadza go do stanów chorobliwych i wywołuje w nim szereg manii przesładowczych Lord Douglas zawędruje wreszcie pod skrzydła ko-

Kamienie żółciowe

powstają stopniowo wskutek zlego funkcjonowania wątroby. Wątroba jest filtrem dla krwi. Zanieczyszczona krew może powodować szereg rozmaitych dolegliwości (ból artretyczny, łamanie w kościach, ból głowy, podenerwowanie, bezsenność, wzdęcia, odbijania, ból w wątrobie, niesmak w ustach, brak apetytu, swędzenie skóry, skłonność do obstrukcyjnych i wyrzuty na skórę, skłonność do tyficy, mdłości, język obłożony). Choroby złej przemiany materii niszczą organizm i przyspieszają starość. Racjonalną, zgodną

z naturą kuracją jest normowanie czynności wątroby i nerek. Przeszło dwudziestoletnie doświadczenie wykazało, że w chorobach na tle złej przemiany materii, chronicznego zaparcia, kamieniach żółciowych, żółtacze, otyłości, artretyzmie mają zastosowanie zioła lecznicze „Cholekinaza“ H. Niemojewskiego. Broszury bezpłatnie wysyła: Laboratorium fizjologiczno-chemiczne „CHOLEKINAZA“ H. NIEMOJEWSKIEGO Warszawa, Nowy Świat Nr. 5, oraz apteki i składy apteczne.

ściola katolickiego, by tam znaleźć pociechę. Od tej chwili rzuca się jednak z jeszcze większą żarliwością w wir walk polemicznych i procesów, gdyż z właściwym sobie fanatyzmem zaczyna święcie wierzyć w nadprzyrodzone siły, które pomagają mu w jego rozgrywkach i chronią go przed porażką. Píše więc, że mały chłopiec, który po długich poszukiwaniach wskazał mu drogę do jakiegoś bardzo ważnego świadka do jednego z procesów był na pewno aniołem itp.

Lecz po kilku latach wiara słabnie i z gorczycą píše w swoim pamiętniku, że już dzisiaj nie jest takim gorącym katolikiem, jak przed laty.

Wszystko wymyka mu się z rąk. Najbliższa istota, wiara... Samotny, opuszczony przez wszystkich, bez majątku, przyjaciół i rodziny pozostał sam ze swoimi wspomnieniami, w których mimo burliwości całego swego późniejszego życia, dominuje jednak i przerasta wszystko tamta pierwsza, jakże fatalna dłoń... przeklęta przyjaźń.

Jan Karen

**SILNE LOTNICTWO
TO POTĘGA POLSKI**

Z SALONU LUBELSKIEGO 1939



Józef Dutkiewicz (Lublin)

„Portret syna”



Władysław Filipiak (Lublin)

„Studium portretowe”

M N E M E

Kiedys w przejeździe z Kresów do Warszawy zatrzymałem się w Wilnie, aby memu bratu przyrodniemu prof. Un. S. B. drowi R. R. zdać sprawę ze stanu jego posiadłości, jako że byłem wtedy pełnomocnikiem do tych spraw gospodarskich mego rodzeństwa.

W mieszkaniu jego na Pobulance komunikowano mi, że brat mój z powodu wyjazdu żony i córki na wakacje na Pomorze przeniósł się chwilowo do założonego przez siebie szpitala psychiatrycznego na Antokolu. Jadę tam. Odźwierny nie bardzo chce mnie wpuszczać do otaczającego klinikę, czy szpital ogrodu, wreszcie — przypatrzawszy się bliżej mojej fizjonomii (nic a nic nie byliśmy podobni do siebie!) decyduje, że może rzeczywiście jestem bratem profesora — i furtę otwiera. Śmiało wkraczam (pod wpływem nieprzespanej nocy) w obszar tematów Goyi i Würtza — i od razu przystawia się do mnie w ubraniu szpitalnym jakiś niezszyty obłąkaniec z błaganiem, abym obejrzał mu oczy, gdyż bardzo cierpi na nie. Próżno usiłuję mu wytłumaczyć, że nie jestem lekarzem ani okulistą, obłąkaniec z uporem drepce koło mnie, nachalnie żądając obejrzenia jego dziwnych błyszczących oczu, tak że nawet łapie mnie za rękę, chcąc przytrzymać na miejscu i zmusić do takiej medycznej porady. W ten sposób podchodzimy do pawilonu szpitalnego; spostrzegam mego brata w oknie, w białiznie, który na mój widok coś wykrzyknął mocno i — nie trafiając w rękawy — ładuje się z pośpiechem w piżamę czy szlafrok... Po chwili człowiek przeszedł sześćdziesięcioletni — mój brat — klusem wybiega do mnie i zamiast paść mi na szyję, czy też wykonać jakikolwiek inny zabieg powitania braterskiego, łapie towarzyszącego mi od furty swego pacjenta za rękę i momentalnie obezwładnia. Jest przy tym zci najgodniejszy doktor, profesor i dyrektor w jednej postaci tak nagle bledy jak ten papier, na którym to piszę w tej chwili... Okazuje się, że mój łagodny towarzysz podróży mojej od furty do pawilonu jest zawodowym maniakiem-mordercą. Ludzi obcych z poza szpitala, a wyższych od niego wzrostem prosi o obejrzenie oczu czy głowy, aby w pewnej chwili złapać ich za gardło i dusić całą mocą oszalałych do mordu rąk... Jednym słowem na powitanie zostałem przez brata ocalony od śmierci czy kalectwa i dowiedziałem się, jak niebezpiecznie jest przebywać w szpitalu dla obłąkanych człowiekowi obcemu. Więc zamiast witaj mi! — usłyszałem od braciszka — „Kto cię tu wpuszczał do diabła?“ — co oczywiście nie było zupełnie eleganckie i uprzejme, jeżeli pominiemy towarzyszące tej sprawie okoliczności...

W pół godziny potem, gdyśmy u Sztrala pili ranną kawę, pytałem bardzo mi drogiego ś. p. brata, wskazując na jego blizny na czole, nosie, obu rękach (od zębów wariatek) czy nie ma już dosyć tej krwawej i strasznej służby chorej ludzkości, tego zaparcia się nawet jakiegokolwiek obrony przed szaleńcem, poświęcenia dla nieuleczalnych, bezpowrotnie od-

ciętych od życia? Odpowiedział ze swoim znacnym uśmiechem krótko „nie!“, lecz wskazał jednocześnie na wchodzącego do cukierni znakomitego plotkarza i intryganta politycznego — „ten jest hardziej niebezpieczny i nieuleczalny na pewno“. Niedoszły mój dusiciel w parę dni uspokoił się jakoś trzymany w łóżku, odwiedziłem go w pokoiku jego pod opieką brata, oczy miał zupełnie inne, jakieś przygasłe, smutne, — wyciągnął do mnie drżącą bardzo, widocznie ze znużenia atakiem, chudą rękę i patrzył we mnie strasznie pocieszenie i biednie. Okazało się, że to człowiek z dużym wykształceniem, z bogatymi przeżyciami, wytworny inteligent i duch artystyczny, co pewien czas „dusi zmore“ — jakąś błakającą się kolo niego, walczy z widmem jakiegoś tragicznego wypadku czy sceny, naprawdę przeszedł przez coś tragicznego czy potwornego. Nie zapomnę nigdy jego słodkiego, zupełnie dzieciniego uśmiechu przy pożegnaniu do mnie i do mego brata. Oczywiście — nie wiem, kto to był... Tajemnica szpitala i brata. To oczywiście nie zmienia ani sensu, ani treści tej mojej przypadkowej zupełnie „wycieczki w nieznaną“ czy w niepoznawalną, bo do roztropności ludzkiej wychodzącej z założen doświadczenia przybył tylko jeden, maleńki przypadek... Ten, dzięki któremu u ludzi genialnych zjawia się motyw „Upiorów“ Ibsena, obłąkaniec w „Dziadach“ Mickiewicza i cały szereg innych typów i bohaterów literatury, gdzie naj-

SALON LUBELSKI 1939



Czesław Stefański

„Ghetto II“

mieszczęśliwszy ze wszystkich chorych ludzi odpowiada tragicznie za wszystkie błędy świata i życia.

Człowiek, który ciągle chce odbiegać od przyrody, uważając siebie za wyjątkowo wybraną (do panowania) istotą na ziemi, nie bardzo się orientuje, że w nim mogą się budzić w chwilach zaćmienia świadomości i samowiedzy wszelkie instynkty antenatów, od epoki jurajskiej nawet genealogię swą wywodzące. Grecy, którzy wyprowadzili ród ludzki z wysianych przez Deukaliona zębów smoczych i twierdzili, że zemsta jest rozkoszą bogów, a gniew i złość zaczynem twórczości, — nie mieli, zdaje się, wątpliwości ile „nadzianego siarką bydłęcia“ (z legend o smoku wawelskim) siedzi w każdym człowieku. Do walki ze sobą samym namawiał łagodnie Sokrates po rozpoznaniu szczegółowym własnych ruchów i odruchów. Bajecznie ciekawa jest ta platońska próba wyznaczenia przez człowieka praw i urzędów w sobie dla samego siebie.

Chyba tylko z tej pracy — z etosu — mogło powstać późniejszego pokolenia zdanie, że „c a n d i d a p a x h o m i n e s t r u x d e c e t i r a f e r a s“, które jest raczej wyrazem dystynkcji i wyrobienia politycznego, niż odruchem natury. Symbol to raczej flegmy zdobywców świata...

Tak jak dentysta rzadko bywa zadowolony z garnituru zębów pacjenta, tak podobnie psychiatrzy z całym spokojem wietrzą w każdym człowieku braki, czy błędy psychiczne. Kilka razy zgłaszał się do mnie pewien profesor psychologii, będący sylwetką psychiczną Prusa, z prośbą o szczegóły wspólnego pobytu z „Dziadkiem“ w Szwajcarii. W indygnacjach jego (zresztą bardzo znacznych) zwietrzyłem jednak poszukiwanie defektów, a nie ładów. Jest to zresztą zrozumiałe fachowo. Gorzej jest, gdy się twórczość ludzką opiera całkowicie na braku, czy nawet chorobach, więc Juliusz Cezar dlatego został „Cezarem“, że był epileptykiem. Napoleona rak prowadził pod Borodino, Goethe był chronicznie pijakiem itd.

Freud doprowadził te przypuszczenia — nie tworząc jednak żadnej teorii — do apogeum i curiosum. Za to prof. Alexis Carrel („Człowiek istota nieznaną“) broni twórczości człowieka normalnego, bez defektów, i próbuje nawet wprowadzić teorię zdrowia psychicznego am tle podstaw higieny moralnej. Trudno się nie zgodzić z profesorem, że nadmiar psychozy we współczesnych społeczeństwach ludzkich jest rezultatem nie ewolucji ludzkiego gatunku, a jego twardej i krwawej walki o byt. Prof. Carrel próbuje wytłumaczyć nią prawie wszelkie zbrocenia.

W tej „nieznanej istocie“, jaką był ów pacjent mego brata w klinice na Antokolu był i zły człowiek (ale nigdy popularne „zwierzę“, bo zwierzę jest lepsze) i człowiek dobry, zależało to od jakichś nieznanych dotychczas fizycznych konstelacji w firmamencie mózgu centralnego. Zapewne ze złego człowieka w tym jego potwornym, mściwym odruchu duszenia stworzyła złość ludzka, dobrego — dobre i pogodne przyżycia kulturalne. Toteż — zaiste — wielką słonecznie jest droga psychiatrów,
Dokończenie na str. 647



Kościół w Serocku. „Tygodnik Ilustrowany 1871”

PRZY POPIELATEJ WSTĘDZE AUTOSTRADY

7. Rzecz o Serocku i Pułtusk

Wśród dobrych dróg wyjazdowych z Warszawy, jedna z nich, wyłożona kostką, prowadzi przez Jabłonkę i Legionowo do Serocka, gdzie się urywa i przechodzi w zwyczajną rozbitą szosę.

Droga do Jabłonki to stara i dobrze znana trasa wycieczkowa i wszystkim zapewne jeśli nie zwidzenia, to ze słyszenia lub z druku znane są jej zabytkowe atrakcje, jak dwór niegdyś Mostowskich w Tarchominie, jak tamże gotycki kościółek, jak wreszcie pałac w Jabłonnie, własność Hr. Potockich, niegdyś księcia Józefa Poniatowskiego, zbudowany dla prymasa Michała Poniatowskiego przez architekta królewskiego, Merliniego.

Serock — to starożytna osada, znana już w wieku XII, położona malowniczo na zboczach wzgórza nad brzegiem Narwi, niedaleko jej zlewu z Bugiem. Napoleon I oceniając strategiczne znaczenie położenia Serocka włączył go do projektowanego trójkąta fortei Modlin — Serock — Praga. Rozpoczęte za Księstwa Warszawskiego umocnienia serockie odegrały pewną rolę w wojnie z Austrią w roku 1809.

Serock dzisiejszy to sennie, skromne miasteczko o kilku ulicach prostopadłych do autostrady z rynkiem brzydkim i pułym. Jedyłą atrakcją Serocka jest kościół.

Kościół w Serocku położony w przeciętnym miejscu, z którego doprawdy roztacza się piękny widok na dolinę rzeki, został wzniesiony w wieku XVI przez ostatnich książąt Mazowieckich, Janusza i Stanisława. Wykazuje on w swej strukturze, a zwłaszcza w zachowanych sklepieniach, charakterystyczne cechy późnego gotyku mazowieckiego. Zdobiące front i rogi ściany szczytowej wąskie baszty — to specjalna cecha nielicznej grupy kościołów mazowieckich. Oprócz Serocka mają takie baszty kościoły w Piasecznie i Zakroczymiu. Reprodukowany tutaj drzewo-

ryt kościoła w Serocku podał wraz z opisem Tygodnik Ilustrowany w roku 1871 (Nr 191).

Piękne położenie Serocka na wysokim brzegu Narwi zostało w ostatnich latach ocenione. Ma w Serocku letnią rezydencję jeden z bardzo cenionych malarzy. Opodal Serocka, przy hocznej drodze, malowniczo rozłożone nad pięknie zadrzewionym brzegiem rzeki letnisko Jadwisin pełne drewnianych domków campingowych i z drewnianą werandą spełniającą rolę restauracji. Prowizoryczność urządzeń wynagradza las, rzeka i — brak kolei, w tym wypadku błogosławiony. Rolę plaży spełnia w Jadwisinie piaszczysta wyspa na Narwi. Na wyspie są krzaki, w których można włożyć kostium. Oprócz tego przy restauracji jest podobno jakaś szatnia. Tubylecy zamieszkujący domki campingowe wychodzą z nich w płaszczech kąpielowych i krzaków nie potrzebują. Poczciwy wyrostek dziurawą łodzią przewozi na wyspę, można też popłynąć w pław, bo akurat w tym miejscu rzeka jest głęboka. Jest i kulawy pomost, na który ostrożnie wchodzić trzeba, żeby się razem z nim w ton Narwi nie zapaść. Są i kajaki, na pozór nieszczególnie, ale widziałem jednego znakomitego — wcale nie sportowca — tylko bibliografa, chlubę nauki polskiej, który wszedł do takiego kajaka (z żoną) — i oboje żyją. Kobiety na plaży jadwisinskiej dzielą się jak wszędzie, na kobiety normalne i kobiety plażowe.

Kobieta normalna w pojęciu niżej opisanego jest to taka osoba płci żeńskiej, która leży lub siedzi na piasku w pozie dowolnej i kąpie się, jak chce i kiedy chce. Kobieta plażowa kładzie się gładko na piasku grzbietem do góry zsunawszy kostium i natarta tłuszczami (a obchodzi ją ostrożnie, żeby Broń Boże nie zawadzić i nie zetrzeć) leży długo bez ruchu, jak

martwa, żeby się równo opalało: kąpie się mało i z widocznym wstrętem do wody a obawą o włosy. Otóż w Jadwisinie ze względu na złe warunki „równego” opalania ilość kobiet normalnych przewyższa ilość kobiet plażowych, co oby było ku uwadze zwolennikom kobiet normalnych.

O 20 km. od Serocka, w którym kończy się autostrada, leży Pułtusk, miasto pełne zabytków i tętniące echemi świetnej przeszłości. Starożytna ta osada, najdalej na wschód wysunięta strażnica płockiego Mazowsza, często napadana przez Prusaków i Jadźwingów, stała się z czasem punktem wymiany płodów żywności ziemniaczanej na produkty leśnego przemysłu puszczy zanarwiańskich. Od XII wieku Pułtusk należy do biskupów płockich, którzy w początku XVI wieku uzyskali tytuł książąt pułtuskich; był więc Pułtusk jakby analogią do Łowicza, należącego do arcybiskupów gnieźnieńskich i książąt łowickich zarazem. Pułtusk położony na wyspie wśród wód Narwi od początku posiadał uwarunkowane owalnym kształtem wyspy rozplanowanie. Dłuższą oś podłużnego rynku wyznaczają dwie wieże, ratuszowa i dzwonnica kolegiaty.

W przedłużeniu osi leży z jednej strony kolegiata, z drugiej na szczycie nasypu — zamek. Wieża ratusza wzniesionego w wieku XV zachowała się bez poważniejszych zmian, sam ratusz nie dotrwał do naszych czasów. Dzwonnica kolegiaty pierwotna w wieku XVI nie istnieje. Obecna w tym samym miejscu, klasycystyczna, pochodzi z końca XVIII wieku. Pułtusk, kilkusetletnia rezydencja biskupów płockich, przywodzi na myśl szereg wspomnień, związanych z postaciami wybitnych biskupów, głoszących w dziedzinie polityki czy kultury, jak humaniści Ciołek, Krzycki, Myszkowski, czy jak epigoni dawnej Rzeczypospolitej tak zasłużeni



Dzwonnica kolegiaty w Pultusku

dla jej kultury Żalusczy, czy jak tak blisko związany z niedaleką Warszawą, późniejszy przymas, Poniatowski.

Bez przesady powiedzieć można, że Pultusk w porównaniu z innymi małymi miastami jest pełen zabytków. Ma zamek, rezydencję biskupów płockich, niegdyś drewniany, od wikt XVI murowany, wielokrotnie rozszerzany i przebudowywany. Miał niegdyś mury miejskie w wieku XVI wybudowane, z których zachowała się jeszcze jedna wieża. Istniało niegdyś w Pultusku sławne jezuićkie kolegium, założone w wieku XVI przez biskupa Noskowskiego. W zakładzie tym nau czali sławny później kaznodzieja, ks. Piotr Skarga i tłumacz biblii, ks. Wujek. Tu uczył się poeta Maciej Sarbiewski, Andrzej Batory biskup Warmiński, kanclerz Jerzy Ossoliński. Należący do kolegium Jezuitów kościół, przebudowany po pożarze w wieku XVII a ozdobiony w XVIII dwoma wieżami, dzierżyli po kasacie Jezuitów Bernardyni. W wieku XVII kasztelan warszawski, Wojciech Wessel, ufundował w Pultusku kościół i klasztor Reformatów; w klasztorze jest dzisiaj więzienie, co jest zresztą rzeczą normalną, bo do tego celu najłatwiej było zaadaptować właśnie stary klasztor. Obszerny rynek pultuski zachował cały szereg niezłe zachowanych kamienic klasycystycznych z początku XIX wieku.

Najcenniejszym zabytkiem Pultuska jest kolegiata. Wzniesiona w pierwszej połowie XV wieku jako bazylika gotycka z pulapem drewnianym nad nawą główną, była w tym okresie na Mazowszu rzadkim przykładem tej architektury, bo jakkolwiek nakrywanie nawy głównej stropem na ziemiach polskich wywodziło się ze starej tradycji, to jednak na Mazowszu znakomita większość gotyckich kościołów pulapowych wzniesiona została w wieku XVI, jako kościoły w Szczepankowie, Wąsoszy, Niedźwiadnej, Brochowie, Zakroczymiu, Makowie. Gotycką kolegiatę pultuską zbudował biskup Giżycki, który w Pultusku budował także szpital (istniejący lecz przebudowany). Był to wybitny pasterz i polityk, który na Ma-

zowszu sprawował rządy w imieniu małoletnich książąt i bronił niezależności Mazowsza przed zamiarami Kazimierza Jagiellończyka. W wieku XVI, za pontyfikatu biskupa Noskowskiego, pod kierunkiem budowniczego Włocha, Jana Baptysty, dokonano przebudowy kolegiaty, przykrywając ją zdobnym kasetonami beczkowym sklepieniem wspartym na wbudowanych wewnątrz nawy wielkich arkadach z dekoracyjnym pasem małych arkadek między gzymsem a kasetonami. Waga tej przebudowy wnętrza leży w tym, że jest to najpiękniejszy przykład całej grupy kościołów mazowieckich pierwotnie gotyckich, w podobny sposób przebudowanych. Do grupy tej należą kościoły w Chróślińcu, Ciekosynie, Broku i Brochowie. W podobny sposób przebudowano też nieistniejący dziś kościół św. Jerzego w Warszawie. W tymże okresie dobudowano do kościoła kaplicę grobową przeznaczoną dla biskupa Noskowskiego.

Kaplica ta zarówno w ogólnym kształcie, jak podziale ścian i wyglądzie grobowca naśladuje kaplicę Jagiellońską na Wawelu, która była jej pierwowzorem. Replik kaplicy Zygmuntowskiej na ziemiach naszych jest bardzo dużo, kaplica Noskowskiego jest jedną z najwcześniejszych a najwcześniejszą na Mazowszu. Kaplica została ozdobiona niedawno odkrytą i odrestaurowaną polichromią o ciekawym przejściowym traktowaniu, wykazującym cechy zarówno gotyckie, jak i renesansowe. Kolegiata, jak i polichromia kaplicy Noskowskiego posiadają cenne opracowania monograficzne (vide: Chyczewski J. Malowidła ściennie z połowy XVI wieku odkryte w kaplicy grobowej biskupa Andrzeja Noskowskiego przy kolegiacie w Pultusku. Biuletyn historii sztuki i kultury. Rok IV. 1935. Nr. 1 — oraz tenże: Kolegiata pultuska na tle kościelnego budownictwa mazowieckiego XV i XVI wieku. Warszawa 1936. Prace z historii sztuki wydawane przez T-wo Naukowe Warszawskie).

Na pocieszenie ewentualnych turystów zużożonych zwiedzaniem oznajmiam tym, którzy jeszcze nie zdążyli utonąć w



Pultusk. Wieża ratuszowa

jakięś brudnej dziurze w rynku, że nie w rynku a w hotelu Victoria jest prawdziwa cukiernia, nawet trochę zabytkowa. Ma żelazne stoliki z marmurowymi blatami, autentyczne lody, ciastka jak Bóg przykazał i białą kawę (płyn najbardziej godny polecenia na prowincji bez wodociągu, gdzie smak czarnej czy herbaty zależy od studni lub ostatniego deszczu). W cukierni pultuskiej ze szczytu wyniosłego staroświeckiego kredensu patrzy się melancholijnie trzy gipsowe główki z uczesaniem z zeszłego stulecia, pomalowane na zielono. Brak tylko pluszowej kanapki z frendzelkami, a czuły się turysto w cukierni pultuskiej, jak w warszawskiej przed pół wiekiem.

O Pultusku wydał dziełko Hipolit Gawarecki (Wiadomość historyczna miasta Pultuska. W-wa 1826). „Tygodnik Ilustrowany” pisał o Pultusku w latach 1860, 1865, 1867.

Z y g m u n t M a n n

Pultusk

Domy w rynku



M N E M E

Początek na str. 644

rzeczywistych psychologów, w ich opiece nad chorym mózgiem ludzkim, aby poznać istotę psychiki i umieć jej pomóc w walce ze swymi odruchami wstecznymi, — ale trzeba mieć do tego duszę samemu, bodajże pierwszej klasy!

Zapewne — zbadane i dowiedzione defekty i braki psychiczne dużo mogą powiedzieć w sprawie psychiki danego człowieka. ale pewną odmianę swego gatunku (przyr. varietas), słuszniej jest (szczególniej w literaturze) rozpatrywać właśnie tak sumarycznie czy syntetycznie jako całość przyrodniczą czy przyrodzoną.

Że wezmę dla przykładu np. Oskara Wilde... Co ma właściwie jego praca literacka wspólnego z jego nie bardzo ciekawym życiem codziennym — i czy właściwie analiza jego życia tłumaczy w jakikolwiek sposób sprawę jego wesołych i pogodnych paradoksów myślowych? Twórca bohatera pozytywizmu angielskiego Robinsona Kruzoe — Daniel Defoe był skończonym łapserdakiem i pijakiem, więc czy możliwe, aby dość duża dokładność przyrodnicza i geograficzna była darem tylko knajpy? Co winien Edgar Poe, że musiał skończyć w szynku, a nie w luksusowym szpitalu i co to ma wspólnego z jego rzeczywistą genialnością w szukaniu węzłów ludzkiego życia itd itd.

Czy jesteśmy zupełnie pewni, że w tworzyw białej kultury europejskiej nie brali udziału paranoicy lub maniacy, bo przecież tyle w niej jest rzeczy zupełnie niezrozumiałych, chociażby ten dziurawy „polityczny“ stosunek do bliźniego innej barwy, albo układ społeczny oparty więcej o nieuwagę niż o miłość?...

Kiedyś w parę lat potem minął mnie na Krakowskim jakiś elegancki, szpakowaty pan o ślicznym, słodkim i szlachetnym wyrazie twarzy... Uderzyliśmy się oczyma i przelecieliśmy koło siebie jak ptaki nad morzem... Co za złudzenie, czyżby to ten z Antokola?... Ale to było tylko złudzenie!

Konrad Chmielewski

SKŁADAJCIE OFIARY
NA F. O. M.

Ułatwiają sprzedaż

na terenie części COP
ogłoszenia pomieszczone w dzienniku

„Express Lubelski i Wołyński“

XVII rok wydawnictwa.
Najwyższy nakład na terenie
Województwa:
Lubelskiego i Wołyńskiego.

Lublin, Kościuszki 8, tel. 23-60.

NOWOCZESNY SAMOCHÓD FIAT 1100



cieszący się największym powodzeniem w Polsce, dzięki ogromnym zaletom technicznym, dużej oszczędności w zużyciu paliwa i pięknej linii nadwozia.

Wieczór pieśni Jadwigi Borczowskiej

W ogródku letnim Sim'a odbył się wieczór pieśni Jadwigi Borczowskiej. Salon letni stolicy zapelniał się doborową publicznością (wielbiciele talentu p. Borczowskiej stawili się in gremio). P. Borczowska prócz pięknego głosu posiada tzw. „leżkę w głosie“ i to, co ma do powiedzenia a raczej do wyśpiewania wypowiada w sposób wzruszający. Dlatego piosenki w jej interpretacji zawsze się tak podobają, tyle w nich świeżych pomysłów, tyle życia, tyle porwy młodości! Toteż i tym razem oklaskiwano gorąco każdą piosenkę.



Bóle

artretyczne
reumatyczne
podagryczne

najwięcej dokuczają na zmianę pogody, w czasie zimna, słońca i niepogody. Nieznośnymi wtedy stają się bóle w stawach, kościach, mięśniach, powstają bolesne obrzęki, chodzenie, a nawet poruszanie się bywa utrudnione. Cierpienia te powstają skutkiem nagromadzenia się kwasu moczowego w ustroju i jeżeli nie będą racjonalnie zwalczane, będą się zwiększać, aż wreszcie na stałe przykuną do łóżka. W tych wypadkach stosuje się wewnętrzny lek „UREMOSAN“ GAŚCEKIEGO, który rozpuszczając kwas moczowy w organizmie, wywołuje obfite wydzielenie się takowego wraz z moczem i współdziała z ustrojem na walce jego z artretyzmem, reumatyzmem, podagrą, ischiasem, kamcią nerkową oraz złą przemianą materii.

Oryginalny „UREMOSAN“ GAŚCEKIEGO do nabycia w aptekach.

LUKSUSOWY PENSJONAT

„KAZIMIERA“

w ANINIE, ul. Trzecia
Poprzeczna 12, woda
blejąca w każdym „pokoju
Wykwintna kuchnia — Ceny przystępne



XVIII Tydzień Społeczny Uniwersytetu Katolickiego w Lublinie

Od 18 lat odbywają się rok rocznie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, lub w innych uniwersytetach Polski, pod protektoratem Jego Eminencji Księdza Prymasa Polski, Tygodnie Społeczne Młodej Inteligencji Katolickiej. Są one kuźnią katolickiej myśli społecznej i terenem kształcenia metod pracy organizacyjnej. Tegoroczny Tydzień Społeczny odbędzie się w Lublinie w dniach od 23 — 27 sierpnia. Tematem tegorocznego Tygodnia jest:

„Ruch katolicko-społeczny wobec zagadnień życia współczesnego”. Temat ogólny został rozbity na trzy zagadnienia: I. Postawa katolika wobec życia społecznego; II. Analiza współczesnych ruchów katolicko-społecznych; III Analiza zagadnień społecznych we współczesnym życiu Polski.

Prelegentami są najwybitniejsi znawcy myśli katolickiej i problemów społecznych. Na tegorocznym Tygodniu referaty wygłoszą:

O. I. M. Bocheński O. P. — Rzym: Sprawiedliwość społeczna.

X. Prof. Dr Antoni Borowski — Warszawa: Sprawiedliwość społeczna w Q. A.

Mec. Dr Juliusz Braun — Sosnowiec: Stadia realizacji korporacjonizmu w Polsce.

Prorektor Dr Ignacy Czuma-Lublin: Zagadnienia polityki demograficznej w Polsce: a) problemy populacyjne, b) problemy narodowościowe.

Prof. Dr Konrad Górski — Wilno: O pierwiastkach wrogich katolicyzmowi.

Inż. Eugeniusz Kłoczowski — Bogdany: Ruchy ludowe w Polsce.

O. E. Kosibowicz T. J. — Warszawa: Katolicyzm wobec kultury i cywilizacji.

X. Rektor Dr K. Kowalski — Poznań: Odpowie-

dzialność moralna człowieka za strukturę i wady życia zbiorowego.

X. Kan. Wł. Krawczyk — Sandomierz: Rozwój katolickiej myśli społecznej.

Dyr. Artur E. Krawczyk — Lublin: Proletariat miejski i kwestia robotnicza.

Nacz. K. Malko — Lwów: Zagadnienie stanu średniego.

Dyr. Marian Mantuffel — Warszawa: Postawa katolicyzmu społecznego wobec współczesnych przemian społeczno-ideowych (fasyzm, bolszewizm, totalizm).

Mgr Eug. Myczka — Warszawa: Dochód społeczny w Polsce i jego podział.

Prof. Dr A. Niesiołowski — Łódź: O aktywnym i dynamicznym katolicyzmie.

Inż. L. Rościszewski — Kraków: Potrzeby i tendencje rozwojowe wsi polskiej.

Posel Bruno Sikorski — Poznań: Charakter struktury gospodarczej Polski (urbanizacja i uprzemysłowienie).

Stefan Turnau — Mikulice: Katolicki program ludowy i przebudowa ustroju rolnego.

Red. Mgr Konstanty Turowski — Kraków: Katolicki program rolniczy.

X. Prof. Dr Stefan Wyszyński—Wrocław: Współczesne ruchy katolickie społeczno-zawodowe w Europie, przyczyny ich rozwoju, upadku i próby odrodzenia.

Bezpośrednio po Tygodniu przewidziane są w dwóch dniach obrady Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”, organizatora Tygodni Sp.

Koszty utrzymania i mieszkania wynoszą 2.50 zł. za dobę. W podróży przewidziana jest 50% zniżka kolejowa. Wszelkich informacji udziela i zgłoszenia przyjmuje Komitet Org. Tygodnia — Lublin-Uniwersytet.



„MIECZ i SŁAWA”

We wtorek dnia 15 sierpnia o godz. 19.00 nadana zostanie pierwsza audycja z cyklu „Miecz i Sława”. Cykl ten realizowany przez różne rozgłośnie, poświęcony będzie wybitnym postaciom historycznym Polski. Tytuł tego cyklu zaczerpnięty jest z „Króla Ducha” Słowackiego („Ofiarą twoją miecz i sława”), a zadaniem jego będzie odtworzyć epopeę sławy oręża polskiego, przypomnieć rycerskie tradycje Polski i wielkich bohaterów narodowych.

Na cykl ten złożą się 14 audycji, z których każda ześrodkuje się na jednej postaci historycznej. W poszczególnych audycjach uwzględnione zostaną następujące postacie: Chrobry, Bolesław Śmiały, Krzywousty, Jagiello, Władysław Warnieńczyk, Stefan Batory, Chodkiewicz, Żółkiewski, Czarniecki, Sobieski, Kościuszko, Książę Józef, Dąbrowski i Piłsudski.

Tak więc w cyklu tych audycji ujęte zostanie w syntezę cała historia Polski w jej zasadniczych rysach, wszystkie trudności i burze dziejowe, wobec jakich stawiała Rzeczpospolita, wszystkie najpiękniejsze zrywy naszego ducha i naszego oręża.

Poszczególne audycje opracowywać będą wybitni historycy wraz z wybitnymi literatami. Znaństwo materiału historycznego oraz umotywowanie faktów źródłami historycznymi i ilustrowanie ich dokumentami — iść będzie w parze z wyobraźnią literacką, z formą artystyczną i starannie opracowanym językiem współczesnej epoki.



Wiele jest środków przeciwko hemoroidom. Wynik kuracji świadczy o zalecanych użytych środków. Czopki „Varicol” Gąseckiego stosuje się przy bólach hemoroidalnych: krwawieniu, swędzeniu, pieczeniu i innych objawach.

Przy zewnętrznych guzach hemoroidalnych stosuje się maść „Varicol”.

„Varicol” Gąseckiego nie zawiera szkodliwych składników.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAOKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50	kwartalnie	zł 19.—	kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	rocznie	zł 74.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—			Zmiana adresu	zł 0.50
rocznie	zł 66.—				
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztovej Kasy Oszczędności Nr 143

Redakcja nie zwraca niezamówionych rękopisów.

CENNIK OGŁOSZEŃ Str. 1/1 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/4 — 250 zł, 1/8 — 150 zł, 1/16 — 100 zł, — za szp. wierz. milimetry, lub jego miejsce PRZED I ZA TEKSTEM: 1,50 zł. Bilanse, artykuły pisane, układy telefoniczne, 1 str. składki i miejsce zamieszkania 50% drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P.K.O. 143.

Program Polskiego Radia

Od dn. 13 VIII do dn. 19 VIII. 1939

Niedziela — dn. 13.VIII

7.00: Audycja poranna. 9.00: Transmisja nabożeństwa z Piekar Wielkich na Śląsku. 11.40: Transmisja z Morszyna. 12.03: Poranek muzyczny. 13.00: Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego. 13.15: Muzyka obiadowa. 14.40: „Czytamy Mickiewicza” — „Pan Tadeusz” — Księga II. 15.00: Audycja dla wsi. 16.30: Sergiusz Rachmaninow: Trio d-moll op. 9. 17.15: „Kto odpowie”. 17.30: „Podwieczorek z ogródka” (ze Lwowa). 19.00: Teatr Wyobraźni — „Wojna 1914 r.”. 19.30: Orkiestra Filharmonii Londyńskiej i J. Szigeti — skrzypce. W przerwie o godz. 22.00 swecz „Wywczas”.

Poniedziałek — dn. 14.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.15: Audycja dla kupców. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Teatr Wyobraźni dla młodzieży „Kłimek Bachledda”. 15.15: Muzyka popularna z Łodzi. 16.20: Arie i pieśni (z Poznania). 16.45: Kronika naukowa: Nauki ekonomiczne. 17.00: Muzyka do tańca. 18.00: Recital fortepianowy Margerity Trombini-Kazuro. 18.30: Franciszek Schubert — Kwartet Es-Dur op. 125 Nr. 1 (z Łodzi). 19.00: Audycja strzelecka. 19.30: „Przy wieczery” (z Poznania). 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert solistów. 21.50: Echa mocy i chwaly. 22.00: Muzyka taneczna.

Wtorek — dn. 15.VIII

7.00: Audycja poranna. 7.05: Pieśni rycerskie i żołnierskie. 7.50: „Dzisiejsza rocznica” — gawęda dla wsi. 8.15: Pieśni ku czci Najświętszej Marii Panny (z Wilna). 8.30: Polskie marsze w wykonaniu Orkiestry Marynarki Wojennej. 9.00: Transmisja nabożeństwa. 12.03: Poranek muzyczny w wykonaniu Orkiestry Polskiego Radia. 13.00: Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego. 13.15: Muzyka obiadowa z Katowic. 14.45: Bohaterowie przestworzy: „Ponad dwoma ładami” — pogad. 15.00: Audycja dla wsi. 16.30: Miniatury kwartetowe (z Krakowa). 17.00: „Matka Boża w literaturze polskiej” — szkic. 17.15: Muzyka (plyty). 17.30: „Podwieczorek przy mikrofonie”. „Na święto żołnierza polskiego” transm. z przystani Poczтового Przysp. Wojsk. na Wiśle w Warszawie. 19.00: „Miecz i sława”. „Bolesław Chrobry” — audycja ze Lwowa. 19.45: Paderewski gra (plyty) 21.10: Muzyka taneczna ze Lwowa. W przerwie o godz. 21.50: „Żołnierz i dziewczyna”. wesola audycja.

Środa — dn. 16.III

6.30: Audycja poranna. 8.15: Pogadanka turystyczna. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Wszystkiego po trochu” — audycja dla dzieci. 15.15: „Koncert popularny. 15.20: Recital śpiewaczy Stani Zawadzkiej. 16.50: Lato: „Noc w starym lesie” — pogadanka. 17.00: Muzyka do tańca z dancingu „Paradis”. 18.00: Słynne symfonie. 18.50: „Echa mocy i chwaly”. 19.00: „Śląska pozytywka” — wesola audycja z Katowic. 19.30: „Przy wieczery” z Katowic. 20.10: Odczyt wojskowy.

20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert chopinowski w wyk. Nadziej Padlewskiej (z Poznania). 21.40: Nowości literackie z Krakowa. 22.00: Lekka muzyka węgierska (plyty).

Czwartek — dn. 17.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.20: Pogadanka sportowa. 12.03: Audycja południowa 14.45: Zagadka literacka ze Lwowa. 15.05: Muzyka popularna. 16.20: Utwory fletowe w wyk. Feliksa Tomaszewskiego (z Torunia). 17.00: Muzyka do tańca. 18.00: Opowieść o Schubercie — IV audycja z Poznania. 19.00: „Wielkie włóczęgi morskie”: „W kręgu legend i mgieł” fragmenty z legend średniowiecznych oraz pism Kolumba i Pigafetta. 19.20: Przy wieczery. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Muzyka dwufortepianowa w wyk. Ernő Szegedi i Marty Vasarhely (Węgry). 21.30: „Na polach popiołów” — sluchowisko poetyckie z Wilna. 22.00: Koncert w wyk. Rozgłośni wileńskiej.

Piątek — dn. 18.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.15: Kłopoty i rady: „Jak ukryć złobyty skarb” — audycja z Poznania. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Bohaterowie przestworzy: „Lot nad oceanem” — pogadanka. 15.00: Koncert popularny w wykonaniu Ork. Rozgl. Wileńskiej 16.20: Recital organowy Jana Kucharskiego. 16.45: Rozmowa z chorymi ks. Michała Rękaśa ze Lwowa. 17.00: Muzyka do tańca. 18.00: Recital śpiewaczy Anieli Szlemińskiej. 18.25: Kwartety Beethovena. 19.00: „Kipling, poeta brytyjskiego imperium” —

Kult Mickiewicza w Radio

Jest rzeczą nie ulegającą najmniejszej wątpliwości, że największą popularnością i sławą poetycką cieszy się w Polsce Mickiewicz. Nawet u ludu prostego, nawet wśród analfabetów, jest Mickiewicz synonimem poety, do tego stopnia potężna indywidualność zamieszkała w wyobraźni ludu polskiego, jako postać z oczyma wzniesionymi ponad dokolną pospolitą. Byłyby to rezultaty akcji, która od niespełna stu lat rozdaje bogaty pokarm duchowy, użycia głębi kultury płodnymi ziarnami treści doskonałej i upamiętnia w najrozmaitszy sposób każdy ślad bytności tej porcji i tej osobowości, której przeznaczeniem było stworzyć epokę. Wynikło to również z olbrzymiej siły dynamicznej, zdolnej do promieniowania na zbiorowość.

Jednakże, a przyznać tu trzeba, częściej i nas można się spotkać z oznakami nominalnego kultu, aniżeli z objawami praktycznego smakowania pokarmu i do dziś aktualnego dorobku twórczego Mickiewicza. Od czasu do czasu wystrzeli jakiś projekt lub nawet realizacja popularnego wydania dzieł zebranych, rzuci się na wieś lub prowincję parę pompacyjnych odczytów, ufunduje statuetkę lub kiepski pomnik, a w dalszym ciągu twórczość Poety jest przedmiotem seminaryjnej ana-

ZAKONNIKIEM PIGUŁKI REFORMACKIE

**STOSUJĄ SIĘ:
NAKO REGULUJĄCE ŻOŁĄDEK,
PRZY CIERPIENIACH WĄTROBY,
NADMIERNEJ OTYŁOŚCI,
UŚMIERZAJĄCE HEMOROIDY
I PRZY SKŁONNOŚCIACH
DO OBSTRUKCJI SĄ ŁAGODNYM
ŚRODKIEM PRZECZYSZCZAJĄCYM
UŻYCIE 1-2 PIGUŁKI NA NOC**



szkie. 19.20: Stany Zjednoczone jako teren polskiej ekspansji kulturalnej — pogadanka z Wilna. 19.30: Przy wieczery. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Ilustracje muzyczne do utworów scenicznych. 22.20: „Humanizm literatury francuskiej” — szkic literacki. 22.40: Recital skrzypcowy Zdzisława Roesnera (z Gdyni).

Sobota — dn. 19.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.15: Z mikrofonem przez Polskę: „Na odpuszc w Trokach”, montaż dźwiękowy. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Audycja dla dzieci: „Koszalki, opalki z radiowej kobiałki”. 15.15: Muzyka popularna w wykonaniu zespołu Związku Muzyków Chrześcijan. 16.20: Utwory fortepianowe w wykonaniu Władysława Kędry. 17.00: Muzyka do tańca z dancingu „Cafe Club”. 18.00: Koncert popularny — transmisja z Domu Żołnierza w Poznaniu. 19.00: „Przez siedem mórz do siedmiu wzgórz” — wesola powieść radiowa (ze Lwowa). 19.30: Audycja dla Polaków za granicą. 20.00: Melodie ziemi polskiej. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert z Międzynarodowej Wystawy Wodnej w Liège (Leodium). Transmisja z Brukseli. W przerwie o godz. 21.40 szkic literacki.

lży czy estetyzującej adoracji. Dotychczas jeszcze, nawet najtańsze wydania „Pana Tadeusza” jest mimo wszystko niedostępne dla włościanina i będzie tak zawsze dopóki po prostu nie obdarują się jak najszerzych rzesz tą narodową biblią.

Toteż z radością należy powitać inicjatywę Polskiego Radia, które organizując stały odcinek niedzielny p. n. „Czytamy Mickiewicza”, stworzyło w ten sposób pierwsze rzetelne i trwałe podwaliny we właściwy sposób pojętego kultu. Żywe słowo, język znakomity, bogaty i śpiewny wiersz, bliska treść, wydobyte i uwypuklone przez interpretację najlepszych sił aktorskich, rzuczone do najdalszych zakątków kraju, uczą podziwiać i kochać, rozumieć i cenić twórczość Wielkiego Poety. Dzięki temu nie tylko „książeczki zbladły pod strzechę” ale zawiła tam żywy strumień poczji, nieodparta siła uszlachetniającego wzruszenia i sugestywny urok wizji.

Czytany obecnie „Pan Tadeusz” nie tylko przemówi do każdego słuchacza całą skalą bogatych treści, ale jednocześnie w szeregu aktorskich interpretacji każdy słuchacz znajdzie niewątpliwie taką, która wywoła w nim najwyższy i najgłębszy oddźwięk.

„TYGODNIK ILLUSTROWANY”

Ostatnio w „TYGODNIKU ILLUSTROWANYM” zamieszczali swoje prace między innymi następujący pisarze, uczeni i publicyści:

Berent Wacław, Borowy Wacław, Boyé Edward, Chrzanowski Ignacy, Czachowski Kazimierz, Dąbrowska Maria, Essmanowski Stefan, Flukowski Stefan, Goetel Ferdynand, Gombrowicz Witold, Górka Olgierd, Grabowski Jan, Grzebieniowski Tadeusz, Horoszkiewicz R. W., Hollender Tadeusz, Hulewicz Witold, Huszcza-Winnicka H., Illakowiczówna Kazimiera, Irzykowski Karol, Iwaszkiewicz Jarosław, Kaden Bandrowski Juliusz, Kleiner Juliusz, Kondracki Michał, Kossak-Szczucka Z., Kubacki W., Laskowski-Hulka Paweł, Lechoń Jan, Lepcecki B., Lutosławski W., Makuszyński Kornel, Melcer Wanda, Mieszkowski J. T., Miller, Jan N., Morcinek Gustaw, Muszkowski Jan, Nowakowski Zygmunt, Ossendowski F. A., Parandowski Jan, Powlikowska Maria, Piwiński Leon, Połczyński Janta Aleks., Pomirowski Leon, Rogowicz Wacław, Rogoż Stanisław, Rudnicki Adolf, Rusinek Michał, Rytard Miecz., Schulz Bruno, Sieroszewski W., Skiński J. E., Smogorzewski K., Staff Leopold, Straszewicz Czesław, Stromenger Karol, Syruczek Wacław, Szemplińska Elżbieta, Szykowski M., Śliwiński Artur, Terlecki Tymon, Tuwim Julian, Wasylewaki Stanisław, Wierzyński Kazimierz, Wiktor Jan, Wittlin Józef, Wołoszynowski Julian, Zawistowski Władysław, Zrębowicz Roman.

NAOKOŁO ŚWIATA

bogato ilustrowany magazyn nowelistyczny, ukazujący się co miesiąc.

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA

przyniosła w latach ubiegłych obok autorów polskich, szereg utworów pisarzy tej miary, co Johan Boyer, Daniel-Rops, Fr. Mauriac, J. Andersen Nexö, Marta Ostensso, Mary Webb, J. Roth, Colette, G. Papini, Jo Van Ammers-Küller, W. B. Maxwell, W. Peteani i inni.

„Tygodnik Ilustrowany” wraz z dodatkami ma obecnie najtańszą prenumeratę zbiorową, gdyż tylko

za 6 zł miesięcznie (6.50 z dostarczeniem do domu), prenumeratorem TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO otrzyma co tydzień numer „Tygodnika Ilustrowanego”; co miesiąc 80-o str. zeszyt „Naokoło Świata” w wielobarwnej okładce i co miesiąc bliska 240-o stronicowy tom powieści polskiej lub tłumaczonej. KTÓREJ CENA KSIĘGARSKA WYNOŚI około 6—8 zł.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAOKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50			kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	kwartalnie	zł 19.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—			Zmiana adresu	zł 0.50
rocznie	zł 66.—	rocznie	zł 74.—		
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 143

CENNIK OGŁOSZEŃ Str. 1/1 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/4 — 250 zł, 1/8 — 150 zł, 1/16 100 zł. — za szp. wiersz. milimetrowy, lub jego miejsce PRZED i ZA TEKSTEM: 1,50 zł. Bilanse, artykuły opisowe, układy tabelaryczne, 1 str. okładki i miejsce zarezerwowane 50% drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P.K.O. 143

Opłata pocztowa opłacona ryczałtem.

Drukarnia Krajowa — Warszawa, Chłodna 44, tel. 5-88-70



TYGODNIK

ILLUSTROWANY

Nr. 34

20 Sierpnia 1939

Cena 1 zł.

Wileńska Dywizja Piechoty Legionów Józefa Piłsudskiego w defiladzie przed Panem Prezydentem Rzplitej

W NUMERZE:

Janusz Kowalczuk:
NIEMCY ZRZUCIŁY MASKĘ

Wiesław Wohnout:
W GOŚCINIE U LITWINÓW

Aura Wyleżyńska:
SPADKOBIERCA DOBROCI:
JÓZEF MICKIEWICZ

Jan Maleszewski:
KWIATY POLSKIEGO
ROKOKA

Józef Mayer:
NAJBARWNIJSZE WYŚCIGI

Tola Korian:
PODRÓŻ NA POŁUDNIE
(rysunki Aleks. Żywa)

Mściław Wróblewski:
„POLESZUKIEM”
W GŁĄB AFRYKI

Wacław Syruczek:
TEATR

i in.



PRZED DOROCZNĄ WYSTAWĄ RADIOWĄ

Zbliża się już termin otwarcia Drugiej Dorocznej Wystawy Radiowej. Już w najbliższym czasie tereny wystawowe zaroją się tłumami zwiedzających. pociągi popularne z całej Polski zwożą tłumy entuzjastów radia, którzy zechcą zobaczyć obraz dorobku naszego w tej dziedzinie.

Druga Doroczna Wystawa Radiowa w plastycznym skrócie przedstawi nam rozwój stan obecny i zamierzenia na przyszłość radiofonii polskiej oraz przemysłu radiowego. Oprócz wspaniałych zdobyczy techniki dostępnych jedynie dla amatorów lub zawodowych techników znajdzie się na Dorocznej Wystawie Radiowej szereg prawdziwych atrakcyj, które zainteresować muszą dosłownie każdego.

A więc podobnie jak i w roku ubiegłym działać będzie publiczne studio Polskiego Radia. Ulubieńcy radiowi tak dobrze znani z fal eteru ukażą się tym razem radiosłuchaczom osobiście. Zwiedzający będą mogli uczestniczyć w ciekawych i wartościowych koncertach, transmitowanych z publicznego studia na całą Polskę.

Duże zainteresowanie wzbudzi niewątpliwie stoisko Polskiego Radia, które zapozna zwiedzających zarówno z osiągnięciami już dokonanymi, jak i z tymi, które zostaną zrealizowane w najbliższym czasie.

Stoisko Społecznego Komitetu Radiofonizacji Kraju przedstawi wartości społeczne osiągnięte za pomocą radia oraz stan nasycenia radiofonizacyjnego w Polsce. Znajdzie się tam również wzór idealnie zradiofonizowanej świetlicy, który wzbudzi niewątpliwie duże zainteresowanie działaczy społecznych i oświatowych.

Również krótkofalarstwo zaprezentuje się nam na Wystawie, uruchamiając krótkofalową stację nadawczą i odbiorczą.

Warto zaznaczyć, że na Wystawie dwa razy dziennie odbywać się będzie pokaz pierwszego filmu radiowego, który ukaże codzienną ciężką pracę ludzi radia.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Druga Doroczna Wystawa Radiowa stanie się największą atrakcją letnią zarówno stolicy jak i całej Polski. Ściągną na nią tłumnie ci wszyscy, którzy interesują się postępem techniki, którym nie obce są problemy radiotechniczne; ściągną wszyscy radiosłuchacze, którzy szukają w radio rozrywki i którzy będą pragnęli obejrzeć „kulisy radiofonii” i zerknąć się bezpośrednio ze swymi ulubieńcami z eteru. Ściągną wreszcie i ci, którzy rozumieją radio jako potężne narzędzie polityki społecznej i

kulturalnej i będą chcieli zapoznać się z nowymi formami użytkowania radia w tych dziedzinach.

Wystawa zostanie otwarta w sposób uroczysty dn. 26 sierpnia i trwać będzie do dn. 10 września. Podobnie jak w roku

ubiegłym odbędzie się Wystawa w gmachu Polskiej YMCA przy ul. Konopackiej 6. Jedynie teren Wystawy zostanie w tym roku rozszerzony, gdyż znajdzie się na nim znacznie więcej stoisk niż na Wystawie zeszłorocznej.

Polskie Radio a budowa boisk sportowych

W ostatnich dwóch latach działalność Referatu Sportowego Polskiego Radia ogranicza się do spraw programowych, w przeciwieństwie do lat poprzednich, kiedy to wspomniany referat równolegle z działalnością informacyjno-mikrofonową zajmował się organizowaniem i propagandą sportu w terenie. Do najbardziej udanych imprez w tej ostatniej dziedzinie należy zaliczyć kurs budowy kajaków, akcję rozdawnictwa sprzętu narciarskiego, zawody międzyzwojewódzkie w pływaniu i w biegach na przełaj, organizowanie masowych wycieczek kolarskich itp.

Obecnie mimo ograniczenia prac Referatu do prac programowych radio nie traci żywego kontaktu z akcją rozprzestrzeniania i propagowania sportu w Polsce. Przed paru tygodniami wspomnieliśmy o sukcesie propagandowych Warszawy II, o tysiącach ludzi, uczących się pływać na kursach propagowanych przez Rozgłośnie Warszawską. Obecnie poświęcimy trochę miejsca innej pozytywnej akcji, w której radio bierze czynny udział.

Wśród licznych listów nadchodzących do poradnika sportowego, redagowanego przez red. Włodarkiewicza, wiele zawiera zapytania w sprawie budowy boisk i urządzeń sportowych.

Ze względu na dużą liczbę tych zapytań Referat Sportowy Polskiego Radia porozumiał się z Państwowym Urzędem Wychowania Fizycznego, który udzielił swej jak najdalej idącej pomocy, pomagając przy opracowaniu planów.

Do autora zapytania w sprawie budowy bo-

isk sportowego wysyłany jest list z prośbą o dostarczenie szkicu placu, na którym ma być zbudowany ten nowy warsztat pracy sportowej. Na podstawie szkicu inż. specjalista z P. U. W. F. p. Tadeusz Kuchar opracowuje szczegółowy plan rozmieszczenia urządzeń sportowych i podaje wskazówki pozwalające na samodzielne wykonanie robot. Warto zaznaczyć, że pracę tę inż. Kuchar wykonywa zupełnie bezpłatnie.

W ciągu czterech lat na podstawie wskazówek uzyskanych przy pomocy Polskiego Radia wybudowano w Polsce 38 boisk, 27 kortów tenisowych. Najwięcej boisk wybudowały szkoły, bo przeszło 20. W akcji tej nie brak również klubów, jak R. K. S. Błachownia pod Częstochową, K. S. Lechia z Sulej Górną pod Cieszynom i Klub przy Zakładach Rafinerii Nafty w Libuszy. Według planów inż. Kuchara wybudowane zostało również boisko dla pracowników nadleśnictwa państwowego w Łobodnie. Wybudowanie tego boiska — jak pisał do radia p. nadleśniczy — pozwoliło na przeprowadzenie prób na Państwową Oznakę Sportową i w obecnej chwili wszystkie funkcjonariusze nadleśnictwa posiadają P. O. S. Również ciekawym przykładem rozprzestrzeniania się sportu jest fakt wybudowania boiska przy spółdzielni w Różance Pacowskiej w pow. szczytyńskim. Płock, Puławy, Tychy, Kolo, Wieliczka, Cieszyn, Krasnystaw — oto miejscowości, które własnymi siłami wybudowały boiska. Większość jednak boisk powstała w województwach południowych.

Triumfy artystyczne Paderewskiego

Z radiowego cyklu „Sławne koncerty”

W roku 1887 przeżył świat muzyczny Wiednia silną emocję artystyczną: pierwszy koncert Paderewskiego. Rozpoczął on okres wspaniałej, zawrotnej kariery 27 letniego wówczas artysty. Po Wiedniu przyszedł Paryż i Londyn, a wkrótce potem Ameryka Północna: New York i Chicago. Na obu półkulkach zabłysła gwiazda pierwszorzędnego wielkości. W dwa lata po pierwszym koncercie uważano Paderewskiego za „geniusza gry fortepianowej”. Każdy jego występ w Europie, czy Ameryce ścigał na sale koncertowe nieprzebrane tłumy, każde tournée koncertowe było pasmem nieopisanych triumfów.

Wielkiemu artyście składali hold najwyżsi do-

stojnicy państwa, koronowane głowy, dyplomaci, wielcy uczeni, najslawniejsi artyści i milionowe tłumy szarych słuchaczy.

Popularność artysty w Stanach Zjednoczonych była tak wielka, że utrzymanie incognito podczas podróży lub pobytu w najmniejszym choćby miasteczku stało się zgoła niemożliwe.

Dzisiaj Paderewski otoczony nimbem sławy, jest żywą legendą, pojęciem, oznaczającym najwyższy szczyt sztuki pianistycznej

W audycji radiowej — poniedziałek—21.VIII. o godz. 18.00 WL Henryk Opieński opowie radiosłuchaczom o triumfach artystycznych Paderewskiego. Będzie to audycja należąca do cyklu „Sławne koncerty”.

Radio na usługach straży pożarnej

W najbliższym czasie zostanie zradiofonizowana warszawska Straż Ogniowa. Wszystkie oddziały mają być zaopatrzone w radiowe stacje nadawczo-odbiorcze. Na razie zamówiono dla próbnych doświadczeń dwie takie stacje, które będą oddane do użytku Straży w październiku.

Jedna z tych stacji znajdzie się w centrali przy ul. Polnej, druga w wozie Komendanta Gieysztora. Radio to będzie służyć w razie potrzeby do przerzucania oddziałów Straży z jednego miejsca na drugie, co będzie miało szczególne znaczenie na wypadek wojny.

Dotychczas w Polsce jedynie Straż Ogniowa w Gdyni posiadała stacje nadawczo-odbiorcze.



głodówka
nic Ci nie pomoże... — Osłabiasz tylko swój organizm! — Pamiętaj, że chcąc pozbyć się nadmiernej tuszy musisz przede wszystkim usunąć przyczynę wadliwej przemiany materii. Pomoże Ci w tym mineralna sól owocowa **MINEROGEN F. F.**, którą nabędziesz w każdej aptece. **Skład główny: Apteka Mazowiecka — Warszawa ul. Mazowiecka 10.**



Z pamiętnych sierpniowych r. 1920 dni chwały Oręża Polskiego. Marszałek Józef Piłsudski rozmawia po przybyciu na front z gen. Śmigłym-Rydzem

NIEMCY ZRZUCIŁY MASKĘ

Propaganda niemiecka odkryła swe karty.

Dotychczas mówiło się o Gdańsku. Berlin operował argumentem niemieckości Gdańska i jego „woli powrotu do Rzeszy”. Wyjątkowo nie do twarzy było Niemcom w roli obrońcy ucisnionych (zwłaszcza, że nie było tu ucisnionych), wyjątkowo komicznie i — cynicznie brzmiało w ustach okupantów Czech powoływanie się na zasadę samostanowienia narodów. Ale to nic. Niemcy trwali przy swej argumentacji. Ba! z oburzeniem odrzucali „insynuacje” tych, którzy przypisywali im dalsze agresywne zamiary. To wszystko miała być „żydowska robota”, machinacje „podpalaczy pokoju”, uzasadniających w ten kłamliwy sposób zbrodnię politykę okrażania wobec niewinnych Niemiec... A oni, Niemcy, chcą przecież tylko Gdańska, no i jeszcze kolonii. Nic więcej.

To „powściągliwe” stanowisko obowiązywało propagandę niemiecką od chwili wystąpienia z żądaniem powrotu Gdańska do Rzeszy i miało ułatwić nowy sukces. Aż tu nagle w dniach ostatnich „baranek” przemówił innym językiem. Wywody w sprawie Gdańska nie przysporzyły tezie niemieckiej zwolenników za granicą, dając jedynie obfity materiał — humorystom. Czy więc poczucie śmieszności stało się dla Niemców zbyt dotkliwe, czy poprostu skolatanie „białą wojną” nerwy nie wytrzymały, dość, że Niemcy odsłoniły swe prawdziwe oblicze, ukazując wyraźnie, jakie są istotne cele prowadzonej kampanii.

Prasa niemiecka pisze więc już bez obłonek nie tylko o Gdańsku, lecz i o Pomorzu, które „bezsensownie oddziela Rzeszę od Prus Wschodnich”, oraz o Śląsku, który okazał się być „pragermańską ziemią”... Więcej! Wysuwa się już nawet

żądanie „przywrócenia granic z 1914 r.”! Niemcy nie kryją się przytym ze swymi dążeniami opanowania całej Europy Wschodniej i posuwają się do „ostrzeżenia” Francji, aby nie mieszała się do spraw tej części Europy, gdyż tylko Niemcy mają tu prawo decydować... *). Kropkę nad i postawił min. Goebbels, który na łamach partyjnego „Angriffu” oświadczył wyraźnie, iż wszystkie granice w Europie Wschodniej, wytyczone w epoce Wersalu, muszą ulec rewizji, jeśli w Europie ma zapanować trwały pokój. Jasno i wyraźnie. Wiadomo, jak Niemcy rozumieją „pokój”, nikt nie może mieć więc żadnych wątpliwości do czego naprawdę one dążą.

*) Oczywiście, to osobliwe „ostrzeżenie” przyjęto we Francji wzruszeniem ramion oraz kategorycznym oświadczeniem, iż Francja dotrzyma co do jedy wszystkich zaciągniętych zobowiązań.

Dla opinii polskiej ujawnione dążenia niemieckie nie stanowią żadnej sensacji. Zawsze zdawaliśmy sobie sprawę, że z punktu widzenia Berlina sprawa Gdańska jako taka posiada minimalne znaczenie, a naprawdę interesująca i doniosła staje się dopiero jako odskocznia do dalszej realizacji szeroko zakrojonych planów zaborskich, których celem jest podporządkowanie Berlinowi całej Europy. Prasa polska — a m. in. i my na łamach „Tygodnika” — niejednokrotnie wypowiadała ten pogląd, stwierdzając, że nie zwiódą nas niemieckie sztuczki i chwytły, a o przyrzeczeniach i gwarancjach Rzeszy mamy zupełnie wyrobione, choć nie całkiem pochlebne mniemanie. Cała robota była zresztą zbyt grubymi szytami niemi. Polska nie ludziła się ani przez chwilę, że po zagarnięciu Gdańska nie przysłały kolej na następne żądania, zmierzające do zupełnego odcięcia Polski od Bałtyku i zluszenia Jej, jako czynnika niezależnego i silnego, z natury rzeczy stojącego na przeszkodzie szaleńczym planom niemieckim. Gdyby zaś Rzeszy udało się przelamać opór Polski i mniej czy bardziej okrojona poddać wpływowi Berlina — jest zupełnie oczywiste, że mniejsze państwa Europy Środkowo-Wschodniej nie miałyby już żadnych szans na utrzymanie swej niepodległości i w krótkim czasie popaść by musiały w jawną czy zamaskowaną zależność od Niemiec. Wtedy zaś olbrzymia już potęga niemiecka przystąpiłaby do rozgrywek na Zachodzie, rozgrywki o kolonie — i nie tylko o kolonie... Francja i Anglia przestałyby istnieć jako wielkie mocarstwa, marzenia „Herrenvolku” byłyby zrealizowane.

Całe to rozumowanie nie jest bynajmniej jakąś teoretyczną, abstrakcyjną konstrukcją myślową. Taktyka stopniowania żądań i postępów etapami wyłożona jest bardzo pięknie w biblii narodowego

sojalizmu, jaką jest „Mein Kampf” Adolfa Hitlera, a praktyczne jej stosowanie obserwowaliśmy niedawno na przykładzie Czechosłowacji. Przyznanie się Niemców do ich prawdziwych zamiarów w stosunku do Polski i całego Wschodu Europy znakomicie potwierdza od dawna ustalony pogląd społeczeństwa polskiego, podzielany zresztą przez opinię całego „Frontu pokoju”: jednocześnie zaś podkreśla wymowę problemu gdańskiego.

Możemy tylko Niemcom podziękować za brutalne wyjawienie ich zaborskich planów, które jeszcze dokładniej uprzytomniły wszystkim o co toczy się gra. Ale nie możemy nie podziwiać tupetu propagandy niemieckiej, która nie kryjąc się z nawskroś agresywnymi zamiarami Rzeszy ma jednocześnie czelność zarzucać agresywność... Polsce. Przyszycaliśmy się już do nieprawdopodobnego zaklamania tej propagandy, nie dziwi nas codzienne masowe operowanie fałszem, zmyślanie „incydentów”, które nie miały miejsca, przekraczanie faktów, a nawet cytowanych słów. Ale w tym wypadku sytuacja jest o tyle niezwykła, że panowie z Berlina, odkrywszy swe intencje, sami demaskują swe kłamstwa, których zresztą opinia światowa i tak poważnie nie brała.

Te potknięcia propagandy niemieckiej wskazują też wyraźnie, że nerwy naszego zachodniego sąsiada zawodzą coraz bardziej. Najohydniejsze kłamstwa znajdują rozgrzeszenie w swoistej etyce niemieckiej — ale głupstwa — nie. Jeśli zaś państwo, które kroczy od podboju do podboju i od gwałtu do gwałtu, które zagarnęło Austrię, Sudety, Czechy i Klajpedę i którego agresywne zamiary i żądania są jedyną przyczyną napięcia europejskiego, wysuwa tezę, że stanowisko Polski jest groźne dla pokoju — to z tak pociesznymi „wywodami” nie podobna nawet wyczynać polemiki. Można tylko z poli-

towaniem wzmruszyć ramionami i ubolewać nad wyjąłowieniem ludzkich mózgow.

Stanowisko Polski zostało najzupełniej jasno i wyraźnie sprecyzowane w mowie kierownika polskiej polityki zagranicznej w dn. 5 maja b. r. oraz w mowie Naczelnego Wodza naszych sił zbrojnych, wygłoszonej na Zjeździe krakowskim w dn. 6 sierpnia b. r. Stanowisko to nie uległo oczywiście żadnym zmianom i nie ma potrzeby nic do niego dorzucać. Nas wojna nerwów nie wyprowadziła z równowagi i nie odebrała nam jasności sądu. Pokojowe intencje Polski są zbyt dobrze znane całemu światu, aby trzeba je tu było specjalnie podkreślać. Lecz nie mniej dobrze znane jest nasze zdecydowanie i gotowość hojowa. Polska zachowuje spokój i opamiętanie w obliczu nieustannych prowokacji, ale wszyscy dobrze wiedzą, że jeśli Niemcy poważą się na próbę wcielenia w czyn swych szaleńczych planów — obojętne w całości, czy etapami — Rzeczpospolita zareaguje natychmiast wszystkimi swymi siłami. Lecz w chwili wybuchu będzie dobrze wiadomo, kto jest w wojnę odpowiedzialny i co jest stawką w tej olbrzymiej rozgrywce.

Janusz Kowalczyk

Amerykański minister poczt p. Farley, przyjęty został na Zamku przez p. Prezydenta Rzplitej. Na zdjęciu: P. Prezydent, ambasador U. S. A. p. Drexel-Biddle, min. Beck i min. Farley



AUTO-SERVICE

Od r. 1918 istniejąca firma *Auto-Service*. Józef Lepkowski S-ka Kom. jest bezsprzecznie jedną z najstarszych firm samochodowych w Polsce. Opierając się na trzech światowych markach: *Chevrolet*, *Buick* i *Opel*, *Auto-Service* cieszy największą powagą w naszym świecie samochodowym. Znamienną tą okolicznością firma zawdzięcza p. Józefowi Lepkowskiemu, pod którego doświadczonego kierownictwem, przez cały okres swego istnienia pozostaje! Jako zasłużony, trzykrotnie wysoko odznaczony pionier motoryzacji kraju, p. Józef Lepkowski piastuje godność Przewodniczącego Zrzeszenia Kupców Samochodowych oraz zajmuje stanowisko Radcy Izby Przem. Handlowej w Warszawie.

W GOŚCINIE U LITWINÓW

Poląga, 14 sierpnia

W ostatnich dniach lipca b. r. wyruszyła do Litwy¹⁾, na zaproszenie Litewskiego Związku Literatów, wycieczka pisarzy polskich w liczbie trzydziestu osób. Wśród uczestników wycieczki były reprezentowane *wszystkie polskie środowiska literackie* zarówno ze stolicy, jak z Krakowa, Poznania i Wilna. Były reprezentowane również *wszystkie generacje pisarskie* poczynając od Akademika Literatury Karola Irzykowskiego, a kończąc na młodych poetach tzw. „awangardy“.

Od granicznej stacji litewskiej Vievis, którą przekroczyliśmy wczesnym rankiem 24 ub. m. — byliśmy w czasie całego naszego pobytu w Litwie gośćmi kolegów litewskich, z niezmordowanym panem Liudaszem Girą, prezesem Związku Literatów Litewskich, na czele.

Śliczną, miłą i poetyczną jest Litwa dla każdego. Dla Polaka natomiast posiada ona urok podwójny. Jak żaden inny kraj w Europie i na świecie całym, jest Litwa związana z Polską i jej historią tysiącami nici dotąd żywych i godnych pamięci. Pomimo dwudziestu lat całkowitej izolacji od Polski i jej kultury — język polski do dzisiaj jest niemal wszędzie rozumiany, a liczba Polaków na Litwie wynosi około ćwierć miliona. Smutny okres dwudziestoletni, który miał zerwać tradycyjne związki nowej Litwy z kulturą polską, *na leży już na szczęście do przeszłości*, a zaproszenie pisarzy polskich na Litwę, niedawna wizyta dziennikarzy litewskich u nas i zapowiedziany na wrzesień b. r. przyjazd literatów litewskich na uroczystości ku czci Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu — są najlepszym dowodem, że w stosunkach kulturalnych nastąpił zasadniczy przełom.

Pierwszym etapem naszej podróży było Kowno — stolica nowej Litwy. Nie dawno było to jeszcze małe prowincjonalne miasto, liczące niewiele ponad trzydzieści tysięcy mieszkańców — skrzepowane w swym rozwoju urbanistycznym rosyjskimi przepisami o fortecach, znanymi dobrze i nam, chociażby w Warszawie, gdzie tzw. pas forteczny, jak ciasna obroza, odcinał od miasta jego naturalne zaplecze — obecne reprezentacyjne dzielnice stolicy: Mokołów, Żoliborz, itd. *Podobny był los Kowna*. Obecnie — stolica niepodległej Litwy liczy z górą 150 tysięcy mieszkańców i w szybkim tempie upodabnia się pod względem urządzeń użyteczności publicznej do miast zachodniej Europy. Dalekie od wszelkiej *rekordomanii* i wielce niebezpiecznej *gorączki inwestycyjnej* — pracuje

¹⁾ Używam zwrotu „do Litwy“, zamiast „na Litwę“ — „w Litwie“, zamiast „na Litwie“, bo taką formę uznali za właściwą nasi językoznawcy. Forma ta nie jest zresztą nowa: pamiętamy ją z Mickiewicza: „przemycia w Litwę żyd tomiki wierszy“.

Ohsernie pisał o tej sprawie p. Stanisław Westfal obecny nasz attaché prasowy w Kownie, w wydawnictwie „Język polski“ w lipcu 1936 roku.



Świadek czasów, które minęły. Kościół gotycki w Koltynianach

Kowno — jak w ogóle cała Litwa — spokojnie i statecznie — powiedziałbym z gospodarską, chłopską zaradnością. Bez krzykliwej reklamy i blichtru — ale planowo i — prawdziwie po litewsku: *uparcie...*

To jest pierwsze wrażenie — wielokrotnie potem w czasie naszego pobytu na Litwie potwierdzone. A obserwacji poczyniliśmy sporo, pędząc przez kilkanaście dni *istny żywot koczowników*. Zresztą koczowników z komfortem... Mili nasi gospodarze oddali nam bowiem do dyspozycji nie tylko swoją serdeczność, ale również wygodny trzydziestoosobowy autokar turystyczny... To jemu zawdzięczamy w pierwszym rzędzie, że w krótkim stosunkowo czasie zdołaliśmy zobaczyć tak wiele.

Więc przede wszystkim Birsztany i Olitę — dwie pełne uroku litewskie *stacje klimatyczne* — historyczne, żmudzkie *Kroże*, miejsce męczeństwa za wiarę i niedalekie *Rosienie*; — więc legendarną *We-*

lonę nad Niemnem z kurhanem Gedymina, i malownicze *Gielgudyszki* z pięknym parkiem i pałacem *Gielgudów* — więc starą *Kretyngę* z kościołem i klasztorem fundowanym przez Chodkiewicza i nadmorską *Polagę* — głośnie kiedyś kapielisko, posiadające najpiękniejszą plażę nad Bałtykiem, a wreszcie Świętųjųście — mały dzisiaj port rybacki nad ujściem rzeki Świętej, pamiętający jednak czasy Władysława IV, jak nasze Władysławowo na Helu... Tam właśnie — nad ujściem rzeki Świętej, rozpoczęto niedawno wstępne roboty zmierzające do budowy nowoczesnego portu, jeżeli można się tak wyrazić — *litewskiej Gdyni*.

Przez dwadzieścia lat niepodległości litewskiej rolę *aorty* w litewskim systemie gospodarczym spełniał Niemen, w większości splawny, a poczynając od Kowna w dół, zdatny do żeglugi. Zagarnięcie przez Niemcy Klajpedy w dniu 22 marca b. r. przekreśliło, przynajmniej chwilowo, ten naturalny — *przyrodzony* — stan rzeczy.

Litwinki mają wdzięk i — wiedzą o tym...



Jak niedawno obliczył jeden z publicystów litewskich żyjących w Polsce²⁾ — „przez Kłajpedę szło przeszło 80% całego zagranicznego handlu litewskiego; w kraju Kłajpedzkim koncentrowała się przeszło 1/3 część całego przemysłu litewskiego, w tym 2/3 przemysłu drzewnego. Poza tym należy pamiętać, że w rozbudowę i unowocześnienie portu kłajpedzkie-

układzie gospodarczym Polski — znalazła się raptem poza granicami państwa.

Nie rezygnując oczywiście ze swoich rozszeżeń do Kłajpedy postanowili Litwini zdobyć się na potężny wysiłek techniczny i finansowy i zbudować na piaszczystych wydmach Świętųjųcia nowoczesny port handlowy. Nie bez wzruszenia słuchaliśmy na miejscu objaśnień inżynierów i oglądaliśmy *pierwsze falo-*

zetknięcia się nimi — nie tylko na oficjalnych litewsko-polskich zebraniach towarzyskich w Kownie, przy udziale Stowarzyszenia „Pochodnia“, ale również w czasie naszych wędrówek po prowincji litewskiej. Niemal wszędzie gdzie zatrzymaliśmy się, oczekiwano nas niespodzianka. Oto miejscowi Polacy — inteligencji, robotnicy, ziemianie, chłopci, młodzież — witali naszą wycieczkę z najgłębszym wzruszeniem, nie rzadko ze łzami w oczach. Widać w nas — niczym nie zasługującej na to *przygodnej gromadzie turystów* — uosobienie Ojczyzny: Te pęki kwiatów, które — przepasane wstążką białą-czerwoną — wręczano nam w tyłu wsiach i miasteczkach, pozostaną dla nas na zawsze symbolem nieugiętości i hartu.

I drugie jeszcze wrażenie niezapomniane. *Język Polaków litewskich*, nazwiska i nazwy miejscowości leżących w granicach b. Wielkiego Księstwa Litewskiego. Taka włóczęga po kraju owianym jakąś romantyczną legendą „zawinioną“ przez Mickiewicza i Sienkiewicza ma niesłychanie wiele uroku. Może Polacy z Kowieńszczyzny, z Wileńszczyzny odczuwają to inaczej, ale ja — Małopolanin — w zetknięciu z tymi ziemiemi doznaję specyficznego olśnienia, dla którego brak mi nazwy. *Olśnienie lingwistyczne* — możeby to tak określić? *Szyrwinty, Giedroycie, Widukle, Taurogi, Kiejdany, Szawle, Olita, Telsze, Kroże, Rosień* — i nieskoczona ilość *Radziwiłszek, Korsakiszek, Gielgudyszek, Kateliszek...* Nie pierwszy raz oczywiście odkrywam nieprzebrane bogactwo materiału językowego w słowniku geograficznym, pisałem o tym niedawno na innym miejscu — ta litewska porcja dźwięków wydaje mi się jednak szczególnie pożywna. Zwłaszcza w ustach litewskich Polaków! Tutaj nie podoba żaden opis. To trzeba słyszeć! Kto ma ucho bodaj jakotako wrażliwe, nie będzie żądał dowodów. Ileż stracił Stanisław Wasylewski, subtelny znawca polszczyzny, wirtuoz gwarowych odchyleń, regionalizmów i tym podobnych językowych smaczków — że z nami nie pojechał!

Wiesław Wołnow



Malownicza chata litewska z typowym krzyżem

go, w przeciągu 16 lat włożyła Litwa przeszło 1000 milionów litów w złocie, czyli 100 milionów złotych, nie licząc inwestycji na urządzenia komunikacyjno-kolejowe. Te olbrzymie, jak na możliwości tego kraju inwestycje, pozwalały Litwie począwszy od 1933 r. oszczędzać rok rocznie po circa 50 milionów litów“. Otóż Kłajpeda, której, jak z powyższego wynika, w układzie gospodarczym Litwy, przypadła w udziale pozycja, identyczna do łącznej pozycji Gdyni i Gdańska w

chrony już dzisiaj wrzynające się głęboko w morze... Pamiętamy jak Gdynia wyglądała przed piętnastu laty — wiemy więc że te takie rzeczy są możliwe! Może dlatego — dzięki aso-cjacji myśli — pobyt nasz na litewskim wybrzeżu — tych kilka godzin spędzonych wśród robotników portowych i marynarzy — zaliczam do najgłębszych naszych przeżyć w Litwie.

Ale, rzecz prosta, odwiedzając naszych litewskich przyjaciół i będąc ich gośćmi nie zapomnieliśmy ani na chwilę o Polakach litewskich. Mieliśmy sporo okazji do

²⁾ Franciszek Żmudzi w tygodniku „Polityka“ z 14 maja b. r.

Muzeum Wojskowe w Kownie



Lublin to gospodarcze i kulturalne centrum

wielkiego i ważnego prowincjonalnego rynku zbytu
Ułatwiają handlowe dotarcie na ten rynek ogłoszenia pomieszczone w dzienniku

„Express Lubelski i Wołyński“

XVII rok wydawnictwa.
Najwyższy nakład na terenie Województw:
Lubelskiego i Wołyńskiego.

Lublin, Kościuszki 8, tel. 23-60.



Józef Mickiewicz

SPADKOBIERCA DOBROCI

(W pierwszą rocznicę zgonu Józefa Mickiewicza)

W dolnej sali Biblioteki Polskiej, przy wielkim stole, w głębokim fotelu zasiadał Władysław Mickiewicz, udzielając po przerwie wojennej licznym do Paryża przybywającym rodakom audiencji, lub informacji. Któregoś dnia, był to początek 24 roku, obok niego zobaczyłam drugiego starca. Uderzyło mnie ogromne podobieństwo do Wieszcza. Rozmawiali z ożywieniem, micszając zdania i wyrazy francuskie z polskimi, wymawianymi akcentem gardlowym, który cechuje Polaków urodzonych we Francji. W pewnej chwili uchwyciłam argument widocznie rozstrzygający jakąś zawiłą kwestię: „Papa powiedział“. Józef Mickiewicz wstał i gotował się do odejścia.

Widywałam go potem u państwa Władysławostwa na rue Guénégaud, nigdy jednak w tradycyjny poniedziałek, poświęcony przyjęciu kolonii polskiej. Zajęty innymi sprawami, reprezentację rodu oddał w zupełności starszemu bratu. Nie zuaczy to, iż zacieśniał się w kole prywatnego życia. Przeciwnie, miał swój świat szeroki i swoich ludzi. Także swoją legendę. Tytuł do niej dawno już sformułowałam: spadkobierca dobroci. On bowiem, sądzę, wziął po ojcu nie to, co cechowało natchnionego poetę, myśliciela, czy wyraziiciela cierpiącej ojczyzny, lecz to, co było wybitnym, ale jakby osobistym darem losu: humanitaryzm uczuć, współczucie wielkiego serca, rozumiejącego potrzeby innych, życzliwość dla ludzi i codzienna prosta dobroć.

Józef Teofil Rafał urodził się 20 grudnia 1850 roku na Batiniolach, polskiej wówczas dzielnicy Paryża, w jednym z chwilowych domów wędrującej po mieście gromadki. Ochrzczony w parafialnym

kościółce, pokropiony był wodą z rodzinnej rzeki Niemna, wodą, którą przysłała z Litwy pocie jakas paniczka, — oczywiście z wierszem Ojcem chrzestnym niemowlęcia był Karol Sienkiewicz, jeden z najzarliwszych twórców Biblioteki Polskiej w Paryżu, zaś matką chrzestną jego ciotka, Zofia Szymanowska, późniejsza Lenartowiczowa. Książd z trudem kreślił począł nazwisko nowego chrześcijanina, co tak zniecierpliwilo Mickiewicza, iż odebrał mu pióro i własnoręcznie wpisał syna do ksiąg ludności.

Dzieciństwo Józia nie było ani sielskie, ani anielskie. Pierwsze swe lata spędził w ciemnych murach Biblioteki Arsenalu, gdzie poetę „żywego zamknięto wśród umarłych ksiąg“. Tam „w zawoju smutku i ciszy“, pełnił swe obowiązki otoczony dżiatwą, przy boku chorej żony. Wkrótce jedyny opiekun sierotom. Najmłodszego synka bardzo pieścił. „Józio, pisał do Domejki, przemile dziecko, inteligentne i ulubieniec całej rodziny, bo szczęśliwego jest przyrodzenia i dobrego charakteru dziecko“. Podobnie brzmi relacja Zofii Szymanowskiej, chłopak cały dzień śpiewa i gada, a wieczorem idzie do ojca, który po ciężkim dniu pracy, coraz aowe wynajduje dla niego zabawki. Surowy dla starszych swych dzieci, dając im swobodę, żeby samodzielnie się rozwijały, choćby kosztem guzów, czy innych życiowych doświadczeń, dla Benjaminka jest miękki i nawet lubi się nim popisywać. Gdy Teofil Lenartowicz zapytał kilkoletniego chłopczyka: „kim jesteś?“, a ten rezolutnie odpowiedział: „Józef Mickiewicz, emigrant polski“, pan Adam zaczął chwalić: „widzicie, jak zna swoje tytuły“.

Śmierć Celiny Mickiewiczowej zdecydowała go do oddania Józia pod opiekę pani Falkenhagen Zaleskiej, żony bankiera, osoby bezdziejnej, która spisała: „Moje wspomnienia o Adamie Mickiewiczu“ z myślą o pupilu. Zaczęła: „Na drugi dzień po pogrzebie żony przywiózł owiniętego w chustkę synka o bardzo niebieskich oczach“. Strapiiony poeta powierzył dziecko z całym zaufaniem, podkreślając: „Gdyby królowa Wiktorja chciała wziąć Józia na wychowanie, mniej byłbym spokojnym, jak dziś, gdy go wam powierzam“. Przybysz jednak nie od razu zaaklimatyzował się w nowym środowisku. Nazajutrz próbował uciec „tout loin, tout loin“. Pan Adam, gdy mu o tym opowiadano, wcale się nie zdziwił. „Moje dzieci lubią uciekać“, przypomniał przygody starszych. Axel Munthe też „lubil uciekać“. Wiele dzieci, które gdzie indziej, nie w rodzinnym domu, mają coś w życiu do zrobienia, opuszczają go wcześniej dobrowolnie, zanim konieczność zmusi do wyrzeczenia się ciepła własnego ogniska.

Józio często przychodzi do Arsenalu i wówczas opiekunka jego starała się, aby rozweselił ojca. Raz zamiast deklamacji wierszyków nauczyła chłopca trudnego i niezrozumiałego dlań zdania. Malec wygłosił je poprawnie: „Puisque je me présente devant vous, permettez moi de vous adresser quelques observations générales sur la situation présente de l'Europe“¹⁾. Na tym nie skończył, lecz dalej ciągnął: „Or, il faut que vous sachiez que j'appa-“

¹⁾ „Ponieważ staję przed panem, proszę mi pozwolić wyrazić kilka ogólnych uwag o obecnej sytuacji w Europie“.



Władzio i Józio Mickiewiczowie. Z obrazu olejnego Zofii Szymanowskiej. (Zbiory Muzeum Adama Mickiewicza w Paryżu.)

tiens au grand parti de l'ordre, puisque je me pose résolument en défenseur de la propriété, de la famille et de la religion²⁾.

Zdumienie inicjatorce tego exposé było wielkie. Przed przedstawieniem, jak się okazało, Józio w obliczu ojca urządził generalną próbę, a pan Adam widocznie łatwo dał się wciągnąć do zabawy, gdyż dorobił koniec mowy, w myśl zasad, po objęciu władzy przez Napoleona III, powtarzanych przez cały Paryż.

Z pobytu poety na Wschodzie zachowało się kilka świadectw ciągłej myśli o Józio. Projektuje odebrać go po powrocie z Carogrodu, chciałby mieć znów przy sobie synka, „którego umysł uderza wiele rzeczy ledwie dostępnych temu wiekowi”. „Przysłany zwitek włosów” „Zizi” nosi w kopercie, włożono je do grobu razem z portretem matki i ostatnimi listami starszych dzieci.

Ze śmiercią ojca tracimy żywszy kontakt z Józio. W „Żywocie Adama Mickiewicza”, pisanym przez Władysława, brany on był we wspomnieniach razem z całą rodziną, której węzły teraz się rozluźniły. Chłopczyna jest wśród obcych i wśród nich żyje. Państwo Falkenhagen Zalescy przenieśli się do Dreżna. Przebywa tam do 1859 roku, wówczas bowiem jedzie do Warszawy i przez cztery lata jest „na pensji” u krewnego Leszczyńskiego, znanego pedagoga. Z najstarszym bratem i opiekunem utrzymuje ożywioną korespondencję, jak można sądzić z listów, które Władysław Mickiewicz przytacza w swych Pamiętnikach. Józio musiał być nad wyraz inteligentny, skoro „przyszły ambasador” Polonii francuskiej

²⁾ „Trzeba, aby pan wiedział, że należę do wielkiej partii ludu, gdyż zdecydowanie stoję w obronie własności, rodziny i religii”.

rozwiąza przed nim plany prac literackich i kreśli projekty stosunków Polski do innych narodów. Więcej o tym mówi aniżeli o sprawach rodzinnych. Raz jednak w 1860 r. ze Szwajcarii przychodzi do Warszawy list pełen wspomnień i rozczuleń.

„W tę rocznicę urodzin ojca nie ma już naszych rodziców i my sami oddaleni jesteśmy od siebie. Nie ma już dźwięku dzwonek, które przez dzień cały oznajmiały gości, przybywających powinszować ojcu. Niema już stołu z sianem pod obrusem, ze żłobkiem zawieszonym na suficie”. Pani Zaleska, która widocznie była świadkiem podobnej uroczystości w Arsenale dorzuca ciekawy szczegół co do obyczajów panujących w domu państwa Adamów. „Nie dawano żadnych francuskich potraw. Tylko krajowe czy po polsku czy po żydowski”.

W r. 63-im Józef wraca do Paryża, brat umieścił go w Liceum Louis le Grand, ale wypadki 70 r. przerwały naukę. Gdy Władysław zachował się neutralnie wobec wewnętrznych walk we Francji, Józef wziął udział w Komunie. Fakt ten dotąd znany tylko z tradycji potwierdził dr Stefan Włoszczewski w nekrologu zamieszczonym w Nouveau Bulletin Polonais³⁾. Co ważne dawny komunard do końca życia zachował piękne wspomnienie o tych czasach. Wyżej podany autor przytacza słowa słyszane od starca prawie w przeddzień jego zgonu. Podnosił zasługi Jarosława Dąbrowskiego, cytując opinię wiarusów. „Il n'a pas d'ombres ou est-ce qu'il y a Dombrowski”. Jak wiadomo zupełnie inne stanowisko zajmowała starsza w stosunku do rodaka, którego lud paryski nazywał „Lwem Komunę”. Komitet Emigracji wydał do prawowitego rządu odezwę, usprawiedliwiającą fakt współ-

³⁾ Paryż, décembre 1938.

udziału Polaków w komunie, a Dąbrowskiemu wręcz odmówił polskości. Dokument ten między innymi podpisali: Władysław Czartoryski, Dr Gałęzowski, E. Januszkiewicz, Nabczak i kilku generalów z powstania 31 i 63 r.

„Wolyński Napoleon” przez autorów naszych dość zamiedbany oczekuje polskiej monografii. Natomiast posiada on bogatą literaturę francuską, poza świadectwami współczesnych. Przed paru laty postać jego na tle wypadków dobrze przedstawił Jean Cassou, w powieści historycznej „Massacres de Paris”. Co roku pamięć poległego na barykadach Montmartre cudzoziemca odnawia wstawa pomników Komuny. Wśród rozkazów przez niego wydanych leży wybladła fotografia w generalskim mundurze, drobna zmięta twarz, kognopiasta szpicbródka, także wąsy i jasno-niebieskie oczy.

Po zajęciu Paryża przez Wersalczyków, Józef musiał go opuścić, są dane, iż miał zamiar przenieść się do kraju, ale władze rosyjskie temu sprzeciwiły się. Po pewnym czasie znów jest w stolicy. Zabiera się teraz do pracy zarobkowej. Kierując się upodobaniem obrabł drogę dziennikarską. Pisze między innymi do Le Vengeur i La Paix, także do encyklopedii Laroussa. Dr. E. Włoczewski wspomina o nieskończonej pracy: „Les procès à travers les âges”, którą należałoby powierzyć znawcom. Żywo zajmuje się matematyką i naukami społecznymi. Przez wiele lat widywano go w Bibliothèque Nationale. Pod chmurnym, choć szklanym jej niebem, ślezczał nad książkami i rękopisami, a potem wychodził z teczką pełną notatek. W ten sposób szukał rozwiązań zagadek świata, — które ojciec-poeta rozwiązywał przede wszystkim drogą intuicji.

Józef Mickiewicz przez długie lata pracował w zarządzie miasta, w dziale Assistance Publique (Opieka Społeczna). Był redaktorem jej organu prasowego i opiekunem społecznym. W tej roli musiał nieraz zaglądać do nos, stykać się z wykołajonymi, zażalonymi na swój los, którym w stosunku do ich między bardzo mało przynosił. Tam gdzie Francuzi nie chcieli iść „służbowo”, wysyłano Józefa Mickiewicza, wiedząc, iż nie tylko da sobie radę, ale naprawdę potrafi przynieść ulgę.

W osobistym zetknięciu z ubogimi ukazywał najpiękniejsze właściwości swego charakteru. Dobroć jego szła w parze z odwagą. Była w nim siła płynąca z głębokiej duszy. Skromne a bogate w skutki stanowisko opuścił w 1920 r. jako 70 letni starzec, opatrzony małą emeryturą.

W każdej potrzebie broniąc wiernie praw i interesów narodu polskiego, na prywatne troski rodaków był również bardzo wrażliwy. Czynił dobrze w miarę możliwości, jednak unikając pochwał i rozgłosu. Należał do kilku polskich stowarzyszeń, wybierając te, które pozwalały pozostać w cieniu. Pracował w instytucji „Czci i chleba”, powstanie jej datuje się od emigracji 31 r. Najpierw miała za zadanie nieść pomoc wszystkim, od powstania zaś styczniowego jedynie wyjątkowo zasłużonym. W myśl zasady: „datki nie są jałmużną, ale długiem spleaconym przez matkę ojczyznę najlepszym swym synom”. „Komisja Opieki nad Grobami Polskimi

we Francji“ była też bliską sercu Józefa Mickiewicza. Poza tym usuwał się w zaciśnięcie życia naukowego, społecznego i osobistego, stroniąc od honorów, przedstawicielstwo dawnej Polonii pozostawiając bratu. Dopiero po jego śmierci (26 r.) wypadło objąć reprezentację wielkiego rodu. W tym charakterze, razem z panną Marią Mickiewiczówną (córką Władysława) występował w 29 r. na odsłonięciu pomnika Poety-Pielgrzyma, kilka miesięcy przed zgonem wziął udział w Kongresie dawnego Wychodźstwa, prawdziwie jak Arka przymierza między dawnymi a nowymi laty.

Do końca swych dni zachował umysł jasny, zajmował się wielu sprawami. Z pokojów przy rue Rollin, gdzie mieszkał z żoną, francuską, i córką Germaine, z którą rozmawiał po polsku. Dawno wyzbył się wszystkich pamiątek rodzinnych i narodowych; ofiarował je Bibliotece Polskiej lub Muzeum Adama Mickiewicza w Paryżu. Nie miał nawet portretu ojca, dopiero w ostatnich miesiącach dostał w spuściznie po Dionizym Zaleskim, towarzyszu całego prawie życia. Przyjaźnili się poeci, zbratanii byli synowie.

Muzyka to najmilsza rozrywka starca. Po babce, Marii Szymanowskiej, odziedziczył talent i w pierwszych dniach młodości gotował się do kariery artystycznej. Ale, jak głosi jedna z legend, śmierć ukochanej na czas dłuższy usunęła go od fortepianu. Gdy doń wrócił, inne już sprawy pochłaniały umysł i serce. Muzyka stała się pięknym dodatkiem do trudnego życia, grał tylko dla siebie i bliskich. Najchętniej dawne melodie i pieśni patriotyczne. Lubił je, jak lubił prowadzić z bratanicą rozmowy o przeszłości.

Józef Mickiewicz zmarł w Riva Bella 25 sierpnia 1938 roku w wieku lat 88.

Pochowano go na paryskim cmentarzu w Ivry. Nie na polskim, w Montmorency, w grobie rodzinnym, uwieńczonym medalem Augusta Préalta, gdzie spoczywał Adam Mickiewicz; skończywszy, jak sobie przepowiedział „dni w samotnej żałobie“.

Józef Mickiewicz bardzo przypominał ojca. Fizyczne i duchowe podobieństwo uderza w zestawieniu dwóch fotografii, robionych na łożu śmierci. Nawet w wyrazie zewnętrznego układu postaci. Tu i tam jest dziwna prawie ufnosć przytulające się, po raz ostatni, do grobowej już postaci.

Ludwika Śniadecka⁴⁾ zobaczywszy fotografię Adama, który kilka dni przedtem rozmawiał z nią „z całą wzniosłą prostotą geniusza“, ubolewa: „Ale biedny, drogi Mickiewicz, jeżeli taki był jak na fotografii to smutno, widno nicość człowieka“. Zwierciadło zgonu ciała było przejściową fazą, już w pośmiertnej masce duch odżył się. Jednak widocznie pokora wielkości wobec tajemnicy śmierci wylała się współczesnym krzepiącą, gdyż Antoni Oleszczyński na tej podstawie dał „braciom na otuchę“ ostatni obraz Mickiewicza. Jest to rodzaj malarskiego montażu.

W ubiegłym roku wiele osób ze zdziwieniem przyjęło wiadomość o tym, że

⁴⁾ Maria Czapska. Warszawa. Biblioteka Polska 38 r.



Popiersie bronzowe na pomniku grobowym Adama Mickiewicza w Montmorency pod Paryżem. Rzeźba Augusta Préalta

Józef Mickiewicz umarł. Nie wiedzieli, iż żyje jeszcze bezpośredni spadkobierca drogiego imienia. Dziś odnajdujemy go, chwilami błądząc w domysłach między tradycją a dokumentem. Ale w historii

emigracji polskiej kartoteka jego pisana jest złotymi wspomnieniami. Ktoś winien zająć się jej odcyfrowaniem.

A u r a W y l e ż y Ń s k a

KWIATY POLSKIEGO ROKOKA

Gdy król Edward VIII. chciał trzy lata temu poślubić p. Wally Simpson née Warfield, cała opinia angielska, z premierem Baldwinem na czele ostro zaprotestowała, choć przecież Anglia pamiętała flirty, romanse lub po prostu mówiące tzw. „Matressenherrschaft“ za Jerzego III. i Jerzego V. a poprzednio, jeszcze za królów Karola I., Karola II. i Jakuba, niejedną skandal miłosny był tematem rozmów całej Anglii. Gdy młody król Manoel portugalski, który jako jedyny z królewskiej rodziny ocalał z zamachu, w którym zginął jego ojciec i brat, objął tron Portugalii, nie wróżyło jego rządowi trwałości uważając go za człowieka słabego, lekkomyślnego i mało wartościowego z powodu jego miłości z czeską artystką Gaby Deslys! Sądząc z tego staje się opinia publiczna nieomal purytańska w naszym XX. wieku, gdyż dawniej, lat temu sto czy dwieście, nikomu by na myśl nie przyszło odmawiać królowi prawa do „prywatnego życia“.

Tak czy owak, purytanizm czy hipokryzja, przestaliśmy mieć zrozumienie dla królewskich sielanek. Może po prostu dlatego, że życie stało się bardziej skomplikowane, że żąda się aby nacelnik państwa poświęcił cały swój czas na konferencje z ministrami, otwieranie wystaw, udzielanie audiencji i wygłaszanie mów, nie rezerwując sobie ani chwili na bardziej „prywatne“ zajęcia. A może też dlatego, że traktujemy dziś króla jak zwykłego

śmiertelnika nie otaczając już tego wszystkiego co się odnosi do jego prywatnego życia takim nimbem, jak to się działo dawniej. Faktem jest, że nazwie się dobrym królem raczej tego, który prowadzi niemaganne życie rodzinne, niż tego, który mając wiele miłosnych przygód dokonał wielkich rzeczy. Tak było np. za życia króla Leopolda II. domniemanego przyjacielu słynnej Cléo de Mérode (stąd zwano go też „Cléopoldem“), którego nie doceniano, gdyż zrozumienie jego gigantycznego dzieła — zdobycia Konga pokojowymi środkami — zasłaniało opinią jego burzliwe życie rodzinne, i romanse z baronową Vaughan... A nawet Edward VII. wielki twórca (wraz z Loubetem) „Entente Cordiale“ spotkał się nie tylko w Anglii z ostrą krytyką jako miłośnik pięci pięknej... Nemo propheta in patria sua...

A przecież były czasy, kiedy „faworytym“ wchodził w zakres programu rządzenia. Głównym propagatorem tej polityki i jej właściwym założycielem był, jak wiadomo, Ludwik XIV., który pozostawił po sobie ściśle wypracowany i obmyślony ceremonial dworski w odniesieniu do faworyt, dotychczas oficjalnie nie „sklasyfikowanych“ i trudnych do „uplasowania“ zgodnie z dworską etykietą.

Ale zanim postaramy się zcharakteryzować ten ciekawy objaw obyczajowy i zanim powiemy o jego epigonach w Polsce w postaci Augusta II. Mocnego, przypom-

nijny jak na te sprawy zapatrywano się w Europie gotyku i renesansu. Wyrobienie się pojęcia prawego lub nieprawego pochodzenia jest właściwie skutkiem rozprzestrzenienia się wiary chrześcijańskiej i ugruntowania jej kanonów i dogmatów o sakramentach, ale także skutkiem uporządkowania spraw czysto urzędowych, stworzenia ksiąg metrykalnych, jednym słowem urzędowego „ścięśnienia“ ludności, od której coraz częściej poczęto wymagać takich czy innych dokumentów. Wprawdzie już w średniowieczu sławetne rady miejskie przyjmując nowego obywatela żądały od niego dwóch rzeczy: odpowiedniego majątku względnie zawodu oraz prawego pochodzenia, poświadczonego genealogicznym wywodem. W krakowskich np. księgach miejskich an każdym kroku spotykamy się z formułką „productis literis genealogiae“ (po ukazaniu dowodów genealogicznych) albo „N. N. ius habet civitatis, cuius honesta et insignis prosapia omnibus est notissima“ (N. N. posiada prawo miejskie a jego przodkowie czcigodni i wybitni ogólnie są znani). W tymże jednak samym czasie w sferze szlacheckiej mniej uważano na te sprawy choć, jak wiadomo, bardziej chętno się pochodzeniem, opierając na nim swe prawa i obowiązki. We Francji np. wychowywano w zamkach razem prawe i nieprawe potomstwo, nie czyniąc wśród niego żadnej różnicy a jedynie przy podziale majątku po ojcu zachodziły różnice, gdyż majątek rodzinny otrzymywał syn splodzony w małżeństwie, nieprawe zaś dzieci wyposażano pieniędzmi. Synowie nieprawi nawet największych rodów nosili nazwiska swego ojca poprzedzając je określeniem „bâtard“ — syn nieprawy: znani są w historii marszałek Francji le bâtard d'Armagnac, syn Arnolda Wilhelma de Lescun i Anny d'Armagnac, który był również szambelanem króla Ludwika XI. 1469, gubernato-

Aurora hr. Königsmarck jako „Diana Saxonica“, wg sztuki z r. 1705 (Muzeum ks. Czartoryskich)



Maurycy Saski, marszałek Francji wg portretu Liotarda (Muzeum ks. Czartoryskich)

rem Gujenny, i nosił również nazwisko hrabiego de Comminges et de Briançonais. Inny bastard, Jan d'Harcourt, syn Jana VII. hr. d'Harcourt był jednym z największych panów Lotaryngii, a Karol de Poitou nazywa go w swych listach „cher et amé cousin“, tak zresztą jak król Ludwik XII. zwie innego nieprawego syna Armanda de Clèves, w dyplomie z roku 1506 nadającym mu dobra ziemskie. Dzieci nieprawe traktowano jako młodszych synów rodziny, którzy pozbawieni zasadniczo majątku będą musieli się dorabiać miejsca w świecie własną pracą i dzielnością. Nie różniły się więc te dzieci niczym od swych przyrodnich prawych braci i sióstr, a jedynie po herbie rozróżniano je, dodając do tarczy herbowej ojca tzw. „bâton de bâtardise“, tj. pasek idący z prawej na lewą stronę a określający nieprawo pochodzenie. Ileż zresztą tych paszków znalazło się w tarczach najznakomitszych nawet rodów francuskich czy włoskich lub angielskich, nie pomijając herbu Bourbonów! U nas choć również dalecy byliśmy od dzisiejszych poglądów na te sprawy, traktowano nieprawo pochodzenie mniej łagodnie jak na zachodzie.

Na takim to podłożu poglądowym wyrosła polityka faworytek Ludwika XIV. Znany francuski historyk Funck-Brentano pisze, że faworytyzm na dworze Ludwika XIV. nie wypływał tylko z temperamentu, lecz był również jednym z środków do zupełnego ujarznienia dumnej i potężnej arystokracji, którą król chciał pognać wszelkimi sposobami. Czyniąc z swych kochanek i ich dzieci osoby wyższe nad reprezentantów najpotężniejszych rodów Francji, podkreślał on, że cokolwiek bierze z niego początek, — dekret, czy też... żywy człowiek, — jest ono o całe niebo wyższe od całej reszty jego otoczenia. Stąd też król licząc się z protokolarnymi koniecznościami stworzył dla swych bastardów specjalną kategorię, mianowicie

umieścił ich w ceremoniale między książętami krwi a książętami (duc) z tym, że np. prezydent parlamentu zwracał się do nich z formułkami uprzejmościowymi jak do książąt, zdejmując jednak kapelusz czego przed tautymi nie czynił. Ludwik XV. chcąc zgodzić się z powiedzeniem „l'état c'est moi“ uczynić z siebie, z krwi swojego domu oś, naokoło której kręciła się Francja i część Europy, musiał, postępując logicznie, nawet swym bastardom dać niezwykle wysokie miejsce.

Oczywiście, że żadnego monarchy poza królem francuskim nie było stać ani na Wersal, ani też na tak kosztowny tryb życia, natomiast ambicje wszystkich niemal monarchów szły w kierunku imitowania „króla słońce“ aż po króla Ludwika II. bawarskiego, który budując swój cudny pałac w Herrenchiemsee skopiował Wersal w miniaturowym wydaniu. Najbardziej jednak zarzili się manią kopiowania mali dynaści niemieccy. Zaczawszy od palatyna heskiego a skończywszy na elektorze saskim, wszyscy, w miarę możliwości, starali się stworzyć iluzję wersalskiej atmosfery zbytku, potęgi, bogactwa. Temu imitatorstwu niemieckiemu zawdzięczają różne małe rezydencje książęce piękne pałace, zbiory, muzea. Gdyby nie chęć dorównania Wersalowi, Dreźnie nie miałyby tych pięknych zabytków, a Bawaria byłaby uboższą o kilka wspaniałych siedzib królewskich.

I dzięki właśnie temu Augustowi II., który jako elektor saski miał dosyć ograniczone możliwości zaspokojenia swych zachcianek na miarę króla wersalskiego, również do polskiej historii wciśnęły się dotychczas prawie nieznanne intrzygi alkowane w stylu rokoka. I nasze dzieje żarżone zostały faworytyzmem, który tutaj nie wchodził w zakres celów polityki a był tylko imitacją tamtego, wersalskiego. Dzięki królowi Augustowi polski Sarmata

Maurycy Saski, książę Kurlandii i Semigalii (sztych z Muz. ks. Czartoryskich)





*Aurora hr. Königsmarck
jako Venus, wg współczes-
nego sztychu*

*August II w polskim stro-
ju (sztych współczesny z
Muzeum ks. Czartoryskich)*



został omotany pajęczą nicią uroku kobiecego, a wpływ intryg miłosnych, snutych między zamkiem warszawskim a Dreznem rozwił się w zastraszający sposób, dając tylko kilku sprytniejszym dworakom doraźne korzyści w postaci fortuny czy tytułów. Dotąd nigdy prawie, wyjąwszy może panowanie Zygmunta Augusta i jego małżeństwo z Barbarą Radziwiłłówną, — białogłowa nie zabierała głosu w polityce i nie śmiała wtrącać się w plany państwowe króla. Lecz tak widać być musiało: i Polska zobowiązana była do daniny na rzecz frywolnego rokoka, które opanowało nawet najhardziej realne umysły.

Ilość faworyt króla Augusta Mocnego jest wielka: wymienia się zazwyczaj kilka najważniejszych, ale na pewno nie wyczerpano na jaw jeszcze wszystkich przygód saskiego Don Juana. Dziwna też panuje tu różnorodność, której jedynie panowanie Stanisława Augusta z jego licznymi kochankami zdoła zrobić konkurencję. Spotykamy niemieckie hrabianki i hrabiny, córki szynkarzy, Turczynki i polskie księżne. Może jedynie Kazimierz Wielki z licznym zastępem swych kochanek, wśród których nie brakło Żydówki Esterki, mógłby współzawodniczyć, ale o królach-budowniczym za mało mamy danych aby snuć porównanie.

Na pierwsze miejsce wybijają się dwie kobiety, które odegrały większą rolę zarówno przez swój wpływ na króla jak też przez swe potomstwo. Są nimi Maria Aurora hrabianka Königsmarck i pani hrabina Hoym, z domu Burgsdorff, mianowana następnie hrabiną Kozel. Jej późniejsze nazwisko, pod którym przeszła do historii, pisane było również z francuska Cosel, a po polsku zwano ją Kozłówną, spolszczając je jako bardzo „popularne“ i tak ją wzmiankuje ojciec Kacper Niesiecki.

Między jedną a drugą zachodziła jednak zasadnicza różnica: hrabianka Kö-

nigsmarck była kobietą dumną, wielką w swej miłości do Augusta, umiejacą wszystko poświęcić i wszystko postawić na jedną kartę. Była to godna potomkini dziwnego, rycerskiego, nieobliczalnego w swych porywach rodu, z którego wyszli liczni bohaterzy, awanturnicy, żołnierze. Pochodzili oni po Janie Krzysztofie v. Königsmarck, który pojawił się na szerszej widowni podczas 30-letniej wojny jako nieustraszony rycerz i świetny dyplomata. Zbudował on zamek Agetenburg niedaleko Stade, w okolicy Bremy. Umarł w Sztokholmie 1663 otrzymawszy tytuł hrabiowski. Z synów jego również Otton-Wilhelm, najmłodszy, wstąpił się dziełami wojennymi, a najstarszy, Konrad-Krzysztof, również zasłynął z odwagi i wojskowych sukcesów w służbie holenderskiej, i szwedzkiej. Padł od kuli armatniej: z swym małżeństwem z Marią Krystyną v. Wrangel, z tych samych Wrangelów, których jeden potomek wstąpił się w walce z rewolucją rosyjską, pozostawił Marię-Aurorę, synowie zaś jego również pomarli bohaterską, żołnierską śmiercią. Dumne i twarde to były rody tych Königsmarcków i Wrangelów: marzyli o najwyższych szczytach sławy i chętnie ginęli na polu walki. Król oczynzowany urodą Aurory wydał dla niej wspaniałe bale w Dreźnie i Moritburgu, które nieraz trwały 14 dni. Człowiek, który ciągle zastawiał z braku pieniędzy różne części elektorstwa — ks. schwarzburckie sprzedał za 7000 talarów rocznie, obwód Petersberg, w pobliżu Halli, za 90 tys. talarów, prawa do Lüneburg odstąpił Brumswickowi za milion i 100 tys. guldenów, obwód Born sprzedał za 500 tys. talarów, itd — nie szczędził i tym razem wydatków. Nie była jednak Aurora tylko igraszką w rękach króla: chciała i umiała odegrać rolę polityczną, czego najlepszym dowodem jej plan osadzenia swego syna Maurycego saskiego na tronie kurlandzkim, który po wygaśnięciu Ket-

terów wakał czekając na kandydata wskazanego przez polskiego króla, oraz jej podróż poljęta celem widzenia się z Karolem XII. Tym razem zamiarem jej było nawiązanie pertraktacji z Karolem, który, jak sądził obóz saski był na najlepszej drodze do porozumienia się z Rzeczpospolitą, celem strącenia Augusta z tronu. Wyjazd pięknej hrabianki do obozu Karola XII. można by porównać do wyprawy rajskiego ptaka do jaskini lwa. Karol nie uznający interwencji kobiet a może bojący się wystawić na pokusę nie przyjął hrabianki. Również niefortunnie skończyła się druga jej akcja dyplomatyczna zdążająca do zdobycia tronu dla syna. Brak poparcia energicznego Augusta II. i intrygi Rosji, która wprowadziła na tron swego faworyta Birona, uniemożliwiły realizację planów.

Szczęście Aurory Königsmarck przy boku elektora nie trwało długo: właściwie tylko od r. 1694 kiedy się poznali jesienią aż do roku 1696 naprawdę kochał August II piękną hrabiankę. Gdy jednak powrócił z wyprawy przeciwko Turkom, w której sprawował dowództwo nad wojskami cesarskimi, Aurora przestała być panią jego serca gdyż przywiózł z Wiednia nową faworytę, hrabinę Esterle, której mąż pełnił przy dworze habsburskim funkcje urzędowe. Małżonek nowej faworyty nie wyszedł źle na „cesji“ żony na rzecz elektora, gdyż został szambelanem saskim, z pensją roczną 20 tys. guldenów. Mimo, że Aurora w tym czasie, tj. 28 października 1696 roku urodziła w Goslar syna, późniejszego Maurycego saskiego, nie zdołała odnaleźć dawnej miłości zmiennego kochanka. Ale i pani Esterle niedługo cieszyła się jego wzglądami: wnet przyszła po niej Fatyma Turczynka, matka hrabim Rutowskiego, wydana za mąż za pułkownika gwardii saskiej von Spigel, po niej hr. Lubomirska, mianowana księżną cieszyńską matka Je-

(dokończenie na str. 664)

Z POLSKI



W Ulan-Batorze, stolicy Mongolskiej Republiki Ludowej, koncentrują Sowiety oddziały kawalerii kozackiej

W Katowicach odbył się zlot „Sokola” dzielnicy śląskiej. Oto fragment ćwiczeń pokazowych zespołów żeńskich



Min. Ciano i min. Ribbentrop natchnienie

Flota angielska odbywała ćwiczenia u brzo





*Naradzie w Salzburgu przybyli po-
clerza Hitlera*

I ZE ŚWIATA



*Komisarz Obrony Z. S. R. R. Woroszyłow (pierwszy z prawej) podczas narady z wyższymi
oficerami sowieckimi*

Brytyjskich w pełnym pogotowiu bojowym



*Mecz tenisowy Polska — Chiny, zakończył się zwycięstwem Polski w stosunku 4:1. Na
zdjęciu: od lewej: Kho-Shin-Kie, Choy, Baworowski i Tłoczyński*



Z POLSKI



W Ulan-Datorze, stolicy Mongolkiej Republiki Ludowej, komunistyczny Sowiety oddały koczownic
koczownic

W Katowicach odbył się I-ty „Szkola” dla dzieci Śląskiej. Oto fragment ćwiczeń pokonowych
z wykładem zrywków



Min. Cimes i min. Rolnictwa w odwiedziny przybyli po
nawróceniu do demokracji Hitlera

Fleeta amerykańska odhrywała ćwiczenia w bazach brytyjskich w pełnym pogotowiu wojennym



I ZE ŚWIATA



Komandyr Dłuzcy Z. S. R. B. Wierzyński (prawy) z powojni podrozwoju a byłym
-pilotami wojennymi

Mecz tenisowy Polska — Chiny, zakreślony się zwycięstwem Polski, w gronie 3-3. Na
zdjęciu: od lewej: Kuo-Sze-Kuo, Chiny, Buczowski i Tłoczyński



TRZY RAZY NAUKA

W I akcie „Kordiana” Słowackiego stary sługa Grzegorz, opowiadając Kordianowi swe wspomnienia z lat służby wojskowej pod rozkazami Napoleona, opisuje m. in. następującą scenę z walk w Egipcie:

„...Na wojska ogonie,
Snuły się z bagażami osły—przy bagażach
Przywlekli się z Francji w bagnetów
[zachronie
Mędrkowie, co to baśnie piszą
[w kalendarzach
Gardziliśmy, jak Niemcem, tą chmarą
[komarów,
Tą psiarnią, co jak trufłów wietrzyła
[kamieni,
Więc gdy do walki wiele stanęło pozorów.
Zawolaliśmy głośno: osły i uczeni!
Chowajcie się w kwadraty! dalej za pas
[nogi!...”

Takie przedstawienie udziału uczonych francuskich w wyprawie Napoleona do Egiptu nie jest zapewne wyrazem osobistego stosunku Juliusza Słowackiego do nauki i jej przedstawicieli. Słowa te włożone są przecież w usta zacnego, lecz prostego nie grzeszącego nadmiarem wiedzy i inteligencji wiarusa.

„Mały Kapral” był widocznie innego zdania w tej sprawie, niż jego żołnierze, gdy wyruszając do Egiptu zabierał z sobą uczonych archeologów, zapewniając im dosłownie pod osłoną bagnetów możliwość prowadzenia poszukiwań i prac badawczych. A przecież prace te i poszukiwania nie mogły dać wyników, które by bezpośrednio były użyteczne w prowadzeniu wojny. Lecz Napoleon głębiej i dalej sięgając genialnym swym umysłem, nie wahał się wśród szczyku oręża otaczać opieką uczonych nawet tych, których badania tak bardzo pozornie były oderwane od życia, tak mało realnych obiecywały korzyści.

I historia przyznała słusność „Małemu Kapralowi”, a nie jego wiarusom w rodzaju poczciwego Grzegorza.

Od czasu wojen napoleońskich upłynęło już sto kilkadziesiąt lat. Wiele, bardzo wiele się zmieniło w różnych dziedzinach życia ludzkiego. Uczeń, o których

z takim lekceważeniem mówili żołnierze typu owego Grzegorza, większym dzisiaj otaczani są szacunkiem zarówno przez cywilów, jak i przez wojskowych.

Bo jeśli niezaprzeczną prawdą jest to, że żyjemy w epoce coraz bardziej postępującego unaukowiania życia, to przecież wojna i wszystkie związane z nią sprawy nie stanowią pod tym względem wyjątku. I nie będzie bynajmniej przesadą twierdzenie, że elementy potęgi danego narodu, które zdecydować mogą w razie wojny o jego zwycięstwie, przygotowawane są nie tylko w zaciszu gabinetów wyższych dowódców wojskowych, nie tylko na poligonach i placach ćwiczeń, ale także w laboratoriach i pracowniach uczonych.

Jeśli Napoleon w swoim czasie powiedział podobno, że do prowadzenia wojny potrzebował trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, to trawestując te słowa, można dziś bez przesady stwierdzić, że do osiągnięcia zwycięstwa nad wrogiem niezbędna jest obecnie na odpowiednio wysokim stopniu postawiona nauka, nauka i jeszcze raz nauka.

Każdy wojskowy, każdy uczony, każdy przeciętny obywatel z tłumu musi o tym stale pamiętać i wiedzieć, jakie z tego należy wyciągać konsekwencje.

Wojskowy będzie więc w każdej wymagającej tego sytuacji zwracał się do uczonych i specjalistów z prośbą o radę i wskazówki, będzie ze swej strony wskazywał im zagadnienia, których rozwiązanie jest z punktu widzenia obronności państwa szczególnie ważne i pilne.

Uczony nie będzie zasklepiał się jedynie w kole własnych niecieranych oderwanych od życia zainteresowań, lecz wśród tematów swych prac badawczych na plan pierwszy wysunie te, które mu wskażą czynniki wojskowe, lub które sam uzna za najściślej z wymaganiami chwili związane. Będzie zawsze ochotnie śpieszył z opinią i pomocą tam, gdzie zwołać go będzie obowiązek narodowy, inne sprawy na razie na bok odsuwając, choćby były bliższe jego sercu i zamięlwanom.

A prosty obywatel z tłumu, zdając sobie sprawę z tego, jak wielkiego wysiłku

twórczego wymaga od uczonego polskiego współdziałal w dziele zapewnienia obronności kraju, będzie otaczał jego pracę szacunkiem i sympatią, będzie wytwarzał w ten sposób sprzyjającą tej pracy atmosferę, będzie wreszcie rozumiał konieczność zapewnienia pracownikom i laboratoriom naukowym odpowiednich warunków materialnych, by ani na chwilę nie osłabło tempo prowadzonych w nich badań.

Lecz jakich badań — paść może przy tym pytanie. Odpowiedź nie będzie prosta i krótka. Bo łatwo jest od razu, bez namysłu nicmal wymienić jednym tchem różne dziedziny nauk matematyczno-przyrodniczych i stosowanych, których rola w obronności kraju jest dla każdego obywatela jasna i oczywista. Ale gdyby się chciało wskazać te wszystkie zagadnienia, związane z szeroko pojmowaną obronnością kraju, które wymagają najściślej współpracy wojskowych, polityków, przemysłowców, rolników itp. z przedstawicielami poszczególnych gałęzi nauki to okazałoby się, że sam spis takich zagadnień wypełniłby chyba pokazywalne rozmiały.

Do niedawna jeszcze można było spotkać się ze zdaniem, że nauki humanistyczne są najmniej pod tym względem „użyteczne”. Dziś, gdy mamy już poza sobą całe micsiące „białej wojny”, w czasie której szaleje nieprzyjacielska propaganda, usiłując zwyciężyć bez wojny prawdziwej lub (gdyby się to nie powiodło) jak najlepiej do niej grunt w szczydzie przygotować, mikt chyba tego rodzaju twierdzenia o naukach humanistycznych podtrzymywać nie będzie. One bowiem przecież najważniejszą w takiej wojnie odgrywają rolę, one dostarczają argumentów i kontr-argumentów, one wykuwają ten oręż, którym propaganda potem walczyć może. Jesteśmy oto świadkami dla wielu niespodziewanego zjawiska, gdy prochy z głębi ziemi ręką naszych uczonych-archeologów dobyte wielkim głosem wolać poczynają, gdy polski historyk, językoznawca, etnograf, zmuszeni są stawać do boju nie tylko już w imię prawdy naukowej, ale w obronie zagrożonego dobra narodowego, demaskując w obłudną maskę argumentu naukowego przybraną germańską żądzę podboju i zniszczenia.

W. I.

Anglia wysyła oddziały słynnej kawalerii indyjskiej do Egiptu dla obrony Suezu



Najbarwniejsze wyścigi świata

Spśród wielu uroczystości tradycyjnych, święconych do dziś we Włoszech, niewątpliwie jednym z najbarwniejszych jest tzw. „Palio” w Sienie, składające się z pochodu i wyścigów 17 „Contrade” czyli średniowiecznych korporacji miejskich w historycznych, bajecznie kolorowych kostiumach — urządzone corocznie w dniu 2 lipca i 16 sierpnia, a ściągające tłumy przybyszów: swoich i obcych z całej Italii.

Zawody owe są niemal równie stare jak tradycje samego miasta (które wszak od Seniusa, syna Remusowego, się wywodzi, skąd rzymską wilczycę z bliźniętami ma za godło) — i... temperamentu jego mieszkańców, o których bijatykach od czasów mitycznego Tarkwiniusza opowiada Liwiusz, a za cesarstwa — Tacyt. Z tej to wiekowej atmosfery, butnej i bitnej, zrodziły się dzieje Sieny: jej licznych wojen, a w rzadkich chwilach pokoju — jej igrzysk.

Znają ją wprawdzie i inne miasta włoskie, by przypomnieć tylko z podobnych: „Giucio del Pomo” odprawiane w Arczepizańskie „Giucio del Ponte”, „Battaglia dei Sassi” w Perugii czy florenckie „Giucio del Calcio” — pierwowzór dzisiejszej piłki nożnej. Nigdzie jednak nie napotykamy takiej mnogości gier publicznych jak w Sienie, przy czym — wywodząc się zawsze same z jakichś ważnych momentów w jej dziejach — przemieniają się one tutaj kolejno z jednych w drugie, zachowując się w formie ostatecznej we współczesnym „Palio”.

Najstarsza z nich zwala się „Elmora” i wyobraża fikcyjną walkę na drewnianym miecze — na pamiątkę starć Sienieńczyków z wypieranymi przez Saracenów panami francuskimi w X w. Bito się mimo to nimi tak skutecznie, że wnet musiano zakazać tej zabawy. Wznowiono je później w 1260 r. na pamiątkę słynnego zwycięstwa Sieny nad Florencją pod Montaperto, przezywając je od patrona Sieny w tej bitwie, św. Jerzego, „Giuchi Giorgiani”. Kiedy zaś Florencja zawarła rozejm ze Sieną, kontynuowano je pod mniej bojową nazwą, nod wezwaniem błog. Ambrozego Sansedoni. Same zapasy nie straciły jednak na ostrości — tak że ostatecznie

musiano odebrać zawodnikom wszelką w rolę broń i kazać się im bić gołymi pięściami. Od czegoż jednak gorący temperament Sienieńczyków! W 25 lat po wprowadzeniu z końcem XIII w. owych „Giucio della Pugna” musiano je znów znieść po jednej z krwawszych bójek i zastąpić niewinną grą w piłkę: „Pallone”, ale — i tym razem nie na długo.

W czasie owych zawodów zapaśnicy dzielili się — zgodnie z podziałem mia-



Giermkowie „Contrade”

sta — na 3 okręgi zwane „Terzi”, które z kolei rozpadały się na „Contrade”. Były to więc korporacje, oparte na podziale administracyjnym — każda o własnym kościele, patronie i nazwie, wywodzącej się od zwierza w herbie. Od XV w. Contrade organizują własne zabawy — dalszy ciąg wspomnianych: naprzód walki byków, „Caccia al toro”, a po ich zakazie przez Sobór trydencki — „Bufalate”: wy-

ścigi wołów. W razie, jeśli przypadają one w karnawale, odbywały się na... osłach, miały nazwę „Asinate” i nawet osobnego patrona zwanego niezbyt pochlebnie „św. Antonim od świń”: S. Antonio del porco”. Nawet one jednak nie obywały się bez wypadków, tak że w XVII w. zniesiono je na rzecz wyścigów konnaych Contrade, czyli — dzisiejszego „Palio”.

Nazwa ta pochodzi z łacińskiego słowa „pallium” i oznacza sztandar, który stanowił nagrodę dla zwycięzcy — o barwach Sieny: białoczarnej, z obrazem Matki Boskiej. W samej zaś organizacji Palio zachował się ponad to cały szereg tradycji z dziejów miasta, a zwłaszcza z czasów jego walk z Florencją, zakończonych wspomnianym zwycięstwem pod Montaperto z 1260 r. Sienieńczycy oddali wówczas swój gród specjalnym holdem pod opiekę Madonnie — a po zwycięstwie przezwali go „Państwem Dziewicy”: „Civitas Virginis”. Później jeszcze pięciokrotnie w czasie groźnych nieszczęść mieszkańcy ponawiali dawne śluby, ustanawiając Królowę Nieba — Królową Sieny. Obchodzili też święta Nawiedzenia (2 lipca) i Wniebowzięcia (15 sierpnia) tak uroczystie, iż w XIV w. musiano wydać szejnalny nakaz, by koszt ich nie przekraczał ogromnej na owe czasy kwoty stu florenów w złocie. Podczas owych uroczystości udawano się holdowniczą procesją do katedry całej z białoczarnej marmurów, wioząc białoczarne szejnary — Palio — na zdobycznym bitewnym wozie spod Montaperto tzw. „Caraccio”. Z nich też — jak zobaczymy — wywodzą się daty i zwyczaje obecnego „Palio”.

Zrodzone z wiekowej puścizny, Contrade i ich wyścigi kontynuują je przez swe kroniki i listy zwycięzców prowadzone od 1650 r. (niezawsze autentyczne) i przez niepisane tradycje, czasem wprost rozbrajające w swych anachronistycznych pretensjach (jedna z nich, „Tartuca” (Żółw) wywodzi się z... IV w.!). Liczba ich ulegała w ciągu wieków różnym zmianom zależnie od podziału miasta lub łączenia się ich ze sobą — nieraz też rozwiązywano je za karę za równie tradycyjne bójki, tak że dziś z dawnych 59 pozostało tylko

„Piazza del Campo” w Sienie w dzień powszedni



Ten sam plac w dniu wyścigów „Palio”



17. Zrazu brały udział w wyścigach wszystkie, z powodu częstych jednak przy ich tłumności wypadków zmniejszono w 1720 r. ich udział w wyścigach do 10 kolejno — bez ograniczenia ich w samym pochodzie. Mają one swą arystokrację i swych chudopacholków. Cztery z nich: „Aquila“ (Orzeł), „Bruco“ (Liszka), „Niccchio“ (Muszla) i „Oca“ (Gęś) noszą tytuł „szlachetnych“: „nobile“ i miatrę książęcą w herbie, choć tylko jedna — Aquila — autentyczna. Są też Contrade szczęśliwe i pechowe, jeśli idzie o ilość ich zwycięstw. Najwięcej ich od 1650 r. odniosła „Oca“, pozostająca pod mozną, zwłaszcza na terenie Sieny, opieką św. Katarzyny Sienieńskiej jako Patronki, której XIV-wieczny dom rodzinny „Benincasa“ stanowi jej Oratorium. Istnieją nakoniec Contrade przyjacielskie i wrogie sobie wzajem, a dawne te uczucia, pogrzebane na codzień w pamięci, odżywają stale i dziś w okresie Palio. Powodem ich bywała najczęściej chęć wysadzenia się w zbytku jednej Contrady nad drugą. Oprócz wyścigów urządzano bowiem również konkursy piękności i pomysłów dla poprzedzających je pochodów wozów Contrade, niegdyś obronnych w czasach jeszcze pierwszych walk byków, a później już tylko zdobytych — nieczym dzisiejsze zawody elegancji samochodów. Ogłoszono raz np. taki konkurs w 1581 r. Traf chciał, iż w roku tym po raz pierwszy (i niestety ostatni zarazem) stanęła do zawodów — dziewczyna: Vittoria z Contrady „Drago“ (Smok), zwana przez kroniki wdzięcznie „villanella“ (wieśniaczka). Stanęła do zawodów i — przegrała. Zwyciężył jakiś mało widocznie rycerski przeciwnik z Contrady „Onda“ (Fala). Lecz sprawiedliwi sędziowie, ujęci snąc wiośniwym urokiem dziewczyny, przyznali nagrodę nie jemu, lecz Contradzie „Drago“, jak zapisano w aktach „za najpiękniejszy pomysł“: „per la piu bella invenzione“ — właśnie za ową

„villanelle“. Szkoda tylko, że ten piękny pomysł pozostał — jednorazowym.

Nie zawsze jednak sympatie okazywane poszczególnym korporacjom miały tak niewinny charakter. Przemycano w nich nieraz aluzje polityczne, których inaczej wypowiedzieć — nie było wolno. Opowiada dziejopis „Contrade“, Brogi, jak to „kiedy myśl o wolnej Italii była jeno snem i marzeniem“, lud sienieński potrafił pod bagnetami wygwizdać dwugłowego orła i czarno-żółte proporce korporacji „Aquila“, a frenetycznym oklaskiem darczyć biało-czerwono-zielone chorągwie Contrady „Oca“ — o barwach narodowego sztandaru.

Ale — porzućmy już te historyczne rozważania. Oto w pogodny letni dzień podążamy ku Sienie. Miasto wita nas z dala stubarwnymi flagami swych korporacji i napisem wyrytym nad bramą „Camullia“:

„Cor tibi porta magis Siena pandit“
„Szerzej niżli swe bramy Siena Ci serce otwiera“

Pierwsze kroki kierujemy ku świątyni jednej z Contrad. Odbywa się w nich w tej chwili oryginalny zwyczaj święcenia koni, biorących udział w igrzyskach. Członkowie Contrady w średniowiecznych, barwnych strojach wprowadzają przybranego podobnie rumaka do kościoła, gdzie kapłan skrapia go wodą święconą i odmawia nad nim liturgiczne formuły — tak naturalne w tym kraju największego przyjaciela zwierząt, św. Franciszka z Asyżu: „Benedictionem Tuam, Domine, haec animalia accipiant, qua corpore solventur et ab omni malo liberentur“. W tej chwili ciszę świątyni męci nagły wrzask zebranych. Im nieprzystojniej zachowują się przestraszony zagnał koń, tym lepsza pono wróżba zwycięstwa...

Od każdego z 17 kościołów Contrade ciągnie potem barwny orszak korporacji poprzez równie malownicze uliczki sta-

rej Sieny ku biało-czarnej marmurowej katedrze po wspólnie arcybiskupie błogosławieństwo, skąd tęczowym korowodem spływa na plac zawodów: „Piazza del Campo“. Ma on kształt jakby olbrzymiej muszli, obramionej starymi pałacami z wznoszącym się naprzeciwko ratuszem: „Palazzo del Comune o surowych i pięknych liniach tokańskiego gotyku. Tego dnia wokół popod domami pobudowano amfiteatralne ławy i odgradzono łańcuchami środek placu tworząc między nimi szeroki wolny pas zwany „pista“ — szlak pochodu i wyścigów.

Zę szczytu wieży ratuszowej zwanej „La Mangia“ odzywa się wielki dzwon „Camponoue“ — znak rozpoczęcia igrzyska. Otwiera go Choraży komuny na białym koniu z wielkim biało-czarnym sztandarem gminy. Kroczą za nim chorażowie 36 zamków i miasteczek, nad którymi niegdyś Siena dzierżyła władzę. Poprzedzane muzyką przyciągają ozdobne orszaki wszystkich Contrade. Specjalną uwagę zwracają tu popisy giermków, igrzących z nadzwyczajną zręcznością ciężkimi chorągwiami. Jest to tzw. „bandierata“. Raz wraz, ciśnięty z niezwykłą wprawą, wylata stubarwny sztandar, rozwija wysoko w powietrzu tęczę swych kolorów, by w chrzście jedwabi i łopocie wstęg opaść w ręce współzawodnika. Oklaski i okrzyki, rozlegające się dokoła znaczą pochód owych sztukmistrzów. Wiodą przybrane bogato konie Contrady: rumaki paradne, zastępujące dziś dawne wozy ozdobne, i drugie przygotowane już do wyścigów. Nie są to bynajmniej jakieś wierzchowce wysokiej klasy, wręcz przeciwnie — to często zwykłe konie wiejskie i miejskie nawet, zdają się jednak mieć we krwi ambicję owych gonitw — czegóż zaś nie wydobędzie z nich południowy i tradycyjny temperament zawodników sienieńskich! W całości jednak jest to atrakcja nie tyle sportowa, ile artystyczna, zarówno przez swój charakter, jak i bajeczne tło. Zamyka pochód wspomniany wóz triumfalny „Carroccio“ — potomek owego spod Montaperto — który ciągną 4 białe woły okryte kapami o barwach Sieny: biało-czarnych oraz olbrzymi sztandar o tychże barwach, tło dla barwnie wyszytego „Palio“ — chorągwi dla zwycięzcy.

Czarny cień wieży ratuszowej, rzucony na mury niby wskazówka olbrzymiego zegara słonecznego, przesunie się jednak dobrze na prawo, zanim po długim okrążaniu placu, który sam jest jedną wspaniałą dekoracją, ów fantastycznie barwny orszak zgrupuje się wreszcie nieruchomo nawprost nas: na trybunach Palazzo Comunale — niby olbrzymi żywy obraz.

Tymczasem obok gromadzą się już zawodnicy na koniach, by po opadnięciu granicznej liny runąć jak burza w trzykrotnym biegu w pusty plac gonitwy. Podsycone wielością wrażeń, napięcie tłumy wyzwała się teraz z gwałtownością południowego temperamentu. Krzyki, gwizdy, wzywania świętych, przekleństwa, świst razów, obłoki kurzu, oklaski, zawołania różnych Contrade — wszystko to zlewa się ze sobą. Jeden ogromny krzyk polatuje nad placem sygnalizując widzom, gdzie czoło zawodów, gdzie wre najgorętsza walka.



Wspaniały zabytek budownictwa włoskiego, katedra w Sienie

A jest to czasem walka nie tylko o sztandar i chwałę zwycięstwa, ale wprost — o życie. Tradycyjne w dziejach zawodów sienneńskich wypadki, nawet śmiertelne, zdarzają się i dzisiaj. Jedno zwłaszcza miejsce o ostrym spadku i kacie obok kościoła S. Martino naprzeciwko Palazzo Piccolomini stanowi najniebezpieczniejszy punkt wyścigów. Stąd w gwarze sienneńskiej wyrażenie „andar a S. Martino, oznacza jeszcze dziś — niebezpieczny wypadek.

W burzliwy oddech tłumu spada nagle z wysoka powtórny dźwięk dzwonu „Campanone“ — znak, że, zwycięzca stanął u meły. Wiodą go — chronionego asystą karabinierów, dla ochrony przed zbyt entuzjastycznym ludem — ku trybunie honorowej przed „Palazzo del Comune“, gdzie zasiądzie pośrodku orszaku z miedzawego, świetnego pochodu. Na jego cześć podejmą znów giermkowie 17 Contrade drzewca swych sztandarów, rozwiną ich barwne proporce. Wielka „Bandierata“! Trzydzieści cztery chorągwie wylatują za jednym razem wysoko w powietrze — w blaskach zachodzącego słońca tworząc na tle surowych ścian „Palazzo Comunale“ jedną ogromną tęczę barw.

A potem — zwycięzka Contrada z tryumfotorem biegu i zdobytym „Palio“ udaje się na czele innych do kościoła S. Maria di Provenzano na dziękczynne „Te Deum“. Wieczorem w całej Sienie odbywają się luzne biesiady, tańce i zabawy. U stołu zaś zwycięzcy stoi tuż obok — pełny, jakże zasłużony złób jego konia.

Późną, południową nocą na ścianiamy „Piazza del Campo“ plonie iluminowany „Palazzo del Comune“. Wszędzie — w szkarpach obronnych, w załomach murów — migocą tysiące staroświeckich lampek oliwnych. Na prawo, nad wyniosłością domów, rysuje się na wzgórzu w cieniach nocy — jakby zawieszona w powietrzu — katedra sienneńska, w zimnym świetle reflektorów — srebrna i czarna.

Jakimże słowem objąć wrażenia tego jedyne go dnia, od porannego powitania przez napis wróżebny na „Porta Camuliana“, poprzez barwne i gwarne igrzyska, aż po ów wieczór pełen niewysłowionego uroku? Na myśl przychodzą słowa Sieny, Marradi'ego:

„Siena—città dei sogni, apre i cuore...“

„Siena — miasto snów, otwiera serce...“

Miasto snów...Istotnie, w tym dniu w roku Siena zdaje się otwierać serce swe i bramy miast: śnić najpiękniejszy sen — o san

J ó z e f



Tulon

PODRÓŻ NA POŁUDNIE

Podróż z Vichy do Tulonu odbyła się szybko i przyjemnie. Zupełnie pusty przedział i coraz piękniejsza pogoda w miarę posuwania się na południe robią swoje.

Jest ciepło, tak ciepło jak może być tylko nad morzem Śródziemnym. Słońce praży z błękitnego nieba. Z okien wagonu widać wypłowiałe mury miasteczek, na zboczach wzgórz już rosną oliwki, a ziemia jest koloru różowego. Jesteśmy na południu. Niby ta sama Francja, a wszystko jest inne. Ludzie na stacji w Marsylii mówią więcej i im się twarze są jakieś szersze, rumiane.

Tulo

wek podłogi między dwoma samochodami. Miejsce świetne, osłonięte z dwóch stron i jeżeli tylko nie będzie deszczu — mogą być zupełnie zadowolona. Jest coraz pełniej. Nad Super-Komplet. Towarzystwo okrętowe „Fraissinet“, które ma wyłączność na komunikację między kontynentem a Korsyką — może być zadowolone; gorzej z pasażerami, ale tych nikt się nie pyta.

Odbijamy o godzinie ósmej.

Zaczyna się powoli ściemniać, ale z naszego pokładu jeszcze długo widać skąpane w pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca — miasto — otoczone długimi pasmami sadów owocowych. A za nim fiołowe góry, a za górami wielkie, ciemniejące niebo.

atek manewruje dosyć długo, bo nie z zapelnionego portu jest skomplikowane. Jest coraz ciemniej. Zaczynają się widać światła w porcie. Mijamy wieżę wspaniale iluminowanych transparyentów. Wyjeżdżamy na pełne morze. Widać przez jakiś czas widzę migające światła latarń morskich, potem zostajemy zupełnie sami otoczeni ciemnością i blaskiem fal.

Na pokładzie ludzie zaczynają się organizować. Nazwałabym to utasowaniem się — widać poznornego tłoku (myślałam, że poważa pasażerów będzie musiała stać przez całą noc) po niespełna godzinie każdy znalazł jakoś się ulokować. Starszy pan, otoczony dwiema przystojnymi córkami, widać stewardowi pierwszej klasy jakiś przywilejowany pokład z leżakami. Widać, że mu pasażerowi udało się umocować się jak. I tak każdy radzi sobie jak może. Widać gwar i śmiechy coraz głośniejsze — potem oklaski. To jedzie na tym samolocie — orkiestra i pa-

PROSZKI
MIGRENO-NERVOSIN
KACOTEI
GABECKIE
GRYPA, PRZEZIĘBIE
BOLE GŁOWY, ZĘBÓW
LADUJĄCE PRZEBIEGI TYLKO W HYGIENICZNYCH TORBACH

sażerowie domagają się koncertu. Muzycy chętni, powyciągali instrumenty i chcieliby już grać, ale brak im flecisty. Szukają go wszędzie. Najwięcej krzyczy i woła saksofonista, który wyraźnie marzy o popisaniu się przed rodakami. Bo prawie wszyscy dokola to korsykanie i korsykaniki, jadący do swoich krewnych na urlop czy wypoczynek letni.

Po dwudziestu długich minutach udało się znaleźć (w poszukiwaniach brali udział wszyscy), gdzieś na dolnym pokładzie, na przodzie, drzemiącego flecistę.

Już niesie swoje walizy i leżak do reszty orkiestry. Trochę dał się prosić i po chwili rozlega się popisowy szlagierek.

Pokładowcy zbierają się dokola, słuchają zachwyceni i nagradzają orkiestrę entuzjastycznymi oklaskami i brawami. Chociaż gatunek produkcji jest raczej pośredni. Panowie muzycy fałszują fenomenalnie. Ale to najwyraźniej nie ma znaczenia.

To, że się jest na statku, szum fal, powietrze wilgotne i słone, drżenie pokładu w takt maszyny, opalone, uśmiechnięte twarze i efektowne oświetlenie — układa się razem z dźwiękami tej kiepskiej, dętej orkiestry w całość pełną nastroju. Wygląda to trochę na genialny powrót synów marnotrawnych na łono ojczyzny, trochę na obóz wojskowy a także na przedstawienie teatralne.

Gdy muzyk gra na zakończenie (po Marsyliance) hymn prowansalski, chór pasażerów podchwytuje melodie i wtóruje półgłosem.

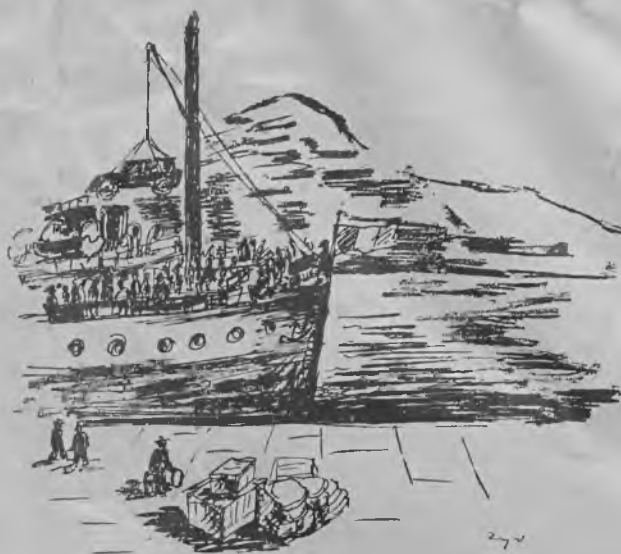
Potem wszyscy rozchodzą się i od razu układają się do snu. Jest godzina dziesiąta. Morze spokojne i gładkie, na niebie gwiazdy. Wkładam sweter, zawijam się w koc i już prawie zasypiam, gdy na nowo słyszę ruch na pokładzie i krzyki — deszcz, deszcz. Wszyscy uciekają na dolny pokład. Spada kilka kropel. Patrzę w niebo i widzę, że sytuacja wcale nie groźna, że chmura tylko jedna, a naokoło błyszczą spokojnie gwiazdy — i zostaję.

Już przez sen słyszę, jak moi sąsiedzi

...wsunął pieniądze w rękę stewardowi...



l
vo
Fr
s
śl
c
s



Ladują samochody

wracają, żeby znów się ułożyć na swoich dawnych miejscach.

Budzę się o piątej rano z radosną myślą, że przejazd uda się wspaniale, morze przez całą noc było spokojne. Wszyscy już wstali, krzątają się dokola swoich walizek, myją dzieci. Jest zupełnie widno i na horyzoncie rysuje się wyraźnie górzysta sylwetka Korsyki.

Tola Korian

Rysunki Aleksandra Żywa



Kwiaty polskiego Rokoka

(początek na str. 657)

rzego kawalera saskiego (Georges chevalier de Saxe). W końcu w rządzie znanych faworyt stanął hrabina Hoym, mianowana hrabiną i ta najściślej związana z Augustą II. w Polsce. Jej regencja w imieniu króla

jak później książę „Dynasów“, świętny admirał rosyjski, indygena polski, polujący na niedźwiedzia w nalibockich lasach i na posażną żonę (pannę Gozdzką) w warszawskich pałacach wielmożów.

Drezdeńsko-polskie rokoko miłośnic przeszło u nas prędko pozostawiając przykre wspomnienie i odżywając raz jeszcze, w innej zresztą nieco postaci, za króla Stasia, uroczego gospodarza Łazienek i niezczęśliwego kochanka Katarzyny.

Jan Maleszewski



WŚRÓD LASÓW I RZEK NISKIEJ GWINEI

„POLESZUK“ RUSZA W GŁĄB AFRYKI



„Poleszuk“ w Dakarze

Jacht Z. H. P. „Poleszuk“, który w dn. 23 lipca roku ubiegłego wyruszył z Gdyni na wyprawę morską, w ciągu swej rocznej żeglugi przebył około 15.000 mil morskich. W dn. 26 lipca r. b. zakotwiczył w New Yorku.

Dania, Holandia, Francja, Anglia, Hiszpania i Portugalia — to kraje Europy, do których kolejno zawijał jacht. W Afryce odwiedził Maroko, Wyspy Archipelagu Kanaryjskiego, Senegal, Gwineę Francuską i Sierra Leone (angielskie posiadłości).

Wreszcie w marcu r. b. ruszył na drugą półkulę, a przebywszy 7.IV po 27-dniowej żegludze Oceanu Atlantyckiego, rozpoczął swą wędrówkę po Ameryce Południowej i Środkowej: Guyana Brytyjska, wyspy Indyj Zachodnich: Trynidad, Grenada, Martynika, Barbados, San Domingo, Kuba, Floryda.

„Tygodnik Ilustrowany“ rozpoczyna druk cyklu reportaży p. Mściława Wróblewskiego, urzędnika tej niezwykłej wyprawy.



Murzyn grający na „tam-tam“

1. Lowca krokodyli

Szerokie, proste, zaciemnione wysokimi mangami ulice Cenakry! Niskie, parterowe domki kolonialne, dużo ogrodów, barwny, ruchliwy targ murzyński „marché indigène“, jak nazywają Francuzi, a koło niego sklep z szyldem: „Violla, chasseur des chaimans!“.

Napis ten zaintrygował nas od razu: powiało od niego prawdziwą Afryką, nie taką, jaka istnieje dziś — Afryką plantatorów, domów handlowych i administracji, ale taką, o jakiej się czytało w awanturnych powieściach w dziecinnych latach — Afryką myśliwych, wielkich przygód, walk z tubylcami.

Zaszliśmy oczywiście do sklepu od razu: masa skór krokodyli, artystycznie pomyślane torebki, ... o książek, kilka wycieczek ...

Dziw...



„Kaza“ murzyńska w Gwinei



Na targu murzyńskim w Kindia

Skóra krokodyla



z przyborami do wchodzenia na palmę





Violla, łowca krokodyli



„Pus-pus” — dorożka murzyńska

braźni z żywym człowiekiem, lecz zanośiło się na to, że opuścimy Afrykę, a Violla będzie wciąż tym tajemniczym „Panem”, o którym czarni służący mówią z szacunkiem i odrobiną strachu, że poluje nie wiadomo gdzie i nie wiadomo kiedy.

I nagle przedostatniego dnia naszego pobytu w Cenakry konsul polski w Gwinei, pan Salkowski, mówi, zniższy głos: „Violla przyjechał!”

Idziemy do niego natychmiast.

Tak dobrze nam znany sklep! Panuje tam półmrok; na środku olbrzymia drewniana kadź, dwaj czarni płócą w niej skóry.

Z boku, w cieniu, na wielkim stolku siedzi jakiś człowiek, rzucając półgłosem uwagi czy rozkazy i obserwując uważnie robotę.

Nie potrzebujemy pytać, wiemy od razu: to on, Violla.

Przywitanie. Nie przejmuje się zbyt nio naszymi odwiedzinami: wielu musi mieć takich gości.

Jest jednak grzeczny, udziela krótkich objaśnień, dając album z fotografiami do przejrzania. Album — to wspaiała praca Vialli, olbrzymia księga, oprawna w skórę krokodyla największego, jakiego udało się Vialli upolować. Zadziwia obmyślenie szczegółów i celowe wyzyskanie właściwości skóry. Najciemniejszą częścią skóry jest t. zw. „kaj”. t. i. zgrubiała tarcza — i ska na karku, stanowi on wspaiałą ozdobę okładki albumu, leżąc pośrodku nie niby jakaś tarcza herbowa, podzielona na cztery pola — cztery łuski kaj. Okładka spodnia — to skóra z ogona z dwoma pasami ogromnego grzebienia, które stanowią niby nóżki — podstawę, na której opiera się księga.

Robota piękna, oryginalna, celowa. ja jednak bardziej obserwuję spod oka twórcę tego pięknego przedmiotu, niż sam album.

Wrażenie istotnie niezwykle. Być może nie doznaję rozczarowania: rzeczywiście nie ustępuje wcale marzeniu. Mśliwiec nie nosi wprawdzie długich butów, lecz lekkie przewiewne pantofle, nie opiera się w skórzanym ubraniu, lecz swobodnie porusza w lekkiej koszulce z krótkimi

mi rękawkami i w krótkich kolonialnych spodniach do kolan (u nas takie noszą tylko harcerze — tu niemal wszyscy!), ale ma zato inne cechy niezwykle. nderżające.

Przede wszystkim bije od tej postaci wielka siła fizyczna. Potężne, wręcz niezwykle bary, gruby kark, ramiona i łody jak u cyklopa. Wydaje się niski i dziwnie szeroki, jakiś kwadratowy, choć, gdy staje przy nim, widzę, że nie jest wcale niższy ode mnie.



ZGON WYBITNEGO PRAWNIKA

Dnia 28 lipca b. r. zmarł w Warszawie ś. p. adwokat Wojciech Henryk Janczewski, b. prokurator Sądu Wojskowego, podprokurator Najwyższego Sądu Wojskowego, czynny członek Tow. Polsko-Japońskiego i wiel. inu.

Zgon ś. p. Wojciecha Henryka pograżał w żałobie nie tylko najbliższą rodzinę, lecz cały zastęp przyjaciół i znajomych oraz liczne rzesze tych, z którymi Zmarły miał jakikolwiek kontakt osobisty. Żywot-

Ale to nie niezgrabny atleta: ciało potężne, lecz jednocześnie sprężyste, ruchy energiczne, szybkie.

Z twarzy nderża stanowczość i jednocześnie coś niesympatycznego, jakaś złość czy okrucieństwo — trudno powiedzieć. W każdym razie ostra to twarz, twarz brzydka i twarda, ogromnie czarne brwi, wąskie zaciśnięte usta, wielka, nawpół lysa czaszka.

Mścisław Wróblewski
(D. c. n.)

na, promienna Jego natura nie znała bezczynności. Już jako student, organizował studentów Polaków, wydając czasopisma dla młodzieży, zakładając kółka, które odegrały dużą rolę jako ośrodek polityczno-kulturalny i organizację samopomocowe. W życiu kulturalnym Polski Odrodzonej ś. p. Zmarły brał udział h. czynny wkładając w swoją pracę niewyczerpane zasoby energii, doświadczenia i wiedzy.

Wybitnie zdolny, wszechstronnie wykształcony i utalentowany, wolny czas od zajęć poświęcał literaturze i muzyce. Został 50 tomów pamiętników. Zmarłego cechowały: nieskazitelną, prawość charakteru, wzorowa wprost sumienność i obowiązkowość, serce czule dla potrzebujących pomocy oraz wielki dar zjednywania sobie ludzi, dzięki niebywalej promienistości, radości i pogody ducha, którymi tchnęła cała Jego postać. Te wszystkie cechy łącząc z ujmującą prostotą i bezpośrednią skromnością tworzyły postać tak rzadko piękną, że zrozumieliśmy jest współczucie, jakie okazano pp. mecenasowi i doktorowi Janczewskiemu z powodu straty ukochanego brata. Pogrzeb ś. p. Wojciecha Henryka Janczewskiego odbył się z honorami wojskowymi. Na trumnie Zmarłego został złożony wieniec o barwach narodowych przez naczelnego prokuratora Sądu Wojskowego i szefa departamentu sprawiedliwości M. S. Wojsk. gen. rescha.

Cześć pamięci człowieka o najwyższych walorach człowieczeństwa!

T E A T R

„WESELE FONSIJA” (Teatr Narodowy)

Można przytaczać różne racje za wystawieniem krotoczwili Ruskowskiego, właśnie w chwili bieżącej i to w Teatrze Narodowym. Czasy napięć wymagają podobno lżejszego repertuaru, scena ma spełniać rolę kołca rozładującego nastroje. Jest dalej lato, a stara doktryna teatralna głosi, że sztuka poważna wymaga co najmniej temperatury umiarkowanej, jeśli już nie mrozu. Poza tym „Wesele Fonsia” jest przecież jedna z najlepszych naszych krotoczwili i należy mu się miejsce w repertuarze retrospektywnym. Wyznam, że nie wszystkie te argumenty są dla mnie przekonujące i sądzę, że lepiej było wystawić coś innego, o większym ciężarze gatunkowym, mniej skonstrastowanego z rzeczywistością.

„Wesele Fonsia” brzmi w dzisiejszej atmosferze szczególnie głucho, zwłaszcza jeśli się je ujmie „komediowo”. Zagrane



Adolף Dymśza

bardziej „buffo” przeniosłoby nas może w świat absurdu, gdy tak, jak je oglądamy na scenie teatru Narodowego, nasuwa raczej smutne refleksje o poziomie wymagań naszych ojców. Jest jak stara, odrutowana filiżanka fajansowa, starto z niej trochę kurzu, ale nie zdołano zmienić staroświeckiego kształtu i tandetnej emalii.

Staranność reżysera (p. Borowski) jest przy sztukach tego rodzaju cnotą bardzo chwalebna, ale cokolwiek kłopotliwa. Im plastyczniej wychodzi taki oleodruk sceniczny, tym bardziej odsłania swoją pustkę, swoją anachroniczność. Rzecz jasna, że gdy taki utwór wprowadzamy na scenę teatru Narodowego, powstaje zagadnienie stylu odwórczego, tylko że rozstrzygnięcie nie musi padać na płaszczyźnie wyłącznie historycznej, lecz raczej na jakimś planie mieszanym, godzącym stylizację epoki z przetruceniem całego

utworu w inny wymiar literacki. W teatrze Narodowym pomyślano o tym aby skopiować wiernie stare żurnale, ale



Scena zbiorowa z „Wesela Fonsia”

przeoczono konieczność zajęcia stanowiska wobec całego tego rodzaju artystycznego, do jakiego należy „Wesele Fonsia”.

Aktorsko przedstawienie jest co najmniej poprawne. Prym wiedzie p. Roland. Fonsio pełen życia i humoru. Znakomita

Krzemiński. Dobrze także zapisał się w pamięci p. Solariski.

Doradzałbym tylko szybsze tempo. Nie różmy z krotoczwili krotogodzin.

Wacław Syruczek

P. Dulęba i Żeliska



Nowość!

NIEWIDOCZNY NA SKÓRZE

puder
koloidalny
SIX-SIX
Cherys

DAJE CIERZĘ
WIECZNA MŁODOŚĆ

Gruźlica płuc jest nieublagana i co-rocennie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych, bronchitu, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu itp. stosują pp. lekarze „Balsam Trikolan” Gąseckiego, który ułatwia wydzielenie się płwociny, wzmacnia organizm i samopoczucie chorego oraz po-większa wagę ciała i usuwa kaszel. Sprzedają apteki.

Z POLSKIEGO RADIA „Grażyna” na ruinach zamku krzyżackiego w Działdowie



P. Helena Adameczkówna

Dnia 10 b. m. przed mikrofonem P. R. śpiewała p. Helena Adameczkówna, młoda wybitnie utalentowana śpiewaczka. Artystka wykonała pieśni: Szumana, Schuberta, Żeleńskiego, Szopskiego, wykazując głos piękny i wyrównany w całej skali.

W ramach uroczystości Granwaldzkich odbyła się w Działdowie w dn. 23 ub. m. impreza teatralna zorganizowana przez wakacyjny kurs teatralny oświaty pozaszkolnej. W ruinach zamku krzyżackiego z XIV wieku została odegrana „Grażyna” A. Mickiewicza.

Kursy teatralne organizowane są u nas przez władze szkolne, Instytut Teatrów Ludowych i regionalne związki teatrów ludowych. Mają one na celu przygotowanie reżyserów teatru ludowego do pracy z zespołami teatralnymi. Przewagę wśród uczestników tych kursów stanowi nauczycielstwo szkół powszechnych. Kurs teatralny w Lidzbarku skupił 45 osób z województwa warszawskiego. Poza przerobieniem normalnego programu kursu przygotowano na nim dwa widowiska „W słonecznym kręgu” J. Cierniaka i „Grażynę”.

Widowisko to było właściwą prapremierą „Grażyny” jako widowiska rycerskiego na wolnym powietrzu. Pierwszą próbę inscenizacji „Grażyny” na scenie szkolnej podjął prof. Baumfeld w gimnazjum sanockim w związku z obchodem ku czci Mickiewicza. Było to w 1904 r. Rola Litawora grał wówczas kończący gimnazjum, młody poeta — później legionista ś. p. Józef Mączka.

W Działdowie „Grażyna” grana była w inscenizacji i reżyserii mgr. Bronisława Nycza z ilustracją muzyczną p. J. Kolaśńskiego z Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego. Kostiumy projektował art.-malarz A. Jabłoński. Udział w widowisku brał cały zespół kursu teatralnego z p. Tuzinkiewiczówną (Grażyna), Swigoniem



P. Janina Tuzinkiewiczówna w roli Grażyny

(Litawor), Pawłowskim (Rymwid), Ratajkiem (komtur) na czele, ponadto chór dziewcząt litewskich, starcy, kapłani, strażnicy, dworzanie, konny oddział wojska (wojska litewskie i krzyżackie) oraz połączone zespoły orkiestr z Działdowa i Lidzbarka pod dyr. p. J. Kolaśńskiego.

Niezwykle troskliwe współdziałanie organizacyjne i techniczne przygotowania na zamku objął oddział Polskiego Związku Zachodniego w Działdowie. Wykonanie kostiumów i sfinansowanie artystycznego wyposażenia widowiska wzięli na siebie Mazowiecki Związek Teatrów Ludowych. Reżyserował mgr. Bronisław Nycz.

Parotysięzny tłum publiczności oklaskiwał gorąco wykonawców i stare a tak aktualne w obecnej chwili prawdy charakteryzujące krzyżaków. Obecny był na przedstawieniu p. Kurator Okręgu Szkolnego W. Ambroziewicz, miejscowa inteligencja z p. pułkownikiem i starostą na czele i tłumy publiczności, wśród której znajdowali się również p. Dr Obitz i p. Kiwicki wydaleni z Prus Wschodnich. Widok ruin zamku oświetlonych pochodniami, odgłosy bitwy odbywającej się za murami, konne oddziały krzyżackie i litewskie zostały niezatarte wrażenie w pamięci ludności naszego pogranicza.

J. S.



Fragm. z widowiska „Grażyna”. Scena przed pogrzebem Grażyny

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAOKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50	kwartalnie	zł 19.—	kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	rocznie	zł 74.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—			Zmiana adresu	zł 0.50
rocznie	zł 66.—				
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 143 Redakcja nie zwraca niezamówionych rękopisów.

CENNIK OGŁOSZEŃ Str. 1/1 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/4 — 250 zł, 1/8 — 150 zł, 1/16 — 100 zł, — za exp. wiersz. milimetry, lub jego miejsce PRZED I ZA TEKSTEM: 1,50 zł Filonc, artykuły opiewe, plakaty tablicowe, 1 str. czarna i biała zarezerwowane 50% drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P.K.O. 143.

Program Polskiego Radia

Od dn. 20 VIII. do dn. 26 VIII. 1939

Niedziela — dn. 20.VIII.

7.00: Audycja poranna. 9.00: Nabożeństwo. 12.03: Poranek muzyczny. 13.00: Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego. 13.15: Muzyka obiadowa. 14.45: „Czytamy Mickiewicza“ — audycja XII. 15.00: Audycja dla wsi. 16.30: Ludwik van Beethoven: Trio smyczkowe Es-Dur — koncert. 17.15: „Bulgaria“ — felieton. 17.30: Podwicezorek przy mikrofonie — transm. z Bagateli. 19.00: „Kamienie“ — słuchowisko wg Rodziewiczówny. 19.35: Nowe nagrania słynnych artystów — koncert z płyt. 21.15: „Na Łyczakowie“ — wodewil w 3-ch aktach.

Poniedziałek — dn. 21.VIII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Kupiec i handel morski“ — pogadanka dla kupców. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Przygody dwóch chłopców z Zaolzia“ — słuchowisko dla młodzieży. 15.15: Muzyka popularna w wyk. zesp. H. Adamskiej. 16.20: Recital śpiewaczy Sergiusza Benoni'ego. 17.00: Muzyka taneczna. 18.00: „Sławne koncerty: Triumfy artystyczne Paderewskiego“ — audycja muzyczna. 19.30: „Przy wieczery“ — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert w wyk. Orkiestry Smyczkowej Zw. Muzyków Chrz. 21.45: „Polska między Wschodem a Zachodem“ — „Polska a Zachód“. 22.00: Muzyka taneczna z płyt.

Wtorek — dn. 22.VIII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Uśmiechnij się“ — pogawędka. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Bohaterowie przestwory“ — „Zwycięzcy Challenge'u“ — pogadanka dla młodzieży. 15.00: Muzyka popularna. 16.20: Polskie utwory fortepianowe w wyk. Stanisława Chojckiego (z Torunia). 17.00: Muzyka do tańca z płyt. 18.00: Roman Palester: „Od Karpat do Bałtyku“ — suita na tematy ludowe. 18.40: Utwory skrzypcowe w wyk. Alfreda Millera. 19.00: Audycja dla robotników. 19.30: „Przy wieczery“ — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Giacomo Puccini: „Tosca“ — opera w wyk. solistów, chóru i orkiestry Opery Królewskiej w Rzymie (płyty).

Środa — dn. 23.VIII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: Pogadanka turystyczna. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Nasz koncert“: Co kto woli — audycja dla dzieci. 15.15: Koncert popularny z Wilna. 16.20: Recital śpiewaczy Heleny Karnickiej. 16.50: C. O. P. przed 4.000 lat — pogadanka. 17.00: Muzyka do tańca — transm. z café „Paradis“. 18.00: Słynne symfonie — koncert z płyt. 18.40: Echa mocy i chwały. 18.50: Kamil Saint-Saens: Introdukcja i Rondo Capriccioso — koncert z płyt. 19.00: „Upał“ — wieczór fraszek w opr. St. Wasylewskiego. 19.30: „Przy wieczery“ — koncert rozrywkowy. 20.10: Odczyt wojskowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert chopinowski w wyk. St. Szpinalskiego. 21.40: „Książka i wiedza: Historia powszechna“. 22.00: Wiązanki wokalne — koncert rozrywkowy.

Czwartek — dn. 24.VIII.

6.30: Audycja poranna. 8.20: Pogadanka sportowa. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Zagadka geograficzna — aud. dla młodzieży. 15.05: Muzyka popularna ze Lwowa. 16.20: Z polskiej twórczości chóralnej — aud. w wyk. chóru. 16.45: Fotografia amatorska — pogadanka. 17.00: Muzyka do tańca (płyty). 18.00: Kwartety Beethovena. 18.25: Polska muzyka fortepianowa w wyk. Władysławy Markiewiczówny (z Katowic). 19.00: „Wielkie włóczęgi morskie“: „Wyspa rozpaczy“ — fragment z pism Daniela Defoe'go. 19.20: „Przy wieczery“ — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Recital skrzypcowy St. Mikuszewskiego. 21.30: „Niezwykły żywot redaktora O'Briena“ — słuchowisko — premiera z Poznania. 22.05: Francuska muzyka nowoczesna — koncert. 23.15: Koncert muzyki polskiej.

Piątek — dn. 25.VIII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: Kłopoty i rady: „Mój mały idzie po raz pierwszy do szkoły“ — dialog. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Rozmowa technika z młodzieżą. 15.00: Koncert popularny z Wilna. 16.20: Muzyka na dwa fortepiany z płyt. 17.00: Muzyka do tańca. 18.00:

Rozrost siły polskiej na morzu

Port rybacki na usługach polskiego rybołówstwa

Narodem morskim jest naród, mający własną flotę handlową i wojenną, własny handel morski. Naród, którego życie jest z morzem związane trwałe i organicznie. O ile dawniej Polska nie doceniała wartości morza i nie dbała w sposób dostateczny o swe morskie granice, o tyle dzisiaj jest inaczej. Nad polskim Bałtykiem wra intensywna praca. Mało wprawdzie mamy tej granicy morskiej, jesteśmy jednak na niej potężnie zagospodarowani. Nasz port w Gdyni budzi podziw całego świata. Jego wspaniałe urządzenia techniczne i przedadunkowe wyrabiają szacunek u obcych dla polskiej inicjatywy gospodarczej.

Ale Gdynia — to tylko port handlowy i przystań dla naszych okrętów wojennych. Potrzeba było Polsce jeszcze portu rybackiego, o specjalnych rybackich nabrzeżach i urządzeniach. Zadanie to zostało w zupełności rozwiązane przez wybudowanie jedynego pełnomorskiego portu rybackiego we Władysławowie. Wybudowany i poświęcony zaledwie w zeszłym roku, wykazuje ten port coraz większą użyteczność dla pełnomorskiego rybactwa, dając prócz tego możliwość schronienia się w czasie burzliwego morza i większym statkom handlowym.

Oto kilka danych, dotyczących tej ciekawej inwestycji morskiej. Celem zagospodarowania portu wykończono i oddano do eksploatacji jedną z najważniejszych inwestycji portowych — magazyn rybny wraz z dwoma chłodniami.

Ważną bardzo inwestycją jest powstawanie kolonii rybackiej, dającej schronienie rybakom, których ługry stale leżować będą w porcie Władysławowie. W kolonii tej będą również zamieszkiwali rybacy, którzy obecnie mieszkają aż w osiedlach półwyspu Helskiego. Zaopatrzenie portu, budynków portowych w dobrą wodę do picia, wybudowanie na wybrzeżu urządzeń wodociągowych, wybudowanie garaży i rckwizytorni dla Portowej Straży Pożarnej — to szereg nowych

„Melodie słonecznej Hellady“ — aud. muzyczna. 18.30: Koncert kameralny z Krakowa. 19.00: „Baśń, klechda, legenda“: „Legenda o Merkury Smoleńskim“ w opr. J. Iwaszkiewicza. 19.30: „Przy wieczery“ — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Ilustracje muzyczne do utworów scenicznych — audycja poświęcona muzyce polskiej. 22.35: Jan Brahms: Sonata na klarnet i fortepian op. 120 — koncert z Łodzi.

Sobota — dn. 26.VIII.

6.30: Audycja poranna. 8.15: Z mikrofonem przez Polskę — reportaż z uzdrowisk podhalańskich. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Teatr Wyobraźni dla dzieci: „Słowik“ wg bajki Andersena. 15.15: Muzyka popularna z Katowic. 16.20: Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana. 16.50: C. O. P. przed 4.000 lat — pogadanka. 17.00: Muzyka do tańca — transm. z Café - Chubu. 18.00: Echa mocy i chwały. 18.10: Koncert rozrywkowy ze Lwowa. 19.00: „Przez siedem mórz do siedmiu wzgórz“. 19.30: Audycja dla Polaków za granicą. 20.00: Z kapelą i ze śpiewem przez Śląsk. 20.25: Audycja dla wsi. 21.02: Recital śpiewaczy Beniamino Gigli — transmisja ze Szwajcarii. 21.35: Muzyka salonowa z płyt. 21.50: D. c. transmisji ze Szwajcarii — recital śpiewaczy Beniamino Gigli. 22.20: Muzyka taneczna z płyt. 23.20: Muzyka taneczna z całej „Paradis“.

inwestycji, tak potrzebnych i niezbędnych w zorganizowanym życiu rybackim.

Celem umożliwienia wchodzenia do portu większym jednostkom handlowym dokonuje się pogłębiania basenów portowych. Dla celów budowlanych niweluje się tereny, przygotowując w ten sposób ponad 32 tysiące mtr. kw. placów pod budowę osiedli.

Bardzo ważną inwestycją, umożliwiającą rybakom zaopatrywanie się w ropę na miejscu, jest wybudowanie stacji bunkrowej, zbiorników na ropę, budynków magazynowych oraz dystrybutora na specjalnym pomoście. U wejścia do portu zainstalowano nowoczesne urządzenia świetlne.

Rzecz zrozumiała, że wszystkie te urządzenia musiały wpłynąć na zwiększenie się ruchu w nowym porcie rybackim. I tak kiedy, w roku ubiegłym stale leżowało w porcie 5 kutrów rybackich, obecnie za macierzysty port uważa Władysławowo 20 dużych, dalekomorskich jednostek rybackich.

Podczas gdy w roku 1938 do portu we Władysławowie wpłynęło 421 kutrów rybackich, to w ciągu siedmiu miesięcy roku bieżącego wpłynęło ich już 675. W ciągu roku 1938 obcych kutrów rybackich wpłynęło 89 o pojemności łącznej 29.544 metrów sześciennych, zaś w przeciągu siedmiu miesięcy tego roku zawinęło ich już 47 o pojemności 21.477 m. sześć. brutto. Przeciętą w roku 1938 wynosiła 14 statków, zaś w przeciągu siedmiu miesięcy roku bieżącego doszła już do 23 statków średnio, bywały zaś momenty, kiedy jednocześnie w porcie stały 42 kutry.

Są to jednakowoż dopiero początki rozwojowe tego niesłychanie ważnego dla rozwoju polskiego rybołówstwa portu. Projektowana chłodnia rybna wraz z zamrażalniami dorszy i fabryką sztucznego lodu pchnie port Władysławowo w silniejszym jeszcze stopniu na tory rozwojowe.

„TYGODNIK ILLUSTROWANY”

Ostatnio w „TYGODNIKU ILLUSTROWANYM” zamieszczały swoje prace między innymi następujący pisarze, uczeni i publicyści:

Berent Wacław, Borowy Wacław, Boyé Edward, Chrzanowski Ignacy, Czachowski Kazimierz, Dąbrowka Maria, Essmanowski Stefan, Flukowski Stefan, Goetel Ferdynand, Gombrowicz Witold, Górka Olgierd, Grabowski Jan, Grzebiernowski Tadeusz, Horoszkiewicz R. W., Hollender Tadeusz, Hulewicz Witold, Huszcza-Winnicka H., Iłakowiczówna Kazimiera, Irzykowski Karol, Iwaszkiewicz Jarosław, Kaden Bandrowski Juliusz, Kleiner Juliusz, Kondracki Michał, Kossak-Szczucka Z., Kubacki W., Laskowski-Hulka Paweł, Lechoń Jan, Lepecki B., Lutosławski W., Makuszyński Kornel, Melcer Wanda, Mieszkowski J. T., Miller, Jan N., Morcinek Gustaw, Muszkowski Jan, Nowakowski Zygmunt, Ossendowski F. A., Parandowski Jan, Powlikowska Maria, Piwiński Leon, Polczyński Janta Aleks., Pomirowski Leon, Rogowicz Wacław, Rogoż Stanisław, Rudnicki Adolf, Rusinek Michał, Rytard Miecz., Schulz Bruno, Sieroszewski W., Skiński J. E., Smogorzewski K., Staff Leopold, Straszewicz Czesław, Stromenger Karol, Syruczek Wacław, Szemplińska Elżbieta, Szykowski M., Śliwiński Artur, Terlecki Tymon, Tuwim Julian, Wasylewski Stanisław, Wierzyński Kazimierz, Wiktor Jan, Wittlin Józef, Wołoszynowski Julian, Zawistowski Władysław, Zrębowicz Roman.

NAOKOŁO ŚWIATA

bogato ilustrowany magazyn nowelistyczny, ukazujący się co miesiąc.

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA

przyniosła w latach ubiegłych obok autorów polekich, szereg utworów pisarzy tej miary, co Johan Boyer, Daniel-Rops, Fr. Mauriac, J. Andersen, Nexö, Marta Ostenso, Mary Webb, J. Roth, Colette, G. Papini, J. Van Ammers-Küler, W. B. Maxwell, W. Peteani i inni.

„Tygodnik Ilustrowany” wraz z dodatkami ma obecnie najtańszą prenumeratę zbiorową, gdyż tylko

za 6 zł miesięcznie (6.50 z dostarczeniem do domu), prenumeratorka TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO otrzymuje co tydzień numer „Tygodnika Ilustrowanego”; co miesiąc 80-s stron. zeszyt „Naokoło Świata” w wielobarwnej okładce i co miesiąc blisko 240-s stronicowy tom powieści polskiej lub tłumaczonej. KTÓREJ CENA KSIĘGARSKA WYNOŚI około 6—8 zł.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAOKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50	kwartalnie	zł 19.—	kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	rocznie	zł 74.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—			Zmiana adresu	zł 0.50
rocznie	zł 66.—				
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztovej Kasy Oszczędności Nr 143

CENNIK OGŁOSZEŃ Str. 1/4 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/3 — 250 zł, 1/6 — 150 zł, 1/12 100 zł. — za exp. wierz. milimetry, lub jego miejsce PRZED i ZA TEKSTEM: 1,50 zł. Bilanse, artykuły opiewowe, układy tabelaryczne, 1 str. okładki i miejsce zarezerwowane 50%, drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P. K. O. 143

Opłata pocztowa opłacona ryczałtem.

Drukarnia Krajowa — Warszawa, Chłodna 44, tel. 5-88-70

TYGODNIK

I L L U S T R O W A N Y

Nr. 35

27 Sierpnia 1939

Cena 1 zł

W ŚWIĘCIE PROWINCJI FRANCUSKICH W NICEI WZIĘŁY UDZIAŁ REGIONALNE GRUPY POLSKIE
OTO WDZIĘCZNA PARA: GÓRAL I ŁOWICZANKA

W N U M E R Z E:

Wiktor Stan.:

Za frontem wojny nerwów.
(Koresp. własna Tyg. Ill. z Paryża)

J. Kow.:

Przegląd polityczny

Tadeusz Hollender:

**Konstantynopol i nowa
Turcja**

Maria Rojkowa:

Historia ulicy warszawskiej

M. S.

Prawdziwy Makuszyński

Bogusław Kuczyński:

Powrót Józefa (Nowela)

Mściśław Wróblewski:

Wyprawa na krokodyla

Zygmunt Mann:

Przy popielatej wstędze



PARLAMENT ANGIELSKI WOŁA O AKCJĘ RADIOWĄ

Rząd ma otrzymać ćwierć miliona funtów na ten cel

Londyn, w sierpniu

Ostatnie dni, przed zapowiadaną, a nieodecydowaną jeszcze przerwą wakacyjną parlamentu, zawierały w porządku dziennym obrad wiele spraw pierwszorzędного znaczenia. Między innymi omawiano ważną sprawę podziału kompetencji między Foreign Office i przyszłym Ministerstwem Informacji. Mówcy w Izbie Gmin zadawali ministrom pytania, spodziewając się odpowiedzi, w których ustalono by zasadniczą linię podziału funkcji.

Z odpowiedzi przedstawicieli rządu wynika, że Urząd Spraw Zagranicznych (Foreign Office) prowadzić będzie nadal akcję propagandową i informacyjną, częściowo bezpośrednią — w większym stopniu zaś — przez specjalnie w tym celu powołaną organizację — British Council. Na czele British Council stoi, jak wiadomo, lord George Lloyd (nazwiska tego nie należy mieszać z nazwiskiem Lloyd George'a, znanego działacza walijskiego, „czarodzieja“ z okresu Wielkiej Wojny). Lord Lloyd prowadzić będzie akcję informacyjno-propagandową w czasie pokojowym, natomiast Ministerstwo Informacji zaczęłoby swą działalność na wypadek wojny. Na czele tego nowego resortu stanie lord Perth, ewentualnie lord Lloyd. Ten drugi wybór miałby znaczenie ciągłości akcji.

Sprawy organizacji akcji propagandowej w imieniu rządu referował wobec Izby Minister Spraw Wewnętrznych, sir Samuel Hoare. Minister oświadczył, że akcja propagandowa winna określić szerokie granice, winna objąć zarówno słowo drukowane jak mówione, sztukę, literaturę, film i turystykę. Olbrzymie zadania określił dla akcji propagandowej w dziale słowa żywego. Oczywiście rząd zwraca główną uwagę na radiofonie. Rząd nie dąży jednak do przejęcia w swoje ręce broadcastingu brytyjskiego w razie i na czas trwania wojny, a będzie z radiofonem współpracował tak, jak współpracował ściśle z prasą i filmem podczas Wielkiej Wojny. Rząd widzi jednak konieczność większej łączności w czasie wojny między broadcastingiem brytyjskim a Ministerstwem Informacji, które będzie w pewnym stopniu czynnikiem zasilającym radiofonie w wiadomości i organizacją kontrolującą.

W toku dyskusji podkreślano niedostateczność dotychczasowej akcji propagandowej, wskazywano na potrzebę wymiany turystyki, ożywienia akcji publicystycznej, organizowania wystaw i żywszą wymianę programów radiowych z zagranicą. Na te cele i na akcję British Council

rząd domaga się od Izby kredytów w wysokości ćwierć miliona funtów szterlingów.

Broadcasting brytyjski przekonał się o wielkim znaczeniu propagandowym stosowania obcych języków w audycjach radiowych. Obecnie rozgłośnie angielskie nadają w 8 językach obcych: niemieckim, w językach skandynawskich, romańskich, arabskim, tureckim, indyjskim, chińskim i japońskim.

W związku z tą debatą Galeria Prasowa w Izbie Gmin rozstała do członków parlamentu pismo-cyrkularz, w którym prosi o poparcie wniosku o zainstalowanie mikrofonów na dole, przy fotelu spea-

kera i ławach rządowych, a także w rzędach ław poselskich. Oczywiście, instalacji mikrofonów odpowiadały instalacje głośników, zawieszonych na Gallerii Prasowej. Podobną instalację wprowadzono już wcześniej w Izbie Lordów. Dziennikarze z Gallerii Prasowej motywują swą prośbę tym, że wielu spośród posłów i ministrów ma zwyczaj szybkiego czytania manuskryptów i przemawiania głosem przyciszonym, co wynika z przyzwyczajenia do mikrofonu na wiecach publicznych. Do takiego sposobu mówienia nie przystosowano przecież warunków akustycznych, liczącego z górą 3 wieki gmachu parlamentu westminsterskiego.

Obozy i kursy wojskowego przysposobienia kobiet

W miesiącu sierpniu Organizacja P. W. K. prowadzi nadal obozy i kursy, przygotowujące młodzież żeńską i kobiety dorosłe do pracy podczas wojny.

Zgodnie z potrzebami rozrastającej się wciąż działalności PWK, na pierwszy plan tegorocznej akcji obozowej wysuwa się szkolenie kadry instruktorskiej i podinstruktorskiej oraz szkolenie kobiet do wojskowej służby pomocniczej.

Kursy podinstruktorskie PWK dla kandydatek dorosłych odbywają się obecnie w Garezynie k. Kościerzyny i w Redlowie nad morzem, w Spale zaś dla młodzieży szkolnej, absolwentek i uczestniczek Hufców PWK, które w przyszłości poprowadzą pracę w Hufczykach PWK, grupując dziewczęta w wieku 10 — 14 lat, tj. uczennice szkół powszechnych oraz 1 i 2 klasy gimnazjalnej.

Równocześnie odbywają się w Spale i Garezynie kursy instruktorskie PWK, i kursy doszkoleniowe dla czynnych instruktorek, przygotowujących się na odpowiedzialne funkcje komendantek Placówek i komendantek Powiatów.

Szkolenie do pomocniczej służby wojskowej, dostępne dla kobiet z wyższym wykształceniem, akademiczek, absolwentek liceów i gimnazjów odbywa się w różnych dzielnicach kraju. I tak terenem kursów wstępnego wyszkolenia wojskowego kobiet jest Redlowo nad morzem i Istebna na Śląsku. Kursy administracyjne odbywają się w Koszewninkach koło Grodna, kursy dla kierowniczek świetlic w Warszawie.

Następnym odcinkiem akcji obozowej jest szkolenie kadry organizacyjnej, w pierwszym rzędzie pracownic Pogotowia Społecznego PWK, którego zadaniem jest przygotowanie całego społeczeństwa kobiecego do samoobrony i samopomocy

w warunkach wojennych, oraz do pomocy wojsku, do pomocy ludności poszkodowanej na skutek działań wojennych.

W Spale dobiegły już końca kursy dla kierowniczek Pogotowia w powiatach i okręgach PWK, rozpoczną się za to wkrótce kursy dla ich zastępczyń referentek do spraw wiejskich, w Garezynie zaś odbywa się obecnie kurs dla referentek powiatowych pomocy ludności niestalej.

Uprawnienie i szkolenie uczestniczek zespołów PWK — to jeszcze jeden odcinek pracy letniej. Terenem jej to Skole na Podkarpaciu, Istebna i Borowo koło Kartuz.

Przez każdy z terenów obozowych przewija się tego roku parę turnusów zespołów, liczących po paręset dziewcząt lub kobiet dorosłych, pochodzących z różnych środowisk społecznych, w wieku od 14 do 60 lat. Uczennice szkół zawodowych i ogólnokształcących, nauczycielki, pracownice biurowe, reprezentantki wolnych zawodów: lekarki, prawniczki, dziennikarki i wiele matek rodzin.

A cóż dopiero mówić o Obozach Pracy stałych i wędrownych, na których starsze młodzież szkolna z wykształceniem ogólnowojskowym i przygotowaniem specjalnym nie tylko wszechstronną pomoc ludności ubogich wsi i wieś. Obozów tych jest przeszło 50. Gdyby warunki finansowe pozwoliły — byłoby ich znacznie więcej. O działalności ich mówią pochlebnie opinie władz wojskowych i cywilnych, mówią wyrazy wdzięczności a nieraz i przy rozstaniu ze stroną okolicznej ludności, mówią też wzmianki w piśmie: „Dzielne kobiety z PWK. w walce z pożarem“, „Pewiaczki przy pracy w polu“, itp. Obozy pracy licznymi szlakami opasują nasz kraj: północną ziemię wileńską, południowe kraje Łemkowszczyzny i Podkarpacie, przede wszystkim utrwalając wszędzie polski stan posiadania ofiarą pracą powiatową w służbie dla Polski.



głodówka

nie Ci nie pomoże... — Ostałbas tylko swój organizm! — Pamiętaj, że chcąc pozbyć się nadmiernej tuszy musisz przede wszystkim usunąć przyczynę wadliwej przemiany materii. Pomoże Ci w tym mineralna sól owocowa **MINEROGEN F. F.**, którą nabędziesz w każdej aptece. **Skład główny: Apteka Mazowiecka — Warszawa ul. Mazowiecka 10.**



PODRÓŻUJ
LOTEM



Piękny zabytek sztuki francuskiej. Kunsztowne drzwi kościelne z XVI w. Verneuil-sur-Avre

ZA FRONTEM WOJNY NERWÓW

Gdy się tak po amatorsku, bez specjalnego zbierania i analizy faktów, spogląda na energiczną i pełną godności postawę III Republiki, dochodzi się do logicznego wniosku, że nad Sekwaną nastąpiło dziwne czy po prostu cudowne odrodzenie. Wrażenie takie jest zresztą w dużej mierze słuszne, jeśli chodzi o politykę. Co zaś do zmian w strukturze francuskiej psychiki zbiorowej, to nie trzeba znowu przesadzać, bo ani przedtem nie było jakiegos upadku, ani obecnie nie ma specjalnego odrodzenia duchowego.

Zmieniła się polityka, bo zmienił się na lepsze stan uzbrojenia, ponieważ przestano wierzyć w dobrą wolę, szczerłość i głębsze ideologiczne podłoże rewindykacji niemieckich.

Trzeba przyznać, że do odrodzenia polityki francuskiej przyczyniła się również niezręczność niemieckich mężów stanu, którzy dali się ponieść swej wyobraźni i przestali panować nad charakterem politycznych posunięć. O ile przedtem stanowisko niemieckie sprowadzało się do tezy: „mamy moralne prawo domagać się tego czy tamtego i gotowi jesteśmy nasze prawo poprzeć siłą“; o tyle od czasu zajęcia Pragi rewindykacyjne tezy niemieckie przyjęły inną formę: „mamy siłę, więc robimy co nam się podoba“. Reakcja fran-

cuska stała się w tych warunkach konieczną konsekwencją.

Monachium było już pierwszą zapowiedzią tej zmiany w postępowaniu Niemiec. Premier Daladier doznał już tam podobno w różnych niedomówieniach Hitlera i Mussoliniego oraz w ich zachowaniu pewnych upokorzeń, więc też przedstawiciel Trzeciej Republiki musiał już tam na miejscu powziąć odpowiednie postanowienia co do dalszej francuskiej polityki. Innymi słowy, gdyby Daladier był Jackiem Sopilcą, można by powiedzieć, że zawiązał sobie supeł na wąsie. Zajęcie Pragi przez wojska niemieckie nie było więc dla kierowników francuskiej nawy państwowej niespodzianką. Było natomiast dla opinii publicznej widocznym znakiem, że taki stan rzeczy dłużej trwać nie może, że dalszy tok spraw europejskich nie może być regulowany niemieckim gwałtem lub szantażem i że odtąd, jeśli zajdzie tego potrzeba, Francja musi się zdecydować na sprzeciw choćby nawet manu militari.

Stan zbrojeń angielsko-francusko-polskich pozwala w chwili obecnej na zwycięską wojnę z Niemcami, z czego zdaje sobie sprawę nie tylko Francja, ale prawdopodobnie i otoczenie kanclerza Hitlera, a nawet może i szersza opinia niemiecka. Czy wynika stąd, że jesteśmy zwolnieni od

czuwania nad sytuacją i że możemy spać spokojnie. Taka postawa społeczeństwa polskiego graniczyłaby z lekkomyślnością.

Polska prowadzi politykę samodzielną. Ta właśnie okoliczność nakłada na nas obowiązek ciągłego analizowania sytuacji nie tylko w obozie naszych przeciwników ale i przyjaciół. Dlatego sytuację we Francji trzeba zanalizować głębiej, zdać sobie sprawę z układu jej elementów i z możliwości zmian w układzie, aby móc z tego stanu rzeczy wyciągnąć odpowiednie konsekwencje.

Pozwólmy sobie na przekrój polityki francuskiej w czasie i przestrzeni.

Gdy więc pan Daladier doszedł do wniosku w Monachium, że taki stan rzeczy dłużej trwać nie może, bo inaczej Francja jest skończona, stanęły przed parlamentarnym dyktatorem następujące zadania: zreformowanie finansów, stworzenie sprzyjających warunków dla produkcji, zwłaszcza w dziedzinie ciężkiego przemysłu, przeprowadzenie zbrojeń na wielką skalę, wreszcie zastosowanie do spraw zagranicznych silnej ręki. Dziś można już ocenić bilans osiągniętych zdobyczy, politycznych i gospodarczych. Minister Paul Reynaud, osłaniany przed atakami lewicy przez premiera Daladier, dokonał uzdrowienia finansowego tak znakomicie, że

choć się mówi w tej chwili o możliwości załamania się na jesieni funta szterlinga, mowy nie ma o załamaniu franka. Na rynku jest tyle pieniędzy, ile dusza zapagnie. Wielki przemysł, wobec przełamania przez rząd rewindykacji robotniczych i wobec znakomitej koniunktury finansowej, może w tej chwili nie tylko używać wszelkich swobód w dziedzinie produkcji, ale nawet ich nadużywać, z czego jak się zdaje, zaczyna już korzystać. Zbrojenia w całej pełni zostały przeprowadzone. Wreszcie w dziedzinie spraw zagranicznych minęła jedna tylko zagadka, że minister Georges Bonnet jednak w rządzie pozostał. Jesteśmy świadkami stosowania polityki silnej ręki.

Zresztą owa polityka silnej ręki ma się wyłącznie odnosić do dwóch sąsiadów, tj. do Niemiec i szczególnie do Włoch. Dwaj pozostali sąsiedzi, Anglicy i Hiszpanie, nie wchodzi oczywiście w rachubę.

Z Anglią stosunki zostały już dawno uregulowane w wyteżonej akcji dyplomatycznej, rozpoczętej jeszcze przez szwajcarskiego Blum — Delbos. Tutaj, mimo pozorów, francuska racja stanu odniosła poważny sukces. Jak wiadomo w powojennej historii, tj. od roku 1918. Anglia obawiała się, zresztą zupełnie niesłusznie, potęgę francuskiej i nie chciała dopuścić, aby właśnie Francja stworzyła jakiś system bezpieczeństwa w Europie na wypadek ponownego ataku ze strony Niemiec. Żywno nam stoi w pamięci polityka pana Lloyd George'a, który wszelkimi sposobami starał się osłabić Polskę jako najbardziej naturalną aliantkę Francji. Podczas gdy Clemenceau widział w odrodzeniu potężnego

państwa polskiego nieodzowny warunek równowagi europejskiej. W ostatnich latach udało się dyplomacji francuskiej, wobec faktu że Londyn zrozumiał wreszcie gdzie leży istotne niebezpieczeństwo, zmusić Anglię do wzięcia w ręce inicjatywy, ale i odpowiedzialności za równowagę w Europie.

Hiszpania stanowi teren zupełnie jeszcze świeżego sukcesu polityki francuskiej, konkretnie sukcesu ambasadora Trzeciej Republiki przy rządzie generała Franco, starego marszałka Pétain'a. Sędziwy żołnierz, obejmując swe nowe, tym razem dyplomatyczne funkcje, oświadczył z dobrośliwym uśmiechem przedstawicielom prasy: „nigdy nie jest się zbyt starym na to aby służyć ojczyźnie“. Wielki autorytet, marszałek Pétain'a w sferach wojskowych, zaważył na szali wypadków. Germanofilskie tendencje Falangi hiszpańskiej zostały zneutralizowane frankofilską racjonalną orientacją sfer wojskowych, ho im właśnie przypadła w udziale teka spraw zagranicznych w nowym rządzie hiszpańskim. Powstała więc teza o neutralności Hiszpanii. Od strony Pirenejów Francja nie ma już wroga.

Inaczej rzeczy się mają od strony Alp. Gdy w swoim czasie panowała jeszcze w Europie atmosfera kulawego pokoju, ale jednak pokoju, i chodziło o niedopuszczenie do przygotowań wojennych, gdy była jeszcze możliwość użycia Italii, jako narzędzia pokojowej polityki francuskiej, istniała nad Sekwaną pewna tendencja zaspokojenia rewindykacji włoskich; chodziło tylko o jedno, aby konieczne koncesje ze strony Francji były w rozsądnych ra-

mach utrzymane. Sytuacja ta zmieniła się radykalnie, gdy okazało się, że rewindykacje włoskie nie są umiarkowane, a ewentualność wojny stała się zupełnie prawdopodobna. W tych warunkach ustępstwo na rzecz Włoch miało charakter przestrochu przed stalowym aliansem niemiecko-włoskim, nie zaś dobrośliwego rozsądku starej cioci Marianny wobec swego lacińskiego siostrzeńca. Francja odrzuciła więc możliwość jakichkolwiek koncesji i na wszystkie żądania włoskie odpowiedziała jednym generalnym i kategorycznym: nie! Odegrały tu pewną rolę i względy strategiczne. Rozpoczynanie wojny od forsowania linii Zygryda może być kosztowne pod względem materiału ludzkiego, co dla kraju jak Francja o małym przyroście ludności stanowi zawsze poważny wzgląd. Przymierze militarne niemiecko-włoskie przyniosło interesujące możliwości. Skoro tak — mówiono w Paryżu — to dobrze, dolina rzeki Po będzie teatrem pierwszych kroków wojennych. Po rozbięciu armii włoskiej, co jest oczywiście niewątpliwe, można swobodnie już atakować przeciwnika, tego poważnego, tj. Niemcy, od południa, tym bardziej, że atak armii angielskiej pójdzie od bazy w Egipcie przez Turcję i Rumunię. Co więcej, wojnę można będzie rozpocząć od razu z udziałem floty francusko - angielskiej na morzu Śródziemnym. Wobec tak wygodnej sytuacji strategicznej nie warto Włochom płacić właściwie za nic. Niechże sobie będą po tamtej stronie barykady, nie się od tego wiele nie zmieni. Tak przynajmniej rozumują politycy, a duch tych rozumowań udziela się masom.

— Widział pan naszą bazę lotniczą na drodze do Tulonu — mówił mi z filuterym uśmiechem południowca pewien marszałek, gdyśmy sobie w starym porcie na bezkach zajadali ostrygi i ślimaki — ho, panie, to będzie w czasie wojny nie tyle jaka baza lotnicza francusko-angielska!

— Widziałem z okien wagonu. Wepniała!

Marszałek z zadowoleniem chlipnął ostrygę, a w moim gardle w odpowiedzi zagulgotał polykany ślimak morski.

— A jak pan był teraz w Nicei — ciągnął dalej marszałek — to trzeba było pójść w góry, wzdłuż granicy włoskiej aż do Sabaudii. Co tam wojska! Niech się tylko ruszą te makarony, to z nich strzępy polecą, a Mussolini schowa rogi, jak ten ślimak co cytrynę zobaczył!

Tak się ustosunkowują masy do zagadnienia wojny z Włochami. W sposób bardziej skomplikowany przedstawia się problem niemiecki.

Mimo niebывale energicznej postawy, którą zachowuje Francja w chwili obecnej wobec agresywnej polityki Hitlera, mimo całkowitej gotowości wojennej, popartej gotowością wojenną mas, w niektórych kolach Paryża nie wyzbyto się jeszcze marzeń o porozumieniu z Niemcami. Od okresu Briand—Stresemann do chwili Ribbentrop—Bonnet ciągle w tej dziedzinie ponawiane były usiłowania. Każdy zwolennik tych usiłowań ma w tej sprawie doktrynę dla uzasadnienia, że kiedyś z Niemcami trzeba się będzie porozumieć.

Uczni, ci którzy patrzą na daleką metę, wskazują na okoliczność, że system społeczny niemiecki przechodzi z rolnego na

Harmonia architektoniczna Paryża jest jednym z uroków stolicy Francji.



urbanistyczny, że wysokość przrostu ludności zmniejsza się, a więc Niemcy muszą stracić z biegiem czasu swój dynamizm, stać się państwem pacyfistycznym jak Anglia i Francja. Hitleryzm, z'łaniem tych kół, jest niczym innym jak garączka agonii dynamizmu — za parę lat będzie spokój raz na zawsze.

Lewica francuska i sfery liberalne marzą o powrocie Republiki Wejmarskiej. Jak ustąpi Hitler, a za sterem rządu usiądzie w Berlinie brat mason albo socjalista (lewica zawsze wierzy, że każdy jej rząd jest definitywny i że nikt inny już nigdy do władzy nie przyjdzie), albo nawet, co nie daj Boże, katolik, hędzie się można dogadać. Bo przecież taki Stresemann czy inny Brüning, to były istne anioły pokoju!

Wielki przemyśl, który uważa rynek niemiecki, nawet w chwili obecnej, za doskonałego klienta i dostawcę, łączy z odejściem rządu hitlerowskiego nadzieje na wolną wymianę i złote interesy.

Wszystkim więc przeszkadza Hitler z jego reżimem.

Jeśli chodzi o masy, to czynnik ten odegrał jeszcze większą rolę. Front Ludowy przygotował świetnie grunt, zaszczerpił bowiem Francuzom grozę Hitlera. abstrahując zupełnie od problemu niemieckiego. Hitler chce opanować świat! (Zawsze Hitler, nigdy Niemcy). Hitler zaprowadzi wszędzie dyktatury, pozbawi Francuzów wolności osobistej i radości życia. Faszyzm niemiecko-włoski stał się nie tylko grozą, ale i żywym symbolem wszelkiej ohydy.

Gdy więc został wreszcie stworzony w Europie system bezpieczeństwa angielsko-francuski z udziałem różnych państw o różnych reżimach, trzeba go było nazwać frontem demokracji przeciwko dyktatorom, bo nie było innej rady.

Ani na chwilę nie można negować patriotyzmu francuskiego. Nie ulega wątpliwości, że szerokie masy francuskie są patriotyczne i że jeżeli w tej chwili usunięto wszelką walkę społeczną, a robotnicy odłożyli na lepsze czasy rozprawienie się ze swymi pracodawcami, to tylko dlatego, że ojczyzna jest w niebezpieczeństwie. Ale właśnie ojczyzna dla każdego Francuza to coś zupełnie określonego, to kraj wolności faktycznej lub nawet złudzenia wolności. Wróg ojczyzny to przede wszystkim ten, który jest wrogiem wolnych ludzi.

Ta koncepcja ojczyzny, stworzona kiedyś przez Jakobinów i „sankiulotów“, ma nawet swoiste piękno i wielkie społeczne znaczenie, nienuiej jednak może być kiedyś wyzyskana przez machiawelską politykę jakichś nowych Stresemannów czy Brüningów.

W tej chwili stanowisko Francji jest mocne, ale ten stan rzeczy będzie trwał tak długo, jak długo w Berlinie będzie siedział zniecierpliwiony przez wszystkich Hitler. Inaczej będą się rzeczy miały, jeśli groźny Hitler zostanie zastąpiony przez „niegroźnego demokratę“, lub jeśli nawet obecni władcy Niemiec potrafią wysunąć demokratę na dostatecznie czolowe stanowisko i stworzyć chwilowe pozory uległości. Wówczas pojawiają się stąd i zowąd różne „ale“, różne „przecież“, odzyskują zwoleńniczy tendencji Stresemanna — Briand,



Piękna perspektywa na Panteon w Paryżu

Ribbentrop — Bonnet. Może nawet ta własna ewentalność kazała czynnikom kierującym trzymać w odwodzie pana ministra Bonneta, na wszelki wypadek, bo może on się przydać w przyszłości.

Można by się pocieszać, że się w tej chwili na to nie zanosi, że Hitler sędzi mocno i jawnie grozi Europie nie bawiąc się w machiawelizm swych znakomitych poprzedników Wejmarskiej Republiki. Ale na wszelki wypadek nie trzeba zapominać, że w chwili gdy piszę te słowa, siedzi już w Londynie, obok trzech wysłanników Hitlera, pan Brüning i wszyscy razem współpracują w idealnej harmonii, mimo różniących się ideologii, i że tam, gdzie ci panowie nie mają dostępu, ze względu na ich grzech pierworodny, tj. rasistowskie pochodzenie, tam idzie pan Brüning i tłumaczy Anglikom, że rewindykacje Hitlera tym razem jeszcze po raz ostatni są słuszne i że zaraz po tym nastąpi w Niemczech królestwo boże na ziemi, szczególnie, jeśli on, Brüning, przyjdzie do władzy.

Jutro ten sam lub jakiś inny pan Brüning może się zjawić w Paryżu i rozpocząć tę samą argumentację. Oczywiście w tej sytuacji nie będzie on wysłuchany co najmniej nie znaczy, że koniunktura ta pozostanie na zawsze niezmienna.

Wnioski są proste, nie wyciągamy więc na tym miejscu tych, które się same nastroją i które dla każdego są zrozumiałe. Zajmijmy się tylko jednym wnioskiem, który widocznie nie jest całkowicie jasny, skoro dotąd nie był wyciągnięty i dostatecznie mocno zastosowany w praktyce.

Oczywiście nie trzeba sobie wyobrażać, że we wszystkich kołach politycznych Paryża przeprowadza się fikcyjne rozgraniczenie między Hitlerem a Niemcami. Są ludzie, którzy doskonale zdają sobie sprawę, że Hitler reprezentuje dzisiejsze Niemcy. Wykazała to zresztą ostatnio przeprowadzona dyskusja na ten temat w prasie paryskiej. Ale właśnie tak myślących ludzi powinno być we Francji jak najwięcej. Trzeba więc, aby społeczeństwo polskie (które, jak słusznie powiedział jeden z publicystów francuskich, lepiej zna Niemcy, niż je zna społeczeństwo francuskie) wzięło na siebie inicjatywę ścisłej współpracy dwóch opinii publicznych, polskiej i francuskiej. Trzeba, aby Francja uświadomiła sobie, że gdyby dziś na miejscu Adolfa był Otto, a na miejscu Rydza-Śmigłego — Bolesław Chrobry, sytuacja byłaby identyczna. Może za sto lat będzie inaczej, ale dzisiaj jest tak.

Choć nasze stanowisko wobec Niemców nie zależy od fluktuacji nastrojów paryskich i jest całkowicie samodzielne, to jednak na terenie Francji trzeba działać dziś, kiedy opinia tutejsza chce z nami współpracować, a nie wówczas, kiedy obecny stan rzeczy będzie należał do historii. Trzeba działać w tej chwili, systematycznie i przede wszystkim zbiorowo.

Upajanie się sympatią, którą sprawy polskie cieszą się obecnie we Francji, i kontentowanie się wobec opinii francuskiej rolą korka na fali nie powinno nawet w części neutralizować rezultatów naszej doskonalej polityki zagranicznej.

Wiktor Stan.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

„Antykominternowiec” w Moskwie

Jest rzeczą wymowną, iż rozmowy między Rzeszą Niemiecką a Z. S. R. R. w sprawie paktu nieagresji prowadzone były w tak wielkiej tajemnicy. Wystarczy przypomnieć, że urzędowy komunikat niemiecki, donoszący, iż min. Ribbentrop wyjedzie do Moskwy celem sfinalizowania rokowań o pakt nieagresji, ukazał się w prasie obok wiadomości o kontynuowaniu w Moskwie angielsko-francusko-sowieckich narad sztabowych, przy czym kolejna konferencja trwała aż cztery godziny... Oczywiście strona francusko-angielska zupełnie nie przeczuwała takiego rozwoju wydarzeń. A celem niespodziewanego komunikatu niemieckiego było właśnie uzyskanie jak największego wrażenia przez zaskoczenie, które jest ulubioną taktyką Trzeciej Rzeszy. Zresztą strona taktyczna całej sprawy większą odgrywa rolę, niż strona merytoryczna.

W każdym razie można uznać za pewne, że przyjęcie przez Moskwę koncepcji paktu nieagresji z Rzeszą jest oznaką tendencji do zrezygnowania z aktywniejszej polityki w Europie przede wszystkim z uwagi na poważne zagrożenie interesów sowieckich na Dalekim Wschodzie. Do opinii polskiej fakt ten nie stanowi niespodzianki. Odnosiliśmy się zawsze z głębokim sceptycyzmem do rokowań angielsko-francusko-sowieckich, zdając sobie sprawę, iż Sowiety nie są elementem, który może odegrać czynną i konstruktywną rolę w układzie stosunków europejskich, gdyż najważniejsze interesy tego państwa umiejscowione są poza Europą, nie mówiąc o tym, że sytuacja wewnętrzna obfituje w rozliczne kłopoty, z natury rzeczy pochłaniające wiele uwagi i energii czynników decydujących Z. S. R. R. W tym stanie rzeczy nie leży w interesie Sowietów angażowanie się w żaden europejski konflikt. Sowiety związałyby się z mocarstwami zachodnimi chyba tylko za bardzo wysoką cenę, gdyż korzystniej jest dla nich raczej trzymać się na uboczu i wzmocniać swe stanowisko bez wyraźnego opowiadania się po którejś ze stron.

Jeżeli chodzi o Polskę, to sąsiedzkie stosunki polsko-sowieckie, opierające się na pakcie nieagresji z 1932 r. oraz londyńskiej konwencji o definicji napastnika, uważaliśmy i uważamy za zupełnie zadawalające i nie widzieliśmy potrzeby zmiany podstaw tych stosunków. Nie przywiązując zaś większego znaczenia do rokowań Paryż — Londyn — Moskwa, tym bardziej nie liczyliśmy nigdy na pomoc sowiecką. Więcej nawet: oświadczaliśmy wyraźnie i niejednokrotnie, że nie życzymy sobie — ze zrozumiałych przyczyn — żadnej pomocy ze strony sił zbrojnych

II DOROCZNA WYSTAWA RADIOWA W W A R S Z A W I E

ul. Konopnickiej 6 (gmach Polskiej Y. M. C. A)
Otwarta codziennie od 9 rano do 9 wieczór

POKAZ NAJNOWSZEJ APARATURY TELEWIZYJNEJ
BOGATY PROGRAM ATRAKCJI W STUDIO POLSKIEGO RADIA
POKAZ NAJNOWSZEJ PRODUKCJI PRZEMYSŁU RADIOWEGO

Otwarcie dn. 26 sierpnia o godz 2 pp.

Z. S. R. R. Obecna zapowiedź zawarcia paktu nieagresji między Niemcami i Sowietami nie zmienia więc nawet naszych obliczeń wojskowo-strategicznych. Dzięki realnej ocenie możliwości i polityki Związku Sowieckiego — „wielka bomba” była dla Polski niespodzianką tylko jeśli chodzi o metodę, merytorycznie zaś nie zaskoczyła nas zupełnie.

Dezorientację widać zaś zupełnie wyraźnie w gronie partnerów Niemiec z tzw. paktu antykominternowskiego. Nie ulega kwestii, że Niemcy pakt ten, będący głównie ich dziełem, bezceremonialnie złamały, jeszcze raz przechodząc do porządku dziennego nad gloszonymi uroczyste zasadami. Przez szereg lat Trzecia Rzesza manifestowała najbardziej wrogi do Sowietów nastawienie, pragnęła mobilizować świat od walki z bolszewizmem — a teraz pierwsza idzie szukać jakiego takiego porozumienia z wyklinaną, „żydowsko-komunistyczną Moskwą”. Taką lojalność wobec partnerów dyktuje też zapewne „niemiecki honor”... Trudno sobie jednak wyobrazić, aby ci partnerzy mogli się godzić z niemieckim poglądem na tę sprawę.

Największe chyba wrażenie wywołało postępowanie Niemiec w Japonii. Tokio daje wyraz swemu oburzeniu nawet w półoficjalnym komunikacie, zapowiadając ponownie rozpatrzenie sytuacji europejskiej i dostosowanie swej polityki do nowych warunków. Nie sposób się temu dziwić. Jeszcze niedawno Japonia kuszona była ze strony „osi” propozycjami przyniesiać, japońska misja znajduje się w drodze do Europy dla rokowań z Niemcami i Włochami w sprawie sojuszu, który

oczywiście w pierwszym rzędzie zwrócony byłby przeciw Sowietom — a tu swoista niespodzianka.

Pakt niemiecko-sowiecki — to jednocześnie podważenie jednego z zasadniczych założeń, na których opiera się ós Rzym—Berlin, W imię walki z komunizmem w skali światowej Niemcy i Włochy interweniowały w hiszpańskiej wojnie domowej, a następnie wciągnęły narodową Hiszpanię do paktu antykominternowskiego. Hiszpania może obecnie zapytać, po co ją wciągano do systemu, który sami twórcy porzucają pierwsi i — bez uprzedzenia? To samo pytanie mogą jeszcze doświadczyć powtórzyć Węgry, których przystąpienie do paktu antykominternowskiego skłoniło Moskwę do zerwania stosunków dyplomatycznych z Budapestem.

Ciekawe, jaki efekt wywrze nowe posunięcie Berlina na postawie psychicznej i ideowej Niemców, zwłaszcza szczyrnych narodowych socjalistów. Oto znów bowiem padł jeden z kanonów ich ideowej wiary. Aneksją Czech i Moraw pogwałcił kanclerz Hitler zasadę jednolitości narodowej państwa. Sprawa przesiedlenia Niemców tyrolskich wykazała, że również „święta” zasada krwi i ziemi odrzucona zostaje w razie potrzeby, jak niepotrzebny rupień. A teraz znów ogłoszono publicznie bankructwo „walki na śmierć i życie z zarazą komunistyczną”, walki, o której tylekroć deklamowano, jako o posłannictwie Trzeciej Rzeszy, a do której Berlin mobilizować chciał cały świat... Dla przeciętnego Niemca — hitlerowca wiadomość, iż gorliwy szermierz paktu antykominternowskiego, min. Ribbentrop udał się oto do stolicy „antychrysta” — Moskwy, aby się kumać z co przedniejszymi „żydobolszewikami” — nie może być chyba tak zupełnie łatwą do strawienia.

Dla państw zachodnio-europejskich — które sensacyjną wiadomość przyjęły spokojnie, nie dając się wyprowadzić z równowagi — posunięcie Berlina jest jeszcze jednym dowodem, że Niemcy w swej polityce obłądnego imperializmu odrzucają bez wahania wszelkie zasady etyczne i ideowe, jeśli tylko przeszkadzają im one w aktualnej grze, podobnie jak dawno już przestały się liczyć ze swym słowem i podpisem — nawet w stosunkach z przyjaciółmi. Niemniej ofiarą, jaką Hitler zdecydował się zrobić, poświęcając wygodnego konika antykomunistycznego wskazuje, iż Trzecia Rzesza nie musiała uważać swej sytuacji za szczególnie ponętną. W odniesieniu do Sowietów, prasa zachodnio-europejska stwierdza słuszność realistycznego stanowiska Polski, która nie ulegając mrzenkom — nie doznała też rozczarowania i rowojem wydarzeń nie została zaskoczona. Zrozumienie prawdy, iż Polska jest jedynym naprawdę poważnym partnerem na Wschodniej Europie — jest dziś w Paryżu i Londynie szersze i powszechniejsze, niż kiedykolwiek.

(j. kow.)

Kadeci amerykańskiej szkoły wojennej w West Point



**SILNE LOTNICTWO
TO POTĘGA POLSKI**

W KONSTANTYNOPOLU

Największe miasto Turcji nie jest zgoła miastem tureckim. Dlatego wódz Turków przeniósł ze Stambułu stolicę do malej, ale położonej w rdzennej Turcji Ankarę. Wódz Turków czuł wyraźną niechęć do tego miasta, podobnie jak Hitler czuje niechęć do Berlina. Również niechęć czuje się w głosie Turka przewodnika, który oprowadza po osobliwościach miasta i opowiada o nich nam, grupie przypadkowych turystów. W tym ogromnym mieście mieszka tysiące Greków, Ormian, Żydów, nie licząc przedstawicieli wszystkich narodów Europy i wszystkich ludów Lewantu, tylko Turków jest tu bodajże niewiele. Miasto jest zbyt międzynarodowe, stanowi własność Bliskiego Wschodu, dla którego było centrum od całych wieków. Właściwie dzisiaj nie jest to już miasto tureckie, właściwie Turcy wyrzekliby się może tego miasta tak samo, jak wyrzekali się całych prowincyj, zamieszkałych przez ludność chrześcijańską w Europie, na przestrzeni ostatnich stuleci, gdyby nie wyjątkowe położenie tego „Gibraltaru Czarnomorza”, gdyby nie wyjątkowo ważne znaczenie tego strategicznego punktu w Europie. Cała współczesna Turcja bowiem zerwała wyraźnie z przeszłością sultanów i z epoką podbojów dla podbojów, uwiązując jak najlepsze stosunki z tymi wszystkimi narodami w Europie, które ciemniały do niedawna.

Samo miasto jest i piękne i szpetne zarazem. Nazwałbym je miastem „kinowym”, w tym znaczeniu, że zyskuje dopiero oglądane z pewnej dalekiej perspektywy. Bo i w kinie widzi się normalnie obraz z bardziej oddalonych od ekranu miejsc.

Rzecz ma się podobnie i tutaj. Panorama Konstantynopola jest prześlizgnięta, a widok ze Złotego Rogu niezapomniany, ale tylko wtedy, kiedy patrzemy na tę jedyną panoramę z pokładu okrętu, oddalającego się od brzegów. Poza tym względem Konstantynopol nie różni się niczym od całego Bliskiego Wschodu, którego wrota sam stanowi. Bliski Wschód jest malowniczy i bajeczny, ale tylko wtedy, kiedy patrzymy nań z pewnej perspektywy, z oddalenia, kiedy okiem nie możemy rozpoznać brudu na sztykach jego malowniczych synów, ani nosem wszystkich straszliwych zapachów, które wydziela.

Konstantynopol ma wiele wspaniałych zabytków, ale te zabytki są już zbyt dokładnie opisane i znane, żeby pisać o nich raz jeszcze. Turcy byli znakomitymi ujeżdżcami i dokonali wspaniałych podbojów na całym świecie, ale nie tworzyli własnej kultury, nie potrafili stworzyć własnego stylu. Cały historyczny sens istnienia tego imperium mieści się w Seraju, czyli w dawnym pałacu sultanskim, zamienionym dzisiaj na muzeum, stamiwiając atrakcję dla turystów.

W tym muzeum można stwierdzić naczynie przyczyny upadku państwa i przyczyny jego nietrwałości. Ostatecznie, po Rzymianach zostało cywilizowanemu światu nie tylko wspomnienie, ale olbrzymi dorobek na każdym polu. Na polu budownictwa, prawa, wojskowości, sztuki, strategii, inżynierii — wszystkiego. Istnienie Imperium Rzymskiego miało swój sens dzie-



Nad wieżami minaretów szybują samoloty nowoczesnej Turcji

jowy i wychowawczy dla ludów całego świata. Istnienie tego państwa było zapładniające i błogosławione w skutkach pod każdym względem. Zdajemy sobie sprawę z tego, że my sami byłibyśmy czymś nieskończenie mniejszym i marniejszym, gdyby nie istnienie tego imperium.

Mongolscy Seldżukowie, spokrewnieni z Tatarami i Hunnami, nie odznaczyli się niczym trwałym, ani pożytecznym. Można powiedzieć śmiało, że powstanie tej potęgi raczej zaszkodziło, niż posunęło naprzód świat, którego reprezentantami jesteśmy dzisiaj my sami. Nie tylko dlatego, że powstrzymało w rozwoju te ludy nad którymi panowała, ale dlatego także, że zmarnowało na walkę z sobą wiele twórczych sił Europy, między innymi i sił polskich.

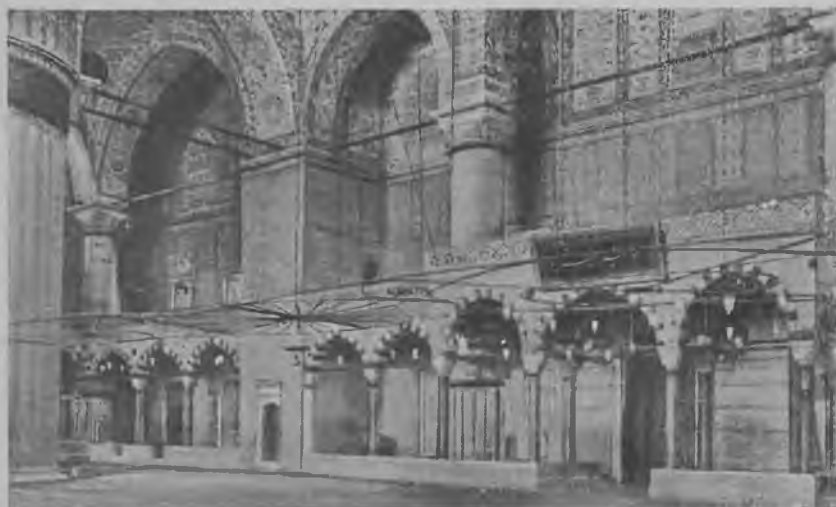
Wspaniałe gmachy Konstantynopola nie są zasługą jego władców. Aja Sofię, klejnot architektury powołał do życia geniusz spadkobiercy budownictwa rzymskiego i greckiego. Kopułę tej świątyni, a po niej kopuły innych świątyń mahometańskich w tym mieście i gdzie indziej, stworzył właściwie geniusz Etrusków, od których przyjęli jej wynalazek twórczy zdobycy — Rzymianie. Najwspanialsze zabytki tego miasta wyszły spod ręki Greków, budowniczych Wschodniego Cesar-

stwa. Wspaniałe moszeje były także tylko naśladownictwem. Turcy niszczyli zabytki sztuki helleńskiej, korzystając z tego, że terytoria, na których ta sztuka powstała, należały do nich. Ponieważ religia Mahometa nie pozwalała na tworzenie postaci ludzkich w kamieniu, czy też na malowanie ich, odbijali głowy posągów greckim.

W tym oto pałacu greckich sultanów, którzy uciekli wypędzeni przez własny lud wydziela się opar gnuśności, lenistwa i niespełnionych pragnień erotycznych.

Oczy kobiet zaczynają błyszczeć niezdrowym blaskiem, kiedy wchodzimy do skarbcza sultanskiego. W gablotach, szafkach, szufladach za szkłem i bez szkła rozłożono przed oczyma zwiedzających wspaniałości Wschodu.

Wspaniała chińska porcelana, niezmiernie stara i cenna, wśród której znajdują się egzemplarze o wartości setek funtów angielskich. Długie szeregów strojów sultanskich, świecące od złota i drogich kamieni, rzędy na konie, pasy, broń starożytna a cenna, ogromne a cudowne wazy i naczynia, w których może się schować człowiek, jakieś tabakierki, grzebienie, ozdoby, pudra, lustra i obrazy w najkosztowniejszych oprawach, cały bajeczny sztafaż Wschodu, pozłacany, wyiskrzony



Fragment wnętrza Aja-Sofii

blaskiem kamieni, które bardziej błyszczą w wyobraźni, niż w rzeczywistości, wachlarze i czapraki i czego tam jeszcze nie ma. Kobiety dostają w tych salach wypieków, czy ich zapalają się blaskiem wyiożonych bogactw, ruchy ich stają się kocie i panie miotają się od gablotki do gablotki, od szybki do szybki, od jednej wspaniałości do drugiej, nie mogąc powstrzymać okrzyków.

A właściwie widok tyłu prawdziwych arcydzieł i wspaniałości w zlocie, kryształach brązie i porcelanie odbiera raczej ochotę posiadania podobnych do nich. Tych wszystkich nieskończenie mniej cennych przedmiotów, które sami lubimy posiadać, w których kochają się mieszczańskie domy. Nie zrozumie tego arcymieszczuch, strojący domowe „komody“ i „konsole“ w owe porcelanowe przedmiotki i pozorne „przedmioty zbytku“, wyrażające głód sztuki „straszego bourgeois“, owe zwierzątka z porcelany, kolorowane i śmieszne. Czemże one są wobec tej prawdziwej porcelany, kości słoniowej, złota i całej reszty.

Widok ogólny Ankarę



Nagromadzono tu w przeszłości obfite skarby, ale gromadzone je raczej bezużytecznie. Władca gromadził je, trzymał w zamknięciu, rządzeni zaś żyli w niesłychanej nędzy i ciemności. Dlatego pomimo całej wspaniałości tych bogactw zdaje mi się, że skarbiec angielski ma ich znacznie więcej. Nie mówiąc już o konsekwencjach, wypływających z potęgi angielskiej ani o trwałości tej drugiej.

I bodajże te bogactwa raczej osłabiły państwo Otomańskie, niż mu pomogły. Albowiem złoto spoczywające bezczynnie w skarbcach posiada wspaniałości raczej usypiające i obojętniające, jeżeli idzie o właścicieli. Złoto bywa bogactwem dopiero wtedy, kiedy krąży jak krew w żyłach, a nie kiedy w nich krzepnie.

*

Ale sułtanat to przeszłość, bodajże niepowrotna. Kiedy zwracam się twarzą w kierunku wschodnim, gdzie się zaczyna już ogromny monolit największego kontynentu na ziemi — Azji, zdaję sobie sprawę z tego, że tam dopiero leży właściwa, dzi-

siejsza Turcja, przeorana i zmieniona. To jest inna Turcja. W zetknięciu się z drapieżną kulturą Zachodu, który urządził całą świat uznana, podobnie jak przed kilkudziesięciami laty Japonia, że może istnieć tylko wtedy, kiedy sama przyjmie prawa, porządki i zdobycze potężnej kultury. To też na każdym kroku widzi się tutaj zmiany, odbiegające od pojęć, które przywykliśmy łączyć ze Wschodem, nawet w tym nietureckim, międzynarodowym Stambule.

Wspaniała kościół Świętej Mądrości, Aja Sofia, zamieniony na meczet, był w epoce żywych uczuć religijnych kamieniem obrazu dla świata chrześcijańskiego. Kiedy zdobyto po długim oblężeniu Konstantynopol wojska seldżuckie nie uszanowały kościoła. Arabowie byli pod tym względem bardziej tolerancyjni, niż mongolscy Turcy. Legenda głosi, że właśnie w tym czasie świątynia była wypełniona wiernymi, błagającymi Boga o ratunek i zmiłowanie. Wojska tureckie, które właśnie zdobyły miasto, wpadły pod wodzą sultana do świątyni. Podobno trupy leżały warstwami na wspaniałej posadzce. Pewnie dlatego widać dzisiaj jeszcze znak podobno miecza samego sultana, wysoko, wysoko na marmurowej ścianie.

Legenda opowiada, że kiedy niewierni wpadli przed ołtarz, zastali tam księdza, który odprawiał mszę. Rzucili się na niego z dobytymi szablami, ale wtedy stał się cud. Ściany miały się same rozstąpić i ksiądz wraz z ołtarzem zniknął w nich przed oczyma zdumionych i przerażonych bismuranów. Odtąd legenda głosiła dalej, że ksiądz i ołtarz ukażą się znowu, i że duchowny dokończy przzerwanej ofiary tylko wtedy, kiedy wojska chrześcijańskie wejdą znowu zwycięsko do miasta i do zbieszczszonego kościoła.

Ta chwila nadeszła. Przy końcu ostatniej wojny weszły do Konstantynopola zwycięskie wojska francuskie i angielskie. Wielu ludzi oczekiwało wtedy cudu. Ale cud nie nastąpił. Legenda okazała się tylko legendą. Wtedy prawosławni, pobożni Rosjanie, którym wybuch rewolucji przeszkodził we wkroczeniu do tego miasta, co było tyłowiekowym marzeniem tego narodu, twierdzili, że stało się to dlatego, iż do kościoła wkroczyli katolicy i anglikanie. Gdyby wkroczyły prawosławne szereg Biłego Cara cud nastąpiłby z pewnością. Trudno oczywiście przesądzać te delikatne sprawy.

Dzisiejszy rząd turecki pragnie odrobić barbarzyństwa przodków. Chociaż Aja Sofia jest dalej meczetem, drobiazgowo prace konserwatorskie specjalistów starają się wydobyć stare piękno okazale świątyni, wydostają je spod późniejszego tynku. Odkrobuje się ten tynk i wydobywa spod niego dawne, chrześcijańskie ślady. Spod tej warstwy, którą pokryto przed wiekami ściany, żeby nic nie świadczyło o tym, że panowała tutaj religia, odkrywają się nowe cuda, nieznanne dotychczas światu. Wychodzą na wierzch krzyże i postacie chrześcijańskich świętych, układane miernie z kamyczków. Dzisiejsza Turcja stara się bardzo ambitnie o to, żeby zostać w Europie, przynajmniej duchowo, skoro ona z niej wyparta fizycznie.

HISTORIA ULICY WARSZAWSKIEJ

Podając adres któregoś ze starszych ulic warszawskich, a więc Senatorska czy Wierzbowa, Leszno czy Podwale, wymawiamy te nazwy zupełnie automatycznie, gubiąc w świadomości istotną ich wartość. Już przedcej, wymieniając jakąś zupełnie nową ulicę, w rodzaju: Plac Wilsona, czy Sejmowa — zdajemy sobie sprawę, że oto te nazwy nadane zostały na cześć i ku upamiętnieniu pewnych osobistości, lub faktów.

Przeciętny warszawiak nie zdaje sobie sprawy, dlaczego są ulice o nazwach takich, jak Tłomackie, Leszno, Wierzbowa. Najczęściej mówi się — ano, wierzby rosły, to tak nazwali — i upraszcza się znaczenie szacowną przeszłość.

A echo przeszłości jest już nikłe, zagłuszone hałasem wielkomiejskim, a przez krótkie uliczki starej Warszawy gdzie się nowoczesnym autem tak szybko, że nawet czasu nie staje na chwilę zamyślenia nad ich przeszłością. A przecież tu, wśród tych ulic, i dawniej był gwar. W niejeden z dzisiejszych domów czynszowych tańczył ostatni król polski, w niejnym z mieszkań żył człowiek wielki i tworzył sławny artysta.

Ulicom Warszawy starym, o których mamy wiadomości historyczne, chcemy przydać rumieńca życia i choć na chwilę powrócić im zasługę przeszłości, zagubioną w odmęcie stołecznego gwaru.

PODWALE

Ulica Podwale nosi dziś charakter typowo mieszczański. Tu mają sklepy szewcy staromiejscy, tu osiedli potomkowie pułkownika szweca Kilińskiego, tu jest środowisko przekupiek warszawskich i drobnego mieszczaństwa.

Ale nieco dawniej... nieco dawniej nosiła zupełnie inny charakter. Któż z dzisiejszych mieszkańców Podwala domyśliłby się, że owa półkuliasta uliczka, jak tradycja głosi, pod wałem miasta biegnąca, skupiała w swych murach domy gry hazardowej i że tu, na dziś cichej ulicy, złota młodzież przegrywała swe dochody i włości. Były domy gry półprywatne, nie afiszujące się swym procederem, ale bywały i szulernie sławne. Kolejną rzeczą w pobliżu szulerni powstawały kantory bankierskie, pierwsze zresztą w Warszawie. Oprócz tego mieściły się tu cukiernie i traktiernie, m. in. słynna cukiernia Sasa Wiernika, gdzie dawano produkcje muzyczne — namiastka dzisiejszych dancin-gów. A w pobliżu zamku powstała pierwsza fabryka czekolady Włocha Marco Biniego.

Widzimy więc z tego, że Podwale była to ulica wesoła, bogata, hulaszczą, złota ulica Warszawy, gdzie raczej mężczyźni ciągnęli na chwilę zabawy, a niewiasty miały o niej złe wyobrażenia.

Zachowany do dziś dnia w opuszczonym i oplakany stanie pałac pod numerem 3-cim był dworem siostry króla Stanisława Augusta, pani Krakowskiej. Tu na jej salonach tańczył król, tu wyszukane rozmowy prowadził brat prymas, hucznie bawili się l'abbé i dworacy. A ponieważ król Stanisław Poniatowski interesował się postępkem cywilizacji i wynalazkami, więc

z podwórza pałacu pani Krakowskiej pofruntował w niebiosa pierwszy balon w Warszawie. Dziś cały ośrodek komunikacji lotniczej jest na Mokotowie i Okęciu i z pewnością żadnemu przechodniowi nie przyszłoby na myśl, że zaniedbane podwórce otoczone starymi murami przy ul. podwale Nr 3 było kolebką naszych triumfalnych challenge'ów.

Ale największym chyba curiosum Podwala była kamienica pod numerem 14-ym, nawprost cerkwi. Dziad znanego historyka Joachima Lelwela, uczony Henryk Lochoeffel von Loevensprung założył w tej kamienicy pierwszą w Warszawie szkołę chirurgiczną w r. 1736. Konieczne przy nauce chirurgii były sekcje, robiono więc tam sekcje na ciałach straconych więźniów, ale mściwy, a ciemny ludźk staromiejski podniósł otwarty bunt i dla spokoju publicznego policja kazala szkołę zamknąć.

Obecne Podwale nie odziedziczyło ze swej przeszłości ani cech hulaszczych, ani naukowych.

MIODOWA

Ulica Miodowa, równoległa i bliźniacza z Podwalem, ma wiele cech romantyzmu. Dawniej nie miała ona frontów pałacowych, których resztki zachowały się w tak dużej liczbie na tej właśnie ulicy. Prawa jej, nieparzysta strona były to tyły pałaców, stojących czołem do zamku i do ulicy Podwale.

Nazwę swą zawdzięcza słodkiemu zawodowi piernikarzy, którzy tu gromadnie osiedli. Jeszcze za pamięci dzisiejszego pololenia istniała na Miodowej jedna z lepszych fabryk pierników Wróblewskiego; od owych piernikarzy poszła nazwa ulicy Miodownikowskiej.

Ale wśród szarych dni codzienności i dla Miodowej ulicy przyszła noc szaleństwa karnawałowego. We wspaniałych salonach słynnego bankiera Teppera, w domu, oznaczonym dziś numerem 6, mieszkał Talleyrand w okresie Księstwa Warszawskiego i tu na wielkim balu, wśród bogactwa bankierskich salonów, zażenowany i zachwycony pięknnością pani Walwskiej, mylił pas menuetowe wielki cesarz Napoleon. Odtąd ulica nosiła dumną nazwę Napoleońskiej, aż dzień powszedni kazal jej wrócić do wyrobniczej nazwy Miodowa.

Ulica ta jest w swej historii w ogóle ulicą wielkich wodzów. Po triumfalnym zwycięstwie wiedeńskim król Jan Sobieski Bogu na chwałę wystawił kościół Kapucynów i klasztor z ogrodem. Po dziś dzień kościół zdoła herb Sobieskich Janina i łacińskie słowa, głoszące pokorę wielkiego króla wobec Stworzyciela. Kościół ów votum za wyprawę wiedeńską, był sarkofagiem Jana Sobieskiego. Dziś zwłoki królewskie spoczywają na Wawelu, w kościele Kapucynów pozostało serce.

Ma Miodowa i patriotyczną nutę w swej przeszłości. W kamienicy narożnej od Kapitulnej, nawprost świetnego pałacu Paca, mieszkał rosyjski ambasador Igelström. W r. 1794 ten sam ludek staromiejski, który swoją ciemnotą przekreślił był szkoły chirurgicznej na Podwalu, biegnąc

za zagwią Insurekcji Kościuszkowskiej ostrzeliwał mieszkanie ambasadora pod wodzą Kilińskiego.

Na Miodowej wreszcie była sławna kawiarnia Honoratka, gdzie młodzi rewolucyjni zapaleńcy z Maurycym Mochnackim na czele roili sny o potędze.

WIERZBOWA

Nazwa ulicy Wierzbowej nie pochodzi bynajmniej od jakowychś legendarnych wierzb, które tu jakoby miały rosnąć ale rodowód jej ma cechy o wiele bardziej arystokratyczne. W wieku XVII-ym w miejscu, gdzie dziś stoi Hotel Angielski, stał pałac wielkopański biskupa S. fan, Wierzbowskiego. Ulica od jego nazwiska nazywana była Wierzbowską i taka winna by jej istotna nazwa. Pałac kolejną losów przechodzi w ręce książąt Radziwiłłów, prawem zwyczajowym zwą ją Radziwiłłowską. Później wraca do swej nazwy pierwotnej, zlekka zniekształconej i po dziś dzień pozostaje Wierzbową.

Ulica zawsze miała charakter wielkopański, tu był oprócz wymienionych pałac Brühlowski, u nasady zaś, przy placu Teatralnym, na gruntach dawnego Marywilo wystawionego na pamiątkę bitwy wiedeńskiej przez królową Marysienkę, stanął okazały pałac PP. Kanoniczek, świeckiego zakonu kobiet, którego ogród zdołał ulicę. W r. 1825 Kanoniczki przeniesiono już na Plac Teatralny, gdzie są po dziś dzień, a sławny architekt Antoni Corazzi począł budować gmach Teatru Wielkiego.

Ze jednak w naszym życiu publicznym wszędzie są ślady gehenny patriotycznej, więc i Wierzbowa ulica ma swoją pamiątkę. Za czasów Wielkiego Księcia Konstantego już na miejscu dzisiejszego M. S. Z. i artystycznego ganku z podcieniami znajdował się ponury mur z bocznym wejściem do pałacu Brühlowskiego. Tu, tymi drzwiami, prowadzono męczennika Łukasiewskiego, przez nie wodzono członków Towarzystwa Patriotycznego na inkwizycję moskiewskiego śledztwa. Za tym murem rozgrywał się dramat polskich męczenników, a ulicą Wierzbową biegł nurt życia warszawskiego.

W dzisiejszym Hotelu Angielskim, jak tablica głosi, w r. 1812 stał Napoleon. Cesarz Francuzów wracał złamany z nieudanej wyprawy na Rosję i nie stanął reprezentacyjnie w Zamku, jak wówczas, gdy szedł Moskwę zdobywać, lecz cicho saniami zajechał do hotelu i siedząc w zielonej szubie przy kominku czekał, aż mu polska dziewczyna roznieci na rozgrzewkę ognia. Tu padły z ust cesarza do Stanisława Potockiego wymówione tragiczne słowa doświadczenia: „Od sławy do śmieszności tylko jeden krok...”

Ale wszystko się na świecie kręci — jak mówi Bolesław Prus, ten sam dzień dla jednego człowieka jest wielkim piątkiem, a dla drugiego wielką niedzielą — to samo można powiedzieć i o miejscach. Bowiem w 44 lata po wzięciu cesarza przed tym samym kominkiem hulaszczą młodzież warszawska urządziła dla baletnicy Facchini kąpiel w szampanie.



OGROD SASKI

Nie tak odległe są czasy, gdy do ogrodu saskiego nie wpuszczano ludzi obdarych, źle ubranych, Żydów w chałatach, niedawne czasy, gdy Prus w kronikach musiał walczyć o prawa dla służących, które, chcąc dostać się do hal targowych za Żelazną Bramą, musiały obchodzić olbrzymi ogród, bowiem do letniego salonu Warszawy wstęp im był wzbroniony, zwłaszcza z koszykiem, nalożonym prowiantami. Dziś salony w ogóle podupadły, więc i ogród Saski przestał być salonem — wróćmy mu jednak jeszcze na chwilę ten tytuł.

Na jego terenie stały kiedyś pałace arystokratów, Sapichów, Tarłów i najwspanialszy, Morsztynów, owego Andrzeja Morsztyna, poety, i tłumacza Cyda. Pałac Morsztynów miał wspaniały ogród i wiele drzew dziś rosnących jeszcze na tym terenie szumiąco poecie w XVII-tym wieku. Obszar ogrodu jest olbrzymi, toteż oprócz pałaców miały tu swe miejsce kościół OO. Bonifratrów i szpital. W XVIII-tym wieku August II Sas zakupił cały obszar, kościół i szpital przeniósł na Nowe Miasto, gdzie powstała wówczas ulica Bonifraterska, pałace poburzył, wystawił monarszy dwór, a na reszcie terenu zniwelowanego założył sentymentalny francuski park z figurami złoconymi, z altanami i potoczkami. Alejom nadano nazwy sentymentalne, jak: Literacka, Weschnięć, Marzeń — po dziś dzień w pamięci starych warszawiaków zachowane. W roku 1820 otwarto park jako publiczny i nadano mu charakter angielski, a więc zbliżony do przyrody dzikiej, otworzono liczne perspektywy, wzorując się na sławnym parku Czartoryskich w Puławach.

Ciekawą rzeczą dla dzisiejszego przechodnia będzie wiadomość, że cały pl. Marszałka, dawniej Saski, był olbrzymim podjazdem pałacowym i ciągnął się aż na Krakowskie - Przedmieście. Rosjanie nieprawie ów podjazd zagarnęli pod budowę soboru prawosławnego, który swym bizantyjskim ogromem przytłaczał Warszawę i był krwawą pieczęcią rusefikowania stolicy.

Gdybyśmy więc znali przeszłość naszego miasta, Ogród Saski zwałby się z pewnością Ogródem Morsztynów i nie dziwiłoby się dlaczego starym kasztanom w ogrodzie lamia się konary, że aż dla bezpieczeństwa trzeba pewne ulice izolować — boć przecie to jest jeszcze ów Morsztynowski starodrzew, który ma 400 lat.

NOWOLIPIE

Są w Warszawie dwie ulice, dla rzadkiego bywałca dzielniccy północnej trudne do rozróżnienia, a że brudne, zaniedbane, więc i zapomniane. Ale gdy przyjdzie nam wybrać się na nie zawsze błędny, nie widząc, gdzie są Nowolipie, a gdzie Nowolipki i zastanawiamy się, czemu nadano im te bliźniacze nazwy, ku zmartwieniu trafić nie mogącego przechodnia.

A nazwy te zachowały się ściśle tak, jak je nam przekazała historia. Mianowicie Zygmunt III Waza, król polski, wielki obrońca katolicyzmu sprowadził do Warszawy zakon pp. Brygidek, pochodzący ze wsi Lipie w Ziemi Czerskiej, i osadził na miejscu dziś stojącej ohydnej kamienicy czynszowej, zwanej Pasażem Simonsa. Stał tam kościół pod wezwaniem Św. Trójcy oraz klasztor. Dla utrzymania zakonu oddał król pannom zakonnym pole miejskie zwane wygonem i to miejsce nazwane zostało od macierzystego Lipia Brygidek Nowolipiem. Później grunt został podzielony i część nadano szpitalowi św. Łazarza nazywając dla odróżnienia Nowolipkami.

Zaznaczyć należy, że w czasach późniejszych na Nowolipiu mieszkał twórca teatru polskiego Wojciech Bogusławski. Tu tworzył sztuki teatralne, stąd jeździł na występy do teatru na pl. Krasińskich i tu żywota dokonał.

FRETA

Tak jak nazwa Podwale pochodzi od położenia tej ulicy przy wale miejskim, nazwa Freta oznaczała w średniowiecznej łacinie przedpole jakiegoś miasta, nieuprawne pole, to co my dziś nazywamy ugor.

Ulica Freta to bardzo starożytna ulica, nazwa jej pochodzi aż z 15 w., dziś pryncypalne Krakowskie Przedmieście nosiło tę nazwę jako przedpole Starego Miasta.

Freta była ulicą browarów, tu warzono piwo dla stolicy, tu osiadło zamożniejsze mieszczaństwo. W wieku XVII Jan Kazimierz kazał browary przenieść na inne miejsce — Freta stała się magistratą łączącą Stare Miasto z Nowym.

Ozdobą Freta jest klasztor i kościół oo. Dominikanów znany często pod nazwą kościoła ze sklepami. Wielki kaznodzieja, patriota Fabian Birkowski mieszkał w tym klasztorze, siał otuchę i kazał, gdy w wieku XVII zaraza morowa nawiedziła Warszawę. Braciszkanie nieśli pomoc upadłej na duchu ludności stolicy i do dziś dnia w drzwiach głównych klasztoru

są otwory, przez które zakonnicy w czasie zarazy spowiadali i komunikowali wicrnych.

Klasztor Dominikanów zamieniono na więzienie stanu, ustanowione przez W. Ks. Konstantego z czasów Królestwa Kongresowego i tu przebywali pierwsi męczennicy za wolność Ojczyzny.

Ma i romantyczną pamiątkę ul. Freta, mieszkała na niej synowica królewska, Wielka Referendarzowa Koronna, Wincentowa Tyszkiewiczowa, odwiedzał ją tu często stryj Stanisław August, u niej bywał w czasach napolcońskich zakochany Taleyraud.

Wreszcie węzeł z przeszłością jeszcze żywy — to pamięć o pensji panny Bronisławy Boguckiej przy ulicy Freta. Owa pani Bogucka zamężna za dr Skłodowskim była matką Marii Curie - Skłodowskiej.

A dziś przy Freta stoją małe mieszczańskie domki, wałęsają się czynszowe domy, jeżdżą wozy i auta ciężarowe i prawie nic nie przypomina, ani zamożności bogatych piwowarów, ani orszaku królewskiego, ani dostatniego życia ulicy śródmiejskiej.

TLOMACKIE

Ojcem chrzestnym placyku, Tłomackim zwanego, jest miasto Tłumacz z ziemi halickiej i starosta tłumacki Jerzy hr. Potocki właściciel gruntów i domów przy tej ulicy położonych. Błędnie zatem piszemy Tłomackie, lub Tłomackie, przez — o, lub — ó, zacierając tym historyczne pochodzenie nazwy.

Dziś placyk jest ośrodkiem gminy wyznaniowej żydowskiej, prawa zaś jego strona zyskała wiele na budowie centrali telefonicznej. A jednak martwy dziś placyk był kiedyś zaczątkiem artystycznej kultury stolicy. Jedną bowiem z rzeczywistości była w posiadaniu Józefa hr. Ossolińskiego, który tu założył w wieku XIX pierwszą w Warszawie, obok prywatnych, publiczną galerię obrazów, a bezplatny wstęp ścigał tłumy warszawiaków. Galeria bogata, jakkolwiek nieduża, mogła się poszczycić posiadaniem takich eksponatów jak Rubens i Correggio i była punktem wyjścia dla dzisiejszych salonów sztuki i Muzeum Narodowego.

Tak więc najmniejszy placyk, zapomniana ulica kryją w sobie zasługi przeszłości, bezcenne w skutkach dla dzisiejszej Warszawy, a przez tę dzisiejszą Warszawę niewdzięcznie zapomniane.

Maria Rojkowa

PRAWDZIWIY MAKUSZYŃSKI

Czytelnik może zacząć od pytań retorycznych i zastrzeżeń. Jaktó — powie — prawdziwy Makuszyński? A czy to ja znam dotychczas „falszywego” Makuszyńskiego? Czy może wszystkie dotąd wydane pod tym nazwiskiem książki to apokryfy wydane pod tak popularnym pseudonimem? Więc dopiero teraz, kiedy szanowny recenzent raczył przeczytać „Kartki z kalendarza”¹⁾, okazało się gdzie jest prawdziwy Makuszyński... To jakieś grube nieporozumienie! Bo Makuszyński jest i ten z „Fatalnej szpilki” i ten ze „Słońca w herbie” i ten z „Pieśni o ojczyźnie”. A „Kartki z kalendarza” to nie nowego dla nas!

I tu recenzent z naciskiem podkreśli słowa „prawdziwy Makuszyński”. Bo Makuszyńskich jest wielu, ale prawdziwy raczył się nam dopiero na mowo objawić, właśnie w tej książce, która tyle nam dała radości.

Bo „Kartki z kalendarza” to książka, która zapowiadając z pozoru tak mało — ot jeszcze jeden zbiór felietonów — daje tak wiele. Zbliżamy się do niej pełni szablonych miarek i uprzedzeń, gotowi traktować ją jako letnią, wakacyjną lekturę, zabawkę literacką, niepróżnujące prómowanie, gdy tymczasem...

Gdy tymczasem dzieją się rzeczy niesłychane. Szablony nasze załamują się z hukiem i trzaskiem.

Takie są skutki gdy się w samym sobie munitfikuje pisarza, gdy mu się raz na zawsze w osobistej „historii literatury” przwlepiło etykietkę, gdy nas irytuje to, że pisarz śmieć być innym, niż się nam podoba go widzieć, że się ośmiela być na nowo młodym, że umie na nowo błysnąć czymś co dla nas miało być wyblakłe i zmurszałe. Musimy pozostawić miarę „makuszyńską” w przedpokoju i wejść w lekturę odświeżeni na nowo jej tętnem, charakterem i barwą.

Taki jest bowiem proces czytania książki Makuszyńskiego. Przestajemy poklepywać siebie samych po ramieniu, przestajemy szukać typowości, makuszyńskości, a zagłębiamy się sercem i umysłem w ten świat, który nam pisarz chciał pokazać i pokazał z niesłychaną plastyką, precyzją i barwą.

Ale wróćmy do heretyckiego twierdzenia o prawdziwym Makuszyńskim. Opiera się ono przede wszystkim na innym twierdzeniu. Makuszyńskich jest wielu, jest i ten z lektury dla młodzieży, który trochę ostatnimi czasy przesłonił nam pisarza, jest i ten, który potrafi stosowane bajeczki zawarte w podpisach pod rysunkami napisać i ten felietonista, którego znajdziemy we właściwym czasie na stałym miejscu dziennika i ten z akademii literatury pan poważny i gazda zakopiański. Istny Tulipan, van Tulpen z „Fatalnej szpilki”!

Był okres, że humor Makuszyńskiego zapowiadał skostnienie, zamknięcie się w formułach środowisk opisywanych i zbanalizowanych chwytów stylowych. Był okres, że zdawało się nam, że pisarz po-

wiedział swoje. Ale takie wnioskowanie było uzasadnione i uwarunkowane naszym stosunkiem do literatury, do problematyki, było uwarunkowane naszą natrętną niechęcią powagą i kluczem wymagań.

Makuszyński był przez długie lata przeciwwą nosa spuszczonego na kwintę, przeciwwą wschodniej nieco pryncypalności, dawał taki gatunek literatury, który nie stawiał i nie rozwiązywał problemów, ale chciał rozruszać nasze ponure oblicze, uśmiechnąć się. Można w w hierarchii zadań literatury stawiać ten uśmiech niżej — ale to będzie stanowisko... nieco śmieszne! Literatura może sobie pozwolić na takie szerokie marginesy humoru, można czytać książki, w których nikt nikogo nie krzywdzi, nie gwałci, nie uświadamia społecznie. Rewizja powagi i dostojności, prawo do uśmiechu — oto co dawał Makuszyński.

Imna sprawa to zakres jego środków. Młodzi rewizjoniści likwidowali Makuszyńskiego i jego gatunek humoru, ale jak się okazało pisarz wyszedł zwycięsko spod tych rewizji, bowiem dziś nad jego książką uśmiechamy się pogodnie, tak życzliwie, dobrze, przyjaźnie, bez goryczy i kosztowności nastawia nas jego słowo.

Makuszyński jest dobry! — to chce się powiedzieć po ostatniej lekturze. Jest życzliwy. Widzi i opisuje świat i bliskich sobie i epokę, której nie poznaliśmy jeszcze całkowicie — Młodą Polskę — w sposób, który budzi ogrom sympatii i ciekawości. Odczuwa się po prostu, że tu właśnie jest pisarz, który może stworzyć jeszcze jedną legendę tymentych czasów.

Oto dlaczego „Kartki z Kalendarza” wcielają według nas najpełniej prawdziwego Makuszyńskiego! Dlatego, że są w tej książce składniki „makuszyńskości” w najlepszym gatunku, zastosowane do najlepszych okazji, najlepiej rozwiązane artystycznie.

Opis Makuszyńskiego, charakterystyka człowieka bliskiego czy obcego, sztuka malarstwa sylwetki fizycznej czy psychicznej — to zawsze majstersztyk skrótów i zwartości. Na pozór rozlcwny, rozplywają-

cy się na aluzje i westchnienia Makuszyński nie grzeszy nigdy przeciw zwartości. Tyle słów ile potrzeba. Oto Kasprowiec z „Naszej kawiarni”:

„Szeroko rozparty siedział brodacz wspaniały, w barkach niepomiernie rozrósł prawie kwadratowy, mocny jurny i potężny: Jan Kasprowiec. Grzmiał głosem kiedy opowiadał, cudownie szczerym dziecięcym śmiechem śmiał się, kiedy słuchał”.

To próbka szkicu portretu, rysunek dźwiękowy. I jeszcze jedno — próbka języka jakiego mało dziś w naszym piśmiennictwie, języka naprawdę polskiego, rytmicznego, jasnego, bez gmatwaniny, płynnego w kadencji, w rytmie.

Bo Makuszyński nie ma pretensji do komplikacji. Bo ma przed okiem żywy przedmiot opisu i proste zadanie: znalezienia odpowiednika słownego. I znajduje, nawet wśród tematów, które już są niebezpieczne, tak zdawało by się ograne i jednotonowe. Makuszyński potrafi o Lwowie — dziś po latach lwowskiej fali, Szczipka i Tońcia, po tonach lwowskiego sentymentu zastrykniętych duszy zbiorowości — powiedzieć o Lwowie po swojemu serdecznie i prosto.

Gotowimy się może spierać o prostotę Makuszyńskiego. Przecież zdawałoby się iż nic łatwiejszego jak go posadzić o brak humoru i ot zanleć dowody tego przeladowania sentymentem, w stylu, w słowie, w zdaniach „na stronie”. Ale bliższa analiza tekstu pokaże, że nie mamy racji, że w takim felietonie np. jak „Życie paryskie” nie ma słowa do skreślenia, bo Makuszyński konkretyzuje wspomnienie z taką siłą liryczną, że czytelnik pozostaje w obrębie wzruszenia tak długo jak się pisarzowi podoba. A zna on swego czytelnika jak mało kto. I umie oddychać z nim razem, poddając rytm i nakładając tłumik z nicomylną precyzją.

Prawdziwy Makuszyński daje satysfakcję jakich mało. Jest przewodnikiem i poetą. Pokazuje przeszłość przez pryzmat poetyckiego serca. Aż człowieka żal bierze, że pisarz raczył tylko pokazać cząstkę, ułamek tych skarbów. Bo widzi się i czuje najżywiej, że tu Makuszyński chwycił pod pióro temat najbliższy, najbardziej harmonizujący z jego organizacją pisarską.

(M. S.)

Grupa gdańskiej S. S. i Heimochry w drodze do koszar



¹⁾ Kornel Makuszyński „Kartki z kalendarza”. Gebethner i Wolff, 1939



Podczas pogłębiania portu w Władysławowie wydobyto kotwicę statku z epoki króla Władysława IV

Z POLSKI I



Po zakończeniu prac przy rozbudowie gmachu Ministerstwa Przemysłu i Handlu p. premier gen. Sławoj-Składkowski przemówił do pracowników, stając przy stole

Lotnictwo amerykańskie wzbogacone zostało o nowy typ prostego, skutecznego w użyciu spadochronu



Nowy lotniskowiec angielski „Formidable” zerwał się w powietrze, powodując katastrofę



Z POLSKI I ZE ŚWIATA



Podczas podboju japońskie Władysławowiec wylądowało na plaży, w pobliżu przylączy Władysławów IV.



Po zakończeniu prac przy uruchomieniu granitowej kopalni w Krynicy, odbył się obiad dla robotników, w którym gościnnie uczestniczył prezydent państwa, przybywszy do Krynicy z okazji powstania kopalni.



W czasie wojny japońskich Anglik, Edward, obserwował z dala, z pomocą swojego przyrządu optycznego.

Lotnictwo amerykańskie walczyło z japońskim lotnictwem nad wyspami Filipin.



Nauka lotniczego napędu „strzała” została osiągnięta w Anglii. Całkowicie bezsilny, samolot.



Lotnictwo japońskie napadło na amerykański statek „Enterprise”. Ale nie było to na pewno „japońskie”.



ZE ŚWIATA



A. Spr. Wewn. odbył się obiad dla robotników: zgromadzonych, wskazując na znaczenie wytyczenia drogi do dobra państwa



B. min. spraw zagranicznych Anglii, Antoni Eden, powołany został w randze majora do służby czynnej

ę z rusztowania w doku. Cudem uniknięto okrętu



Żołnierz japoński zapala fajkę staremu Chińczykowi. Ale nie jest to na pewno „fajka pokoju”



POWRÓT JÓZEFA

(NOWELA)

— Wróć. Na pewno wróć.

Tak mówił Józef. Nie należy używać słowa „powrót“ idąc na wojnę. Nie należy sobie pozwolić o tym myśleć. Oto pożegnali się, pociąg odszedł, matka tam została. Można było jeszcze pomyśleć tylko o drodze jaką zrobi. Od peronu do furtki, w tłoku, w ścisku, w pośpiechu ludzi. Do sali dojdzie, kolo bufetu przedostanie się na drugą stronę, na podjazd. Stamtąd będzie już miała niedaleko. Przyjdzie do domu i wszystko co powie, to jedno: „Pojechał“.

Ileż to czasu minęło? Rok? Miesiąc? Pięć lat? Wszystko jedno. Dość, że można było wreszcie wrócić. I to jak wrócić. Dziwne takie to życie. Bo wszystko polegało na tym, że został uderzony kawalkiem drzewa. Granat upadł niedaleko, z drzewa ułamał gałąź, tą gałęzią uderzył go w ramię. Oto i Józef był kontuzjowany. Nawet stracił przytomność. Gdy się obudził — już znajdował się na furmance. Noc była, kilku ludzi jechało konno, rozmawiali tym innym językiem, piluowali furmanek jadących drogą, przez las. Ktoś tam na przedzie trzymał wysoko kagańce. Ale rano trzeba było miejsce na furmance ustąpić innym. Szło się po ścieżce przy jednym koniu, przy jednym jeźdźcu. I można było uciec. Okazało się, że jest to łatwe, że tylko należy odpowiednio wybrać miejsce i czas, tak wybrać, żehy nie przyplacić tego życiem.

Las był z początku gęsty. Słysząc było nawoływanie, strzały, kilka przekleństw oddzielonych od siebie, wyraźnych, mocnych, mówionych bez złości. Potem las nie miał podszycia. Zaraz zaczęły się łąki. Chata stała, niedaleko chaty siedział przy bramie człowiek stary, białowłosy. Można było sobie wspomnieć, że „bieleje włos“. Białowłosy człowiek powiedział:

— W takim ubraniu poznają cię wszędzie.

To prawda, że w takim ubraniu wszędzie poznają. Zielone było, szarawe, krój miało specjalny, nawet naszywki na nim zostały.

— To jak będzie?

Stary człowiek pomilczał chwilę. Potem uśmiechnął się i powiedział:

— Dam ci inne.

Potem jeszcze chwilę milczeli, i jeszcze powiedział tamten:

— Ale wiesz przecież, sam chyba wiesz, że o tym nie należy mówić. Nie należy mówić w razie czego.

— No tak.

Poszli do domu. Tam zaraz spalili zielone ubranie. Tylko Józef to i owo poodprawał.

— Na pamiątkę — mruknął stary człowiek.

— A tak. Na pamiątkę.

Posiedzieli jeszcze chwilę, jeszcze trochę porozmawiali.

— Jakbyś tam spotkał kiedy Józwiaka, co, będziesz pamiętał? Józwiak się nazywa, Teodor. To go pozdrów ode mnie.

— Dobrze, że Józwiak. Ale gdzie takiego można spotkać?

— No, spotkać, to go nie spotkasz.

Ale zawsze, gdyby. W młynie gdzieś będzie pracował.

Potem przyszły kobiety. Matka przysła i córka. Popatrzyły na niego, poszeptaly chwilę ze sobą i z białowłosym. Józef nie podnosił oczu. Tak stał, póki białowłosy nie powiedział:

— A i o to na nas już czas.

Kobiety tam zostały. Józef szedł za starym. Noc się zrobiła ciemna. Chmury zeszły nisko. Znowu był las, potem pola, potem łąki trochę, pastwisk, rzeka. Nad rzeką się pożegnali.

— Tędy wbród przejdiesz. Ja poczekam. A potem już prosto lasem.

— No to dziękuję — powiedział Józef. Podali sobie ręce. Józef postął jeszcze chwilę.

— A to chyba córka? — spytał odwracając się do starego. I stary roześmiał się na to.

— Córka — odpowiedział śmiejąc się ciągle. Uścisnęły sobie ręce jeszcze raz. Potem były zarośla, krzaki, las aż do końca. Tak zaczął się ten powrót. Bo rano był już i lekarz. „Kontuzjowany“ — powiedział. Ale do szpitala się to nie nadawało.

— Więc cóż?

— No cóż: rekonwalescent.

— To może do domu można?

— A można.

Więc wrócił. Przyszedł gdy był dzień. Do drzwi zastukał, wszedł i stanął przy drzwiach. Stał tak póki go nie zapytali, czego chce. Rozplakali się wszyscy, że go tak nie mogli od razu poznać. Bo to i ubrany inaczej, i zmienił się bardzo. Zczerniał przecież, chudy był. Inny.

— To Józef!

— Wróciłem — powiedział. Dziwne, że najłatwiej było o tym mówić nie z matką, tylko z siostrą.

— Rzeka tam była, las — opowiadał Józef. Młodsza siostra, dziewczyna nieduża, której nie wszystko można powiedzieć, dziwiła się ciągle.

— Las był? I co w tym lesie?

— No cóż, drzewa gęste, krzaki, że trudno się przez nie przedostać. Za lasem łąka.

— No dobrze. Ale co było ma początku.

Józef wracał jeszcze raz do miejsca skąd uciekł. Że za drzewem stanął, aż przejechali wszyscy, potem biegł, potem upadł, podniósł się i biegł dalej. Pokazywał nawet wychodząc na dwór.

— Tak jak tu — mówił. — Tak, jak tutaj rzeka, i tak jak tutaj dom, i brama. Żartowali sobie w domu z jego opowiadania. Pytali się o Józwiaka, czy go gdzie nie spotkał. Imię im się podobało, zwłaszcza dzieciom, Teodor. Wreszcie czas było odejść. Na pamiątkę zostawiało chłopskie ubranie, schowane przez matkę do kufra, nazwisko starego człowieka, i nazwa jego wsi. Że się tam kiedyś pojedzie. Ale tak mówiła tylko matka. Bo nawet gdy mówiła o tym — Józef nie odpowiadał.

— To by się zdziwił dopiero, gdyby kiedy do niego przejechał z podziękowaniem. Prawda, że by się zdziwił?

Tym razem odprowadzała go matka

razem z siostrą. Pociąg stał długo. Kilka razy miał odjeżdżać, i kilka razy musiał ustępować innym pociągom. Aż się i wieczór zrobił, i noc. Światła wszędzie zapalano. Noc była zimna.

— To już chyba idźcie — mówił Józef.

— Nie. Zaczekamy — odpowiadała matka. Jeszcze raz ucałowali się na pożegnanie, i jeszcze raz. Józef kilka razy wychodził na tor, szedł przed lokomotywę, dowiadywał się z innymi kiedy odjadą. Tak doczekali świtu i rana. Dopiero rano odjechali naprawdę. Deszcz wtedy padał. Najpierw drobny, potem duży, ulewa się nagle zrobiła wielka. Matka i siostra czekały jednak do końca.

Żegnając się z nimi Józef już nie mówił o powrocie. Myślał o tamtej wsi, tamtej chacie i rzece. Jechał jednak nie w tę stronę.

Znowu minęły miesiące, może lata. Gdy znalazł się w tej samej wsi, nie było już domu w tym miejscu. Nie było tej bramy, ani łąki, tylko rzeka pozostała i miejsce to samo.

— Gdzież są? — pytał.

— Kto?

— Ludzie tu mieszkali, stary człowiek z żoną i z córką. Dom był i brama.

— Nie. Nie było tu żadnego domu. Nikt tu nigdy nie mieszkał. Pole było zawsze, las, rzeka.

— A czyje pole. Gdzie właściciel?

— Józwiakowe pole.

Gdzież więc ten Józwiak? Młynarz? A tak, że młynarz. Mieszka niedaleko. Stał właśnie przed młynem. Stał uśmiechał się i czekał na Józefa. Rozkładał szeroko ręce, kręcił głową, uśmiechał się tak, jakby mówił: „Pytać nie ma co. Nie wiem, nie powiem“.

Została tylko w kufrcze matki ta rubaszka wyszywana czerwoną nitką, szare spodnie, i czapka. Czapka była granatowa, miała czarny daszek, kaszkić taki. Łażała w kufrcze całe lata, z nią razem leżały poodpruwane naszywki. „A to na pamiątkę?“ — przypomniał sobie Józef pytanie starego człowieka. „A na pamiątkę?“ — odpowiadał Józef z uśmiechem i pytał zaraz: „A to chyba córka, prawda?“ i dowiadywał się że córka. Ale twarzy sobie nie mógł jej przypomnieć, ani głosu. Tylko nieraz dochodził go nocą jej szept. Tak szeptem wówczas rozmawiała ze swą matką.

Bogusław Kuczyński



WŚRÓD LASÓW I RZEK NISKIEJ GWINEI

Objaśnienia! ¹⁾). Bierze trzy franki do jednego centymetra skóry, zdobywa w ciągu jednej nocy 30 do 40 skór, co stanowi około 3 000 franków!

O! Więc to nie tylko romantyka, to przede wszystkim świetny interes! Myślimy, jak go wziąć pod włos, żeby nas zabrał ze sobą na polowanie; z góry już jednak oczekujemy odpowiedzi odmownej. Nie poluje się tak od razu z pierwszym lepszym gościem z brzegu, za wiele z nim może być kłopotu.

Tymczasem Vialla godzi się na nasze towarzystwo od razu i bez zastrzeżeń. Na



Gość na „Poleszuku”

drugi dzień powstaje projekt, aby go zabrać na miejsce polowania jachtem. Vialli pomysł ten wydaje się doskonałym.

O ósmej wieczorem mamy go już na pokładzie z czarnym służącym i nieprawdopodobnie ciężką skrzynią, przy której ładowaniu omal nie topimy bączka u schodków, o jakie wечно rozlują się fala.

Potem przy wylądunku z bączka na jacht znowu omal że skrzynia nie idzie na dno! Nareszcie wszystko szczęśliwie osiąga pokład „Poleszuka”.

Gościowi naszemu pokazujemy jacht, przyjmujemy go kawą.

II. Rzeka — to najlepsza droga

Odejście naznaczyliśmy na godz. 12 w nocy, aby nazajutrz rano w chwili zaczynającego się przypływu być już u ujścia rzeki Forecariah, w głąb której mieliśmy pożeglować.

Przelewamy jeszcze naftę z puszek do baków i wreszcie o 12-ej podnosimy kotwicę.

Po lewej burcie przesuwają się zwolna światła portowe Conakry, przed nami czarna noc, idziemy na wycieczkę. Na pra-

wo zwolna mijają nas jakieś cienie: dobrze, to hoja, wycieczająca farwarter wejściowy do portu wśród okolicznych płyczn. Kilka jeszcze takich cieni i... zwolna droga przed nami!

Kurs wprost na ujście Forecariah! Kładziemy się spać, tylko wachtowy czuwa oświetlony mdłym światelkiem kompasowym...

Moment przed świtem, godzina piąta: stoję na wachcie. Oczy starannie przeszkują horyzont po lewej burcie, szukając światła latarni na wyspce Matacony, która leży już nie daleko ujścia Forecariah.

Na próżno wysilamy wzrok: światła nie widać! Jesteśmy coraz mocniej zaniepokojeni; coś musi tu być nie w porządku!

Za chwilę wychodzi na pokład Vialla; zagadka się wyjaśnia: „Ta latarnia właściwie nie istnieje! Latarnikiem jest czarny, to wystarczy!”.

Świta! Na horyzoncie zarysowuje się mdło cień wyspy Matacony. A światła latarni nie widać!

Do licha! jednak czuje się, że to Afryka! Czyżby w Europie taka rzecz była możliwa?

Wstaje dzień. Wschód słońca z za ciężkich, czerwonych oparów. Tyle już takich wschodów obserwowaliśmy, wydaje się to wszystko mocno monotonne. Nie robi wrażenia, przytłacza jakimś ciężarem. To nie rześki, radosny poranek w Polsce, już z rana czuje się przytłaczający ciężar dnia.

W tej chwili powinniśmy być już u ujścia rzeki, a tu jeszcze kawał drogi. Spóźniliśmy się, to jasne. Spowoduje to opóźnienie nasze o 12 godzin, bo gdzieś tam na rzece będziemy musieli czekać na nowy przypływ, inaczej nie przejedziemy łańcuchów skał zagrażających drodze.

Jednak najcięższe przejście czeka nas

tu u ujścia rzeki: to potężne mielizny, rzucone na kilka mil w morze. Nie ma tu boi ani żadnych znaków, trzeba kierować się psim śwędem przy ich wymi-
aniu.

Ciągając się pasem szerokim mniej więcej na dziesięć, a miejscami na kilkadziesiąt mil wzdłuż wybrzeża „czarnego ładu”, stanowią właśnie o zdradliwości żeglugi w tych miejscach. Można nie widzieć ładu, a wejść na mieliznę, dlatego trzeba się trzymać zdalek od brzegów, a to skolei utrudnia orientację.

Wiedzieliśmy to wszystko z opowia-



Drzewo bananowe

Na targu murzyńskim w Gwinei



dań i locy, teraz po raz pierwszy próbujemy tego w praktyce.

Staramy się dokładnie określić, w którym miejscu się znajdujemy, gdyż od tego zależy wyznaczenie dalszego kursu i minięcie mielizn, które gdzieś tam czają się przed nami. Jedynym znanym nam punktem jest wyspa Matacony. Wyznaczamy jej kierunek i na oko oceniamy odległość.

Bierzemy Ost ten Nord, kurs wprost między dwie mielizny. Wreszcie budzi się Vialla — potwierdza nasz kurs. W lewo i prawo od nas woda kotłuje się i pieni — to mielizny. Wciąż sondujemy głębokości 3 do 4 metrów, idziemy więc płycznami.

Chwilami zaczynamy kołysać się na większej fali — to wskazówka, że wjeżdżamy za jeszcze płytsze miejsca, a ta fala to daleki oddźwięk fali przypływu.

To ostrzeżenie dla nas, że zmyliliśmy trochę kierunek, zbliżając się z nadto ku mieliznom.

Tak kombinując, dochodzimy wreszcie do ujścia rzeki. Środek jego jest zagrodzony łańcuchem skał — możliwe do przejścia są jedynie kanały przy obu brzegach. Ja wybrałbym kanał leżący przy brzegu bliższym nam, Vialla jednak

¹⁾ Por. Nr 34 „Tyg. III.”



Piękność murzyńska z Cenakry po wyjściu z kąpieli rzecznej

każe nam przechodzić pod drugi brzeg, ponieważ tamtędy idzie główny nurt. Wskaźnikiem murtu jest wyraźny pas zmętniałej wody, pokryty liśćmi i gałęziami — wyraźnie widać, jak brudnymi skrętami wiję się pod przeciwległy brzeg.

Trzymając się wciąż tego pasa, mijamy barierę skał. Trudności mamy za sobą, przed nami rozpościera się potężna rzeka, robiąca wrażenie raczej zatoki morskiej. Sondujemy: jedenaście metrów! Płytkie i niebezpieczne jest tylko ujście i morze przed ujściem, usiane mieliznami.

Samo koryto rzeki, szerokie, głębokie, obfite w wodę, jest łatwe do żeglugi.

Przypominam sobie naszą Wisłę — tak chyba musiała wyglądać, gdy kraj cały był pokryty potężnymi lasami — wtedy to chyba musiała być taką potężną, obfitą w wodę rzeką.

Dzisiejsza Wisła, usiana mieliznami, niknie wprost przy tej drugorzędnej rzece afrykańskiej.

Zakręcamy w prawo. Od potężnego koryta odchodzą liczne odnogi — to poszczególne rzeki, których to koryto jest wspólnym ujściem.

Wjeżdżamy w główną z nich: Forecariah. Brzegi zwężają się: widać już teraz

wyraźnie, że to rzeka a nie jezioro (takie bowiem wrażenie robiło potężne ujście rzeki).

Koryto rzeczne, ujęte w zwarte ściany zieleności: to mangrowie, zwane przez Francuzów „paletuvier“.

Dziwne to drzewa: rosną na tercnach bagnistych, utworzonych przez namul rzek zalewanych przez morskie przypływy. Pień wzniesiony nad ziemią, dźwigany przez łukowate rozchodzące się korzenie. Każdy niepozorny biały kwiatek po przekwitnięciu wypuszcza długi korzeń wprost do ziemi. To korzenie, wyrastające gdzieś z górnych gałęzi, długie nieraz na kilkanaście metrów, tworzą całe kotary, zwisające poważnie, bardzo malowniczo. Oko przenika nieco w głąb brzegów tylko przy ujściach strumieni, zaznaczonych najczęściej drągami, na których rybacy wieszają sieci dla łapania ryb, wypływających ze strumieni. W tych miejscach oko przenika nieco w bagnisty labirynt mangrowiów. Zakątki te dziwnie niedostępne — człowiek zapadłby się tam po pas. Dziwnie wygląda taka masa błota. Widok to dziwnie obcy, egzotyczny.

Cały ten kraj utworzony jest przez zamul rzek naniesiony z góry. Ta lądotwórcza praca odbywa się nadal, o czym świadczą choćby szeroki pas mielizn przybrzeżnych.

Zresztą nie wszędzie widzimy tereny niskie, błotniste — co pewien czas zbliża się do rzeki brzeg wyższy, suchszy, pokryty roślinnością brussy, palmami, by za chwilę ustąpić znowu monotonii terenów bagnistych.

Dwa razy natykamy się na wioskę. Brzeg wyższy, zwarta ściana roślinności przerwana pasem szerokim zaledwie na 80 do 100 m. Potężny stercowiec, niby strażnik pilnujący wsi, nad wodą pochylają swe delikatne pióropusze palmy kokosowe. W głębi, dalej od brzegu, widać szpiczaste dachy chat murzyńskich.

W pobliżu wioski szerokie polany nad brzegiem rzeki, „paletuvier“ są tu wycięte — sterczą jedynie dziwacznie powyłkane nagie ich korzenie. Pełza wśród nich dym — czarni usiłują je wypalić, by uzyskać tereny pod uprawę ryżu. Oczywiście całkowicie nie udaje się wypalić tych korzeni i sterczą oto smutne, niby białe kości olbrzymów, a całość wygląda niby jakieś ogromne cementarzysko. Między pniami rżysko po zeszłorocznym ryżu czerwonym. Ryż uprawia się tu tylko w porze deszczowej, choć przecież łatwo



Motorówka Vialli. Na przedzie Momo — prawa ręka łowcy krokodyli

możnaby i w porze suchej zaprowadzić irygację pól. Na to już jednak tubylcy zdobyć się nie potrafią... a ryż trzeba sprowadzać z Indochin, ponieważ miejscowego nie wystarczy na potrzeby kraju.

Na ryżowiskach szalasy z trawy, ustawione na wysokich palach — tutaj przebywają stróże ryżowiska, pilnujący, by nie zakradli się doń złodzieje!

Koło wioski Berika zaczyna się kamienie. Jesteśmy już spóźnieni: woda zaczyna opadać — musimy iść wbrew prądowi i nie przy najwyższym stanie wody, gdy wszystkie porohy są pokryte.

Na szczyście Vialla zna rzekę pierwszorzędną: polował już tu dwa razy, a pamięć ma nadzwyczajną: pamięta każdy zakręt, pokazuje miejsca, w których upolował większe krokodyle i, co teraz dla nas najważniejsze, zna doskonale położenie kamieni kłodwonych.

Stoję obok niego na dziobie statku, by zapamiętać możliwie najdokładniej rozkład kamieni, bo wracać już będziemy bez niczyjej pomocy.

Z początku jeszcze jako tako odtwarzam sobie obraz mijanych przeczód, lecz po godzinie takiej jazdy gubię się w tym chaosie. Vialla tłumaczy mi, że przecięć te kamienie widać doskonale — niestety ja ich dostrzec nie potrafię.

Jakiś wyjątkowo ostry zakręt — to koniec porohów. Oddycham głębiej — odniosłem wrażenie ze słów Vialli i z jego kierowania statkiem, że cała rzeka zasypana jest kamieniami, tylko trzeba między nimi zręcznie lawirować.

Za chwilę wynurzają się na lewym brzegu jakieś budynki — Forecariah!

„Już Forecariah!“ — wyrывa mi się mimowoli.

„Powinniśmy tu już być od sześciu godzin“ — mówi z tym głosem Vialla.

Blask zachodzącego słońca. Rzucamy kotwicę o 30 m. od brzegu przed budynkiem firmy Paterson. Sondujemy: dwa metry dwadzieścia, a woda dopiero nie-

Pomocnicy Vialli uprawiają krokodyla



dawno zaczęła opadać. Sondujemy więc z bączka ku brzegowi: głębokość ta sama. ku środkowi rzeki dno nagłe się podnosi. Najlepiej więc będzie zostać na miejscu, nie doznamy uszkodzenia, nawet jeśli trochę siądziemy przy najniższej wodzie.

Po Viallę przyjeżdża motorówka. Za chwilę ma wrócić, by zabrać nas na polowanie. Na pierwszą noc idę ja z Henochem, bowiem motorówka może zabrać najwyżej dwóch nadprogramowych pasażerów.

III. Polowanie czy rzeźnia?

Ubieramy się szybko w ubrania dość ciepłe jak na Afrykę, bo noc są podobno zimne na rzece.

Za chwilę jestem gotów. Żeby nie podać się gorączce oczekiwania, która ogarnia człowieka z niepowstrzymaną siłą, zmuszając do wykonywania niepotrzebnych, nerwowych czynności, kładę się na nadbudówce kajuty i leżę spokojnie w bezruchu patrząc w pierwsze, blade jeszcze gwiazdy.

Thumiony niepokój usiłuje przerwać zaporę woli i opanować duszę. Toż to pierwsze moje polowanie i to do licha od razu na krokodyla!

Odległy turkot motoru!

„Jedzie!” — wykrzykuje któryś z nas. Stuk motorówki o burtę jachtu, skok i... już pędzimy środkiem rzeki gdzieś w dół.

Uważnie przypatruję się temu, co mnie otacza. Motorówka ma około siedmiu metrów długości, ścianki z dykty, jest podzielona na dwie nierówne części: przednia mniejsza, to domena białego, tu znajduje się motor, sprzęgło, manetka do gazu, kółko sterowe, w kącie oparta o burtę dubeltówka na jednej z laweczek—dwa blaszane pudełka: jedno zapełnione nabojami ze śrutem, drugie — nabojami z kulami.

Na drugiej laweczce siadam ja.

Tylny przedział, znacznie większy, całkiem pusty, przeznaczony na krokodyla, tylko na samej rufie siedzą nieruchomo w kucki i milczą dwa czarne cienie — to pomocnicy Vialli.

W drugim przedziale na bidonie po nafcie usadowił się Henoch.

Warkot motoru w ciszy wieczornej. Vialla zakłada na głowę taśmę z przyczępioną do niej latarką elektryczną — dużą baterię do niej wiesz na piersiach.

Dotyka piersi — błyska wtedy latarka na głowie, jasny snop światła penetruje nadbrzeżnie, tuż nad wodą wzniesione krzaki.

W takich momentach latarka wydaje się potwornym okiem, błyskającym w czaszce cyklopa.

Plyniemy — nagle cichy okrzyk: „O! jest!”

Pochylamy się ku głowie Vialli. Gdzieś z dala pod krzakami błyska wyraźnie czerwony punkt — to oko krokodyla błyska w świetle latarki.

Warkot motoru staje się nerwowy, szybki, alarmujący, świetnie odpowiada napięciu nerwów w nas samych. Pędzimy gazem wprost na czerwony punkt.

Za chwilę już jesteśmy przy brzegu. Vialla, pochylony do przodu, nie przestaje ani na chwilę oświetlać dostrzeżonego krokodyla. Robi to wrażenie, jakby świdrował go swym jedynym okiem, hipno-

tyzując tym sposobem i zmuszając do nieruchomości.

Istotnie krokodyl leży nieruchomo, choć niemal wjeżdżamy na niego, wygląda naprawdę jak zahipnotyzowany.

Zwieszono nisko gałęzie nadbrzeżnych drzew ogarniają nas ze wszystkich stron. Motor stop! Ręka myśliwca wyciąga się po omacku ku opartej o burtę dubeltówce, a „oko” ani na chwilę nie schodzi z krokodyla! Strzał z odległości trzech metrów, fontanna wody, kotłowisko — motor w tył!

Co szybciej cofamy się z między gałęzi, by wyskoczyć na szeroką wodę, stajemy — cyklopowe „oko” uważnie przesuwają się tam i z powrotem po ciemnych, tajemniczych głębiach.

„Jest!” — Tuż pod powierzchnią wody przewala się bezwładnie to grzbietem, to jasnym brzuchem do góry — krokodyl. Jest bardzo ruchliwy. Na pierwszy rzut oka robi to wrażenie niby jakichś igrów.

Lecz już po chwili odczuwa się pewną groźbę, coś ciężkiego, potwornego jest w tym bezwładnym przewalaniu się z boku na bok. Czuje się, że zwierzę chciałoby uciąć za wszelką cenę od śmierci, która z wolna zbliża się ku niemu.



Na targu u Cenukry

Mimowoli ścisną mi się serce, tak coś nieporadnego, bezcelowego jest w tych bezwładnych ruchach.

(d. c. n.)

M i ś c i ś l a w W r ó b l e w s k i

Organizujemy zaplecze sił zbrojnych

Zakusy i mniej lub więcej wyraźne próby niemieckie opanowania Gdańska przysłużyły się bardzo wydatnie sprawie wzmocnienia naszej obronności. One to bowiem wyjaśniły, upowszechniły i ugruntowały w całym naszym narodzie pełną świadomość, czym jest Gdańsk dla nas; upowszechniły i ugruntowały świadomość, że ten port u wylotu Wisły jest progiem naszego domu. Ta zaś świadomość jest nabytkiem bezcennym. Z niej to właśnie bierze swe źródło nasz obecny stan gotowości zdecydowanej obrony tego naszego progu.

Manifestujemy ten stan przy każdej niemal okazji i słusznie manifestujemy. Najistotniejszą treścią tych manifestacji jest tak lub inaczej sformułowana decyzja: w razie napaści przeciwstawimy się jej wszyscy bez wyjątku, wszystkimi siłami, bez względu na ofiarę.

Takie jest nasze wyraźne stanowisko. I już dzisiaj jasnym się stało, że to właśnie nasze wyraźne stanowisko uratowało nie tylko Polskę ale i całą Europę od nieobliczalnej w skutkach zawieruchy wojennej. Nasza bowiem decyzja odparcia gwałtu siłą zakończyła okres powszechnej bierności wobec pogroźek niemieckich, okres lękliwych prób ratowania pokoju przez coraz nowe ustępstwa. I dziś w tej gotowości odparcia wszelkiego gwałtu siła nie jesteśmy odosobnieni.

Stan jednak, jaki nie z naszej woli i nie z naszej winy przeżywamy obecnie — stan wojny bez krwi przelewu, bez zabitych i rannych — wymaga o i całego narodu, od wszystkich obywateli państwa, już nie tylko gotowości do ofiar ale też i samych ofiar. Wzmoczenie bowiem naszej gotowości obronnej wymaga trzymania pod bronią większej niż w normalnych warunkach liczby żołnierzy. Wzmocnione siły zbrojne stoją z bronią u nogi w oczekiwaniu jej użycia. Taki rozkaz z ust Wo-

dza paść może w każdej chwili. W tym zaś wyczerpującym nerwowo stanie wyczekiwania czerpie żołnierz siłę woli i spckój ducha z jasnej świadomości, że pozostawiona przezeń w domu rodzina nie tylko otrzymuje ustawowy zasiłek ze Skarbu Państwa, ale jest także otoczona troskliwą, zapobiegliwą opieką przez całe zorganizowane społeczeństwo, zarówno przez organizacje ustawowe — samorządy terytorialne i gospodarze — jak i przez organizacje statutowe — związki i towarzystwa.

Ta aktywna opieka nad rodzinami powołanych rezerwistów ze strony zorganizowanego społeczeństwa już obecnie była okazywana samorzutnie; aby się jednak stać mogła potężnym zapleczem armii, trzeba aby się stała zjawiskiem powszechnym, aby się stała dominującą myślą przewodnią w planowych, skoordynowanych poczynaniach organizacji społecznych. Taki jest warunek wykazania istotnie powszechnej i całkowitej gotowości naszej do odparcia wszelkich zakusów na naszą niezależność.

Myśl ujęcia opieki nad rodzinami powołanych rezerwistów ze strony społeczeństwa w ramy organizacyjne rzucany do rozważenia. Chodzi tu o planowe skoordynowanie już istniejących poczynań aby się stały przez upowszechnienie i jednolitość bardziej skuteczne, nie tylko materialnie, ale nade wszystko — moralnie.

Gotowość całkowita, powszechna, więc nie tylko gotowość samej armii, ale też i całego społeczeństwa, stanowiącego jej zaplecze, gotowość materialna i moralna — to nie tylko najskuteczniejszy z czynników, powstrzymujących wszelkie apetyty zaborec, ale to także najistotniejszy z warunków skutecznego odparcia wszelkiej napaści.

W. I.

JAK SIĘ ODBYWA SELEKCJA SZYBOWCOWA KANDYDATÓW DO LOTNICTWA WOJSKOWEGO

Wojskowa służba lotnicza stawia bardzo wysokie wymagania zarówno w zakresie zdolności lotniczych jak i zalet charakteru, dlatego też wszyscy kandydaci na lotników wojskowych muszą przejść kursy szybowcowe, które są dzisiaj wypróbowaną najlepszą metodą selekcyjną. Oto poszczególne etapy kursu szybowcowego:

— chwiejnicą — nauka reagowania sterami na szybowcu zawieszonym na specjalnym rusztowaniu,

— skoki — pierwsze parusekundowe małe oderwania się od ziemi,

— loty z zakrętami, wreszcie

— loty z większej wysokości i loty zagłowe polegające już na wykorzystywaniu prądów zbieżowych.

Troskliwa opieka instruktora, racjonalnie stopniowany postęp szkolenia wyłącza prawie niebezpieczeństwo, pozostawiając jednak sensację i emocję oraz pokonywanie trudności związanych z pierwszymi lotami.

Uczeń otrzymawszy odpowiednie uwagi od instruktora zdany jest na siebie i sam musi sobie radzić w powietrzu, reagując odpowiednio sterami. Brak osłony kabiny (szybowiec szkolny ma siedzenie zupełnie odkryte) daje uczniowi lepsze zetknięcie się z powietrzem oraz wyczuwanie szybkości a jednocześnie instruktor może lepiej obserwować reakcję ucznia odzwierciedlającą się na jego twarzy i ruchach.

Już przy skokach następuje pierwsza eliminacja: na zaawansowanych, pokonujących trudności szybciej — oraz na mniej zaawansowanych i słabszych, którzy szkolą się wolniej pod dalszą baczną opieką instruktora.

Przechodząc dalsze etapy szkolenia uczeń oswaja się powoli z szybkością, wy-

sokością, wykonywaniem ewolucji itd. przy czym instruktor ma możliwość poznać zacięcie lotnicze ucznia, siłę woli, sprawność, opanowanie, ocenę szybkości, wysokości, reakcji itd.

Niektórzy uczniowie nie wytrzymują prób, sami proszą o zwolnienie, innych zaś eliminuje się nim dojdą do trudniejszych i niebezpieczniejszych lotów, które są ostatecznym i decydującym egzaminem.

Wyeliminowanie z kursu nie wyłącza bynajmniej latania na samolotach turystycznych, chodzi tu bowiem jedynie o stwierdzenie niezdolności do lotnictwa wojskowego.

Poza zbadaniem charakteru i zdolności lotniczych kurs szybowcowy oswaja kandydata z powietrzem i sterami, do pewnego stopnia przygotowuje go zarówno technicznie jak i psychicznie do przyszłego zawodu.

Ośrodkiem, w którym odbywa się owa eliminacja lotnicza jest Obóz Szybowcowy w Ustianowej. W czasie letnich miesięcy przybywają tu kandydaci do lotnictwa, zorganizowani w oddziały wojskowe.

Ustianowa jest największym szybowiskiem świata pod względem masowości szkolenia. Rozrzucona na dość dużej przestrzeni, składa się z obozu głównego i trzech pomocniczych, z których każdy może pomieścić około 200 uczniów szkolących się na pobliskich stokach wśród malowniczej okolicy.

Ustianowa ma kilkaset szybowców różnych typów oraz pomysłowo urządzone pomoce naukowe do wykładów teoretycznych. Obecnie przygotowuje się tam instalacje fotograficzne i filmowe dla ilustrowania szkolenia. Z czasem przewiduje się użycie małych radiostacji nadawczych

Bóle artretyczne reumatyczne podagryczne

najwięcej dokuczają na zmianę pogody, w czasie zimna, słoty i niepogody. Nieznośnymi wtedy stają się bóle w stawach, kościach, mięśniach, powstają bolesne obrzęki, chodzenie, a nawet poruszanie się bywa utrudnione. Ciężkie te powstają skutkiem nagromadzenia się kwasu moczowego w ustroju i jeżeli nie będą racjonalnie zwalczane, będą się zwiększać, aż wreszcie na stałe przykują do łóżka. W tych wypadkach stosuje się wewnętrzny lek „UREMOSAN“ GAŚCICKIEGO, który rozpuszczając kwas moczowy w organizmie, wywołuje obfite wydzielanie się takowego wraz z moczem i współdziała z ustrojem w walce jego z artretyzmem, reumatyzmem, podagrą ischiastem, kamicą nerkową oraz złą przemianą materii.

Oryginalny „UREMOSAN“ GAŚCICKIEGO do nabycia w aptekach.

na starcie oraz odbiorników na szybowcach. Doświadczenia w tej dziedzinie są w toku prób.

Warsztaty obozowe, zaopatrzone w napędy elektryczne, dokonywują całkowitych remontów szybowcowych a nawet nowych konstrukcji. Każdy zaś szybowiec używany do szkolenia podlega stałej, niemiernie ścisłej kontroli.

Sprawność, spójność organizacji przy jednoczesnej jej prostocie są tu wprost imponujące. Na startach, jak i w obozie, panuje atmosfera największego spokoju iładu.

Zawód lotnika wymaga dużej karności choćby z tego względu, że raz wystartowawszy do swego zadania, zdany on jest jedynie na własne sumienie i poczucie odpowiedzialności. Stąd też młodych kandydatów do lotnictwa wdraża się od razu do wojskowej karności. Ale jednocześnie otacza się zarówno uczeń, jak i pracowników Obozu nadzwyczaj troskliwą opieką, a zorganizowane w obozie życie społeczne przyczynia się do ułatwienia i uprzyjemnienia ich pobytu oraz do podniesienia kultury, tworząc z Obozu wzorowy ośrodek, którym się możemy naprawdę poszczycić.

Ostre pogotowie brytyjskich sił morskich i powietrznych u brzegów Anglii



**32% terenu COP
zajmuje Lubelszczyzna.**

Zbyt na tym terenie ułatwiają ogłoszenia i pomieszczane w dzienniku

„Express Lubelski i Wołyński“

XVII rok wydawnictwa.
Najwyższy nakład na terenie
Województw:
Lubelskiego i Wołyńskiego.

Lublin, Kościuszki 8, tel. 23-60.

PRZY POPIELATEJ WSTĘDZE AUTOSTRADY

7. Rzec o Radzyminie i Kobyłce

Jedna z głównych dróg krajowych z Warszawy do Białegostoku i Grodna, stara droga na Litwę, na przestrzeni przeszło czterdziestu kilometrów od Warszawy za Wyszaków wyłożona jest kostką. Prowadzi ta droga przez Radzymin, które to słowo w pomieści współczesnych budzi wspomnienie niedawnych Lohaterskich walk. Czym jest dzisiaj dla nas Radzymin ze swoim cmentarzem poległych za ojczyznę — tego nikomu objaśniać nie potrzeba. Rzućmy natomiast okiem w przeszłość. Położony pośrodku obszaru pomiędzy Wisłą a Bugiem i ich dopływami: Liwem i Świdrem, był dawną zapewne osadą. Kościół i parafię, należącą do biskupstwa Płockiego miał bodaj już w XV wieku. W XVII wieku stał się własnością Leszczyńskich, w XVIII w. przeszedł do Bielińskich a potem do Czartoryskich. Należał do księcia Michała Fryderyka, kanclerza Litewskiego, brata księcia Augusta, jednego z dwóch wnuków Stanisława Augusta, Książę Michał Czartoryski według opinii biografów swego, prof. Konopczyńskiego, przewyższał brata Augusta bystrością umysłu i zasobem wiedzy, choć ustępował mu pod względem głębokości i równowagi ducha. Istotna głowa „familii“, polityk wybitny i radykalny na swój wiek, głęboko kochający ojczyznę, w czasie półwiekowej swej działalności politycznej na ministerialnym stanowisku próbował wszelkich dróg reformowania zleżorganizowanego aparatu państwowego. Sterany poziomą walką z oligarchią Potockich i Radziwiłłów, zawsze pełen godności, zawsze dostojny i nieugięty, przewodnicząc Rzeczypospolitej w dobrej i złej doli doczekał się momentu, w którym przyszło wypić do dna puchar gorzkich rządów — położyć pieczęć na aktach pierwszego rozbioru. Wkrótce potem zmarł w roku 1775. Przeżyła go lat bezmała dwadzieścia żona, Eleonora z hr. Waldsteińów, siostrzenica feldmarszałka saskiego a koniuszego Litewskiego, Fleminga, księcia Michała politycznego wychowawcy. Księżna Eleonora, pochodząca ze znakomitej czeskiej zniemczonej rodziny, była dla księcia Michała przez pół wieku wzorową żoną.

Czartoryscy posiadali w Radzyminie pałac niegdyś podobno bardzo piękny i otoczony wspaniałym parkiem. Z ogrodu nie zostało ani śladu. Pałac, będący dzisiaj siedzibą starostwa, zachował się ale półtorawiekowe przejścia pozabawiły go wszelkich ozdób i zewnętrznego charakteru dzieła sztuki. Została się zaledwie sama bryła gmachu. W słowniku architektów Łoży pałac w Radzyminie związany jest z nazwiskiem Kamsetzera, architekta nadwornego Stanisława Augusta. Jednak dość jest rzucić okiem na bryłę gmachu aby wątpić w słuszność tego przekazu. Kamsetzer jako znakomity dekorator, być może urządzał wnętrza, bo sam pałac, gmach z dwoma wieżami, wywodzący się z szeroko spopularyzowanej w XVII wieku tradycji pałaców polskich, nie mógł być dziełem doby Stanisława Augusta. Doczeka się kiedyś, być może, radzyński

kopcinszek jakiego upartego historiografa, który jego przeszłość spod pyłu zapomnienia wygrzebie. Pałac w Radzyminie służył księżnie Eleonorze za rezydencję letnią, w której oddawała się pobożnym praktykom i działalności filantropijnej skarbując sobie serca okolicznego ludu.

Często odwiedzał tu swą wujenkę Stanisław August.

Pragnąc doprowadzić do skutku nieziszczony za życia zamiar męża wzniesienia w Radzyminie nowego kościoła w miejsce starego drewnianego, wybudowała księżna Eleonora w latach 1779—1780 istniejącą do dziś okazałą świątynię, której barokowy jeszcze plan i sposób ujęcia walczą z wkraczającymi już na fasadę elementami stanisławowskiego klasycyzmu. Proboszczem w tych latach był w Radzyminie ekspijar, Kazimierz Narbutt, uczony teolog i filozof, autor dzieła o logice, następcą na tym stanowisku Ignacego Nagurczewskiego, tłumacza Wergilego i Cycerona, Demostenesa i Pliniusza. W czerwcu 1781 roku biskup Płocki i książę Pułtusk, Michał Poniatowski, w towarzystwie Adama Naruszewicza i wielu kano-

ników płockich i pułtuskich dokonał urocy wkrótce odwiedził Stanisław August, ofiarodawca mowego dzwonu nazwanego jego imieniem.

Po Czartoryskich przechodziła dobra przez ręce Lubomirskich Mohrenheima Kruszewskich. Parafia znalazła się w granicach diecezji Warszawskiej.

Z Radzymina drogą boczną można się dostać do Kobyłki. Kobyłka jest sławna przede wszystkim ze swego pięknego kościoła, który rozpoczął budować biskup Marcin Żaluzki a kontynuowali Jezuici. Zniesienie zakonu Jezuitów miało podobno wpłynąć na niedokończenie jednej z dwóch wież kościoła. Kościół w Kobyłce przedstawia dużą wartość dla historii sztuki i zapewne doczeka się kiedy obszerniejszej monografii. Jest to barok wywodzący się z baroku południowo-włoskiego, należący do jednego z trzech kierunków kościelnego baroku wileńskiego. Autorem kościoła w Kobyłce jest, być może, Placidi lub Ittar (vide Bohdziewicz Piotr. O trzech kierunkach wileńskiego baroku II i III éwierci XVIII wieku. Prace Sekcji historii sztuki T-wa Przyjaciół Nauk w

*Eleonora z Waldsteińów Michałowa Czartoryska.
(Portret w Muzeum Czartoryskich w Krakowie)*





Kościół w Kobylec (od strony południowej)

Wilnie, tom II, oraz także: Ittarowie w Polsce a barok Katanii XVIII wieku. Prace i materiały Zakładu historii sztuki Uniwersytetu Stefana Batorego Nr 1).

Kobylka ma jeszcze wielkie znaczenie w dziejach naszej sztuki stosowanej lub też — używając innego terminu — w dziejach naszego przemysłu artystycznego. Za czasów stanisławowskich znajdowała się bowiem w Kobylec tak zwana persjarnia czyli fabryka jedwabi a przede wszystkim pasów litych do stroju polskiego używanych. Założył ją około roku 1780 starosta Unrug. Później jako przedsiębiorcę czy też kierownika handlowego widzimy w niej Filsjeana. W charakterze kierownika technicznego i artystycznego pracuje w niej Franciszek Selimand, francuz z Lyonu, kierownik upadłej fabryki gro-

dzińskiej, warsztaty z której przeniósł do Kobylki. Selimand na produkcję pasów polskich w kilku prowadzonych przez siebie fabrykach wywarł wpływ decydujący a wiele dodatni. Podniósł wybitnie poziom artystyczny produkcji i nie zatracając pierwotnej wschodniej ornamentyki, wzbogacił ją różnorodnością motywów i zbliżył do wzorów tkanin lyońskich. W Kobylec po odejściu Selimanda fabrykę prowadził dalej Filsjean. W roku 1794 podczas Insurekcji fabryka została zniszczona. Pasiarnia w Kobylec nie była jedyną podwarszawską imprezą tego rodzaju. Drugą pasiarnię niedaleko Warszawy założył w Lipkowie kupiec Paschalis Jakubowicz. Była też fabryka i w samej Warsza-

Kiedy o pasach mowa, nie sposób nie wspomnieć o wspaniałym dziele z tego zakresu, napisanym przez znakomitego uczonego a mianowicie: Mańkowski Tadeusz. Pasy polskie. Prace Komisji historii sztuki Pol. Akad. Umiej. Tom VII. s. 101—218 (i osobno w odhitec). Kto zaś nie czuje się na siłach przeczytać stu przeszło stron dzieła naukowego, może się zadowolić krótszym i popularnie ujętym opracowaniem tego samego autora (vide Mańkowski T. Pasy polskie. Arkady. Rok III. 1937. Nr 9).

Kto się nie uląkł bocznej drogi i zjechał do Kobylki, może tą samą kiepską drogą wrócić do Warszawy lub też zawrócić do Radzimina i pojechać dalej do Wyszkowa. Wyszków jest to miasteczko malowniczo położone na prawym wysokim brzegu Bugu. Starożytna to osada i odwieczna posiadłość biskupstwa Płockiego. Biskupi Płoccy mieli tu swój dwór. Tu mieszkał i umarł jako biskup Płocki, książę Karol Ferdynand, syn Zygmunta III. W ostatnich latach XVIII wieku biskup Szembek dźwignął w Wyszkowic murywany kościół. Trudno go sfotografować, zwłaszcza z przodu, gdyż stoi na szczycie wzgórza mającego dostęp tylko z jednej strony i to mało atrakcyjnej. Fasada kościoła jest dość ciekawa. Pośrodku pomiędzy płaskostupami wysoka arkada zamykająca płaską niszę z drzwiami. U szczytu

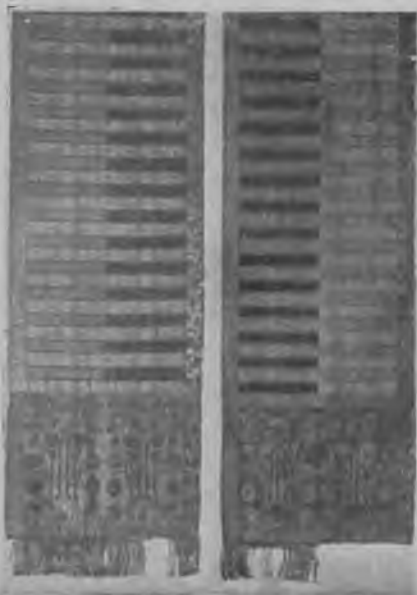
fasady w środku, a więc nad arkadą niewysoka wieża o charakterze jeszcze na pół barokowym. Ciekawe jest to jako przykład promieniowania na prowincję stołecznego klasycyzmu, spotykającego się z barokowymi tradycjami. W przykładach tych dwóch kościołów w Radziminie i Wyszkowic widzimy postęp klasycyzmu. Kościół w Radziminie w bryle i pomysły jest jeszcze barokowy a ma już nowe klasycyistyczne momenty dekoracyjne. Kościół w Wyszkowic w bryle i pomysły jest już klasycyistyczny ale momenty dekoracyjne barokowe świadczą o nieprzebrzmiałej jeszcze tradycji. Bliższe opracowanie tych kościołów pozwoli być może w przyszłości na dokładniejsze sformułowanie tego procesu, ale to pewno nie prędko nastąpi.

Sam Wyszków jest pełen charakteru jako typowe nasze małe miasto. Ma zatłoczony rynek obudowany piętrowymi domami częściowo drewnianymi a przeważnie żydowskimi. Ma w jednym z murowanych domów w rynku jedyną cukiernię a w sąsiednim jedyną restaurację. A przy długich bocznych, cichych ulicach ma małe domki w ogrodach, tonące w zieleni drzew i krzewów. W żywym kontraście do ruchu i wyglądającej zewsząd biedy wyszowskiego ciche stoi ten bierny spokój przedmiejskich domów, które przemawiają do turysty tym samym językiem, jakim mówią do nas autorowie zeszlowieczonych powieści, tych domów, które mają i mieć będą długo jeszcze ten sam charakter czy to na dalekich kresach czy to w pobliżu milionowej stolicy.

Na przeciwnym brzegu Bugu powstało w ostatnich latach lotnisko Rybienko. Od autostrady dojazd łatwą boczną szosą nową, więc jeszcze nie rozbitą. Wśród sosen stoją świeże wille drewniane. Nad brzegiem rzeki wśród wikliny kokieterijny pawilon kąpielowy z czerwonym daszkiem wabi oko turysty a czysta toń rzeki zaprasza do kąpiei oby szczęśliwej, bo Bug nie-
wa swoje zdradliwe podstępny.

Z y g m u n t M a n u

Pas z Kobylki (Muzeum Narodowe)



Kościół w Radziminie



Z CZARNEGO ŁĄDU NA WARSZAWSKIE NADBRZEŻE WIŚLANE

Warszawskie nadbrzeże Wisły tętni i pulsuje szczególnie wzmocnionym a spokojnym i intensywnym życiem. Port handlowy na tzw. wybrzeżu helskim pracuje pełną parą.

Koryto gładkiego basenu, ujęte mocnym zespołem kamiennych ścian, pokrywa mrowie różnego typu statków rzecznych, barek — dużych i małych, wydłużonych i pękatych — ciężkich holowników oraz łodzi wszelkiego kalibru i barwy.

Z przyumowanych naprężonymi linami statków z czelusi pakownych wewnątrz, raz po razie, na lekko przgarbionych, zroszonych potem plecach, robotnicy portowi wyładowują towary. Ładowne skrzynie, kolorowe beczki, wory i bece suną długim węzłem po nawodnej kładce, gnanej się za każdym stąpnięciem robotnika, nad szarą taflą wody.

Czerstwy, o opalanej cerze szyper wydaje rozkazy, górując ponad gwarem portowego życia i loskotem składanych beczek i skrzyń. Bawelnę w helach złożyć oddzielnie. Zaraz przyjadą po jej odbiór samochody.

— Jakto? Bawelna? Tutaj w warszawskim porcie wiślanym? — zapytuję z niedowierzaniem jowialnego szypa śródlądowej żeglugi.

Tak jest, proszę pana, bawelna... Rosła sobie gdzieś w gorących krajach, a teraz z Gdyni, przez Gdańsk na falach naszej Wisłki przypłynęła do Warszawy... Jak towar „zamorski” to powinien być transportowany drogą wodną... Widzi pan, na lewo, barkę z biało-czerwonym pasem? Od dołu do góry naładowana jest workami kakaowych orzeszków. Prosto z ciepłych krajów, przeładowali w Gdyni, a teraz na warszawskim wybrzeżu robotnicy noszą towar do magazynów.

Portowo magazyny warszawskiego mola rzeczno, rozłożyły się prostokątnymi klatkami wzdłuż ruchliwego wybrzeża. Przez ażurowe ściany widać złoże towarów przybyłych drogą wodną. Surowiec bawelniany obok dużych beczek korka. Towary egzotyczne w pobliżu naszych plodów rodzimych. Z Płocka i z Gdyni, z Bydgoszczy i z Gdańska, z Krakowa czy Sandomierza ładunki rzeczno zapelnili ehłonne składy. Przybywa ich bardzo dużo, ponieważ Warszawa jest portem wybitnie konsumpcyjnym. Sama wysła niewiele, lecz dużo pochłania. Gdy kilka lat temu transporty wodne idące z Gdyni na Wisłę były niewielkie, to obecnie wzrosły prawie dziesięciokrotnie. Port Gdańsk odsyła na Wisłę średnio 150.000 ton ładunku rocznie. A zdarzają się jeszcze tacy, którzy sądzą, że Gdańsk mógłby istnieć bez Polski... Nawet ryż z Gdyni transportujemy wodą do Warszawy, gdzie po przeładowaniu na mniejsze jednostki polskiej flotyli rzecznej płynię dalej do Krakowa.

W drugim morskim porcie Rzeczypospolitej, w Gdańsku, przepływa przez śluzę Einlage około 280.000 ton towaru z Gdyni, Gdańska, a nawet z Prus Wschodnich w górę rzeki.

Kilktonowy dźwig, miarowo jadący wahadłowym ruchem po taśmie szyn, czerpie swą długą szyję coraz to nowe towary spod pokładu statków i barek. Ruch przywozowy do Warszawy jest dobry — objaśnia stary szyper, który ćwierć wieku strawił na wiślanych rejsach — ale z wywozem jest nieco gorzej. Przypłynęłam z bydgoskim ładunkiem, opróżniłam luki, a na powrotny ładunek trzeba czekać... Za mało jeszcze rozwinięliśmy nasz rzeczny przewóz, no i oczywiście trudno jest wyregulować szlak wodny. W dolnym biegu Wisły coś niecoś zaborcy robili, ale to wszystko trzeba przerabiać na nowo i ulepszać. Jak koryto

Wisły będzie zupełnie uregulowane, jak zbudują nowy port przemysłowy na Żeraniu, to wtedy będzie dobrze. Czekamy na to z utęsknieniem...

Zwinna motorówka płynie wzdłuż warszawskiego brzegu kapryśnej Wisły. Po prawej stronie niski, nierówny brzeg, pełen zalewisk, mierzwi i zakosów. Twardy kil motorowej łodzi wrzyna się ostrą skibą w żółty piasek nadbrzeża żerańskiego, przyszłego przedmieścia Warszawy. Tu, za lat parę, ze szlaku koryta Wisły będzie można wpłynąć na Kanał przemysłowy i baseny przemysłowego Portu Wielkiej Warszawy. Dzisiaj jest tylko długi piaszczysty wykop i wodowskaz. Znaki, że jednak „coś” się robi dla naszego wielko-gospodarczego życia, które w przyszłości rozłoży się silodajnym kręgiem na piaszczystym pustkowiu.

Świece rozkopy zamienią się w przyszłości w zacinne mola rzeczne, przystanie towarowe, wielkie składy portowe i chłodnie. A dalej za obrębem przyszłego Portu — wschodzące przemysłowe przedmieście Warszawy. Tu zmontowany będzie przemysłowy aparat stolicy.

Wizja odbiega na chwilę, na trzęsły głos mego informatora: 5 milionów złotych kapitału w przeciągu jednego roku a Kanał Przemysłowy i



Port Żerański gotowy... a potem fabryki, fabryki i wielkie zakłady przemysłowe. Nadwyżka produkcji szłaby wodą na eksport lokalny i zagraniczny. Na razie badamy, mierzymy, grzebiemy w piasku i grzebiemy w... kredytach. Stawiamy faszyny, wodne ostrogi oraz waly nadbrzeżne. To najbliższy plan pracy... Praca nad budową idzie powoli, lecz stale. Port na Żeraniu to sprawa przyszłości, podobnie jak Kanału Przemysłowego, który połączy wodnym szlakiem koryto Wisły z dolnym biegiem Narwi, skracając tą drogą rzeczny spław o kilkadziesiąt kilometrów...

A teraz fale Wisły biegają sobie w spokojną dal, wodną arterią wiślaną, rozbijając się o przykopy piasku, porywając siostrzane rzeki polskie swym wartkim nurtem i biegną aż do szczytów Bałtyku, rozslawiając spokojną i twórczą pracę Rzeczypospolitej.

J. K.

PAMIĘTAJMY O DZIECIACH POLESIA

„Marszałek Śmigły-Rydz — Nasz Drogą Dzieł Wódz” — śpiewają w ślad za patefonem dzieci poleskie wśród stogów i łąk nad Styrem. Młodzież Akademicka z Obozu Stołecznego Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich w Domu Akademika na Polesiu, prowadzi pracę oświatową za pomocą specjalnie dobranych kompletów płyt i patefonów. Wypadki z przezroczami i patefonem, urządzone na wieś poleską, cieszą się olbrzymim powodzeniem.

Poleszacy kochają pieśń, przyswajają sobie szybko piękne melodie ludowe lub żołnierskie.

Pomimo napływających darów Akademicki Oboz w Młynku dla prowadzenia społecznej pracy wciąż jeszcze odczuwa ogromny brak patefonów i płyt, przy pomocy których najszybciej postępuje praca oświatowa.

Patefony, płyty oraz wszelkie innego rodzaju dary dla Obozu Akademickiego w Młynku składać można w Towarzystwie Rozwoju Ziem Wschodnich ul. Marszałkowska 153

„Poleszacy kochają pieśń...”



L. P. 27 k. 1. 1. 1. 1. 1.

Książka o Marszałku Piłsudskim

W związku z 25 leciem Czynu Legionowego ukazała się na półkach księgarskich, wydana staraniem Okręgu Stołecznego Związku Legionistów Polskich, nowa praca biograficzna o Marszałku Piłsudskim pióra Sekretarza redakcji Biuletynu Okręgu, Z. J. Tysza, p. t. „Piłsudski”, z przedmową Komendanta Naczelnego Związku Legionistów Polskich, ministra Juliusza Ulrycha.

Praca, oparta na spuściźnie literackiej Wielkiego Marszałka, pamiątkach i relacjach bliższych i dalszych współpracowników, przedstawia Wodza Narodu w świetle ustalonej prawdy historycznej. Całość podzielona na trzy części w pierwszych dwóch (Wskrzesiciel Narodu, Namiestnik Wolności) daje autor właściwą biografię Marszałka, w trzeciej zaś (Król-Duch) obrazuje Go, jako Człowieka, Męża Stanu, Wodza i Ojca Ojczyzny. Liczne reprodukcje dzieł sztuki ilustrujące życie Marszałka od najwcześniejszej młodości aż do chwili żałoby narodowej, nadaje wydawnictwu pod względem graficznym wysoki poziom artystyczny.

BAWEŁNA ROŚNIE W POLSCE

Na południu Polski czynione są próby aklimatyzowania w naszych warunkach geograficznych krzewów bawełnianych, dostarczających niezbędnego dla naszego rynku włókienniczego surowca. Do czasu gdy nastąpi sprawiedliwy i przynależny nam podział surowców świata, nasze sfery gospodarczo przemysłowe sprowadzają surowce włókiennicze i wyroby z nich za olbrzymią sumę około 400 mil. złotych rocznie. Przeciętny roczny przywóz do kraju określany jest na ca 146 tys. ton, a wartości blisko 200 mil. złotych: z czego 130 tys. ton surowca sprowadzamy drogą morską przez porty własne, a resztę drogą lądową.

Bawełny i odpadków bawełnianych przywozimy około 78 tys. ton za ca 142 mil. złotych. Popycja ta zajmuje 11% naszego przywozu z zagranicy. Bawełnę sprowadzamy przede wszystkim: ze Stanów Zjednoczonych (za 70 mil. zł), Egiptu (17 mil. zł), Indii Brytyjskich (14 mil. zł) oraz Brazylii (12 mil. zł).

Dla ciekawości warto zaznaczyć, jak podaje Międzynarodowy Instytut Gospodarstwa, że w Egipcie przestrzeń pod bawełniane plantacje wynosi 682.700 ha według ostatnich obliczeń, to jest powierzchnię równą mniej więcej trzem średnim województwom w Polsce!



Wiele jest środków przeciwko hemoroidom. Wynik kuracji świadczy o zalecanych użytych środków. Czopki „Varicol” Gąseckiego stosuje się przy bólach hemoroidalnych: krwawieniu, swędzeniu, pieczeniu i innych objawach.

Przy zewnętrznych guzach hemoroidalnych stosuje się maść „Varicol”.

„Varicol” Gąseckiego nie zawiera szkodliwych składników.



Turniej tenisowy „Mistrzostwo Młodych”

Dorocznym zwyczajem od dn. 28 sierpnia do 1 września r. b. rozegrany zostanie na kortach Warszawskiego Lawn-Tennis Klubu w Warszawie, park Sobieskiego, Turniej Tenisowy „Mistrzostwo Młodych” o nagrodę przechodnią Janusza Reguńskiego, dostępny dla młodzieży płci obojga do lat 16.

Jak zwykle Turniej ten, urządzany pod egidą Kuratorium Warszawskiego, zgromadzi kilkudziesięciu młodziutkich zawodników z całej Polski, spośród których wyłoni się zapewne niejeden as, w przyszłości zagrażający obecnym mistrzom Polski.

W latach ubiegłych nagrodę zdobyli: 1932 r. — Czesław Spychała; 1933 r. — Jerzy Gottschalk;

1934 r. — Jerzy Gottschalk; 1935 r. — Andrzej Staniszewski; 1936 r. Jan Strzelecki; 1937 r. — Andrzej Jurasz; 1938 r. T. Olszowski.

Zapisy kierować należy pod adresem „Warszawskiego Lawn-Tennis Klubu, Warszawa, Park



PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50	kwartalnie	zł 19.—	kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	rocznie	zł 74.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—			Zmiana adresu	zł 0.50
rocznie	zł 66.—				
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztovej Kasy Oszczędności Nr 143

Redakcja nie zwraca niezamówionych rękopisów.

CENNIK OGŁOSZEŃ Str. 1/1 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/4 — 250 zł, 1/8 — 150 zł, 1/16 — 100 zł, — za odp. wiersz. milin. etrowy, lub jego więcej PRZED I ZA TEKSTIM: 1,50 zł. Bilanse, artykuły cpiowe, układy teletyrczne, 1 str. ckiarki i niejece zacerzerowane 50% droże

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P.K.O. 143.

Program Polskiego Radia

Od dn. 27 VIII, do dn. 2 IX, 1939

Niedziela — dn. 27.VIII

7.00: Audycja poranna. 9.00: Transmisja nabożeństwa z Inowłodzi k/Spały. 10.30: Koncert z płyt. 12.03: Poranek muzyczny — transm. ze studia na D.W.R. 13.15: Muzyka obiadowa — transm. ze studia na D.W.R. 14.45: „Czytamy Mickiewicza“ — aud. XIII. 15.00: Audycja dla wsi. 16.30: Vincent d'Indy: Trio na fortepian, klarnet i wiolonczelę — koncert. 17.15: Kto odpowie? — audycja. 17.30: Podwieczorek przy mikrofonie — transm. z Bagateli. 19.00: „Karol Marcinkowski“ — słuchowisko St. Wasylewskiego. 19.30: Nowe nagrania słynnych artystów — koncert z płyt. 20.55: Transmisja fragmentów międzypaństwowego meczu piłkarskiego Polska — Węgry. 21.35: „10 lat muzyki filmowej“ — lekka audycja muzyczna; w przerwie ok. 22.00 „Dobry żart tyńfa wart“ — audycja konkursowa.

Poniedziałek — dn. 28.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.15: Pradnia dla rzemiosła — pogadanka. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Z rejsów Zawiszy Czarnego — audycja dla młodzieży. 15.15: Muzyka popularna z Katowic. 16.20: Recital śpiewaczy Heleny Lipowskiej. 17.00: Muzyka do tańca z płyt. 18.00: Muzyka baletowa — transm. ze studia na D.W.R. 19.00: Obóz harcerzy gdańskich w Złotym Potoku — reportaż. 19.20: Przy wieczery — koncert rozrywkowy z Wilna. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Recital skrzypcowy Ireny Duńskiej. 21.30: „Echa mocy i chwały“. 21.40: Współczesna muzyka kameralna — koncert z płyt. 22.00: Muzyka do tańca.

Wtorek — dn. 29.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.15: „Nie mów tego nikomu“ — gawęda. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Podróż fantastyczna“ — powieść dla młodzieży cz. I. 15.00: Muzyka popularna z Łodzi. 16.20: Współczesne sonatiny fortepianowe w wyk. E. Rüslera. 17.00: Muzyka do tańca. 18.00: Słynne symfonie — koncert z płyt. 18.45: Pieśni w wykonaniu Franciszki Platówny. 19.00: Audycja dla robotników. 19.30: Przy wieczery — koncert rozrywkowy ze Lwowa. 20.25: Audycja dla wsi. 21.05: Koncert symfoniczny z okazji Tygodnia Muzycznego w Lucernie — transmisja ze Szwajcarii. 22.00: „Polska między Wschodem a Zachodem“. „Polska a Zachód“ — odczyt. 22.00: D. koncertu z okazji Tygodnia Muzycznego w Lucernie — transm. ze Szwajcarii.

Środa — dn. 30.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.15: Pogadanka turystyczna: Biała Woda — polskie uroczysko Tatr Wsch. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci. 15.15: Muzyka popularna — transm. ze studia na D.W.R. 16.20: „Z zaponnianych naszych pieśni“ — audycja muzyczna. 16.45: Życie wszechświata — odczyt. 17.00: Muzyka do tańca z café „Paradis“. 18.00: Muzyka baletowa — transm. ze studia na D.W.R. 19.00: „Kto ojcu zjadł grusz-

kę?“ — żart słuchowiskowy. 19.30: Przy wieczery — koncert rozrywkowy z Wilna. 10.10: Odezyt wojskowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert chopinowski. 22.00: Koncert rozrywkowy.

Czwartek — dn. 31.VIII

6.30: Audycja poranna. 8.20: Pogadanka sportowa. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Dworek w Zagórzcu“ — pogadanka dla młodzieży. 15.00: Muzyka popularna z Wilna. 16.20: Taneczne pieśni ludowe — audycja muzyczna. 16.45: „Świadkowie dawnej chwały“ — reportaż z muzców. 17.00: Muzyka do tańca. 18.00: Kwartet Beethovena Es-Dur — koncert z płyt. 19.00: „Wielkie włóczęgi morskie“. „Tremolino“ — rozdział ze „Zwierciadła morza“ J. Conrada. 19.20: Przy wieczery — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Miniatury skrzycowe w wyk. W. Niemczyka. 21.30: „Larum w obozie“ — montaż słuchowiskowy. 22.00: Pieśni i arie angielskie — w wyk. Ewy Bandrowskiej-Turskiej. 22.30: Koncert Orkiestry Filharmonii Nowojorskiej (płyty). 23.15: Koncert kameralny muzyki polskiej.

Piątek — dn. 1.IX

6.30: Audycja poranna. 8-5: Kłopoty i rady: „Urwanie głowy“ — dialog. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Podróż fantastyczna“ — powieść dla młodzieży. 15.00: Muzyka popularna z Katowic.

16.20: Karol Szymanowski: Wariacje na temat Polski w wyk. Alfreda Müllera — fortepian. 17.00: Muzyka do tańca (płyty). 18.00: Kolysanki i serenady śpiewa Sława Gogojewicz. 18.20: Recital organowy Jana Widomskiego. 19.00: Z poezji Juliusza Słowackiego. 19.30: Przy wieczery — koncert rozrywkowy ze studia na D.W.R. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Śpiew ptaków — audycja słowno-muzyczna. 21.25: A. Borodin: Kwartet smyczkowy D-Dur. 21.55: Wiktor Hugo o Polscę — szkic literacki. 22.10: Pieśni Schuberta i Schumanna śpiewa Maurycy Janowski. 22.30: Utwory Mozarta w wyk. Londyńskiej Orkiestry Symf. — koncert z płyt.

Sobota — dn. 2.IX

6.30: Audycja poranna. 8.10: „Z mikrofonem przez Polskę“: „Przez Gorlickie Podgórze“ — reportaż dźwiękowy. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Jak to miło w lecie było“ — audycja słowno-muzyczna dla dzieci. 15.15: Muzyka popularna z Poznania. 15.40: Transmisja z otwarcia Targów Wschodnich we Lwowie. 16.20: Utwory Feliksa Nowowiejskiego — koncert. 17.00: Muzyka do tańca z Café Clubu. 17.45: Recital śpiewaczy R. Zambrzyckiej. 18.00: Na Matkę Boską Wągorzną — transmisja nabożeństwa ze Swarzewa. 19.00: „Podróż do wnętrza materii“ — „Spotkanie z demonem Maxwella“ — powieść mówiona. 19.30: Audycja dla Polaków za granicą. 20.00: „Melodie Ziemi Polskiej“ — audycja muzyczna. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: J. Strauss — „Fanny Elssler“ — operetka ze studia na D.W.R. 23.20: Muzyka do tańca z Café Clubu.

Nowoczesne urządzenia radiowe

W żadnej dziedzinie wynalazek radia nie okazał się tak bardzo pożyteczny, jak w żegludze morskiej. Przykładem tego może służyć wspaniały transatlantyk marynarki amerykańskiej ochrzczonej nazwą „Mauretania“, którą nosił dawniej jeden z wielkich statków tej samej linii Cunard White Star. Porównując urządzenie starej i nowej „Mauretanii“ zauważymy radykalny postęp w dziedzinie wyposażenia radiowego. Dawna „Mauretania“ spuszczała na wodę w roku 1907 posiadając na swoim pokładzie jedynie iskrowy nadajnik i prymitywny odbiornik bez wzmacniacza. Dzisiaj „Mauretania“ wyposażona jest w urządzenia radiowe, służące do następujących celów: odbiór wiadomości prasowych, telegrafia długo-średnio i krótkofalowa, telefonia krótkofalowa dla rozmów prywatnych, określanie kierunku, automatyczny odbiór sygnału niebezpieczeństwa S. O. S. nadawanie sygnału niebezpieczeństwa na fali 600 metrów.

Poza tym na statku urządzona jest instalacja głośnikowa z odbiornikiem radiowym, gramofonem i mikrofonem. Do instalacji tej, która służy do celów rozrywkowych dołączone jest około 50 głośników. Są one rozmieszczone w hallach, na werandach, w salach jadalnych i w palarniach.

Do urządzeń radiowych należy m. in. 9 anten i 3 kompletne nadajniki: krótkofalowy, średniofalowy i długofalowy. Dwa ostatnie stosowane są tylko do telegrafii, natomiast nadajnik krótkofalowy może być używany zarówno do telegrafii, jak i do telefonii. Oprócz tego są cztery różne odbiorniki telegraficzne, z których jeden przeznac-

za jest wyłącznie do odbioru wiadomości prasowych. Wszystkie odbiorniki są wielozakresowe, i.e. każdy z nich jest używany normalnie na jednym zakresie fal.

Urządzenie aparatury pozwala na jednoczesne prowadzenie trzech niezależnych od siebie komunikacji radiotelegraficznych. Tak więc np. podczas podróży przez Atlantyk można utrzymywać komunikację z innym statkiem na morzu i jednocześnie ze stacjami lądowymi na obydwu brzegach Atlantyku. Niezależnie od tego odbiór wiadomości prasowych może się odbywać średnio w ciągu ośmiu godzin na dobę.

Poza tym istnieje jeszcze komunikacja radiotelefoniczna na falach krótkich. Kabinie również umieszczone są w pobliżu urzędu telegraficznego i wind, tak aby były łatwo dostępne dla pasażerów otrzymujących wezwania. Urządzenie telegraficzne jest zupełnie podobne do międzykontynentalnych instalacji telefonicznych jakie znajdują się w większych miastach na lądzie. Pasażer statku może się rozmówić z każdym abonentem publicznej sieci telefonicznej w jakimkolwiek kraju na świecie, względnie z pasażerem innego statku, posiadającego podobne wyposażenie, jak „Mauretania“.

Zapewniona jest poza tym zupełna dyskrecja i tajność, nie ma więc obawy, żeby ktokolwiek mógł umyślnie lub przypadkowo podsłuchać toczącą się rozmowę. Nadajnik radiotelefoniczny umożliwia również przekazywanie ewentualnych transmisji radiowych ze statku na lądowe stacje telefoniczne.

„TYGODNIK ILLUSTROWANY”

Ostatnio w „TYGODNIKU ILLUSTROWANYM” zamieszczali swoje prace między innymi następujący piarze. uczeni i publicyści:

Berent Waclaw, Borowy Waclaw, Boyé Edward, Chrzanowski Ignacy, Czachowski Kazimierz. Dąbrowska Maria, Essmanowski Stefan, Flukowski Stefan, Goetel Ferdynand. Gombrowicz Witold, Górka Olgierd, Grabowski Jan. Grzebieniowski Tadeusz, Horoszkiewicz R. W., Hollender Tadeusz, Hulewicz Witold, Huszcza-Winnicka H., Iłakowiczówna Kazimiera, Irzykowski Karol. Iwaszkiewicz Jarosław, Kaden Bandrowski Juliusz, Kleiner Juliusz, Kondracki Michał, Kossak-Szczucka Z., Kubacki W., Laskowski-Hulka Paweł, Lechoń Jan, Lepcecki B., Lutosławski W., Makuszyński Kornel, Melcer Wanda, Mieszkowski J. T., Miller. Jan N., Morcinek Gustaw, Muszkowski Jan, Nowakowski Zygmunt. Ossendowski F. A., Parandowski Jan, Powlikowska Maria, Piwiński Leon, Polczyński Janta Aleks., Pomirowski Leon, Rogowicz Waclaw, Rogoż Stanisław, Rudnicki Adolf, Rusinek Michał, Rytard Miecz., Schulz Bruno, Sieroszewski W., Skiwski J. E., Smogorzewski K., Staff Leopold. Straszewicz Czesław, Stromenger Karol, Syruczek Waclaw, Szemplińska Elżbieta, Szykowski M., Śliwiński Artur, Terlecki Tymon, Tuwim Julian, Wasylewski Stanisław. Wierzyński Kazimierz. Wiktor Jan, Wittlin Józef, Wołoszynowski Julian. Zawistowski Władysław. Zrębowicz Roman.

NAOKOŁO ŚWIATA

bogato ilustrowany magazyn nowelistyczny, ukazujący się co miesiąc.

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA

przyniosła w latach ubiegłych obok autorów polskich, szereg utworów pisarzy tej miary, co Johan Boyer, Daniel - Rops, Fr. Mauriac, J. Andersen Nexø. Marta Ostenso, Mary Webb, J. Roth. Colette, G. Papini, Jo Van Ammers-Küler, W. B. Maxwell, W. Peteani i inni.

„Tygodnik Ilustrowany” wraz z dodatkami ma obecnie najtańszą prenumeratę zbiorową, gdyż tylko

za 6 zł miesięcznie (6.50 z dostarczeniem do domu), prenumeratork TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO otrzyma co tydzień numer „Tygodnika Ilustrowanego”; co miesiąc 80-e stron zeszyt „Naokoło Świata” w wielobarwnej okładce i co miesiąc bliskie 240-e stronicowy tom powieści polskiej lub tłumaczonej. KTÓREJ CENA KSIĘGARSKA WYNOŚI około 6—8 zł.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAOKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:	NA PROWINCJI:	ZA GRANICĄ:
miesięcznie zł 6.—	miesięcznie zł 6.50	miesięcznie zł 8.50
s dostarczeniem do domu : zł 6.50		kwartalnie zł 25.—
kwartalnie zł 17.50	kwartalnie zł 19.—	rocznie zł 94.—
s dostarczeniem do domu zł 19.—		
rocznie zł 66.—	rocznie zł 74.—	Zmiana adresu zł 0.50
s dostarczeniem do domu zł 74.—		

Konto Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 143

CENNIK OGŁOSZEŃ Str. 1/1 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/4 — 250 zł, 1/8 — 150 zł, 1/16 100 zł. — za szp. wiersz. milimetry, lub jego miejsce PRZED i ZA TEKSTEM: 1,50 zł. Bilanse, artykuły opiewowe, układy tabelaryczne, 1 str. okładki i miejsce zarezerwowane 50% drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P. K. O. 143

Opłata pocztowa opłacona wczeltem.

Drukarnia Krajowa w Warszawie, Chłodna 44, tel. 5-83-70

TYGODNIK

I L L U S T R O W A N I A

Nr. 36

3 września 1939

Cena 1 z

NA GRANICACH RZPLITEJ CZUWA NIEZŁOMNA STRAŻ!

W N U M E R Z E:

- J. Kowalczyk:
Potężna tama
Przegląd polityczny
- Jan N. Miller:
Krzemieniec w twórczości
Słowackiego
- Junius (Paryż):
Dwaj panowie Kawamura
- K. Chmielewski:
Mneme
- Mściław Wróblewski:
Wśród lasów i rzek Gwinei
- inż. A. Pauly:
Dawne polskie władania
morskie
- Zygmunt Mann:
Przy popieluie wstędze
autostrady



Radio jako łącznik wojska ze społeczeństwem

W radosnych dniach świąt narodowych wojskowych, czy to przekazywania eprzetu wojennego, tłumy publiczności witające owacyjnie wojsko zespala się duchowo z Armią. W obchodach tych biorą również udział liczne rzesze przyjezdnych z różnych stron kraju. Lecz istnieją jeszcze setki tysięcy a nawet miliony ludzi w Polsce, którzy w odległych zakątkach kraju jedynie przy głośnikach radiowych wsłuchują się w rytm kroków marszerujących oddziałów, chłoną pełne fantazji melodie marszowe i przeżywają uroczyste momenty, słuchając słów reportera. I tutaj właśnie ta melodia żołnierska, nadawany reportaż z uroczystości, maluje w wyobraźni barwne obrazy dalekich, a bliskich sercu chwil. Radio staje się w takich momentach łącznikiem, który zespała wszystkich słuchających w jedną olbrzymią Armię. Ale to są dni świąteczne.

Praca dnia codziennego w wojsku wymaga spokoju i skupienia i dlatego trudne jest stałe przenikanie społeczeństwa do życia wojskowego. I to codzienne życie wojska, posiadające dla cywila jakiś specjalny koloryt, zostało zbliżone dzięki mikrofonowi do szerokiego społeczeństwa. Mikrofon bowiem ze świetlic, z sal teatralnych a nawet z dziedzińców koszarowych opowiada o codziennym, twardeym, ale jakże pociągającym i trykającym nieraz humorem życiu wojskowym. Ileż to miłych chwil radości dały nie tylko podchorążakom ale również szerokim rzeszom radiosłuchaczy, audycje z podchorążówek zapoczątkowane w roku ubiegłym przez Polskie Radio. Audycje żołnierskie oraz audycje dla pobojowych prowadzone przez Wojskowy Instytut Naukowo-Oswiatowy, wciągają cywilów w atmosferę życia wojskowego a dla tych którzy jeszcze w wojsku nie byli, posiadają duże znaczenie wychowawcze i propagandowe.

Radio służy jednak nie tylko jako narzędzie popularyzacji wojska i jego łączności ze społeczeństwem. Rola radia w wojsku jest znacznie szersza. Wiadomo jak wiele w tym kierunku wkłada wojsko w zwalczanie analfabetyzmu, dokształcanie i podnoszenie poziomu kulturalnego żołnierza. Organizując kursy, wykłady, pogadanki wojsko szybko doceniało znaczenie radia i konsekwentnie wprowadziło je do swej pracy oświatowej. Radio-

koncertów czy słuchowisk, które nieraz w pogadanka spółdzielca, odczyt rolnicy czy reportaż z C. O. P-u stają się czynnikami podnoszącymi kwalifikacje zawodowe, rozszerzają światopogląd i kształtują świadomość obywatelską żołnierza.

Głośnik radiowy jest wszędzie. W świetlicy, na sali żołnierskiej i jadalni, jest nauczycielem i wiernym towarzyszem żołnierza. Nawet na placu ćwiczeń umila życie między zajęciami. W kantine czy świetlicy, gdy po ćwiczeniach jest wolny czas, wypełniają go żołnierze, słuchając

oparte na regionalnych motywach przypomną mejednemu rodzinne strony. Nic zawsze jest możliwość przeczytania gazety, nie zawsze ją można dostać, a i z czytaniem czasem nie tego idzie, więc dzienniki radiowe chętnie są słuchane. Do odbiornika cisnie się zawsze gromada żołnierzy, ciekawa wieści z kraju i ze świata.

Wojsko i wojna otwiera jeszcze przed radem inny, lecz bardzo szeroki zakres pracy i stawia mu duże wymagania. Udoskonala się ono coraz bardziej jako środek łączności. Steruje się za pomocą fal radiowych okrętami, samolotami, czołgami, rahi się próby nad zastosowaniem telewizji do potrzeb dowództwa na polu walki. Lecz to są rzeczy, które dotyczą już bardzo ściśle pracy wewnętrznej wojska.

Radio w służbie kolonialnej

Radio w koloniach zastosowano po raz pierwszy w ogóle w Afryce Południowej, bezpośrednio po wybuchu wojny pomiędzy Anglikami i Boerami.

Wówczas angielskie ministerium wojny („War Office“) zwróciło się do Marconiego z prośbą o skonstruowanie kilku radiowych stacji nadawczo odbiorczych, któreby nadawały się do celów wojennych. W rezultacie tej inicjatywy powstało wkrótce już w Transwalu sześć nie dużych stacji, które jednak nie długo tam się utrzymały. Nie potrafiiono bowiem ocenić olbrzymiego znaczenia radia i na wyraźne żądanie pewnych kół angielskiego sztabu operacyjnego radiostacje usunięto, przekazując je marynarce brytyjskiej. Fatalne skutki tego już bardzo szybko dały się odczuć: nastąpiły słynne długotrwałe oblężenia Fortów angielskich Ladysmith, Kimberley, Mafeking, których długość trwania można wyłomaczyć jedynie niemożnością uzyskania kontaktu ze światem zewnętrznym przez oblężonych. Radio — gdyby go nie usunięto — pozwoliłoby od razu na nawiązanie takiej łączności.

Ale radio służyło nie tylko wojnie, lecz i pokojowi.

W roku 1908 w Afryce Północno-Wschodniej na terenie włoskiego Somali, stanowiącego dziś składową część tak zwanego „AOI“ (Africa Orientale Italiana), skonstruowano częściowo u wybrzeży morskich, częściowo zaś w głębi lądu, około dziesięciu stacji radio-telegraficzno-telefonicznych, przeznaczonych wyłącznie dla utrzymania stałego połączenia ze światem cywilizowanym.

Radio spełniło to zadanie znakomicie, przyczyniając się w pierwszym rządzie do niezwyklego udoskonalenia obsługi dziennikarskiej: urzą-

dzenia bowiem zbudowanych radiostacji pozwalały na bezpośrednie dyktowanie w mikrofonu tekstu korespondencji, która w ciągu kilku godzin, drogą radiotelegraficzną była doręczana redakcji dziennika. Praktyczne znaczenie tego okazało się w całej pełni podczas wojny włosko-abisyńskiej, kiedy to dzienniki włoskie w rekordowo szybkim czasie otrzymywały najświeższe wiadomości z pola walki.

Z pośród owych pierwszych radiostacji afrykańskich należałoby wymienić dwie najważniejsze: w Mogadiscio (nadmorska) i w Baidoa (kontynentalna).

Te stacje radiowe oddawały zresztą usługi nie tylko dziennikarzom, ale i kupcom, i politykom, i podróżnikom i nawet ludziom prywatnym nie mającym żadnych — zdawałoby się — szczególnych interesów. Dzięki temu dochody z depesz przesyłanych z tych radiostacji (drogą radiotelegraficzną) już w stosunkowo krótkim czasie pokryły koszty, wyłożone przez spółkę eksplatacyjną na budowę stacji.

Wiosną roku 1914 doszło do porozumienia pomiędzy spółkami eksploatacyjnymi Marconi i Telefunken, na podstawie którego obie spółki miały wspólnym wysiłkiem rozbudować olbrzymią sieć stacji radiotelegraficznych, któreby pokryły całą powierzchnię Europy, Azji Mniejszej, Persji, Afganistanem i Indiami. W związku z tym planem przedstawiciele spółki włoskiej znaleźli się w Berlinie dla przeprowadzenia rozmów. I wtedy okazało się, że Niemcy mają już w służbie takie radiostacje, jakie dopiero miano zacząć budować — około trzysta już kompletnie wykeuczonych. Oczywiście rola tych radiostacji była jasna. Już wtedy chciały świat zaskoczyć wojną. Wskutek wybuchu wojny umowa pomiędzy Marconim i Telefunkenem nie doszła już naturalnie do skutku.

W tym czasie Włochy, Francja i Anglia nie wiele posiadały radiostacji kolonialno-poolwych. Bardzo szybko jednak braki te z chwilą wybuchu wojny zdołały one nadrobić.



namietajmy

o tym, że sole mineralne obok witamin konieczne są do normalnego funkcjonowania organizmu. — Brak soli mineralnych możemy uzupełnić, używając MINEROGEN F.F. — smaczna, musująca sól owocowa. MINEROGEN F.F. dostać można w najbliższej aptece.



TYGODNIK ILLUSTROWANY

ROK 80

WARSZAWA, 3 WRZEŚNIA 1939 r.

Nr 36 (4,116)



Ich Królewskie Mości król Jerzy VI i królowa
Elżbieta, otoczeni są miłością i poważaniem ludów
Imperium Brytyjskiego i całego świata

(Zdjęcie wykonane podczas powrotu pary królewskiej z podróży do Kanady)

P O T Ę Ż N A T A M A

Zasadniczo rzecz biorąc, zobowiązania sojusznicze polsko-angielskie istnieją od kwietnia bieżącego roku. Wówczas to, podczas wizyty min. Becka w Londynie, proklamowana została ścisła solidarność polsko-angielska w przeciwstawieniu się polityce gwałtów i agresji. Tym nie mniej jednak podpisanie w dniu 25 sierpnia 1939 r. formalnego układu o wzajemnej pomocy stało się niewątpliwie faktem o nader doniosłym znaczeniu. Dotychczasowe, najogólniej tylko sformułowane porozumienie zastąpione zostało dokładnymi i szczegółowymi postanowieniami sojuszu, którego brzmienie nie pozostawia miejsca na żadne wątpliwości. Jednocześnie zaś prysnęły wszelkie nadzieje Berliana, iż w taki czy inny sposób uda się jeszcze podważyć solidarność między Polską a Wielką Brytanią, aby w konsekwencji rozbić cały „Front pokoju” i nadal realizować etapami niemieckie dążenia do panowania nad światem. 25 sierpnia spotkało więc Rzeszę wielkie i bardzo przykre rozczarowanie.

Tym więcej, że postanowienia sojuszu polsko-angielskiego są daleko idące. Oba państwa zapewniają sobie bezwzględna i natychmiastową pomoc w wypadku napadnięcia jednego z nich przez inne państwo europejskie, jak również w wypadku bezpośredniego, czy pośredniego zagrożenia niepodległości Polski lub Anglii. Jeśli więc Polska lub Anglia uzna się za zagrożoną jakimś działaniem innego państwa i postanowi zareagować zbrojnie — drugi sojusznik bezzwłocznie pośpieszy z pomocą wszystkimi rozporządzalnymi siłami. Mówimy bezzwłocznie — gdyż pomoc ta będzie następować automatycznie, bez poprzedzania jej specjalnymi naradami, jak to z reguły przewidywały układy, zawierane dawniej, pod „patronatem” Ligi Narodów. Szereg przykładów wykazał, iż takie „konsultacje”, opóźniające realną pomoc, ułatwiają tylko zadanie napastnikowi, gdy pomoc szybka, natychmiastowa, jest też najbardziej skuteczna.

Należy podkreślić, iż w myśl układu obaj sojusznicy mogą uznać się za zagrożonych również w wypadku pogwałcenia

Premier Chamberlain w rozmowie z min. spr. zagr. W. Brytanii, lordem Halifaxem



niezawisłości lub neutralności państw trzecich, których niepodległy byt wiąże się z bezpieczeństwem Polski bądź Anglii. Jeśli więc np. Niemcy napadły na Belgię i Anglia wystąpiłaby w jej obronie — równocześnie wystąpiłaby i Polska. Podobnie gdyby Niemcy napadły np. na Litwę i Polska przysłałaby jej z pomocą — rozpoczęłaby walczyć i Anglia, a właściwie całe Imperium Brytyjskie, gdyż Dominia angielskie: Kanada, Australia, Unia Połudn.-Afrykańska itd. są całkowicie solidarne z metropolią. Jeżeli zaś wojna wy-

buchnie — żaden z sojuszników nie będzie mógł zawrzeć odrębnego pokoju, a nawet rozejmu, lecz tylko za wspólnym porozumieniem.

Sojusz polsko-angielski jest oczywiście porozumieniem nie tylko politycznym, lecz i wojskowym, co specjalnie akcentuje punkt 4 układu, powołujący się na zawarte już konwencje: wojskową, morską i lotniczą. Współdziałanie sił zbrojnych państw sprzymierzonych zostało ustalone, i w razie wojny napastnik przekona się o jego skuteczności.

Sformułowania podpisanego sojuszu wyróżniają się swoją jasnością i precyzją, a treść postanowień jest niewątpliwie bardzo rozległa. Rzuci się przytym w oczy, iż oba państwa żywią do siebie całkowite zaufanie, nie wahając się wzajemnie uznać za wiążącą decyzję jednego z partnerów o konieczności zbrojnego wystąpienia w wypadku, jeśli państwo to wobec bezpośredniego lub pośredniego zagrożenia swej niepodległości postanowi zareagować czynnie.

Ale mimo rozległości postanowień sojuszu polsko-angielskiego nikt nie może mieć żadnych wątpliwości co do jego charakteru ściśle obronnego. Wszystkie te postanowienia wymierzone są jedynie przeciw agresorowi, nie stanowiąc najmniejszej groźby dla państwa rzetelnie pokojowego. Nie ulega jednak kwestii, że współdziałanie Polski i Wielkiej Brytanii

Pałac Westminsterski, siedziba parlamentu angielskiego



stanowiąc będnie potężną tamę przeciw dalszym usiłowaniom agresji i dążeniom do narzucenia Europie brutalnej dyktatury jednego państwa.

I dlatego też układ polsko-angielski jest tak ważny nie tylko dla obu państw, które go podpisały, i dla ewent. napastnika, lecz i dla całej Europy. Szczególne znaczenie posiada on zaś dla państw mniejszych, zagrożonych zachłannością silniejszego sąsiada. Państwa te znajdują teraz mocne oparcie o pełne utrzymanie swej niezależności. Powinno się to waleń przyczynić do usunięcia z życia międzynarodowego metod gwałtu i szantażu, którymi tak chętnie i często posługuje się pewne środkowo-europejskie mocarstwo, lubiące jeszcze mówić o swym „honorze“, a postępujące w myśl zasad i wzorów średniowiecznych „Raubritterów“...

Na łamach „Tygodnika“ podkreśliliśmy niejednokrotnie wielki przełom, jaki po bankructwie metod monachijskich, uwidocznionym w zagarnięciu przez Rzeszę Czech i Moraw, dokonał się w tradycyjnej polityce Wielkiej Brytanii. Dzień 25 sierpnia ilustruje te przemiany w sposób niezmiernie przekonujący. Wszak ta sama Anglia od czasów Napoleona nie podpisała podobnie ścisłego przymierza, a w okresie powojennym specjalnie unikała zaciągania zobowiązań na kontynencie, zwłaszcza zaś na Wschodzie Europy. Nie było to jednak doktrynerstwo, lecz chęć zarezerwowania sobie pozycji arbitra przy utrzymaniu możliwie najdalej posuniętej równowagi sił. Zawsze sprzeciwiała się Anglia jak najbardziej stanowczo dążeniom do uzyskania hegemonii w Europie przez jakiegokolwiek mocarstwo. Gdy więc Niemcy przestały ukrywać cele swej zaborczej polityki, a z łamania traktatów i przyrzeczeń uczyniły sobie swoisty proceder — Anglia nie mogła i nie chciała pozostawać dłużej w roli obserwatora, czy następnego, oszukiwanego partnera, lecz przeszła sama do akcji czynnej, do montowania „Frontu pokoju“.

Porozumienie z Polską, które nastąpiło już po zdecydowanej odmowie Warszawy na żądania niemieckie w sprawie Gdańska i autostrady przez Pomorze, było jednocześnie dowodem uznania dla godnej postawy i siły Rzeczypospolitej. Kluczowa pozycja Polski na Wschodzie Europy posiada dla sojuszniczej już Anglii doniosłe znaczenie i bezsprzeczną wartość.

W walce, która się toczy, stawką nie jest oczywiście Gdańsk i nawet nie jest nią Pomorze, lecz podporządkowanie Europy — dziś „tylko“ Wschodniej, jutro już całej — rozkazom Berlina. A i to nie wyczerpuje jeszcze kwestii. Wobec specyficznych metod postępowania Niemiec prowadzona walka ma inne jeszcze oblicze. Chodzi o przywrócenie w życiu międzynarodowym panowania prawa i sprawiedliwości, o poszanowanie wolności narodów, o przestrzeganie zasad uczciwości, lojalności i honoru. To, co Wielki Marszałek nazywał *imponderabilia*, to i w stosunkach międzynarodowych wyłączone być nie może. Także i pod tym względem sojusz polsko-angielski ma do spełnienia doniosłą misję, która musi być — i będnie uwieczniona powodzeniem.

Janusz Kowalczyk



Rezerwiści floty brytyjskiej na punkcie zbornym w Londynie

CZYTAJCIE „NAOKOŁO ŚWIATA“

Gubernatorowie Stanów amerykańskich przesłali P. Prezydentowi Rzplitej sztandary swych Stanów na znak uczuć łączących U. S. A. i Polskę



PRZEGLĄD POLITYCZNY

Publicystyka polityczna w chwili obecnej należy do rzeczy łatwych.

Wypadki następują po sobie z błyskawiczną szybkością. Już nie dni, ale godziny przynoszą całe sterty wiadomości z różnych stron Europy i świata. Interwencje, nieustanne rozmowy i narady, a jednocześnie mobilizacje i koncentracje wojsk, nawet w państwach neutralnych. Próby mediacji i apele pokojowe przy akompaniamencie brutalnych gróźb i prowokowanych incydentów granicznych. Europa pod bronią oczekuje na rozwiązanie sytuacji, którą stworzyła pycha i nienasycona żalobczość Niemiec, dążących za wszelką cenę do panowania nad światem. Opinia całej ludzkości zdaje sobie jasno sprawę czyja agresywność jest zarzewiem niepokoju i kto ponosi całkowitą odpowiedzialność za wybuch nowej zawieruchy.

Wydaje się już niewątpliwe, że Hitler fałszywie ocenił sytuację, nie doceniając sił moralnych i materialnych Polski oraz doniosłych przemian psychicznych, jakie dokonały się na Zachodzie. Usiłując stosować ograne, zeszlatoroczne metody, zapędził Niemcy w ślepej uliczce, z której wszelkimi sposobami próbuje znaleźć wyjście, rzucając się jak ryba w sieć. Byłoby poprawić swą sytuację, zwiększyć zamęt i wykręcić się od konieczności waleczenia z całą prawie Europą. Bo cofnąć się już jest bardzo, bardzo trudno...

Nie można zresztą powiedzieć, by postępowanie Niemiec było specjalnie zręczne. Tak, jak ich propaganda, operująca stale najbardziej cynicznymi kłamstwami i zmieniająca „święte zasady ideowe” jak rakawiczki, nie jest w stanie osiągnąć mimo niesłychanego natężenia pożadanego przez Berlin efektu, tak i posunięcia dyplomatyczno-polityczne Rzeszy coraz częściej przypominają kroki niedźwiedzia.

Wysoco wątpliwy sukces

Takim posunięciem okazał się już pakt z Sowietami. Następstwa paktu wyglądają zresztą ciekawiej i poważniej od samego układu, który ma wszelkie szanse na to, by wcześniej, czy później powiększyć dość liczną już kolekcję „świstków papieru”. Zresztą Sowiety dalekie są od rzucania się Niemcom na szyję. Bardzo znamienitym był pod tym względem wywiad Woroszyłowa, który tłumacząc powody niepowodzenia rokowań z Anglią i Francją, wyraźnie nazywał Niemcy agresorem i starał się umniejszyć znaczenie zawartego z nimi paktu o nieagresji. Nie mniej charakterystycznie przedstawia się przewlekanie przez Moskwę sprawy ratyfikacji paktu, która na porządku dziennym obrad parlamentu sowieckiego umieszczona została jako punkt ostatni. Zdaje się, że Niemcy, nie przykładający zbyt wielkiej wagi do kładzionych na „świstkach papieru” podpisów, trafili wreszcie na godnego siebie partnera...

Postępowanie Sowietów w każdym razie potwierdziło tezę, iż nasz wschodni sąsiad będzie chciał zachować wolną rękę, zarabiając ile się da i czekając na dalszy rozwój wydarzeń. Ciekawe, że wywiad Woroszyłowa ukazał się właśnie w momencie nawiązania rozmów i korespondencji dyplomatycznej na linii Berlin — Londyn, pozwalając przypuszczać, iż kołom moskiewskim nie obca była obawa przed możliwością „dogadania się” angielsko-niemieckiego poza plecami, a może i kosztem Moskwy... Jak widzimy, Moskwa nie darzy zbyt dużym zaufaniem swego berlińskiego partnera i ostatecznie nie sposób się temu dziwić.

Być może jednak, że wystąpiły tu i inne przyczyny. Wysoco prawdopodobnie wyglądają

wiadomości o opozycji w łonie partii komunistycznej przeciw paktowi hitlerowsko-bolszewickiemu. Jest zupełnie naturalne, że dołom, a może i górcom komunistycznym, podobnie jak i narodowo-socjalistycznym trudno jest pogodzić się, a nawet zrozumieć tak wielkie i zasadnicze odstępstwo ideowe. Objaw ten występuje jaskrawo poza granicami Związku Sowieckiego, budząc wyraźne wzburzenie w szeregach komunistycznych, a np. we Francji dość silne niegdyś wpływy komunistyczne zostały skutkiem paktu całkowicie położone. W ogóle zaś sfery lewicowe wielu państw rzucają na Z. S. R. R. gromy za „zdradę” akcentując tym, że Sowiety straciły tu wszelki kredyt moralny.

Jeżeli jednak Moskwa ma w wyniku swego posunięcia sporo kłopotów, to Berlin zbiera jeszcze bardziej gorzkie owoce. Pomijamy już niemiecką opinię wewnętrzną i dość dwuznaczną grę ze strony nowego partnera. Ale próba zastraszania Polski i rozbitcia „Frantu pokoju” spelzła na niczym, gdy pogwałcenie przez Berlin paktu antykominternowskiego przyniosło zupełnie konkretne następstwa...

Przedarty „świstek” działa

Bo o ile usiłowania sklonienia Turcji do porzucenia jej świeżych zobowiązań wobec Francji i Anglii skończyły się fiaskiem, o tyle w Japonii postępowanie Rzeszy wywarło wyjątkowo mocne i nieoczekiwane przez Berlin wrażenie. Doszło nawet do zmiany rządu i to właśnie pod hasłem rewizji polityki wobec Europy, rewizji uznanej za niezbędą wobec zawarcia przez Niemcy paktu z Sowietami, co Japonia odezwała tym hołśliwiej, że wcale o zamiarze niemieckim nie była uprzedzona. Jednocześnie są już widoczne pierwsze jaskółki odprężenia angielsko-japońskiego, które pozwoli W. Brytanii w jeszcze większym stopniu skupić się na sprawach europejskich, z przerwaniem na Morze Śródziemne, czy Północne znacznej części floty, trzymanej obecnie na Dalekim Wschodzie.

Bardzo silne poruszenie wywołało też zerwanie przez Niemcy paktu antykominternowskiego w Hiszpanii, która zbyt wiele krwi przelała w walce z komunizmem, by mógł on przestać być dla niej wrogiem Nr 1. Prasa hiszpańska nie tai swego rozczarowania wobec Berlina, a i stosunki z Rzymem zdają się być chłodniejsze, tak że nie wiadomo nawet czy dojdzie do skutku zapowiadana od dawna wizyta gen. Franco w stolicy Włoch. Półoficjalne publikacje hiszpańskie zapowiadają niedwuznacznie, iż Hiszpania postanowiła na wypadek wojny zachować ścisłą neutralność, a podobno zapewnienie tej treści zostało złożone na ręce ambasadora francuskiego, marsz. Petajin. Wynika z tego jasno, że Francja najprawdopodobniej uniknie wysoco niepożądanego perspektywy tworzenia wzdłuż Pirenejów trzeciego frontu, który musiałby związać część francuskich sił zbrojnych. Berlin łączył duże nadzieje z możliwością powstania „trzeciego frontu” Francji, która w razie hiszpańskiej neutralności przerzuci zwolnione spod Pirenejów oddziały na front niemiecki, względnie włoski. Jeszcze jedna niespodzianka zawiedziona rachuba Niemiec.

Neutralność pragną zachować również wybitnie nie zachwyconym paktem sowiecko-niemieckim Węgry. Perspektywa wystąpienia Węgrów razem z Niemcami przeciw Polsce jest zupełnie nieprawdopodobna i przez samych Węgrów stanowczo odrzucana. Pozostaje więc możliwość przepu-

szczenia przez Węgry wojsk niemieckich przeciw Polsce lub Rumunii, jednak i temu Budapeszt stanowczo się przeciwstawia, rozumiejąc dobrze, że byłoby to równoznaczne z oddaniem Królestwa św. Stefana pod „opiekę” Trzeciej Rzeszy. Jak ta opieka wygląda — wskazują najlepiej losy nieszczęśliwej Słowacji, której okupowanie przez Rzeszę wywarło zresztą w Budapeszcie jak najgorsze wrażenie.

Tiso w laurach Hachy

Zajęcie całej Słowacji przez wojska niemieckie — znowu, jak i w wypadku Czech, upozorowane jakimś „układem” — świadczy oczywiście dobitnie o niesłabnącej zabobności Berlina. Jest to jednocześnie manewr wyraźnie wrogi wobec Polski.

Lecz nieskrywany imperializm niemiecki nie zaniecha winy i odpowiedzialności pp. Tiso, Tuki, Macha i Murgasza, którzy tak haniebnie zaprzepaścili wspaniałe dzieło wodza narodu słowackiego ks. Hlinki, oddając swą ojczyznę pod bezlistny but niemiecki. P. Macha może być zadowolony ze swego pojętego nasładowcy, ks. Tiso. Odezwa tego słowackiego „premiera” do narodu, w której usiłuje on wytłumaczyć okupację niemiecką... zagrożeniem ze strony Polski (!) i wzywa Słowaków do przyjaznego powitania najeźdźcy — jest dokumentem hańby i zdrady, w którym nieprawdopodobne zakłamanie i upodlenie waleczą ze sobą o lepsze. Tiso i jego pomocnicy zdadzą kiedyś narodowi słowackiemu straszny rachunek ze swoich czynów. Jesteśmy bowiem przekonani, że zdradzony dziś przez swych przywódców naród słowacki jest w gruncie rzeczy zdrowy i niesłusznie skrzywdzony, i że potrafi on jeszcze nawrócić na drogę, wskazywaną przez testament ks. Hlinki.

Wzmocnienie wewnętrzne Jugosławii

Natomiast w Jugosławii doszło wreszcie do skutku od dawna zapowiadane i oczekiwane porozumienie serbsko-chorwackie. Chorwacja otrzymała autonomię, przedstawiciele społeczeństwa chorwackiego z dr. Maczkiem na czele weszli do rządu, na którego czele pozostał główny twórca porozumienia, premier Cvetkovicz.

Nie ulega kwestii, że konsolidacja wewnętrzna Jugosławii poważnie wzmacnia jej pozycję, wytrącając jednocześnie z rąk Niemiec kartę chorwacką, którą Rzesza próbowała wygrywać dla osłabienia, a nawet rozbitcia Jugosławii, marząc skrycie o „protektoracie chorwackim”. Na szczęście Chorwaci wykazywali dużo zdrowego rozsądku, a rozumiejąc prawdziwe zamiary Rzeszy nie dali się nabrać na jej „żyeczliwość” i „pomoc”. Można oczekiwać, że wzmocniona wewnętrznie Jugosławia tym silniej przeciwstawiać się będzie wrogim naciskom w obronie swej niezależności i honoru.

Rezerwa Włoch

Włochy — w odróżnieniu od np. Japonii — były uprzedzone przez Rzeszę o projekcie paktu z Sowietami. Tym nie mniej problem osi Rzym — Berlin nie przedstawia się obecnie wcale tak jasno. Sprawa ta wymagałaby właściwie obszerniejszego omówienia. Obecnie ograniczymy się więc tylko do stwierdzenia, że Włochy przejawiają w ostatnich czasach jakby pewną rezerwę, w wypowiedziach prasowych silnie akcentują własne interesy, jako decydujący motyw postępowania Italii i nie czynią jakichś wielkich przygotowań wojennych. Najwidoczniej do wojny specjalnie

(Dalszy ciąg na str. 700)

KRZEMIENIEC W TWÓRCZOŚCI SŁOWACKIEGO

W Krzemieniu rozpoczynają się ogólnopolskie uroczystości w 130-tą rocznicę urodzin Juliusza Słowackiego.

„Koloryt lokalny“ był, jak wiadomo, jednym z programowych hasł romantyzmu, który oderwanym obrazom klasycznym przeciwstawił dążność do przedstawiania obrazów konkretnych, środowiska, zawartego w ramach czasu i przestrzeni. Z drugiej strony romantyk mający oczy zwrócone na prawdę indywidualną swej duszy, wysubtelnił w sobie wrażliwość na wszystkie więzy, łączące go z otaczającą go rzeczywistością. Mogł nawet tym światem i otaczającymi go formami życia gardzić, lecz ujmując przedmiot przez podmiot, doszukiwał się jednak swego duchowego odbicia we wszystkim, co go otacza, zarówno w bliższym, jak i w dalszym środowisku.

Rzekoma „litewskość“ Mickiewicza była przejawem takiego zrośnięcia się ze swym najbliższym środowiskiem, które stało się dla niego symbolem zarówno Polski, jak i świata całego.

„Litwo, ojczyzno moja“...

Przyjaciele Mickiewicza ironizowali patriotyzm litewski poety, zdając sobie sprawę z ograniczonej wartości tego pojęcia, zwięzającego znacznie szeroki zasięg jego ambitnej woli i miłości. Dla Mickiewicza jednak ta litewskość była odskocznią ku polskości, punktem zrośnięcia się z ziemią i człowieczeństwem, trwałą podstawą myśli i działania, nie mającą jednak nic wspólnego z żadnym separatyzmem dzielnicowym, czy politycznym.

Ta rola specjalna, jaką w wyobraźni naszych romantyków odgrywa miejsce urodzenia, poza przytoczonymi uwagami ogólnymi, tłumaczy się jeszcze, oczywiście, przymusowym oddaleniem, perspektywą czasu i przestrzeni, która we wspomnieniu, oprawionym w ramy tęsknoty, otacza aureolą i idealizuje całe to środowisko.

Mickiewicz, przenosząc się w epilogu do „Pana Tadeusza“ w „kraj swych lat dziecińczych“, zdaje sobie wprawdzie sprawę, że „ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny“ — lecz bezpośrednio poczucie związku i zespolenia z tym krajem czyni go droższym i miłszym od wszystkiego na świecie.

Jak Mickiewicz więc Litwę, Malczewski, Zalewski — Ukrainę, tak Słowacki z Wołynia i Krzemieńca uczynił swą bliższą, symboliczną ojczyznę, w której starał się dopatrzeć tego wszystkiego, czego szukał do czego tęsknił na świecie.

Krajobraz wołyński, Krzemieniec, ludzie i stosunki tamtejsze — wszystko to tkwi żywo w jego pamięci, w życiu uczuciowym nie opuszcza go nigdy i nigdzie, ani w Szwajcarii, ani w Paryżu, ani na morzu, ani na pustyni.

Z okazji dni krzemienieckich ku czci Słowackiego w Krzemieniu wydano piękną małą książeczkę n. t. „Piękne rodzinne miasto“, obrazującą przywiązanie i miłość poety do swego rodzinnego miasta. Nader pieczołowitego wyboru tekstów odmalowujących te przeżycia poety dokonała Emilia Kornaszewska. Dla Słowac-

kiego Krzemieniec zespolił się zarazem w wspomnieniem matki, jako najistotniejszego ognia wspólnoty z ludźmi i z ojczyzną.

Krzemieniec jest dla poety tą jedyną, najrealniejszą cząstką świata, punktem w przestrzeni, promieniującym wokół najbardziej pojętą swojskością, która jest pojęciem pod względem ilości cech bogatszym i pełniejszym od polskości, gdyż nie jest pozbawiona i pewnych cech obcych, wtopionych jednak i zrośniętych z atmosferą tego środowiska.

„Marzę sobie — pisze w jednym z listów do matki Słowacki — jak to my kiedyś zamieszkujemy w skromnym dworku z owocowym sadem, jak będziemy mieli co wieczór kilku miłych przyjaciół, a czasem pójdziemy do żydowskiej szopy, gdzie przy lojowych świeczkach będą wycieczą się aktorzy grać komedijki, umyślnie dla ciebie napisane; potym przy księżycu będziemy wracali do domu, a ty się, droga, jeszcze będziesz śmiała z jakiego Hrynia lub Hawrzyły. Ja ci nawet Ambrożego z suką Znajdą tak w zwierciadle pokażę, a ty obaczysz wtenczas, jak przejdę“.

Zdaje sobie sprawę poeta jednak z odkształcającej siły wyobraźni, która pod wpływem tęsknoty wyinnia świat i przeinacza jego wymiary. Krytycyzm Słowackiego, tak czujny wobec świata zewnętrznego i innych ludzi, nie zawodzi poety i w stosunku do samego siebie.

„Wszystko, co zniknęło w przeszłości, ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos“.

Urokowi jednak wspomnień i widzeniu przeszłości oddaje się poeta z zapa-

miętaniem: piękny i głęboko nastrojowy opis Krzemieńca w pierwszych strofach „Godziny myśli“ — żywym tego przykładem.

Wszystkie drobiazgi, szczegóły życia i obyczaju utrwaliły się we wspomnieniach poety, stając się tworzywem jego wyobraźni, skrzydłem natchnienia:

„Nie wiem, dlaczego, ale ciągle myślałem o willi u prefekta Jarkowskiego, którą kiedyś jadłem, będąc dzieckiem; potem przyszła mi na myśl wielka babunia, piekarnia, czeladź, śpiewająca kolędy, potem werter krzemieniecki, któremu może winien jestem mój szekspirowski zapach“.

A Słowacki ma nade wszystko żywe poczucie tej siły twórczej, która nasycza jego poetyckie widzenie obrazu świata, zabranego ze sobą na drogę życia z Krzemieńca, Wołynia, kraju lat dziecińczych.

Dlatego wizje dramatów historycznych ocierają się w jego wyobraźni o ruiny zamku jego miasteczka rodzinnego; dlatego terenem akcji „Złotej Czaszki“ uczynił Krzemieniec, kreśląc swego Strażnika Krzemienieckiego na obraz i podobieństwo dziadka Januszewskiego.

Dedykując zaś „Balladynę“ Z. Krajskiemu, marzy:

„Bo ileż to razy, patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś w ten wieńiec wyszczerbionych murów, nasypię widm, duchów, rycerzy: że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunujących nocy, a sklepieniem każę powtarzać dawne Sofokleowskie „Niestety!“

W wyobraźni poety Wołyn i Krzemie-

Juliusz Słowacki





Dworek Słowackich w Krzemieńcu

niec wykraczają jednak poza ramy osobistego stosunku do świata. Nie samo miejsce swego urodzenia wielbi poeta we wspomnieniu. Kresowe położenie tego miasta, jego historyczne pamiątki, położenie na szlaku skrzyżowania się cywilizacji wschodniej i zachodniej — wszystko to pozwala Słowackiemu snuć wizję historycznej misji i posłannictwa Wołynia.

„Ale wiem — pisze w liście do Wojciecha Stattlera — że kiedyś w Polsce, moja rodzinna ziemia, ten oto kawałek koło Wołynia, który zawsze i od dawna już wydawał duchy pełne entuzjazmu, choć nikłego dotąd, ziemia ta kiedyś stanie się jako Ateneum Chrystusowej sztuki“.

W tych słowach rozbrzmiewa zarówno świadomość historyczna miejsce tych mieszkańców, jak i w nie mniejszym stopniu poczucie misji artystycznej, którą Słowacki miał do spełnienia. Traktuje ją jednak jako wywiązanie się z obowiązku, którego dotąd nie udało się jeszcze wypełnić tutejszym „duchom pełnym entuzjazmu“.

Góra królowej Bony



Poeta ma świadomość, że w jego poezji ta ziemia dochodzi do pełni swego duchowego wyrazu, że do wspólnego skarbcza kultury polskiej składa to wszystko, do czego ją dzieje, tradycja (jak byśmy teraz może określili) „geopolityczne“ położenie tego kraju — powołały.

Nie ma ani jednego niemal utworu Słowackiego, w którym by nie było choć jednej myśli, obrazu, porównania, wiążącego się ze wspomnieniami o Wołyniu i Krzemieńcu.

W wielkim pojedynku myślowym, stozonym z Mickiewiczem, w V pieśni „Beniowskiego“, przeciwstawia swoją „rebrną Ikwę“ Niemnowi i wzywa na świadectwo swe miasto rodzinne:

„Zaprawdę... Gdybyś nie wiedział,
[narodzie!
Jak ja samotny byłem i ponury,
Wiedząc, że jeśli mój grom nie przebodzie.
Litwin z Litwinem mię chwycą
[w pazury.
Już przypomniawszy gniazdo me na
[wschodzie,
Wolałem ręką Krzemienieckiej góry,
Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgraję—i stanąć za mną—lub pode mna.

Ikwo! Plyń przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
Gadają...“

Przytoczone przykłady dostatecznie malują nam tę nierozzerwalną więź, jaka istnieje między poetą i jego ziemią rodzinną. Dla Słowackiego jednak, który po latach z lekkim wyrzutem może wypomni matce, że czyniła wszystko, by syn jej „nie był podobnym do ludzi“ — wspomnienie kraju i Krzemieńca odegrało szczególną rolę — niemal jedynego trwałego punktu zaczepienia.

Przypomnijmy sobie wszak, że Słowacki im dalej szedł w życie, tym bardziej był samotnym, że z nikim i nigdzie nie związał się węzłami miłości ani przyjaźni.

Dumne poczucie swej odrębności, wiara w siebie i w swoją rzeczywistość choć niezrozumiałą dla otoczenia wielkość, rosnąca z biegiem lat niechęć do otoczenia — wszystko to uniemożliwiała Słowackiemu współżycie z ludźmi.

Poeta nie może znaleźć pokrewień-

(Zdjęcia H. Hermanowicza)



Rzeka Ikwa

stwa duchowego między sobą a swoim bliższym czy dalszym otoczeniem. Stąd zrodził się w nim ów pomysł przeciwstawienia pokonanych w historycznym życiu Polski — tubylczych Wenedów — najczudniejszym Lechitom, protoplastom szlachty, która mimo enót rycerskich Sobieskiego razila go krzykactwem swoim i rubasznością.

Wolał się więc uważać za potomka pokonanych lecz poetyckich Wenedów, którzy w ujęciu poety stanowią trzon i korzenie życia narodowego.

Jedynym okresem życia, w którym żył w zgodzie i w harmonii z otoczeniem, to były najwcześniejsze lata życia, spędzone w Krzemieńcu — na Wołyniu, względnie na Litwie, gdy nie odczuwał jeszcze tak żywo, jak później — swej marginesowości, swego odszczepieństwa, gdy w kole rodzinnym, w cichym, prowincjonalnym kole przyjaciół rodziny, czuł się wplecionym organicznie w kole tej wspólnoty.

I dlatego ta właśnie rodzina, krzemieniecka wspólnota, z którą pod wpływem wypadków historycznych i oddalenia, stracił bezpośrednią i fizyczną łączność, została mu w pamięci jako jedynie trwała, pewna i bezpieczna, jedyna ostoją dla myśli i uczuć, punkt zaczepienia z ziemią i ludźmi, matką i ojczyzną.

Jest w tym oczywiście dużo gry wyobraźni, będzie to rezultat wyolbrzymionej pod wpływem tęsknoty pracy myśli i uczuć, może nawet jeden z przejawów słabości wewnętrznej poety, który, nie mogąc znaleźć w rzeczywistości, w sferze imaginacji, we wspomnieniu szuka powiązania z ziemią i ludźmi.

Jest to jednak słabość, która cechowała całe to nasze pokolenie romantyczne. słabość, którą tym snadniej wybaczyć można i należy, że stała się dla poety źródłem siły i wytrwania, że zmogła loty jego wyobraźni, oprawiła w ramy czasu i przestrzeni, zamknęła w obrębie granic wskazujących oderwanemu od życia poecie drogę ziemskiego obowiązku i surowej powinności, którą wypełnił z dumą i samozaparcie.

Jan N. Miller

DWAJ PANOWIE KAWAMURA

Jest ich dwóch. Dwóch panów Kawamura. Ojciec, który nosi długie japońskie kimono i kłania się pomalutku, chyląc się ku ziemi.

I syn.

Ojca nie znam. Nigdy nie przekroczył granic rodzinnej Japonii — i nie odczuwa po temu żadnej potrzeby.

Za to syn! Syn ubrany przez paryskiego krawca. Syn patrzący przez duże rogowy europejskie okulary!

Ten syn zna już niemal każdy kąt Paryża.

W letni pogodny wieczór siedzimy na terasie paryskiej Rotundy i rozmawiamy. Z synem o ojca.

Bo ojciec Kawamura, tu Japończyk zniżają głowę na pozostawieniu, jest sławnym malarzem.

Pytam wprzód syna, gdzie malują japońscy malarze?

Czy budują dla nich pracownie skierowane na północ?

Czy robią całe ściany ze szkła, by światła było jak najwięcej?

Nie podobnego, mówi syn Kawamura. Pokój, jak i inne pokoje w Japonii; byleby był jasny.

A wewnątrz?

Pelno pędzli i mis na farby i maty na ziemi.

Bo msi pan wiedzieć, że ojciec mój, tak jak każdy malarz japoński wierny tradycjom maluje siedząc na ziemi.

Przed nim leży podłużny pas ryżowego papieru lub pięknego jedwabiu — to „płótno“ japońskich obrazów.

Na nim powstają naprzód delikatne rysunki węglem. Potem ojciec wzmacnia je tuszem, aż w końcu wymalowuje różnokolorowymi akwarelami.

Zdarzy się czasem, że japoński obraz jest dłuższy niżeli podłoga pracowni. wtedy mój ojciec siada na małym stoleczku niby na mostku nad strugą jedwabiu i uczniowie rozwijają i zwijają przed nim pas materii — aż go nie wynaluje do końca.

Pewno, jest trudno wyobrazić sobie europejskiego malarza który by pracował nad obrazem, widząc tylko jego połowę.

Ale japońskie obrazy mają coś z panoramy. Coś z tych widoków natury, których oko nasze nie może od razu ogarnąć i po których przenosi się z miejsca na miejsce.

Powiedział pan „uczniowie“?

Tak wielu japońskich malarzy ma jeszcze po dziś dzień po kilku uczniów w pracowni. W zamian za naukę, wyręczają oni nauczyciela w mniej ważnych pracach. Bo, ostatecznie, obraz nie składa się wyłącznie z natchnienia!

W Europie fabryki trą farby dla malarzy lub przygotowują płótna.

W Japonii trzeba wszystko samemu przygotować.

I uczniowie całymi godzinami urabiają farbę, by była zdatna do użycia i kleją jedwab by można było na nim malować.

Ach gdyby pan zobaczył ile czasu i trudu wymagają te, zdawałoby się poboczne prace!

Co przedstawiają obrazy mego ojca? Przeważnie są to pejzaże, choć trudno zastosować tu podział i pojęcia użyte z malarstwa europejskiego.

Bo taki japoński pejzaż to czasem tylko kawałek gałęzi pokrytej kwiatem jabłoni lub kilka trzciny bambusowych.

Ale są również obrazy na których dużo się wydarza:

Niebrzebrane gąszcze, całe pełnie górskie, aż po te dalekie pokryte wiecznym śniegiem, i rzeki i strumyki.

A nad nimi słońce lub okrągły, wielki, tajemniczy księżyc.

Tak, księżyc jest ulubionym tematem naszych malarzy.

Od jego światła cały świat jakby zładnieje i staje się bardziej poetyczny.

Aż do XX wieku byli nasi malarze często też poetami.

Dzisiaj jest jednak coraz mniej twórców, którzy byliby w stanie łączyć obie sztuki.



„Gawęda pod sosnami o przeszłości“. Wg. obrazu malarza japońskiego Ihe z XVIII w.

Dlatego też znikają z nowych obrazów długie szeregi napisów.

Nie, to nie były tytuły, ani zapodania, gdzie powstał ten czy inny obraz! To malarz wypisywał własny poemat związany z treścią, tematem czy nastrojem obrazu.

Na takim malowanym pejzażu widzimy chętnie zwierzęta.

Dużo z nich zna pan na pewno z japońskich drzeworytów. Są złote i czerwone ryby oddychające okrągłymi perłkami powietrza, są najrozmaitszego rodzaju ptaki, są koty dla których mamy szczególnie upodobanie, są psy i tygrysy itd., itd.

Ale są też zwierzęta, na które patrzymy nieco odmiennie aniżeli Europejczyk. Czy to z powodu oswojenia się z ich widokiem, — czy też z powodu legend z nimi związanymi.

Dla Europejczyka jest np. małpa na ogół czymś brzydkim. Może przez jej podobieństwo z istotą ludzką, może w niej widzi swoją własną karykaturę. A może jest po prostu zbyt mało oswojony z jej widokiem, by mógł to dojrzeć — co my widzimy.

Nas fascynuje przede wszystkim zgrabność tego zwierzęcia.

Skok z drzewa na drzewo, chwyt rękoma dalekiej gałęzi — każdy ruch małpy to temat dla naszych malarzy.

Oprócz niej istnieją jeszcze jedno zwierzę o którym nasze pojęcia będą różne od pojęć Europejczyka.

Ale tu legendy wchodzą już w grę.

„Tancerka Sijuka“

Wg. drzeworytu Hokusai



Wiem, że chytróść lisa jest treścią wielu baśni Starego Świata. Ale w legendach japońskich mądrość tego zwierzęcia nabiera cech szczególnych.

Tam lis drwi nie z innego zwierzęcia, ale z pana i władcy stworzeń, z człowieka, któremu ciągle pokazuje: Ach jakiś ty niemądry.

Owszem, opowiem panu jedną z wielu legend japońskich o liście.

Późną jesienią szedł Japończyk do domu. Po drodze spotkał kobietę. A że wydała mu się przystojną, przystąpił do niej i rozpoczęli rozmowę.

Zdaje się, że i kobiecie podobał się przygodny znajomy, bo zaprosiła go do swego domu.

Tam przygotowała mu kąpiel, po czym spędzili noc pełną upojen.

W końcu mężczyzna zasnął.

Kiedy przebudził się, zerwał się od razu na równe nogi.

Gdzie podział się dom, w którym spędził noc? Gdzie jest owa piękna kobieta? Ani śladu.

Zamiast łóżka, leży na gołej ziemi nad brzegiem urwistej rzeki.

A tam daleko? Tam stoi lis i śmieje się.

Wtedy mężczyzna zrozumiał:

Ten lis, żeby z niego zadrwić, przybrał postać pięknej kobiety.

I z nim, rudym lisem spędził noc wśród uniesień.

Czy tematy obrazów japońskich ograniczają się obecnie jedynie do pejzażu?

Nie. W dawniejszych czasach zamawiano jeszcze dużo portretów, które wiszą do dziś dnia nieomal w każdej zamożniejszej rodzinie.

Dziś te zlecenia przeszły na ogół w ręce malarzy pracujących w duchu szkół europejskich.

Ale czasem zdarza się, że do malarza starej szkoły przyjdzie kobieta czy mężczyzna, żeby zamówić swój portret.

Czy praca różni się od pracy europejskiego malarza?

Po części. Bo europejski malarz zamawia modela na godziny, czy dni. Wtedy zleceniodawca „pozuje”. Japoński malarz robi natomiast co najwyżej kilka szkiców węglem.

Albo, co zdarza się częściej, ogląda tylko swego modela, aby sobie wryć w pamięć każdy rys twarzy.

Potem następuje wymalowanie obrazu. Malarzowi towarzyszy wtedy tylko jego pamięć wspomaganą ewentualnie kilkoma szkicami, które zrobil.

O jednej regule pamięta natomiast podczas swej pracy:

Portret japoński powinien uwydatnić każdy rys twarzy zleceniodawcy.

Wtedy oko wyraziście staje się wielkim aż do przesady, nos zgięty przemienia się w kablak. Tylko, że ta przesada nie jest dla nas karykaturą.

Jest raczej potrzebą wielkiej wyrazistości, potrzebą ruchu, akcji, którą odczuwamy wszędzie.

Strój?

Strój domalowuje się z pamięci. Sprawa ta nie nastęrcza żadnej trudności. Każdy uczeń tyle razy kopiował obrazy nauczycieli, że ubranie namalowałby i po omacku.

Poza tym, mój ojciec nie maluje portretów. Robi pejzaże i rysunki na klockach



„Fuji podczas burzy letniej”

Hokusai (w. XVIII — XIX)

dla drzeworytników.

Bo wycinają je i odbijają zawodowi robotnicy.

Czy Japończycy lubią malarstwo?

Obok poezji — ogromnie. W Japonii nie ma zamożniejszego domu, w którym by nie było co najmniej 4 obrazów.

Nie, to nie święta cyfra! Tylko Japończycy są wrażliwi na piękno swej przyrody. Każda zmiana pory roku jest dla nich przeobrażeniem, odrodzeniem i świętem.

Z NOWSZEJ LITERATURY POLSKIEJ O GDAŃSKU

Na Gdańsk są zwrócone oczy całego świata, a przede wszystkim całej Polski. Tu rozstrzygają się losy kontynentu, tu — jak niegdyś w krwawym roku rzezi gdańskiej (1308) — los Pomorza zawisnął na ostrzu miecza. Będzie więc na czasie rozejrzeć się w nowszej naukowej literaturze polskiej o Gdańsku, zwrócić uwagę naszej opinii na kilka wydawnictw, które torują drogę zrozumieniu dla roli Wolnego Miasta i rozpraszają wszelkie wątpliwości co do jego wagi w życiu gospodarczym Polski.

W publicystyce niemieckiej powtarza się ciągle argument, że polityka morską Polski dąży do wyłączenia Gdańska z obrotów polskiego handlu morskiego, że odbywa się celowe faworyzowanie Gdyni na niekorzyść tego miasta. Wyjaśnieniem tego zagadnienia zajmuje się jedno z pierwszych wydawnictw Instytutu Bałtyckiego: K. Świąteckiego — *Rozwój portu gdańskiego*. Posługując się obficie statystyką, wykresami itp. pomocami aparatu naukowego, autor kreśli jasny obraz rozwoju Gdańska po wojnie. Po przyłączeniu do polskiego obszaru celnego, wyrasta Gdańsk na port o znaczeniu międzynarodowym. Wystarczy porównać dwie mapki na str. 158 i 159: przedwojenny (1908 — 1913) i powojenny (1927 — 1929) obszar ciężenia Gdańska, aby zrozumieć ogromne korzyści, płynące dla niego ze stanu obecnego.

Ten stan rzeczy w ostatnich latach nie uległ zasadniczej zmianie, mimo niekorzystnej dla współpracy polsko-gdańskiej polityki obcych rządów Gdańska. Nie darmo przeciw zorganizował Instytut Bałtycki swój V Naukowy Zjazd pod hasłem „Gdynia i Gdańsk — porty polskiego obszaru celnego”. Bo — jak słusznie zaznacza B. Nagórski w referacie zjazdowym p. t. *Gdańsk*

I kiedy przyroda zmienia swe oblicze, zmienia Japończyk obrazy w swym domu.

Z wiosną wiesza pejzaż wiosenny, z latem letni itd.

Czerwone neony pobladły na tle nieba, które poczęło szarzyć. Na staromodnym zegarze, który stoi na brzegu Raspailu i Montparnassu wskazówka pokazywała czwartą rano. Trzeba było rozstać się z p. Kawamura synem.

I unius

i Gdynia jako porty polskiego obszaru celnego — problem portu gdańskiego nie jest tylko zasadniczą i najważniejszą częścią stosunków między Rzeczpospolitą Polską a W. M. Gdańskiem, lecz również integralną częścią naszej własnej polityki morskiej.

Ważne jest stwierdzenie A. Gaźla w referacie zjazdowym p. t. *Handel zagraniczny Polski z uwzględnieniem ruchu przez porty, że między Gdynią a Gdańskiem istnieje pewien podział pracy, który z biegiem czasu nastąpił*. Tak np. przez Gdańsk przywozi się w ilościach przeważających herbatę, rudy żelazne wysokowartościowe, śledzie solone, tran oraz poważną część ładunków kawy, pirytów, fosforytów, surowców papierniczych, niezależnie od wysokowartościowej drobnicy. Co do wywozu z Polski, przez Gdańsk prawie wyłącznie eksportuje się zboże, mąki i owoce strączkowe, w znacznej mierze drewno i chemikalia (siarczan amonu, sole potasowe) oraz znaczną część innych artykułów. W handlu importowym towarami kolonialnymi (o czym w referacie zjazdowym W. Smoleńca p. t. *Import towarów kolonialnych przez porty polskie*) Gdańsk odgrywa na ogół poważniejszą rolę niż Gdynia. Udział handlu gdańskiego w kontyngentach przywozowych na główne artykuły kolonialne, jak kawa, herbata, ziarno kakaowe, pieprz i korzenie jest znacznie wyższy, niż analogiczny udział Gdyni.

Z tych danych bynajmniej nie wynika uposledzenie Gdańska — przeciwnie, w niektórych wypadkach Gdańsk jest dotąd wprost uprzywilejowany. Szkoda, że bardzo świeżej daty gdańszczenie, rządzący dziś Wolnym Miastem, nie chcą tego uznać!

(DIN).

M N E M E

Heż to razy kiedyś, jeżdżąc do Szwajcarii, przejeżdżałem przez Berlin — i dziś, czytając ciągle o furorze teutońskim, zadają sobie pytanie, czy rzeczywiście zmienił on się tak bardzo przez te lat 30?... Pamiętam... kiedyś rano przyjechałem do Berlina z Kudowy na Śląsku, gdzie leczyłem serce „zmęczone miłością żony i ojczyzny” — jak to dowcipnie kiedyś ujął w diagnozie własnego serca p. Jan Kasprowicz — i znalazłem taki krajobraz, najścisłej odpowiadający bodaj kulturze duchowej prusaków. Wszystkie lipy na Unter den Linden ubrane były w olbrzymie półtorametrowe różce czerwone z tektury czy papieru na powitanie orszaku ślubnego któregoś z synów Cesarza Wilhelma, a te drzewa-bukiety tonęły jeszcze w szpalerach flag czarno białych i trójkolorowych. Wszystko to darło oczy jakąś niemożliwą kakofonią — że się tak wyrażę — i robiło wrażenie zabawy dziecięcej.

W pewnej chwili larum i gwałt na ulicy, bo cesarz Wilhelm na guładym koniu wyjeżdża z zamku z buławą marszałkowską w dłoni, a z redakcji pisma socjalistycznego wybiega cały tłum robotarzy, który krzyczy „hoch!” i wyrzuca czapki w górę. I tym nawet był potrzebny ten nadmiernie ekspansywny monarcha jako aktor pewnej ulubionej sztuki efektowej z teatru narodowego.

Nawiasem dodając, że zdolności hipiecznego tego cesarza były nadzwyczaj humorystyczne, wyglądał on na dobrym, rasowym koniu jak wyżej siedzący na parkanie. To wielkie „Jego” miasto, pozbawione zupełnie pięknych budowli, zabudowane w regularne nadbud czworoboki olbrzymimi pudłami w stylu koszarowym — to najbardziej banalna i monotonna stolica europejska, pozbawiona zupełnie indywidualności. Płaskie, przyciśnięte do ziemi, ordynarne swoim ogromem pałace królewskie, parweniuszowskie, przesadnie, w złym guście pomniki, podobne do wielkich, tandetnych wyrobów jubilerskich — a nie do dzieł sztuki, idealnie gładkie i równe asfaltowane ulice z tysiącami samojazdów, majestatyczni policjanci, dorożkarze (już ich podobno nie ma) z twarzami profesorów uniwersytetu (pomniki Humboldta i Helmholtza) i uczeni z twarzami i wyglądem dorożkarzy.

Dawna rezydencja teutonizmu Ottońów, żelaznych kanclerzów o słynnych trzech włosach na głowie, dowcipnych a zjadliwych filozofów z Sansouci i uśmiechniętych lubieżnie Eulenbergow, w której na każdym kroku ma się znowu te szalone przeciwieństwa drapieżności i dowcipnego pływającego echa niemieckiego sentimentalizmu. Oto bakatystyczne pismo drukowało wtedy cudny wiersz Koernera o wiosnie z bardzo ludzkim komentarzem jakiegoś społecznika o wiosnach ludów i narodów: — oto hijacynty, tulipany i bratki i echa fletni starego jastrzębia Fryca Wielkiego, a tu znowu sarkazmy i usprawiedliwienia konieczności „ausrotten” dla idei państwowości niemieckiej. W bramie domu w Charlottenburgu, gdzie mieszkał mój brat student, siedzi dziewczyna gładko uczesana z twarzą anioła i czyta najeno-

tliszsze na świecie pismo „Gartenlaube“. a po podwórku spaceruje jakaś też gładko uczesana i czarno ubrana wiedźma, która poufnie komunikuje szeptem, że ta panienska „kosztuje 100 marek”. — W „Museum für Völkerkunde“ jakiś profesor objaśnia gromadę turystów niemieckich z południa i pokazując model grobowca-kurhanu jakiegoś wodza słowiańskiego — z okolic Berlina, opowiadając i uroczyście stwierdza: „Ja — das ist polnisch!”.

Tak... sęp germański powolny, ociężałym krokiem idzie oto od tysiąca lat z nad Renu na Wschód i to dziobem. to szponami, to skrzydłem zagarniał pięćdziesiąt po pięćdziesiąt nowe zdobycze. Na kępie ostrownej nad Szprewą uwił sobie wśród mokradła wielkopolskiego wielkie krzaczaste gniazdo Berlin i z dawnej osady rybackiej pozostały jeno ślady w nazwach. Przez analogię z tymi za Wartą Kopanicami i Ostrowami mamy tu Koepenick i Oestren, a Kempenstrasse w środku samego Berlina. Z Braniboru Luteckiego, udzielnego księstwa Lechitów, powstał Brandenburg, a z Dziewina — Magdeburg, a zachowanie pomimo naporu germanizacji przez dolnych Łużyczan w Lesie Szprewskim koło Lubiny języka, stroju i obyczajów daje się wytłumaczyć tylko właściwością niedostępnego terenu (lasy trzęświśkowe i błota) nie zaś właściwościami życia narodowego, które drzemie do dzisiaj najzupełniej podobnie jak i w reszcie Łużyc pruskich i saskich. Cóż tych Łużyczan zresztą pozostało na smutną rzecz tragicznej pamiętą — niecałe 200 tysięcy, z tych ze 30 w Lesie Szprewskim. Tu barwnością stroju słowiańskiego oczy wtedy (30 lat temu) jeszcze cieszyć można było, uradować się wieściami o starych królach wendyjskich, co się z wojskami swymi ukrywają do dnia i godziny cudu w podziemiach zaklętych zamków lutyckich, tu wraz ze Słowackim przeniesie się można w obrazy Lilli Wenedy...

Pochylamy się w Berlinie nad Szprewą, patrząc, czy w niej nie ma krwi. Z narodu naszego, z krwi i kości naszej, który tu kiedyś żył, nie zostało nic prócz imienia i karty próżnej w księdze dziejów. — naród ten nie umarł śmiercią własną — on został wytepiiony, hóle przeszły miarę sił. Na tym niemym kurhanie zbudowany jest zamek królewski Berlina; z krwi pomordowanych zaczerpnął wróg soki swego życia i siły, wróg mający zawsze miecz w dłoni, a hasło oświaty i kultury na ustach. To dzisiaj dostało tylko nazwę wspólną dążenia do „Lebensraumu”.

TYGODNIK ILLUSTROWANY
zaczyna w następnym w n-rze
druk opowieści
KONRADA
CHMIELEWSKIEGO
p. t. „BRACIA HORECCY”
(Felieton życia)

OPUS

koszule - nielany kalnierzki
i chusteczki marki Opus
znane są w całym kraju
ze swej doskonałej jakości

Jednym słowem nic się nie zmieniło tutaj od stworzenia świata (oczywiście) germańskiego, tylko tyle nowego, że dziś może nawet szczerzej wykreśla się z używalności politycznej powoływanie się na „deutsches Wesen, deutsches Recht” a sięga się z powrotem do tez krzyżackich o *korytarzach*. Od Malbarga do Gdańska idzie idea zamykania gościńców i dostępów, — a Królewiec i Klajpeda to nie to samo?...

Znakomici autentyczni geografowie i przewrotni historycy od razu się rzucili przed tysiącem lat do zajmowania ujęć rzecznych i punktów węzłowych na szlakach komunikacyjnych — i lupieskich. — a bieg morza (wolne miasta) to tylko dodatek do tej idei, który wypłynął później, gdy wskrzesza legenda wikingów, później nordmanów...

W tej całej robocie (geograficznej) jest tylko jedna rzecz owiana rzeczywistym sentymentem i poezją — to *Ren — wraojechna!* Te wszystkie inne teorie „Drang'u” to zaklamywanie nawet siebie; można przecież dowodzić i pochodzenia swego znaną Wolgi — kto to sprawdzi? — tak samo jak i rzekomego cofania się przed słowianami na zachód. Chodząc po nudnych, wykruchmalonych i wyprasowanych ulicach Berlina i przyglądając się osławionej „Gemüthlichkeit” niemieckiej, ma się wrażenie, że dużo z tej kultury jest robione na pozór, na zewnątrz, na wygląd... Spód tych namiastek wygląda i wyglądała zawsze bezwzględność dla wrogów i przeciwników, potworna pycha parweniuszowska i wiara w chamsztwo jako symbol siły i mocy. Wobec arystokratycznych duchem, przebytymi cierpieniami i odwiecznymi tęsknotami moralnymi Polaków są oni siłą moralnie niższą, społecznie gorszą i chwiejną. Bo w głębi duszy każdy uczeńszy Niemiec, wycierający oto starannie z talerza chlebny mączny, tłusty i pieprzny sos aż do zupełnego wylizania go na glancie i wysysający resztki z kufla piwa — jest wiecznie głodny, spragniony, mieniaszony, jest obrażony na świat, który nie chce zrozumieć naturalnych potrzeb jego wielkiego, nalanego lojem ciała — i uważa, że stąd płyną wszelkie europejskie nieporozumienia. Wydaje się, że sprawa snożywezdajnych kolonii jest w tej chwili główną osią ich wszelkich pasji i politycznego rozciętrzenia.

Żaki o nieagresji z Sowietami nie jest żadnym odstępstwem od umiłowanej przez Niemców na Uniwerkach metodologii a wykonaniem teorii wieszczą narodu: „Gru ist jede Theorie”...

Konrad Chmielewski



Słuszną karą na jednego z tych, co chcieli żerować na bliźnich



Drużyny ratownicze w Londynie odbyły ćwiczenia bojowe

Z POLSKI I

Brytyjska flota wojenna zajęła różne pozycje na morzu Północnym



W kopaniu rowów-schronów przeciwlotniczych





... rają ćwiczenia w pełnym rynsztunku



P. Ribbentrop na lotnisku moskiewskim. Na budynkach czerwonego lotnictwa powiewają ... flagi ze swastyką

ZE ŚWIATA

Żołnierz brytyjski służby łączności podczas ćwiczeń polowych

udział wszyscy bez względu na płeć i wiek





Slusna kara na polbrzo z tych, co chcieli zerwané na kłebnik



Dwa try zimowce w Londynie odstawili paszporty i polsca rozstanku



P. Dzikowicz na lotnisku londyńskim. Na tle polski szeregowiec, lotniska, powstaniec — flagi ze swastyką

Z POLSKI I ZE ŚWIATA

Brzyjska Herta wojenna zupki, 1938, powstaje na morzu Północnym



W Anglii: rozwinęła się, paracjalistyczna — widać wycieczki bez względu na płeć i wiek



Polowiec brzyjski zbliży licznicy podrozni ruteczki palmowych



PRZEGLĄD POLITYCZNY

(Dokończenie ze str. 692)

Rzymowi się nie śpieszy i dużo prawdopodobieństwa zawierają komentarze, twierdzące, że Mussolini stara się wpłynąć hamująco na Hitlera, nie widząc dla Włoch żadnego interesu w wojnie o Gdańsk, czy Pomorze. Pozytywne stosunek opinii włoskiej do apelów pokojowych papieża, króla Leopolda, a nawet niezbyt lubianego w faszystowskiej Italii Roosevelta potwierdziły tezę o włoskiej niechęci do wojny.

Stanowisko U. S. A.

Apel pokojowy prezydenta Roosevelta, skierowany do P. Prezydenta Rzplitej i kanclerza Hitlera był wymownym przejawem zainteresowania Stanów Zjednoczonych sytuacją europejską i chęci zapobieżenia wojnie. Apel ten — podobnie jak poprzedzające go apele papieża i króla Belgów, został w Polsce przyjęty pozytywnie, w Niemczech natomiast częściowo zbyty milczeniem, częściowo zaś drwinami. Niektóre pisma mówiły nawet o „nowej bezczelności Roosevelta”. Jest to jeszcze jedna przekonująca manifestacja, kto jest napastnikiem i dąży do wywołania wojny.

W apelu Roosevelta warto zwrócić uwagę na zwrot, mówiący, iż sympatie narodu amerykańskiego leżą po stronie, która do propozycji Wyszingtonu stosunku się przychylnie. Istnieją bowiem przypuszczenia, że Roosevelt, przewidując efekt swojej inicjatywy, chciał zyskać wobec kongresu nowy argument na rzecz reformy ustawy o neutralności. Zresztą wiadomości z Ameryki wskazują, iż nawet znaczna część dotychczasowych przeciwników rewizji tej ustawy zmieniła obecnie swoje stanowisko, wyczuwając nastroje szerokich warstw społeczeństwa. Nie ulega bowiem wątpliwości, że sympatie opinii amerykańskiej umiejscowione są po stronie Frontu pokoju. W czasie wojny mniej czy bardziej wydatna pomoc Stanów Zjednoczonych dla państw przeciwstawiających się agresji, wydaje się być co najwyżej kwestią czasu.

Przy końcu wojny nerwów

Za to Niemcy nie zdradzają żadnej rezerwy i umiarkowania. przeciwnie, zachowanie ich w chwili obecnej graniczy po prostu z szaleństwem. Wspominaliśmy o tym już na wstępie niniejszego *Przeglądu*, dodając, że Niemcy stosują ograń już, zeszloroczne metody, które przy powtórzeniu inu zgola dawać muszą efekt. W steku naiwnych, choć ordynarnych kłamstw i oszczerstw, stanowiących swoistą specjalność propagandy Trzeciej Rzeszy, wysunięto też dobrze znany „argument” o rzekomych prześladowaniach mniejszości niemieckiej w Polsce. Trzeba doprawdy nie lada tupetu i cynizmu, aby wystąpić z czymś podobnym. Polska prasa codzienna omówiła już wyczerpująco tę sprawę, dokonując beznamiętnego porównania położenia ludności polskiej w Rzeszy i niemieckiej w Polsce i zestawienie to jest tak wymowne, że nie wymaga nawet komentarzy, obalając z gruntu niemieckie fałsze, mające uzasadnić agresję.

Drugim chwytym z cyklu „sudeckiego” jest próba wbicia klina między Polskę i Jej zachodnich sojuszników, którym czyni się „kuszące” propozycje trwałej zgody i wiecznego pokoju, w nadziei, iż uda się tą drogą izolować Polskę. Berlin nie kryje się już zresztą, że „niemiecki honor” (??) żąda od Niemiec napaści na Polskę i lndzi się, że kłótkowiek okaże się tak naiwny, by po zeszlorocznych doświadczeniach raz jeszcze

S O K O Ł Y ZAWSZE ZWYCIĘŻAJĄ

ZESPÓŁ FABRYCZNY PZInż
ZDOBYŁ W III RAIDZIE
TATRZAŃSKIM

WIELKĄ NAGRODĘ TATR

PAŃSTWOWE ZAKŁADY INŻYNIERII

WARSZAWA UL. TERESPOLSKA 3-436, TEL: 10-46-00

JEDNORODZINNE SCHRONY KONSTRUKCJI POLSKIEJ

Ministerstwo Spr. Wewn. i Inspektorat Obrony Powietrznej Państwa zatwier-



dziły do masowego użytku jednorodzinny schron przeciwlotniczo-gazowy typu „Bastion”. Schron taki mozeay nomieścić 4—5 osób może być ustawiony na kazym terenie, składa się on z trzech elementów wykonanych z mocnego żelbetonu skręconych na śruby. Zmontowany schron posiada formę pocisku armatniego, ustawionego wierzchem ku górze.

Schron „Bastion” jest zaopatrzony w instalację wentylacyjną uruchamianą ręcznie, niezależną od energii zewnętrznej, zakończoną pochłaniaczem oczyszczającym powietrze. Pochłaniacz ten może być łatwo wymieniony od wewnątrz, a więc w czasie trwania ataku.

Koszt tak zwanej chronosohy jest niewielki, gdy wynosi nie całe 100 zł., eo obejmuje już instalację wewnętrzną.

Bastion nie wymaga żadnych prac instalacyjnych ani zasypywania ziemią, jest łatwo rozbierny i przenośny.

uwierzyć obietnicom Rzeszy. Lecz nikt nie ma żadnych wątpliwości, że po ewent. opanowaniu Wschodu Europy „niemiecki honor” kazalby oczywiście Berlinowi natychmiast dumać kolejne przyrzeczenie i stanąć do rozgrywki z Zachodem. To też odpowiedzi Daladiera i Chamberlaina nie wypadają po myśli Hitlera, gdyż zdradzają zbyt już wielkie zrozumienie celów i metod niemieckiej polityki i nie zapominają podkreślić wierności Anglii i Francji dla zobowiązań zaciągniętych przez te państwa wobec Polski. Zaznaczyć trzeba, że cała opinia francuska i angielska zajmuje wybitnie mocne stanowisko i wroga jest projektem wszelkich ustępstw na rzecz rozuchwalonych burzycieli pokoju.

Niemcy dają obecnie wyraz swemu bardzo „nieprzejednanemu” nastawieniu wobec Polski, żądając zaspokojenia w całości ich żądań. Jest to albo stara krzyżacka buta, albo też — jeszcze jeden chwyt w wojnie nerwów. Jest bowiem bardzo prawdopodobne, że Niemcy z ulgą powitaliby nowe Monachium, gdzie mogliby nawet sprzedać swe „nieprzejednanie” za bardziej ograniczone ustępstwa — a wszystko w imię pokoju...

Lecz wszystkie te chwytły i intrygi zbyt grubymi są szyte niemi. Szachrować można do czasu — potem szulerowi dobrze już patrzeć na ręce, jeśli nie wyrzucają z gry.

Polska obserwuje ze spokojem grę Niemiec,

interesowaniem i uwagą rozmowy na linii Berlin — Paryż i Berlin — Londyn, nie przypisujemy im jednak jakiegoś decydującego dla sytuacji znaczenia. Nie zapominamy bowiem ani na chwilę, że dla Polski jedynie miarodajna i całkowicie wystarczająca jest Jej własna decyzja. Nowe Monachium jest niemożliwe nie tylko dlatego, że mocarstwa zachodnie zrozumiały grę Rzeszy i są zdecydowane nie powtarzać tak fałszywego i dla nich szumnych w skutkach jak najbardziej groźnego kroku, lecz przede wszystkim z tego względu, że Polska, świadoma swej siły i manifestująca niezłomną wolę obrony, nigdy nie przyjąłaby żadnego rozwiązania ustalonego poza Jej plecami, bądź niezgodnego z Jej honorem, a na każdą próbę naruszenia niepodległości bądź integralności odpowie zawsze — armatami.

— *Gwałt zadawany siłą — musi być siłą odparty!*

— *Szanujące się Państwo nie czyni jedностronnych koncesji.*

— *Nie znany pojęcia pokoju za wszelką cenę!*

— *Jest tylko jedna rzecz w życiu jednostek, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest HONOR!*

Te słowa Marszałka Śmigłego-Rydza i min. Becka nie były rzucone na wiatr.

WŚRÓD LASÓW I RZEK NISKIEJ GWINEI

A śmierć stoi tuż nad nim, uosobiona w drapieżnej, skupionej postaci Vialli *).

Nie tracąc ani na chwilę z oczu ranego zwierza, podąża za nim wytrwale, skręcając nagle, hamując, przyspieszając biegu, zależnie od chaotycznych ruchów gada.

Wzdłuż burty pod ręką leży rurka żelazna, metrowej długości, przez jej wnętrze przechodzi linka, tworząca z jednej strony pętlę. Za drugi koniec linki można chwycić, ponieważ wystaje on z rurki.

To lasso. Gdy udaje nam się podejść tuż do zwierza, ręka myśliwca wyciąga się po lasso powolnym ruchem, po chwili jednak znów się cofa, pada soczyste przekleństwo — krokodyl w swoich przypadkowych ruchach oddala się od nas, jakby czuł, skąd mu grozi niebezpieczeństwo. Wreszcie zręczny ruch i pętla lasso obejmuje ciasno szyję zwierza.

Myśliwy stara się teraz przyciągnąć krokodyla do burty. Szarpanioma, wściekle uderzenia ogona o kadłub łodzi, ogromny wysiłek człowieka, zaciśnięte zęby, napięte mięśnie. Nagle ofiara wyslizguje się ze zdradzieckiej pętli.

Zduszony wściekłością glos: „Podać mi większe lasso!“ Czarne postacie szukają na dnie łodzi.

Podchodzimy po raz już nie wiadomo który do ranego krokodyla, nowa próba również nieudana.

Chrapliwy ze złości rozkaz: „Podać mi większe lasso! Nom de Dieu!“ — „Nie ma, panie!“ Vialla z trudnością już się hamuje, oświetla całą motorówkę i mówi cichym, zdławionym szeptem: „Poszukaj!“ — „Nie ma, panie! Nie zabraliśmy!“ Zbierająca się burza wybucha: „Wy czarne bydlaki! Schwarze Dummerei!“ — klnie we wszystkich językach.

Jest tak wściekły i tak groźny w swo-

im gniewie, że na pewno, gdyby nas nie było, nastąpiłoby teraz wielkie mordobicie. Wobec nas jednak kępuje się, zwraca się więc jedynie porozumiewawczo w naszym kierunku: „Widzicie, jak to jest pracować z tą czarną hołotą!“

Nareszcie jednak i przy pomocy lassa zabranego udaje się przyciągnąć krokodyla tuż do burty łodzi: głowa wzniesiona w górę, ogon wściekle tłukący wodę.

Czarni tylko czekają na ten moment. Wychodzą niespodzianie, nagle ze swjej nieruchomości: zwijają się teraz w szalonym pośpiechu. Jeden z nich błyskawicznie obwiązuje zwierzowi paszczę, potem porywają rozszalale zwierzę i wciągają je w głąb łodzi.

Lasso wciąż złowrogo zaciska się na jego szyi. Czarni w szalonym pośpiechu wiążą zwierzowi na grzbiecie przednie i tylne nogi. Jeden podczas tej operacji siedzi na ogniu, by uniemożliwić jego wściekłe uderzenia.

Vialla oświetla krokodyla. Nie jest wielki: półtora metra. Straszna rana od ładunku śrutu w przednią część łba, przed oczy. Tym sposobem nie zabija się zwierzęcia, oszalamia się je jedynie, czyniąc napwół bezbronnym. „Zwierzę jest nokaut“ — jak mówi Vialla. Chodzi o to, żeby nazajutrz z rana ściągnąć z niego skórę żywcem. Jest to odkrycie Vialli, że skóra, ściągnięta z żywego zwierzęcia, jest biała i o wiele ładniejsza, niż skóra ze zdechłego już krokodyla.

Gdy nasz „gospodarz“ udziela nam tych objaśnień, wciąż swym „okiem“ przeskakując krzaki, czarni tymczasem wiążą krokodyla w obwarzanek, przymocowując łeb do ogona.

Dziwnie mi się jakoś nieprzyjemnie robi, gdy spojrzę na jego ogromną ranę, gdy pomyślę, że żyje z nią i żyć będzie aż do rana, kiedy to będą ściągać z niego skórę żywcem. I to tak co noc trzydzieści do czterdziestu zwierząt!!

Jest jednak coś odrażającego w tym zajęciu.

Vialla, jakby obserwował nasze myśli, mówi nagle, pokazując na skrwawiony łeb: „To wszystko to kwestia przyzwyczajenia“.

Milczymy. Nowy krokodyl. Tym razem lassa już nie używamy. Jest to spora sztuka, otrzymuje kulę tuż przed oko — to też powoduje nokaut nie śmierć: mózg jest cały. Aby krokodyla zabić trzeba strzelać tuż nad oko.

Po strzale gwałtowne kotłowisko. Patrzymy uważnie: zwierz leży nieruchomo w płytkiej wodzie.

Czarni ze sznurkami w zębach z niesłychaną szybkością skaczą za burty.

„Meme! Meme!“ (w języku plemienia Susu znaczy to — „Zaczekaj!“), wypowiedziane przez białego łagodnie, niemal prosząco. Czarni wskazują do łodzi tak szybko, jakby diabła ujrzeni, a Vialla uważnie oświetla nieruchome zwierzę, badając, czy można go już chwycić, czy też to tylko nieruchomość pozorna — a gdy zjawi się blisko człowiek, otworzy się niespodziewanie straszliwa paszczęka.

Cały czas fuzja w rękę, by w razie czego poprawić strzał. Szybkie ruchy ogona wskazują, że zwierz nie jest już niebezpieczny — dobrze dostał!

Nagły ostry rozkaz: „Naprzód!“

Czarni, którzy cały czas czekali sprężeni w napięciu, przychyleni, gotowi do skoku, ze wrokiem bitym w raane zwierzę — pchnięci tym rozkazem, skaczą nagle i chwytają gada. Pierwszy ruch: obwiązać groźną paszczę, potem ciągną nieruchome cielsko do burty i wtaszczają w niesłychanym pośpiechu do środka łodzi.

Drżą cali ze zmęczenia i zdenerwowania. Podniecają ich jeszcze do pośpiechu krótkie rozkazy: „Szybko! Szybko!“ Teraz nogi, teraz ogon! Śpiesz się! śpiesz się!“

*) Por. nr. 34 — 35 „Tyg. Ilustr.“

„Poleszok“ 13,5 mtr. długości, 3,6 mtr. szerokości



Goście, plantatorzy polscy na „Poleszoku“



Baobab — smutne drzewo w „brusie“





Obciąganie krokodyla ze skóry



Bęben wodza murzynów we wsi Berika



Biały jest i plantatorem i lekarzem...

Jest po co maglić do pośpiechu: krokodyl przecież nie został zabity, lecz tylko oszobotony i w każdej chwili może odzyskać przytomność — a wtedy może stanowić ciężki orzech do zgryzienia — opanowanie jego gwałtownych ruchów może być bardzo trudne.

I tak idzie ta krwawa zabawa. Teraz wydaje się to wszystko proste i łatwe: czerwony błysk w krzakach, przyspieszony turkot motoru, strzał, skok czarnych w wodę, chwila nerwowej pracy i... znowu spokojny, równy chłód motoru.

Robi to chwilami wrażenie rzezi, ma się tego dosyć!

Chwilowa dłuższa przerwa—to znacznie przyjemniejsze jechać tak w pośród afrykańskiej mocy środkiem rzeki. Po obu stronach ciemne tajemnicze ściany drzew, nad głową gwiazdy, nagle srebrne błyski na fali. Cicho, spokojnie.

Nie wszystko jednak idzie tak sprawnie, jak w rzeźni mechanicznej — od czasu do czasu jakieś niespodziewane trudności przypominają nam nagle, że to jest jednak gra i walka, która chwilami może być nawet niebezpieczna—przede wszystkim dla czarnych pomocników.

Oto do jednego ze zwierząt strzał niesłychanie trudny poprzez splątaną gęstwą gałęzi.

Zwierzę leżało w odległości paru metrów od brzegu w namule między korzeniami drzew. Czarni, jak zwykle po strzale, natychmiast skaczą naprzód, przeciwskakując się z trudem przez gęstwiny. Nagle ruszył ku rzece i krokodyl. Gwałtowny ostrzegający okrzyk: „Memé“, „Memé!“ — paniczna, na łeb na szyję ucieczka murzynów. O tym wie mało kto, że „nieruchomy“ krokodyl dogoni na lądzie człowieka!

Nadzwyczaj trudne celowanie między gałęziami, chwila pełna napięcia. Czekaemy!

Przytrzymując zwieszające się konary,

by utrzymać łódź nieruchomo. W pewnym momencie łeb krokodyla staje się widoczny w jakiejś wąskiej szparze, między liśćmi. Strzał! A potem długa, uważna obserwacja, zakończona ostrym: „Yalla!“ („Naprzód!“ — w jęz. kusu).

Czarne szatany w milczeniu przedzierają się przez gąszcz, z trudem ciągnąc cielisko zwierzęcia.

Ciężka to praca poruszać się w namule, gdzie nogi zapadają się w namul do kolan, gdzie każdy ruch jest zahamowany splątaną siecią korzeni i gałęzi.

I ten szalony pośpiech, pośpiech, od którego być może zależy życie, bo zwierzę przecież może się ocknąć w każdej chwili.

I to nerwowe, podcinające niby bitem: „Szybciej! Szybciej! Wiązać!“ Nie dziwnego, że gdy krokodyl jest już wreszcie w łodzi, murzyni dyszą ciężko. dygotają gwałtownie całym ciałem, chwycią się za nogach. A tu trzeba jeszcze w tym samym diabelskim tempie związać całe zwierzę.

Tak! to jednak praca ciężka, niebezpieczna, ostra, a ma momenty wręcz zbliżające z nóg.

A i udział w tej grze białego też wymaga nielada wysiłku i zręczności. Nie ma tu wprawdzie bezpośredniego, fizycznego zmagania się (chyba, gdy chwytą zwierzę na łąso, ale robi to bardzo rzadko), ale konieczna tu szybkość orientacji i decyzji, koordynacja ruchów, zręczność kierowania łodzią w najtrudniejszych warunkach.

Pomyśleć tylko, jakie czynności wykonuje ten człowiek w momentach decydujących: obserwuje bez przerwy raz dostrzeżone zwierzę, aby go nie stracić z oczu i nie zgubić w cieniach nocy, kątem oczu musi zauważyć, jakie są przeszkody w dostępie do zwierzęcia, a może to być ściana gałęzi, przybrzeżne skały, płytki namul — przeszkody te musi umiejętnie ominąć! W pewnym momencie, sterując tak łodzią i zmieniając biegi, chwytają do-

godną dla strzału chwilę. A potem — to on przecież kieruje murzynami, on ocenia, czy mogą skakać do wody po ranione zwierzę. Czarni dużo nie myślą: ufają mu ślepo, wierząc, że nigdy nie pomyli się, że ich nie wyśle na śmierć!

Niechby raz zdarzył się jakiś wypadek — on byłby odpowiedzialny za życie człowieka, a przytem dalsza możliwość pracy tu w Afryce załamałaby się, wraz z załamaniem wiary czarnych w jego nieomylną — nie znalazłby już chętnych, którzyby na ślepo leżli na jego rozkaz w wodę i taszczyli żywego jeszcze krokodyla w jego żywiole!

Pomyśleć tylko! Przecież to nie tylko co!

Takie rozmyślenia przerywa mi znowu ciekawa gra. Duży krokodyl leży na środku rzeki, jednak z chwilą, gdy tylko zbliżymy się do niego, znika nagle pod wodą.

Odjeżdżamy z tego miejsca — i oto znowu jest! Zawracamy. Krążymy — znika! I tak w kółko kilkanaście razy — wesoła ciuciubabka. Wreszcie udaje się nam dojść do zwierza bardzo blisko, niemal go dotykamy dziobem motorówki. Strzał i jednoczesny niemal skok murzyna w głąbie! Krokodyl natychmiast po strzale tonie, jeśli dostał śmiertelnie. Na tej głębokości pośrodku rzeki niechybnie zostałby stracony. Tonie tak szybko, że czarny już musi płytko nurkować, by wydobyć tonące ciało.

Pływak to pierwszorzędnny: dźwiga masę do góry i podciąga do burty łodzi. Tu już pomaga mu towarzysz pozostający w łodzi.

„Ta skóra jest uratowana!“ — mówi Vialla.

Wyjątkowo mądre i trudne do upolowania są stare krokodyły. Nie dają się podejść już tak, jak młode, lecz zanurzają się przed zbliżeniem motorówki, by po jej odejściu znowu się ukazać na po-



Vialla, łowca krokodyli w dobrym humorze

wierzchni i... chciałbym powiedzieć, mrugają z uciechy okiem, że tak pierwszorzędni mogą się zabawić kosztem myśliwych, ale w porę ugryzłem się w język, bo czerwone oczy krokodyla patrzą dziwnie nieruchomo, bez wyrazu, nie wyobrażalem sobie, jak mogłyby się zdobyć na mruganie.

Vialla jest zmęczony podróżą morską z nami i ma już dość polowania na tę noc. Zresztą zaczyna mu w najbardziej dramatycznych momentach nawalać silnik, co wywołuje burzę wściekłości, skierowaną ku „tym czarnym małpom“, którzy zapaskudzili silnik w czasie nieobecności białego.

Nie nie pomaga przemywanie wentylu od pompy.

Wracamy syci wrażeń z tego pierwszego polowania.

Nazajutrz oczywiście z samego rana walimy wprost do Vialli, by zobaczyć, cośmy wczoraj upolowali i przyjrzeć się operacji ściągania skóry.

Vialla już nie śpi: dyryguje robotą. W swoim wielkim, szerokoskrzydłym kasku kolonialnym. jakich tutaj nikt nie uosi, przysadzisty a potężny w barach, ma w swej postaci coś wyróżniającego, coś romantycznego, szerokoskrzydły kask przypomina szerokie kowbojskie kapelusze.

Rozłożyste drzewo, w jego cieniu uwiązają się czarni pośród ciał krokodyli. Naokół gromady sępów i murzynów, przypatrujących się uważnie całej operacji.

Patrzmy i my. Prawa ręka myśliwca, Momo, który wczoraj skakał w wodę w najryzykowniejszych momentach, zabiera się właśnie do ściągania skóry.

Rozwiązuje nogi zwierzęciu. rozpościera kadłub na ziemi grzbietem do góry. Krokodyl jest nieruchomy, robi wrażenie martwego, wreszcie z taką straszną raną w głowie nie wiele mu się chyba należy. Głęboki cios noża w kark tuż za głó-

wą oddziela od głowy najbardziej wartościową, najładniejszą łuskę, t. zw. „kaj“.

Krokodyl nagle odżywa — zaczyna się rzucać — dość jednak niemrawie — musi już być słaby.

Vialla natychmiast podchwytuje ten ruch z zadowoleniem: „Widzicie! Jeszcze żyje!“ Robi mi się trochę głupio: bądź co bądź nie codziennie obserwuje się, jak z żywego zwierza obdzierają skórę — nie jest to bardzo przyjemne, choćby to był nawet krokodyl.

Momo bardzo szybko i zręcznie wykonuje swą robotę: cięcie wzdłuż brzucha. lapy, grzbiet — i oto już leży nagie mięso. Ciosem noża wyjmuję woreczek żółciowy i rzuca go do wiaderka, stojącego obok. Mięso krokodyla otrzymują podwładni Vialli i sprzedają je nieźle (jest podobno smaczne i czarni jedzą chętnie). Żółć jednak zostaje wyrzucona do rzeki. jest ona gwałtowną trucizną, nie należy dopuszczać do niej murzynów, wśród których trucicielstwo jest nadzwyczaj rozwinięte.

Po ściągnięciu skóry Momo czyści ją jeszcze z kawałków mięsa, posypuje grubo solą, otrzymywaną przez czarnych z wody morskiej, i zwiąja w rulon. W takim stanie skóra będzie leżeć aż do chwili, gdy myśliwi znajdą się w Cenakry, tam dopiero poddadzą ją skomplikowanym kąpielom garbującym.

Opuszczamy narazcie tę rzeźnię z uczuciem ulgi, Vialla chce nam pokazać swoją flotyllę.



Misjonarz Polak ks. Krzyżanowski z Pomorza, b. ochotnik 1920 r., b. oficer Legii Cudzoziemskiej, hodowca zwierząt doświadczalnych dla Instytutu Pasteura

Najpierw motorówka, na której wczoraj polowaliśmy.

Mieczysław Wróblewski
s/j „Poleszuk“

(d. c. n.)

Ś. P. JAN KRAJEWSKI-KUKIEL

W dniu 15 sierpnia 1939 r. zmarł w Świdrze pod Warszawą w wieku lat 67 ś. p. Jan Krajewski-Kukiel, emerytowany Wiceprezes Sądu Apelacyjnego w Warszawie.

Ś. p. Jan Krajewski-Kukiel pochodził z rodziny ziemiańskiej, z ojca Adolfa,

Ś. p. Jan Krajewski-Kukiel b. wiceprezes Sądu Apelacyjnego w Warszawie



który wskutek udziału w powstaniu z 1863 roku emigrował z b. Królestwa Kongresowego i osiadł na roli w b. Galicji. Ś. p. Jan po odbyciu studiów prawniczych wstąpił do sądownictwa w b. Galicji. Gdy w 1917 r. przystąpiono do utworzenia sądownictwa polskiego, stanął w szeregu jego pierwszych organizatorów i jako sędzia Sądu Apelacyjnego zasiadł w składzie sędziów pierwszej sesji wskrzeszonego Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Jako sędzia apelacyjny, a wkrótce jako Wiceprezes Sądu Apelacyjnego w Warszawie pracował w sądownictwie polskim do 1929 r., oczymp został rejentem w Rawic-Mazowieckiej, które to stanowisko utracił w 1934 r. wskutek reorganizacji notariatu, przeprowadzonej w 1934 r. przez b. ministra Michałowskiego. Od tego czasu mieszkał w Warszawie.

Gorący patriota, nieskazitelnego charakteru, obywatel ofiarny, nadzwyczaj uczynny i wrażliwy na wszelką niedolę, pracownik wybitny i wysoko ceniony niezawisłość sędziowską, ś. p. Jan Krajewski-Kukiel zaletami tymi, cechującymi każdą jego działalność zawodową, społeczną lub w życiu prywatnym, zjednał sobie powszechny szacunek i miłość. Zwłaszcza młodsze pokolenie prawników, które odbywało aplikację pod Jego kierownictwem, zachowa Go we wdzięcznej pamięci za dobroć i serce, z jakim zawsze do niego się odnosił.

Ś. p. Jan Krajewski-Kukiel był bratem znanego historyka gen. Mariana Kukieła.

89-60 1812

NIE CHAJ ŻOŁNIERZ NIE MA TROSKI O RODZINĘ

Okres, który przeżywamy obecnie, nazywany jest nie bez słuszności wojną nerwów. W wojnie tej — jak dotąd bez rozlewu krwi i bez huków armat — nieprzyjaciół stara się doprowadzić świat cały do wyczerpania i rozluźnienia ośrodków woli i decyzji. W wojnie tej odcinkiem atakowanym najintensywniej jest Polska. Pozostawiając przygotowanie obrony wojskowej naszym siłom zbrojnym i ich Naczelnemu Wodzowi, musimy jednak wszyscy już obecnie wziąć udział w budowie *niewzruszonego zaplecza wewnątrz kraju.*

Nie ma dziś w Rzeczypospolitej takiej miejsczka czy wsi, nie ma takiej organizacji społecznej, czy rodziny, która by odmówiła pomocy dla ojców, mężów, synów i braci, powołanych do szeregów. Liczba rezerwistów, na których barkach spoczywa w tej chwili obrona naszych granic, naszego honoru i naszych interesów, rośnie z godziny na godzinę. Równocześnie, rzecz prosta, *rośnie liczba rodzin, które pozbawione żywicieli muszą być otoczone najserdeczniejszą opieką ze strony społeczeństwa.* Państwo i samorządy przychodzą im z pomocą w ramach obowiązujących ustaw. Ale to nie wystarcza!

Nie ma granic dla obowiązków, jakie mamy względem Ojczyzny i jej obrońców. Cały świat patrzy dziś na Polskę, podziwiając jej spokój i całkowite zjednoczenie w obliczu niebezpieczeństwa. Słusznie się dzisiaj twierdzi, że w układzie stosunków politycznych w Europie środkowej Polska zajmuje stanowisko kluczowe. Ta prawda dziejowa jest teraz widoczna już dla każdego, kto umie i chce w naszą stronę patrzeć. Swoją postawą pogotowia osłaniamy nie tylko siebie, ale i innych przed zalewem pogańskiego barbarzyństwa — stajemy się przedmurzem obronnym zachodniej kultury i cywilizacji opartej na idealach sprawiedliwości i wolności. Jest to dla nas honor, ale i trud wielki.

Aby podolać tym obowiązkom, musimy wszyscy w miarę swoich możliwości stawać do współpracy z wojskiem. Nadeszła pora, aby każdy z nas zadał sobie pytanie: *czy uczyniłem wszystko, co do mnie należało?* Nadeszła pora, aby rozproszkowane dotąd organizacje społeczne podjęły *wspólny wysiłek* przede wszystkim w dziedzinie pomocy dla rodzin rezerwistów powołanych do wojska.

Oto znakomita okazja do istotnego, realnego zjednoczenia całego Narodu, wszystkich jego warstw i ugrupowań!

A roboty jest bardzo wiele. Zdączy się może, że władze administracyjne lub samorządowe, przeciążone pracą, nie mogą dosyć sprawnie załatwić życiowych spraw rodzin rezerwistów. *Tu jest miejsce dla opiekuńczej i doradczej pracy Komitetów Obywatelskich.* Winny one wejść w tym celu natychmiast w kontakt z urzędami gminnymi (w miastach powiatowych ze starostwami), organizować biura porad prawnych, społecznej pomocy lekarskiej, opieki nad dziećmi itd.

Z różnych stron Rzeczypospolitej nadchodzą wiadomości, że tego rodzaju Komitety Obywatelskie w wielu miejscowo-

ściach już działają i — działają sprawnie! *Należy utworzyć je bez zwłoki wszędzie tam, gdzie ich do tej pory nie ma.*

Bez względu na to, co przyniesie jutro, musimy wszyscy utrzymać normalny bieg życia. Dlatego nie wolno spalać się w jednodniowym entuzjazmie. *Micisee słów muszą zająć czynny. Jeśli robimy —*

WIELKI SUKCES MOTOCYKLI „SOKÓŁ”

Poczucie estetyki sięga nieraz dalej aniżeli możliwości materialne. To też wszyscy przyznajemy, że szczególnie pociągającą dla wzroku jest wieloosobowa limuzyna o aerodynamicznych kształtach. Jednak nie wszyscy możemy sobie pozwolić na kupno drogich maszyn. To też prawdziwie w tej chwili popularnym jest motocykl, który w pierwszym rzędzie jest doskonałym środkiem komunikacyjnym. Rozpowszechnienie jednak motoryzacji uzależnione jest od ceny wehikulu. O wiele więc większą jest cyfra kursujących motocykli, aniżeli samochodów. Dzisiejszy motocykl to nie na dwóch kołach pędzący samowar, który przerażał nas swym hukiem jeszcze przed laty 15-tu. Postęp, wymagania stawiane motocyklowi wprowadziły tak dalekie udoskonalenia techniczne, że najbardziej nawet muzykalne ucho przyznać musi, iż odgłos pracy nowoczesnego silnika motocyklowego nie razi zupełnie. Istnieje cały szereg ludzi, którzy twierdzą, że pozostaną na zawsze przy motocyklu, chociaż mogą sobie pozwolić na samochód. Dzieje się to dlatego, że jazda motocyklem dostarcza znacznie więcej emocji, aniżeli jakikolwiek inny pojazd mechaniczny. Ta hezpośredniość kontaktu z „ziemią”, jednocześnie odczuwanie drgań silnika, przywiązują kierowcę do jego maszyny. Jeżeli więc dodamy estetyczne nowoczesne formy motocykla, jego cichobieżność oraz emo-

ję podróży motocyklem — będziemy mieli wytłumaczenie dlaczego motocykl coraz bardziej staje się popularny. Tym bardziej motocykl staje się nam bliski, że, jak to mamy w motocyklu SOKÓŁ — produkcji Państwowych Zakładów Inżynierii, wszystkie składowe części tej popularnej maszyny są krajowego wyrobu. Ostatnie wielkie zwycięstwa motocykli „SOKÓŁ” w raidzie Szlakiem Kadrówki, zdobycie Wielkiej Nagrody Tatr z przysięgniętą ilością złotych i srebrnych medali wobec innych maszyn oraz wspaniałe sukcesy pierwszej „wspinaczki motocyklowej” na Kasprowy Wierch — stawiają te motocykle ponad produkcję światowej sławy koncernów zagranicznych.

Ten spokój — hezcenny zwłaszcza dla żołnierzy — da im świadomość, że ich najbliżsi zostali otoczeni braterską opieką społeczeństwa.

Zdawaćby się mogło, że Muzeum i Radio to sprzeczność, przeciw radio to symbol postępu, a pojęcie muzeum technicznie archaizmem. A jednak postęp radiofonii był tak szybki, wzrost jej tak imponujący, że już dziś niektóre jego etapy noszą charakter pamiątek godny archiwów i muzeów.

MUZEUM RADIOWE NA D. W. R.

Na terenie Drugiej Wystawy Radiowej będziemy mieli możliwość zwiedzić takie właśnie Muzeum Radiowe, które przedstawi nam rozwój radia od pierwszych śmiałych prób, aż do chwili obecnej. Będą tam demonstrowane doświadczenia pierwszych pionierów radia, Hertza, Lodge'a i innych. Znajdziemy tam bibliotekę piśmiennictwa radiowego, poczynając od pierwszych wzniątek i pełnych sceptycznym artykułów o „telegrafii bez drutu”, jakie ukazały się w końcu ubiegłego stulecia.

Dalej znajdziemy tam przegląd odbiorników detektorowych i lampowych, wykazujących naocznie postęp i rozwój przemysłu radiowego w dziedzinie produkcji. Specjalnie bogaty będzie dział lamp, który przedstawi nam historię lampy radiowej. Wreszcie demontowane tam będą najnowsze eksperymenty, jak np. zjawiska fotoelektryczne.

Zadaniem Muzeum Radiowego będzie plastyczne wydobycie tego zasadniczego kontrastu pomiędzy pierwszymi krokami na polu radiofonii a jej wspaniałym rozwojem dzisiejszym.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Muzeum Radiowe będzie jednym z najbardziej interesujących fragmentów Drugiej Dorocznej Wystawy Radiowej 1939 r.

Sokół „200” na Kasprowym Wierchu





1. Starożytny zamek



2. Baszta prochowa

DAWNE POLSKIE WŁADANIA MORSKIE

Przynależny obecnie Polsce skrawek wybrzeża morskiego, przedmiot zawiści zachłannego sąsiada, jest tylko małą częścią dawnych polskich władń morskich, utraconych przez przedrozbiorowe rolniczo zorientowane społeczeństwo polskie, nie rozumiejące w swej masie znaczenia morza dla państwa.

Począwszy od Szczecina, którym władali Piastowicze, polskie wybrzeże Bałtyku ciągnęło się po przez Gdańsk — Królewiec — Rygę — Rewel na przestrzeni ok. 1.800 km. do Narwy w zatoce Fińskiej za panowania Batorego.

Perłą Bałtyku we władaniu Polski, poza Gdańskiem, była Ryga, najpiękniejsze i najbogatsze na przestrzeni dziejów naszych miasto portowe.

Ryga została założona w 1196 r. przez Kawalerów Inflanckich, namiestnicy królów polskich — Jan Hieronim Chodkiewicz, kardynał Jerzy Radziwiłł i inn., rezydenci szwedzcy, gubernatorowie rosyjscy, a obecnie rząd nowopowstałej Łotwy Skandynawskich Normanów, biskup Albert założył ok. 1228 r. u samego ujścia Zach. Dźwiny do zatoki Bałtyku (ok. 12 km. poniżej Rygi) twierdzę morską Diina Münde (Dyament) — Ujście Dźwińsk.

W tym czasie ok. 1204 r. uchodźcy —

rozbitkowie z Bremy, utworzyli w Liwonii pod wodzą Buxhōwdena zakon rycerski „Kawalerów Mieczowych”, podwładny teokratycznie biskupowi ryskiemu, celem krzewienia mieczem chrześcijaństwa między Kurami, Liwami i Estami, zamieszkującymi ten kraj. Nie mogąc jednak utrzymać się politycznie na zajętych obszarze wobec opanowania przez Duńczyków Rewla, którym następnie zawładnęli Szwedzi. „Kawalerowie Mieczowi” połączyli się w 1237 r. z Malborskimi Krzyżakami, przejęli ich ustrój i ustawę, tworząc północną ekspozyturę tego zakonu pod mianem „Rycerzy Inflanckich”.

Celem zabezpieczenia swej rezydencji i uzurpowanego obszaru przed napadami inflanckiego biskupa Bartolda, spalona jednak przez Liwów została w 1201 r., odbudowana i otoczona murami przez biskupa Alberta, który ugruntuował tu swą rezydencję biskupią, budując zamek w równy nad rzeką Z. Dźwiną. (Rys. 1). Panami tego zamku, którego fasada od strony wybrzeża wg najstarszych źródeł, nie uległa zmianie, byli różną kolejną losów: arcybiskupi ryscy, wielcy mistrze Lecz nie zabiegajmy naprzód.

W połowie XIII wieku Ryga przystąpiła do związku miast hanzeatyckich, ma-

jąc jako handlowe zaplecze basen wodny Z. Dźwiny z Połockiem, Witebskiem itp. miastami i władaniami północno-zachodnich Słowian, a następnie Litwy i Rzplitej. Rozkwit handlowy Rygi, eksportującej litewsko-polskie drzewo, potas, zboże i konopie spowodował długotrwałe wojny między arcybiskupami Ryskimi i zawistnym zakonem „Rycerzy Inflanckich”, którzy w 1327 r. szturmem zdobyli miasto i nadmorską twierdzę Dünamünde, wydzierając władzę nad krajem katolickim arcybiskupom. Mistrz Plettenberg odbudował w 1481 r. zburzony zamek i otoczył miasto murami, których ocalały fragment przedstawia „Baszta Prochowa”. (Rys. 2). „Baszta Prochowa” jest jednym ocalałym z pięciu dawnych „rondli-barbakanów”, umacniających ongiś załomy murów miejskich, podobnie jak znacznie starszy, rekonstruowany obecnie, warszawski barbakan przy ul. Nowomiejskiej.

Wokół murów miejskich biegła fasa połączona obu końcami przy pomocy szluz z korytem rzeki Z. Dźwiny. Obecnie brzegi tej fosi, oddzielającej stare miasto od dużo późniejszych przedmieść, zajmują malownicze (dzisiaj śródmiejskie) plantacje, które wraz z kilkoma mostami rzuconymi przez bieżące wody fosi, na-

3. Profil Rygi



4. Dom Czarnogłowych





5. Teatr Miejski

dają miastu wybitne cechy piękna, służąc jednocześnie rezerwatami zieleni.

Z epoki biskupiej datuje szereg kościołów, których wieże nadają Rydze jeden z najładniejszych profili nadbrzeżnych miast. (Rys. 3). Najstarszym kościołem z początku XIII wieku jest katedra „Dom Kirche“ (wieża środkowa), w której zachowały się po dziś dzień: nagrobek wystawiony po bitwie pod Kircholmenem przez hetmana Jana Karola Chodkiewicza zabitemu wodzowi szwedzkiemu Lindersowi, oraz kaplica Tyzenhauzowska. Zdobna monachijskimi witrażami, okalająca grobowiec Kaspra Tyzenhauza — rotmistrza królewskiej chorągwi usarskiej Zygmunta III. Katedra ta była przedmiotem sporów między luterzańską ludnością Rygi i ultra gorliwym katolikiem Stefanem Batorem, który dopiero pod wpływem towarzyszącego mu jezuitę księdza Piotra Skargi ustąpił!!!, zachowując dla katolików dwa inne kościoły Św. Św. Piotra i Pawła (prawa wieża) i Św. Jakuba (lewa wieża).

Po sekularyzacji Prus w 1525 r. Inflanty zostały w 1559 r. wcielone do Rzplitej. W 1562 r. przed namiestnikiem Zygmunta Augusta, Mikołajem ks. Radziwillem, Gotart Ketler złożył na zamku ryskim wszystkie oznaki godności wielkiego mistrza, a stany inflanckie wykonały przysięgę na wierność królowi polskiemu; arcybiskupstwo ryskie zostało znie-

7. Politechnika



sione, a Ryga jako miasto powiatowe Inflant, zostało wcielone w administracyjny obszar Litwy.

Ze zmianą władców miasta herb Rygi przechodził następujące heraldyczne przeobrażenia: za czasów biskupich nad bramą obronną, umieszczoną między dwoma basztami, widnieją dwa złożone w formie ukośnego krzyża klucze, nad którymi znajdował się podwójny krzyż biskupi (jak gdański); za czasów krzyżackich krzyże biskupie zostały zamienione na jeden krzyż krzyżacki o kształcie maltańskim, który Zygmunt August nakazał zastąpić polską koronę królewską (podobnie został ozdobiony herb Gdańska w 1457 r.); w sto lat później król szwedzki Karol XI umieścił w bramie herbowej pod żelazną broną leżącego lwa z koroną nad głową, zachowując koronę polską nad kluczami powyższej bramy; korona polska widnieje w herbie Rygi do dziś dnia wieńcząc przywrócony krzyż maltański nad kluczami.

Król Stefan Batory odbył w 1582 r. przez środkową bramę „Marszałkowską“ triumfalny wjazd do miasta; podczas tego przejazdu, jak głosi stara legenda ryska, rumak Batorego zgubił, umyślnie stało przybitą, złotą podkowę, na pamiątkę na pamiątkę czego do dziś dnia na domu przy głównej ulicy starego przedmieścia, zwanej „Wapienną“ (obecnie pod Nr 14) między oknami I piętra jest przybita sta-



6. Giełda portowa

ra podkowa, na szybie zaś sąsiedniego okna widnieje jej złota podobizna.

Batory wraz z ks. Skargą założyli w Rydze kollegium jezuitckie, przyczynę wielu następnych zamieszek na tle reformacji.

Wprowadzenie nowego kalendarza gregoriańskiego wzmieciło bunt mieszczan, stłumiony przez gubernatora Inflant Jerzego ks. Radziwilla po ścięciu dwóch rajców miejskich. Następnie luteranie wygnali jezuitów, wszynając na tle religijnym rozruchy, które stłumili namiestnicy Zygmunta III — Lew Sapieha i Seweryn Bonar, karząc na gardle trzech przywódców i nakładając na miasto grzywnę w wysokości 10.000 talarów.

Z architektury eywilnej tych czasów zachował się na rynku staroniejmskim „Dom Czarnogłowych“ — Rys. 4., w muzealnych salach, którego został podpisany polsko-bolszewicki traktat w 1920 r.; niezwykłą facjatę tego domu zdobi olbrzymie popiersie Stefana Batorego.

W 1620 r. Gustaw Adolf po 6-miesięcznym oblężeniu zdobył Rygę, która wg traktatu Oliwskiego za Szwedami została.

W 1700 r. Rygę oblegały wojska saskie Augusta II odparte przez Karola XII.

Na Szwedach w 1710 r. zdobył Rygę, po 8-miesięcznym oblężeniu, dla Rosji feldmarszałek Szeremietjew, co pokój Nisztacki w 1721 r. zatwierdził.

Pod rosyjskim panowaniem, jak i poprzednio pod polskim, Ryga, będąc punk-

8. Szkoła handlowa



PRZY POPIELATEJ WSTĘDZE AUTOSTRADY

9. Otwock — Karczew. Grójec — Radom.

W naszym cyklu artykułów, poświęconym miejscowościom i zabytkom, mniej znanym, a rozmieszczonym dogodnie koło dobrych dróg asfaltowych, omówiona już została droga Łowicka (Nr 23), Piaseczyńska (Nr 21), Modlińska (Nr 25), Siedlecka (Mińsk Mazowiecki — Nr 26) i Rawska (Nr 19 i 22).

Drogę Rawską należałoby kontynuować poza Mszczonów, bowiem prowadzi ona do Piotrkowa przez kraj piękny o urozmaiconej rzeźbie terenu, a wzdłuż drogi mamy kilka jeszcze miejscowości bardzo wartych zwiedzenia, jak Babsk z empire'owym kościołem, plebanią i pałacem, jak miasto Rawa Mazowiecka z resztkami starego zamku gotyckiego, barokowymi kościołami, empire'owym ratuszem i pałacem. W pobliżu Rawy zasługują na uwagę Boguszyce z drewnianym kościołem z połowy XVI wieku o stropach pokrytych renesansową polichromią. W kościele tym zachowały się trzy tryptyki z XVI wieku, dwa malowane, jeden rzeźbiony. W ostatnich tygodniach w ramach wydawnictwa inwentaryzacyjnego Min. W. R. i O. P. p. t. „Zabytki sztuki w Polsce“ ukazał się zeszyt zatytułowany: Powiat Rawski — Mazowiecki, do którego niech mi wolno będzie odesłać zaite-Warszawy dróg asfaltowych pozostają do

(Dokończenie ze str. 706)

tem emanacyjnym całego dorzecza Z. Dźwiny, niechywale rozrastała się ekonomicznie: obrót towarowy i ruch statków ryzykownego portu przewyższał obroty portu petersburskiego, a ludność Rygi przekraczała pół miliona głów.

Losy Rygi są podobne, pod tym względem, do losów Gdańska, któremu tylko bogate wiślane zaplecze zapewnia wielkość i dobrobyt.

Z pięknych starych gmachów, zdobiących do połowy XIX w. Rygę, na pierwsze miejsce wysuwają się: teatr w stylu odrodzenia. (Rys. 5), giełda w stylu florenckim — Rys. 6. Politechnika w stylu romańskim. Rys. 7, w murach której kształciła się cała plejada dzisiejszych polskich inżynierów i przemysłowców, jednoczonych wówczas w studenckich korporacjach „Arkonii“ i „Weleccji“, oraz z nowszych — Szkoła Handlowa — Rys. 8. — udany wzór zastosowania gotyku w architekturze cywilnej.

Od 1919 r. Ryga jest stolicą wolnej po raz pierwszy w dziejach Łotwy, którą pod koniec XII wieku jeszcze w stanie gminowładztwa, zaczęli opanowywać „Fratres domus Teutonicorum militiae Christi“.

Oswobodzona ze szponów teutońskich „Jauna Latwia“ tworzy obecnie swoją kulturę, język literacki, architekturę i niezależny byt państwowy; stolica jej zaś Ryga rozwija się teraz jako ośrodek administracyjny, pod względem jednak przemysłowym, ekonomicznym i ludnościowym jeszcze nie doścignęła do stanu przedwojennego.

Inż. A. P a u l y



Grójec, Ratusz

omówienia jeszcze dwie krótkie i trzy dłuższe drogi, a mianowicie: Warszawa—Wilanów — Konstancin, Warszawa — Otwock, Warszawa — Grójec — Radom, Warszawa — Jabłonna i Warszawa — Radzymin — Wyszaków. Drogę Wilanowską śmiało można pominąć. Wszyscy na pewno dobrze znają Wilanów, z wyjątkiem być może tych, którzy zwiedzali w nim tylko restaurację, mieszczącą się zresztą w budynku wcale niebrzydkiem. Zwiedzającym Wilanów można by poradzić, aby przy okazji nie omieszkali przepisać się na drugi brzeg łachy do Horysina, gdzie w zapuszczonej parku znajdują pawilon ogrodowy z czasów Stanisława Kostki Potockiego.

Z szosy Otwockiej kilka kilometrów bocznej, lecz niezłej drogi prowadzi do Karczewa, a z Karczewa kilka kilometrów piasku do Starego Otwocka. Zamek Bielińskich w Starym Otwocku jest dobrze znany wszystkim wycieczkowiczom. Z dnia na dzień spodziewana jest dawno zapowiedziana monografia tego zabytku. Piękne fotografie zamku reprodukowały Arkady

(Rok II. 1936. Nr 7).

W Karczewie należy zwiedzić barokowy kościół o pięknie rozczłonkowanej fasadzie, fundowany przez marszałka Bielińskiego, a budowany przez Jakuba Fontanę ze sławnej warszawskiej rodziny architektów.

Z wszystkich podwarszawskich asfaltowych dróg najwięcej była i jest uczęszczana droga do Radomia. Dzisiaj jest to droga do C. O. P., ale kiedy C.O.P.-u jeszcze nie było, również dużo nią jeżdżono dla sportu. Był to bowiem najdłuższy podwarszawski pas asfaltu, a do tego jest to droga dobrze przeprowadzona bez zdradliwych krzywizn i ostrych zakrętów, w jakie obfituje na przykład starsza droga do Łowicza. Na drodze Radomskiej można było rozwijać szybkość i wykazać klasę samochodu. W Radomiu, który ma kilka starych kościołów i kilka ładnych gmachów dziewiętnastowiecznych, dobrze znana automobilistom atrakcją była znakomita podobno restauracja. Korzystanie z tej atrakcji, jak twierdzą złośliwi, odbijało się podobno na ilości wypadków. Prawie na połowie drogi między Radoniem a Warszawą leży Grójec. Miasto to datuje się z XV wieku, a nazwą swą wskazuje na jeszcze starsze pochodzenie. Grójec w wieku XVI rozwijał się pomyślnie, miał kilka gałęzi przemysłu, w rynku posiadał ratusz dziś nieistniejący. Wojny szwedzkie doprowadziły Grójec do upadku, z którego dźwignął się dopiero w początku XIX wieku. Z tego to okresu pochodzi obecny ratusz Grójca. Kościół gotycki z XV wieku zachował swój pierwotny charakter tylko we fragmentach murów zewnętrznych wschodniej części. Wnętrze się nie zachowało, a fasada jest rezultatem nieudolnej gotyckiej przebudowy. Pomiedzy kościołem, a rynkiem przy głównej ulicy znajduje się ciekawie rozplanowany obszerny budynek, mieszczący dziś gimnazjum imienia Piotra Skargi, którego rodzinnym miastem był Grójec. Wzdłuż dwóch krzyżujących się ulic dwa parterowe skrzydła łączą się ze stojącym a przekątni naroża piętrowym korpusem, ozdobionym jońskimi płaskostupami i tympanonem. Z parterowych skrzydeł jedno zachowało ślepe arkadowanie od ulicy i od dziedzińca. Tygodnik Ilustrowany pisał już raz o Grójcu w roku 1867.

Z y g m u n t M a n n

Niebezpieczeństwo wojny przekreśla prywatny schron rodzinny „BASTION“

zawierzony do użytku masowego przez M. S. Wewn. i Insp. O. O. P. JEDYNY DLA MAŁYCH DOMÓW I WILL. niezbędny w zakładach przemysłowych, w domach czynszowych (wartownie opl.) Dostawa w kolejności zamówień. CENA 4 80.— zł.

INFORMACJE, KATALOGI I SPRZEDAŻ: „BASTION“ — WARSZAWA
Marszałkowska 53a, godz. 10—14, tel. 8-96-44.



Od lat siedemnastu dzień po dniu

zwiększa swą poczytność i wpływ dziennik

„Express Lubelski i Wołyński“

lokalny organ prasowy Lublina i wielkich ciężących gospodarczo i kulturalnie do tego miasta terenów prowincjonalnych

Najwyższy nakład na terenie woj.: Lubelskiego i Wołyńskiego.

Lublin, Kościuszki 8, tel- 23-60.



SILNE LOTNICTWO TO POTĘGA POLSKI



Gruźlica płuc jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych, bronchitu, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu itp. stosują pp. lekarze „Balsam Trikolan“ Gąseckiego, który ułatwia wydzielenie się plwociny, wzmacnia organizm i samopoczucie chorego oraz powiększa wagę ciała i usuwa kaszel. Sprzedają apteki.

Czy jesteś członkiem L. O. P. P.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAOKOŁO ŚWIATA“ WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50	kwartalnie	zł 19.—	kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	rocznie	zł 74.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—			Zmiana adresu	zł 0.50
rocznie	zł 66.—				
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 143

Redakcja nie zwraca niezamówionych rękopisów.

CENNIK OGŁOSZEŃ Str. 1/1 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/3 — 250 zł, 1/6 — 150 zł, 1/16 — 100 zł, — za esp. wiersz milimetry, lub jego miejsce PRZED I ZA TEKSTIM: 1,50 zł. Eilense, artykuły epowe, układ typograficzny, 1 str. cłaćki i miejsce zniżkowe 36% droż

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P.K.O. 143.

Wydawca Tow. Wyd. „Droga“ Sp. z o. o.

Drukarnia Krajowa, Warszawa, Chłodna 44

Redaktor: Czesław Straszewicz



Program Polskiego Radia

Od dn. 3 XI. do dn. 9 IX. 1939

Niedziela — dn. 3.IX

7.00: Audycja poranna. 9.00: Transmisja z Krzemienia: nabożeństwo, kazanie, oraz fragment akademii ku czci J. Słowackiego. 11.45: Pogadanka prof. Colemana (z Gdyni przez Toruń). 12.03: Poranek muzyczny muzyka skandynawska. 13.00: Wyjątki z Pism Józefa Piłsudskiego. 13.15: Muzyka obiadowa z Katowic. 14.15: „Czytamy Mickiewicza” — aud. XIV „Pan Tadeusz”. 15.00: Audycja dla wsi. 16.30: Koncert kameralny w wyk. Polskiego kwartetu Smyczk. 17.15: „Jak prof. Mieczwa dowiedział się o Kościuszcze i co z tego wynika” — listy z Ameryki Melchiora Wańkowicza. 17.30: Podwieczorek przy mikrofonie z Bagateli. 19.00: „Miecz i sława”: „Bolesław Śmiały”. 19.30: Gra Egon Petri — fortepian (nowe nagrania płytowe). 20.10: Reportaż dźwiękowy ze startu balonów w Międzynarodowych Zawodach o Puchar Gordon-Benneta. 20.55: Transmisja fragmentów meczu piłk. Polska — Bułgaria. 21.35: Muzyka taneczna z Poznania. „Czwarty partner” — humoreska Kornela Makuszyńskiego.

Poniedziałek — dn. 4.IX

6.30: Audycja poranna. 8.15: Kupiec wiejski i jego troski — pogadanka. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Z rejsów Zawiszy Czarnego” cz. II — audycja dla młodzieży. 15.15: Muzyka popularna ze Lwowa. 16.10: „Dzielo ociemniałego żołnierza” — reportaż. 17.00: Muzyka do tańca. 18.00: Polska muzyka baletowa w wyk. Ork. Symf. P. R. 19.30: Przy wieczery — koncert rozrywkowy. 20.15: Wywiad z uczestnikami I Kompanii Kadrowej. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Recital fortepianowy Stanisława Staniewicza. 21.30: Reportaż dźwiękowy z uroczystości ku czci Juliusza Słowackiego w Krzemieniu. 21.50: Emil Młynarski: a) Scherzo z Symfonii E-Dur. b) Romans ze suity „Melodie dawniejsze” op. 3. 22.00: Muzyka do tańca.

Wtorek — dn. 5.IX

6.30: Audycja poranna. 8.15: Nie martwmy się na zapas — gawęda. 11.00: Audycja dla szkół. 11.25: Koncert z płyt. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Podróż fantastyczna” — powieść dla młodzieży. 15.00: Muzyka popularna. 16.20: Recital organowy w wyk. Feliksa Nowowiejskiego. 17.00: Muzyka do tańca (płyty). 18.00: Duety w wyk. Anieli Szlemińskiej i Kazimierza Czekotowskiego. 18.30: „Echa mocy i chwały”. 18.40: C. M. Weber: Grand Duo Concertant Es-Dur na fortepian i klarnet — koncert. 19.00: Audycja dla robotników. 19.30: Przy wieczery — koncert rozrywkowy. 20.10: Przemówienie Ministra W. R. i O. P. prof. Wojciecha Świętosławskiego do nauczycieli. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Reportaż z uroczystości ku czci Juliusza Słowackiego w Krzemieniu. 21.50: „Demokryty” — odczyt. 22.05: Współczesna

sztuka wokalna we Włoszech — aud. muzyczno-słowna.

Środa — dn. 6.IX

6.30: Audycja poranna. 8.00: Audycja dla szkół. 8.15: Pogadanka turystyczna. 11.00: Przemówienie Ministra W. R. i O. P. prof. Wojciecha Świętosławskiego do młodzieży szkolnej. 11.10: Audycja dla szkół. 11.30: Ze starych operetek francuskich — płyty. 12.03: Audycja południowa. 14.45: Rozwiązanie zagadki dla młodzieży z dn. 17.VIII 14.50: Nasz koncert: „Z różnych stron” — aud. dla dzieci. 15.15: Muzyka popularna ze Lwowa. 16.20: Pieśni Brahmsa i Liszta w wyk. H. Korff-Kaweckiej. 16.45: Życie wszechświata — odczyt. 17.00: Muzyka do tańca z Café Clubu. 18.00: Słynne symfonie — nowe nagrania płytowe. 19.00: „Skradziony list” — zradiofonizowana humoreska Poego. 19.30: Przy wieczery — koncert rozrywkowy. 20.10: Odczyt wojskowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert chopinowski w wyk. M. Bilińskiej-Riegerowej. 22.05: Reportaż z meczu piłk. Polska — Jugosławia. 22.30: Muzyka rozrywkowa — polskie i jugosłowiańskie melodie ludowe.

Czwartek — dn. 7.IX

6.30: Audycja poranna. 7.15: Wywiad z uczestnikami I Kompanii Kadrowej. 8.00: Audycja dla szkół. 8.20: Pogadanka sportowa. 11.00: Audycja dla szkół: „Odgłosy lat” — poranek muzyczny. 11.25: Piosenki w wyk. Lucyny Szepeńskiej i Charlesa Kullnana (płyty). 12.03: Audycja południowa. 14.45: Reportaż z mrowiska — audycja dla młodzieży. 15.05: Muzyka popularna z Poznania. 16.20: Koncert muzyki dawnej. 16.45: „Świadkowie dawnej chwały” — II reportaż z muzeów. 17.00: Znaczenie przemysłu dla obronności kraju — odczyt dla młodzieży licealnej. 17.20: Muzyka do tańca (płyty). 18.00: Muzyka baletowa z płyt. 19.00: „Wielkie włóczęgi morskie” — z panię-

ników samotnych żeglarzy (Slocum i Voss). 19.20: Przy wieczery — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Recital skrzypcowy Eugenii Umińskiej. 21.30: „Mężennik miłości” — premiera słuchowiska. 22.20: Francuskie i niderlandzkie madrygaly XVI w. — koncert. 23.15: Koncert muzyki góralskiej.

Piątek — dn. 8.IX

6.30: Audycja poranna. 8.00: Audycja dla szkół. 8.15: Kłopoty i rady: „Jak r na tego nie lubię?” — dialog. 11.00: Audycja dla szkół: „Na obozie harcerskim”. 11.25: Dobre utwory skrzypcowe Kreislera i wiolonczelowe Poppera — koncert z płyt. 12.03: Audycja południowa. 14.45: „Podróż fantastyczna” — cz. IV powieści dla młodzieży. 15.00: Muzyka popularna z Katowic. 16.20: Pieśni w wykonaniu Edwarda Bendera. 17.00: Muzyka do tańca (płyty). 18.00: Echa mocy i chwały. 18.10: Kwartety Beethovena — nowe nagrania płytowe. 19.00: „Z poezji Cypriana Kamila Norwida” — recytacje. 19.30: Przy wieczery — koncert rozrywkowy. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: „Triumfalnym krokiem poloneza” — aud. muz. słowna. 21.15: „Sztuka i czyn w pismach Stanisława Witkiewicza”. 22.00: „W polskich górach” — koncert symfoniczny.

Sobota — dn. 9.IX

6.30: Audycja poranna. 8.00: Audycja dla szkół. 8.15: „Z mikrofonem przez Polskę” — „Wśród poznańskich bambrow”. 11.00: Audycja dla szkół. 11.25: Francuskie marsze i piosenki wojskowe (płyty). 12.03: Audycja południowa. 14.45: Słuchowisko dla dzieci: „Świnia-rek” wg. Anserena. 15.15: Muzyka popularna z Łodzi. 16.20: Utwory skrzypcowe w wyk. Henryka Kowalskiego. 17.00: Muzyka do tańca z Café Clubu. 18.00: Polskie pieśni w wyk. Ady Witowskiej-Kamińskiej. 18.30: Recital fortepianowy Andrzeja Wąsowskiego. 19.00: „Podróż do wnętrza materii” — „Niewidzialne społeczeństwo” — powieść mówiona. 19.30: Audycja dla Polaków za granicą. 20.00: „Melodie ziem polskiej” — „Z kapelą i ze śpiewem przez Podhalę”. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Koncert rozrywkowy z Poznania. 23.20: Muzyka do tańca.

Stoisko związku krótkofalowców na Dorocznej Wystawie Radiowej

Bardzo ciekawie przedstawia się stoisko krótkofalarstwa, które się mieści w dwóch salach Dorocznej Wystawy Radiowej. W sali nr. 1 znajdujemy urządzenie operacyjne, t. zn. dwie stacje nadawcze, eksperymentalne, z których jedna jest stale czynna, nadając programy dla stacji odbiorczej, znajdującej się na Bielanach. Tutaj poznamy całość stacji krótkofalowej nadawczej.

W sali drugiej mamy umieszczone eksponaty stacji nadawczych: telefonicznych i telegraficznych o małej i średniej mocy. Widzimy też odbiornik uniwersalny fal ultrakrótkich, nadawczo-odbiornicy, spełniający obie funkcje. Poza tym jest szereg wykresów, plansz, przyrządów pomiarowych i laboratoryjnych. Na ścianie wisi

mapa 2 x 3 mtr., ilustrująca łączność krótkofalowców polskich ze stacjami krótkofalarskimi całego świata. Obok całej szereg korespondencji na kartach krótkofalarskich QSL i fotografie z całej kuli ziemskiej i bardzo wiele ciekawych opinii o krótkofalarstwie polskim.



„TYGODNIK ILLUSTROWANY”

Ostatnio w „TYGODNIKU ILLUSTROWANYM” zamieszczali swoje prace między innymi następujący pisarze, uczeni i publicyści:

Berent Waclaw, Borowy Waclaw, Boye Edward, Chrzanowski Ignacy, Czachowski Kazimierz, Dąbrowska Maria, Essmanowski Stefan, Flukowski Stefan, Goetel Ferdynand, Gombrowicz Witold, Górka Olgierd, Grabowski Jan, Grzebieniowski Tadeusz, Horoszkiewicz R. W., Hollender Tadeusz, Hulewicz Witold, Huszcza-Winnicka H., Illakowiczówna Kazimiera, Irzykowski Karol, Iwaszkiewicz Jarosław, Kaden Bandrowski Juliusz, Kleiner Juliusz, Kondracki Michał, Kossak-Szczucka Z., Kubacki W., Laskowski-Hulka Paweł, Lechoń Jan, Lepcecki B., Lutostawski W., Makuszyński Kornel, Melcer Wanda, Mieszkowski J. T., Miller, Jan N., Morcinek Gustaw, Muszkowski Jan, Nowakowski Zygmunt, Ossendowski F. A., Parandowski Jan, Powlikowska Maria, Piwiński Leon, Polczyński Janta Aleks., Pomirowski Leon, Rogowicz Waclaw, Rogoż Stanisław, Rudnicki Adolf, Rusinek Michał, Rytard Miecz., Schulz Bruno, Sieroszewski W., Skiński J. E., Smogorzewski K., Staff Leopold, Straszewicz Czesław, Stromenger Karol, Syruczek Waclaw, Szemplińska Elżbieta, Szyjkowski M., Śliwiński Artur, Terlecki Tymon, Tuwim Julian, Wasylewski Stanisław, Wierzyński Kazimierz, Wiktor Jan, Wittlin Józef, Wołoszynowski Julian, Zawistowski Władysław, Zrębowicz Roman.

NAOKOŁO ŚWIATA

bogato ilustrowany magazyn nowelistyczny, ukazujący się co miesiąc.

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA

przyniosła w latach ubiegłych obok autorów polskich, szereg utworów pisarzy tej miary, co Johan Boyer, Daniel Rops, Fr. Mauriac, J. Andersen Nexö, Marta Ostense, Mary Webb, J. Roth, Colette, G. Papini, Jo Van Ammers-Küler, W. B. Maxwell, W. Peteani i inni.

„Tygodnik Ilustrowany” wraz z dodatkami ma obecnie najtańszą prenumeratę zbiorową, gdyż tylko

za 6 zł miesięcznie (6.50 z dostarczeniem do domu), prenumeratorem TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO otrzyma 60 tysięcy numer „Tygodnika Ilustrowanego”; co miesiąc 80-stron. zeszyt „Naokoło Świata” w wielobarwnej okładce i co miesiąc blika 240-stronicowy tom powieści polskiej lub tłumaczonej. KTÓREJ CENA KSIĘGARSKA WYNOŚI około 6—8 zł.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM I MIES. „NAOKOŁO ŚWIATA” WYNOŚI:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCJI:		ZA GRANICĄ:	
miesięcznie	zł 6.—	miesięcznie	zł 6.50	miesięcznie	zł 8.50
z dostarczeniem do domu	zł 6.50			kwartalnie	zł 25.—
kwartalnie	zł 17.50	kwartalnie	zł 19.—	rocznie	zł 94.—
z dostarczeniem do domu	zł 19.—			Zmiana adresu	zł 0.50
rocznie	zł 66.—	rocznie	zł 74.—		
z dostarczeniem do domu	zł 74.—				

Konto Pocztovej Kasy Oszczędności Nr 143

CENNIK OGŁOSZEŃ Str. 1/1 — 800 zł, 1/2 — 450 zł, 1/4 — 250 zł, 1/8 — 150 zł, 1/16 100 zł. — za exp. wiersz. milimetry, lub jego miejsce PRZED i ZA TEKSTEM: 1,50 zł. Bilanse, artykuły opisowe, układy tabelaryczne, 1 str. okładki i miejsce zarezerwowane 50% drożej

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P. K. O. 143

MARUS 39 } FLE BOZIN 49 } Apten
 50 }
FYL 20 } BUFFALO 70 } James
 E " " } Pol G "

